



PAWEŁ KORNEW

PRZEKŁĘTY
METAL

PAWEŁ KORNEW

PRZEKLETY
METAL

PAWEŁ KORNEW

PRZEKLETY
METAL

CYKL EGZORCYSTA TOM 1

Przełożył
Rafał Dębski

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Słupsk 2016

-

PROLOG

Rok 948 po Wielkim Soborze

Miesiąc Świętego Dominika Nauczyciela

Rok dziewięćset czterdziesty ósmy po Wielkim Soborze pozostał w pamięci mieszkańców Lensu jako czas nieurodzaju i niesławnego zakończenia wojny, która zrujnowała doszczętnie kontynentalne prowincje państwa. Ludzi w miastach niepokoiły pogłoski o rychłym końcu świata, wiejski lud fatalnie wspominał letnią suszę, mokrą jesień i wczesną, mroźną zimę. W dodatku na niebie pojawiła się złowróżbna, krwawa kometa, zwiastująca nowe nieszczęścia. I chociaż nikt nie potrafił powiedzieć, jakie też miałyby właściwie nieszczęścia spaść na kraj, nikt z poddanych Jakuba Trzeciego nie liczył zbyt na poprawę losu. Bo jaki pożytek może być z próżnej nadziei, skoro niebawem miał nadejść wielki niedostatek?

Konni, którzy jechali pokłonić się pustelnikowi słynnemu na całe wybrzeże, mieli sposobność w pełni odczuć złe nastroje miejscowych. Przyjmowali ich dobrze tylko karczmarze i właściciele zajazdów, a i ci za fałszywymi uśmiechami skrywali tylko jedno pragnienie - oskubać podróżnych aż do ostatniego denara. Znaleźć zaś nocleg w jakiejś wiosce było po prostu niemożliwe. Chłopi, obawiając się rzucania uroków przez obcych, nie wpuszczali ich za próg.

Zbyt wiele w ostatnich czasach było przypadków opętania. 1 nazbyt pochopnie postąpił monarcha, nakazując zamknąć misje zakonu Wypędzających i wydalając braci egzorcystów z kraju. Zwykli kapłani nader często nie potrafili wygnać demona z człowieka...

Od strony cieśniny wiał zimny, przenikliwy wiatr, do południa mokry śnieg walił gęśio z nieba, ale dwóch jeźdźców nie zamierzało przeczekiwać podłej pogody w jakimś zajeździe. Młody człowiek, około dwudziestoletni, o ostrych i władczych rysach twarzy, okutany płaszczem, był wyraźnie zły na towarzysza, który uparł się ruszać w drogę ledwie zaświtało. Ten jechał z przodu w milczeniu, jednak coraz silniejszy wiatr i sypiący w oczy śnieg psuły nastrój także jemu. W dodatku jego wykwinna kurta, wykańczana kunimi futerkami, zupełnie nie sprawdzała się przy takiej aurze.

- I cóż, panie Patryku, sam już chyba nie jesteś rad, żeś postawił na swoim? - Miody człowiek nie mógł powstrzymać złośliwości. - Jak sobie pan odmrozi to i owo, wspomni moje słowa...

- Upraszam, drogi panie Edwardzie, zlituj się nad moim biednym sercem. - Patryk, hrabia Nayl, położył prawą dłoń na lewej piersi, ale jego oczy pozostawały zimne i obojętne.

- Zlitować się? A niby dlaczego? Wcale nie chciałem tutaj jechać. Strach nawet pomyśleć, co powie ojciec, kiedy dowie się o awanturze, w którą wplątał jego następcę pewien hrabia.

- A ja boję się pomyśleć, jaki los by spotkał pewnego następcę tronu, gdyby jego królewska mość zobaczył go w tej chwili, kiedy nie potrafi zapanować nad sobą. I tak już musiałem odpowiednio zadbać o twojego nazbyt gadatliwego kamerdynera, panie.

- Z panem, drogi Patryku, nie sposób się porozumieć... Przecież klasztor Świętego Marcina stoi o wiele bliżej stolicy, niż ta dziura Prigge. - Książę wypluł nazwę zapyziałej wioski z nieskrywaną odrazą.

- I nie trzeba by było przeprować się przez Lanmar...

- Przecież właśnie o to chodzi, że klasztor Świętego Marcina leży zbyt blisko stolicy. Na dobitkę, wcale nie jestem pewien, czy przeor dałby radę zdjąć urok. Za to bez wątpienia nie omieszkałby powiadomić o wszystkim twojego ojczulka, panie.

- I co z tego? Do tego czasu już dawno by wygnał ze mnie diabła.

- Mój drogi książę, bycie pierworodnym wcale nie gwarantuje objęcia tronu! Plotki o niedyspozycji z całą pewnością zamknęłyby do niego drogę. A jeśli dodać do nich samobójstwo małżonki, które raczej trudno wytłumaczyć samą gorączką poporodową...

- Nie mam z tym nic wspólnego!

- Trzeba było mniej uganiać się za pięknymi dworkami... — mruknął hrabia pod nosem, ale książę usłyszał.

- Wystarczy, Patryku! Wiesz doskonale, po co ojciec doprowadził do tego małżeństwa. Rzucił mnie panom z kontynentu, jak rzuca się kość sforze wygłodniałych psów! Tak, te przepelnione pychą bałwany z miejsca zapomniały o przegranej wojnie, a książę Reese poszedł na takie ustępstwa, o jakich nawet nie marzyliśmy! Ale gdybym wiedział wcześniej, że jego córka okaże się istną wiedźmą, nie podszedłbym do niej nawet na dziesięć kroków. Przecież sam widzisz, że to ścierwo także po śmierci potrafi mi napsuć krwi!

- Twoja lubieżność, mości książę...

- Co mi tu gadasz o lubieżności?! Wiedźma to zawsze wiedźma i nawet gdybym był wierny, nie odmieniłoby to jej natury!

- Bez wątpienia, jednakowoż zdrada jest grzechem, a każdy grzech otwiera diabłom drogę do duszy. Gdyby nie było grzechu, nie musielibyśmy jechać na koniec świata.

- Tylko nie zacznij mi tutaj wygłaszać kazań! Lepiej wyjaśnij wreszcie jak należy, dlaczego jedziemy do jakiegoś zakonnika, skoro moglibyśmy udać się zwyczajnie do misji zakonu Wypędzających w Nilmarze?

- Pogoda chyba źle wpływa na pańską zdolność rozumowania, drogi książę. Chcesz, aby o twoim problemie natychmiast wiedziano w Akrai? Chciałbyś się znaleźć na haczyku Stilgu?

- Ale tajemnica spowiedzi...

- Kiedy tajemnica spowiedzi przeszkadza państwowym sprawom, można o niej spokojnie zapomnieć. Poza tym, powszechnie wiadomo, komu naprawdę służą egzorcyci. Król wygnał ich z kraju przecież nie w przyływie złego humoru, jak potem o tym rozgłoszono.

- Wszędzie wietrzysz spiski!

- Z tego żyję - nachmurzył się hrabia. - Dlaczego jesteś, panie, tak źle usposobiony względem tamtejszego zakonnika? Nawet egzorcyci uznawali jego sprawność w wyganianiu demonów.

- Mierzi mnie sama myśl o korzystaniu z pomocy heretyka!

- Cóż, w takim razie pozostała tylko jedna droga...

- Dokąd? - zapytał ciekawie książę.

- Do Norveimu. To się dopiero bracia egzekutorzy zdziwią...

- Patryku, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę!

- Czeka mnie za to wygnanie?

- Nie, niech diabli cię porwą! - warknął Edward. Po chwili jednak powiedział cicho: — Wybacz. Po prostu nie mam ochoty na żadne sprawy z odstępą, nawet jeśli objawia światu cuda świętości. Jak mi mówiono, jego rozważania są pełne heretyckich treści.

- A odkąd to jesteś taki bogobożny, panie?

- Od chwili, kiedy w moją duszę wczepił się ten przeklęty demon! Ja teraz już nie żyję, tylko marnie

wegetuję...

- A zamierzasz dalej tylko wegetować, książę? — uściślił Patryk, który przywykł ostatnimi czasy do nagłych zmian nastroju jego wysokości i po prostu nie zwracał na nie uwagi. - Czy też może nie zamierzasz zostać Edwardem I?

- A skąd i od kiedy u ciebie takie zamiłowanie do retorycznych pytań? - Książę znów się nachmurzył.

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wjechali z lasu na przestronną polanę.

- Jesteśmy na miejscu. - Patryk wskazał ciemną bryłę piętrowego domu.

- Całkiem nieźle się mnich urządził. - Książę patrzył w zadumie na budynek i okolicę.

Z domu wybiegł służący, przejął od przybyłych konie i zaprowadził je do stajni.

- Chodźmy się przywitać. — Hrabia Nayl skinął głową w stronę ganku.

- Najpierw ty - odparł Edward. Puścił towarzysza przodem, rozchylił poły płaszcza, wydobył miecz, ale zaraz schował go do pochwy.

- Zatem powiadasz, że to ja wszędzie wietrzę spiski? - Patryk nie mógł sobie darować okazji do wygłoszenia złośliwości. Strzepnął śnieg z kurty i otworzył drzwi bez pukania.

Książę ruszył za nim. Zsunął kaptur i uważnie rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu. W kominie wbudowanym w ścianę naprzeciwko wejścia huczał ogień. Obok ułożono drewno w wysoki sąg, żeby gospodarz nie musiał wychodzić na dwór w razie niepogody. Przy czym mnicha, który wyszedł na spotkanie gościom, trudno by było podejrzewać, żeby mógł się wielce wzdragać przed wyjściem podczas śnieżycy.

- Wasza wysokość... - Mężczyzna w nieokreślonym wieku, ubrany w chlamidę skłonił głowę. — Wielki to dla mnie honor widzieć was tutaj.

- Doprawdy?

Edward rzucił mokry płaszcz na oparcie krzesła i podszedł do komina. Nie zastanawiało go, skąd pustelnik wie, kto go zaszczycił wizytą. O imię gospodarza też nie pytał. Nie obchodziło go to wszystko.

- Macie powody, aby nie dowierzać moim słowom? - Pustelnik uśmiechnął się łagodnie.

- A jakie mam powody, żeby ci wierzyć, mnichu?

- Wszak zaszczyciliście mnie swoim przybyciem...

- W samo sedno! — zaśmiał się Patryk i przysiadł w pobliżu ognia. - Mam nadzieję, że nie odmówicie zziębniętym podróżnym odrobiny brandy?

- Albo grzanego wina. - Edward spojrzął na gospodarza, którego czołobitność była bez najmniejszej wątpliwości mocno udawana. Kogo jak kogo, ale obłudników i kłamców książę napotkał już wielu.

- Nie mam w domu trunków — odpowiedział pustelnik uprzejmie, ale stanowczo. - Mam nadzieję, że ziołowa herbata rozgrzeje was nie gorzej, niż brandy.

Edward skrzywił się z obrzydzeniem, ale przyjął parujący kubek. Upił nieco i zmarszczył brwi. Spojrzął surowo na mnicha i wypalił bez ogródek:

- Możesz mi pomóc?

- To zależy, czego ode mnie oczekujecie, wasza wysokość. - Gospodarz uniknął jednoznacznej odpowiedzi.

- A ty sam tego nie wiesz?

- Wiem tylko, że ktoś rzucił na was urok. Widzę też diabła, który uczeplił się waszej duszy.

Codzienne modlitwy za zdrowie członków królewskiej rodziny na razie nie pozwalają mu zyskać odpowiedniej mocy...

- Ach, to tak? - Edward w rozdrażnieniu trzasnął kubkiem. — Zyskać odpowiedniej mocy? Tak to nazywasz?

- Nieważne, jak to nazywam, ważne, że mogę temu zaradzić. Przypuszczam, że chcecie uwolnić się

od uroku?

- Brawo! - Księżę zaklaskał. — Przyjacielu, jesteś prawdziwym myślicielem. Jak też zdołałeś to odgadnąć?
- Wasza wysokość, jesteście pewni, że chcecie właśnie tego? - kontynuował spokojnie pustelnik, nie zwracając uwagi na drwinę.
- A co niby innego możesz mi zaoferować? Może mam się odwrócić, wyjść i jechać do domu?
- Wcale nie! - Kamienny spokój na chwilę opuścił gospodarza, ale mnich zaraz wziął się w garść. - Urok można odwrócić. Można też przekazać go komuś innemu...
- Obrzydliwe jest to, co wygadujesz! - Edward wstał gwałtownie. - Nie! Wszystko, czego chcę, to pozbyć się tego na zawsze. Jeśli to nie przerasta twoich sił. Wymień tylko cenę.
- Nie wszystko na świecie można przeliczyć na pieniądze...
- Nie nadużywaj mojej cierpliwości!
- Proszę mnie wysłuchać, wasza wysokość.
- Rozmowa jest krótka. Albo możesz zdjąć urok, albo nie!
- Mogę.
- W takim razie rób swoje!
- Zanim cokolwiek uczynię, powinienem uprzedzić o możliwych konsekwencjach. - Poirytowany uporem gościa, mnich skrzyżował ręce na piersi.
- Wasza wysokość... — Hrabia Nayl wzdrygnął się nagle. — Wysłuchajcie go. W końcu przebyliśmy tę nieprzyjemną, długą drogę nie na darmo, ale żeby otrzymać pomoc.
- Nie jestem pewien! — W oczach księcia błysnęła wściekłość, jednak zdrowy rozsądek zaraz wziął nad nią górę. -Dobrze, powiedz, co musisz.
- Najpierw proszę o wyjaśnienie, co właściwie się z wami stało. Muszę to wiedzieć jak najszczegółowiej.
- Najszczegółowiej? — prychnął Edward. - Jedna wiedźma poszczuła na mnie diabły i to cała historia!
- Jeśli nie chcecie o tym mówić, to obawiam się, że nie zdołam pomóc...
- A niech cię! - Księżę machnął ręką. - Moja małżonka była niedługo przed rozwiązaniem, kiedy ktoś napłótl jej o mnie strasznych łgarstw. Poród zaczął się przed czasem, a po przyjściu na świat dziecka ta kobieta całkiem oszalała. Nie chciała nawet spojrzeć na syna, mamrotała coś dziwnego o ciemności, przekleństwie i odpłacie. Kilka dni później znaleziono ją uduszoną własną etolą, a nocą po pogrzebie... W noc po pogrzebie demon próbował zawładnąć moją duszą!
- Ludzie często korzystają z groźnych sił, nie do końca rozumiejąc ich naturę. - Mnich kiwnął głową.
- Nie do końca rozumiejąc? - Księżę wlepił w niego wzrok. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ona sprowadziła mi na łeb diabła!
- Diabły są tylko częstkami Otchłani, mieszkają w wielkiej pustce. Nie mają nic wspólnego z prawdziwą Ciemnością.
- Co?! Jesteś przy zdrowych zmysłach?! - Edward podskoczył jak oparzony. — Częstkami Otchłani?! Tylko całonocne czuwanie przy królewskiej rodzinie nie pozwoliło tej bestii porwać mnie żywcem do piekła!
- To wszystko nie jest takie proste, wasza wysokość. Demony to tylko zgęstki mocy. Nie zwyczajna ohyda, ale wytwory pustki. Same w sobie nie są ani złe, ani dobre. Inna sprawa, że mogą wnikać jedynie w dusze skażone grzechem, ale też takie dusze zostają rozbite. A ponieważ grzech jest z natury ciemny...
- Daruj mi te swoje heretyckie brednie! - rozkazał księżę. - Inaczej niezwłocznie wyślę cię na stos!
- Nie trzeba od razu grozić. Staram się po prostu pomóc. Wygnanie diabła to wyjście ostateczne. Bo z moją pomocą możecie nad nim zapanować i korzystać z jego siły...
- Milcz! O tym nie może być mowy! Wyzwól mnie od uroku, jeśli możesz, a ja wtedy przymknę oczy

na to, co wygadujesz w mojej obecności!

- Uratuję was, ale kto pomoże innym opętany, których dusze pozostają zbrukane tylko dlatego, że nie ma się komu o nich zatroszczyć i skierować na dobrą drogę? - Pustelnik nagle podniósł głos. — Poznaliście mieszkańców Otchłani tylko za sprawą uroku, ale są także tacy, którzy od urodzenia zostali napiętnowani darem stykania się z innym światem.

- Czy opętanie może być darem? - mruknął hrabia Nayl.

- Opętanymi niech się zajmują egzorcyci! - uciał książe.

- Egzorcyci kaleczą dusze, wyrzucając z nich to, czego sami nie pojmują! — Mnich nagle stracił całe swoje opanowanie. -Więcej szkód mogą przynieść tylko egzekutorzy, ale tymi przede wszystkim kieruje chciwość i żądza władzy.

- I co mam zrobić? Ufundować przytułek dla opętanych?

Edward chwycił ze stołu kubek z herbatą i opróżnił go trzema łykami. Poczł nagle, jakby ktoś uderzał od środka w jego czaszkę, starając się wydostać. Książe wydobył z niewielkiej kieszeni różaniec i zaczął przesuwac w palcach paciorki, starając się uspokoić walące w piersi serce.

- Nie, wasza wysokość. — Pustelnik pokręcił głową. -Trzeba zbadać naturę Otchłani. Kiedy ją poznamy, zdołamy zmienić świat! Komu potrzebni są martwi ludzie, nazywani świętymi? Trzeba zbudować nowe świątynie...

- Dość już! - Książe z trudem opanował przeszywające go dreszcze, ścisnął w dłoni aż do bólu graniaste paciorki różańca. — Patryku, czy on oszalał, czy tylko mi się wydaje?

- Wasza wysokość... — Pustelnik podszedł do Edwarda. — Nie wyobrażacie sobie nawet, jakie korzyści mogłoby wam to przynieść. Diabły to nie tylko przekleństwo, ale i broń. Poznając ich naturę i wykorzystując je, łatwo pokonacie wszystkich wrogów.

- Gdybym na to przystał, na początek musiałbym wybić połowę własnych poddanych - odparł książe z jadowitą kpina w głosie. - Bo przeciwko mnie zbuntują się wszyscy: plebs, panowie, Kościół. Lens i Dragarn też nie pozostaną bezczynne. Już dawno ostrzą sobie zęby na nasze kontynentalne prowincje, a wojna z heretykami to zawsze świetny powód, żeby zawrzeć sojusz.

- Ale...

- Żadnego „ale”! - Przerwał natychmiast Edward. — Wymień swoją cenę i nie mąc mi więcej w głowie!

- Żeby wyzwolić was od uroku, muszę wziąć go na siebie. - Pustelnik nagle się uspokoił. Jego zielone oczy pociemniały, a potem w ogóle zmieniły barwę: jedno rozjarzył żółty płomień, drugie stało się szare, jak przyprószone pyłem szkiełko. - Jeśli jednak przyjmiecie moją propozycję...

- Jeśli jeszcze raz wspomnisz o tej herezji, dopilnuję, abyś skończył na stosie! - obiecał książe, a potem ze złością cisnął w hrabiego rękawiczką. - Gdzieżeś mnie przywłókł?

- A jaki miałem wybór? — Patryk wzruszył ramionami i wstał. - Powiedz swoją cenę, szanowny mnichu, albo niezwłocznie odjeżdżamy.

Pustelnik przez dłuższą chwilę mierzył się z hrabią wzrokiem, potem opuścił oczy i powiedział coś, co zupełnie zaskoczyło i poraziło księcia:

- Chcę zostać wychowawcą waszego syna.

- Co?! Miałbym oddać pierworodnego heretykowi?! -Z wściekłości Edwardowi odebrało mowę. Opanował się po chwili, cisnął na stół wypchaną sakiewkę i poklepał znacząco rękojęść miecza. - Wybieraj, złoto czy stal?

- Wasza wysokość! - Patryk chwycił następcę tronu za rękę. - Tak nie wolno!

- Nie wolno? - wysyczał książe towarzyszowi prosto w twarz. - A on może tak ze mnie szydzić?!

- Nie można dokonywać samosądu! Gdyby się ktoś dowiedział...

- Nie potrzebuję złota. - Pustelnik dolał oliwy do ognia.

- No cóż... — Edward zostawił w spokoju miecz. - Zatem sam wybrałeś swój los. Możesz mi

wierzyć, że zadbam o to, aby przed zachodem słońca twoje prochy rozwiały się na wietrze.

- Nie przypuszczam, żeby to było w waszej mocy. - Na heretyku groźby w ogóle nie zrobiły wrażenia. — Ostatnimi czasy we włościach księcia Reese wasze słowo niewiele znaczy. Na pewno nie spodziewał się, że jego córka zostanie uduszona.

- Ty gadzino! — warknął książę i nagle zawołał: — Książę Reese! Oczywiście, że też od razu się nie domyśliłem!

- Chłopiec otrzyma najlepsze wykształcenie, możecie być tego pewni.

- Heretyk nie będzie uczył mojego syna!

Edward chwycił płaszcz i ruszył do wyjścia, ale przed drzwiami dogonił go Patryk.

- Wasza wysokość, opamiętaj się — szepnął na ucho księciu. - Z tego wiedźmiego nasienia i tak będzie niewiele pożytku!

- On nie jest tylko jej synem, moja krew również płynie w jego żyłach! - osadził hrabiego Edward. - Nie zapominaj o tym!

- Ale też połowa tej krwi to skażona urokiem posoka rodu Reese - upierał się hrabia Nayl. - Zanim odjedziemy, rozważ, czy chcesz własnymi rękami włożyć koronę na skronie któremuś ze swoich braci?

- Do diabła z koroną!

- Drogi Edwardzie! Proszę zapanować nad sobą! W końcu mało to rzeczy może się wydarzyć, zanim chłopiec dorośnie? Nikt nie jest wieczny...

- A to i racja - opamiętał się książę. Oddał Patrykowi płaszcz, wrócił do komnaty i zabrał ze stołu zapomnianą sakiewkę. — Czyń swoje, pustelniku!

- Mam wasze słowo?

- Masz!

- Niech tak będzie! - Mnich z powagą skinął głową, po czym wyciągnął rękę ku głowie Edwarda. Dotknął jej.

Edward aż wzdrygnął się z obrzydzenia, chciał odsunąć, ale nie zdążył. W oczach zabłyśły mu iskry, ciało opanowała śmiertelna słabość i książę musiał oprzeć się o stół, żeby nie upaść.

Mgnienie oka później pustelnik ostro - zupełnie jak żniwiarz machający sierpem — cofnął rękę, a hrabia Nayl ze zdumieniem zobaczył, że między mocno zaciśniętymi palcami mnicha wije się wydobyty z księcia cień — o wiele ciemniejszy, niż powinien być przy takim oświetleniu.

Heretykowi z wysiłku wystąpił pot na czole, całego go skreśliło, zupełnie jakby jakaś potężna istota próbowała przystosować ludzkie ciało do swojej miary. Jednak pustelnik okazał się silniejszy. Kiedy wyprostował poszarzałe palce, po wyrwanej z księcia ciemności nie został ślad.

- To wszystko? - Edward potrząsnął głową, wsłuchując się w swoje odczucia. Zrozumiał, że dręcząca go przez ostatnie dni zaraza nie będzie już wysysać z niego sił. Uśmiechnął się szeroko. - Co za ulga...

- Tak, wasza wysokość. Zgodnie z umową, wyrwałem demona z waszej duszy i wtłoczyłem go do swojej.

Pustelnik wytarł spoconą twarz i zaczął równomiernie oddychać, próbując opanować gorączkowe bicie serca.

- To znakomicie...

Książę wziął od hrabiego płaszcz i nie żegnając się, opuścił czym prędzej to dziwne miejsce. Znów czuł, że żyje, jest zdrowy i pełen sił. Wprawiało go to w nieopisany wręcz zachwyty.

- Za siedem lat. - Plecy Edwarda ukłął głos pustelnika. - Kiedy wasz syn skończy siedem lat, czekam tutaj na niego.

- Co? - Książę odwrócił się z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Myślami był już daleko. Potem przypomniał sobie o umowie i machnął ręką. — Ach, tak... Oczywiście...

- Jeszcze jedno, wasza wysokość! Zamknąłem diabła w sobie, ale jeśli coś mi się stanie, demon bez

zwłoki wróci do waszej duszy.

Edward trzasnął ze złością drzwiami, wyszedł w milczeniu na ganek i rozprostował ramiona. Nabrał głęboko mroźnego powietrza i natychmiast opanował ogarniający go gniew. Chociaż w malcu płynęła skażona krew Reese, heretyk nigdy nie zostanie jego wychowawcą. Nawet gdyby księżę musiał w tym celu kogoś zabić.

Nigdy!

CZEŚĆ PIERWSZA

ROK 971 PO WIELKIM SOBORZE

ROZDZIAŁ I

EGZORCYSTA. LUDZIE I DIABŁY

Miesiąc Świętego Augusta Budowniczego

I

Karoca pocztowa przybyła na główny plac Ronevu, kiedy zegar miejski — jedna z dwóch wyjątkowych rzeczy tego grodu - wybił dwunastą. Czynił to jakby niechętnie: powoli, z długimi przerwami między tonami miedzianego gongu niosącymi się nad dachami. Mechanizm zegara już dawno należałoby gruntownie przejrzeć albo przynajmniej posmarować, ale magistrat jakoś nie mógł się do tego zabrać. W ogóle magistrat do wielu rzeczy nie potrafił się zabrać, tacy to już byli ludzie. Zupełnie jak to bicie zegara — niespieszni, przywykli robić tylko to, czego odłożyć do jutra żadnym sposobem już nie można. Niczego innego od nich nie oczekiwano. Niepostrzeżenie wyrosły swego czasu z marnego osiedla w koronne miasto, Ronev egzystował teraz już tylko dzięki drugiemu wyjątkowemu obiektowi — królewskiemu więzieniu.

Teraz trudno było w to uwierzyć, ale niegdyś w więzieniu brakowało wolnych cel. Osadzeni łupali w kamieniołomach marmur i malachit, wydobywali miedź i srebro w miejscowych kopalniach, a rozrastające się wokół więzienia miasteczko rozkwitało. Ale złoża wyczerpały się i jakoś po cichu z dobrobytu pozostało tylko wspomnienie. Koniunktura odeszła, ale lochy i królewski garnizon zostały. Mieszkańcy zacisnęli pasa i przywykli. Tak właśnie żyli - bez zbytków, za to pewni następnego dnia. Wiadomo przecież, że przestępców nigdy nie zabraknie.

Pilnujący placu strażnicy byli prawdziwymi dziećmi swojego miasta. Spasieni darmowym piwem wujaszkwowie w wymiętych płaszczach oparli halabardy o płot budynku poczty królewskiej i nudzili się potwornie, czekając na koniec zmiany. Warta na głównym placu była jak kara — cały dzień musieli sterczeć na oczach bezpośrednich przełożonych oraz ważnych person magistratu. Dla nawykłych do o wiele swobodniejszego trybu życia stróżów prawa stanowiło to po prostu torturę.

Podniesione kołnierze płaszczy i naciśnięte głęboko na uszy kapelusze osłaniały w pewnym stopniu przed porywistym wiatrem, ale kiedy mętne słońce przykrywały szare, kłębiaste chmury, robiło się bardzo nieprzyjemnie. Dlatego, kiedy nadjechała karetka pocztowa i wysiadł z niej egzorcysta, dowódca warty aż oniemiał na taką niesprawiedliwość.

Wysoki, podobny do stracha na wróble, w skórzanym płaszczu do ziemi i kapeluszu z szerokim rondem - egzorcysta samym swoim wyglądem wywoływał atak zgagi u strażników, przyglądających mu się z ponurymi minami. Nie dość, że z niego samego pożytku tyle, co z kozła mleka, to jeszcze do karety razem z kimś takim żaden dobry poddany króla Alberta Drugiego — oby Święci przedłużyli jego lata - za skarby nie wsiądzie, jeśli jest przy zdrowych zmysłach. Chyba, żeby bardzo, ale to bardzo potrzebował.

Zatem karetka była pusta, a to znaczyło, że nie da się złu-pić z podróży chociaż paru miedziaków. Nici z dzisiejszego haraczu...

Doskonale wiedząc, jakie uczucia budzę w strażnikach, uniosłem dłoń i pstryknąłem palcami. Rękawiczki z grubej skóry stłumiły odgłos, więc zabrzmiał tylko nieco głośniejszy od brzęku naszytych na krawędziach kapelusza i szwach płaszcza srebrnych dzwoneczków, ale dowódca warty natychmiast znalazł się przy mnie.

- Czym mogę służyć, panie egzorcysto? - Przezornie patrzył na czubki swoich butów.

- Gdzie znajdę najbliższą karczmę? - spytałem, wyjmując z karety ciężką podróżną torbę.

Przez zakrywającą dół twarzy skórzaną półmaskę mój głos zabrzmiał tak głucho, że strażnik się wzdrygnął.

Strasznie ludzie tutaj byli przestraszeni. W Stilgu przed prawem wszyscy są równi. Także bracia egzorcyści z zakonu Wypędzających. Wprawdzie tylko formalnie, ale i to było niemało.

- Prosto tą ulicą, panie egzorcysto. - Dziesiętnik wskazał gdzieś za karete. - Jak przejdziecie rynek, od razu znajdziecie karczmę „Pod Pieczonym Kogutem”. Łatwo trafić.

- Trzymaj.

Pstryknięciem kciuka posłałem w powietrze srebrną monetę, nie mając najmniejszych wątpliwości, co do jej dalszego losu. Ale nie - strażnik nie zdążył w porę i pieniążek zadźwięczał na bruku. Co za ludzie tutaj żyją? Nie przypuszczałem, żeby w garnizonie było wiele lepiej. Wrogowie ich zjedzą. Zrobi to albo Stilg, albo północny sąsiad Norveim. Zresztą w ogóle mogą kraj ten podzielić między siebie małe królestwa, wielkie księstwa i wolne baronostwa.

- Dziękuję, panie...

Nie słuchając go, zarzuciłem na lewe ramię pas torby i ruszyłem we wskazanym kierunku. Podkute buty o wąskich nosach - wcale nie tak bardzo niewygodne, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka - stukały na bruku, brzęczały liczne srebrne dzwoneczki.

Stuk-stuk... Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń... Stuk-stuk... Dzyń--dzyń...

Nic dziwnego, że wszyscy napotkani ludzie zawczasu przechodzili na drugą stronę, pośpiesznie skręcali w zaułki i odwracali wzrok, nie chcąc choćby przelotnie na mnie spojrzeć. Przecież nie wolno spotkać się wzrokiem z egzorcystą! Za nic! Skoro tacy mogą zaczarować opętanego, po prostu spojrzawszy mu w oczy, to aż strach nawet pomyśleć, co by się mogło stać ze zwyczajnym człowiekiem. Wszak od samego dźwięku tych dzwoneczków mleko kiśnie...

Niebawem kamienny bruk pod moimi stopami zastąpiły przegniłe deski chodnika i stukot ucichł. Jednak mieszkańców Ronevu nie tak łatwo było zwieść i nadal umykali przede mną w większym popłochu niż przed poborcą podatkowym. Zupełnie jak dzieci...

Z tym że na obiegającej rynek uliczce nie było za bardzo gdzie się schować, więc ludzie odskakiwali w różne strony, za wszelką cenę unikając dotyku mojego płaszcza. W gwarze i chaosie targowego miejsca dźwięk dzwoneczków stał się prawie niesłyszalny, ale kiedy tylko dotarło do mnie drobne jego zakłócenie, bez patrzenia uderzyłem łokciem w tył. Potem obróciłem się na pięcie i wyprowadziłem cios kantem dłoni.

Drugie uderzenie wyszło niezupełnie tak, jak chciałem. Próbujący odciąć dzwonek złodziejaszek zgiął się, trzymając za złamany nos i nie oberwał dłonią w szyję, ale w czoło - srebrnym okuciem mankietu. Wystarczyło. Całkiem jeszcze młodziutki chłopaczek rozłożył ręce i runął na wznak w błoto ulicy, ale nikt z przechodzących nawet nie zwolnił kroku. Jedyne stojący w bramie sąsiedniego domu krzepki młodzian wsunął rękę pod sfatygowaną krótką kurtkę, lecz pochwyciwszy moje spojrzenie, zamarł. Mądre dzieciątko.

Nic więcej ciekawego mnie nie spotkało w drodze do „Pieczonego Koguta”. Ale też co mogłoby się ciekawego wydarzyć w tym wszawym Ronevie? Co za dziura! Chociaż, właściwie cała Marna była jedną wielką dziurą. Miałem tylko nadzieję, że w karczmie przynajmniej pluskiew nie będzie. Bo na przyzwoite wino liczyć z pewnością nie powinienem. Ale to może i lepiej.

Malec pilnujący prychających przy koniowiązie wierzchowców na mój widok rzucił się do domu,

więc właściciel przybytku zdążył wyjść z kuchni i powitał mnie w sali jadalnej.

- Panie egzorcysto... - Czy to przygarbiony z nawyku, czy też naprawdę lekko garbaty mężczyzna wytarł szybko ręce w brudny fartuch i zbierał się już oznajmić, że jego skromne progi niegodne są, aby wkraczała w nie tak ważna persona, „bo przecież dosłownie ulicę dalej...”, lecz zamilkł, zbity z tropu dźwiękiem srebrnych dzwoneczków.

Ding-digidong-ding-digidong...

- Miednicę gorącej wody i obiad do pokoju - zarządziłem, nie pozwalając mu się opamiętać. To dzwonienie bardzo często peszyło nawet takich zwykłych ludzi, tym bardziej powinno oddziaływać na opętanych. - Wyjeżdżam jutro.

- A... - Gospodarz od razu postanowił wyjaśnić sprawę płatności.

- Czy też może mam zejść na posiłek tutaj? - Rozejrzałem się po przestronnej izbie.

- Ależ każe zanieść! - pisał z miejsca karczmarsz, licząc błyskawicznie, jakie straty by poniósł. Można go było zrozumieć. Mało tego, że bywalcy uciekną, to jeszcze sprawa się rozniesie po całym mieście. Nikt przecież nie uwierzy, że egzorcysta tylko na nocleg tutaj zjechał. - Zaprowadź pana do narożnego pokoju, migiem!

- Na piętrze? - Chłopaczek siąknął nosem, otrzymawszy kuksańca.

- Na pierwszym zajęte, prowadź na drugie - zasyczał gospodarz i zaraz popatrzył na mnie z uśmiechem. - Na kiedy życzy pan sobie obiad?

- Po prostu przynieś, jak będzie. Wina... Wina nie chcę. - Poprawiłem wrzynający się w ramię pas torby i poszedłem za chłopcem.

Pokój był całkiem przyzwoity - dwa okna, szerokie łóżko. W kącie stół i kaganek. Na ścianie obok półki z dzbanem i misą do mycia wisiała wyszlifowana żelazna płyta, zastępująca lustro. Wprawdzie w kominku nie napalono, ale też w nocy nie powinno być zimno.

Młodziutka służąca, bardzo ładna dziewczyna (choć pobała w tej chwili ze strachu), przyniosła pościel, uporządziła łóżko i prawie biegiem wypadła z pokoju. Głupia.

Zaraz po niej przyszedł malec i postawił na podłodze pod półką z dzbanem ceber z gorącą wodą. Poczekaliśmy na gospodarza z obiadem i zamknąłem drzwi, na wszelki wypadek podsuwając jeszcze pod nie dopasowany wcześniej drewniany klin. Powiesiłem na krześle przykurzone po podróży płaszcz i kapelusz, rzuciłem na wierzch półmaskę i rękawice. Buty poleciały w przeciwny kąt, pas z parą noży zasłużył na lepsze potraktowanie, ale już skórzane spodnie, kaftan i ciepła koszula... Nie, tak nie można, trzeba zachować porządek. Przecież nigdy nie wiadomo, czy nie trzeba będzie zbierać się w pośpiechu.

Starannie złożyłem ubranie, namydliłem podbródek, wyjąłem z torby brzytwę i zacząłem skrobać kłującą, rudą szczecinę. Odbicie w żelaznej płycie było mocno wykrzywione, ale lepiej już tak, niż golić policzki i szyję na oślep.

Doprowadzenie się do jakiegoś ludzkiego wyglądu nie zajęło mi wiele czasu. Opryskałem twarz chłodną wodą, po czym zdjąłem pokrywkę ze stojącego na tacy półmiska. Co tam mamy...? Faszerowany szczupak, a do tego gotowane jajka, dwie kromki białego chleba i zielenina. I jeszcze dzbanek zimnego piwa. Całkiem nieźle. A nawet więcej niż nieźle.

Po obiedzie wyjąłem z torby trzy oprawione w skórę foliały i przestawiłem jedno z krzeseł bliżej okna. Dopóki nie zapadł zmrok, mogłem zająć się doksztalcaniem. A potem spać. Czekał mnie pracowity dzień.

Tylko od czego zacząć? „Duchy, diabły, widziadła i sposoby ich wypędzania”, „O naturze opętania”, czy też

„Rytuały wypędzania młodszych demonów”? Ta ostatnia księga ze smakowitą pełną kopią dysputy stronników dogmatu o młodszych diabłach i zwolenników teorii „ohydy”...

Dobrze, zacznę od „O naturze opętania”, a potem zobaczymy. Byłoby miło, oczywiście, włożyć jakieś zwyczajne ubranie, zejść na dół i zabawić się jak należy. A potem wrócić tutaj chociażby z tą strachliwą

pokojówką, dzbanem dobrego wina i...

O nie! Żadnych „i”! Dzisiaj musiałem zadowolić się piwem i książkami. Może to nienajlepsze towarzystwo dla młodego i zdrowego człowieka, ale mogłoby się przytrafić i gorsze. A już najmarniej by było, gdybym jutro nie był w stanie oderwać głowy od poduszki.

A zatem książki, książki i jeszcze raz książki.

I do łóżka.

* * *

Obudzili mnie o świcie. Opłacony miedziakiem chłopiec nie zawiódł i zapukał jeszcze przed pianiem kogutów. Ziewając szeroko i kuląc się od chłodu, ubrałem się szybko, przypiąłem do pasa pochwę ze srebrnym sierpem i nałożyłem półmaskę. Byłem gotów.

A nie! O czymś zapomniałem. Namacałem na dnie torby parę długich, lekko wygiętych sztyletów, schowałem je pod płaszczem. Nie powinno być ich widać, ale nawet jeśli ktoś by zauważył, nic się nie stanie. Miałem prawo je nosić.

Rankiem Ronev okazał się jeszcze bardziej niewyględnym gródkiem niż wczorajszego popołudnia. Nie wiem, jak to możliwe, ale te same budynki i ulice wywierały jeszcze bardziej odrażające wrażenie. Brud, szarość i padający na wszystko cień beznadziei.

A może problem tkwił we mnie?

Poprawiłem pas torby i zamyśliłem się nad tym przez chwilę, ale od razu uznałem, że nie powinienem sobie zawracać głowy bzdurami. Trzeba skupić się na zadaniu. Nie przyjechałem tutaj na zwiedzanie i rozrywki.

I dopiero pod koniec przechadzki po dosłownie wymarłym mieście dotarło do mnie, co właściwie tak działało mi na nerwy. Cisza. Przedrana cisza okryła Ronev puchową pierzyną i nawet brzęk srebrnych dzwoneczków nie mógł rozerwać jej martwego uścisku. Ale kiedy rozpoczęła się krzątanina, załomotały okiennice, zadudnił młot w kuźni, a psy zaczęły szczekać na przechodniów, od razu zrobiło się lepiej. Jakbym wychynął ze złego snu i wrócił do zwyczajnego świata. Jaka niezwykła cisza, jakie koszmary? To tylko dziura, zwyczajna dziura i nic więcej.

Strażnik pilnujący furty przy wrotach więzienia okutał się w płaszcz i oparł o ścianę w niedużej, osłoniętej przed deszczem wartowni. Przy czym ta nonszalancja była tylko pozorna, bo pełniąca służbę w drewnianej budce warta obserwowała i należycie pilnowała wystawionego za zewnątrz kompana.

- Stój, kto idzie?! - zawołał młody chłopak, chwytając kuszę.

Przez szum deszczu nie usłyszał brzęku moich dzwoneczków, dlatego nieźle się przestraszył, kiedy zobaczył wynurzającą się z wodnej zasłony sylwetkę w długim płaszczu. - Ani kroku, mówię!

- Nie osłepłeś czasem? - spytałem, nie zamierzając się zatrzymywać. Ulewa, która dopadła mnie po drodze, źle wpłynęła na mój nastrój. - Gdzie dowódca warty?

- Proszę przejść, panie egzorcysto - zgrzytnął zębami żołnierz. A kiedy myślał, że już nie usłyszę, westchnął ciężko. - Jeszcze jeden! Przywlokła ich ciężka...

Zatrzymałem się i odwróciłem, ale strażnik już wrócił do poprzedniej pozycji i z uporem sprawiał wrażenie, jakby połknął język. Nie pozostawało mi nic innego, jak otworzyć drzwi i wejść do wartowni.

- Wy ze sprawą, panie egzorcysto? - spytał dowódca warty, brzuchaty mężczyzna około czterdziestki, siedzący przy piecyku, w którym wesoło trzaskały polana. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, ale nie zdecydował się popatrzeć mi prosto w twarz.

- Tak. - Położyłem torbę na podłodze i wyjąłem z niej kopię pisma komendanta więzienia do stołecznej misji zakonu Wypędzających. - Ze sprawą.

- Znaczący, idzie o opętanego, niech go zaraza! - Dowódca zwrócił mi dokument, ledwie nań zerknąwszy. - Jest pan spóźniony, panie egzorcysto. Brat egzekutor z zakonu Płomienistej Dłoni dotarł już godzinę temu...

- Na pewno? - Pochyliłem się ku niemu.

- A czy można ich z kimś pomylić? - Strażnik rozłożył ręce. Na jego gębie malowało się zadowolenie. - Też miał pismo, jak trzeba.

- Proszę mnie zaprowadzić do komendanta - zażądałem.

Rzecz wyglądała gorzej, niż źle. Ten zakon znacznie urósł w siłę w Norveimie i sąsiednich królestwach, a z opętanymi nie zwykł się ceregielić. Jeśli ktoś miał szczęście, konał na stosie, a jeśli nie miał... Szkoda gadać.

- Nie mogę. - Dowódca warty wzruszył ramionami. - Wychodzi na to, panie egzorcysto, że sprawa już was nie dotyczy, a pan komendant okrutnie nie lubi, jeśli mu zakłócać spokój bez ważnego powodu.

- Bezzwłocznie! - warknąłem groźnie.

- W tej chwili! - Skoczył na równe nogi. Nie wiem dokładnie, co zobaczył w moich oczach, ale wyraźnie pobladł. Wyglądało na to, że prawidłowo odczytał mój wzrok i moje zamiary. - Jar, zaprowadź pana egzorcystę.

Dziedziniec, krata, długi ciemny korytarz, odkryte przejście, schody na piętro, wartownia, znów korytarz.

Drogę do komendanta zapamiętałem słabo, bo w głowie huczała tylko jedna myśl: spóźniłem się!

Ani swąd pochodni, ani smród dochodzący z lochów nie były w stanie nawet na moment przytłumić złego przeczucia. Czy to już koniec? Nic się nie da zrobić?

Prowadzący mnie strażnik pchnął drzwi do kancelarii komendanta, przekazał mnie zaspanemu pisarzowi i czym prędzej zniknął. W dość ciemnym pomieszczeniu oprócz sekretarza i dwóch wartowników nikogo więcej nie było. Ledwie powstrzymałem ciężkie westchnienie.

- Jak was zapisać, panie egzorcysto? — ziewnął pisarz, zasłaniając twarz pomarszczoną ze starości dłonią.

- Właśnie tak. - Ruszyłem ku drzwiom do gabinetu komendanta. - Brat egzekutor tam jest?

- Tak, obejrzał opętanego i właśnie przed chwilą wrócił. - Stary kiwnął głową i nagle się opamiętał: - Ale mnie potrzebne jest wasze imię!

- Czyż marny zbitek dźwięków może dać wyraz unikalności ludzkiej duszy? - rzuciłem, nie odwracając się i spojrzałem na strażnika, który zastąpił mi drogę. - Ty czego?

- Nie wolno z bronią. - Wysoki, niezgrabny weteran z wąsem wskazał sierp. Pozornie senne oczy uważnie zlustrowały mój płaszcz i gdyby liczba dzwonek oraz kształt chociaż jednego odbiegały od reguły, przysłoby mi siedzieć w kancelarii do skończenia świata.

- To przedmiot obrzędowy - odparłem i położyłem torbę na podłodze.

- Pozwolicie, panie?

- Proszę bardzo. - Podałem mu sierp.

- Można przejść - uznał, kiedy obejrzał już srebrne ostrze pokryte czarnymi symbolami i dodał, jakby na usprawiedliwienie: - Obowiązek to obowiązek...

- Nieważne. - Machnąłem ręką i otworzyłem wreszcie drzwi. - Nie wchodząc w zbędne rozważania, od razu mogę powiedzieć, że pański więzień... - Szczupły mężczyzna z eleganckimi wąsikami, siedzący z nogą założoną na nogę zamilkł, a potem oddał mi salut kryształowym kielichem. — Wasz więzień mnie nie zainteresował, ale przypuszczam, że brat egzorcysta zechce poświęcić mu odrobinę swego drogiego czasu.

- Zechcę. - Wpatrzyłem się w egzekutora. Co za biesy przyniosły go w te strony? Nie w porę, bardzo nie w porę.

- To znakomicie! - Elegant dopił wino i odstawił kielich na stół.

W przeciwieństwie do mnie, zdążył zmienić robocze odzienie - krótką skórzaną kurtkę ze srebrnymi nitami, maskę całkowicie zasłaniającą twarz oraz długi fartuch - na brązową kamizelę i spodnie do konnej jazdy. Został jednak w ubłoconych butach, a i wytarta pochwa szabli także służyła właścicielowi nie pierwszy rok. Czyżby szlachcic?

Niewykluczone. Delikatne rysy, szczupłe palce, długie, nieco falowane włosy. Poruszał się lekko, niczym tancerz albo fehmistrz. Taki swojego nie daruje, więc dlaczego przerzucił pracę na mnie? Czyżby coś podejrzewał? - Dziękuję za gościnę, ale pozwolicie, panowie, że się pożegnám.

- Na śniadanie nie zostaniecie, panie? - spytał z lekkim rozczarowaniem opasły komendant, który również wstał. Na mnie nie zwracał najmniejszej uwagi. Ale to tłumaczył herbowy pierścień na palcu. Nudził się tutaj, nieborak. Oto człowiek z jego kasty zajrzał, co się niezmiernie rzadko zdarza, a już chciał odjeżdżać.

- Sprawy, sprawy... - Egzekutor skłonił się kapeluszem z długim niebieskim piórem, ale przystanął jeszcze w proggu.

- Mam nadzieję, że ktoś zanieśie moje rzeczy do karety?

- Ależ oczywiście! - Komendant klasnął w dłonie. — Edmundzie, słyszałeś?

- Tak, panie komendancie - odkrzyknął z korytarza weteran.

- Potem zaprowadzisz pana egzorcystę do celi jego wysokości. - Komendant sięgnął po karafkę z winem i postanowił mnie natychmiast zbyć. - Jeśli czegoś potrzeba, proszę się zwracać do starszego nadzorcy.

- Oczywiście - odparłem, wciąż jeszcze nie wierząc, że tak mi się powiodło i zawróciłem do wyjścia. - Oczywiście...

Cela opętanego znajdowała się w więziennej piwnicy. Nie, nazwa „piwnica” tutaj nie pasowała. Podziemie? Też jakoś nie bardzo...

Możliwe, że gdybym miał nieco więcej wolnego czasu, dałbym radę znaleźć określenie dla tej dziury, umiejscowionej w najdalszym końcu dolnego poziomu lochów. Jednak, prawdę mówiąc, teraz moim jedynym życzeniem było wyrwać się stąd jak najszybciej całym i zdrowym. Dopóki istniała jeszcze taka możliwość. Ciemność ledwie rozpraszały kopcące pochodnie, zimno przenikało nawet przez płaszcz, z sufitu kapała nieustannie woda, panował nieznośny odór, a wszystko to razem sprawiało wrażenie, że znalazłem się w trzewiach lodowatego smoka. Albo w jeszcze gorszym miejscu...

I żeby tu tylko opętanych trzymali, ale nie - były także karcery i kazamaty dla skazanych na śmierć. Oczywiście mieszkańcy jednych i drugich apartamentów nie zatrzymywali się tutaj zbyt długo, ale nawet parę dni w podobnych warunkach mało kto byłby w stanie wytrzymać, nie przyplacając tego zmęczeniem umysłu. Przy czym lochy dla umysłowo chorych tradycyjnie również nie odznaczały się szczególnymi wygodami.

Odpowiadający za tę część więzienia nadzorca otworzył drzwi do celi opętanego. Zrobił to nie okazując lęku i nic dziwnego, bo wejście zabezpieczała w środku dodatkowo solidna krata. Prawie nie zardzewiała, co stanowiło tutaj absolutny wyjątek. A na dodatek zawiasy zostały nasmarowane!

- Od dawna jest w takim stanie? - Skrzywiłem się na widok więźnia.

- Na drugi dzień, jak go tu przywieźli, dostał ataku. Pojutrze będzie pięć dni - wyjaśnił trzymający pochodnię Edmund. - Najpierw uznali, że rozum mu się pomieszał, a główny medyk orzekł, że to obsesja. Myśleli, że przeor klasztoru pomoże, ale nie podjął się diabła wypędzać.

- Pytam, czy od dawna jest tak skrepowany i przywiązany do stołka — uściśliłem.

Ręce i nogi bardzo wychudzonego mężczyzny około czterdziestki zostały przywiązane pasami do solidnego dębowego krzesła, przymocowanego na stałe do podłogi żelaznymi sworzniami. Po zmierzwionej brodzie więźnia ciekła ślina, rozszerzona źrenica zajmowała niemal całe prawe oko. Lewe było zamknięte, sączyły się z niego łzy. Na pierwszy rzut oka opętany nie różnił się niczym od byle włóczęgi, ale przecież pozory mogą mylić, prawda?

- Ach, to! - Strażnik potrząsnął głową. - Związaliśmy go przed wizytą egzekutora. Na rozkaz komendanta.

- Jakąś godzinę temu - uzupełnił starszy nadzorca. — Wszystko zostało zanotowane.

- Otwórzcie - westchnąłem ciężko. - Egzekutor coś w ogóle robił?

- Chodził, patrzył, paluch mu wsadził w oko. - Nadzorca zaczął grzebać kluczem w zamku kraty. - Coś jeszcze palił, dopiero co smród wywietrzał...

- Niech przyniosą palenisko. - Przepuściłem przodem Edmunda i wszedłem do celi. Obszedłem dookoła krzesło z opętanym, który w ogóle nie zwrócił uwagi na naszą wizytę, za to zaczął kiwać głową na boki, sprawiając wrażenie nieobecnego. - Co mówił egzekutor?

- Coś tam mamrotał pod nosem. - Nadzorca zawołał pomocnika i odwiesił kółko z kluczami na pusty hak do mocowania pochodni. — Ale nic zrozumiałego. Widać słowa były dla mnie za mądre.

- Byliście przy jego rozmowie z komendantem, panie — przypomniał mi Edmund.

- Byłem - zgodziłem się.

Nic z tego nie rozumiałem. Zakon Płomienistej Dłoni unicestwiał opętanych na całej północy, a tutaj nagle taka wstrzeźliwość. Po plecach przebiegły mi mrówki. - A za co ten trafił do lochu?

- Spisek przeciwko jego wysokości Albertowi Drugiemu uknuł - oświecił mnie Edmund. - Wszyscy poszli na szafot, ale w panu markizie płynie zbyt szlachetna krew, aby ją tak łatwo przelewać. Został skazany na dożywocie.

- Rozumiem.

Usiadłem przy dostarczonym przez dwóch strażników palenisku, wyjąłem z torby kilka przewiązanych tasiemką pęczków ziół i rzuciłem je na węgle. Po celi rozszedł się zapach piołunu, tłumiąc smród, a opętany z miejsca rozkaszał się i razem z krwią wypluł kilka zdań w nieznanym języku.

- Ja ten tego... Zawołajcie mnie, jakby co! - Starszy nadzorca wyskoczył na zewnątrz.

- Niech przyniosą pochodnie! — krzyknąłem za nim.

Położyłem na palenisko parę kawałków zaschniętej sosnowej żywicy, pół garści utłuczonych liści dziurawca, pokrzywy i ostu. Tego najwyraźniej było jeszcze za mało, więc podetknąłem pod nos markiza odkorkowaną buteleczkę z czarnego szkła.

Opętany zaczął dygotać, jego źrenice zmniejszyły się do rozmiarów łebka szpilki, a białka zaszły krwią. Krzesło zatrzeszczało, na rękach nabrzmiały żyły, rzemienie wpiły się głęboko w ciało. Zdawało się, że jeszcze trochę, a więzień rozerwie pęta, więc zaniepokojony Edmund kilka razy machnął na próbę krótką pałką.

- Stój! - powstrzymałem go i założyłem markizowi naszyjnik z oprawionymi w srebro szmaragdami, bursztynem, turkusem i nieco dziwnie w tym zestawieniu wyglądającym serpentynem. Więzień natychmiast się uspokoił, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody. Oklapł, z kącika ust znów pociekła mu strużka śliny.

- Proszę o wybaczenie, jeśli przeszkadzam, panie egzorcysto. - Dowódca straży poszedł ku drzwiom, kiedy przybyli strażnicy umocowali na ścianach pochodnie i w celi od razu pojaśniało. - Ale dlaczego ludzie stają się tacy? Jak diabły wyszukują ofiary? I czy tylko o diabły tu idzie?

- Jak by to powiedzieć... - Wysypałem pokaźną ilość szarego proszku na podłogę i wilgotne kamienie natychmiast wyschły. Potem wyjąłem szeroki pędzel z wiewiórczego puchu i zacząłem zmiatać na boki tworzący się bury nalot. — Są dwie ogólnie przyjęte teorie i nawet na Wielkim Soborze nie zdołano ich powiązać w jedną.

- A jakie to są... teorie? - spytał Edmund.

- Założyciele mojego zakonu byli pewni, że diabły rwą się do naszego świata. A w pokiereszowane przez grzeszne myśli i zamiary dusze łatwiej im przeniknąć, ale to tylko tyle. A egzekutorzy, niech ich zaraza, stawiają najwyżej moralną czystość. Jakby grzeszne myśli i czyny przyciągały do człowieka ohydę.

- I dlatego nie warto wyganiać diabłów, jeśli już raz usadowią się w człowieku? Opętani to nie ofiary, tylko współnicy? - uzupełnił Edmund. - Najpewniej spalić na stosie?

- Właśnie. - Kiwnąłem głową i wyjąłem z torby kawałek wapienia. Wytarłem rękawem wezbrany od zimna i wilgoci nos, a potem zacząłem wpisywać krzesło z markizem w pentakl. Kiedy wykonałem

pentagram i sprawdziłem, czy linie nigdzie nie są przerwane, obwiodłem symbol kręgiem.

Wyprostowałem się. - No a my, chociaż nie uważamy, że opętani mogą stanowić wzór pobożności, jesteśmy pewni jednego: jeżeli ktoś otrzyma drugą szansę, nie będzie to nic złego. Przeciwnie, taki człowiek umocni się tylko w wierze.

- W waszych słowach brakuje coś przekonania, panie. - Edmund pokręcił głową.

- Czyżby? A czym się, wedle was, zajmuję? Unikam może roboty?

- Nie, po prostu brat egzekutor był o wiele bardziej pewien swojej racji — zmieszał się dowódca straży.

- Fanatyk - mruknąłem i wróciłem do rysowania na kamieniach złożonego splotu rytualnych symboli.

Weteran przepuścił moją uwagę mimo uszu.

- On mówił, jakoby wygnana z opętanego bestia nie zniknęła, ale szukała nowej ofiary. A po śmierci takiego zostaje uwięziona w martwym ciele.

- Bardzo ciekawa teoria - zgodziłem się, przypominając sobie odpowiedni rozdział grubej księgi „O naturze opętania”. - Lecz my uważamy, że wygnany demon zostawia część siebie w naszym świecie i wraca do piekła osłabiony. A jeśli rzecz kończy się śmiercią ofiary, diabeł zabiera ze sobą duszę człowieka i to go czyni mocniejszym. Właśnie dlatego opętani mają skłonność do samobójstw.

- Dlaczego nie spotkacie się na filozoficznej dyspucie? - Edmund skrzywił się pod wpływem woni spalanych ziół. Uważnie obserwował, jak rozstawiam świece na szczytach pentagramu.

- I my, i oni zbyt jesteśmy zajęci swoimi sprawami, żeby urządzać przedstawienia dla pospólstwa i znudzonych szlacheckich nierobów. - Celowo odpowiedziałem ostrzej, niż było trzeba.

Kim ty jesteś, panie strażniku? I skąd znasz takie mądre słowa? Dasz się złapać na prowokację, czy zdołasz zamilczeć?

Edmund zmilczał.

Zapaliłem pięć świeczek, ostrożnie zdjąłem z szyi opętanego kamienie i zacząłem wyklaskiwać dość prosty rytm. Markiz zaczął wykrzykiwać niezrozumiałe słowa, ale po szóstym kłaśnięciu zamilkł i zagryzł wargi do krwi. I bardzo dobrze, bo od przechodzących w wycie krzyków mogły spuchnąć uszy.

Okadziłem go dymem z ziół, otworzyłem skórzany futerał i delikatnie, ciągnąc za cienki łańcuszek, wydobyłem dwa oprawione w srebro lusterka. Szalencie wpatrzył się jak zaczarowany w rozkołysany przed jego nosem amulet. Patrzył strasznie, martwo, poruszały się tylko same oczy, jego twarz przypominała teraz porcelanową maskę.

W teorii wszystko było proste - hipnoza pogrąża człowieka w transie, a ta nieskomplikowana w istocie rzeczy sztuczka pozbawia diabły możliwości ukrywania się w głębinach podświadomości. Ale to teoria, zawarta w „O naturze opętania”, rozdział „Zwierciadła oraz optyczne iluzje”.

W praktyce sprawy miały się nieco inaczej. Albowiem proces wypędzania diabła jest bardzo nieprzyjemny i bolesny. Wyrwanie zębów i amputacje członków to przy tym dziecinne igraszki! Tutaj cały człowiek staje się polem bitwy pomiędzy demonem a egzorcystą i bardzo często sama hipnoza jest zbyt słabym środkiem, żeby uchronić umysł ofiary przed zniszczeniem.

Nie czekając aż markiz ostatecznie straci więź z rzeczywistością, rozwarłem specjalnym nożem jego zęby i wlałem do ust wcześniej sporządzoną miksturę. Zwyczajna rzecz -nawet doświadczeni egzorcyci wolą się zabezpieczyć, a co dopiero ja. Myślę, że Edmund od razu zrozumiał, że ma do czynienia z nowicjuszem, dlatego zadawał te wszystkie pytania. Trzeba by tylko wyjaśnić jeszcze jedną sprawę...

Oddychając ciężko, rzuciłem w palenisko nową porcję ziół i obnażyłem srebrny sierp. Do końca rytuału wygnania zostało jeszcze sporo pracy, ale właśnie nadchodził najważniejszy moment. Pochodnie świeciły dostatecznie jasno i powinienem spróbować odciąć od markiza jego cień, żeby pozbawić diabła ostatniej możliwości ucieczki. „Rytuały wypędzania młodszych demonów”, rozdział „Cienie jako drzwi prowadzące do innego świata”.

Machnięcie srebrzystym półksiężycem, ku mojemu niemałemu zdumieniu, w rzeczy samej sprawiło, że cienie zadrgały. Poczułem też dziwny opór, w celi zrobiło się jak gdyby jaśniej, ale w gardle markiza nagle coś zabulgotało. Przełknął spazmatycznie, zachrypiał, a głowa opadła mu na pierś. Zakląłem głośno, zdjąłem rękawicę, odchyliłem długie włosy opętanego, przyłożyłem palce do szyi, ale nie mogłem wyczuć najmniejszego śladu pulsu.

- Lekarza, szybko! - odwróciłem się do Edmunda. - I zawołaj starszego nadzorcę! Natychmiast! Dowódca straży wyskoczył na korytarz, warknął na strażników i zaraz wrócił.

— Co z nim? — Przyglądał się nieco oszołomiony nieprzytomnemu więźniowi.

- Nie żyje. - Wzruszyłem ramionami i zacząłem gasić świece.

- To dla mnie jasne. - Mężczyzna stanął przed pentaklem, nie mając odwagi postąpić dalej. - Ale dlaczego?

- Czasem tak się zdarza. - Wreszcie pojąłem przyczynę niepewnego zachowania Edmunda, podszedłem i starłem część nakreślonych na podłodze symboli, a potem zacząłem zbierać rzeczy. - Teraz już można.

- Dzięki. - Skoczył ku markizowi, żeby upewnić się ostatecznie o prawdziwości mojej diagnozy. - Ale dlaczego? - powtórzył pytanie.

- Być może diabeł zdążył całkowicie pożreć jego duszę, a może po prostu okazał się nieco za silny. — Słyszając tupot na korytarzu, pośpieszenie zamknąłem torbę. — Egzorcystyka jako nauka jest jeszcze w powijakach. Nie ukrywamy, że na razie wciąż wiemy zbyt mało.

- Umarł?! - zawył starszy nadzorca, kiedy wpadł do celi. - Ze też na mojej służbie!

- Tak się czasem zdarza - powtórzyłem jak mogłem najspokojniej. — Czyżby wcześniej opętani nie umierali?

- Wcześniej zawsze konali. - Starszy nadzorca łyknął wina z małego bukłaka. - Publicznie na stosie, a nie w mojej ciemnicy!

- O ile sobie przypominam, opętanymi zawsze zajmował się komandor miejscowej delegatury zakonu Płomienistej Dłoni, Jan Werg. Ten sam egzekutor, który był dzisiaj u komendanta - wyjaśnił Edmund. - Od niego nikt nie oczekiwał innego działania. Królewskim rewizorom wystarczało tylko pokwitowanie...

- Mam nadzieję, że moje też będzie dość dobre - mruknąłem.

- A ciało? Ile to zachodu! - westchnął z goryczą nadzorca i nagle ożywił się. - Słuchaj, Edmundzie, a może wywleczymy go na dwór i spalimy? Nikt nie będzie wiedział, czy na stosie jest żywy, czy martwy!

- Nie ma mowy - uciał dowódca straży. - Przygotuj dokumenty o umieszczeniu trupa na więziennym cmentarzu.

- Nie zostanie wydany rodzinie? - upewniłem się, pamiętając o obowiązującej w więzieniach procedurze.

- Nie. - Edmund potrząsnął głową. - W królewskim rozporządzeniu jasno zapisano, że markiz ma zostać tutaj na zawsze. Śmierć nie stanowi podstawy do zmiany tego wyroku. Zostanie pochowany na więziennym cmentarzu.

- Zwykłych ludzi wydajemy rodzinom. - Podpity starszy nadzorca znów przyssał się do bukłaka i mrugnął do mnie. - Za stosowną opłatą, rzecz jasna. A różnych hołszy zwyczajnie do pieca. Lecz dla markiza usypimy oddzielną mogiłkę.

- Wystarczy tego wina. - Edmund wyrwał pijakowi naczynie. — Starzec poczuje i zdrowo oberwiesz!

- Starzec? — zdziwiłem się.

- Główny medyk - burknął dowódca straży.

- Jasne. — Otrzeptałem przybrudzone na kolanach spodnie. - Ależ dzisiaj dzień, prawda? Ciekawe,

dłaczego egzekutor nie podjął się roboty? Narobił wam tylko kłopotów.

- Tak, to dziwne - odparł Edmund. - Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego.

- Tak-tak-tak. A cóż to dzisiaj mamy...? - Do celi wkroczył niewysoki, chudziutki staruszek w futrzanej czapce i ciepłym płaszczu. Bezceremonialnie rozepchnął strażników, którzy nie zdążyli w porę się odsunąć. Pociągnawszy nosem, w jednej chwili odwrócił się do schowanego w kącie starszego nadzorcy. - Piłeś?

- Za spokój duszy jego wysokości - odparł tamten hardo. - Zgodnie z etykietą...

- No, no, wiedz, że cię obserwuję. — Lekarz pogroził mu palcem, a potem spojrział na trupa i z miejsca zapomniał o całym świecie. Parę chwil krążył wokół siedzącego na krześle nieboszczyka, odchyłał mu powieki, wkładał palce do ust, wreszcie zwrócił się do nas: — Dawaliście jakieś mikstury?

- Tak - uprzedził mnie Edmund. - Pan egzorcysta wypędzał diabła i...

- To jasne. Osłabiony organizm markiza po prostu tego nie wytrzymał - podsumował starzec. - Zatem pozostaje nam tylko upewnić się ostatecznie, że naprawdę nie żyje.

- Upewnić się? - Nie wierzyłem własnym uszom.

- To oczywiste! Pochować jego wysokość żywcem byłoby ze wszech miar nieuprzejme. - Medyk uśmiechnął się. Spojrział na palenisko i bez zastanowienia wetknął w węgle nóż o wąskim ostrzu. - Ilu to już spryciarzy udawało martwych! Ale mamy tutaj swoje metody...

- Cóż to za barbarzyństwo?! - parsknąłem, wyjąłem z torby długą szpilę i przebiłem nią wciąż jeszcze miękką dłoń zmarłego. Krew się nie pojawiła, markiz, co oczywiste, nawet nie drgnął. - Jakich jeszcze potrzeba dowodów?

- Robi wrażenie. - Lekarz wyjął z paleniska nóż. Ostrze lśniło malinowo. - Ale my spróbujemy po staremu... - Przyklęknął na jedno kolano, chwycił bosą stopę trupa i wsunął nóż między palce. Zasycało, rozeszła się woń palonego mięsa. - To wszystko. Teraz sporządzimy odpowiedni dokument i prześlemy ciało na cmentarz.

- Papiery będziemy wypełniać? - Wstrząsnąłem się. - Mam nadzieję, że to nie zajmie wiele czasu. Muszę zdążyć na wieczorny powóz pocztowy do Sarinu.

- Obawiam się, panie egzorcysto, że nic z tego nie będzie. - Stary wytarł palce o połę płaszcza.

- A to niby czemu? - zmarszczyłem brwi.

- Nie mamy pewności, że rytuał wygnania został doprowadzony do końca — oznajmił medyk, jakby to było zrozumiałe samo przez się. Najwyraźniej nie miał zaufania do zakonu Wypędzających. - W takim przypadku egzorcysta powinien pierwszą noc spędzić razem z trupem, żeby uniemożliwić diabłu zawładnięcie pozbawionym duszy ciałem.

- Rytuał został przeprowadzony jak trzeba - sprzeciwiłem się.

- Mam pewne wątpliwości w tej kwestii — odparł twardo starzec. - Zamierzam o tym zawiadomić zarówno komendanta, jak i skarbnika. Jeśli chcecie dostać zapłatę, trzeba będzie obserwować nieboszczyka następnej nocy. Chociaż tak naprawdę, nie ma wam za co płacić, panie egzorcysto.

- Noc na więziennym cmentarzu? - westchnąłem z rezygnacją. Niech to diabli! Nie miałem ochoty tracić całego dnia. Szczególnie po ostatnich wydarzeniach.

- Noc. Na cmentarzu - rzekł medyk. - I proszę się nie spodziewać honorarium większego, niż zostało ustalone.

- Niech to szlag! — mruknąłem pod nosem tak, żeby nikt nie słyszał. A głośniej powiedziałem: — Mam jednakowoż lepszy koncept.

- Spalić trupa? - ucieszył się starszy nadzorca, ale od razu zamilkł, kiedy Edmund trącił go w bok.

- Proszę. - Wyjąłem z torby dwa sfatygowane medaliki wielkości paznokcia kciuka oraz woreczek srebrnych gwoździ z główkami w kształcie krzyża. - Medaliki położycie na oczy, gwoździe wbijecie w trumnę. A pochować markiza trzeba przed zachodem słońca, nie zwlekać. Tak! I ciała nie należy już dotykać. Nigdy nic wiadomo...

- To wystarczy? - Starzec zważył w dłoni woreczek z gwoździami i spojrzał na mnie uważnie.
- W zupełności - potwierdziłem i zarzuciłem torbę na ramię. - Tylko nie zapomnijcie wystawić kwitu, żeście otrzymali srebro.
- Bez obawy. - Medyk schował woreczek do kieszeni. - Edmundzie, odprowadź pana egzorcystę do kancelarii, zaczynajcie spisywać dokument. Hej, nieroby, pomóżcie mi!
- Nie zwlekajcie z pogrzebem - napomniałem lekarza jeszcze raz i skierowałem się do wyjścia. — Nie zwlekajcie!

II

To stara prawda, że im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Podobnie jak powiedzenia, żeby nie wtykać nosa w cudze sprawy i palca między drzwi. Wielu ludzi uniknęłoby nieprzyjemności, gdyby przestrzegali tych zasad. Lecz człowiek ma taką naturę, że zapach cudzych tajemnic kusi go nie mniej, niż brzęk złotych monet. Nigdy nie wiadomo, kto rozpuścił plotki - obrastające całą masą szczegółów bajeczki, w których próżno by szukać ziarna prawdy. Tak czy inaczej, jednego można być pewnym - zawsze znajdzie się entuzjasta przekopywania cudzej pościeli.

Lecz niektórzy poszli dalej, czyniąc tajemnicę swoim rzemiosłem i orężem. Pełno takich na ulicach i na królewskim dworze. Wiedzą, kto z kim sypia, kto gdzie się obłowił i komu zapłacił. Wiedzą o stawkach, ścieżkach, szkieletach w szafie, schowkach, skarbach. O intrygach, spiskach, sekretach i najbardziej nieprawdopodobnych aspektach prywatnego życia zwykłych ludzi.

Strażnicy, szpicle, donosiciele i podglądacze starają się ze wszystkich sił, ale nawet nie podejrzewają, że gdzieś obok nich pływają ryby o wiele, wiele większych rozmiarów. Niekiedy wprawdzie wyczuwają rozchodzące się od tych monstrów fale, lecz inni nie mają pojęcia, skąd ten nacisk, dlaczego upadają bankierskie domy i przedwcześnie umierają wpływowi wielmoże. Skrywający się w ciemności gracze wcale nie są żądni sławy, nie interesują ich wielkie tytuły, ordery i powszechny zachwyty. Oni po prostu robią swoje. A jeśli o nich mało kto słyszy i wie, to znaczy, że działają jak należy.

* * *

Wędrownego kaznodzieję, który zupełnym przypadkiem trafił do Ronevu dzień wcześniej, spotkałem niedaleko rynku. Wszystkie niezbędne dokumenty zostały już wypisane i potwierdzone, złoto wypłacone, bez komplikacji opuściłem kwaterę, a gospodarz wydawał się bardzo rad, że ma mnie już z głowy. Zatem przekąsiłem coś szybko i poszedłem do oddziału królewskiej poczty, skąd za parę godzin powinien wyruszyć powóz do Sarinu. Czasu miałem aż nadto, więc postanowiłem pochodzić po mieście. Cóż z tego, że Ronev był prowincjonalną dziurą? Wszystko lepsze niż chłeptanie podłego piwka albo rozwodnionej wina w obskurnej karczmie.

Gdyby komuś podczas tej przechadzki chciało się obserwować mnie z daleka, zyskałby pewność, że pan egzorcysta próbuje zwyczajnie zabić czas. Częściowo to była prawda, ale tylko częściowo...

- Czas życia człowieka niedługi jest, dlatego ludzie zabawiają się zmysłowymi radościami, zapominając o nieśmiertelności duszy. A przecież tylko wypełnienie przykazań może zapewnić godną egzystencję po śmierci — nauczał z podwyższenia, ustawionego pośrodku placu, brodaty, rozczochrany kaznodzieja. - Pradawne Światło obdarza dusze ludzkie nieśmiertelnością, lecz Ciemność i jej sługi użyją każdego sposobu, aby skusić niewinnych, napełnić ohydą i porwać na wieczne męki w Pustce. Dla diabłów nieznośne jest najmniejsze nawet lśnienie Pradawnego Światła, a im więcej zgaszą ludzkich dusz, tym silniejsza staje się Ciemność. Opamiętajcie się! Odrzućcie grzeszne pokusy i chwalcie Świętych, albowiem to ich wstawiennictwo powstrzymuje głodne bestie, zamknięte w bezmiarze! Święci powiodą nas na ostatnią bitwę, w której Pradawne Światło ostatecznie i nieodwracalnie zdoła przemóc Odwieczną Ciemność!

Słuchaczy zgromadziło się całkiem sporo, ze trzydziestu. Leniwie wymieniali między sobą uwagi, miesili nogami błoto. Objawienia starca w większości puszczały mimo uszu - po prostu dla takiego grajdoła, jak to miasteczko, przyjazd wędrownego kaznodziei z grupką zwolenników stanowił całkiem

uczciwą rozrywkę.

- Co za bzdura! - westchnąłem, a stojący na skraju placu mężczyzna w przemokniętym wołokowym kapeluszu, trzewikach ze sfatygowanymi drewnianymi podeszwami i połatanym szarym płaszczu kiwnął głową, zgadzając się z moją opinią.

- Nazbyt dowolnie traktuje objawienia wielebnego Modesta z Orage. - Mężczyzna uznał, że spotkał godnego rozmówcę i ruszył wraz ze mną. — Te objawienia same z siebie nie mają kanonicznego charakteru, a w takiej interpretacji w ogóle nie można ich brać pod uwagę. Nieraz zwracałem na to uwagę czcigodnego Augusta, jednak on nie zamierza słuchać głosu rozsądku.

- O! Jest pan znajomym kaznodziei? — spytałem i rozejrzałem się na boki.

- Nie inaczej. - Mężczyzna spojrzął jeszcze na pozostały z tyłu tłumek i skrzywił się. - A ciebie jaki bies tu przygnał?

- Włóczę się po mieście, odjeżdżam dopiero wieczorem. - Wzruszyłem ramionami, nie zwracając uwagi na ton rozmówcy. - Zobaczyłem kaznodzieję, więc podszedłem. Mnie, widzi pan, zawsze ciekawiły kwestie teologiczne.

- Aha, zatem kiedy na bazarze kradłeś sakiewki i po bramach łamałeś ludziom ręce czy nogi, tylko o teologii myślałeś - burknął mężczyzna, któremu z racji pełnionych obowiązków znana była historia mojego życia.

Malkolm Parre, hrabia Ronski, baron Lear i tak dalej, był ważną figurą w tajnej służbie Stilgu. Tyle że własna żona by go nie poznała w tym żalonym przebraniu. W dodatku oficjalnie w tej chwili pan hrabia przewodził handlowemu poselstwu jadącemu do Pacharty.

- Co z markizem?

- Z markizem wszystko jak najlepiej - uśmiechnąłem się. - Trzeba go wykopać dzisiejszej nocy, bo jutro już odzyska przytomność.

- Co tam się stało? - Hrabia wlepił we mnie wzrok.

Zorganizowanie ucieczki zbuntowanego markiza nie przysporzyłoby kłopotów nawet bez mojej maskarady. W tym przegniłym królestwie można kupić każdego. I na tym polegał główny problem, bo z taką samą łatwością każdego można też sprzedać. A jeszcze plotki... W tej sprawie plotki były absolutnie niepożądane. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o uratowaniu arystokraty, jego wartość w misternej grze spadłaby z miejsca poniżej zera. Dlatego trzeba było urządzić to przedstawienie ze mną w roli przyjezdnego egzorcysty.

- Informator, który utrzymywał łączność z markizem

i który wprowadzi naszych na cmentarz jest pewnym człowiekiem? - Zwolniłem kroku, dobierając uważnie słowa.

Wykradzenie markiza martwego okazało się o wiele prostsze, niż żywego. Straż więzienna nieźle zarabiała, sprzedając przeznaczone do spalenia ciała krewnym po o wiele rozsądniejszych cenach, niż by to zrobili ich przełożeni. A i swój człowiek w gronie kancelaryjnych szcurków również był pożyteczny. Jednak miałem co do niego pewne wątpliwości...

- Trzymam go za jaja. — Malkolm wzruszył ramionami. — I ściskam mocno. Wszystko jasne?

- W takim razie zapytajcie tego kastrata, dlaczego nie uprzedził zawczasu, że komendant zwykł pracować zawsze z jednym i tym samym egzekutorem, niejakim Janem Wergiem? Ten człowiek dzisiaj zdążył obejrzeć sobie markiza przede mną!

- Przekłety tchórz! - warknął hrabia, ale niespodziewanie złagodniał. - A jednak znalazł sposób, żeby zrobić ze mnie durnia, czarci syn! Jak to wyszło?

- Oczywiście, egzekutor z miejsca się zorientował, że markiz odgrywa komedię...

- Ale skoro przybył też egzorcysta, niczego nie powiedział komendantowi - domyślił się hrabia. Wszystko jasne: Płomieniści nie pozostawali w najlepszych stosunkach z Wypędzającymi. To zresztą mało powiedziane. - Chciał, abyś także się pomęczył, demaskując symulanta?

- A zamiast tego markiz zmarł, więc kiedy egzekutor się o tym dowie...

- To z pewnością zaczniesz coś podejrzewać i oglądać problem z każdej strony — wpadł mi w słowo hrabia. - Będziesz musiał się nim zająć.

- Dowiedźcie się, dokąd pojechał, dopóki jeszcze nie jest za późno.

Poprawiłem pas torby na ramieniu. Tak czy inaczej, przyjdzie mi teraz udać się do Sarinu, żeby zwrócić ubranie i rzeczy łasemu na złoto bratu egzorcyście. Żeby nie narobił głupot, obserwowali go dwaj moi współpracownicy, ale nie powinienem zwlekać z powrotem, bo egzorcysta przyjechał w swoich sprawach do miasteczka graniczącego ze Stilgiem.

-Wyjechał do Sarinu — odparł Parre ku mojemu zdziwieniu. — Egzekutor z dwoma sługami wyruszył godzinę przed południem. Jeśli się uda, przejmiesz go w mieście, jeśli nie, wiesz doskonale, do kogo uderzyć. Pomogą ci podjąć trop.

-Jeśli wiedział pan o przyjeździe egzekutora, hrabio...

- Nie wiedziałem - uciął Malkolm. - Po prostu nasz człowiek miał służbę na bramie, kiedy tamten opuszczał miasto. Nie zgub go, Sebastianie. Jeśli nie wypełnimy tej misji, znajdziemy się w takiej czarnej rzyci, o jakiej ci się nie śniło.

- Co się stało? - spytałem z niepokojem, wyczuwając w słowach hrabiego jakieś niedopowiedzenie. I jego ton najzupełniej nie przypadł mi do gustu. Skazani na powieszenie bardziej pogodnie żegnają się z krewnymi.

- Nie słyszałeś, czy co? - Parre podjął marsz. - Przed koronacją Edwarda Drugiego w Lensie aresztowano wszystkich naszych ludzi. Wszystkich, co do jednego!

- Zdrada?

- O wszystkich naszych agentach nie wiedziałem nawet ja. - Malkolm uśmiechnął się niewesoło. - Nie, w Lensie dzieje się coś bardzo dziwnego.

- Powiadają, że śmierć Edwarda I budzi pewne wątpliwości.

- Wielu tak mówi - odrzekł hrabia. - Pozostaje nadzieja, że zaraz popadną w konflikt z Norveimem.

- Dobrze by było...

- Dobrze, ale to wszystko nie należy do sprawy. Najważniejsze, żebyś nie zgubił egzekutora. Tylko o to w tej chwili proszę.

- Postaram się - mruknąłem i bez pożegnania ruszyłem w stronę poczty.

Wielka polityka mało mi zaprzętała głowę. O wiele silniej niepokoiła kwestia, czego mógłby szukać w Sarinie egzekutor. A przecież także egzorcysta tam właśnie pojechał.

Nie czekałem na pocztowy powóz. Pochodziłem jeszcze przez chwilę po placu, a potem udałem się do południowej bramy, żeby nająć ekwipaż i już po paru godzinach stanąłem w niewielkiej rybackiej wiosce na brzegu Jeziora Szczupaków. Nie miałem tam do załatwienia żadnych spraw, więc strasząc swoją postacią dziatwę, która natychmiast rozbiegła się po chatach, skierowałem kroki wprost na przystań. Chętnych do podróżowania łodzią natychmiast ubyło, a ci, którzy zostali, nie wyglądali na uszczęśliwionych moim towarzystwem. A została jakaś kobiecina z okazałego wzrostu córeczką, ponury handlarz z dwoma konwojentami albo może krewniakami oraz chłopiec nerwowo skubiący torbę z emblematem cechu lekarzy. Zapewne był to czeladnik wracający do domu na czas przerwy w nauce.

Mnie samemu podróż woda też nie bardzo się uśmiechała, ale nie widziałem innego sposobu, aby dogonić egzekutora albo chociaż trochę nadrobić czas stracony w więzieniu. W pocztowym wozie stanąłbym w Sarinie jutro w południe. Albo i później, nawet wieczorem. Po drodze jest zbyt wiele wiosek i siół. A i kurier nigdzie się nie śpieszy, nie za to mu płacą. Staje więc na noc, kiedy tylko zaczyna zapadać zmrok. Łódź to inna sprawa. Jezioro Szczupaków nie było szerokie, ale za to długie. Żeby je objechać, trzeba by zmarnować pół dnia. A na drugi brzeg, przy pomyślnym wietrze, wodą zejdziesz z godzina. Egzekutor z pewnością nie gnał koni, więc do Sarinu moglibyśmy przybyć nawet w tym samym czasie. Ale to już jak się ułoży.

O, właśnie pojawiła się łódź. Miałem nadzieję, że załoga nie zechce nocować po tej stronie ze względu na złą pogodę. Nie, nie powinna. Chmury niezbyt gęste, deszcz ustał, w powietrzu wisiała tylko mżawka. No i było przecież trochę pasażerów.

Niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy tylko podróżni zeszli na pomost, załoga zaczęła przygotowania do powrotu, spoglądając z obawą w niebo. Wiatr wprawdzie przybierał na sile, chmury zwały szeregi, ale właściciel balii, objijającej się burtą o deski przystani, nie zamierzał rezygnować z zarobku.

Po chwili odbiliśmy od brzegu.

* *

- Schodzić! Schodzić, ale żywo! - wrzasnął starszy marynarz, kiedy tylko nudzący się na brzegu chłopaczek przywiązał rzuconą mu linę.

Rozklekotany trap chybotął się pod nogami, uderzające w burtę fale kołysały łodzią i pasażerowie dość opieszale opuszczali pokład. Na wrzaski marynarza nikt nie zwracał większej uwagi. Krzyczy? A niech sobie krzyczy. Taką ma człowiek pracę.

Zakląłem, poprawiłem kapelusz, który o mały włos poszybowałby z wiatrem i spojrzałem w niebo. Ciemniało już.

Pogoda przyniosła niemiłą niespodziankę, kiedy łódź znajdowała się na samym środku jeziora. Wiatr zmienił kierunek na przeciwny, więc przeprawa zajęła o wiele więcej czasu, niż zazwyczaj. Nie mogłem zatem liczyć na to, że dotrę do Sarinu jeszcze dzisiejszego dnia. Mogłem, rzecz jasna, spróbować znaleźć podwózkę, ale tylko patrzeć, jak zacznie się burza. Nie, w taką pogodę, na dodatek pod wieczór, nikt przy zdrowych zmysłach nie wyruszy w drogę. Miałem tylko nadzieję, że egzekutora pogoda również powstrzyma.

Bywałem już w tej wiosce, ale w bardziej zwyczajnym przebraniu. Zarzuciłem na ramię torbę podróżną i poszedłem w stronę widocznego za szopami spadzistego dachu. „Pod Pijanym Kiełbkiem” nie było miejscem, w którym jeśli się ktoś raz zatrzyma, chciałby tam wracać kiedykolwiek, ale nie miałem wielkiego wyboru. Próby wproszenia się do jakiejś gorącej wdówki w moim stroju mogłyby mieć bardzo nieprzyjemne następstwa.

Z wynajęciem pokoju nie miałem problemów. Karczmarz nieznacznie — a przynajmniej tak mu się wydawało - złożył palce w geście chroniącym od uroku, ale to wszystko. Ryba była przypalona, a wino kwaśne. Na obsługujące mnie dziewczyny nawet nie spojrzałem. Nie przypuszczałem, żeby wyładniały od ostatniego razu. A poza tym, nie było mi wcale do takich rzeczy. Musiałem odpocząć. Jak się dowiedziałem za pomocą dwóch kuksańców i miedziaka od doglądającego podwórza karczny chłopaka, każdego dnia przed świtem do miasta wyjeżdżały wozy ze świeżym połowem. I coś mi podpowiadało, że handlarze rybami nie odmówią egzorcyście małej przysługi podwiezienia do Sarinu. Tylko musiałem wstać jeszcze przed świtem. Tak, stanowczo powinienem się położyć.

- Panie egzorcysto! Panie egzorcysto!

Stukanie do drzwi wyrwało mnie z płytkiej drzemki. Ledwie zdążyłem odłożyć gruby tom „O naturze opętania”, i zgasić świecę. Ciekawie napisane, niech ich diabli! A mnie, oprócz doniesień i przechwytywanej korespondencji w ostatnim czasie nic interesującego nie udawało się przeczytać.

- Czego tam? - Wydobyłem z pochwy leżący pod ręką sztylet.

- Panie egzorcysto, nieszczęście! - Młody chłopak przestał walić w drzwi i zaczął lament: - W córkę gościa diabły wstąpiły! Pomocy!

- Wynocha! - ryknąłem i rąbnąłem pierwsze, co przyszło mi do głowy: - Wyślijcie gońca do miasta!

- Ale jest całkiem źle! - Chłopak ani myślał odpuścić. - Nocy może nie przetrzymać, a jej ojciec zapłaci jak należy. Dziesięć w złocie!

- Stilgarskich koron?

- Nie, szelągów!

- Nie jestem zainteresowany! Wyońs się, powiedziałem!

Dlaczego fałszerze jakoś nie próbują podrabiać marnijskich szelągów? Ano dlatego, że w fałszywkach bywa więcej złota, niż w oryginałach. Żarty żartami, ale poza granicami Marny za próby płacenia ich monetą można zdrowo oberwać po głowie.

- Panie egzorcysto! - Znów rozległo się za drzwiami. - Nie gubcie niewinnej duszy!

- Niewinnej? — odparłem kwaśno. — Aż trudno uwierzyć!

- Mnie nie gubcie! Gospodarz żywcem mnie ze skóry obedrze, jeśli wrócę bez was...

- Z rym że mnie całość twojej skórki niewiele obchodzi. - Znów ległem na łóżku i skrzywiłem się.

Jeśli ten cymbał będzie sterczał pod drzwiami, i tak nie zasnę. — Zjeżdżaj już!

- I co mu powiem? — Chłopak absolutnie nie zamierzał odchodzić. — Obije mnie na śmierć, jak nic obije! Przecież wszyscy bywalcy od nas uciekną! A nowi nie przyjdą! Koniec z nami będzie. Nie bierzcie takiego grzechu na swoją duszę!

- Powiedz gospodarzowi, że pan egzorcysta bardzo wczesnie wstaje i chce się wyspać - odpowiedziałem, powstrzymując się jeszcze od przekleństw.

- Ale jak się zamierzacie wyspać, panie egzorcysto, skoro ja całą noc będę błagać pod drzwiami? - zdziwił się chłopaczek najzupełniej szczerze.

- Wynocha! Zjeżdżaj, pókim dobry! - Rzuciłem sztylet, który z głuchym stukiem wszedł głęboko w drewno. - Jak wyjdę do ciebie, flaki wypruję!

- Panie egzorcysto - zapytał chwilę później, doskonale odgadując, co rąbnęło w drzwi. - Przecież jesteście u nas przejazdem?

- A co cię to obchodzi? - Namacałem drugi nóż.

- Jeśli tak, to znaczy, że udajecie się do Sarinu - odpadł chłopak. - A gospodarz ma furgon.

Pomożecie, to na rano staniecie w mieście. Po co tracić całą noc? Tylko pluskwy karmić...

- Furgon? — zainteresowałem się. Bo jak miałem się nie zainteresować? Nie było sensu odganiać dłużej chłopaczka, bo przecież w takim położeniu sam karczmarz gotów tu przyleźć, w dodatku z ojcem dziewczyny. Tak czy inaczej, uznałem, że się nie wywinę - będę musiał przynajmniej obejrzyć opętaną. No i odmawiający usługi egzorcysta to zjawisko rzadsze nawet, niż celnik o gołębim sercu. Zaraz zaczną się plotki, a to było mi najmniej potrzebne. - Jak cię wołają, kusicielu?

- Gregor - odpowiedział mały z wyraźną ulgą.

- Czyli jesteś imiennikiem króla Stilgaru? - zaśmiałem się, wciągając zimne już, skórzane spodnie. — Obejrzę tę dziewczuchę, nich ci będzie. Ale jeśli to coś poważnego, sam za wygnanie demona się nie wezmę. Jasne?

- Oczywiście!

- Gospodarz mi użyczy furgonu i dostarczy grzanego wina! - W pokoju było zimno i wilgotno, więc napić się ciepłego trunku by nie zaszkodziło. - A dziesięć złotych szelągów... Wiesz, gdzie tatuś dziewczyny może sobie je wsadzić?

- Domyślam się! - odkrzyknął radośnie chłopaczek.

- Mądry dzieciak. — Wziąłem torbę, z trudem wyciągnąłem wbity głęboko w deskę sztylet i schowałem go. Otrzeptałem dźwięczący srebrnymi dzwoneczkami płaszcz i wyszedłem na korytarz. - Prowadź.

Smagły chłopak, mający pewnie około piętnastu lat, rozpląnął się w szczerbatym uśmiechu i rzucił w dół po schodach, prowadząc mnie przez pustą izbę jadalną, a potem otworzył drzwi do części mieszkalnej, należącej do właściciela. Klnąc w myślach na czym świat stoi, podążałem za nim.

Niech to wszyscy diabli porwą!

Jedna sprawa udawać egzorcystę, a całkiem inna naprawdę próbować przeprowadzić obrzęd wypędzania. Niczym dobrym się to nie może skończyć - ani dla mnie, ani dla opętanej. Pozostawała oczywiście możliwość, żeby po prostu udusić tę dziewczuchę, ale podobała mi się jeszcze mniej niż

pomysł, aby uciec cichaczem. Zaraz, cichaczem? O, to by się na pewno nie udało!

Pozostawała nadzieja, że u ofiary zwyczajnie nie wszystko jest w porządku z głową — to się zdarza. Ale rzadko. Na tyle rzadko, żeby odsuwać taką nadzieję. Oczywiście, nie trzeba być od razu egzorcystą, żeby sprostać łagodniejszym przypadkom opętania - wielu mnichów i zwykłych parafialnych kapłanów radziło sobie z tym nie gorzej od samych Wypędzających. Tylko że dysponowali odpowiednim doświadczeniem, o wiele większym od mojego. Bo ja wcale takowego nie miałem - przeczytałem zaledwie parę ksiąg zakonu Wypędzających i to wszystko!

Nie, samodzielnie nie powinienem przeprowadzać obrzędu. Wprawdzie skórzana odzież i zabezpieczenia egzorcysty dawały niezłą ochronę, ale w razie niepowodzenia sam mogłem paść ofiarą opętania. A tego bym za nic nie chciał. Najlepiej obejrzyć dziewczynę z mądrą miną i coś wymyślić. Na przykład, że potrzeba kogoś dysponującego wąskim, ale głębokim zakresem wiedzy...

— Panie egzorcysto! Panie egzorcysto! - Karczmarz rzucił się ku mnie z dzikim krzykiem i chciał chwycić za rękę, ale opamiętał się w ostatniej chwili, cofnął dłoń tuż przed dotknięciem dzwoneczków. Był rozczochrany i ubrany dość niekompletnie. Na dodatek podpity. - Nieszczęście! Nieszczęście i ruina! Zróbcie coś, panie, bo z torbami pójdziemy!

— Milcz! - zażądałem rozdrażniony. I, o cudzie, gospodarz natychmiast przestał wyrzekać. Zresztą... nic w tym dziwnego. Trudno bowiem cokolwiek powiedzieć, jeśli twarz tkwi uwięziona w żelaznym uścisku odzianej w skórzaną rękawicę dłoni.

— Mmbm-pfm... — Próbował mimo to coś jeszcze wybełkotać, ale bezskutecznie.

— Milcz, mówię! — Odepchnąłem go pod ścianę. — Gdzie opętana?

— Tu... Tutaj jest... — Wskazał drzwi i zamilkł natychmiast, pamiętając o moim żądaniu.

- Wynoś się!

Wszedłem do izby i od razu wyczułem coś złego. Czasem opanuje człowieka takie przecucie. Niby wszystko wydaje się jak należy, nie ma powodów do niepokoju, a powieje śmiercią, tak że człowiek obchodzi szerokim łukiem groźne miejsce. Potem najczęściej się okazuje, że zadźgali tam jakiegoś człowieka, żeby zeń złupić zdarte buty. Albo strażnicy, pijani i wściekli na cały świat, zatłukli kogoś pałkami. Albo... Dużo złych rzeczy może się wydarzyć w zaułkach podłej dzielnicy. Wielu spośród tych, którzy nie posłuchali przecuć, można znaleźć na cmentarzach, więc jeśli się poczuje coś podobnego, należałoby wziąć nogi za pas.

Tylko że czasem trzeba zacisnąć zęby i brnąć dalej, czekając na cios w plecy. Trzeba iść, gdyż innego wyjścia nie ma. Jeśli się człowiek cofnie, to go stratują, wyprują z niego bebechy.

Oczywiście w tym niewielkim, słabo oświetlonym pokoiku nikt na mnie nie czyhał. Przeciwnie - ucieszyli się na mój widok. Też bym się na ich miejscu cieszył.

Młoda, bardzo mizernie wyglądająca dziewczyna o zapadniętych policzkach leżała na łożku, a zmęczona kobieta w średnim wieku przykładła jej do czoła kompres. Energiczny, młodo wyglądający mężczyzna w podróżnym kaftanie chodził z kąta w kąt i targał się za gęste bokobrody.

Nie, źródłem niebezpieczeństwa nie byli tutaj ludzie. Odnosiłem wrażenie, jakby w pomieszczeniu przebywał ktoś jeszcze. Coś unosiło się w powietrzu i sprawiało, że włosy stawały dęba. Czyżby dziewczucha naprawdę uległa demonowi?

- Panie egzorcysto! - Mężczyzna podszedł do mnie. - Jestem Martius Lar.

- Co z nią? - Rzuciłem torbę na podłogę, zbliżyłem się do dziewczyny. - Czemu ma zasłonięte oczy?

- Martę opanowały diabły - powiedział z trudem ojciec. Na pewno ojciec, bo mieli prawie identyczne rysy twarzy.

- Pytam o opaskę.

Nie czekając, odchyliłem zwiniętą lnianą szmatkę i zajrzałem dziewczynie w oczy. Kobieta zasapała z oburzenia, ale nie zwróciłem na to uwagi. Oczy opętanej były całkiem czarne, jakby ktoś zalał je smołą.

- Morderca! — Ni z tego, ni z owego zawyla dziewczyna, a ja szybko umieściłem opaskę na

miejsku. Ech, zupełnie, jakby ktoś mi wbił w plecy rozpaloną igłę! I nie na przestrzał, ale wzdłuż kręgosłupa. I jeszcze te przecucia!

Dziewucha bez wątpienia została opętana. Klasyczny przypadek „oczu ciemności”. Widzi nimi nie wiadomo co. Czasem, jak na przykład teraz, może nawet dostrzec prawdę. Jednakże oddzielić jasnowidzenie od zwidów jest niemożliwe, wszystko staje się zbyt przemieszane. Z drugiej strony, to nie był skomplikowany przypadek. Oczywiście dla prawdziwego egzorcysty, a nie dla mnie.

A jednak mimo woli zacząłem się zastanawiać, czy zdołałbym odpowiednio przeprowadzić rytuał wypędzenia i o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Naprawdę chcę ryzykować? Z drugiej strony, cóż innego począć? Jeśli teraz odmówię, wywoła to podejrzenia. A kto wie, gdzie i kiedy się to na mnie zemści? Kolejnego błędu przełożeni mi nie wybaczą. Za duża stawka, żeby liczyć na los szczęścia.

- Proszę ze mną na chwilę. - Wskazałem ojcu opętanej wyjście i postarałem się uspokoić. Ryzyko ryzykiem, ale nie można przesadzić. Muszę wziąć się w garść, zanim coś zepsuję.

- Tak jest, panie egzorcysto. - Martius Lar poszedł za mną, cicho zamknął za sobą drzwi i otarł pot z czoła.

- Zejdź mi z oczu! - poleciłem, a stojącego w sieni karczmarza z miejsca wywiało. Zwróciłem się do ojca dziewczyny: - Od dawna córka jest w takim stanie?

- Piąty dzień - odparł ponuro.

- Dlaczego wcześniej nie wezwaliście egzorcysty? - spytałem ze złością. — Skąd się tu w ogóle wzięliście?

- Przyjechaliśmy z Sarinu — odparł ojciec dziewczyny, zamilkł na chwilę, westchnął ciężko, a potem podjął: - Pierwszego dnia prosiliśmy o pomoc w klasztorze Wszystkich Świętych, ale przeor nic nie poradził. Nie mamy w mieście stałej misji zakonu Wypędzających i chociaż jeden egzorcysta miał na dniach przyjechać, nie pojawił się do tej pory...

- A tutaj po co się przykolebaliście? - spytałem z rozdrażnieniem, wiedząc doskonale, gdzie zniknął ten cały egzorcysta.

- Dowiedziałem się, że do miasta przybywa brat egzekutor.

- I postanowiliście dać drapaką?

To mnie wcale nie dziwiło, bo wszyscy wiedzieli przecież doskonale, w jaki sposób radzą sobie z opętaniami egzekutorzy.

-Tak, ale tutaj Marcie zrobiło się gorzej.

- Egzekutor i tak by was dogonił.

- W Sarinie jest dla niego pracy na dobrych parę dni. Nie będzie miał czasu zajmować się nami. — Martius pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. - Ostatnio jest coraz więcej opętanych.

- Czyżby? — zdziwiłem się. — I co, wszystkich posyłają na stos?

- Nie wszystkich. Komuś pomoże przeor, ktoś sam ze sobą skończy... Niektórzy, jak mówią, w ogóle znikają.

- W Sarinie opętani mogą chodzić po ulicach? - Starłem się nie myśleć o dziewczynie leżącej za drzwiami.

- Pomożecie nam, panie? - Ojciec Marty nie odpowiedział, tylko spojrział mi prosto w oczy.

- Gospodarzu! - zawołałem, nie mając wątpiwości, że karczmarz podsłuchuje. Tak było, bo zaraz się zjawił. - Każ wynieść z pokoju wszystkie meble! I niech przyniosą trzynaście lamp.

- Dla-dlaczego? - zająknął się gospodarz.

- Diabły będą wyganiał — Zrobiłem ku niemu krok. Tak! Będę wyganiał! A co mi niby pozostało? Cóż, skoro się nawarzyło piwa, trzeba je wypić. - No co? Czego tak sterczysz? Biegiem!

- Dziesięć szelągów to wszystko, co mogę zapłacić. -Martius wyjął sakiewkę.

- Później. - Wróciłem do pokoiku, wyjąłem z torby tom „Rytuałów wypędzania młodszych demonów”. Trzeba odświeżyć pamięć. - Gospodarzu, ruszajcie się szybciej! Jeśli nie zdążymy przed

północą, trzeba będzie wszystkich spalić razem z karczmą!

Sprzęty błyskawicznie znikły z izby. Wywlekli nawet łóżko i komodę bez zbędnego marudzenia. A ja przez ten czas już znalazłem odpowiedni rozdział i przekopywałem torbę w poszukiwaniu potrzebnych ingrediencji. Aha, oto i święcona oliwa do lamp...

Wydobyłem płócienny woreczek, w którym pobrzękiwały jakieś metalowe przedmioty, rozwiązałem go i wysypałem na podłogę cztery kute pierścienie z przynitowanymi zwiniętymi w wydłużone spirale zakończeniami. Zmierzyłem za pomocą rzemienia wzrost i długość ramion dziewczyny, dokonałem odpowiednich obliczeń i zacząłem wkręcać pierścienie w pociemniałe ze starości deski. Powinny być jeszcze skórzane pasy. O, są.

- Zamierza pan... - westchnął stojący za mną Martius.

- Owszem - mruknąłem, żałując, że nie mogę zdjąć z siebie skórzanej odzieży i wytrzeć spoconego czoła.

- Powinienem chyba przy tym być!

- Proszę bardzo. - Wzruszyłem ramionami. - Tylko beze mnie.

- Ale...

- Nie zamierzam potem jeszcze z was wyganiać diabłów! Wszystko jasne?

Skończyłem przykręcać pierścienie, a gospodarz przyniósł zalane oliwą lampy. Sprawdziłem, czy pasy są dostatecznie mocne, kazałem ułożyć dziewczynę na podłodze i klęknąłem przy niej. - Wszyscy mają wyjść!

Drzwi zamknąłem na zasuwę, zatrzasnąłem okiennice. Pusty pokój rozświetlał jedynie pozostawiony na parapecie świecznik. Na podłodze dziewczyna leżała w samej koszuli. Znałem niemało ludzi, którzy by jeszcze dopłacili, żeby znaleźć się na moim miejscu... Dość!

Najpierw zacząłem przerysowywać na podłodze, ścianach, drzwiach i ramach okiennych nieznanne mi symbole z księgi. Potem wyjąłem z torby dwie poznaczone drobnymi nacięciami dębowe listwy, długi sznur z zawiązanymi w jednakowych odstępach supłami oraz dziwny przyrząd, przeznaczony do wykreślania kątów. Podrapałem się w potylicę i zacząłem mierzyć długość ścian oraz wysokość pokoju. Niby cóż może być prostszego, niż zapalić trzynaście lamp, żeby stało się jasno. Ale nie, trzeba je było rozmieścić w taki sposób, żeby w izbie nie padał cień. „O naturze opętania”, część „Młodsze demony”, rozdział „Oczy ciemności”.

Musiałem teraz zająć się obliczeniami. Błogosławiłem w tej chwili nauczycieli przy stołecznym klasztorze Wszystkich Świętych, którzy nudnymi lekcjami i różgami potrafili mi wbić do głowy podstawy arytmetyki i innych nauk, z jakich szlifujący bruki na ulicach chłopaczek nie miałyby najmniejszego pożytku. Prawdę mówiąc, początkowo z tej całej edukacji rzeczywiście nic nie miałem. Ale kiedy przyszło pracować dla poważnych ludzi, wówczas niby już zapomniane wiadomości bardzo się przydały. Moi dawni pracodawcy mało cenili zwykłych zbójów, złodziejaszków albo skrytobójców, ale nie żalowali pieniędzy na ludzi, którzy naprawdę coś umieli.

Nagle zdałem sobie sprawę, że nazbyt chyba pograżam się w przeszłości, przez co tracę więź z otaczającą mnie rzeczywistością. Zakląłem i wyrzuciłem z głowy niepotrzebne myśli.

Ledwie pół godziny spędziłem w jednym pomieszczeniu z opętaną, a już miałem trudności z rozumowaniem. Co będzie dalej?

Kiedy uporałem się z obliczeniami, pięć lamp stało na podłodze, jedna na parapecie, pozostałe musiałem porozwieszać po ścianach z pomocą znalezionych w torbie narzędzi. Zająłem się pentaklem. Ramiona pentagramu, na których szczytach stały lampy, były nierówne i wpisać figurę w okrąg okazało się trudnym zadaniem. Tak naprawdę znak przypominał bardziej płamę po wylanych na ulicę pomyjach.

Odłożyłem na bok starty kawałek wapienia, odkorkowałem niewielką, pękatą butelkę i zmusiłem dziewczynę do przełknięcia kilku łyków piołunowej nalewki. Opętanej o mało nie wywróciło na drugą stronę, próbowała wypluć gorzką ciecz, ale musiała wszystko wypić do ostatniej kropli.

- Gdzie jestem? - spytała, kiedy minął jej atak kaszlu. - Dlaczego jest tak ciemno?

- Co pamiętasz? — spytałem i zacząłem zapalać lampy. Diabły nie cierpią piołunu. Dobrze, a jak tam z cieniami? Wszędzie jasno, nawet po kątach nic się nie przyczało. Właśnie dlatego kazałem wynieść wszystkie sprzęty, żeby światło nie napotykało przeszkód.

- Lustra... - odpowiedziała opętana po długim milczeniu.

- A co w tych lustrach?

Zębami odkorkowałem butelkę z oliwą, zacząłem dodawać po kilka kropli do lamp. Paliwo samo w sobie było wyjątkowe — przez kilka chwil płaszące na knotach płomyki trzeszczały i strzelały długimi iskrami, a potem rozjaśniły się tak, że oczy bolały. Jeśli wszystko odczytałem prawidłowo, cienie miały zamkniętą drogę do pomieszczenia.

- W lustrach korytarz pełen świec - odpowiedziała dziewczyna, tym razem bez zwłoki. - I człowiek. Zbliży się. Coś mówi. Oczy! Ma czarne oczy! Zupełnie czarne! Jakby w nich mieszkała sama Ciemność! Nie...!

- Bardzo ciekawe - mruknąłem i wyjąłem z torby obity aksamitem futerał, zawierający wypolerowane srebrne dyski. One też przypominały lustra, tylko krzywe. Teraz jasne już było, co się przytrafiło Marcie. Głupia, chciała wyrzucić sobie narzeczonego, postawiła dwa lustra naprzeciwko siebie, zapaliła kilka świec i zajrzała. A tam... Ciekawe, co tam było... - Znasz tego człowieka?

- Święci mają imion bez liku, a diabłów imię legion.

Pozbawiony życia głos szarpał moje nerwy. Powietrze w pokoju stało się jakby gęstsze, coś miękko dotknęło mojej piersi, ale cień, który pojawił się nad dziewczyną, okazał się zbyt słaby i zniknął bez śladu w jasnym świetle.

- Dowiem się.

Zerwałem opaskę z oczu opętanej, a ona zapiszczała oślepiona. Próbowwała mrużyć powieki, ale zdołałem zaaplikować jej wyciąg z wilczej jagody najpierw w jedno oko, potem w drugie. Nie wiem, co jeszcze było w tym eliksirze, ale dziewczyna nie mogła teraz zamknąć oczu, które stały się prawie natychmiast zwyczajne. Kłębiąca się w nich ciemność nikła, jakby była mułem osiadającym na dnie zmaczonej kałuży. Nienaturalnie rozszerzona źrenica rozplynęła się zaraz po całym oku i znikła, a dziewczyna przygryzła wargi do krwi. Pasy zatrzeszczały, ale solidnie wkręcone pierścienie wytrzymały szarpnięcie. Marta wygięła się w łuk i spróbowała wbić zęby w moją rękę - zdążyłem ją cofnąć w ostatniej chwili.

Zakląłem i wydobyłem z futerału srebrne krążki. Zastanawiałem się przez chwilę, jak właściwie należy ich użyć. Wreszcie przyłożyłem krzywe zwierciadła do twarzy opętanej tak, żeby odbite przez nie światło padało prosto w oczy. Nowy wrzask sprawił, że zatkało mi uszy.

Dziewczyna próbowała odwracać twarz, ale nie mogła. Elixir już działał, jej mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Gdyby zwlekać, mogłaby nawet stracić możliwość oddychania, ale miałem nadzieję, że zdążę podać antidotum. Jak na razie wszystko szło całkiem dobrze.

Rozległo się walenie do drzwi, zaraz potem zapanował krótki rwetes i wszystko ucichło. No i pięknie, bo nie powinienem się teraz odrywać od pracy.

Ciemność napływającą do oczu Marty dostrzegłem niespodzianie. Przed chwilą nie było nic, a już znów zobaczyłem czerń. Czując, jak zaczynają drżeć mi ręce i rozgrzewa się srebro, powoli i wyraźnie wypowiedziałem frazę, której wyuczyłem się na pamięć. Nie wiedziałem, jaki sens wkładali bracia egzorcyści w tę abrakadabrę, ale nawet bez składania palców w zalecane wzory skutek było widać. I to jeszcze jak!

Z oczu dziewczyny trysnęły krwawe łzy, ciemność wyrwała się na wolność, złała w ledwie widzialny miraż i prawie od razu rozproszyła pod wpływem odbitego w srebrnych dyskach światła. Wszystko jak trzeba. Gdyby to były zwykłe zwierciadła, ohyda ukryłaby się przed blaskiem, przytuliła w głębi oczu i

biada nieszczęślikowi, który by w nie spojrział. Ze srebrem to nie mogło się udać.

Coś ścisnęło mnie w skroniach, zdławiło oddech, ale tylko potrząsnąłem głową i dźwięk srebrnych dzwonek natychmiast przegnał diabelstwo. No i wszystko... Już wszystko...

Wlałem antidotum do ust nieprzytomnej teraz dziewczyny, szybko zebrałem przedmioty i rozsypałem na podłodze tłuczony turkus. I chociaż przeciągów teraz tu być nie mogło, pył natychmiast poleciał w kąty pokoju. Ale to już nie był mój kłopot. Niech karczmarz sam się zajmie sprzątaniami.

Poluzowałem pasy, wykręciłem z podłogi pierścienie i wyniosłem z izby dziewczynę. Nogą zatrzasnąłem drzwi przed nosem karczmarza, który już chciał wleźć do pokoju i przekazałem nieprzytomną Martę niepokojącemu się ojcu, pod którego okiem widniał pokaźny siniak.

- Posłuchaj, gospodarzu! Na razie do pokoju nie leż, do rana lampy się wypalą, wtedy wejdiesz. Te lampy wyrzuć, podłogę wyszoruj pięć razy. I do pełni księżyca nikogo tam nie nocuj.

Spojrzałem na Martiusa.

- Co się stało?

— A bo szanowny pan zaczął się zbyt denerwować, w drzwi stukać, trzeba go było uspokoić - zmieszał się karczmarz i podał mi gliniany, parujący kubek. — Wasze wino, panie egzorcysto.

- Dzięki - powiedziałem z prawdziwą wdzięcznością. Wino było czerwone, cierpkie i gorące. W sam raz. - Furgon zaprzężony?

- Nie poczekacie do rana? Już po północy - namawiał gospodarz. - I w taką pogodę? A rano będzie przynajmniej coś widać.

- Jeśli zostaną... - Zajrzałem do kubka i osuszyłem go dwoma łykami. W głowie mi zaszumiało, po ciele popłynęło przyjemne ciepło i zmęczenie. - Jeśli zostaną, to sporo wypiję. A jak się napiję, mogę zabawić parę dni. I zacząć rozmawiać ze stałymi gośćmi o różnych sprawach. Chciałbyś tego?

- Już każę zaprzęgać! - Karczmarz ruszył pędem do wyjścia. - Sam dopilnuję!

- Co z zapłatą? - Podeszedłem do zajętego córka Martiusa.

- Klaro, rozlicz się z panem egzorcystą - rzucił, nawet na mnie nie patrząc.

Służąca podała mi przygotowane pieniądze. Nie licząc, wsypałem je do sakiewki i poszedłem w ślad na gospodarzem.

Dokąd on poleciał? Nie mógł posłać sług?

Wyszedłem na dwór i zadrzałem od chłodu, który natychmiast oczyścił wapory nagromadzone w głowie. Zimno. I deszcz zaczął padać. Może naprawdę poczekać do rana? Nie, skoro nadarzyła się taka okazja, trzeba z niej skorzystać i dogonić egzekutora, niech go zaraza. Dogonić i porozmawiać sobie od serca. Tak...

Zwyczajne myśli pomogły zepchnąć gdzieś głębiej wspomnienia o przeprowadzonym rytuale. Ale dlaczego tak to przeżywałem? Przecież to nic trudnego, jak się okazało.

Nic trudnego?

No nie! Zatrząsał mnie krótki dreszcz. Do tej pory kolana mi drżały. Powinienem się dobrze napić przy pierwszej sposobności. Ale to później.

Gdzie się podział ten zatracony karczmarz?

Znalazłem go przy bramie. A co najgorsze, nie zajmował się furgonem, lecz kłócił z dwoma osiłkami w przemokniętych do cna płaszczach.

- A przecież mówiłeś, że jej tutaj nie było - uśmiechnął się ponuro jeden z nich na mój widok. - Nieładnie tak kłamać!

- Wynosić się stąd! - Karczmarz nie tracił rezonu. - Won, mówię, bo psy spuszcze!

- Prosimy po dobroci, wydajcie opętana! - Drugi osiłek zlekceważył groźbę gospodarza. — Wtedy nie zdarzy się nic złego...

- A wy co, od brata egzekutora? - Ucieszyłby mnie nawet taki obrót sprawy. - Za późno, chłopcy, oj za późno. Ale skoro już jesteście, mam do was małe pytanie...

Obaj jakby rozpułnęli się w ciemnościach. Przez dłuższą chwilę w milczeniu rozmyślałem, czy ich nie dogonić, ale potem gdzieś niedaleko zarżał koń i stało się jasne, że mogę sobie darować pościg.

- Wyrodki z miasta! - Karczmarz splunął i podał mi gliniany dzban. - To dla was, panie egzorcysto. Na drogę.

- Bardzo się przyda. - Podziękowałem kiwnięciem głowy, słuchając szelestu kropel deszczu. - Bardzo...

III

Przeszłość to kij o dwóch końcach. Może człowieka uczynić silniejszym, ale może też przytłoczyć swoim ciężarem. Niektóre wspomnienia są niczym ukryte w głębi duszy perełki, inne także pozostają schowane, ale za siedmioma ryglami. Nie każdy ma odwagę te rygle odsunąć. I czy w ogóle warto?

Nie wiem, co było tego przyczyną — okropne zmęczenie, wino czy nerwowe napięcie po odbytych rytuale, ale całą noc, kiedy trzęsły mną dreszcze w furgonie jadącym po wyboistej drodze, nieustannie dręczyły mnie koszmary. Czy spałem? Możliwe. A może przychodziły na jawie, gdy w samotności dopijałem to przekłete wino?

Wyskoczyłem z pojazdu, klepnałem w ramię woźnicę i powlokłem się ku bramie Sarinu. Zgromadziło się tam już trochę ludzi. Purpurowa kula słońca wychynęła znad widnokregu, pod wpływem jego promieni nocne wizje zbladły, straciły całą ostrość. Przywidzieli mi się zmarli i co z tego? Tak, przyjaciele. Tak, sporo ich było. Ale przecież wszyscy swoi. Gorzej, jeśli o obcych zacznie się roić...

Pilnujący bramy wartownicy rozstąpili się przede mną bez jednego słowa. Nie mieli śmiałości nawet spojrzeć. Cóż, przebranie egzorcysty to doskonała maska. A właściwie prawie doskonała, zważywszy na to, do czego zostałem zmuszony poprzedniego wieczora.

Odszedłem kawałek od bramy i nie widząc, aby ktoś się mną interesował, zanurkowałem w ciemną uliczkę. Po paru minutach wyszedłem na szeroki, brukowany bulwar.

Było tutaj czysto, tłoczno i nawet niezbyt mocno śmierdziało rynsztokiem. Nie to, co w Ronevie. A przecież Sarin nie jest nawet miastem koronnym. Widocznie miejscowy baron musiał być wielkim czyściochem. Albo co mądrzejsi ludzie z grona jego doradców nie zostali jeszcze powywieszani. Bo mają mądrzy ludzie taką dziwną manierę - od czasu do czasu wędrują na szubienicę.

Zatrzymałem się przy pucybutce, zarośniętym niby diabeł leśny, rzuciłem mu drobnika i podstawiłem trzewik pod szczotki.

- Wczoraj wieczorem do miasta przyjechał brat egzekutor wraz z dwoma sługami - powiedziałem cicho, patrząc w inną stronę. - Znajdźcie go i nie spuszczajcie z oka.

- Więcej tutaj nie przychodź - odparł czyściciel. - Jak go znajdziemy, zawiadomimy cię.

Zamrugał krótkowzrocznymi oczami, jeszcze parę razy machnął szczotką i nie powiedział więcej ani słowa. To był dobry znak — widocznie w mieście nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego pod moją nieobecność. Świetnie, bo miałem dość własnych kłopotów.

- Nie posyłaj ludzi do „Pieczonego Jabłka”. Niech szukają na targu przy południowej bramie albo mnie, albo któregoś z moich - uprzedziłem na wszelki wypadek łącznika, zanim odszedłem.

To na razie wszystko, teraz przyszła pora pójść do karczmy, oddać egzorcyście jego własność. Moi ludzie pewnie z nudów zaczęli już gryźć własne buty. Ale to będzie dla nich koniec bezczynności.

Postanowiłem skrócić sobie drogę przez zaułek i natychmiast tego pożałowałem, kiedy zobaczyłem przed sobą znajomą postać.

- No co, dokulałeś się, egzorcysto? - Sługa egzekutora uśmiechnął się drapieżnie i wyjął z zanadrazu nóż.

Popełnił błąd. Porzucona torba jeszcze nie dotknęła ziemi, kiedy jednym skokiem znalazłem się przy nim i zadałem mu dwa krótkie ciosy szydłem. Od dołu w górę, pod szczękę i następne od razu w serce. Przy czym z narzędziem szewskim moja broń wykazywała powinowactwo dość odległe, gdyż trójganiaste ostrze z hartowanej stali miało długość prawie pół łokcia.

Osiłek upuścił nóż i osunął się na ziemię. A dokładniej osunąłby się, gdybym go nie pochwycił i zakręciwszy się w miejscu nie pchnął bezwładnego ciała.

Ten środek ostrożności okazał się zbawienny. Zachodzący mnie z tyłu kompan byczka zahaczył nogą o trupa i upadł. Krótki zamach - szydło z nieprzyjemnym chrupnięciem weszło na jedną trzecią w czaszkę.

Wytarłem ostrze w ubranie zabitego, schowałem je do sekretnej kieszeni wszytej w połą płaszcz, wziąłem torbę i poszedłem dalej. Szydło może nie jest bronią zbyt wygodną, ale za to przy jego użyciu krew nie tryska. W moim fachu to bardzo ważne. A co do wygody, to doświadczony zabójca potrafi wyprawić ofiarę na tamten świat nawet za pomocą drewnianej łyżki.

* * *

Do karczmy „Pod Pieczonym Jabłkiem” przy południowej bramie dotarłem wprawdzie niezbyt prędko, ale za to w doskonałym nastroju. Pochodziłem z przyjemnością po mieście, wspomnienie nocnych koszmarów rozwiało się. Przy okazji zmyliłem tropy, jeśli ktoś mnie śledził. Czas oczywiście straciłem, lecz przynajmniej zyskałem spokój.

Ale w istocie rzeczy przyczyna wspaniałego humoru leżała gdzie indziej. Taki już ze mnie człowiek, że nie cierpię zabijać ludzi bez ważnej przyczyny i staram się tego nie robić. Lecz egzekutor, gadzina jedna, sam był winien, skoro nasłał na mnie swojego podręcznego łotra. Takiemu nie grzech dać solidną nauczkę. Nie, tak naprawdę to grzech, ale co można zrobić? Praca to praca.

W głównej izbie karczmy ludzi było bardzo niewielu. Dwaj strażnicy, którzy się tu jak zwykle przywlekli, grali w kości z parą podpitych byczków. Strażnicy też za kołnierz nie wylewali, więc pomieszczenie wypełniały głośne śmiechy i przekleństwa. Gospodarz nie zamierzał się wtrącać i czekał cierpliwie, aż stróże prawa pójdą sobie do diabła. I miał rację - skoro nie przeszkadzali innym klientom, niech sobie rechczą, ile chcą.

- Już z powrotem, panie egzorcyście? - powitał mnie radośnie karczmarz.

Chłopcy pilnujący prawdziwego egzorcyście nie wyróżniali się bogobojnością. Zapewne urządzili sobie i jemu wesołe życie. Tak, to byłoby w ich stylu.

- Moi towarzysze u siebie? — Skierowałem się ku schodom na piętro.

- Dzisiaj jeszcze nie wychodzili. Śniadanie zjecie w pokoju?

- Później.

Ze coś jest nie w porządku, wyczułem od razu, kiedy dotarłem do drzwi. Zastukałem, a one się uchyliły. Zapomnieli zasunąć rygiel? W to nigdy nie uwierzę!

Na schodach usłyszałem kroki, więc pośpiesznie zanurkowałem do pokoju, zamknąłem cicho drzwi, zaryglowałem i z nożem w ręku skoczyłem do drugiej izby. Zdębiałem. Nie miałem pojęcia, kto tu był przede mną, ale po jego wizycie nikt nie pozostał przy życiu. Trzy uderzenia ostrzem - trzy trupy. Żadnych śladów walki. Moi kompani i egzorcyście zostali zabici nie wcześniej, niż ostatniej nocy.

Co za diabelstwo! Przecież ci ludzie nie mogli się tak podstawić! Owszem, egzorcyście nie był wojownikiem, owszem

— Diega znałem słabo, ale Leon to był doświadczony rębajło! Przeszliśmy razem całą Kampanię Zachodnią! Przetrwaliśmy bitwę na Lemskim Polu! A tutaj... Jak to się stało, że dopuścił mordercę na długość ramienia? Jak w ogóle mógł wpuścić obcego? Nie zrobiłby tego, gdyby morderca nie przyszedł z kimś dobrze mu znanym. Na przykład z wiecznie pętającymi się po karczmie strażnikami...

Wszystkie te przypuszczenia huczały mi w głowie, kiedy zrzucałem prosto na podłogę skórzane ubranie egzorcyście. Kapelusz, maska, płaszcz, buty, spodnie... Szybciej, szybciej! Włożyłem luźną koszulę i kaftan. Wydobyłem z torby ciemnoniebieskie szarawary, wskoczyłem w nie i boso pobiegłem do drzwi wejściowych.

Stałem przy nich, nasłuchując. Jakieś głosy... Nie zdążyłem! Okazali się sprytniejsi! Zaraz wpadną tutaj i zwiążą mnie w jednej chwili. Potrójne morderstwo to nie przelewki. Ale komu zależało, żeby mnie w to wplątać? Komu? Egzekutor nie miał takich możliwości, a to znaczy, że działał ktoś z konkurencji.

Prezent z północy? To możliwe. W Norveimie i Lensie także nie brakuje fachowców. Ale po co to komu? I jeśli mieli pojęcie o mojej misji, dlaczego nie przejęli mnie wcześniej?

Westchnąłem głęboko, odegnałem strach. Stałem tak, żeby otwierające się drzwi zasłoniły mnie, włożyłem w szczelinę między deskami podłogi drewniany klin i chwyciłem ciężki dębowy taboret. Owinąłem go płaszczem i z całej siły cisnąłem w wychodzące na tyły karczmny okno.

Huk, brzęk szkła. Taboret wyleciał na zewnątrz, a płaszcz zaczepił o szklane drzazgi i zawisł. Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyłyby mnie w twarz, gdyby nie zatrzymał ich klin. Wyłamana zasuwa odleciała pod przeciwległą ścianę, do pokoju wpadło dwóch siedzących przedtem na dole osiłeków. Zaraz za nimi strażnicy.

Na moje szczęście wszyscy okazali się zupełnymi dyletantami. Gdyby któryś się obejrzał, to byłby mój koniec. Ale nie - wybite okno i wiszący płaszcz od razu zawładnęły ich uwagę i ruszyli właśnie tam.

Gdybym miał na nogach buty, mogłoby mi się nie udać. Ale boszo stąpałem cicho i znalazłem się za plecami strażników, zanim poczuli, że coś jest nie tak. Rękojeści sztyletów uderzyły w wygolone potylicy i dzielni przedstawiciele prawa runęli na podłogę.

Z byczkami taka sztuka nie była możliwa, ale z nimi nie zamierzałem się wcale cackać. Jeden natychmiast przysiadł, ściskając dłońmi rozerzniete gardło, drugi miał więcej szczęścia: umarł, nawet o tym nie wiedząc. Puściłem rękojeść wbitego w jego oko sztyletu, odskoczyłem od rozlewającej się na podłodze kałuży posoki i wyjrzałem na korytarz.

Pusto.

Przymknąłem drzwi, rzuciłem na deski drugi sztylet, szybko obejrzałem ubranie, sprawdzając, czy nie osiadły na nim krople krwi, a potem zacząłem szukać swoich butów. W ostateczności mogłem zabrać obuwanie któremuś z zabitych, ale na szczęście nie musiałem. Moje wygodne, rozchodzone buty walały się pod jednym z łóżek. Szkoda tylko, że nie mogłem wziąć żadnej broni. Chociaż... Dlaczego żadnej? Koszula znakomicie się nadawała, żeby ukryć pod nią pochwę z szydłem.

Uciekłem przez wyjście dla służby. Nikogo nie spotkałem po drodze, więc nie musiałem się obawiać zainteresowania ze strony Straży Miejskiej. Te kapuściane łby, które leżały na podłodze w karczmie, nie zdążyły na mnie nawet spojrzeć. Wszystko niby było w porządku, poza jednym „ale”. I właśnie to „ale” mogło stanowić pomost między spokojną beztróską a pętlą na szyi.

Albowiem ten, kto wykorzystał tych bałwanów, w każdej chwili mógł wymyślić nowe świństwo. Nie powinienem tracić czujności nawet na moment. Byłoby czymś niedopuszczalnym pójść do łącznika z ogonem. Nawet jeśli udałoby mi się uratować własną skórę, Malkolm flaki by ze mnie wypuścił. I z niechęcią muszę przyznać, że miałyby świętą rację. Przyjdzie więc zachować najdalej idącą ostrożność i w dodatku liczyć na łut szczęścia.

* * *

Tak wyszło, że wybrałem się na targ przy południowej bramie. To było najlepsze miejsce dla człowieka w mojej sytuacji. Ciżba taka, że szpilkę trudno wcisnąć - prace polowe już się zakończyły i chłopci z okolicznych wsi taszczyli rozmaite rzeczy na sprzedaż. Przyjeżdżali sami, a także z żonami, dziećmi, dalszymi krewnymi, przyjaciółmi i zwykłymi znajomkami. Obejrzyć miasto, a przy okazji samemu się pokazać. Tu zarobić, tam ukraść - wszystko lepsze niż w domu na ławeczce portki wycierać. Jesień.

Bez trudu wmieszałem się w tłum; wyglądałem jak jeszcze jeden nierób, których tu było całe mrowie. Łaziłem między kramami, sprawdzając, czy ktoś mnie nie śledzi. Nawet wszechobecne złodziejaszki nie próbowały się łąszczyć na moją chudą sakiewkę. I bardzo słusznie. Na takim bazarze nie brakuje bardziej łakomych kąsków, a wdawać się awanturę z młodym mężczyzną dla kilku marnych miedziaków zwyczajnie nie warto.

Korowody ludzi, szum, hałas, krzyki i muzyka dobiegająca od strony, gdzie występowała trupa wędrowna sprawiły, że dosłownie cofnąłem się w przeszłe życie. Nie, nie w przeszłe.

W przeszłym życiu miesiłem trzewikami błoto i przelewałem krew na chwałę niezwyciężonego Stilgu. Kampania Zachodnia. Piechota. Błocka było mnóstwo, krwi także płynęło aż nadto. Własnej i cudzej. Wrogów i przyjaciół. A na Lemskim Polu trudno było zgadnąć, czy błoto jest naturalnie czerwone, czy człowiek stoi we krwi po kostki...

W pozaprzyszłych czasach zresztą też nie było chwili, żeby przechadzać się spokojnie i patrzeć na przedstawienia teatrzyków albo lalkarzy. Kiedy pracujesz dla jednego z najbardziej obrotnych paserów w stolicy, musisz dawać z siebie wszystko. Jeśli się zdarzył wolny dzionek, to było święto i człowiek dziesięć razy pomyślał, czy warto go tracić na bzdury, zanim coś zrobił.

Ale jeszcze wcześniej...

Potrząsnąłem głową, odganiając napływające nie w porę wspomnienia i wszedłem do jednej z gospód, żeby się zagrzać. Usiadłem przy stole najbliższym wyjścia, zamówiłem pieczone ziemniaki oraz kubek ziołowego napoju. Uznałem, że wystarczy już tego krążenia po kramach, ludzie Malkolma znajdą mnie i tutaj bez trudu. A skoro miałem trochę czasu, warto zastanowić się nad obecnym położeniem. Niedobrym położeniem, a prawdę mówiąc — najzupełniej parszywym po prostu. To wszystko cuchnęło czymś paskudnym.

Bo jeśli dobrze pomyśleć, to oprócz pomagierów egzekutora nikt w tym zapytowanym miasteczku nie miał powodów, żeby dybać na moje życie. Z tymi dwoma pajacami wszystko było jasne: nie zdołali zabrać opętanej, więc postanowili się ze mną porachować. Albo, co bardziej prawdopodobne, sam brat egzekutor kazał im stuknąć konkurenta. Miasteczko, jak powiadają, dla niego musi wyglądać bardzo obiecująco, więc nie ma życzenia, żeby ktoś mu psuł interesy.

Ale ta rzeźnia w karczmie to na pewno nie z jego pod-uszczenia. Mnie tam przecież nie chcieli zabić, mógłbym się założyć! Powinienem zostać schwytany na gorącym uczynku nad trupami. Kojarzyło mi się to z próbą werbunku. Ale dlaczego właśnie mnie? Dlaczego nie próbowali wypytać chłopaków, tylko od razu ich zarżnęli? Może zjawiłem się gdzieś, gdzie nie trzeba? Albo ktoś prowadził własną grę? Koniecznie trzeba uprzedzić Malkolma.

Zapłaciłem i wyszedłem na zewnątrz. Postanowiłem kupić krótką pelerynę, bo w samym kaftanie zacząłem marznąć. Potem poszedłem do ciągu kramów, w których handlowano różnymi narzędziami. Topory, piły, strugi, dłuta, noże... Miałem niewielkie szanse, żeby nabyć coś przydatnego, ale urządzenie polowania na egzekutora z samym szydłem byłoby lekkim szaleństwem. Trzeba by zdobyć coś bardziej przydatnego. Oczywiście normalnej broni tu nie było, ale też i nie mógłbym jej ze sobą taskać. Ale parę sztuk odpowiedniego żelastwa by się przydało.

- Ciekawa robota. - Zważyłem w ręku niewielki toporek. Szerokie żeleźce, wygięte toporzysko. Nic nadzwyczajnego, więc strażnicy na taki złom nie zwrócą nawet uwagi. Tylko czułem pod skórą, że gdybym rzucił w ten słup na przykład... - Sam robiłeś?

- Ojciec. - Sprzedający łypnął na mnie ponuro. Wyglądał jak zbój, a nie chłop. - Ile chcesz?

Podał cenę, a ja się skrzywiłem. Za takie pieniądze mógłbym kupić z pięć siekier. Ale wiedziałem, że nic lepszego tutaj nie znajdę. Oczywiście, można by poszukać ludzi, którzy sprzedadzą wszystko, czego się zapragnie, choćby i kuszę, choćby dobry miecz.

Gdybym miał pieniądze.

Ale nie miałem.

* * *

Łącznik podszedł, kiedy wkładałem rzeczy do kupionego przy okazji worka. Topór, parę ciesielskich noży z takimi ostrzami, że nie mógłby nazwać ich bronią nawet najbardziej czepliwy strażnik, dłuto, strug, pilnik i do tego szvdło. I niech tylko ktoś później powie, że nie jestem cieślą. A co? Chodzę po podwórzach, naprawiam sprzęty, wykonuję różne inne zamówienia.

Zatrzymał się przy mnie obnośnr handlarz w znoszonym płaszczu.

- Egzekutor godzinę temu wyszedł do domu przy Moście Salwińskim. Pierwszy z kraja na lewym

brzegu, nie pomylisz się. Jest z nim dwóch służących. Ale ilu ludzi w domu, nie wiadomo.

- Dwóch? - zdziwiłem się. - To na pewno jego ludzie?
- Dziś rano przybył właśnie z nimi.
- Dom czyj?

Co to za szaleństwo? Jeśli ci, którzy napadli na mnie, nie byli sługami egzekutora, to do czego im była potrzebna opętana? I kto ich posłał po moją duszę? Nic już nie rozumiałem.

-Jakiegoś przyjezdnego szlachetki z północy. Albo z No-rveimu, albo z Lensu. — Handlarz ziewnął, przysłaniając dłonią usta. - Miejscowi nie przyjęli go do swego kręgu.

- Ktoś został przy tym domu?
- Zaczeka na ciebie.

Wrzuciłem mu do pudełka parę miedziaków, wziąłem trochę pierników i poszedłem do wyjścia z bazaru. Trzeba się śpieszyć, bo inaczej przyjdzie mi biegać za egzekutorem po całym mieście. W tym, że postanowił spotkać się ze swoim rodakiem, nie widziałem nic dziwnego. Ale być może właśnie ten rodak zorganizował mi to gorące przyjęcie. Tak, to wiele by wyjaśniało...

Po wyjściu z targu na wszelki wypadek jeszcze pochodziłem po sąsiednich uliczkach, zanim wyszedłem nad Olchę, niewielką rzeczulkę, która bliżej środka miasta płynęła między omszałymi kamiennymi blokami, ale dalej, za Mostem Salwińskim rozlewała się szerzej. Łagodniejszy lewy brzeg był każdego roku podtapiany i dlatego zarósł mocno sitowiem. Władze miejskie jakoś nie dbały o to, by teren uporządkować, więc okna domków' stojących w okolicy wychodziły na prawdziwe bagnisko.

Nie to, żeby dzielnica była jakaś szczególnie podła - taka raczej pośrodku w rozumieniu miejscowego prestiżu. I strażnicy miejscy nie mieli tu wiele do roboty, i ludzie mieszkali całkiem porządni, ale błoto psuło wszystko, więc przylgnęła do tego miejsca nazwa Bagno. Teraz choćby ulice złotem wykładać, a domy budować ze srebra, wszystko jedno — dzielnica Bagnem zostanie. Człowiek z wielkimi ambicjami nigdy się tu nie osiedli. A ten szlachcic właśnie tutaj od razu dom zakupił! Dziwne.

Przechodząc obok właściwego domu, zakląłem cicho i poszedłem dalej, nie zatrzymując się. Niech to czart! Co za miejsce! Przecież tutaj każdy obserwator jest widoczny jak na dłoni! W dodatku wszyscy się doskonale znają, od razu dostrzegą nową gębę. Jak niby mam czekać na egzekutora? Można się wściec!

I nie dostrzegłem nikogo, kto by na mnie czekał.

Doszedłem do przecznicy, skręciłem w uliczkę prowadzącą nad rzekę. Zaraz za wysokim ogrodzeniem najdalej wysuniętego domu był śmietnik - zapewne powódź go wymywała - a dalej ku wodzie wiodły zbite z desek, podgniłe i ciemne od wilgoci pomosty.

Słońce schowało się za ciemnymi chmurami, zaczął popadywać lekki deszczyk. Zarzuciłem worek na ramię i poszedłem wąską ścieżką, wijącą się wśród trzcin wzdłuż błotnistego brzegu. Pod nogami zachlupotała woda, co i raz musiałem wyszukiwać bardziej suche miejsca. Ale lepiej już tak, niż sterczeć na widoku. Oczywiście w tym czasie egzekutor może opuścić dom i wyruszyć dalej w swoich sprawach, ale...

Nagle zamarłem, zaniepokojony, z podniesioną nogą. Z początku nie docierało do mnie, co właściwie wzbudziło moją czujność i sprawiło, że włosy stanęły dęba, ale zaraz zauważyłem, że obok wypełniającego się wodą odcisku obcasa po łodydze turzycy powoli spęła czerwona kropla. Krew?

Rozwiązałem worek, schowałem pod koszulą szydło i z toporkiem w dłoni powoli poszedłem dalej. Niewykluczone oczywiście, że tutejsze rzezimieszki wyjaśniały coś sobie, bo miejsce w sam raz na takie spotkania, tylko że trudno było mi uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Ranny biegł właśnie od strony domu, w którym gościł egzekutor. I nie był sam - szło za nim jeszcze dwóch albo nawet trzech lub czterech ludzi. Szli na pewno. Było widać, że ludzie przed nimi uciekali biegiem: obcasy prawie się nie odbiły, wyraźne były tylko czubki butów. Ale ścigający stąpali na całą podeszwę. Nie śpieszyli się. A w kilku miejscach takimi właśnie śladami zostały zadeptane plamki krwi.

Ślady skręciły w bok, zszedłem ze ścieżki i prawie natychmiast natknąłem się na sterczące z

szuwarów buty. Podszedłem ostrożnie, kucnąłem obok trupa. Co tu się wydarzyło? Aha, zadźgali go. Na prawym boku żółty materiał kaftana poczerwieniał od krwi. A na dodatek gardło chłopakowi podcięli. Dobili go. Najpierw dostał ten cios w bok, dlatego tyle krwi z niego uszło po drodze.

Wpatrując się w połamane ciężkimi butami łodygi trzciny, ruszyłem kolejną ścieżką i znów zamarłem: przede mną, na niewielkiej łysinie, leżały od razu trzy trupy. A krwi wokół było co niemiara!

Przeszedłem wolną przestrzeń po łuku i uśmiechnąłem się, bo dotarło do mnie, dlaczego prześladowcy się nie śpieszyli. Spryciarze po prostu naganiali zdobycza na ostrza swoim kompanom. Tylko że ta zdobycz okazała się okropnie narowista. Jeden z osiłków oberwał sztyletem między żebra, drugi miał poderżnięte gardło. Co do tego, że tych dwóch nie było doświadczonymi bandziorami nie miałem wątpliwości. Sługa egzekutora, który zapewne dowodził zasadzką, też tu leżał. Z nożem w plecach.

Dobrze, martwych sobie obejrzałem, ale gdzie są żywi? Na pewno ktoś jeszcze uciekał. I jakoś nie miałem wątpliwości, że zbiegł właśnie egzekutor.

Czyżby spotkanie z ziomkiem się nie udało?

Spróbowałem sobie przypomnieć, w co byli obuci bohaterowie, którzy zaatakowali mnie rano, ale tylko cmoknąłem z niecierpliwością. Nie zwróciłem uwagi, dureń! A trzeba było...

Następnego nieboszczyka znalazłem dwadzieścia kroków dalej. A raczej wyczułem, bo straszliwie od niego cuchnęło spalonym mięsem, a rozplaszczone na ścieżce ciało sprawiało wrażenie, jakby tego człowieka wsadzono na kwadrans głową w ognisko. Jednak w pobliżu nie było najmniejszych śladów ognia. Za to trup z łbem wypalonym aż do kości jak najbardziej był.

I nie powinienem pocieszać się myślą, że spalony żywcem człowiek to egzekutor. Nie - budowa ciała nie ta, a i buty nie takie jak jego, lecz identyczne z tymi, które mieli naganiacze.

Poczułem przemożną ochotę, aby stąd uciec jak najszybciej, ale zaraz wziąłem się w garść i poszedłem dalej. Cokolwiek tu zaszło, powinienem doprowadzić rzecz do finału, inaczej przyjdzie mi gnić do końca życia w jakimś pogranicznym garnizonie. A i to jeśli będę miał szczęście, bo Malkolm nie należał do tych, którzy wybaczą słabości.

Kolejne zwłoki znalazłem w chwili, kiedy już zacząłem się obawiać, że poszedłem nie w tę stronę. Ale nie - leżał sobie, gołąbeczek. A dokładniej rzecz ujmując, osobno leżała głowa, a osobno reszta. I krwi tyle, że z niejednego tucznika mniej by się wylało.

Znalazłem względnie czyste miejsce, zbliżyłem się do nieboszczyka, pochyliłem i cicho gwizdnąłem ze zdziwienia. Jakie narzędzie mogło wykonać tak czyste cięcie? Może topór katowski? Ale i ten nierzadko gorzej się sprawi. A tutaj ze zwykłego zamachu, na dodatek w biegu! Ciekawe, co to było, naprawdę! Mocny jest brat egzekutor, zaprawdę mocny!

Zresztą, i na niego przyszła kryśka, nie wykpił się od losu, przechera.

Dogonili go na następnej łysinie. Ten, który naganiał, leżał teraz twarzą w niewielkiej kałuży. Woda była ruda od krwi. Ten, który wyskoczył z zasadzki i rzucił nożem, chciał odpełznąć w szuwarach, ale został na wolnej przestrzeni, ukryty tylko po pas pośród żółtych łodyg. Sam Jan Werg oparł się o wysoką kępę i kaszlał krwią z przebitego płuca.

Od razu było widać, że dogorywa.

O ile na szybko mogłem ocenić siady, nikt nie uszedł stąd żywy. Przystanąłem przy leżącym w trzcinach byczku, pociągnąłem go, przewróciłem na plecy i natychmiast cofnąłem rękę. Potem powoli, nie spuszczać wzroku z egzekutora, podszedłem do drugiego trupa. Z tym los obszedł się równie okrutnie: rozerwana na plecach skórzana kurtka odsłaniała krwawą masę mięsa, szczerze przyprawionego białym kruszywem żeber. Ale to jeszcze było nic, bo ten, który rzucił w egzekutora nożem, wcale nie odpełznął w trzciny — jego tam rzucono, i to tak, że połamane łodygi przebiły ciało na wylot.

- Brat egzorcysta? - spytał nagle egzekutor, przestając kaszleć. — Nie spodziewałem się.

Ważąc w ręku toporek, spojrzałem ze zdziwieniem na umierającego. Jak mnie poznał? Przecież

nosiłem półmaskę...

- Oczy... - Pojął przyczynę mojego zmieszania i wykrzywił twarz w uśmiechu. Na ustach pojawiła mu się krew i skrzywiło go w nowym paroksyzmie kaszlu. — Oczy są zwierciadłem duszy. A czyż my nie wiemy o niej wszystkiego?

- Co tu zaszło: - Stałem tak, żeby widzieć biegnącą w stronę domu ścieżkę.

- A co w tym niejasnego? Próbowałem ukroić zbyt wielki kawał ciasta...

- To jasne. - Powstrzymałem się, żeby nie zakląć. - To jasne. Ale co się stało ze złymi ludźmi?

Jeden bez głowy, drugi spalony żywcem, trzeci...

- Och, dałbyś spokój! - zachichotał egzekutor i natychmiast skrzywił się z bólu. - Nie należy być aż tak naiwnym. Chociaż do waszego zakonu podobno nie zawsze przyjmują nazbyt bystrych ludzi.

- Jak ich zdołałeś zabić? - Uściśliłem pytanie.

- Jeszcze nie rozumiesz? To magia. Czary. Czamoksiestwo. Przejaw ohydy. Wpływ mocy. Nazywaj to jak chcesz, sedno sprawy od tego się nie zmienia.

- Bardzo zabawne.

Kpił ze mnie czy bredził? W każdym przypadku trzeba dokończyć sprawę i uciekać. A tajemnice zakonu Płomienistej Dłoni... Komu są potrzebne?

- Poczekaj, egzorcysto - powiedział szybko Werg, jakby wyczuł zmianę mojego nastroju. - Poważnie mówię. Wy, barbarzyńcy, chępcie się tym, że wyganiacie diabły i w żaden sposób nie możecie pojąć jednego. Żadne diabły nie istnieją. Jest tviko pierwotna siła, z jakiegoś powodu dostępna dla tych, którzy najmniej na nią zasługują. A wy... wy... nazywacie ją ohydą i rozwiewacie na wietrze! I żadnemu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby zostawić chociaż cząstkę dla siebie! Cząstkę mocy. Cząstkę władzy...

- To znaczy, że wy zostawiacie? - zaciekawilem się mimo woli. Nie wyglądało na to, żeby mój rozmówca bredził albo łągał. Bo niby po co? - Nie wiem tylko w takim razie, skąd u was taki pociąg do stosów? Moglibyście doić opętanych po cichu...

- Nie rozumiesz... - Znów zaniósł się kaszlem. Widać było, że przy życiu trzyma go tylko siła woli. Ale na co liczył? Nie mógł się nagadać przed śmiercią? Wątpliwe. - Niczego nie rozumiecie. Wszyscy! Moc jest dostępna tylko dla wybranych. Dla pozostałych to trucizna. Ale jeśli wypić duszę opętanego, razem z nią przyjdzie też talent. Niewielki, ale za to na zawsze...

- A żeby wypić duszę człowieka, trzeba go zgładzić? — Ukucnąłem przy egzekutorze. - Im wolniej to robić, tym więcej zdolności się dostanie?

- Pomóż mi, a możesz zostać jednym z nas. — Egzekutor splunął krwią. - Pomóż, egzorcysto...

Wielką słabością człowieka jest nieumiejętność powiedzenia stanowczego „nie”. Wielu już zgubiło to, że nie zatrzymali się w porę. A ilu taka słabość zmarnowała życie, złamała karierę, doprowadziła do szaleństwa...?

Milczałem. Nie wyprowadzałem go z błędu, że nie jestem egzorcystą. Przewyciężyłem w sobie chęć ujrzenia, jak rozszerzają się zdumieniem oczy egzekutora, usłyszenia, jak wiadomość zapiera w nim dech. W ciszy zasłoniłem mu oczy dłonią i płynnym ruchem wbiłem w serce sztydło.

Niech odpoczywa w pokoju. Czy jak tam się u nich mawia...

Odepchnąłem ciało na bok, wyjąłem spod niego upačkaną błotem torbę i drgnąłem. Ktoś był tuż obok. Skoczyłem na równe nogi, rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem.

Pchnięcie w plecy, błysk przed oczami... I ciemność.

IV

Kyjedy odzyskałem przytomność, dwóch osiłków wlokło mnie pod ramiona po wyszczerbionych stopniach do jakieś piwnicy.

Jak zdołali mnie schwytać? Na moczarach nie było przecież nikogo. Zauważyłbym, zdążył się odwrócić. A jeśli oberwałem w potylicę, dlaczego nic mnie teraz nie bolało? W ustach smak krwi, po

szy ścieka coś lepkiego... Krew poszła mi uszami i nosem. Niezrozumiałe.

Schody skończyły się, czubki butów zaszurały po kamiennej posadzce.

Uchyliłem powieki i spróbowałem odgadnąć, gdzie się znalazłem, ale nie wypatrzyłem zbyt wiele.

Oczywiście, że przywlekli mnie do jakiegoś lochu, ale co to za podziemie i gdzie się znajdowało?

Co robić? Czekać, aż mnie dociągną, gdzie zamierzeli, czy spróbować wyrwać się już teraz? Przecież jak mnie już zamkną w celi, za wiele nie zwojuję.

Podkurczyłem nogi, odbiłem się i szarpnąłem w górę oraz w tył. Tego się nie spodziewali!

Z konwojentem po prawej poradziłem sobie dość łatwo - najpierw oberwał obcasem w kolano, potem w krtań. Ten z lewej odskoczył, wyjął tasak, ale tylko tyle zdążył zrobić. Przechwyciłem jego nadgarstek, wykręciłem uniesioną do ciosu rękę, wyłuskałem z dłoni ostrze i poderżnąłem mu gardło. Nie tracąc czasu, odwróciłem się. W samą porę, bo właśnie biegł trzeci.

Trzymaj!

Cisnąłem nożem w stronę niewysokiego, krągłego mężczyzny w średnim wieku, ale ostrze odleciało pod ścianę, jakby trafiło na niewidzialną przeszkodę.

- No proszę, panie egzorcysto, ależ pan jest pełny niespodzianek. - Mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie. Niepozorna powierzchowność, tłuste oblicze, ciepła domowa odzież. Człowiek jak człowiek. O ile nie zaglądać mu w oczy. Bo w oczy patrzeć było straszno. Jak to powiedział egzekutor, są one zwierciadłem duszy. Czy to w ogóle istota ludzka? W źrenicach jegomościa pełgały odblaski piekła. - Jestem niewypowiedzianie szczęśliwy, że udało nam się wreszcie spotkać!

- Nie mogę odwzajemnić tej radości - burknąłem, bacząc na ruchy przeciwnika i unikając jego spojrzenia. Korytarz był wąski, nie mógłbym go bezpiecznie ominąć, a wyjście znajdowało się przecież za jego plecami. Rozkład podziemi był prosty, ale jakoś nie miałem ochoty zbliżyć się do tego człowieka. - Kim jesteś?

- Muszę zauważyć, że zaczyna mnie pan rozczarowywać. - Mężczyzna rozłożył ręce. - Egzekutorowi jeszcze mogłem to wybaczyć, bo ich zakon zaprzecza naszemu istnieniu, ale wy nie jesteście tacy ograniczeni...

Nie wiem dokładnie, co wzbudziło moją czujność: urwane zdanie, ledwie zauważalne drgnięcie dłoni, a może po prostu było to przecucie? Pochyliłem się i szarpnąłem w bok, a coś przemknęło obok mojego lewego ucha. Zatoczyłem się, kamienna ściana za moimi plecami bryznęła odłamkami. Co za diabelstwo?

- Ale trzeba powiedzieć, że w pewnych kwestiach też przesadzacie. — Mężczyzna uśmiechnął się, jakby przed chwilą nic nie zaszło. - Dogmat o młodszych diabłach, na przykład, to zupełna bzdura. Nawet teoria „ohydy” nie jest tak oderwana od rzeczywistości, jak to...

Powietrze zgęstniało, poczułem zapach burzy. Postać rozmówcy zaczęła się rozpląwać w czarną plamę, cień padający od strony zgasłej, umocowanej na ścianie pochodni nagle otoczył go, jakby owinał się w podróźny płaszcz. Świat zafalował, wzrok mi zmętniał, włosy na głowie wstały, a nogi zdrętwiały. Oczy! Wszystko było w jego oczach! A przecież już miałem okazję widzieć coś podobnego! Opętana dziewczyna, przywieziona z Sarinu... Właśnie tak!

- Ale jeśli miałbym wybierać, to wolę już stanowisko egzekutorów. Jest jakieś bardziej uczciwe, nie uważa pan? - Słowa lały się szaleńczym, nieprzerwanym potokiem, a ta monotonia wraz z przenikliwymi intonacjami rozchodziły się po kończynach odejmującą siły magią. - Altruizm, jeśli rozumie pan, co mam na myśli, nie jest naturalny u istot rozumnych. To obłuda. Przeszkadza rozwijać się jednostkom i całym społecznościom..

Zdawałem sobie sprawę, że jeszcze trochę, a ten podstępny głos ostatecznie pozbawi mnie woli, spróbowałem przypomnieć sobie zdanie, które zawierał obrzęd, jaki odprawiałem nad dziewczyną.

Zaraza, nic nie pamiętałem!

Ale jeśli uczynię wysiłek, aby skupić się i zebrać wolę w pięść... Tak! Udało się!

Żeby jeszcze wiedział, czy zadziała... Tak bez przygotowania, nagle? Ale przecież innego wyjścia nie miałem.

Z ogromnym trudem ułożyłem zdrętwiałe palce w odpowiedni wzór, nabrałem głęboko powietrza i na jednym oddechu wypowiedziałem pozbawioną sensu frazę. Ale pozbawioną sensu tylko dla mnie.

Opętanego bowiem natychmiast skrzyło i przygięło, miałem wrażenie, że lada chwila złamie się w pół. Spod przyciśniętych do twarzy dłoni trysnęła krew. Runął na kolana, uderzył czołem w kamienie posadzki, a potem wyprostował się i oderwał ręce od zakrwawionych pustych oczodołów. W następnej chwili poczułem, jakby uderzył we mnie taran.

Powietrze wyrwało się z płuc, niepojęta siła poderwała i z całej mocy trzasnęła mną o ścianę. Uderzenie na chwilę pozbawiło mnie przytomności, zaraz potem odkleiłem się od kamieni i runąłem na podłogę. Krew z rozkwaszonego uderzeniem o kamienie nosa przywróciła mnie do świadomości. Zaciśnąłem zęby, spróbowałem wstać, opierając się o ścianę. Zebrałem wreszcie siły i skoczyłem ku błądzącemu po korytarzu opętańcowi.

Pozbawiony oczu gospodarz domu wstrząsnął się, zaczął dryfować w moją stronę, ale nagle zachrypiał i powoli usiadł. Wyrwałem z jego boku szydło i chwyciłem mężczyznę za włosy. Odchyliłem mu głowę, przymierzyłem i jednym zdecydowanym ruchem wbiłem ostrze pod brodę. Teraz już na pewno nie żył. Do licha z tymi wszystkimi sztuczkami egzorcyistów. Stare, dobre żelazo jeszcze nigdy mnie nie zawiodło. Nigdy!

- *Ale to wszystko na nic* - wyszeptał głos wprost w mojej głowie. - *Bardzo powszechny, trzeba zauważyć, błąd...*

— Co?! — Ze zdumieniem rozejrzałem się na wszystkie strony. Kto to? Opętany przecież nie żyje! Co do tego nie mogłem mieć najmniejszych wątpliwości.

- *Nie trzeba tak krzyczeć.* - W głosie nieznanego rozmówcy usłyszałem rozbawienie. — *Teraz jesteśmy tak blisko siebie, że słyszymy nawzajem własne myśli.*

Poczułem jakby szarpnięcie, moje nogi niezależnie od woli skierowały się ku wyjściu i musiałem się mocno wysilić, żeby stanąć. Zagryzłem wargi do krwi, czekałem, aż diabelstwo osłabnie, ale obca siła nie chciała za nic odstąpić. Przeciwnie, nacisk w głowie stawał się nie do wytrzymania, nogi mi drżały, a koszula przemokła na plecach od zimnego potu.

- *Przestań, nie warto się opierać* - wyszeptał głos przyjaźnie. — *Nie warto. Rozluźnij się. Na długo ci silnej woli nie wystarczy, po co się tak męczyć?*

- *Idź sobie!* - wychrypiałem.

Niedobrze. Miałem wrażenie, że żebra ściskają mi żelazne obręcze, straciłem oddech. W oczach pociemniało, nogi zmiękły, żeby znów nie upaść na twarz, osunąłem się wzdłuż ściany.

- *Czy to wystarczy?*

Tym razem nie odpowiedziałem. Wszystkie siły skupiłem na próbie nabrania powietrza. Daremnie. W głowie mi dzwoniło, przed oczami latały szare płaty, a żebra łamał ból. Ale znów i znów próbowałem zacząć oddychać. Aż wreszcie zwyciężyłem.

- *No i co udowodniłeś?* — spytał w moje głowie głos. Ociekał drwiną. - *Zamierzasz zawsze już tak oddychać?*

- Kim jesteś? — Obca wola próbowała zawładnąć moimi rękami, ale bez większych problemów udało mi się wygrać tę walkę. Tylko że głos miał rację — tak żyć się nie da. Nie można stale pozostawać w czujności. Prędzej czy później po prostu oszaleję, a wtedy nikt już nie przeszkodzi intruzowi zawładnąć moim ciałem. A to znaczy, że trzeba się dogadać. - *Co z ciebie za potwór?*

- *Mądry chłopiec.* - Intruz złowił urywek mojej myśli. - *Możesz nazywać mnie diabłem.*

- Jestem teraz opętany? - Próbowałem oddychać, usilnie nie myśląc o tym, że demon zdołał odczytać tylko cześć myśli. Trzeba się dogadać i szukać wyjścia. Szukać wyjścia. Szukać wyjścia...

- *Jesteś zdziwiony?*

- Już nie - przyznałem uczciwie.

Diabeł zniemacka znów spróbował zapanować nad moim ciałem, ale na razie mu to nie wychodziło. Wszystko jasne - ciało to jedyne, co posiadałem. A gdybym mu pozwolił robić, co chce, nie dożyłbym następnego dnia. Nie, na ulicy panują proste prawa: co twoje, trzymaj zębami i nie oddawaj. Inaczej cię zjedzą. Czasem trzeba iść na ustępstwa, to też musiałem nieraz robić, ale zawsze w rozsądnych granicach. Rozumnie.

- *A to się egzekutor zdziwił. — Upiorny śmieszek chmurą kołących igieł rozszedł się po potylicy. - Nie mógł uwierzyć, że diabły naprawdę istnieją. Zbyt przywykł wysysać siły z na wpół obłąkanych nieszczęśników. A kiedy spotkał coś wychodzącego poza ciasne ramy jego pojmowania, rzucił się do ucieczki. Ale tak nieumiejętnie, że go dogнали. Ty, egzorcysto, okazałeś się silniejszy.*

- Może rozstaniemy się po dobroci? — zaproponowałem, wiedząc doskonale, że demon tylko mnie zagaduje. Coś zamyślał. — Wejdiesz w kogoś innego, to dla ciebie przecież nie pierwszyna, prawda?

~ *Dziwne usłyszeć coś takiego od egzorcysty. Ale masz rację, przenieść się do innego ciała to nie kłopot, tyle że...*

— Tylko co? - popędziłem go. Czasu pozostawało coraz mniej. Niebawem ta bestia zrozumie, że nie jestem egzorcystą, przestanie być taka ostrożna, a wtedy...

— *To jest zbyt męczące - powiedział diabeł. - W ostatnim czasie wypilem siły z wielu ludzików i właśnie dlatego poradziłem sobie z egzekutorem. A ty jesteś na miejscu. Potrzebne mi to ciało.*

— Mnie także.

— *Ale wiesz...*

Beznadzieja dopadła mnie nagle. Podłe do tej pory samopoczucie w mgnieniu oka zamieniło się w grobowy smutek, Świat zniknął, wokoło panowała bezgraniczna pustka. Całe królestwo smutku, próżni i bezczasu. Miejsce, gdzie nigdy nic się nie działo i dzieć się nie będzie.

— *Teraz już wiesz, jak to jest być bezcielesnym duchem - wyszeptał diabeł. — A to dopiero poczętek. Drzwi zostały ledwie uchylone. Chcesz tam zostać na zawsze?*

— Zdarzyło mi się kiedyś wylądować w karczerze. Tam nie było wcale lepiej. - Znalazłem w sobie dość sił, żeby odpowiedzieć. Przed oczami wszystko mi pływało, ściany falowały, nie mogłem określić, w którym świecie się właśnie znajduję. - Nie strasz mnie smutkiem i pustką, diable. W naszym świecie można doświadczyć bardziej nieprzyjemnych rzeczy.

— *Ból, strach, poniżenie, śmierć przyjaciół?* — wyliczył obojętnym tonem. — *Dla wyższych bytów to nic nieznaczące słowa.*

— Ale teraz wlałeś w ciało wcale nie wyższego bytu. - Uśmiechnąłem się złośliwie. - I chociaż śmiesz cię ludzkie uczucia, spróbuj przeżyć chociaż raz to, co zostawiło blizny na mojej skórze podczas ostatniego tuzina lat! I bies z tymi przeżyciami, ale uczucia, doznania... I nawet nie próbuj się przed nimi chować w swojej przesławnej pustce. Nie zapominaj, diable, że gościsz w moim ciele!

Diabeł milczał. Zaczął już pojmować, że wybrał sobie nie tę ofiarę?

Bardzo na to liczyłem. Bardzo. Przecież nic innego mi nie pozostało...

ROZDZIAŁ 2

HRABIA. POWSZEDNIE DNI PAŁACOWEJ STRAŻY

Miesiąc Świętego Augusta Budowniczego

Raul Dominik Morre, hrabia Luringa, już od miesiąca pozostawał w jak najpaskudniejszym nastroju. A dokładniej, hrabia cierpiał na chandrę. I było to dla niego bardzo nieprzyjemne doświadczenie. Wcześniej nawet niepowodzenia w ogrodzie miłości nie były w stanie tak bardzo poruszyć młodzieńca. Przeciwnie, o tego rodzaju porażkach zapominał już następnego dnia, albowiem trzeci syn księcia Morre cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet. Za nic miał jakiś tam nieudany flirt. Lekko ducha zazwyczaj nie były w stanie zaniepokoić nawet groźby ojca, że pozbawi spadku beztroskiego potomka, kiedy do księcia dochodziły wieści o kolejnym pojedynku, ale teraz... Teraz hrabia czuł się jak podwórzowy pies wzięty na łańcuch.

Cały absurd sytuacji poległ na tym, że Raul nie miał pojęcia, który z jego wybryków skłonił księcia, aby wziąć się poważniej za wychowanie potomka. Do tej pory wszystko w oczach hrabiego przedstawiało się w różowym świetle: dobra pozycja w pałacowej straży, częste bale, wesołe libacje, niezobowiązujące małe romansiki z nadwornymi ślicznotkami.

Co się właściwie stało?

Przez te ostatnie trzydzieści dni udało mu się upić tylko raz, a i to z rozpaczy, w samotności. Na bale i inne hulanki nie było czasu, a stołeczne latawice ani myślały rzucać się w ramiona jakiegoś tam starszego strażnika.

Tak, księżę Morre zrobił „ukochanemu” synkowi paskudny kawał, wcielając go do królewskiej ochrony nie jako zastępcę naczelnika, jak obiecał, ale prawie jako zwykłego członka straży. Może nie na zawsze, może tylko na pierwsze pół roku, ale Raula taka niesprawiedliwość doprowadzała do białej gorączki. Jedyne, na co mógł liczyć w najbliższym czasie, to stanowisko dowódcy warty w jakiejś drugorzędnej zamiejskiej rezydencji, mającej bardzo odległe związki z pałacem.

Raul wyobraził sobie, ile jeszcze udręk będzie musiał znieść i z trudem stłumił gorzkie westchnienie. Ale wytrzymał. Nie zamierzał dopuszczać zbyt blisko do swoich tajemnic tymczasowych współpracowników. Miał przedtem płonną, niczym nieuzasadnioną nadzieję, że podobni mu szlachetnie urodzeni zaakceptują jego obecną pozycję. Ale w czym strażnik -nawet jeśli pałacowy - jest lepszy od zwykłego szpicla albo śledczego? To przecież nie gwardia i nie osobista straż jego wysokości. Na szeregowych żołnierzy werbownicy zaciągali ludzi bez większego wybrzydzenia. Może nie całkiem z ulicy, ale oprócz szlachciców, decydujących się podjąć służbę z braku pieniędzy, brali nawet zwalnianych z armii plebejuszy.

Raul uważnie obserwował podwładnych, ale ponieważ nie znalazł powodu, aby się do czegoś przyczepić, odszedł od wyprężonych na baczność strażników do okna, otwartego na oścież mimo złej pogody. Dzisiaj jego ludzie pilnowali korytarza, w którym znajdowały się tylko jedne drzwi, prowadzące

do jakiejś sali i z którego roztaczał się niezły widok na jesienny park. Bardzo, bardzo ważne zadanie.

Ale hrabia nie stawał okoniem. Nie próbował udowodnić wszem i wobec, że stać go na niepomiarne więcej. Nie robił chmurnych min ani nie wrzeszczał na ludzi i tak już przestraszonych pojawieniem się nowego dowódcy. Nie, w milczeniu patrzył w okno i wyczekiwał, kiedy będzie mógł opuścić ten budynek na przedmieściach, żeby wrócić do własnego mieszkania w drugim końcu stolicy. Wyglądało na to, że do domu dotrze koło północy. A to znaczyło, że znów się nie wyśpi, wstanie o świcie i uda do pałacu. Jak zwykle otrzyma idiotyczne zadanie i cały dzień będzie patrzył na fizjonomie podległych mu strażników, których sam widok wywoływał w nim bezbrzeżne zniechęcenie.

Raula radowało tylko, że w tym miejscu przynajmniej nie kręcą się ludzie. I ledwie o tym pomyślał, usłyszał w korytarzu stukot obcasów. Hrabia przybrał postawę, której nie powstydziliby się najlepszy pies myśliwski, poprawił chustę pod szyją, przyglądał wąsy i syknął na strażników, którzy o czymś cicho rozmawiali. Natychmiast zamilkli i rozeszli się na swoje miejsca. Strażnicy w ogóle wypełniali rozkazy nowego przełożonego bezzwłocznie: od razu po otrzymaniu stanowiska hrabia Luringa nauczył się na pamięć regulaminu straży i korzystał z tego, jeśli zachodziła potrzeba.

W drzwiach ukazała się niewysoka brunetka, a Raul się uśmiechnął i skłonił z galanterią, lecz ona nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi, jakby go w ogóle nie zauważyła. Dowódca warty odprowadzał zgrabną postać zadumany spojrzeniem, a potem westchnął ciężko, przeklinając w myślach swój ubiór. Surdut mysiej barwy działał na kobiety niczym peleryna niewidka.

- Też coś... — mruknął cicho hrabia.

- Nie zwracajcie na to uwagi, wasza miłość - uśmiechnął się Greg Spark, nie tylko zupełnie pozbawiony taktu, ale w ogóle dobrych manier. Wysoki i barczysty osiłek odsłużył pięć lat w gwardyjskim pułku piechoty, gdzie zauważył go werbownik straży pałacowej.

- To przecież Miranda Lugisch — dorzucił Walter Barek, podobny do kompana jak brat bliźniak.

- I co z tego? — nachmurzył się Raul.

- Jest zaręczona z baronem Schine - wyjaśnił Rick Sare, trzeci i ostatni podwładny hrabiego. Przy pozostałych dwóch olbrzymach wyglądał niczym niewysoki chłopaczek. Ale właśnie jego opinii Raul słuchał najbardziej uważnie. - To skory do zwady pan.

- A jak fechtuje?

- Nie warto próbować. - Rick pokręcił głową i poprawił pochwę z ozdobną szablą przy boku. - W pałacu pojedynki srogo traktują. Naszych za takie zabawy z miejsca zsyłają do garnizonu w Pacharcie.

- A Pacharta jest daleko. — Hrabia przypomniał sobie mapę z biblioteki ojca. To była egzotyczna kraina. - Co tam się robi? Mały straszy?

- Pomaga się jednym księżątkom walczyć przeciw drugim. — Walter, który właśnie w Pacharcie nabawił się ospy, potarł dziobaty policzek. - Paskudne miejsce, wrogowi bym nie życzył pobytu w tym piekle.

W tej chwili do holu wpadł zadyszany sługa, spojrzął na zamknięte drzwi, rozpoznał w jasnowłosym, wysokim dowódcy warty hrabiego i wydyszał:

- Wasza miłość, czy klucz do sali jest w pańskim posiadaniu?

- A z jakiej racji? - odpowiedział zaskoczony Raul.

- Wybaczcie, panie. - Sługa westchnął z rezygnacją, a potem pobiegł z powrotem.

- Przecież ma pan klucze zapasowe — przypomniał dowódcy Walter.

- I co z tego? — Hrabia uśmiechnął się i wrócił do okna. - Zgodnie z rozdziałem regulaminu „Dostęp do pomieszczeń służbowych”, z duplikatów kluczy można korzystać jedynie w razie skrajnej konieczności albo zgodnie z decyzją starszego zmiany. Wszystko jasne?

- Tak jest, wasza miłość - potwierdził Barek, czym prędzej odszedł od hrabiego i przysiadł na krawędzi jednego z foteli, stojących w korytarzu.

Na to naruszenie regulaminu dowódca nie zwrócił uwagi, więc uspokojony strażnik zaczął studiować

skomplikowane wzory, pokrywające stojącą na niskim stoliku wazę.

- A Miranda po co tu przyszła? — Raul nie mógł wyrzucić ładnej dziewczyny z głowy.

Przypominała mu nieco Walerię Falge, z której mężem się pojedynekował, a właśnie ten pojedynek mógł stanowić kroplę, która przepełniła czarę cierpliwości ojca. Miranda spodobała się hrabiemu od pierwszego spojrzenia i mało go interesowało, że jej narzeczony to raptus.

- To przyjaciółka hrabiny Corte - wyjaśnił Rick Sare. - Powiadają, że jej wysokość zwołuje na dniach jakieś zebranie.

- Jasne. - Raul poprawił sprzączkę szerokiego pasa i spojrzał na Waltera. - Berek!

Strażnik natychmiast się poderwał na równe nogi, a w następnej chwili do holu wkroczyło trzech panów o ważnej prezencji. Stanęli pod zamkniętymi drzwiami i spojrzeli po sobie niepewnie.

- Księżę przecież mówił, że posiedzenie zostało wyznaczone na południe - powiedział jeden, odchylając wieczko kieszonkowego zegarka. — A już jest za pięć dwunasta i nikogo nie ma...

- Może coś się zmieniło? — Niepozorny mężczyzna w średnim wieku spojrzał w zadumie na Raula. — Powiedz, kochaniutki, nie zawiadomiono was o niczym?

- W żadnym wypadku, panie Lanye - odpowiedział Raul rażno, po wojskowemu, przewodniczącemu królewskiego kolegium spraw wewnętrznych.

Hrabiego Ilme, swego czasu często naprzykrzającego się ojcu w jakichś sprawach, także poznał, ale przyznanego, żwawego człowieka, który im towarzyszył, widział chyba po raz pierwszy.

- Przecież by nas uprzedzili. - Hrabia Ilme, który niedawno otrzymał buławę marszałkowską, usiadł na fotelu. - A tak przy okazji, baronie, proszę powiedzieć, jaki jest powód tego spotkania? Co mamy w porządku dnia?

- Jak zwykle: Lens, Norvein i Dragarn — uśmiechnął się elegant. Zatrzasnął wieczko i schował zegarek do kieszeni.

- Jakże oryginalnie! — Marszałek nie docenił dowcipu.

- Lens z Norveimem znów chcą rzucić się sobie do gardeł, to jasne. A co Dragarnem? - zainteresował się Lanye.

- Budują nowe okręty. - W holu pojawił się niewysoki, mocno zbudowany mężczyzna, nieco podobny do rozpartego w fotelu marszałka. - Ale i z Lensem to nie jest taka prosta sprawa. Wiecie, kogo Edward Drugi mianował pierwszym ministrem?

- Księcia Reese - pochwalił się znajomością tematu Lanye i wyciągnął do niskiego przybysza rękę. - Markizie, nie słyszał pan czegoś o przesunięciu godziny posiedzenia?

- Odbędzie się w wyznaczonym czasie. Księżę już przyjechał. Zupełnie jakby na potwierdzenie tych słów z korytarza wyskoczył ten sam zdyszany sługa. Podbiegł do drzwi sali zgromadzeń, złapał powietrze i zaczął otwierać zamek. Właściwy klucz udało mu się dobrać przy drugiej albo trzeciej próbie. Panowie zebrani w holu szybko weszli do środka.

Raul westchnął ciężko i oparł się łokciami o parapet.

- Że też ich diabli przynieśli - wymamrotał pod nosem, ale Sare go usłyszał.

- Zaraz jeszcze pojawi się księżę - pocieszył dowódcę.

- Ale który? - uściślił hrabia. Odwrócił się i uważnie zlustrował strażników, wyprostowanych jak struny po obu stronach drzwi. Surduty jak należy, szable w pochwach, buty wyglansowane, włosy ułożone. Wszystko w porządku.

- Najpewniej księżę Alangorski.

- Stryjeczny wuj jego królewskiej mości. - Raul przypomniał sobie genealogię księcia. Przeciągnął dłonią po kłującym podbródku i sposepniał. Mógł przecież wstać kwadrans wcześniej i ogolić się rankiem. - Mogliby uprzedzić...

Niespiesznie przemierzający hol zwalisty mężczyzna na strażników nawet nie spojrzał. Hrabia się z tego ucieszył, gdyż niektórzy wielmoże nie cierpieli, jeśli straż rzucały im się w oczy. A dostać

reprimendę od krewniaka króla byłoby wyjątkowo przykro.

Przez kilka minut Raul w milczeniu przechadzał się po holu, potem stanął przy drzwiach i zaczął nasłuchiwać. Jednak nie mógł zrozumieć ani jednego słowa, więc znów podszedł do okna. Spojrzał na żółte liście, przeniósł wzrok na ozdabiający sufit relief, po czym westchnął ciężko.

Nienawidził pętać się pod zamkniętymi drzwiami, czekając na koniec służby. Jaki w tym wszystkim sens? Przecież on tutaj zwyczajnie tracił czas! Ale ojczulek zdecydował postawić na swoim i nawet nie chciał słyszeć o przeniesieniu go do innych obowiązków. W dodatku zagroził zabraniami wszelkich środków na utrzymanie, jeżeli Raul nie nabierze rozumu. Można by pomyśleć, że taka marna posada w ogóle pozostawiała młodemu hrabiemu możliwość popełniania jakichkolwiek głupot!

Głupot?! A jak nazwać zadanie, które mu dzisiaj przydzielono? Przecież wartownicy przy bramie nie przepuszczą nikogo, kto nie ma prawa wejść. Park także jest patrolowany, a ktoś, kto by przeskoczył przez płot, tylko napyta sobie biedy. Po co stawiać czterech zdrowych byków tam, gdzie wystarczyłby w zupełności jeden? A od biedy dwóch? Żeby odganiać od drzwi nazbyt ciekawe sługi więcej nie trzeba. Po co więc?

- Tak sobie myślę - powiedział hrabia, zatrzymując się obok Ricka - czy nie zrobić awantury starszemu zmianemu?

- Mógł nie wiedzieć o posiedzeniu. - Niewysoki strażnik poprawił chustę na szyi. — Jeśli pan jeszcze nie zauważył, mamy tu niezły bajzel. Nie wie lewica, co czyni prawica.

- To jasne. - Raul uśmiechnął się. - Ale warto by pogadać na przyszłość.

- Niech pan sobie daruje - poradził Rick. - Jutro w salonie...

- Jutro jestem zajęty - skrzywił się hrabia.

- Jak pan uważa. - Sare zmierzył dowódcę zamyślonym spojrzeniem.

Powiadali, że błękitnooki hrabia zostawił w rodzinnym Arionie niemało złamanych serc, dlatego jego odmowa zabrzmiała dziwnie.

- Może następnym razem...

Raul nie miał ochoty odwiedzać żadnego salonu. Nie to, żeby nie pragnął rozrywek, ale jego obecne obowiązki... Wyobrażał sobie, co stołeczne kokietki szepczą za jego plecami. Starszy strażnik! Żaden z niego tuz. Ale chociaż jako człowiek młody, przystojny i barczysty nie miał wątpliwości, że zdołałby zawrócić w głowie nawet najbardziej nieprzystępnej ślicznotce, to ostatnimi czasy bywał zbyt rozdrażniony i obawiał się, że najmniejszy nawet przytyk czy niewinny żart ze strony jakiegoś szlachetki mógłby się stać przyczyną pojedynku.

- Za kilka dni będzie przyjęcie... - Słyszac czyjeś szybkie kroki, hrabia potrząsnął głową, dając znak, żeby podwładny zamilkł i założył ręce za plecy. Raul najmniej ze wszystkiego życzył sobie zostać zaskoczonym przez jakąś ważną osobę. Wystarczy już tego, że księżę Alangorski zwałił mu się na głowę jak śniegowa czapa.

Młody, szczupły człowiek nie wyglądał jednak na żadną szyszkę, chociaż starał się prezentować godnie. A może naprawdę się śpieszył, bo chustkę pod szyją miał przekrzywioną, włosy w nieładzie, a mundur jegierskiego pułku pokrywał kurz. Z kołnierza sterczała sosnowa igła.

- Pilna depesza do jego jasności hrabiego Ilme - zaraportował żołnierz w biegu, przytrzymując objającą mu się o biodro przy każdym kroku wypchaną torbę kurierską.

- Poproszę o tę wiadomość. - Raul, który zastąpił drogę jegrowi, wyciągnął rękę.

Zmęczona twarz młodzieńca nie była mu obca. Ten często biegał na złamanie karku ze swoją torbą, wypytując straż pałacową, gdzie przebywa ten czy ów wielmoża.

- Witaj, Kyle - powiedział do kuriera Rick. - Znów latasz?

- A co mam robić? - mruknął chłopak i pokazał Raulowi wydobytą z głębi torby depeszę. — Mogę już przejść?

- Nie. — Hrabia pokręcił głową, chociaż pieczęć armijnej poczty kurierskiej na dokumencie była

czerwonego koloru: bardzo pilna przesyłka.

- Co znaczy „nie”? - zdziwił się Kyle.

- Zgodnie z regulaminem służby wartowniczej, kuriera można dopuścić do pomieszczeń, w których przebywają członkowie królewskiej rodziny, jedynie na pisemny rozkaz starszego zmiany - poinformował młodego człowieka hrabia.

- I co?

- Tam jest książę Alangorski.

- Ale jak to? - Kyle spojrzał bezradnie na Ricka. - Zawsze przecież...

- Regulamin. - Sare odwrócił wzrok. Nie miał ochoty wspominać przy nowym dowódcy o wcześniejszych naruszeniach paragrafów.

- To co mam robić? - Kurier postukał nerwowo rogiem koperty po wyłogu na mankiecie. —

Depesza pilna, jeśli nie dostarczę, wszystkim nam łby pourywają.

- Widzę, że pilna. - Raul wzruszył ramionami. - Ale przepuścić nie mogę.

- A gdzie jest starszy zmiany?

- W pałacu.

- Zanim wrócę ze zgodą, posiedzenie się skończy!

- To niewykłuczone - zgodził się hrabia.

- W takim razie wywołajcie jego wielmożność z sali.

- Nie mogę. - Raul uśmiechnął się teraz zupełnie otwarcie. - Nie wydano mi dyrektyw dotyczących

depeszy.

- To jakaś kpina?! - nie wytrzymał kurier. - Jakie mogą być dyrektywy, skoro jest pilna?

- Niestety, nie jestem w stanie pomóc.

- Dobrze, dobrze. — Kyle starał się uspokoić. — Dobrze! Poczekam tutaj.

- W żadnym razie! - Hrabia wyrwał mu z dłoni kopertę. - Po pierwsze, regulamin zabrania

przebywać postronnym osobom na terenie strzeżonym przez wartę. A po drugie, zgodnie z tymże regulaminem, dowódca warty w takim przypadku powinien wziąć na siebie obowiązek bezzwłocznego dostarczenia wiadomości.

- Ale ja mam rozkaz przekazać do rąk własnych! - Kurier próbował przechwycić depeszę.

- A co mnie obchodzą pańskie rozkazy? — Raul nie zamierzał oddać dokumentu. Nagle poczuł

uderzenie i znalazł się na stojącym pod ścianą fotelu.

Rick odtoczył się w przeciwny kąt, a Kyle popędził ku zamkniętym drzwiom. Od siły ciosu

hrabiemu dwoiło się w oczach, ale zdołał chwycić wazę i nie wstając cisnął nią w kuriera.

Trafił.

Waza wyrznęła niewysokiego młodzieńca w krzyż, Kyle poleciał do przodu i całym pędem uderzył w

biegnącego na jego spotkanie Waltera. Odbił się od osiłka, niczym kula bilardowa od krawędzi stołu.

Strażnik jęknął, chwycił się za brzuch, a pod jego palcami na szarej tkaninie zaczęła się rozrastać czerwona plama.

- Greg! - warknął Raul, zrywając się z fotela.

Ale tamten także już zauważył w dłoni Kyle'a krótkie ostrze. Wydobył szablę i runął do ataku, ale

kurier gołą ręką odbił klingę i pchnął strażnika w gardło.

- Nie! - wrzasnął Raul i skoczył na zabójcę.

Z rozbiegu ciął go po żebrach, od razu zadał cios powrotny. Paradna szabla złamała się przy samym

jelcu, ostrze utkwilo w boku ranionego. Lecz Kyle zdawał się tego nie czuć. Wykręcił się zrećnie i

chlasnął dowódcę warty nożem. Hrabia zdążył zasłonić się dłonią, a w następnej chwili Rick odciął prawą rękę kuriera w łokciu.

Zabójca rzucił się do ucieczki, ale hrabia zdążył podstawić mu nogę, a Rick z całej siły spuścił klingę

na kark rozciągniętego na podłodze kuriera. Znów wziął zamach i rąbnął drugi raz, ale paradna szabla nie

wytrzymała takiego traktowania.

Mimo sterczącego z rozłupanej głowy ostrza, Kyle próbował jeszcze się podnieść, ale wtedy Raul chwycił broń upuszczoną przez Gregora, wbił klingę między łopatki zamachowca i całym ciężarem opadł na rękojeść. Poczł, jak sztych opiera się na podłodze, kiedy przebiła ciało jegra. Wtedy nieco zmniejszył nacisk, ale trzymał kuriera do chwili, kiedy ten przestał się zupełnie ruszać.

Nawet później, kiedy na hałas przybiegli strażnicy z parteru, nie wyjął ostrza. Dokuśtykał do fotela, usiadł i ponuro zapatrzył się w rozciętą do kości lewą dłoń.

Ani pytania zapełniających hol strażników, ani krzyki wielmożów nie docierały do niego zupełnie. Owijając chustką ranę, w jednej chwili zrozumiał, że praca, do której zmusił go ojciec, nie jest tak bezwartościową i bezpieczną syne-kurką, jak mu się z początku wydawało. Jak widać, można w niej było nawet stracić życie. I jeśli nie chce któregoś dnia ocknąć się z nożem między żebrami, powinien zrewidować swój stosunek do służby.

Na to, że uda się namówić księcia, aby znalazł mu inne zajęcie, Raul stracił już nadzieję. A kiedy wyszło na jaw, że w parku znaleziono nagie ciało kuriera — właściwego Kyle'a-hrabia nieoczekiwanie dla samego siebie poczuł dziwne podniecenie. Nieprawdopodobna sytuacja wywołała w nim pragnienie, żeby dobrać się do tajemnicy i wyjaśnić ją. Wszelkie ponure myśli uleciały.

W dodatku doszedł do niespodziewanej konkluzji, że powszednie dni w straży pałacowej wcale nie muszą być takie szare, jeśli tylko umie się skorzystać z okazji.

Obiecał sobie solennie, że spróbuje to zrobić.

ROZDZIAŁ 3

EGZORCYSTA. KRZYWE ZWIERCIADŁO.

Miesiąc Świętego Mikołaja Ślepcy

I

W sobotę padał deszcz. W piątek również padało. I co oczywiste - czwartek też nie przeminął na sucho. Nie przestawało siąpić nawet na chwilę.

Tak w ogóle, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Z początkiem ostatniego miesiąca jesieni niebo nad przybrzeżnymi obszarami Stilgu zawsze zaciągało się napływającymi znad morza chmurami, deszcz przechodził w śnieg, a śnieg... Oślepiająco czysty, topniał i zamieniał drogi w nieprzebyte bagna w ciągu dosłownie paru godzin.

A potem znów padał deszcz.

Zatem jak by nie patrzeć, nie należało się dziwić takiej aurze.

Zadziwiające było natomiast coś innego. Przez wszystkie te niekończące się dni piłem piwo. Nie czując smaku. Kubek za kubkiem. Robiłem przerwy tylko na oddanie moczu i drzemkę, kiedy czekałem na świt w mansardzie „Czarnego Czółna” - nie najgorszej tawerny portowej dzielnicy miasta stołecznego.

Wszystko można było wytłumaczyć: mój powrót do rodzinnego miasta, niechęć do spotykania starych znajomych, bezprzykładne pijaństwo. Tak, na to wszystko można było znaleźć wyjaśnienie. Lecz jakby sobie nie łamali głów znający mnie ludzie, za nic by się nie domyślili, po co spożywam ten ośli mocz.

Człowiek, którego kiedyś znali, nade wszystkie trunki przedkładał wino. Tak! Ten hulaka skupiłby się właśnie na winie i jakiejś ładniutkiej służącej. Albo i mniej ładnej. Żeby tylko miał mu kto zagrać pościel. A tak właściwie, już pierwszego dnia czy raczej nocy, wylądowałby w celi. Przespałby się w zimnie i poszedł po rozum do głowy. Zapewne. A może i nie.

Jednak ludzie się zmieniają, dlatego siedziałem i piłem piwo. Piłem piwo i czekałem. Przede wszystkim czekałem.

Werbownik przyszedł godzinę przed południem.

- Nie przeszkadzam? - Starszy jegomość usiadł na ławie naprzeciwko. Bardzo zwyczajny jegomość. Ani wysoki, ani niski. Ani chudy, ani gruby. Twarz też nie grzeszyła nazbyt wyrazistymi rysami. Ku własnemu wstydowi, nie potrafiłem sobie uświadomić, kiedy pojawił się w tawernie.

- Ależ skąd. - Uśmiechnąłem się i upiłem piwa. Co za świństwo!

- To znakomicie. - Werbownik zerknął na mnie przelotnie i odwrócił się.

Wzrok też niby miał ani dobry, ani zły, ale podły płyn stanął mi w gardle. Werbownik absolutnie nie

powinien mieć takiego spojrzenia. Przysiadł zatem tutaj nieco inny ptaszek.

Dziwny jegomość poczekał, aż się wykaszę i z ledwo zauważalnym obrzydzeniem wskazał kubek.

- I po co się tak męczyć?

- A dlaczego nie? - Odchyliłem się na oparcie krzesła, obserwując uważnie ręce rozmówcy. -

Zapewne nie pomoże, ale daje przynajmniej jakąś nadzieję. A i pogoda taka, że grzech nie wypić.

- Ile piwa dzisiaj pan zamówił, drogi Sebastianie? - Werbownik położył na stole tubus podobny do

tych, z jakimi chodzą co zamożniejsi pisarze i wytrząsał z niego kilka gęsto zapisanych karteczek. -

Tak... Aha, sześć kubków. Jeden pan rozbił, jeden kazał wymienić. „Ciepłego moczu nie piję”, tak raczył się pan wyrazić? Sporo piwa pan rozlał i żadnego naczynia nie osuszył do dna. Wychodzi na to, że wypił pan ledwie jeden kubek, a może i mniej. Dlatego pytam, po co się tak męczyć? Przecież nie lubi pan piwa.

- Po prostu nie cierpię - przyznałem, nie odrywając wzroku od rozmówcy. Jeśli człowiek cały dzień siedzi z kubkiem piwa w dłoni, zazwyczaj nikomu nie przychodzi do głowy wątpliwość, czy na pewno jest pijany. Tylko że ten mężczyzna absolutnie nie był kimś zwyczajnym. — Chce mi pan coś zaproponować?

- Polecono mi pana jako bardzo obiecującego młodego człowieka. - Nie odpowiedział wprost na moje pytanie.

- A mnie pana jako werbownika, który zbiera oddział złożony z najemników o niezbyt wrażliwych sumieniach — odkryłem karty.

- Obawiam się, że wprowadzono pana w błąd.

- Obawiam się, że pana również.

- Cóż, zobaczymy.

Mężczyzna nie powiedział już ani słowa, wstał i skierował się do wyjścia. Nie poszedłem za nim i słusznie postąpiłem. Gdy tylko wyszedł, przez drzwi prześlizgnął się dobrze mi znany frant - Jack Pratt we własnej sprytniej osobie. Zupełnie adekwatnie, bo to właśnie ten zły człowiek wysłał mnie tutaj, abym czekał na mitycznego werbownika.

- Witaj, rudy. - Usiadł, podał mi upierścienioną bogato rękę i zawołał z miejsca na całą salę: - Piwa!

- Witaj również, rudzielcu. - Uścisnąłem twardą jak deska dłoń i jednym haustem osuszyłem wypełniony do połowy kubek. - Po co to całe przedstawienie?

- Po twoich przygodach w Sarinie Malkolm postanowił cię odsunąć i trudno mu się dziwić. - Niewysoki, żyłasty, z osłepiająco rudą kopą potarganych włosów, Jack sprawiał wrażenie skończonego cwaniaka. Należy podkreślić, że jego natura w pełni temu wrażeniu odpowiadała. Ileż musiał kosztować jeden srebrny kolczyk w jego uchu! Kogoś innego za takie manipulacje i malwersacje, jakie były jego udziałem, już dawno by wydalili ze służby, a jemu wszystko uchodziło płazem. Chwycił z tacy przechodzącej obok służącej gliniany kubek, łyknął piwa i skrzywił się zaskoczony. - Jak możesz pić takie świństwo?

- Z trudem. - Uśmiechnąłem się, wyczuwając w słowach przyjaciela mdły posmak fałszu. Po sławetnych „przygodach w Sarinie” stałem się o wiele bardziej wyczulony na takie rzeczy. I nie tylko na takie.

- Zamówić wina? - zaproponował Pratt, włożył rękę pod płaszcz, sprawdzając wiszącą przy pasie sakiewkę, ale zaraz się opamiętał. - Chociaż nie, teraz nie pora.

- Mów wreszcie - poprosiłem.

- Malkolm wbił sobie do głowy, że nie może już na tobie polegać. - Jack skrzywił się, ale znów łyknął piwa i wytarł sięgające podbródka rude wąsy. - Ale są ludzie, których twoja opowieść zaintrygowała. I właśnie oni postanowili wziąć cię pod swoje skrzydła.

- A tak dokładniej, kto? - spytałem, nie dotykając nawet postawionego przede mną kubka.

- Nie wiesz? - Pratt skoczył na równe nogi, rzucił na stół parę miedziaków. - Chodź, przejdziemy się.

- W taką pogodę? - Nie miałem ochoty łązić po deszczu. Ale takich rudzielców się nie przekona. Nie ma sensu próbować. Wiem po sobie. A włosy Jacka były przecież jeszcze bardziej rude, niż moje.

- Idziemy. - Nawet się nie obejrzał, tylko otulił szczelnie płaszczem i wyszedł. Powlokłem się za nim, zrezygnowany.

- Opowiadaj.

- Wpadłeś w oko Jacobowi Lanye. - Mój towarzysz spojrzał na pustą ulicę. - Szefowi królewskiego kolegium spraw wewnętrznych.

- Wiem, kto to. — Poczulem nieprzyjemny dreszcz. Królewska tajna służba była powszechnie znana. Straszono nią dzieci. Bali się jej panicznie nasi sąsiedzi i nienawidzili tej organizacji przedstawiciele jej odpowiedników w innych krajach. No i śmiertelnie przerażała nieszczęśników, którzy znaleźli się w polu jej zainteresowania. — Po co mnie przez trzy dni kisili w tej dziurze?

- Przyglądali ci się. — Pratt szedł, nie zważając na kałuże. - Naradzali się. Decydowali.

- I co postanowili?

- Jest pewna sprawa. - Jack zręcznie wskoczył na stopień przejeżdżającej karety i machnął na mnie ręką. - Szybciej!

Pobiegłem za nim, zrzuciłem z głowy przemoczony już całkiem kaptur. Wskoczyłem do pojazdu i usiadłem naprzeciwko rudego łajdaka, już rozwalonego na skórzanej kanapie. Nie pytałem o nic. Niech sam opowiada.

- Ostatnio dzieje się coś paskudnego - ziewnął. - A kopia twojego raportu wpadła w oczy komuś od Lanye bardzo w porę.

- Wzięli ten raport na poważnie? - zdziwiłem się.

- Raportu może nie, ale ciebie jak najbardziej. - Jack przestał się uśmiechać. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Dajmy na to.

A cóż w tym było niezrozumiałego? Kiedy człowiekowi w wieku dwudziestu paru lat oczy blakną jak u starca, o czymś to musi świadczyć. Dobrze, że jeszcze nie osiwiąłem.

- Czego ode mnie chcą?

- Oficjalnie będziesz zajmował się tymi najemnikami. - Rudy podał mi skórzany futerał.

Co my tu mamy? Patent nadzorcy królewskiego kolegium spraw wewnętrznych? Nieźle. Bardziej niż nieźle!

- A tak naprawdę wszelkim diabelstwem.

- Czym?

- Zakon Wypędzających współpracuje z nami, ale wyciągnąć od nich pożyteczne informacje to zadanie ponad siły i w dodatku irytujące, więc postanowiono zacząć samodzielnie rozwijać ten kierunek działań.

- Mają kłopoty z opętanymi? — uśmiechnąłem się mimo woli. - Czy ich samych diabły niepokoją?

- Nie tylko. - Jack zupełnie spoważniał, pokręcił głową. - Pomysł od dawna wisiał w powietrzu, a tutaj nagle ty się pojawiłeś.

- Tak w ogóle, dokąd jedziemy? - Odsunąłem zasłonkę, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

- Na przedmieście.

- Po co?

- Dziwna śmierć.

- Dziwna?

- Tak, i to bardzo.

Miejsce, w którym zdarzyła się ta dziwna śmierć, nie okazało się szczególnie godne uwagi. Karetą zatrzymała się przed posiadłością. Za wysokim płotem gęsto rozrosły się krzewy głogu i akacji. Nad roślinnością wznosił się spadzisty dach piętrowego domu. Obok zbudowano stajnię, ledwie widoczną między pozbawionymi liści drzewami.

- Chodź! - Jack wyskoczył z karety i skierował się do budki odźwiernego.

Jego samego nie zastaliśmy, furtkę otworzył nam nadbiegający strażnik miejski. Płaszcz mundurowy miał całkowicie przemoczony, co oznaczało, że wychodził na zewnątrz nie pierwszy raz.

Przebrnęliśmy przez kłujące krzaki, zatrzymując się na skraju niewielkiej i najwyraźniej stosunkowo niedawno wydeptanej wolnej przestrzeni. Sądząc po odcisniętych w ziemi śladach butów, przed nami gościł tu już prawdziwy tłumek, tym bardziej więc nie rozumiałem, po co rudzielec mnie tutaj ciągnął.

- Patrz. - Wskazał gdzieś nieco wyżej nad obłamaną gałęzią głogu.

- Co? - Stałem na palcach.

Między drzewami majaczyły wrota stajni. Byliśmy od niej jakieś sto pięćdziesiąt kroków, nie mniej.

- Wyobraź sobie, że jest deszcz, wiatr, ciemno jak u wieloryba w kiszkach. - Mój towarzysz zaczął przedzierać się przez krzaki ku ścieżce. - Gospodarz, który większą część życia przebywa w mieście, nie wiadomo po co przyjeżdża po północy, sam rozkulbacza konia, wychodzi ze stajni i... dostaje nagle strzałę z takiej odległości.

- Bzdura! - prychnąłem. - Jesteś pewien, że strzelano właśnie stąd?

- Bez najmniejszej wątpliwości. Wyobrażasz sobie, jak biegły musiał być strzelec? Wziąć poprawki na rozkołysane gałęzie, wilgoć, wiatr, ruchy ofiary? W takich ciemnościach?

- A jak! - mruknąłem, wciąż jeszcze nie mając pojęcia, dlaczego się tutaj znalazłem.

- Strzała trafiła w udo, przebiła arterię i kiedy strażnik obchodzący rano teren znalazł właściciela, ten już się wykrwawił.

- Zabity chyba nie był ważną osobą? - spytałem.

Nie podobało mi się tutaj. Z jakiegoś powodu ciarki przebiegały mi po skórze i miałem ochotę jak najszybciej się oddalić.

- Pracownik izby rewizyjnej urzędu podatkowego. Bardzo ceniony przez przełożonych. Powiadają, że miał niesamowitego nosa do wszelkich machinacji. A tacy ludzie są na wagę złota.

- W związku z tym zginął?

- Z początku też tak sądziliśmy. — Jack przeszedł obok wykończonego piaskowcem ganku, skręcił za róg i szedł po schodach wiodących do piwnicy. - Ale potem pojawiły się wątpliwości.

U mnie też, prawdę mówiąc, zaczęły się one pojawiać. Ciężkie, okute żelazem drzwi do piwnicy zostały wyłamane, a teraz oparto je o ścianę. Ciekawe, po co szczirowi kancelaryjnemu takie drzwi, bardziej pasujące jako zabezpieczenie skarbcza średniej rangi lichwiarza? Poza tym, nikt by nie wystawiał tutaj silnego posterunku, gdyby czegoś niezwykłego nie znaleźli w piwnicy. Niezwykłego na tyle, że zainteresowało się tym królewskie kolegium spraw wewnętrznych.

- Dajcie klucze. - Jack wyciągnął rękę do strażników grających w kości na beczce.

Albo sprawiających wrażenie, że grają, bo wyglądali na zbyt czujnych i skupionych. Jak by nie było, jeden z nich zdjął z haczyka kółko z kluczami i rzucił mojemu przyjacielowi.

- A z tymi czemu tak brutalnie? - obejrzałem się.

- Nie znaleźliśmy kluczy. - Jack zaczął otwierać kłódki na drzwiach wcale nie mniej solidnych niż te wyważone. Jedna, druga, trzecia... Czyżby naprawdę nieboszczyk trzymał tutaj swoje oszczędności? — Wejdz...

No i wszedłem. Wkroczyłem do ciemnej izdebki i natychmiast padłem na kolana, ściskając rękami skronie. Zupełnie jakbym znalazł się w rozpalonej poza granice możliwości łaźni. Tylko że tutaj rzecz polegała na czymś innym. Zupełnie innym.

- Niech to - chrząknął skonsternowany rudy drań, kiedy dosłownie wypełzłem z powrotem. - Co z

tobą?

- Trzeba było uprzedzić - wychrypiałem. Wyjąłem z kieszeni butelkę, łyknąłem piołunowej nalewki. Ulżyło. Ale ból głowy do końca dnia miałem zagwarantowany. I tak się łatwo wykręciłem. Na dnie duszy poruszył się znajomy ciężar. I to jak poruszył! - Ilu ludzi tam zabito?

- Trzydziestu, jeśli znaleźliśmy wszystkich zakopanych w ogrodzie. - Jack zapalił pochodnię i bez lęku wszedł do pomieszczenia. — Wyjaśnisz, jakie potworności się tu działy?

- Czyżby Wypędzający was nie oświecili? - Stałem w progu, przez chwilę się zawahałem, ale wreszcie zrobiłem krok. Fragmenty dusz ludzi, którzy tu umarli, znów mnie sparzyły żywym ogniem, ale teraz udało mi się zamknąć świadomość przed ich straszliwym dotykiem. To nic trudnego, jeśli się wie, jak to zrobić. A ja wiedziałem, bo na szczęście udało mi się zdobyć dostęp do tajnych zbiorów biblioteki przy stołecznym klasztorze Wszystkich Świętych. „Droga myśliciela”, część „Medytacja jako podstawa rozwoju osobowości”, rozdział „Mantry i zaklęcia”. No, tak znacznie lepiej.

- Przebywający tutaj egzorcysta dostał udaru - wyjaśnił rudy. - A jego współpracownicy bardzo wymijająco odpowiadali na nasze pytania.

Pochodnia oświetliła wmurowane w ściany zardzewiałe łańcuchy i wykuty wprost w kamiennej podłodze pentakl z żelaznymi kolcami na wierzchołkach pentagramu.

- Dlatego pomyśleliśmy o tobie - dodał Jack.

- Wyjdźmy.

Kiedy ciężkie drzwi oddzieliły nas od strasznej izdebki, zacząłem lżej oddychać.

- Co się tam działo? - Pratt zaczął zamykać kłódki.

- Coś bardzo niedobrego. W Norveimie za podobne praktyki wysyłają na stos.

- A może gospodarz po prostu bardzo lubił zabijać?

- Nie. - Pokręciłem głową. Kiedyś nie udałooby mi się poczuć nic niezwykłego. Co najwyżej nie do końca wywietrzony zapach krwi. Ale teraz... Walka z diabłem w Sarinie zostawiła po sobie sporo niezrozumiałych śladów. I nie mogłem powiedzieć, żeby mi sprawiała wielką satysfakcję możliwość odczuwania tych zaświatowych okropności. Chociaż czasem zastanawiałem się, jak mogłem dawniej żyć bez tego. - To rytualne zabójstwa. Aura jest bardzo ciężka.

- Co?

- Mówię, że dusze umarłych nie mogą znaleźć spokoju. - Wyszedłem na deszcz, poczekałem, aż chłoszczący twarz wiatr rozwieje wypełniające mą głowę opary, dopiero potem założyłem kaptur. - Jak myślisz, zabójca wiedział o podziemiu?

- Na pewno. Inaczej by nie czekał tutaj w środku nocy. Strażnik mówił, że właściciel czasem prowadził gości do piwnicy. Sam z nimi chodził, a jemu zabraniał wtedy wystawiać nosa z domu.

- Kiedy go zastrzelono? Wczoraj?

- Przedwczoraj. - Jack zmrużył oczy.

- A wy mnie przez całe trzy dni marynowaliście w tawernie...

Nietrudno było domyślić się, ile czasu minęło od chwili zabójstwa, gdyż liście na złamanych przez Strzelca gałązkach nie zdążyły nawet jeszcze całkiem uschnąć.

- Byli też inni. - Pratt od razu zrozumiał, co czego zmierzam. - W karcie przejrzysz zapiski.

- Wszyscy zginęli tak samo, jak ten tutaj?

- Nie, łączy ich tylko sposób zabijania i strzały jakby z jednego kołczana - uśmiechnął się Jack. -

Wszyscy zostali zastrzeleni. I wszyscy z prawie niemożliwych pozycji. Nic więcej nie powiem, ciekawi mnie twoje zdanie.

- Chodźmy - westchnąłem ponuro, kierując się do karety.

Kiedy ruszyła, dostałem do przejrzania raporty. Zabitych było pięciu.

Królewski sędzia z niewielkiego miasteczka leżącego niedaleko stolicy dostał, kiedy wsiadał do powozu. I w podobnych okolicznościach - w ciemnościach, podczas wiatru, w deszczu. Dwa kroki od

drzwi wyjściowych do karety, trzech strażników w rzędzie. Samotna strzała trafiła sędzię w bok i przebiła wątrobę. Dziesięć dni temu.

Starszego nadzorcę „Rdzawego Oskarda”, najsłynniejszego ciężkiego więzienia królestwa, zabójca dopadł w drodze do pracy. Tym razem o mało nie chybił, ale chociaż strzała tylko prześlizgnęła się po szyi ofiary, to jednak przebiła żyłę. Wykrwawienie. Osiem dni temu.

W przypadku przybyłego do stolicy ziemianina zabójca całkiem się pogubił. Urządził zasadzkę w biały dzień, na dodatek w ludnym miejscu i wsadził strzałę o wiele wyżej, niż należało. Utkwiła pod obojczykiem, nie czyniąc ofierze wielkiej krzywdy. Łucznik miał jednak podwójne szczęście. Po pierwsze, nikt nie zauważył, skąd nadleciał pocisk, a po drugie, ziemianin zmarł od zakażenia krwi. Sześć dni temu.

Ale przy urzędniku celnym zabójca znów pokazał się z lepszej strony. Celnik udał się za potrzebą, ale jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwi wychodka, jego potylicę przeszła strzała wypuszczona z dwustu kroków. Cztery dni temu.

Miejsce śmierci ostatniej ofiary odwiedziliśmy przed chwilą. Nieźle.

- Co powiesz? - Jack schował do futerału kilka kartek wypełnionych gęstym pismem.

- Zemsta jako powód, jak sądzę, była już rozpatrywana? - spytałem.

Łańcuch zdarzeń byłby prosty. Rewizor wydobył na światło dzienne czyjeś brudne sprawki, sędzia wymierzył dotkliwą karę, skazanego nie pilnowano jak trzeba... Ziemianin i celnik... Wspólnicy, którzy uniknęli kary? Niewykluczone. Tylko że to było zbyt proste i oczywiste, aby mogło mieć jakikolwiek związek z rzeczywistością.

- Oczywiście.

- Jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć? — Postanowiłem na razie powstrzymać się od wyciągania pochopnych wniosków.

- W ostatnich dwóch przypadkach Strzelca eskortowało dwóch ludzi. Wcześniej być może też, ale aż do chwili zabójstwa celnika nie zajmowaliśmy się tą sprawą, a Straż Miejska... - Pratt machnął tylko ręką. - Zawiadomili nas dopiero, kiedy stało się jasne, że szalony łucznik nie zamierza przestać. A potem...

- Potem odkryliście piwnicę - wpadłem mu w słowo. - Mogę powiedzieć od razu jedno: łucznik to prawdziwy fachowiec. Żaden samouk nie mógłby skutecznie zdjąć wszystkich pięciu.

- Najemnik?

- Nie umiem powiedzieć. Wiem za to, gdzie kształcą tak biegłych łuczników.

- Królewska szkoła strzelecka? - Pratt uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie. - I tam właśnie jedziemy.

III

Jak się okazało parę godzin później, poważnie nie doceniłem rozmachu, z jakim wzięto się za sprawę kolegium spraw wewnętrznych. Jeden czy dwóch śledczych rozmawiających w tak zwanym cichym zakątku z rektorami szkoły o tych, którzy opuścili jej mury? Oczywiście, ale przecież nie tylko to! Albowiem waleczni wojownicy, kierujący się mitycznymi pojęciami w rodzaju „honoru munduru” mogli wodzić za nos zwykłych szpicli. Okazali się jednakowoż całkowicie bezradni w obliczu urzędu podatkowego, który rozpoczął niespodziewaną kontrolę rozchodowania państwowych funduszy. Na dodatek rewizorów w składzie komisji wspólnej było nie mniej niż przedtem nasyłanych agentów.

W przestronnym holu głównego budynku szkoły panował straszliwy ścisk. Zdawało się, że ściągnięto tu z całego gmachu stoły, skrzynie z księgami finansowymi, osobistymi aktami absolwentów i wykładowców. Około trzydziestu kontrolerów przeglądało dokumenty, sortując papiery zgodnie z procedurami. Niemilknący gwar, szelest kartek, skrzyp gęsich piór. Rutyna. Nie zdziwiłbym się, gdyby Lanye skorzystał z okazji, aby przetrzepać skórę wojskowym zarozumiałcom.

Siedzący na parapecie, dobrze zbudowany mężczyzna drgnął, kiedy się pojawiliśmy i trzymanym w ręce udkiem wędzonej kury wskazał drzwi. Poszliśmy tam.

W niewielkim gabinecie z otwartym na oścież oknem trudno się było precyzyjnie. Oprócz czterech rzekomych kontrolerów z urzędu skarbowego, harowało tutaj dwóch szkolnych administratorów. Wyróżniali się z tłą nie tyle szarozielonymi mundurami, ile kwaśnym wyrazem zmęczonych twarzy.

- Jakież sukcesy? - zapytał od progu Pratt, nawet się nie witając.

- Przeglądam akta najlepszych absolwentów z ostatnich pięciu lat - zameldował jeden z kontrolerów, długi jak żerdź, z palcami poplamionymi atramentem.

Wychodziło na to, że urzędnicy skarbowi zrobili, co do nich należało - zebrali materiał kompromitujący kierownictwo szkoły i dzielni wojacy naprawdę musieli odłożyć na bok wojskowy honor.

- Dlaczego tylko z pięciu? - zdziwił się Jack.

- Bo najlepsi ze starszych roczników w większości opuścili ten świat — odpowiedziałem. - Kampania Zachodnia, słyszałeś o czymś takim? Lemskie Pole...

- Tak jest — burknął wąsaty kapitan. - Najlepsi zostali na Lemskim Polu. Trzeci pułk. A sądząc z okoliczności zamachów, wasz strzelec nie mógłby pozostać niezauważony, gdyby przeżył tamtą rzeź.

- Jednego nie rozumiem. — Drugi z oficerów pociągnął się za długi wąs. — W takich warunkach zwykły łucznik nigdy nie zdecydowałby się wykonać zlecenia. Zbyt wiele czynników, nazbyt wielkie ryzyko niepowodzenia.

- Ale on trafiał - odparłem. Też miałem podobne wątpliwości. Zabójca strzelał jakoś mało pewnie. Wprawdzie zadania wykonywał, ale dwa razy o mały włos zaprzepaściłby sprawę. - Chociaż nie powinien nawet próbować, tak? Wychodzi na to, że jest albo niesamowicie pewny siebie, albo nie miał wyjścia.

- Albo jedno i drugie - dodał Jack. Z pewnością również czuł, że coś jest nie tak.

- I na jeden wspaniały strzał w bardzo trudnych warunkach przypada inny, który o mało nie chybia - wyraziłem głośno swoje obiekcje. - Może szukamy nie tego, co trzeba? A co, jeśli strzelców było dwóch?

- Ed Roche! - zawołali nagle razem administratorzy królewskiej szkoły.

- Kto? - Spojrzeliśmy na nich z Pratem, zaskoczeni.

- Edward Roche Młodszy — wyjaśnił kapitan. - Urodzony strzelec, ale strasznie roztrzepany.

- Ten, który nigdy nie chybia — dorzucił drugi oficer. I wyjaśnił: - Tak go nazywali.

- Są tutaj jego akta? - Jack spojrzał na pudła z dokumentami.

- Nie. - Kapitan potrząsnął głową. - Edwarda nie da się zaliczyć do najlepszych łuczników nawet przy całym szacunku dla jego ojca. Ten to był wspaniałym strzelcem.

- Ale przecież powiedzieliście, że chłopak nigdy nie chybiał.

- Trafić w cel, a być dobrym łucznikiem to jednak różne sprawy - odparł kapitan. - Trafił zawsze. Z każdej możliwej pozycji, ale w dobrych warunkach. Trafił w tarczę. Bo w jabłko nie umiał nawet z dwudziestu kroków.

- Dawać tu jego akta, i to szybko! — rozkazał Jack, a jeden z kontrolerów natychmiast wyskoczył na korytarz.

- Ale to nie Roche - zauważył podwładny kapitana. - On w zeszłym roku zastrzelił kochankę swojej przyjaciółki i najbliższy tuzin lat spędzi w więzieniu. Słyszeliście o „Rdzawym Oskardzie”?

- Obiło nam się o uszy - odpowiedział Pratt w zamyśleniu i spojrzał na mnie.

Tylko kiwnąłem głową. Zabity nadzorca pracował właśnie tam. Zwykły przypadek czy coś więcej?

* * *

- Myślisz, że to on? - Jack zatrzymał się przed wejściem głównego budynku i machnął ręką stangretowi, siedzącemu na koźle naszej karety. Deszcz lał bez przerwy, żadnemu z nas nie chciało się biegać przez całe podwórze. Dopiero przecież zdążyliśmy trochę obeschnąć.

- Trzeba sprawdzić. - Wzruszyłem ramionami. - Coś za dużo tych zbiegów okoliczności.

- Za dużo. — Pratt zwrócił się do wychodzącego za nami na świeże powietrze osiłka, który już dawno zjadł, co miał i teraz otulał się nie wiadomo gdzie zdobytą kurtką mundurową strażnika królewskiej szkoły strzeleckiej. - Wyciągnijcie wszystko, co się tylko da, o związkach zabitych oraz ich krewniaków i współników w interesach z „Rdzawym Oskardem”. My jedziemy do więzienia.

- To nie jest chyba najlepszy pomysł - mruknąłem. - Tak po prostu się tam zjawisz i zażadasz spotkania z Roche? Nie odmówią ci na pewno. O nie! Ale on właśnie w tym czasie dziwnym zbiegiem okoliczności powiesi się w celi.

- Racja. Pierre, zrób dla nas patenty admiralicji. I dokumenty upoważniające do przydzielenia na potrzeby floty piętnastu więźniów.

Koncept Jacka był prosty. Cierpiąca na wieczny brak ludzi flota bardzo często zabierała katorżników do pracy przy wiosłach, albo w dokach. Nikogo taka wizyta nie powinna zdziwić.

- Będziemy czekać na ciebie... — Rudzielec zawiesił głos i spojrzał na mnie.

- W tawernie „Pod Czarnym Czółnem” - podpowiedziałam.

- „Pod Czarnym Czółnem” - powtórzył za mną. - I pośpiesz się, bo chciałbym do więzienia zajechać jeszcze za dnia. Aha, nie zapomnij od razu przysłać furgonu i pół tuzina strażników.

* * *

- Stój! - Stuknąłem w ściankę, kiedy koła karety zastukały po bruku.

- A ty dokąd? - zdziwił się Jack.

- Zaraz dotrę. - Wpadłem na pomysł, żeby odwiedzić starego znajomego, mieszkającego w okolicy.

- Zamów coś do jedzenia.

- Pośpiesz się! - uprzedził.

- Postaram się.

Wyskoczyłem z pojazdu i pobiegłem do korzennego sklepu mieszczącego się na parterze narożnego domu. Oczywiście nie zamierzałem dokonywać zakupów, ale chciałem zobaczyć się z właścicielem tego skromnego przedsiębiorstwa. Miałem nadzieję, że od czasu naszego ostatniego spotkania nieco ochłonął i nie złapie od razu za nóż. Jeśli już o to idzie, powinien podziękować, że wykpił się tylko złamaną nogą. Bo równie dobrze mógł posłużyć za pokarm dla ryb.

- Witaj, Świstak - powiedziałem, zamykając wejściowe drzwi, wyposażone w dzwoneczek.

- Dzień dobry, Sebastianie. - Zerknął przelotnie w stronę zaplecza sklepu. Był wysoki, niezgrabny, łysiejący, z wyraźnie zaznaczonym brzuszkiem. Zaczynał jako uliczny rzezimieszek, niemający zbyt wiele szczęścia. Potem stał się porządnym mieszczaninem. I bardzo znamienitym członkiem miejscowego półświatka. — Dawno wróciłeś?

- Parę dni temu. - Usiałem na krześle przy ladzie. - Wciąż siedzisz w swojej norze?

- Noga, sam rozumiesz, łupie mnie w taką pogodę. Sił na wszystko brakuje! — Świstak spojrzał na mnie znacząco.

- A tak, pogódkę mamy cudowną. Ciągle deszcz. Człowiekowi się zdaje, że zaraz utonie. - Nie pozostałem mu dłużny.

- Masz sprawę? - Dobrze odczytał aluzję.

- Coś tam mam. - Pochyliłem się w jego stronę, ściszyłem głos i poprosiłem: - Niech chłopak wyjdzie z pakamery i pochodzi po ulicy.

- W taką pogodę?

- Przez pięć minut się nie rozpuści. - Oparłem się łokciami o ladę. - Musimy pogadać o poważnych rzeczach, nikt nie może się dowiedzieć. Wstyd by potem było.

- Pika, skocz do kramu mięsnego - rozkazał Świstak, a kiedy za niewysokim, krępyim chłopakiem zamknęły się drzwi, spojrzał na mnie, nachmurzony. - Przysłał cię Kościwór?

- Spokojnie. - Skrzywiłem się mimo woli. - Przecież wiesz, że z panem Osho nie prowadzę już

spraw. Żadnych i nigdy.

- Kto was tam wie - burknął gospodarz. Jakkolwiek mocną by miał pozycję, nie mógł sobie pozwolić na spory z moim dawnym pracodawcą. — Z czym przychodzisz?

- Masz jakichś ludzi w „Rdzawym Oskardzie”? - przeszedłem do rzeczy. — Takich, którzy chcieliby wyjść na wolność przed terminem?

- Przypuśćmy. - Świstak zrobił się czujny. - I co?

- Jeśli dostarczą pewnych informacji, zatroszczę się, żeby wyfrunęli na swobodę. Ale potrzebni są ludzie pewni. Z tych, którzy potem nie będą mleć ozorem.

- Wielki się z ciebie zrobił człowiek, co?

- Nigdy mały nie byłem. To jak?

- Jakiej informacji potrzebujesz? - Świstak się przełamał.

- Sam z nimi porozmawiam. - Pokręciłem głową. - Kto mniej wie, lepiej śpi.

- Pamiętasz Rybaka? - spytał gospodarz po chwili namysłu. — Tego z Gołębiego Zaułka?

- Pamiętam.

- Jeśli go wyciągniesz, to i mnie się przyda.

- Nie zrozumiałeś. - Wstałem i założyłem na głowę mokry kaptur. - Jego wypuszczą, jeśli okaże się pożyteczny. Bądź więc tak dobry i przekaz mu wiadomość. Natychmiast.

- Umowa stoi.

- Tak... - Zatrzymałem się jeszcze przy drzwiach. - Ostrzegam tylko, że jeśli potem zaczniesz kłapać paszczą, to nieprzyjemności będziemy mieli nie tylko on i ja. Ale to już chyba rozumiałeś.

Od sklepu Świstaka do „Czarnego Czółna” było pięć minut szybkim marszem. Mimo to i tak zdążyłem przemoknąć do suchej nitki, więc do tawerny dotarłem zmarznięty, zmęczony, głodny i zły. Kiedy więc z uliczki wyskoczył jakiś młody rzeźmieszek, zareagowałem odpowiednio.

- Pan Osho chce poroz...

Nie zdołał dokończyć. Z obrotu rąbnąłem go nasadą dłoni w nos. Potem seria szybkich uderzeń w szczękę i w splot słoneczny. I zanim chłopak padł na ziemię, dokończyłem kantem dłoni w szyję.

Więcej nikt nie próbował mnie zatrzymać.

- Stary znajomy? - mruknął stojący przed wejściem Jack.

- Coś w tym rodzaju. - Otworzyłem drzwi. - Zamówiłeś jedzenie?

- A jakże inaczej! - Rudy wskazał stół w rogu. - A tak przy okazji, jeśli masz kłopoty, powinienem o nich wiedzieć.

- Żadnych kłopotów. - Rzuciłem przemoknięty płaszcz na ławę i usiadłem jak najbliżej rozpalonego kominka. - Dawny pracodawca chciał się ze mną widzieć.

- Dlaczego tak ostro odprawiłeś posłańca? - Pratt podniósł pokrywę stojącej na stole tacy.

Pieczeń? Znakomicie. I rybny pieróg. I bułki serowe.

I pieczona kukurydza. O dzbanie grzanego wina nawet nie wspomnę. Bez tego na pewno dostałbym kataru.

- Kiedy po czterech latach pracy dla tego łajdaka trafiłem do lochu, nawet nie ruszył palcem w bucie, żeby mnie wyciągnąć. A przecież zamknęli mnie właśnie z powodu pracy dla niego!

- Ile odsiedziałeś? - Jack zaczął dzielić wieprzowinę.

- Nic. Zgłosiłem się do piechoty.

- Sprytnie! Tam cię zauważyli ludzie Malkolma?

- Tak. - Napełniłem kubek winem i upiłem spory łyk. Uf, jak dobrze! - Sam rozumiesz, że jeśli się otrzyma od kogoś takiego propozycję, nie należy odmawiać.

- Ile już pracujesz dla Parre? Pięć lat?

- Aha.

- No to nieźle! Myślałem, że w tej służbie tyle się nie przeżyje.

- Słuchaj, dlaczego się przyczepiłeś? - Znów upiłem wina. - Ile par butów zdarłeś w królewskiej służbie?

- Na pewno nie mniej, niż ty — roześmiał się. - O! Jest i posłaniec! Szybko się uwinęli.

- Żeby jeszcze tylko dostarczył coś pożytecznego - mruknąłem z pełnymi ustami.

Mój rudy przyjaciel nie podzielał tych obaw i okazało się, że miał rację. W przekazanej przez kuriera paczce znaleźliśmy patenty admiralicji, zlecenie dla naczelnika, aby dostarczył piętnastu skazańców na potrzeby floty i małą karteczkę, zawierającą wiadomości o związkach zabitych z więzieniem.

- Co napisali? — Rozsiadłem się wygodnie na krześle.

- Nadzorca pracował w „Rdzawym Oskardzie”, tego powinniśmy się spodziewać, prawda? - Jack uśmiechnął się. - Hm... Ale to jest o wiele bardziej interesujące. Rewizor z urzędu podatkowego kilka ostatnich lat sprawdzał raporty więzienne. Właścicielowi ziemskiemu przydzielano kontyngenty skazanych do prac polowych. Sędzia wysyłał do lochów nie tylko takich złych chłopców, jak ty, ale rozpatrywał również prośby o wcześniejsze zwolnienie. To znaczy, nie tylko on sam, ale sprawy szły do jego okręgu. Ale o celniku nie ma nic.

- Większość ofiar miała zatem bezpośrednie związki z „Rdzawym Oskardem” - zamyśliłem się. - Brudna sprawa.

- Musi być bardzo brudna, skoro mamy aż pięć trupów. - Jack opróżnił kubek ostygłego już wina i wstał. - Jak wiadomo, ryba psuje się od głowy.

- Myślisz, że tropów należy szukać wśród zarządzających, na górze? - Z ociąganiem założyłem wilgotny jeszcze płaszcz.

- Na pierwszy rzut oka tak. - Pratt, zmierzający już do wyjścia, zatrzymał się i odwrócił. - I właśnie to mi się bardzo nie podoba!

- Niby czemu? — zapytałem, kiedy już wyszliśmy na zewnątrz.

- Komendantem więzienia jest baron Aspinne, bardzo wpływowo człowiek. Ma wielu przyjaciół.

- Taki strażnik więzienny? - zdziwiłem się. Rozglądałem się w poszukiwaniu naszej karety.

- Właż do furgonu. - Jack popchnął mnie lekko w stronę krytego płótnem wozu o wysokich burtach z desek. - Jego rodzina zarządza więzieniem od trzech czy czterech pokoleń. To już prawie rodzinne przedsiębiorstwo. Zaczynasz rozumieć?

- Mogą nie dopuścić do dochodzenia?

- Właściwie nie. Ale może się okazać, że na górze już wiedzą, kto jest wszystkiemu winien. Po prostu jeszcze nas o tym nie powiadomiono.

- Niech to diabli! - burknąłem i wszedłem do pojazdu w którym siedziało pięciu krzepkich mężczyzn w mundurach marynarki wojennej. Okrągłe czapeczki, pasiaste wutowane kurtki, luźne spodnie i ciężkie buciory. Przy pasach wisiały im kordziki oraz krótkie pałki. Mordy mieli takie, że każdy pirat na ich widok sam się powinien powiesić.

- Ruszaj! - zawołał Jack, który usiadł obok mnie. - Dobrze, będziemy działać wedle okoliczności.

- To jasne - uśmiechnąłem się. - Ale niezrozumiałe jest coś innego.

- Co znowu? - Nastroszył się rudy.

- Coś mi się zdaje, gołąbku, że mnie wodzisz za nos.

To, co zobaczyłem w szkole strzelców, naprowadziło mnie na myśl, że kolegium jakoś zbyt gorliwie zabrało się do dzieła.

- O czym mówisz?

- Sam pomyśl... - Spojrzałem na dzielnych marynarzy i zniżyłem głos. - Moja opowieść nawet ostatniemu głupkowi wydałaby się stekiem bzdur, prawda? Powiniennem skończyć w domu dla obłąkanych, a zamiast tego wciągnięto mnie do waszego resortu...

- Przecież mówiłem...

- Dużo mówisz. Ale dlaczego ta sprawa wzbudziła taką panikę, jakoś zapomniałeś mnie oświecić.

- O jakiej panice mowa?
 - Zwyczajnej panice. A może, według ciebie, skierowanie śledczych z całej stolicy w jedno miejsce, w tym przypadku do szkoły strzelców, to zwyczajna procedura w kolegium?
 - Posłuchaj...
 - Nie mam zamiaru słuchać bredni. Mów, co się dzieje!
 - Niech cię szlag. - Jack skrzywił się. - Zdajesz sobie chociaż sprawę, że chcesz ode mnie wyciągnąć tajemnicę państwową?
 - Bardzo śmieszne - parsknąłem. - Ty i tajemnica państwowa! Koń by się uśmieł!
 - Na północy jest niespokojnie - powiedział z pełną powagą nadęty Pratt po dłuższej chwili.
 - Żarty sobie stroisz? Powiedz jeszcze, że Dragarn zamierza się z nami porachować za Kampanię Zachodnią.
 - Poważnie mówię!
 - Ja też! Co jest nie tak z Dragarnem?
 - Akurat tam panuje zupełny spokój - westchnął ciężko Jack.
 - W cichych odmětach mieszkają diabły. - Nie miałem zamiaru zostawić w spokoju rudego przechery. - A na północy co jest? Lens z Norveimem znów szczerzą na siebie zęby z powodu Roegu?
- Ta prowincja przez ostatni wiek przechodziła z rąk do rąk nie mniej niż dwanaście razy i stała się zarzewiem kilku długotrwałych wojen. Zatem zdanie „na północy jest niespokojnie” zazwyczaj oznaczało tylko tyle, że Norveim i Lens kolejny raz wymieniają noty dyplomatyczne i ostentacyjnie gromadzą wojska przy granicach.
- To także. - Pratt pokiwał głową. - Tylko że w Lensie dzieją się naprawdę niepokojące rzeczy. Słyszałeś o dziwnej śmierci Edwarda I?
 - Słyszałem.
 - Jego synek zaczął sprowadzać heretyków. O otwarciu misji Zakonu Wypędzających nawet mowy być nie może.
 - To zrozumiałe - prychnąłem.
 - A to, że tam teraz opętanych szpicle królewscy gdzieś wywożą też jest takie zrozumiałe? Armia rośnie jak na drożdżach, a w niektórych garnizonach pojawili się zaklinacze diabłów!
 - Jak to?
 - A tak to! - Jack spojrzał na mnie z wyższością. - Popatrz taki zaklinacz żołnierzowi w oczy, a ten z miejsca robi wszystko, co ten mu nakaże.
 - A, rozumiem! - zachichotałem. - U nas takich nazywa się sierżantami.
 - Błazen! - warknął rudy i o mało nie zleciał z ławki, kiedy koło furgonu trafiło na jakiś wybój. - Powie taki „idź w ogień”, a żołnierze pójdą. Powie „rzuc się na kopie”, a oni się rzuca.
 - Taki żołnierski los.
 - A jeśli opanuje naszych żołnierzy? Albo jeszcze gorzej?
 - Tak to wygląda...?
- Teraz zrozumiałem, dlaczego moją historię potraktowali poważnie. Ten opętany w Sarinie nie takie sztuczki robił...
- Właśnie tak - powiedział Pratt. — Powiadają, że w tym miesiącu zatrzymali jednego takiego, bodaj w pałacu.
 - To pewna informacja?
 - Tak pewna, że bardziej się nie da.

IV

Kiedy furgon podjechał do głównej grupy budynków „Rdzawego Oskarda”, miało się już ku wieczorowi. W ogóle przez cały dzień nie było zbyt jasno z uwagi na zaciągnięte ołowianymi chmurami niebo, ale teraz w ogóle zrobiło się ciemno. Na dodatek wokoło były najeżone kolcami ogrodzenia

wysokości trzech ludzi i szare gmachy z wąskimi zakratowanymi okienkami. Nie cierpiałem podobnych miejsc.

Wjechać na teren więzienia okazało się niełatwym zadaniem. Nawet nasze patenty i groźby poirytowanego przestojem Pratta nie od razu skłoniły wartowników do otworzenia wrót. O nie, najpierw czekali na jakiegoś urzędnika. Ten przyszedł w końcu, ale sam nie mógł zdecydować o pozwoleniu na wjazd furgonu, więc poszedł ustalać sprawę z naczelnikiem. A ten naczelnik miał nad sobą następnego przełożonego, który, jak na złość, właśnie w tym czasie musiał wyjechać na wizytację...

W efekcie bitą godzinę staliśmy jak durnie w ulewnym deszczu. Oczywiście nasz nastrój się od tego nie poprawił. A kiedy już stało się jasne, że pan baron od razu po obiedzie gdzieś wyjechał i wróci dopiero rano...

Tylko on miał prawo decydować o przeniesieniu więźniów.

„Rozumiecie, panowie, baron ma dzisiaj jubileusz... Przyjedźcie jutro”.

Ale byliśmy uparci oraz przekonujący. Ciskaliśmy gromy i nie zamierzaliśmy nigdzie odjeżdżać bez przydziału darmowej siły roboczej dla floty. A zastępca komendanta przeklinał sto razy chwilę, kiedy postanowił nas przyjąć. Bo odegraliśmy się na nim zawiązką.

- Wyobrażasz sobie, że ten szcurek jest zięciem barona? - mruknął Jack, kiedy zastępujący komendanta mężczyzna, który rzeczywiście przypominał w pewnej mierze szczura, powołał się na ważne obowiązki i zostawił nas samych ze spisem osadzonych.

- To dlaczego nie pojechał świętować? - zdziwiłem się.

- Mówiłem przecież, że więzienie to rodzinne przedsiębiorstwo, ktoś musi pracować. - Pratt wzruszył ramionami. - Dobrze, sprawdzamy byłych wojskowych, marynarzy i rybaków. Ty wypisujesz numery, a ja ustalę, gdzie przebywają.

- Niech będzie. - Taki podział pracy bardzo mi odpowiadał. Nie mogłem się zdecydować, czy warto mówić przyjacielowi o Rybaku. Nic, później się zobaczy.

Wybór kandydatów do pracy w dokach zajął nam nie więcej niż kwadrans. To zrozumiałe: więźniowie jako tacy niewiele nas obchodzili. Braliśmy każdego odpowiadającego wymaganiom, jaki się nawinął. Przyszło mi się jednak trochę namęczyć, kiedy starałem się znaleźć w grubych księgach prawdziwe imię Rybaka, ale na moje szczęście Jack właśnie wtedy zajmował się przepisywaniem na czysto czterem nazwisk pozostałych wybrańców admiralicji.

W końcu wyrzwał na korytarz, gdzie czekał przestępujący z nogi na nogę strażnik.

- Wołaj dowódcę. Szybciej, szybciej! Na jednej nodze!

Zięć barona nie kazał na siebie długo czekać. Spojrzał na listę, skrzywił się, jakby zobaczył na niej własne imię, ale nie czynił nam wstrętów i kazał nadzorcy załatwić formalności z przekazaniem osadzonych.

Zebranie i załadowanie na furgon zakutych w łańcuchy więźniów okazało się prostą rzeczą. Za to moc czasu zeszła na wypisanie potrzebnych dokumentów. Zużyto papierów i atramentu za nie mniej niż pół marki.

- Staniemy gdzieś po drodze? - zaproponowałem, kiedy za furgonem niespiesznie zamknęły się wrota więzienia.

- Nie. - Rudy skulił się pod wpływem zimnego wiatru. Siedzieliśmy na koźle obok woźnicy, dlatego zmarzliśmy tak, że zębem nie trafialiśmy na ząb. Ale przynajmniej dopisywały nam humory. Gdybyśmy tylko jeszcze mieli pewność, że nasze domysły co do osoby zabójcy są słuszne... - Specjalnie dobierałeś tego ostatniego chłopa?

- Ehe. - Wcale mnie nie zdziwiła jego domyślność. - Jeśli w więzieniu jest coś nie tak, będziemy wiedzieli.

- Jeszcze jeden stary znajomy? - Pratt zmrużył oczy.

- Znajomy starego znajomego - odparłem z uśmiechem.

- W takim razie najpierw nim się zajmiemy.
- Zgadza się.

* * *

- Witaj, Rybaku - uśmiechnąłem się, kiedy dwóch strażników przyprowadziło do piwnicy chuderlawego czterdziestolatka. Po przechadzce korytarzami gmachu królewskiego kolegium spraw wewnętrznych siwowłosemu mężczyźnie wyraźnie zrobiło się niedobrze, ale nie przeszkodziło mu to natychmiast mnie rozpoznać.

-Witaj, Sebastianie. - Wskazał ruchem brody Pratta. -On jest z tobą?

- Przechodź. - Strażnik popchnął Rybaka w stronę stojącego pośrodku pomieszczenia krzesła, dwoma wprawnymi ruchami przypiął go pasami i wyszedł.

- A to niby po co? — spytał katorżnik z westchnieniem.

- Formalność. - Skrzywiłem się. - Świstak zdążył przekazać wiadomość?

- Tak.

- Zatem wiesz, czego potrzebujemy. - Jack popatrzył przenikliwym wzrokiem na więźnia.

- A skąd? - Rybak spróbował wzruszyć ramionami, ale bez powodzenia. - Pytajcie.

- Co możesz powiedzieć o Edwardzie Roche?

- Były królewski strzelec. — Rybak zmarszczył czoło. -Sam go nie spotkałem, ale powiadają, że siedzi w bloku szczęściarzy.

- Szczęściarzy? - Pratt drgnął.

- Trzymają tam tych, którzy mogą sobie pozwolić na opłacanie się baronowi, i mieszkają w oddzielnym budynku. Znaczą, żeby z bydlęciem się nie zadawać. Do roboty ich nie wyprawiają.

- Ile płacą? - Jack nie wydawał się zdziwiony tym wyjaśnieniem.

- Nie wiem. Jakoś mnie to nigdy nie ciekawiło.

- Samemu baronowi dają pieniądze? - uściśliłem.

- Pewnie, że nie. Ktoś z pomniejszych pomagierów zbiera złoto. Ale oni tam wszyscy są spokrewnieni. Wiadomo, do kogo pieniążki trafiają.

- Wiesz coś jeszcze o Roche?

- Niestety, nie.

- A ci, którzy chcą pracować gdzie indziej, niż w kopalni, też się muszą opłacać? - spytałem.

- Starszym nadzorcom. Ale oni na pewno dzielą się łupem z komendantem.

- Często zabierają więźniów na zewnątrz? - Jack zrozumiał, do czego zmierza rozmowa. - Do prac polowych albo wyrębu?

- Rzadko - odpowiedział Rybak po chwili namysłu. -Sporo z naszą bracią zachodu. Jeszcze by ktoś uciekł albo i gorzej. Zazwyczaj starają się brać do tego dzieciaki albo kobiety. Albo tych, którym sąd wyznaczył roboty porządkowe. A u nas takich się nie trzyma. Tutaj baronowi pieniądze przelatują koło nosa.

- Czyli tak... - Teraz to Pratt się zamyślił. Ja zresztą też. Ciekawe, dlaczego zastrzelony ziemianin brał na pola właśnie katorżników? Jeśli się dobrze zastanowić, musiał wydawać fortunę na strażników! - A mówiono coś, żeby jakichś więźniów brali do robót w polu na północ?

- Coś gadali - potwierdził Rybak. - Tylko rozumni ludzie gotowi są płacić, żeby ich tam nie wzięli.

- A dlaczego? — spytałem natychmiast.

- Niektórzy wracają nie przy zdrowych zmysłach. A inni w ogóle przepadają. Był człowiek, nie ma człowieka.

- Pozostali co o tym mówią?

- Nic nie mówią. Nikt nic nie widział. Budzą się rano, a człowieka nie ma. Bywa tylko, że za miesiąc czy dwa przywożą ich jakichś osowiałych. Ale rzadko.

- Osowiałych? To znaczy co? - zainteresowałem się i zakreśliłem palcem przy skroni. - Coś w tym

rodzaju?

- Nie, skąd. Wszystko rozumieją. - Rybak pociągnął nosem. - Ale strasznie stronią od ludzi.

Przestają gadać z kompanami. Odzywają się coraz rzadziej, w ogóle nie odpowiadają na pytania.

- Nikt nie dał rady ich wypytać? - zdziwił się Jack.

- Bardzo szybko się ich pozbywają. Najpierw siedzą ze szczęściarzami, a potem są zwalniani przedterminowo. Żeby w oczy nie leźli.

Jack wstał i otworzył drzwi.

- Zabierzcie go - polecił.

- Dokąd teraz? - Rybak sposepniał.

- Trochę popracujesz w królewskich stoczniach, a potem pójdziesz na wolność. Tak, jak ci osowiali. - Wzruszyłem ramionami. - Tylko pamiętaj, o naszej rozmowie ani pary z gęby. Usłyszysz, kto nie trzeba i skończysz jako żarcie dla ryb. Jasne?

- Jasne.

Konwojenci wyprowadzili katorżnika, a Jack natychmiast zwrócił się do mnie.

- Rozumiesz coś z tego?

- Nie - przyznałem.

- Tak samo, jak ja. - Rudy targnął wąż i przeszedł się z kąta w kąt. - Komendant więzienia wysyła osadzonych na żniwa. - Tam niektórzy znikają...

- A rewizor królewski przymyka oczy na nieobecność więźniów - wtrąciłem.

- Niektórych zaś, którzy wracają osowiali, zwalnia się przed terminem - kontynuował myśl Jack. -

Pozostaje wyjaśnić, skąd tutaj zabity celnik. Roche powinien nas oświecić.

* * *

- Imię?

- Edward Roche.

- Zajęcie?

- Osadzony.

- Odbywasz karę w „Rdzawym Oskardzie”?

- Tak.

Przesłuchanie Strzelca przebiegało wedle wszelkich reguł: do piwnicy przyniesiono stół, a przygryzający wargi pisarz skrobał bez przerwy piórem po papierze. Sam Roche nie robił jakiegoś szczególnego wrażenia. Mniej więcej w moim wieku, zaokrąglony, mimo przebywania na więziennym wikcie. Dawno nie strzyżone jasne włosy, otwarte spojrzenie błękitnych oczu. I tylko dłonie z długimi, gruzłowatymi palcami odbiegały od ogólnego obrazu. Nie taki sobie zwyczajny łucznic, jak by się zdawało, wcale nie taki sobie zwyczajny...

-I czym się tam zajmujesz? - Do Jacka również dotarło, że to będzie trudna rozmowa. Nie żeby mu igły wbijać pod paznokcie tak od razu... Chociaż, jeśli będzie trzeba...

- Pracuję na kuchni.

Nie okazywał najmniejszego zdziwienia tym przesłuchaniem i nie wiedzieliśmy, czy nie miał pojęcia, dokąd trafił, czy tak wspaniale potrafił ukrywać uczucia. Za to stało się zrozumiałe, dlaczego jest tak dobrze odżywiony.

- To wszystko?

- Tak.

- Czyli czyściutka praca? - Jack uśmiechnął się.

- Nie mogę narzekać. - Roche odpowiedział uśmiechem. - Powiedźcie, czy na długo trafię do floty?

- Śpieszy ci się z powrotem? — Stałem za jego plecami.

- Jeżeli ktoś zajmie moje miejsce w kuchni, wyślą mnie do innej roboty.

- No tak, miejsce dobre, chętnych nie brakuje - zgodził się Pratt. - A na wolność byś już nie chciał

może?

- Po co te pytania? - Edward wreszcie nie wytrzymał. -Czego ode mnie chcecie?
- Nie jesteś przecież biednym człowiekiem, prawda? -Jack uśmiechnął się drapieżnie.
- Ja?! - Roche zmieszał się. - Nie mam grosza przy duszy!
- Doprawdy?! Ludzie płacą spore pieniądze, żeby ich przydzielono do bloku szczęściarzy, a ciebie za darmo tam umieścili? - Mój kompan pstryknął kolczyk w lewym uchu.
- Ależ to się w życiu dziwnie składa...
- Pieniądze nie są najważniejsze. Ważne, żeby umieć dogadać się z ludźmi. - Edward nie tracił

rezonu.

- A ty właśnie umiesz?
- A co, tak po prostu w kuchni się zatrudniłem, czy co?
- No tak - mruknął Jack z namysłem. Przyduszenie więźnia nie stanowiło kłopotu. Na pewno nie.

Wystarczyłoby zawołać łamignatów, wszystko z niego wyciągną. Tylko że na to potrzeba czasu. A jeśli okaże się, że to ślepy trop, nie będzie dobrze. - A innego rodzaju usług nikomu nie świadczyłeś?

- Jak to „innego rodzaju”? - zaniepokoił się Roche. - Za kogo mnie bierzecie? I kim wy w ogóle jesteście?

- Kim jesteśmy, nie musisz wiedzieć. - Pratt chwycił młodego mężczyznę pod brodę i podniósł jego twarz do światła. - Ważne jest coś innego. Teraz wszystko zależy od ciebie. Albo skończysz na szubienicy, albo jeszcze pożyjesz. Rozumiesz, o co chodzi?

- Nie! - wykrztusił łuczniczek.
- Gdzie byłeś przedwczorajszej nocy? Kto wyprowadził cię z lochu i dał łuk? Kto eskortował?! - wrzasnął Jack, puszczając podbródek więźnia. - Odpowiadaj!

- Co to za brednie?! - krzyknął w odpowiedzi Roche. -W celi byłem, a niby gdzie?! Zapytajcie strażników! Czego takie rzeczy wymyślacie?

- Zapytamy. - Pratt uśmiechnął się. Krzyki Edwarda nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Teraz nie było już wątpliwości, że strzelał Roche. Trudno to wyjaśnić słowami, ale w jego głosie brzmiała fałszywa nuta. - Tylko tyle chcemy od ciebie usłyszeć. Jeśli opowiesz, jak było, odsiedzisz swoje i wyfruniesz na wolność. Ale jak będziesz się zapierał... No cóż, i tak wszystko wyśpiewasz. Tylko wtedy po co ci wolność? Bez rąk, bez nóg... Sam będziesz błagał, żeby cię powiesili.

- Nie rozumiem, o czym mówicie — oznajmił więzień i zacisnął wargi z uporem. — Byłem w celi. I nikogo nie zabiłem.

- Młody człowieku — Pratt zwrócił się do pisarza. - Zawołaj oprawców, nie mam ochoty ciągnąć tego tutaj do katowni.

- Opowiadaj. — Klepnałem katorżnika w ramię. - Dopóki nie jest za późno.
- O czym mam opowiadać? - Roche nie zamierzał się przyznawać wiedząc, że za pięciokrotne morderstwo i tak go czekają tortury na szafocie. - W więzieniu byłem!

- Słuchaj, jeśli nam pomożesz, nikt się nie dowie o naszej pogawędce. — Stałem naprzeciw Edwarda. - Porozmawiamy bez świadków, tylko we trzech. Ostatek kary odpracujesz w stoczni. Żadnych nowych oskarżeń. Żadnych spraw w sądzie.

- Nie mogę w niczym pomóc - odpowiedział, jakby nie nie słyszał.
- Możesz, Edwardzie. Możesz i pomożesz. - Pochyliłem się, żeby zajrzeć mu w oczy. - Jack, nie wpuszczaj na razie pisarza z powrotem.

- Co wymyśliłeś? - spytał, stojący przy drzwiach Pratt. -Sebastian, co chcesz zrobić?

Nie odpowiedziałem. Źle się czułem, bolało mnie. Bolało mnie o wiele bardziej, niż miałoby boleć Roche, nawet w katowni. Moje ręce zacisnęły się na poręczach krzesła, zamknięte oczy nalały się czernią. Zagnany w najdalsze zakątki duszy diabeł wstrząsnął się i po raz nie wiadomo który spróbował wyrwać na wolność, żeby wreszcie owładnąć upragnionym ciałem. Rozerwać na strzępy człowieczego

ducha, który okazał się tak mocny i uparty. I znów nie dał rady. Moja wola okazała się silniejsza od osłabionego demona. Ale wszyscy Święci mi świadkami, jak to bolało...

Otworzyłem oczy, a Roche zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał, wrzeszczał i wrzeszczał, ale nie był w stanie odwrócić ode mnie wzroku. Czerń moich oczu powoli rozpraszała się, zanikała, niczym osiadający na dnie stawu wzburzony muł. Łucznik odczuł tylko część doznawanego przeze mnie cierpienia, ale to wystarczyło z nawiązką.

- Stać! - krzyknął Jack na kogoś i przytrzymał drzwi. -Wszystko w porządku! Zgadza się, Sebastianie?

— Jak najbardziej. — Mrugnąłem kilka razy, żeby przywyknąć do światła, które wydało mi się nagle zbyt jasne. Zazwyczaj kiedy diabeł próbował wytrzymać moją wolę, musiałem odleżeć parę godzin. Tym razem albo Roche przyjął część uderzenia, albo nieczysty nie zdołał nabrać dość siły, bo czułem się całkiem przyzwoicie. Tylko te oczy... - Przynieście wody.

- Co to było? - zainteresował się rudzielec.

- Mała sztuczka. - Skrzywiłem się.

Moje domysły okazały się słuszne. Nie powinienem czekać, aż diabeł kolejny raz sam zechce uciec. A może w ogóle wrzucić go w ciało jakiegokolwiek nieszczęśnika? Nie, tak nie można. Ten skurczybyk potem przy pierwszej okazji wyprawi mnie do Świętych. A poza tym, to byłby zbyt obrzydliwy uczynek. Już lepiej zwrócić się do egzorcystów. Tylko nie wiadomo, czy zdołają sobie poradzić z taką bestią.

- Gdzie?! - zawołałem, kiedy strumień wody chlusnął w twarz Roche. - Miała być dla mnie! Ten sam by się ocknął!

Pisarz rozłożył przepaszając ręce i wybiegł z celi.

- Da radę mówić? — Jack spojrzał na przytomniejącego łucznika i wypchnął na korytarz wchodzącego mistrza małodobrego. — Na razie sami sobie poradzimy.

- Proszę. - Pisarz podał mi kubek z zimną wodą, a potem usiadł przy stole.

Napiłem się, przyłożyłem naczynie do czoła i znów przymknąłem oczy. Już lepiej. Obejdzie się na razie bez piołunowej nalewki.

- Hej, Roche, możesz gadać? - spytałem.

- Idźcie do wszystkich diabłów - wymamrotał niewyraźnie. Jeszcze nie doszedł do siebie.

- Życzysz sobie, żebym to powtórzył? - Postawiłem kubek na podłodze i chrupnąłem kostkami palców.

- Nie, nie trzeba! - Edward szarpnął się tak, że o mały włos przewróciłby się wraz z masywnym dębowym krzesłem. - Nie trzeba!

- Mamy pięć, dziesięć minut, zanim się opamięta - szepnąłem do Jacka. - Potem znów zacznie się wszystkiego wypierać.

- Ilu ludzi zabiłeś w ciągu ostatnich dziesięciu dni? -Pratt nie tracił czasu.

- Pięciu. - Roche spojrzał bezmyślnie na rudego.

- Z czyjego rozkazu?

- Komendanta więzienia.

- Barona Aspinne?! - Jack gwizdnął, zaskoczony.

- Tak - odpowiedział łucznik martwym głosem.

- Po co mu to? - postanowiłem wyjaśnić sytuację.

- Nie wiem, nie powiedział. - Roche pokręcił głową, z lewej dziurki nosa pociekła mu strużka krwi. — Nic nie powiedział...

- Lekarza, szybko! - zawołał Jack i przypadł do katorżnika. - Jak opuszczasz więzienie?

- Baron mnie wywoził. W swojej karecie.

- Kto z tobą chodził na robotę? On sam?

- Nie. Nie znam ich. Na pewno nie byli z więziennej straży. - Edward zaczął się zacinać, zamilkł i

zamrugął szybko. - Kim jesteście?

- Co baron ci obiecał? - Pratt potrząsnął więźniem, któremu głowa opadła na piersi.

Zaraza, gdzie lekarz? Jeśli ten człowiek umrze, trzeba będzie wszystko zaczynać od początku. Nie wolno mu pozwolić stracić przytomności.

- Co ci obiecał?

- Wolność. Dwanaście dni... i wolność...

- Dwanaście? Kto miał być szósty?

- Nie wiem...

Wtedy mnie i Jacka rozepchnięto na boki, dwóch medyków kolegium zaczęło odpinać Roche od siedziska. Musieli mieć wielkie doświadczenie w tej materii, bo w mgnieniu oka położyli katorżnika na noszach i wynieśli do lazaretu.

- Jak myślisz, przeżyje? - Trącił mnie w bok rudy.

- Przeżyje. - Zmrużyłem obolałe oczy. - Trzeba nad nim będzie jeszcze popracować.

- Dobrze, idziemy z raportem. - Pratt pociągnął mnie za sobą.

- Co znowu?

- A ty co, myślałeś, że barona obrobimy tak samo, jak tego zdechlaka? Nie, bracie, tu już się zaczyna wielka polityka...

Raportować przyszło temu samemu niepozornemu człowiekowi, który odwiedził mnie tego ranka w „Czarnym Czólnie”. I znów zamiast munduru miał na sobie zwykły cywilny surdut. Jego ranga pozostała więc dla mnie nadal zagadką. Ale na pewno nie był jakimś podrzędnym pracownikiem kolegium spraw wewnętrznych. Nawet sprytny Jack musiał się wysilić, żeby przejść przez kordony sekretarzy i strażników.

Jegomość wysłuchał nas w milczeniu. Nie zadawał pytań, nie przerywał i w ogóle zdawało się, że myśli o jakichś swoich sprawach. Ale wszystko do niego dotarło.

- Jeśli wziąć pod uwagę osobę czwartego zabitego, nie obeszło się tutaj bez udziału kogoś z zagranicy - powiedział, kiedy Jack wreszcie skończył. - Pozostaje dowiedzieć się, kto jest w to zamieszany. Norveim? To zbyt oczywiste...

- A jeśli spróbować rozpytać pana barona? - zaproponował Pratt.

- Być może jeszcze tego nie wiecie, ale jego wielmożność baron Aspinne kilka godzin temu targnął się na swoje życie. Wyskoczył z okna swojej miejskiej rezydencji dokładnie w czasie, kiedy świętował własne pięćdziesięciolecie. Poproszono mnie, abym zajął się tą sprawą osobiście.

- Są świadkowie? - Jack spochmurniał.

- Żona i córka. - Urzędnik zmierzył nas ciężkim spojrzeniem i znów zajął się leżącymi na stole dokumentami. - Pojedźcie tam i wyjaśnicie, co skłoniło barona do tak desperackiego czynu.

- Tak jest! - Pratt poderwał się natychmiast. - Wyjedziemy bez zwłoki.

* * *

- Ale jak my tam wejdziemy? — mruknąłem, kiedy wyszliśmy z gabinetu, mineliśmy posterunek straży i zeszliśmy na parter domu należącego do kolegium. - Jako wysłannicy admiralicji? Połowa rodziny pracuje w więzieniu!

- A jakie masz propozycje? Wrócić i powiedzieć, że nie możemy tego zrobić? - rozeźlił się i bez tego poirytowany Jack. Byliśmy zupełnie jak gończe psy, którym zdobycz w ostatniej chwili zdążyła uciec do nory. - Sam pójdziesz objaśnić panu Lanye, dlaczego nie wypełniliśmy rozkazu?

- Komu?! - zdębiałem. — To był Lanye?

- Oczywiście, we własnej osobie. — Rudy klepnął mnie w ramię. - Dobrze, nie panikuj, coś wymyślimy.

- I my do niego tak po prostu...? — Potrząsnąłem głową.

Pięć lat pracowałem dla królewskiej tajnej służby, ale nigdy nie widziałem kogokolwiek z wyższych

dowódców. Malkolm Parre nie zaliczał się do nich, jak by nie patrzeć. Nie ta ranga.

- W tej sprawie kuratorem jest osobiście Lanye. - Pratt spojrział mi prosto w oczy - Wyobrażasz sobie, o jaką stawkę toczy się gra?

Wyobrażałem sobie. Jakże by inaczej? Albo stanę się kimś, albo przepadnę. Żadnych pośrednich rozwiązań.

V

W miejskiej rezydencji barona Aspinne było sporo ludzi. Przybyli wyrazić kondolencje wysoko urodzeni goście, wraz z eskortą i czeladzią. Przesłano, nie wiadomo po co, gwardzistów i strażników departamentu więziennictwa. Przyjechali oszołomieni krzątaniną i chaosem strażnicy oraz wywiadowcy departamentu śledczego. No i oczywiście zebrał się w prawie pełnym składzie klan Aspinne.

W tym ludzkim wirze pojawienie się dwóch mnichów nikogo nie zaniepokoiło. Tym bardziej, że eskortujący ich konwojenci od razu znaleźli wspólny język zarówno ze strażnikami miejskimi, jak i ochroną barona. W rzeczy samej nieboszczyk przekazywał znaczne sumy na potrzeby stołecznego klasztoru Wszystkich Świętych, więc wydawało się naturalne, że wdzięczni mnisi zapragnęli przekazać wdowie wyrazy współczucia.

- Tutaj. - Towarzyszący nam Pierre wskazał wejście do osobistych komnat barona na drugim piętrze. Wartujący przy drzwiach gwardziści zdawali się nas nie dostrzegać.

- Nielicho. - Jack rozejrzał się. Głęboko naciągnięte kaptury przeszkadzały nam ocenić w pełni przepych rezydencji na niższych poziomach, ale tutaj nie musieliśmy się obawiać ciekawych spojrzeń. - Wyczuwa się subtelny gust!

- Ale z ciebie znawca. - Zsunąłem kaptur, stanąłem przed wiszącym na ścianie obrazem. - Uliczni artyści nie gorzej malują. Pierre, jak to się stało?

- Niedługo przed przyjęciem baron z małżonką postanowili obejrzyć prezenty od krewniaków. — Odziany w pyszny mundur królewskiego gwardzisty chłopak wskazał złożone w kącie pudła. - Nagle baron otworzył drzwi na balkon i rzucił się głową w dół. A tam jest kostka brukowa, więc skończył natychmiast.

- Tak po prostu wziął i się rzucił? — Zauważyłem na podłodze odłamki szkła i przyklęknąłem. - Może coś trzymał w dłoniach?

- Nie wiem. - Pierre wzruszył ramionami. - A co?

- Widzę tutaj odłamki zwierciadła.

- Zbiło się na nieszczęście - powiedział Jack i spojrział na Pierre'a. - Wyjaśnij, dlaczego zbito lustro. Tylko migiem!

- A jeśli to był prezent, od kogo pochodził - dodałem.

Podniosłem spory kawałek i spojrzałem na własne odbicie. Niepotrzebnie.

Ciemność rzuciła mi się do oczu, drgnąłem zaskoczony i rozciąłem skórę o ostrą krawędź. I właśnie to mnie uratowało, gdyż ból na chwilę rozproszył nieczystego, a przyczajony na dnie rozbitego lustra mrok nie zdołał zawładnąć moją wolą. W skroniach załupało, zamknięty w najbardziej ustronnym kąciku duszy diabeł szarpnął się, czując bliskość pokrewnego żywiołu, ale było już za późno. Rzuciłem odłamek na podłogę, nakreśliłem wokół niego okrąg za pomocą płynącej z palca krwi. Poczułem ulgę.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? - syknął Jack.

- Baron został zamordowany. - Wstałem powoli, okręciłem palce wziętą ze stołu serwetką, otarłem spocone czoło. - Nie inaczej...

- Krew ci płynie z oka. - Rudy przyjrzał mi się uważnie. - I z ucha. Lewego.

- Niech to cholera! - zakląłem i założyłem kaptur, słysząc za drzwiami szybkie kroki. - Na razie o tym ani słowa.

- Wiesz już? — Pratt skoczył na spotkanie zadyszkanemu Pierre'owi.

- Lustro trzymał baron. Dopiero je rozpakował. Nagle, ni z tego, ni z owego, trzasnął nim o podłogę

i poleciał na balkon.

- Od kogo był prezent? - spytałem, krzywiąc się od bólu głowy.

- Od córki i zięcia.

- Pierre, poczekaj chwilę za drzwiami. - Jack odesłał chłopaka i zwrócił się do mnie. - Co na to powiesz?

- Nie wiem, jak coś takiego jest możliwe, ale zwierciadło zostało przeklęte. A dokładniej, napełniono je ohydą.

- Bracia egzorcyci zdołają wyczuć coś niedobrego? — spytał Pratt w zamyśleniu.

- A kto by ich wzywał? W każdym razie lekki ślad złej aury nikogo nie będzie niepokoił. Człowiek przecież sam się rzucił na bruk. Po co więc wołać duchownych? A odłamki? Do rana staną się zwykłymi kawałkami szkła.

- Wychodzi na to, że barona ktoś postanowił zgładzić tak, żeby nie budzić podejrzeń?

- Dlaczego „ktoś”? - burknąłem. - Zięć.

- A powód? - Wpatrzony w okno Jack podrapał się w brodę.

- A co, jeśli baron nie był zamieszany w nic podejrzanego? Co, jeśli przypadkowo dowiedział się o jakichś machinacjach i, aby ratować honor rodziny, zaczął wyrывать chwasty? - Zdjąłem kaptur i zacząłem chodzić z kąta w kąt. - Zwróciłyby się do tajnej służby czy też protektorów w departamencie? Bardzo wątpię. Przecież nie chodziło tylko o jego pracę, ale przede wszystkim reputację rodziny, która na przestrzeni wielu pokoleń...

- Tak... A jeżeli zamieszany był w to zięć, odpowiadałaby także córka - zgodził się ze mną Jack. — Czyli co? Chciał to ukryć za wszelką cenę?

- Wyszukiwali pośród osadzonych nadających się ludzi, wywozili ich za granicę i robili im coś na tyle złego, że nie wszyscy mogli to przeżyć. - Spojrzałem na okruchy lustra. - Biorąc pod uwagę sposób zgładzenia barona, jest to jakoś związane z opętaniem i diabłami. Z magią.

- Bzdura! - zachnął się Pratt. - Piwnica u rewizora...

- Gdyby ktoś chciał po prostu pozyskać ludzi posiadających jakiegokolwiek talenty, wrażliwych na ohydę, nie byłoby powodu, aby ich oddawał z powrotem — mówiłem dalej.

- Czy to znaczy, że mamy pełno nieujawnionych opętanych w stolicy? — Jack od razu podchwycił moją myśl. - A niech to licho!

- Lanye przyjechał i chce cię widzieć, Jack. - Pierre wsadził głowę przez uchylone drzwi.

- Biegnijcie do karety - rozkazał rudy. - A jeśli mnie wywalą ze służby przez twoje brednie, Sebastianie...

- To będziemy we dwóch odcinać sakiewki na rynku - zaśmiałem się niewesoło. - Pomyśl lepiej, co będzie, jeśli cię nie wyrzucą.

Przy czym, uwagę wygłosiłem bardzo nie w porę. Bo w rzeczy samej - jeśli nie wyrzucą, to nie będzie czasu myśleć. Nie taka to sprawa. Trzeba się śpieszyć, nie deliberować.

Tak właśnie się stało. Po dwudziestu minutach zobaczyłem Jacka machającego do ziewającego na koźle woźnicy. Rudy podbiegł do pojazdu i rzucił:

- Jedziemy! Zięcia brać!

- We dwóch? - Spojrzałem na kompana sceptycznie. - Ale po co w ogóle? Może lepiej zacząć go śledzić? Ustalić, z kim jest powiązany?

- A jaki to ma sens? - Jack klapnął na siedzenie i otarł pot z twarzy. - Wszystkie związki już mamy. Podał je znany ci skądinąd łucznik. Jeśli kogoś pominął, to tylko małą płótkę. A zięć jest tutaj najważniejszy! Według mnie, będzie się chciał ukryć teraz w najciemniejszej norze. Głowę daję, że właśnie jego baron zostawił sobie na koniec. Ale wyciągniemy informacje ze szcurka. Najważniejsze, żeby go wziąć żywcem!

* * *

Podmiejska posiadłość, podarowana przez barona młodym w prezencie ślubnym, nie robiła wielkiego wrażenia. To znaczy, na pierwszy rzut oka mogła zachwycić - czyste powietrze, dębowy zagajnik, staw... Ale było tu jakoś ponuro. Wszystko zapuszczone. A może to tylko kwestia jesiennej aury? Mogło być i tak.

Chociaż wydawało mi się, że dwór i latem nie wyglądał wiele lepiej. A i posesja w sumie niewielka. Zza drzew widać już było dach sąsiedniego domu. Czego jak czego, ale nadmiernej szczodrobliwości zmarłemu baronowi nie można było zarzucić.

- Czego chcecie? - Ze stróżówki wyjrzał zaspany chłop w średnim wieku, ziewnął przeciągle i obejrzał nieśpiesznie stojące przed bramą furgon oraz karetę. Poniżej prawego kolana miał przymocowaną drewnianą kulę, ale obchodził się bez kostura. - Co?

- Gospodarz w domu? - Jack wysiadł.

- A ty niby kto? - Stróż zmrużył oczy, zaniepokojony widokiem licznych pierścieni i kolczykiem w uchu rudego. Zapewne nieczęsto gościli tu tacy ludzie.

- Departament śledczy — przedstawił się Pratt i podał beznogiemu papiery.

- W jakiej sprawie? - Stróż, przyświecając sobie lampą, obejrzał patent i zwrócił go. - Coś się stało?

- Jego jasność baron Aspinne nie żyje - odpowiedział Jack wprost. - Departament więziennictwa polecił przeprowadzić dochodzenie. No to przeprowadzamy.

- Ci niech tutaj zostaną - powiedział zdecydowanie chłop, wskazując na furgon, w którym siedzieli ci sami ludzie, co przedtem. Zdążyli już zmienić mundury królewskich marynarzy na nierzucające się w oczy szare ubrania.

- Jak chcesz. - Jack schował dokumenty, klepnął stróża po ramieniu, a ten nieoczekiwanie osunął się na ziemię. - Oj, bracie, musiałeś teraz zasnąć? No dobrze, odpocznij.

Kiedy Jack odciągał nieprzytomnego mężczyznę do stróżówki, dwóch ludzi wyskoczyło z furgonu i przelazło przez ogrodzenie. Rozległ się lekki zgrzyt, skrzypnięcie drewna i wrota otworzyły się powoli.

- Dalej już piechotą - rozkazał Pratt. - I zapamiętajcie sobie, barona brać tylko żywcem! Żeby mu włos z głowy nie spadł... A wy dokąd? Zostaniecie tutaj.

Woźnice, którzy dobyli lekkich kusz, skinęli głowami i ukryli się przed deszczem w stróżówce. I bardzo dobrze, przynajmniej dopilnują kuternogi. Przecież nie można go tak zostawić, bo gotów się obudzić zbyt wcześnie.

- Wy dwaj pilnujcie tylnego wyjścia. Pozostali zajmują pozycje przed głównym! - Pratt przydzielił zadania.

Upewniwszy się, że bełty zamiast stalowych grotów mają omotane wojłokiem drewniane kule, rudzielec rozkazał marsz w stronę domu. Podejść tam w ukryciu okazało się prostym zadaniem — zapuszczony ogród, zmrok i nie do końca opadłe liście znacznie ułatwiały sprawę. Z jakiegoś powodu gospodarze nie trzymali psów. Błąd.

- A my co? - spytałem, kuląc się od wieczornego chłodu.

- A my spokojnie pójdziemy dróżką - odparł Jack. - Po co się mamy ukrywać? Papiery są w porządku. Przepytały pana i odprowadzimy.

- Załatwilibyśmy rzecz zupełnie jawnie. Po co komplikować?

- A jak się ptaszek spłoszy? Umocny jest, może od razu uciekać. I wytłumacz to potem dowództwu. Że nie chcieliśmy komplikować. Postanowiliśmy zdać się na łut szczęścia.

- Dziwne, że nie ma psów - zauważyłem, rozglądając się, kiedy szliśmy przez ciemny ogród.

- Może ma dość ujadania psów w pracy? - odparł mój partner. — A może żona nie lubi?

- Też możliwe - zgodziłem się. - Trzeba było wziąć karete, nie musielibyśmy go potem prowadzić.

- Podjedzie. - Jack pokazał mi służbowy gwizdek. - Jak weźmiemy szcurka, od razu się zjawi.

- Stój! - rozkazałem, kiedy mijaliśmy ciemną plamę zasypanego listowiem stawu. Niby nic

szczególnego się nie działo, ale czułem, jakby ktoś przeczesał mnie pod włos. Bardzo nieprzyjemne doznanie. W dodatku znajome.

- Czego?
- Czekaj tu.
- Zgłupiałeś? - syknął Pratt.
- Czekaj! - powtórzyłem, rozprostowując palce. - Nie przeszkadzaj.
- Co się stało? - Chwycił mnie za rękaw.
- Tam jest coś nie tak. Jestem wyczulony na opętanych, ale to jeszcze coś innego. Czekaj.
- Ale...

Nie słuchałem go już. Zrzuciłem płaszcz prosto na ziemię i rzuciłem się ku domowi. Wewnętrzny głos wrzeszczał jak szalony, żądając, abym uciekał stąd natychmiast, ale nie miałem możliwości go teraz usłyszeć. Coś sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem nakazywało mi przyśpieszać wciąż biegu. Jakby w głębi duszy pulsowała żyłka, która stała się nagle czymś niesamowicie wielkim. Czymś przenikającym ten świat na wskroś i zdolnym zmieniać jego prawa wedle własnego uznania.

Z początku nie zauważyłem nawet, co we mnie drga niczym naciągnięta struna. A kiedy przypomniałem sobie o diable, było za późno.

Przy wejściu do domu stało ich dwóch. Niewysoki, szczupły mężczyzna, w którym nawet po ciemku bez trudu rozpoznałem „szcurka”, oraz krępy człowiek w przeciwdeszczowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Z takiej odległości nie miałem szans dostrzec jego oczu, ale byłem absolutnie pewien, że są czarne niczym ognie piekielne.

Stali na ganku, a wokół... Wokół tkwiło nieruchomo tych pięciu, których Jack wysłał jako ubezpieczenie. I nie miałem najmniejszych wątpliwości, jaka moc zmusiła ich do wyjścia z krzaków na otwartą przestrzeń.

Obca wola uderzyła mnie z siłą tarana. Potknąłem się i rozciągnąłem na ziemi. Krzywiąc się z bólu w poranionych rękach, powoli wstałem i zacisnąłem zęby. Wyrzucenie z głowy cudzego głosu było trudne i nawet przestudiowanie ksiąg w tajnej bibliotece nie mogło tu wiele pomóc. Poradziłem sobie jednak. Musiałem sobie poradzić, żeby po raz kolejny okiełznać rwącego się na wolność diabła. Zmówili się, czy co?

- No to do dzieła! - burknął krępy i zbiegł po schodach.

I od razu, jakby posłuszna niedostrzegalnemu ruchowi jego ręki, powietrze przeszyła oślepiająca błyskawica.

Cudem ocalałem. Palce same splotły się w skomplikowany wzór, z ust wyrwała wyuczona na pamięć fraza i śmiertelna energia z sykiem wsiąkła w ziemię u moich stóp. Jednak zwycięstwo w tym krótkim pojedynku sporo mnie kosztowało. Z oczu pociekły krwawe łzy i miałem wrażenie, jakbym oberwał po rękach kowalskim młotem. Palce odrętwiały...

- A więc to tak? - Opętany przyjrzał mi się uważniej, podszedł na krok. — Kim jesteś, bracie?

Próbowałem odpowiedzieć. Odpowiedzieć w mowie, której nie znałem. I dopiero w ostatniej chwili zdążyłem ugryźć się w język. Uwięziony w duszy diabeł zawył z bezsilnej wściekłości i znów zaczął rwać się na wolność, ale tym razem nie próbowałem go zatrzymać. Przeciwnie, zebrałem resztkę sił i wyrzuciłem nieczystego precz.

Ale nie tak zwyczajnie go z siebie wyгнаłem. Czekający na odpowiedź krępy zagapił się i zdołałem uderzyć go dłonią w pierś. Ten niezbyt mocny w istocie rzeczy cios odrzucił go na dobre dwadzieścia kroków. Przewrócił marny płótek warzywnika, po czym z całej siły gruchnął w ścianę domu. Odbił się i skoczył ku mnie, ale wtedy go dopadło.

Jego ruchy natychmiast straciły płynność, zaczął się szamotać jak ptak, który wpadł w sieć. Diabły, zamknięte w jednym ciele, szczepiły się ze sobą w zażartej walce. Nie było krzyków, wycia, wydłubywania sobie samemu oczu i odgryzania języka - nic z tego, co opętani zazwyczaj robią. Ale kiedy

po kilku chwilach ciało runęło na ziemię, życia zostało w nim nie więcej, niż w głębokim grobie. Siwe włosy, wyschła i popękana skóra, wyszczerzone zęby w wykrzywionej okropnie twarzy.

I najmniejszego śladu obecności istot z innego świata. Nie mogąc dzielić jednego ciała, diabły unicestwiły się nawzajem.

Ale i ze mną działo się coś niepojętego. Obwisłe jak mokre liny ręce były najmniejszym problemem. Nagle poczułem, jakby wraz z diabłem opuściła mnie przynajmniej połowa sił życiowych. Zupełnie jakby niedoświadczony chirurg wykroił mi wraz z chora tkanką kawał zdrowego mięsa. A przez tę otwartą ranę zaczęły wyciekać wspomnienia, uczucia i marzenia. Całe moje życie. Ich miejsce zajęła zaś przerażająca pustka bez wyrazu. Szara mgła. Nicos'ć.

Co się dzieje?!

Czyżbym aż tak mocno zrósł się z diabłem?!

W tejże chwili litościwie ogarnęła mnie ciemność...

VI

Obudziły mnie mocne drgania, podrażniające potwornie bolącą i bez tego lewą dłoń.

Czyżby karetka podskakiwała na wybojach? Nie inaczej. A co z ręką? Przyleżałem ją sobie? Nie, raczej nie... O Święci!

Wspomnienia zwały się na mnie jednocześnie: krótka walka, wygnanie diabła, wizje...

Kiedy oprzytomniałem po raz drugi, w głowie nieco mi się przejaśniło i zacząłem zwracać uwagę na rozmowę docierającą do mnie głucho i niewyraźnie, jakbym miał uszy zalane wodą.

- Ilu? Ilu, pytam! - wrzeszczał Jack, uderzając głową związanego zięcia barona o drzwi karety.

Wszystko jasne - przesłuchanie należy zaczynać, zanim aresztowany opamięta się i uspokoi, nie myśli jeszcze o możliwych protektorach, nie zaczął się wykręcać i kłamać, próbując ratować własną skórę. - Ilu?!

- Pół setki może... A może pięć tuzinów... - wyjęczał szczurek. - Nie więcej!

- Ile za to wzięłeś? — Pratt nie zwrócił uwagi na moje westchnienie.

- Po setce za tych, co zostali, a za powracających po trzy.

- Dokąd ich woziliście? Norveim, Lens, Dragarn?

- Nie wiem...

Krew ciekąca z rozbitego nosa pobrudziła śnieżnobiały kołnierz koszuli zastępcy komendanta, który stracił cały swój urzędowy sznyt.

- Dokąd?! - Rozwścieczony Jack trzasnął więźnia pięścią w ucho. - Zabiję!

- Do L-lensu - chlipnął uderzony. — Do pusteeelnika...

- A co z braćmi egzekutorami? Tylko jeden w sprawie?

- Neee wieem...

Zamknąłem oczy. Zupełnie mnie to nie interesowało. W ogóle nic mnie już nie interesowało. Zupełnie nic.

Dopiero teraz, kiedy trochę doszedłem do siebie, zrozumiałem, co narobiłem. Dotarło do mnie, na co siebie skazałem. I zacząłem się bać.

Kiedy traci się wzrok lub słuch, można to przeżyć. Ale kiedy traci się część samego siebie, jest o wiele gorzej. Ale to też nie prowadzi do śmierci. Wyrwanie z siebie talentu i rzucenie go na śmietnik jest rzeczą, która będzie męczyć do końca życia. O ile taką egzystencję można nazwać życiem.

Teraz stały się dla mnie jasne pobudki egzekutorów. Wystarczy tylko doświadczyć odprysku mocy, zakazanej wiedzy, nieludzkiej potęgi i już nie można się zatrzymać. Właśnie dlatego opętani umierali na torturach i płonęli na stosach. W mękach oddawali części talentu nieobdarowanym, ale mądrym, sprytnym i doświadczonym katom. Czynili ich silniejszymi i potężniejszymi. Nadawali sens ich życiu, albowiem wszystko inne to tylko rozpad i zgnilizna.

A ja sam - wprawdzie ratując życie, ale przecież sam! - odciąłem się od talentu. Talentu pozwalającego widzieć i odczuwać rzeczy niedostępne zwykłym ludziom. Talentu, który nigdy więcej się

nie rozpali we mnie na podobieństwo małego słońca. I którego nie umiałem przedtem należycie docenić.

Zamieniłem go na możliwość życia.

Ale czy to była uczciwa wymiana?

Zresztą...

Jaka to teraz różnica? Nie zamierzałem popełnić samobójstwa. A w ogóle, jeśli już o tym mowa, skoro ludzie bywają opętywani przez diabły, to kto powiedział, że nie można odwrócić sytuacji? W rzeczy samej - kto...?

CZEŚĆ DRUGA

ROK 973 PO WIELKIM SOBORZE

ROZDZIAŁ I

PISARZ. OBLEŻENIE NILMARY

Miesiąc Świętego Jana Uczzonego

I

Żołnierze pospolitego ruszenia opuszczali Mern przed świtem, w ciszy. Nie było podniosłych przemówień urzędników miejskiego magistratu, ani płaczu kobiet, ani skąpych pożegnalnych słów ojców i braci. Tylko skrzyp kół wozów, rzenie koni i ciche głosy idących na wojnę mężczyzn. I jeszcze ujadanie psów, ale bez niego nic nie może się obejść...

Drobny deszczyk szumiał w liściach drzew, zasiliał błoto drogi, powiększał kałuże. Przedmieścia powoli topniały, gubiąc się w szarej zasłonie. Tabor wraz z pospolitym ruszeniem wyruszał na wojnę nocą, czemu - mianowany na czas drogi starszym sierżantem — zastępca burmistrza Arnold Wadr był tylko rad. Nie miał najmniejszej ochoty pocieszać zapłakanych kobiet, patrzeć im w oczy, kłamać, że wszystko będzie dobrze. Bo dobrze na pewno nie będzie i bardzo wielu żołnierzy nie wróci do domów.

Zastępca burmistrza skulił się z zimna, poprawił kołnierz. płaszcz i znów z nawyku zaczął wymieniać w myślach imiona wyruszających na wojnę mieszczan. Wielu z młodszych poborowych wyrosło na jego oczach, ale pozostałych też znał chociażby z widzenia. Mern nie był wielkim miastem.

I chociaż do pospolitego ruszenia sranano się wybierać tych, których nie miał kto żałować, czyli bezdzietnych kawalerów, hołotę i chłopców z wielodzietnych rodzin, lżej Wadrowi od tego nie było. A przecież miał jeszcze ochotników.

Pan Arnold ciężko westchnął i spojrzał na maszerującego obok wozu niewysokiego, chudego chłopaczka. Mądra twarz, kosmyki jasnych włosów wymykających się spod kaptura, wżarte w skórę palców atramentowe plamy.

- Tak, stryju? - Chłopak dostrzegł wzrok zastępcy burmistrza.

— Nie przemyślałeś? — Wadr zadał to pytanie nie wiadomo który już raz. - Jeszcze nie jest za późno.

— Nie! - Karl Wadr zacisnął usta i odwrócił twarz.

W ciągu dni poprzedzających nabór udawało mu się uniknąć tej rozmowy, ale teraz już nie miał jak. Rozkaz „ani kroku od wozu!” nie pozostawiał możliwości wykonywania jakichkolwiek manewrów.

— Ale po co ci to? - Arnold skrzywił się z niezadowoleniem. - Ile masz lat? Siedemnaście? Osiemnaście? A już zostałeś sekretarzem w magistracie! Gdybym miał twoje zdolności, zostałbym dziesięć lat temu burmistrzem. A matka...? O matce nie pomyślałeś? Znam ją dobrze, nie przeżyje twojej śmierci!

Chłopak tylko wtulił głowę w ramiona i szedł, milcząc, przez kałuże, wczepiony dłonią w burtę wozu. Rozmowa z matką łatwa nie była i nie chciał jej wspominać.

- Karl, po co ci to? - nie ustępował stryj. - Powiedz.
- Obowiązkiem każdego mężczyzny jest bronić ojczyzny i prawdziwej wiary...
- Oj! - Arnold Wadr klasnął w dłonie. - Zostaw te bajeczki dla dziewcząt. Obowiązek każdego mężczyzny, rozumiesz...
- Lecz jeśli Lens przejmie Nilmarę, pozbawi nas dostępu do morza! — zaczął się gorączkować chłopak, dodając sobie tym podnieceniem animuszu. - I Pakt...
- Do diabła z Paktem! — przerwał mu zastępca burmistrza. - Od ciebie osobiście nic w tym wszystkim nie zależy!
- Ale bez Paktu nas powyduszają pojedynczo! - zaprotestował Karl.
- Uwierz mi, synku, że z Paktem też. — Stryj uśmiechnął się niewesoło. - Co jeszcze wymyślisz?
- A co wreszcie za różnica, gdzie się walczy?! — Chłopak podniósł głos. — W Nilmarze są przynajmniej porządne mury!
- Myślisz, że uda się za nimi przetrwać? - Arnold zamyślił się. - Nie jestem pewien.
- Dlaczego? Miasto zdobyć trudno, zapasy mogą przychodzić morzem...
- Jeżeli heretycy przerzucają wojska na granicę z Nilmarą, to znaczy, że wojna jest pewna. A Lens musi ją zakończyć, choćby nie wiem co, zanim Norveim zacznie skutecznie łowić ryby w mętnej wodzie. Powiem ci tak: Velm przez sto lat nikomu się nie poddał, ale Nilmara to inna sprawa.
- Port?
- No właśnie! Heretycy potrzebują portu i go dostaną.
- Jak tak was posłuchać, stryju, to człowiek dochodzi do Wniosku, że lepiej od razu się poddać - prychnął Karl.
- W każdym razie nie należy rwać się na wojnę przez ładniutką buzię. - Arnold nie pozostał dłużny krewniakowi.
- Ale ja...
- Zgłosiłeś się na ochotnika dlatego, że do pospolitego ruszenia wzięli starszego brata Elsy. - Zastępca burmistrza wlepił wzrok w chłopca. - Prawda?
- A co to ma do rzeczy?
- A to, że ona ma jeszcze pstro w głowie! Sekretarz magistratu, widzicie ją, to dla niej zła partia! Pewnie wygląda księcia na białym koniu! Pomyślałeś, szczeniaku, że takim postępowaniem nic nikomu nie udowodnisz? Zmarnujesz tylko życie i tyle!
- Obiecała czekać na mnie. - Chłopaczek patrzył pod nogi.
- A zresztą... - Jego stryj tylko machnął ręką. - Twoje życie, twoja rzecz. Nie żałuj niczego, skoro już tak postanowiłeś.
- Nie będę - odparł zdecydowanie Karl, jednak poczuł na plecach lodowate mrówki. Ale to na pewno za sprawą przenikliwego chłodu...

II

Do obozu rozbitego przy samej granicy z Omelem żołnierze z Mernu przybyli po zmroku. Deszcz na szczęście już dawno ucichł, ale przemoknięte buty otarły Karlowi nogi i przy pierwszej okazji usiadł na plecaku, rzuconym wprost na mokrą trawę. Cały dzień marszu zmordował go do imentu, z głodu skręcało mu kiszki, ale nie miał siły, żeby wstać i pójść po przydział prowiantu na drugi koniec obozu. Zamiast tego przeżuł otrzymany po drodze suchar, wpełznął do namiotu, owinał się wilgotnym kocem i pogrążył w niespokojnym śnie.

Rano wcale nie było lepiej. O nie - rano było jeszcze gorzej. Stopy spuchły, nogi nie chciały się zginać, w plecach łamało. Śniadanie przygotowane przez wojskowych parzygnatów okazało się niejadalne, a łażący po obozie ludzie wyglądali jakoś odpychająco.

Velm nie był na tyle duży, żeby wysłać na pomoc Nilmarze regularne wojska. Cztery, pięć setek zbieraniny z pospolitego ruszenia to wszystko, czym księstwo mogło wspomóc zachodniego sąsiada.

Karl z obrzydzeniem przełknął kilka łyżek wystygłego wywaru, usiadł na okorowanej kłodzie i zaczął obserwować obozową krzątanicę. Nie zdążył jeszcze zaznajomić się z którymkolwiek z krajan, stryj przepadł nie wiadomo gdzie z samego rana, więc chłopak okutał się w płaszcz i niespodziewanie zadrzemał.

Odpocząć jednak nie zdołał. Niebawem któryś z oficerów przejął pieczę nad przybyłym późnym wieczorem oddziałem i pospolite ruszenie przekazano pod dowództwo jednego z sierżantów. Nie minął kwadrans, a Karl Wadr stał się posiadaczem ciężkiej piki, długiego noża, otwartego hełmu ze strzępiącym się rzemieniem oraz obszytej żelaznymi blaszkami skórzanej kurtki.

- Hej, mały! - zawołał sierżant po zlustrowaniu ustawionych w nierówny szereg pospolitaków. - Powiadają, żeś uczony w piśmie?

- A co? - Karl nastroszył się i z miejsca wyfasował plaskacza w potylicę. Zbyt duży hełm zjechał mu na oczy, ale chłopak nawet nie zwrócił uwagi na śmiech kompanów, zdając sobie sprawę z tego, jak źle się zachował. - Tak jest, panie sierżancie!

- Teraz lepiej. - Żołnierz kiwnął z aprobatą głową i podał Karlowi jakiś papierek. - No, pisarzu, sprawdź obecnych.

Zajął to chłopakowi ledwie kilka chwil. Lecz gdyby wiedział, co zamierza sierżant, na pewno postarałby się przeprowadzić rzecz mniej sprawnie i znacznie przeciągnąć czytanie. Może by i został zbesztany, ale lepiej oberwać w potylicę, niż pozostałą część dnia maszerować z ciężką piką.

Albowiem plany sierżanta na ten dzień obejmowały musztrę. Ustawić szereg, wystawić piki. Piki w dłonie, zwrot, piki wystawić. I tak do samego wieczora...

Zadanie, mało skomplikowane w przypadku pojedynczego człowieka, zamieniało się w prawdziwe męki, kiedy miał je wykonać jednocześnie cały oddział. A sierżant, który często pomagał sobie pałką, nie tyle wyjaśniał wszelkie mądrości swojej nauki, co wpajał w pospolitaków nawyk wykonywania rozkazów bez jakichkolwiek pytań i najmniejszej zwłoki.

Weteran nie bez racji przypuszczał, że nie zrobi prawdziwych wojowników z tej zbieraniny, więc najważniejsze, aby umieli na polu walki wykonać przynajmniej tę jedną, jedyną komendę. Jedyną, bo wątpliwe się zdawało, że któryś z nich dożyje do drugiej...

Karl z całych sił wyganiał z myśli rodzące się wątpliwości, ale z każdą połajanką, z każdym uderzeniem podoficerskiej pałki rosło w nim przekonanie, że to nie może się dobrze skończyć. Jednak nie miał wiele czasu na duchowe rozterki - ciężka pika uparcie próbowała wyrwać się ze zmęczonych dłoni, w krzyżu łamało, a ubranie było mokre od potu.

Jedyne, co pozostawało chłopcu, to wspominać słowa stryja: „Nie żałuj niczego”. Rada dobra, ale w obecnej sytuacji wieje nie pomagała. Jakoś nie udawało się nie pożałować samego siebie. Na szczęście, na razie mógł jeszcze chronić się za tarczą zbawiennej myśli, że postąpił jak prawdziwy mężczyzna.

Kilka razy sierżant pozwolił rekrutom złapać oddech. Głównie w tym celu, aby im dosadnie wytłumaczyć, iż są teraz w armii. Leżący na ziemi chłopcy próbowali wtedy chociaż trochę dojść do siebie. Niektórzy mieli jeszcze nawet siłę żartować, inni zaś byli nie mniej zmordowani od Karla, który z przerażeniem pojął, że już może nie znaleźć w sobie dość mocy, aby wstać. Na jego szczęście rozbrzmiało uderzenie w gong i sierżant zarządził przerwę na obiad. Klnący na czym świat stoi pospolitacy powlekli się do kuchni polowej.

Karl zdjął hełm, przeczesał palcami mokre włosy i nagle dostrzegł przechadzającego się opodal stryja. Ale nie podchodził - Arnold w skupieniu o czymś rozmawiał z nieznanym chłopcu mężczyzną w zielonej kurcie.

Pisarz potrząsnął głową i powtarzając w myślach jak zaklęcie „nie żałować, nie żałować, nie żałować...”, poszedł jeść. A potem, czując zgagę od wikt, do jakiego nie przywykł, wrócił na musztrę.

* * *

Następnego dnia ledwie wstał. Długo próbował się rozciągnąć, przewyciężając ból w rękach,

nadwierzonych łądzwiach i otartych stopach, potem poszedł się umyć. I z miejsca natknął się na szukającego go stryja.

- Nie przemyślałeś? - spytał od razu Arnold Wadr.
- Nie. - Chłopak wzruszył ramionami.
- Dobrze, twoja rzecz. Jak się urządziłeś?
- Zwyczajnie - burknął Karl, starając się nie garbić.
- To znakomicie. - Dziwnie zamyślony zastępca burmistrza skinął głową.
- Proszę się nie martwić, stryju, ze mną wszystko dobrze. Kiedy wracacie do domu?
- Dzisiaj. - Arnold potarł nasadę nosa i westchnął ciężko. - Obawiam się, że wiadomości, jakie mam do przekazania, przerażą burmistrza.

- Co się stało?
- Pogadałem tutaj z rozumnymi ludźmi niedawno...
- I co?

- Ale to tylko między nami — ostrzegł młodzieńca starszy Wadr. - Na granicy zaczęły się walki z heretykami. I dzieje się tam coś dziwnego.

- Dziwnego? - Karl nie rozumiał aluzji. - Jak to?

- To w ilmarskich żołnierzy zaczynają walić pioruny, to z czystego nieba leci grad wielkości gołębih jaj. Albo mgła nadciąga zniecka. Ludzie zaczęli ginąć nocami. A jeszcze... - Arnold rozejrzał się, czy na pewno nikt nie słyszy i ściszył głos: - Garnizon jednej z twierdz w całości oddał dusze Świętym. Wszyscy żołnierze tam po prostu zmarli.

- Czego to ludzie nie wymyślą. — Chłopak aż się skulił - Pewnie to łgarstwa.

- Może i tak — odparł stryj. - Ale to nieważne. My musimy zyskać na czasie, żeby Norveim zdążył napaść na Lens. Jeśli zaczną się kotłować ze sobą, zapomną o naszym istnieniu.

- A Dragarn? Jeżeli Lens wyruszy ku granicom Dragarnu?

- Nie wiem. - Arnold wzruszył ramionami. - Kiedyś zaczęliby grozić wojną, nie chcąc poświęcić Nilmary, ale teraz nie wiem. Heretycy zbyt urosli w siłę.

- Dobrze, stryju, muszę już biec - powiedział Karl, widząc, jak zaczęli się krzątać żołnierze z innych miast. Tu i ówdzie zwijano namioty, niewyspani ludzie powoli formowali kolumny, sygnałowi biegali na złamanie karku między oficerami. — Przekażcie mamie, że ze mną wszystko będzie dobrze.

- Przekażę, jakże by inaczej...

Pisarz rzucił się do swojego namiotu i podskoczył do spokojnie przyglądającego się wszechobecnemu zamieszaniu podoficerowi.

- A co z nami, panie sierżancie?

- A my za nimi - ziewnął żołnierz i podał chłopcu zapaskudzoną i pogniecioną kartkę. - Rób zbiórkę, pisarzu, będziemy się liczyć...

Zaraz po apelu pospolitacy złożyli na wozy namioty i piki, ale zbrojone żelazem kurty sierżant kazał im założyć. Dzień zapowiadał się gorący, więc Karl z przerażeniem pomyślał, co z nimi będzie, kiedy przygrzeje słońce. Dobrze, że chociaż hełmy pozwolono schować do plecaków, bo na pewno niejednym by się nabawił udaru słonecznego. Chociaż lato dopiero się zaczynało, ale przecież wczoraj też nieźle przypiekło.

- Ruszajcie się, czarcie syny! - wrzasnął sierżant, widząc, jak ustawiają się ostatnie pozostałe jeszcze w obozie oddziały. Dostał już burę od jednego z oficerów i teraz z niezadowoloną miną uderzał pałką we wnętrze dłoni. - Szybciej ruszajcie giczołami, zdechlaki!

Karl spojrział na powoli purpurowiejące oblicze podoficera i od razu odwrócił wzrok. Wszystko wskazywało na to, że zupak będzie się na nich dzisiaj wyżywał. Jednak na próżno lękał się ciężkiej łapy sierżanta, bo nie było mu sądzone wyruszyć w drogę z krajanami.

Ten sam nieznamy mężczyzna w zielonej kurcie, który rozmawiał ze stryjem, zamienił parę słów z

weteranem, a wojak zaraz zawołał pisarza.

- Ten tego... - Sierżant zawahał się. - Teraz będziesz przy panu Oernie. Do jego dyspozycji, znaczy.

- Potrzebuję pisarza i tłumacza — wyjaśnił pan Oern, młody mężczyzna o wymizerowanej twarzy.

Wyglądał, jakby znalazł się w wojsku niespodziewanie dla samego siebie, przez przypadek. Jego zielona kurta była nieco sfatygowana, przy boku wisiała krótka szabla. Ale buty, chociaż ubłocone, wyglądały na nowe.

- Pisarz, panie? - Karl nie ukrywał zdumienia. - Ale ja chcę walczyć!

- Zdasz jeszcze powojować - mruknął Oern. - Przecież idziemy na wojnę. Biegiem po rzeczy!

- Panie! - Karl zabrał plecak i dogonił nowego dowódcę przy karecie, zaprzężonej w parę koni różnej maści. - A z jakiego oddziału jesteście?

- Sam się nie domyśliłeś? - Oern otworzył drzwi i wskazał na tył pojazdu, gdzie już siedział barczysty osiłek w obryzganym błotem kaftanie i spodniach z łatami na kolanach. - Właż.

- Nie domyśliłem się, panie. - Karl pokręcił głową.

- Kontrwywiad, chłopcze. - Nowy współpracownik zademonstrował Karlowi szczerbaty uśmiech. -

Worek wrzuc na dach, tylko nie zapomnij przywiązać. I gębę zamknij, bo ci mucha wpadnie...

III

Do granicy z Nilmarą nie udało się Karlowi zapoznać z nowymi obowiązkami. Bójkami i kradzieżami wśród żołnierzy zajmowała się żandarmeria, a dezertarów pan Oern zostawiał na żer swoim miejscowym współpracownikom.

Dowództwo starało się kierować oddziały i tabory z pominięciem miast, więc większą część drogi żołnierze szli przez pola i lasy, z rzadka widząc wzdłuż traktu wioski czy sioła. Przez cały czas Karla wytrząsało z tyłu podskakującej na wybojach karety. Starał się nie zasnąć i nie zwalić w błoto. Jego towarzysz, osiłek zwany Hansem Moltem, nie był zbyt rozmowny, dlatego młody pisarz mógł dokładnie przemyśleć swoją decyzję o zgłoszeniu się do armii na ochotnika. Trzeba powiedzieć, że w tej chwili postrzegał swoją sytuację w nieco innym świetle. I być może opanowałyby go melancholia, ale jego serce grzało wspomnienie o Elsie. O najpiękniejszej dziewczynie na świecie, która obiecała na niego czekać... I ta obietnica z nawiązką wynagradzała mu wszelkie spadające na niego udręki.

Wystarczyło, że tabor przekroczył granicę, a po dotychczasowym spokoju nie pozostał nawet ślad. Wraz z nadejściem pierwszych pogłosek o rozgromieniu przez armię Lensu sprzymierzonych wojsk zaczął się okrutny koszmar. Na spotkanie pospolitego ruszenia popłynęła prawdziwa rzeka uciekinierów, dezertarów, a potem także wycofujących się z północy niedobitków połączonych wojsk państw Paktu.

Karl prawie do krwi otarł palce, spisując zeznania, zestawiając raporty i zapisując doniesienia, które pan Oern codziennie przekazywał do Velmu. Pracować trzeba było od świtu do zmierzchu; a nawet w nocy często wołano pisarza na przesłuchania i narady.

Przy czym armia Lensu niebawem podjęła kolejne natarcie na południe i żołnierzy z Velmu w pilnym trybie przetrzucono do Nilmary. Wtedy dopiero Karl uświadomił sobie z całą mocą, jakiego zrobił z siebie durnia, zgłaszając się do wojska na ochotnika...

* * *

- Znów zasypiasz? - Hans potrząsnął za ramię Karla, któremu głowa opadła na skrzyżowane ręce i uśmiechnął się. - No, ileż można, w rzeczy samej?

- Co? Czego? - Chłopak, rzeczywiście zasypiający przy biureczku, wzdrygnął się i przetarł zaczerwienione oczy.

Przesłuchanie kupca, próbującego wywieźć z miasta zboże, zakończyło się dobrze po północy, a przyszło wstać o brzasku. Dlatego każdą nadarzącą się okazję pisarz wykorzystywał na drzemkę.

- Pobudka - powiedział Molt. — Niedługo szturm, a ty wszystko prześpisz.

- Nie prześpię - ziewnął Karl. - Na pewno znajdzie się ktoś do przesłuchania...

- Nawet nie wiesz, ile masz racji - roześmiał się Hans.

- Też coś. — Chłopak zaczął pakować do sfatygowanej torby przybory pisarskie. - A tak przy okazji, co mówią o szturmie?

- Czekają go lada dzień. - Pomocnik Oerna skrzywił się. - Pośpiesz się.

- Dokąd znowu? - spytał z rezygnacją Karl, który przez trzy dni przebywania w Nilmarze zdążył już objechać dobrą połowę miasta.

Czasami wydawało mu się, że między służbą w kontrwywiadzie a jego poprzednią pracą w magistracie nie było żadnej różnicy. Tyle że teraz miał do czynienia z bardziej nieprzyjemnymi ludźmi. A już zapisywanie...

- Do portu.

- Piechotą?

- A co, życzyście sobie powóz, wasza miłość?

- Nie zaszkodziłoby.

Pisarz z ciężkim westchnieniem wziął torbę. Zszedł po schodach, zaczekał, aż Hans otworzy drzwi wejściowe zajętej na potrzeby kontrwywiadu kamienicy i po chwili znalazł się na zewnątrz.

Mimo wczesnej pory, na ulicach panowało już gorączkowe ożywienie. Ludzie śpieszyli w swoich sprawach. Strażnicy miejscy pilnowali porządku wraz z tęgimi pachółkami ze sformowanej przez cechy milicji. Przechadzający się z wolna obnośni handlarze zachęcali klientów do kupna ich marnych towarów. A na pchlich targach sprzedawano i kupowano tak dziwne rzeczy, że w pokojowym czasie ludzie zawierający i podobne transakcje bez najmniejszych wątpliwości zostaliby uznani za niespełna rozumu.

Nilmara okazała się pięknym, ale nazbyt gwarnym miastem, dwa razy większym od Mernu, lecz Karlowi nie wydawało się ani trochę wyjątkowe.

Zostawiali za sobą place i mosty, dzwonnice domów modlitwy i kaplic, skwery i zbudowane z białego marmuru wille, a pisarz szedł obok starszego towarzysza ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Do pogromu sprzymierzonych wojsk wszystko było jasne i proste: Karl pójdzie na wojnę i jeśli nawet nie zostanie bohaterem, to na pewno jakoś odznaczy się w boju. Być może zostanie ranny, ale prędko wróci do Mernu jako doświadczony weteran. A wówczas Elsa...

Lecz teraz wszystkie te marzenia trafiły psu pod ogon, a sam Karl utkwiał w oblężonym mieście!

- O, zobacz, swawolne dziewczki! - Hans, mruczący pod nosem jakąś melodię, trącił w bok pisarza. - Zabawimy się?

- Nie.

- A ja, widzisz, podsunę się do tej z wielkimi... oczami.

- Szef nas za to wsadzi do lochu. — Wiedząc, że ze strony kompana to tylko pusta paplanina, zadyszany od szybkiego marszu Karl uśmiechnął się.

Hans, chociaż bezustannie rozglądał się na wszystkie strony, tempo narzucił dość ostre.

- Masz słuszność, jak zawsze, młody przyjacielu. - Molt natychmiast zapomniał o dziewczynach, kupił od handlarza dwa paszteciki rybne i jeden podał pisarzowi.

- Co ty dzisiaj jesteś taki szczodry?

Karl nie odmówił poczęstunku. Ceny żywności w spodziewającej się długiego oblężenia Nilmarze bardzo wzrosły. Jeszcze niedawno jedynym wyjątkiem były świeże ryby. Lecz od początku morskiej blokady miasta przez kaprów Lensu, podróżowały także one.

- Szef prosił, żeby kupić ci coś do jedzenia, byś nie wykitował.

- Aha, kupiłeś te przekąski za powierzone pieniądze - domyślił się pisarz.

- A ty byś się nie chciał ze mną podzielić, gdyby dali je tobie?

- Chciałbym. Tylko że wziąłbym z cebulą i jajkiem.

- To następnym razem, kiedy dostaniesz pieniądze, bierz choćby i z marchewką.

- A wezmę!

- No to bierz...

Do budynku zajmowanego przez administrację portu Karl dotarł całkiem mokry od potu. Kiwnął stojącym na warcie znajomym pospolitakom - chociaż nie byli jego ziomkami, ale również pochodzili z Velmu - i wszedł do chłodnego wnętrza gmachu, wykonanego z masywnych kamiennych bloków.

- Dokąd teraz? — spytał Hansa.

- Do piwnicy musicie zejść, do piwnicy. - Siedzący na parapecie wartownik machnął w stronę schodów prowadzących na dół. - Czekają już na was.

- Chodźmy! — Molt popędził pisarza i zbiegł po schodach, przeskakując po dwa wydeptane stopnie.

Jedne z drzwi były uchylone, dobiegały zza nich przytłumione głosy Karl w ślad za kompanem wszedł do oświetlonej pochodniami piwnicy, usiadł przy postawionym w kącie stoliku i zapalił świecę.

- No to wreszcie jesteście w komplecie - ucieszył się pan Oern. - Można zaczynać.

Molt tymczasem zdjął kurtkę, rzucił ją na ustawioną pod ścianą ławkę i zaczął się ubierać w bezkształtną, upstrzoną licznymi plamami kapotę. Karl zerknął na siedzącego pośrodku pomieszczenia człowieka i od razu odwrócił wzrok. Przesłuchiowano ludzi znajdujących się w bardzo różnym stanie, ale tak straszliwie pobitego pisarz jeszcze nie widział. Więzień miał złamany nos, wargi zmasakrowane, lewe oko opuchnięte tak, że nie było go widać. Na czole widniało głębokie rozcięcie, koszulę rozerwano mu prawie do pępka.

- Za pozwoleniem, odmeldowujemy się. - Pilnujący aresztanta gruby wąsacz wskazał wyjście dwóm wyposażonym w pałki podwładnym. - Gdyby zaszła potrzeba, zawołajcie.

- Oczywiście, oczywiście — rzucił Oern, przyglądający się uważnie skatowanemu człowiekowi. Potem zwrócił się do pisarza, pstryknął palcami. - Pisz... - Karl natychmiast zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i szybko wypełnił przygotowany wcześniej nagłówek. - Trzy godziny po północy obchodzący miasto patrol, składający się z żołnierzy pospolitego ruszenia wielkiego księstwa Velm... zostaw miejsce, ich imiona wpiszesz później... oraz starszego sierżanta Arturo Landy zatrzymał przy spichrzu niejakiego Guillerma Conrea, pochodzącego z Nilmary, lat dwadzieścia dwa. Podczas przeszukania ujawniono u zatrzymanego lampę, wypełnioną oliwą, hubkę, krzesiwo, mały łom i nóż. Zachowanie wyżej wymienionego oraz znalezione przedmioty wskazują wyraźnie, iż zamierzał podpalić jeden z magazynów żywnościowych.

- Nieprawda! — Aresztant mówił nieoczekiwanie wyraźnie, jak na stan swoich ust. - Jestem złodziejem, a nie podpalaczem ani szkodnikiem...

- Rozpalić w kominie? - spytał rzeczowo przebrany już Hans.

- A rozpal, rozpal. — Kontrwywiadowca pokiwał głową, puszczając słowa Guillerma mimo uszu.

- Nie słyszycie mnie, czy co? - rozzłościł się zatrzymany. -Kraść poszedłem. Kraść! Po co miałbym palić tyle dobra?!

- Dlatego, że ci za to zapłacono - odparł krótko Oern i rozkazał Karlowi: — Napisz, że oprócz przedmiotów służących do planowanego przestępstwa, w podszewce kurtki została znaleziona ukryta kieszeń zawierająca pięć srebrnych denarów księstwa Lens.

- Dobra połowa mieszkańców miasta posiada pieniądze z lenskiej mennicy! - bronił się Guillermo, z obawą przyglądając się Hansowi, który rozpalał ogień. - To nie jest żaden dowód zdrady!

- Mając w rękach tyle gotówki, jeszcze polazłeś do świetnie strzeżonych spichlerzy? - Oern roześmiał się. - Opowieść szyta bardzo grubymi nićmi.

- Żarcie jest teraz w cenie, a na ile mi wystarczy pięć denarów? - odpowiedział złodziejaszek. - A nie mam chęci werbować się do wojska, żeby żreć suchary.

- A zatem chciałeś zdobyć towary?

- Mówię wam, że właśnie tak było!

- A ziarno zamierzałeś zapewne poupychać po kieszeniach? - spytał bardzo uprzejmym tonem Oern.

- Worka przy sobie nie miałeś.

- Nie wiedziałem przecież, że tam jest zboże! - zawył Guillermo. - Chciałem złapać, co wpadnie w rękę...

- Nie, przyjacielu, tak się nie dogadamy... - Przesłuchujący pokręcił głową. - Hans, jak ci idzie z ogniem?

- Węgłe się już rozpalają.

- W takim razie nie traćmy czasu, dawaj „but”.

- Nie trzeba! - wrzasnął z rozpaczą złodziej, próbując się oswobodzić.

- Posłuchaj, chłopcze! - Oern, który jeszcze bardziej zmizerniał przez ostatnie dni, wstał z kulawego taboretu. - Nic nie zyskamy, rwąc cię na kawałki. Nic nie zdążyłeś i tak zrobić, więc jeśli opowiesz prawdę, wykpisz się katorgą na galerach. A jeśli nie, zaraz zaczniemy z ciebie wytrząsać duszę.

Karl Wadr odłożył pióro i rozmasował zdrętwiałe od piwnicznego chłodu palce. Hans porzucił jako tako rozpalony już komin i wyjął spod ławy jakąś masywną żelazną konstrukcję. Pisarz z zainteresowaniem obserwował, jak Molt zakłada urządzenie na prawą nogę aresztanta, ale kiedy zauważył na zardzewiałym metalu ciemne zacieki, odwrócił wzrok. Skręciło mu żołądek i pożałował, że zdążył coś zjeść.

- Opowiadaj, Guillermo, opowiadaj — zachęcił młodzieńca Oern.

— Słuchajcie, ja naprawdę poszedłem po zboże — powiedział szybko aresztant. - Ale nie zamierzałem niczego zabierać, a tylko zobaczyć, ile da się wywieźć, a potem sprzedać wiadomość odpowiednim ludziom.

- Komu dokładnie? - spytał kontrwywiadowca, ale bez większego zainteresowania.

- Odpowiednim ludziom. — Złodziej powtórzył to jak zakłęcie. - Nie mogę wymienić imion, bo się jeszcze do nikogo nie zwracałem. A jak podam kogoś, kto mi wpadnie do głowy, życia potem nie będę miał.

- Bardzo ładnie to wszystko mówisz i podobnie do prawdy- rzekł łagodnie Oern, po czym skinął głową pomocnikowi.

Molt chwycił oburącz urządzenie, z trudem przekręcił pół obrotu sterzącą z boku „buta” śrubę, a Guillermo zakwiczał z bólu.

- Tylko że, chłopcze, ja tak sobie myślę, że postanowiłeś nas okpić - ciągnął Oern. - My jednakowoż nie jesteśmy leniwymi strażnikami, którzy nic do ciebie nie mają. Postanowiłeś za złodziejstwo pójść sobie do więzienia, a kiedy miasto padnie, wyjechać z niego na białym koniu? Nie uda ci się. Zdechniesz tutaj.

Kontrwywiadowca zamilkł, ale jęczący wciąż Guillermo nic nie odpowiedział. Hans wzruszył ramionami, po czym znów dokręcił „but”. Następnie poszedł do beczki, nabrał brudnej wody i oblał zatrzymanego, który stracił przytomność. Kiedy się ocknął się, znów zaczął stękać.

Kark zemdliło. Miał ochotę uciec z tej piwnicy, ale nogi były jak z waty i wszystko, co mu zostało, to próbować odciąć się od strasznych wydarzeń, ostrząc i bez tego doskonale przygotowane pióro.

- Jeżeli będziesz się tak zapierać, żywy na pewno stąd nie wyjdiesz — powiedział spokojnie Oern. — Nawet na to nie licz. Osobiście obedrę cię ze skóry. I weź pod uwagę, że następne dokręcenie śruby skończy się złamaniem kości. Mów wszystko, a potem na galery.

- Jestem zwykłym złodziejem - zapłakał Guillermo. Miotał się na krześle, na ile pozwalały pęta. - Zwykłym złodziejem...

- Hans...

Obrót śruby zakończył się okropnym chrzęstem, spod żelaza pociekła cienka strużka krwi, a zatrzymany znów stracił przytomność. Karl z trudem opanował wymioty i wbił wzrok w rozplływające się przed oczami linijki protokołu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten nieszczęśnik mówił szczerą prawdę.

- To była tylko zabawa — mruknął Hans. Wyjął drugi żelazny but, różniący się od pierwszego brakiem śruby. - Ogień już mamy.

- Rób swoje. - Oern machnął ręką, usiadł na taborecie i założył nogę na nogę.

- A jeśli jest niewinny? - spytał Karl.

- Co znaczy „niewinny”? - Kontrwywiadowca uniósł brew.

- Jeśli to naprawdę tylko złodziej?

- W czasie wojny takich zwykłych złodziei wiesz się bez sądu, a nawet śledztwa - odpowiedział ostro Oern. - A my z nim jeszcze rozmawiamy. Jeśli będzie mądrzejszy, doczeka sądu.

- Ale może nie jest związany ze szpiegami Lensu?

- O co zakład? — Ożywił się natychmiast Hans. Założył już drugi „but” na lewą nogę aresztanta.

Mrugnął do pisarza, włożył metalową konstrukcję w ogień i zatrasnął go w uchwycie na kracie paleniska.

- W każdym z nas jest jakieś drugie dno. - Oern uśmiechnął się niewesoło. - A nasza praca, to widzieć, co jest tam ukryte.

Ogień w mgnieniu oka rozpałił „but” do czerwoności. Złodziej ocknął się i zaczął szarpać w bezskutecznych próbach uwolnienia nogi.

- Nie trzeba! Ja nic nie wiem! - wył, ale nikt nie zwracał uwagi na jego krzyki.

W pomieszczeniu rozszedł się swąd palonych włosów, a potem mięsa. Karl zasłonił usta dłonią i wyskoczył na korytarz. Tam od razu zwymiotował, ale w ogóle mu nie ulżyło, przed oczami miał wciąż wykrzywioną cierpieniem twarz złodzieja. Przez chwilę rozważał, czy wracać do piwnicy. Wreszcie wziął się w garść, wytarł ręce o spodnie, wśliznął się do pomieszczenia i usiadł przy stoliku.

- Nie trzeba! Nie trzeba! Nie trzeba! - wrzeszczał Guillermo. Spojrzał na zupełnie obojętne twarze przesłuchujących i zapłakał: - Wszystko powiem, tylko przestańcie.

- A co takiego chcesz nam opowiedzieć?

Hans wylał na rozpalony „but” resztkę wody z wiadra, ale nie rozpiął jeszcze urządzenia.

- Miałem podpalić spichlerz! - wykrzyknął złodziej. - Zapłacili mi!

- Kto zapłacił? - Oern nie ujawniał najmniejszych emocji.

- Nie wiem. Dwa dni temu podszedł do mnie taki jeden. Byłem mocno w potrzebie, a on się o tym skądś dowiedział, i dałem się namówić...

- I tak od razu wyłożył pięć denarów? — uśmiechnął się Oern.

- Tak! - zawył złodziej. - Wyjmijcie mi nogę z ognia! Wyjmijcie!

- A dlaczego? Przecież znów robisz z nas durniów. - Śledczy pokręcił głową. - Na słowo honoru nikt by ci nawet miedziaka nie dał.

- Miał mi jeszcze dopłacić dwadzieścia! - Guillermo z przerażeniem zapatrzył się na znów czerwieniejące żelazo.

- Gdzie i kiedy?

- Dzisiaj o świcie na skwerze przy domu modlitwy Świętego Marcina Żeglarza...

- Ten czas minął, a i spichrza nie podpaliłeś... - Kontrwywiadowca zamyślił się. - Ależ to się ładnie składa. Ulżyłeś swojej duszy, a my nie znajdziemy zleceniodawcy...

- Nogę! Nogę z ognia zabierzcie!

- A zatem doszliśmy do tego, że na zamówienie szpiegów Lensu miałeś wywołać pożar magazynów z żywnością. - Oern głośno myślał, chodząc od ściany do ściany. — Ale o tym, kto ci dał zlecenie postanowiłeś milczeć, a to nieładnie...

- Przysięgam na Świętych, że tak było! - wrzasnął nieszczęśnik. - Zabierzcie nogę!

- I na dobitkę jesteś bluźniercą — zaśmiał się Hans.

Karl miał ochotę zatkać uszy, ale musiał pisać, pisać, pisać... Pograżony w pracy, którą dobrze znał, poczuł pewną ulgę. Jakby wszystko, co się działo nie dotyczyło go, a znaczenie miały tylko litery na

żółtawej kartce...

- Kto zapłacił za podpalenie? - Oern podszedł do przesłuchiwanego. - Podpowiem. Ten ktoś bardzo dobrze cię zna, inaczej nie zapłaciliby z góry ani grosza. I ty go także znasz, skoro przyjąłeś taką niebezpieczną robotę. Znasz, ale mu nie ufasz, inaczej byś nie zażądał zaliczki. Kto to jest? Paser? Inny złodziej? Sutener? Naganiacz?

- Tak... - wykrztusił Guillermo, a potem zawołał na cały głos: - Tak! Tak! Tak!

- Co znaczy „tak”?

- Naganiacz!

Hans pogrzebaczem rozpiął mocowanie „buta”, odciągnął złodzieja od paleniska i chlusnął na żelazo wiadro wody.

- Jak się nazywa?

- Adolfo Porta. Krawiec. Ma kram na ulicy Żagłowej.

- Hans, zajmij się nim — rozkazał Oern, idąc do wyjścia. - Karl, idziesz ze mną.

Pisarz posypał kartkę drobnym piaskiem, spakował sprzęty i pobiegł za dowódcą. Cieszył się, że może wyjść z cuchnącej palonym mięsem piwnicy.

- A co, jeżeli zełgał o krawcu? - zapytał, kiedy dogonił Oema na schodach.

- Myślisz, że od razu każę go schwytać i wydierać zeznania? O nie, chłopcze. Najpierw trzeba się przyjrzeć, zebrać wiadomości, rozpoznać, jakie i z kim ma związki... Ale to już rzecz naszych miejscowych współpracowników, a nie twoja ani moja.

- To dokąd teraz idziemy?

Po pobycie w zimnej piwnicy Karl odniósł wrażenie, że na zewnątrz panuje straszny skwar. Ale nawet to gorące powietrze zdawało się niesłychanie świeże w porównaniu z cuchnącym lochem. Nie raził nawet swąd smoły i wyrzuconych na brzeg śmieci.

- Do portu wszedł bark „Perłowy Jednorożec”. Będziemy prowadzić dochodzenie.

- Myślicie, panie, że heretycy mogli ich przysłać?

- Zobaczymy...

Czteromasztowy okręt wszedł do portu nocą. Jak udało mu się ominąć blokadę, nikt nie potrafił zrozumieć, a załoga nie została aresztowana od razu po przybyciu tylko przez szacunek dla kapitana jednostki. Enrico Brassa był nie tylko obywatelem Nilmary, ale też młodszym synem jednego z ważniejszych członków gildii morskiej.

Teraz bark stał na kotwicy niedaleko od przystani, pod dozorem żołnierzy ochraniających port. Na falach kołysała się szalupa strażników, więc próby opuszczenia ukradkiem tych wód były z góry skazane na porażkę.

Karl Wadr zszedł do pirsu razem z dowódcą, rozglądając się uważnie. Wsiadli do czterowiosłowej łodzi, a milczący marynarze dowieźli ich do barku dwoma tuzinami uderzeń wiosła. Na pokład weszli po sznurowej drabince. Pisarz po raz pierwszy w życiu znalazł się na okręcie. Z zachwytem patrzył na nagie maszty, wanty, robiące ogromne wrażenie balisty i zwoje lin. Potem przeniósł wzrok na potężne fortyfikacje, wznoszące się nad portem, ale na tym zakończyły się jego obserwacje wspaniałych widoków z okrętowego pokładu. Żołnierze z kompanii wartowniczej przynieśli rozkładany stolik i postawili na lekko kołyszącym się pokładzie.

- Co mam robić? — Karl zadał to pytanie, kiedy rozłożył swoje pisarskie przyrządy.

- To, co zwykle — odparł Oern z roztargnieniem. - Na początek należałoby chyba zwołać zbiórkę załogi.

- Dobrze. - Pisarz skinął głową, spojrzawszy w jasne niebo i pożałował, że nie zabrał kapelusza.

- Nie ujawniono żadnych podejrzanych towarów na pokładzie - zameldował kapral, oddelegowany do nadzoru jednostki.

- A co z tym? - spytał kontrwywiadowca, wskazując na bladego jak kreda marynarza, który kaszlał

co chwila, zasłaniając usta chustką. - Nie zaraża?

- Mówią, że nie. - Kapral spojrział sceptycznie na chorego, po czym przypomniał sobie diagnozę lekarską i wyrecytował: - Objawy nie przypominają żadnej choroby zakaźnej.

- Będziecie nas ochraniać?

- Oczywiście!

Oern poczekał, aż na pokładzie pojawi się kapitan i dopiero wtedy zarządził apel. Nikt obcy nie przebywał na okręcie. Brakowało trzech marynarzy - podczas burzy dwóch zostało zmytych z pokładu, jednego zabił złamany maszt.

- Właśnie przez ten sztorm musieliśmy się zatrzymać - wyjaśnił kapitan. — Po drodze z Pacharty zawinęliśmy do Arlonu, ale do Akrai nie dotarliśmy, bo zaczęła się nawałnica. Omasztowanie zostało zrujnowane, a nas zagnało na południe Starego Morza. Postawiliśmy trzy zapasowe maszty. Na dodatek skończyła nam się słodka woda. Dobrze, że natrafiliśmy na jakąś wysepkę, zdołaliśmy uzupełnić zapasy. - Enrico Brassa wskazał na bezanmaszt. -I mogliśmy ten zamienić na tymczasowy, bo znalazła się odpowiednia sosna, sucha...

Jakiś czas Oern rozpytywał kapitana, a potem po kolei wzywał pierwszego oficera, sternika, lekarza okrętowego i cieślę - właśnie tego kaszłającego marynarza. Ci potwierdzali słowa kapitana, ale kontrwywiadowca uspokoił się ostatecznie dopiero po przesłuchaniu wybranych losowo członków załogi. Lecz chociaż się uspokoił, to dziennika pokładowego nie zamierzał zwracać, a Karl szybko zrozumiał, dlaczego Nie minął nawet kwadrans, jak na pokładzie pojawiła się nowa komisja - przedstawiciel armatora, urzędnik z gildii morskiej i oficer floty w ciemnogrnatowym mundurze. Przez pewien czas te ważne osoby coś uzgadniały z Oernem, a potem kapitan został wezwany i usłyszał decyzję:

- Bark zostaje zarekwirowany na potrzeby wojskowe - rzekł urzędnik z gildii morskiej i uprzedzając pytanie dowódcy jednostki, dodał: - Oczywiście po zakończeniu działań wojennych zostanie wypłacona odpowiednia rekompensata.

- Panie Brassa, ma pan następujący wybór: zatrzymać dowodzenie „Perłowym Jednorożcem” lub razem z załogą zejść na ląd i uczestniczyć w obronie miasta - powiedział oficer marynarki.

- A co się stanie z okrętem? — spytał kapitan.

- Spróbujemy na nim wywieźć archiwa, które nie powinny wpaść w ręce wroga - wyjaśnił Oern.

- I uciekinierów też?

- I uciekinierów.

- W takim razie zostanę w mieście - postanowił kapitan.

- Jak pan uważa. - Kontrwywiadowca zwrócił się do Karla: - Zrób spis przejętych kusz i bełtów. Rozdasz je pospolitemu ruszeniu. I niech sierżanci zorientują się, czy nie trzeba kogo dozbroić w broń sieczną. Tylko nie zapomnij zrobić listy-

- Tak jest. - Pisarz kiwnął głową. - Spis sporządzić tutaj czy na brzegu?

-A rozładowujcie od razu. - Machnął ręką Enrico Brassa.

Pan Oern zszedł z okrętu, kiedy Karl zakończył już przeliczanie bełtów. Było ich dwieście szesnaście. Samych kusz wydano równo dwadzieścia i natychmiast ustawiła się po nie kolejka. Lecz abordażowe pałasze nie cieszyły się powodzeniem wśród żołnierzy, bo cywilni jeszcze niedawno mieszkańcy spokojnego miasta nie umieli się obchodzić z tą bronią o strasznym wyglądzie.

- Kiedy skończysz, poprowadź oddział na mury i przekaz listę porucznikowi Dauro - rozkazał kontrwywiadowca i machnął na wjeżdżającą na nabrzeże karete. - A potem migiem z powrotem! Na jednej nodze, rozumiesz?

- Oczywiście - odparł Karl, wyliczając jedenaście bełtów przestępującemu z nogi na nogę ochotnikowi.

Zaklął mimo woli, kiedy skaleczył palec o grot, wykuty z jakiegoś pociemniałego od starości metalu.

Bełt na tyle odróżniał się od innych, że pisarz odłożył go na bok.

- Następny.

- Kazali przekazać jeszcze jedną kuszę - oznajmił marynarz, który przybiegł od strony równego szeregu załogi zgromadzonej na brzegu załogi „Perłowego Jednorozca”, i podał broń pakującemu już torbę Karłowi. - Była w kajucie kapitana.

- Dziękuję - ucieszył się pisarz, uznając, że nadliczbową kuszę może sobie zatrzymać.

Skoro idzie na mury, możliwe, że będzie okazja strzelić? Tylko czym ją załaduje? Wtedy przypomniał sobie o dziwnym bełcie, wziął go i mruknął: — Może będzie pasował.

- Pewnie, że będzie - prychnął dyszący ze zmęczenia po biegu Junga. - Zrobił go nasz cieśla, więc musi być dobry.

- A czemu ma taki dziwny grot? - spytał z powątpiewaniem Karł, który nie chciał się przyznać, że ten chłopaczek lepiej zna się na broni niż on.

- Nie wiem, został wyjęty z tej sosny, która poszła na maszt. - Junga wzruszył ramionami i słysząc, że ktoś zawołał go po imieniu, pognał z powrotem.

- Kiedy wymarsz? - Pisarz podszedł do komenderującego pospolitym ruszeniem sierżanta i zarzucił ciężką kuszę na plecy.

- Zwróciłeś nadmiarowe klingi? - spytał podoficer.

- Zwróciłem - powiedział Karł, który właśnie w tej chwili pożałował, że stracił okazję zdobycia normalnego oręża w miejsce objającego się o biodro noża. Zaraza!

- No to idziemy. - Sierżant odwrócił się i nagle ryknął na opieszających podwładnych: - A co to ma być?! W szyk i marsz!

Nagle ziemia zadrżała. Karł z początku myślał, że gdzieś niedaleko uderzył piorun, ale prawie natychmiast zobaczył na drugim końcu miasta kłęb pyłu i dymu.

- Biegiem! - zarządził sierżant i pospolitacy, w jednej chwili tracąc rytm, pobiegli za nim.

Bieg po ulicach Karł zapamiętał słabo. Po prostu pędził przed siebie. Czasem się rozglądał, czasem musiał się przedzierać przez wylęgający przed domy tłum. Kusza ciążyła niesamowicie, ale pisarz nie mógł jej przecież wyrzucić. Pocieszało go tylko, że towarzyszącym mu żołnierzom nie było ani trochę lżej.

Mieszkańcy już dyskutowali o dziwnym zjawisku, ale sierżant nie zamierzał zadowalać się pogłoskami. Kiedy oddział dotarł do miejsca przeznaczenia, wszystko stało się jasne. Jeden fragment muru - od baszty do baszty - zniknął.

Runął z niewyjaśnionych przyczyn. Kamiennie odłamki prawie całkowicie zasypały fosę.

Żołnierze z garnizonu gorączkowo próbowali zamknąć przylegające ulice barykadami. Do sąsiednich domów noszono kamienie i zaprawę, aby zamurować okna wychodzące na nieistniejącą ścianę forteczną, ale w taki sposób nie szło naprawić następstw katastrofy.

- Jak to się mogło stać? - Karł oparł się o ścianę domu i oddychał ciężko, ale nie udawało mu się wypełnić należycie powietrzem obolałych płuc. — Podkop?

- Jaki podkop? - warknął sierżant. - Skąd tu podkop?!

- Gdzie znajdę porucznika Dauro? - Karł podskoczył do jakiegoś oficera, który na zakurzoną kurtkę mundurową założył koczugę.

- A o co chodzi?

- Mam oddać pospolite ruszenie z Velmu pod jego komendę. - Pisarz wyjął z torby listę.

- Kusznicy na dach, pozostali na barykady - rzekł oficer, a sierżant rzucił się wykonywać rozkazy.

Karł został sam. Owszem, wokół panował ruch, biegali żołnierze, ktoś wykrzykiwał rozkazy, ale to wszystko go nie dotyczyło. Wykonał swoje zadanie, więc powinien teraz wracać do portu, żeby w nocy opuścić obleżone miasto.

I nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, Karł rzucił się za innymi w stronę budynku najbliższego

wyłomowi. Oczywiście nie zamierzał sprzeciwić się rozkazowi pana Oerna, ale miał znakomite usprawiedliwienie dla samowoli - kuszę. Tę samą kuszę, którą taszczył przez całe miasto, a teraz miał ją tak po prostu przekazać sierzantowi. Lecz przecież może wystrzelić chociaż raz, to na pewno nie zajmie wiele czasu Tylko jeden strzał! Wypuści ten schowany w torbie bełt i zaraz popędzi do portu...

Kiedy po skrzypiących schodach wszedł na dach, pospolitacy już zdążyli się poukrywać za przygotowanymi naprędce osłonami z grubych desek. Pisarz przycupnął niedaleko sierzanta, spojrzął na wyłom i serce załomotało mu w piersi. Kurz opadł i w polu, poza zasięgiem balist Nilmary, zaczęła się grupować piechota z Lensu. Równe szeregi, owalne tarcze, białe sztandary z wyginającym się czerwonym, skrzydlatym smokiem.

Obrońców doleciał odległy głos bębnow i piechota w żelaznym szyku poszła do natarcia. Karl nie wierzył własnym oczom - im bliżej wróg podchodził pod mury obronne, tym bardziej spowijała go mgła, która brała się nie wiadomo skąd.

- Czary! - splunął któryś z żołnierzy. — Mur też zwalili czarami!
- Dlaczego nie strzelają? — Inny człowiek spojrzął z nadzieją na baszty.

Sierzant chrząknął niezadowolony i ludzie z miejsca zamilkli. Mgła, całkowicie już spowijająca heretyków, dotarła do wyłomu, ale jak na razie ani załogi balist, ani żołnierze na dachach nie otrzymali rozkazu rozpoczęcia ostrzału. Mleczny opar doszedł do ściany ich domu, zaczął się unosić do okien pierwszego piętra, a po plecach Karla jakby ktoś przesunął niewidocznymi palcami. Z przerażenia stanęły mu włosy na głowie, miał ochotę rzucić wszystko i uciec, nie oglądając się na nic. Mimo woli cofnął się, ale wtedy zabrzmiały dzwony na wieży niedalekiego budynku. A potem następne i następne...

Pod wpływem tego odgłosu mgła nagle jakby się wzdrygnęła i zaczęła rozpraszać, niby ciemność przestraszona blaskiem ognia. Napór na duszę zelżał, ktoś zaczął się głośno modlić do wszystkich Świętych, a po kilku uderzeniach serca żołnierze Lensu stali się wreszcie widoczni.

- Strzelać! — krzyknął sierzant i pospolitacy oddali pierwszą, najbardziej skoordynowaną salwę. Mimo to, mało który bełt dosięgnął celu. Albo poleciały na boki i w ziemię, albo utknęły w tarczach.

Zaraz potem wystrzelili zajmujący sąsiedni dach ochotnicy z miasta, a potem odezwały się ukryte na podwórzach katapulty i przyczajone na barykadach skorpiony. Gliniane naczynie rozleciało się, oblewając atakujących płonąca substancją, spory kamień zmiądzzył goleń piechocińca, odskoczył i ranił kolejnego. Strzały i bełty poleciały ze wszystkich stron, powodując straty wśród heretyków.

Karl obawiał się wysunąć zza drewnianej osłony, więc z mieszaniną przerażenia i zachwyty obserwował tylko przez szparę, jak natarcie załamuje się, a żołnierze wroga odступują. Lecz wtedy w dach obok wyrznięta dźnięta zza muru obronnego ogniasta kula, w mgnieniu oka wznecając pożar. Rozległy się krzyki, strzelcy, odcięci od schodów ścianą ognia, zaczęli skakać na ulicę.

- Patrzcie! - wrzasnął ktoś, pokazując palcem sylwetkę ciężkozbrojnego, który przeszedł spokojnie przez kałużę płonącej smoły i wznosił rękę ku niebu.

Wokół niego zaczęło krążyć powietrze. Podmuchał porozrzucaną na wszystkie strony lecące ku postaci pociski, a potem między dłońmi dziwnego piechura zaśniła oślepiająco biała kula. I nie tak po prostu zaśniła, lecz z tego małego słońca wyrwały się błyskawice, rażąc najbliższą barykadę i siejąc śmierć wśród przerażonych żołnierzy Nilmary.

Na szczęście obrońcy szybko się opamiętali i strzała ze skorpiona pokonała powietrzną zasłonę, przebijając ciężkozbrojnego na wylot. Lśniaca kula zamigotała i zgasła, ale radosne okrzyki natychmiast umilkły, kiedy heretyk, wciąż jeszcze na nogach, potrząsnął rękami i górne piętro zajętego przez strzelców domu opodał wybuchło.

- Wycofujemy się! Szybko! — wrzasnął sierzant, posłuszny rozkazowi dostarczonemu przez gońca.

Teraz do żołnierzy Lensu strzelały już tylko katapulty. Gęsty dym mieszanki zapalającej wypełnił wyłom, a przeciwnik — ku wielkiej radości obrońców — nie kwapił się do wchodzenia w ogień.

- Szybciej!

Sierżant zaczął popychać i bez tego śpieszących się ludzi. Karl nagle zrozumiał, że przez ten cały czas nie wystrzelił. Nie posłał nawet tego jednego pocisku wrogowi. Po prostu skulił się i siedział, obserwując, jak walczą inni.

Spojrzał na ciemny grot bełtu spoczywającego na łożu kuszy, a potem wychylił się nad osłonę. Oparł broń na nieheblowanej desce i prawie nie celując, wystrzelił do heretyka, który zmierzał ku barykadzie, znów ukryty za nabierającym siły wirem, wznoszącym kurz. Po krótkiej chwili nieokiełznany piechur runął na bruk, a Karl był gotów przysiąc na Świętych, że to właśnie jego bełt powalił przeciwnika. Z wrażenia nie był jednak w stanie wydobyć nawet słowa. A kiedy rozeźlony sierżant złapał go za kark i powlókł do zejścia, było za późno na jakiegokolwiek wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ 2

MRO CZNY SETNIK. KELM I NILMARA

Dzień radości dla zbójów i kruków.

Od zorzy po zorzę

Miasto podpalone ze wszystkich zaułków

W mgnieniu oka zgorze...

Miesiąc Świętego Jana Uczzonego

Na murach otaczających Kelm panowała krzątanina. Żołnierze garnizonu i pospolitego ruszenia w pośpiechu zajmowali stanowiska, tędy pachołkowie kręcili kołowrotami katapult, balist i strzałomiotów. Chłopcy rozpalali ogniska pod kadziami ze smołą i olejem, starsi nosili do baszt wiązki strzał i kosze z kamieniami brukowymi.

A nad tym całym rozgardiaszem wznosił się wybudowany na szczycie wzgórza zamek z dumnie łopoczącymi na wietrze czerwono-czarnymi sztandarami. Na razie jeszcze dumnie, bo niewielkie były szanse obronić się przed otaczającymi miasto wojskami Lensu, a niektórzy nawet utrzymywali, że takie szanse w ogóle nie istnieją.

Trzydzieści lat spokojnego życia sprawiły, że miasto znacznie straciło na obronności. Mury wymagały już od dawna napraw, fosa zarosła, naniosło się do niej ziemi, omszały most zwodzony udało się podnieść nieledwie cudem, a próby załatania ubytków w fortyfikacjach za pomocą drewnianych umocnień wydawały się beznadziejne.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że trzeba było o to zadbać zawczasu, ale dochodów z kasy wielkiego księcia Wilhelma Piątego nie wystarczało nawet na bardziej palące potrzeby, zaś wszystkie próby przetrzucenia obowiązku zadbania o obronność na władze miejskie spełzły na niczym wobec oporu mieszczan, argumentujących, że nie należy zmieniać odwiecznych tradycji. Tak, nie chcieli absolutnie zmieniać odwiecznych tradycji i ponosić dodatkowych kosztów.

I oczywiście o wiele istotniejsze było to drugie.

* * *

„Nic się nie zmienia na tym świecie” - pomyślał niewesoło Gustaw Syrlin. Złożył lunetę i zamyślił się. Czy wielki książę zdaje sobie sprawę z beznadziei swojego położenia? Czy rozumie, że siłami pospolitego ruszenia i niewielkiego garnizonu nie da się utrzymać miasta, a sprzymierzeńcom wcale nie spieszo wysyłać posiłki? Zamiast tego niczym przestraszone lisy pochowali się po norach.

Przesławny Pakt okazał się nic niewart, o czym mógł świadczyć los Nilmary. Na zachodzie sojusznicze księstwa, hrabstwa i wolne miasta próbowały jeszcze coś zrobić, ale Kelm oddały bez walki. Lekcja udzielona wrogom przez dowódców Lensu była bardzo bolesna. Ale też i Wilhelm Piąty niewiele miał w sobie z doskonałego dyplomaty. Jeśli całymi latami plujesz w twarz sąsiadom, nie należy się dziwić, że w godzinie próby wolą pokazać ci plecy. Tym bardziej że trakt handlowy biegnący przez Kelm do Nilmary stał się ostatnio równie cenny i potrzebny, jak kolczuga dla tonącego. To znaczy ogólnie cenny, ale akurat nie w tej chwili. Teraz nikt nie da wielkiemu księciu złamanego szeląga, a już o wysłaniu wojsk nawet nie ma co wspominać.

Syrlin ostatni raz obrzucił wzrokiem mury obronne, które niebawem mieli szturmować jego zbóje, i poszedł do rozłokowanych oddziałów. Gustawa ogarnął zapał, uskrzydlał go, unosił prawie nad ziemię. Zapał kipiał w żyłach i nakłaniał, aby zaraz rzucić się do ataku. Wypełniał pewnością siebie i przekonaniem o własnej potędze, ale w tej chwili poddać się mu absolutnie nie należało.

Gustaw Syrlin nie zamierzał umierać z bełtem w piersi, wypuszczonym przez jakiegoś smarkacza. I chociaż nie mógł doczekać się spaceru po wąskich uliczkach Kelmu, zbytni pośpiech przy szturmie mógł kosztować zbyt drogo.

Już na samym skraju zdeptanego przez wojsko pola setnik nie wytrzymał i odwrócił się. Na tle wschodzącego słońca ściany twierdzy zdawały się czarne, a czyste niebo, bez jednego choćby obłoku porażało błękitem. Niezły dzień, żeby zdechnąć, ale lepiej odłożyć tę przyjemność na inny czas. Bo Gustaw miał na najbliższą przyszłość jasno zarysowane plany.

* * *

Namioty Mrocznej Kompanii stały na samym końcu obozu, po drugiej stronie zakręcającej tutaj rzeczki. Zarośnięty trzcina i krzakami brzeg był bagnisty. W razie wycieczki obrońców albo przybycia posiłków do miasta główne uderzenie skupiłoby się na ludziach Syrlina. Dowodzący wojskiem lord Leyn szczyił się swoją zapobiegliwością i liczył na to, że w razie zagrożenia zbieranina z Mrocznej Kompanii zapewni królewskim żołnierzom cenne chwile na przygotowanie. A może atak w ogóle utknie, jeśli natrafi na rozpacziwą obronę zagonionych w kozi róg przestępców? Żołdacy Mrocznej Kompanii byli zbójami pierwszorzędnymi. Bandyci i mordercy, dezterterzy oraz ukarani za różne przewiny żołnierze. Tylko w jeden sposób mogli uniknąć sądu i stryczka - wykupić się krwią. Tyle że żaden z tych wyrodków nie miał najmniejszej ochoty wypełniać obowiązku względem korony, a w ryzach trzymał ich tylko strach. Bali się jedynie dwóch rzeczy: dowódcy i śmierci. I trzeba powiedzieć, że setnik budził w nich znacznie większy respekt niż starucha z kosą. Władczyni trupów mogła się jeszcze zlitować! A setnik był zawsze blisko, jego miecz przerywał nić żywota nie mniej sprawnie od niewidzialnej kosy. Niektórzy pozwalali sobie na żarty, że tych dwoje pracuje razem.

Kiedy Gustaw wrócił do obozu, kompania już stała w gotowości. Osiem tuzinów piechurów, dziesiętnicy i sygnałowi. Nosili kirysy, długie kolczugi, topory i miecze. Mieli zawsze ponure, porośnięte nierównymi brodami twarze, ale już któryś zaczął ciągnąć pieśń idących na szafot skazańców, a po chwili inni podchwycili melodię. W rzeczy samej, od ludzi gotujących się na spotkanie z pieńkiem i toporem, żołnierzy Mrocznej Kompanii odróżniało tylko to, że mogli drożej sprzedać życie. Właśnie - sprzedać. Bo wykupić się od sprawiedliwości żaden nie miał nadziei, bez względu od okoliczności.

Przy czym realizacja umowy ze śmiercią przeciągała się na jakiś czas, a straty w kompanii były zazwyczaj mniejsze, niż w wojskach królewskich. W innych oddziałach już w pierwszym boju nie można się było doliczyć połowy stanu, ale Syrlin umiał podejmować właściwe decyzje. Za to żołnierze go szanowali i przez to także się bali. Bo te postanowienia często okazywały się nie tylko właściwymi, ale też surowymi, żeby nie powiedzieć - okrutnymi.

- Jesteśmy gotowi, wasza miłość - zameldował długi i chudy jak żerdź Jaques Bortier.

W poprzednim życiu dosłużył się stopnia sierżanta w królewskim pułku piechoty, ale pewnego dnia zarznął towarzysza, który nie zamierzał się z nim podzielić markietanką. Ponure oblicze z długimi wąsami

barwy piasku jak zwykle niczego nie wyrażało, ale ta pozorna obojętność mogła być zwodnicza. Ci, którzy mieli sposobność przebywać z Jaquesem dłużej, wiedzieli doskonale, że zastępca setnika mógł z byle powodu zapłonąć ogniem wściekłości, niczym wysuszone na słońcu siano.

~ Czekamy na rozkaz. - Gustaw przeszedł się wzdłuż złożonych opodal szturmowych drabin, których przygotowanie zajęło większą część nocy. Dalej leżały czekające na swoją kolej drewniane tarcze, niektóre obciążone skórą zabitych po drodze krów i świń. A tyczki z poprzeczkami i sznury z „kotkami” zostały podzielone na dziesiątki. - Co z taranem?

- Ano zrąbaliśmy drzewko, ale je zabrali królewscy - To naszym będzie lżej. - Setnik nawet się ucieszył.

W to, że książę zaryzykuje wycieczkę, zupełnie nie wierzył. A to znaczyło, że brama już dawno została zamurowana i stratą czasu byłoby próbować ją wyłamać taranem.

- Pójdziemy pierwsi? - upewnił się Jaques, kiedy dowódca zdjął kaftan i włożył przeszywanicę, a na nią płytkową zbroję.

- Jeśli jeszcze jakiegoś łotrostwa nie wymyślą. - Gustaw podskoczył kilka razy, potem zapiął szeroki pas i poprawił wiszący z boku długi miecz.

- Już by się mogło zacząć — westchnął Jaques, jak zwykle nieco podenerwowany przed walką.

- Zdążymy - osadził go Syrlin, starając się skrzętnie ukryć własne podniecenie.

- Wasza miłość... - odezwał się ktoś cicho za plecami setnika, ale on sam już zauważył zmierzającego ku nim doradcę lorda Leyna.

A tak ściśle rzecz ujmując, raczej wyczuł pojawienie się jasnowłosego mężczyzny w bogato zdobionej kurcie. Wyczuł go tym samym zmysłem, który już nieraz ostrzegał go przed wycelowanym w plecy nożem albo gotową zerwać się z cięciwy strzałą. Dziwne by więc było, gdyby nie poczuł zbliżającego się jednego z Wyższych - otulonego aurą poza-światowej mocy adepta Zjednoczenia.

— Gustawie, można prosić na parę słów? — William Arek przemówił jak zawsze łagodnym głosem.

Tyle że mimo tego zwodniczo proszącego uprzejmie tonu nie sposób mu było odmówić rozmowy. Nawet setnik Mrocznej Kompanii, który doskonale wiedział, skąd bierze się ta władczość, nie mógł nic na to poradzić. Ściśle rzecz biorąc, mógł, owszem, ale tylko jeden raz. Doradca lorda wyglądał wprawdzie na oderwanego od rzeczywistości fircyka, ale moc jego chwytu w niczym nie ustępowała naciskowi wilczych szczęk. To w pełni zrozumiałe, skoro był istotą tylko zewnętrze podobną do człowieka.

- Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko, panie setniku...

- Zawsze do pańskich usług — odpowiedział Syrlin po odpowiednio długiej pauzie, podczas której skończył naciągać rękawice.

Arek bardzo mu się nie podobał. Wprawdzie, jeśli podejść do rzeczy uczciwie, niewielu po świecie chodziło ludzi, których setnik darzyłby jakąkolwiek sympatią, ale doradca dowódcy od pierwszego wejrzenia wydał mu się wyjątkowo nieprzyjemny.

- Przejdźmy się - zaproponował William, którego nieruchoma, pozbawiona uczuć twarz przypominała pośmiertną maskę jakiegoś niesłychanie bogobojnego człowieka.

- Niebawem szturm...

- Właśnie o tym chciałbym porozmawiać. - Wyższy chwycił setnika mocno pod łokieć i pociągnął na stronę, kołnierze wciąż śpiewali swoją smutną pieśń. - Pańscy ludzie są gotowi iść do ataku?

- Oczywiście.

-To doskonale! - Arek skierował się ku bagnistemu brzegowi. - A czy pański zastępca... Bortier, o ile pamiętam, tak? baśnie. Czy byłby gotów objąć dowodzenie nad kompanią?

- W jakim sensie? - Gustaw stanął jak wryty. - I przede wszystkim, dlaczego?

- Wynikły pewne okoliczności, które wymagają pańskiej obecności w innym miejscu - zaskoczył rozmówcę William. - Co zatem z tym Bortierem? A może trzeba wyznaczyć dowódcę z zewnątrz?

- Da sobie radę - wykrztusił setnik, z trudem powstrzymując przekleństwo. Coś wymaga jego obecności gdzie indziej? Co za bzdury?! Zamierzał się dzisiaj spotkać z kimś w Kelmie, a nie włączyć po jakichś manowcach! - Skąd taki pośpiech? Wie pan przecież, że mam tutaj sprawy osobiste. Czekałem na to...

- Wiem - przerwał mu Wyższy. Pod ich nogami zachlupotała woda, ale zaraz weszli na pagórek i zatrzymali się na poboczu, obok małego rozlewiska, zarośniętego przy brzegach wysoką trawą. - Mogę tylko przypomnieć panu o długu...

- Co się stało? - spytał z rezygnacją Gustaw i poprawił rzemyk, którym związał długie, ciemne włosy. Nie lubił rozmawiać o długu. Tym bardziej, że jego mocodawcy bardzo lubili podejmować temat długów. Temat *jego* długów... - Co się znowu stało?

- Podczas zdobywania Nilmary jeden z nas został zabity...
- Zabito Wyższego? - Setnik wlepił zdumione spojrzenie w rozmówcę. — Całkiem?
- A uważa pan, że można zabić nie całkiem?
- Przypuszczam, że Wyższego nie da się zgładzić.
- Podzielaliśmy to błędne przekonanie.
- Lecz co mam zrobić w tej sprawie? Znaleźć winnego? Z tym lepiej sobie poradzą królewscy szpicle.

- Powtarzam, że zginął podczas szturm. - Arek zmierzył setnika ciężkim spojrzeniem. - Uważam, że zdobycie miasta jest przesądzone, ale oblężenie się przeciąga. Potrzebne nam twoje doświadczenie.

- Kiedy mam jechać? - westchnął Gustaw.

Skoro tak się sprawy miały, protesty były bezcelowe. Tak czy inaczej, podróży do Nilmary nie uniknie. Wyżsi nie zdecydują się poprowadzić wojska do szturm w obliczu takiego zagrożenia, a bez ich udziału nastąpi wielki rozlew krwi. A po co? Zawsze znajdzie się ktoś, kogo można złożyć w ofierze dla zwycięstwa. Na przykład Gustaw Syrlin.

- Wyruszać trzeba natychmiast - odparł doradca lorda.

- Natychmiast? - powtórzył Gustaw i nagle pojął, co kryje się pod słowami Wyższego. - Ale wasze ścieżki są zamknięte dla śmiertelników!

- Ty przejdiesz.

- Jest pan pewien?

- Czekają tam na ciebie. - William machnął ręką, a potem wskazał rozlewisko. - Idź...

Setnik pokręcił głową, a potem podszedł do wody i spojrzał w nią. Nic szczególnego nie zobaczył. Głęboka była może do kostek, po powierzchni biegały nartniki, przy szarym kamieniu znieruchomiła kijanka, przestraszona cieniem, rzuconym nagle przez człowieka. Na tle nieba odbicie mężczyzny było zupełnie ciemne. Gustaw zdjął prawą rękawicę, ujął nóż. Wstrzymał oddech, nadciął mały palec i patrzył na kropkę spadającą w wodę.

I stało się tak, jakby krew setnika zawierała w sobie całą esencję zimnych wiatrów oraz nocnych przymrozków.

Rozlewisko momentalnie skuł cienki lód, a odbijające się w wodzie niebo przestało być nieskazitelnie błękitne. Teraz nad głową setnika płynęły ciężkie, ołowiane chmury. Tylko czy istotnie nad głową? Bo nie widział już swojego odbicia...

Gustaw, wciąż wstrzymując oddech, wstąpił na lód, który załamał się pod nim natychmiast. Żołnierz cały pogrążył się w toni, a po krótkiej chwili jedynym śladem po nim były pęcherzyki powietrza odrywające się od dna oraz odłamki topniejącego błyskawicznie lodu.

Syrlin runął w nieskończoną pustkę, czując jak ciepło wody zamieniło się w grobowy chłód. Zadrzał, ale już po chwili niewidzialna moc wyrwała go z martwych objęć mrozu i pociągnęła w swoją stronę. Zaraz potem, krusząc głową cienki lód, setnik wypełzł z kałuży na szorstkie kamienie bruku. Jakiś czas kaszlał spazmatycznie i leżał pod lejącymi się z nieba strugami deszczu. Wreszcie zebrał się w sobie i

wstał.

- Witamy! - powiedział jeden ze stojących przy kałuży mężczyzn, kryjący twarz przed ulewą pod głębokim kapturem.

- Radzi pana widzimy - oznajmił chłodnym głosem drugi Wyższy, odziany w szary płaszcz, zupełnie przemoknięty.

Co do tego, że powitali go sami Wyżsi, setnik nie miał najmniejszych wątpliwości. Otaczająca ich aura była prawie namacalna. Zdawało się, że wystarczy uważne spojrzenie, a staną się widoczne przejrzyste skrzydła, złożone za plecami... Ale nie, to przecież tylko głupie gadki.

- Co trzeba zrobić? - spytał Gustaw równie chłodno i odgarnął z twarzy kosmyk mokrych włosów. Ubranie miał przemoczone na wskroś, w butach chlupotała woda, ale nie zwracał na to uwagi, wciąż mając w głowie głosy mieszkańców pustki. Jednak pojedyncze słowa, jakie do niego docierały, nie składały się w zdania. Setnik potrząsnął głową, rozdrażniony, i siłą woli zmusił się, aby zapomnieć o tym, co słyszał. - I kiedy?

- Poprowadzić do szturm ożywieńców.

- Kiedy przestanie padać.

- Zrobiliśmy wyłom w murach...

- Ale pierwszy szturm utknął.

- Zabili Illsa, dlatego...

- Jak to zabili? - Gustaw przerwał Wyższemu. - Jak to się mogło stać?!

- Otrzymał postrzał. Ciało do tej pory leży na ziemi niczyjej.

- To ostateczny zgon? - upewnił się setnik.

- Tak! - Rozmówcy obrzucili go wściekłymi spojrzeniami. - Nie mamy wątpliwości.

- To znaczy, że poprowadzę do walki truposzy? — powiedział Gustaw z namysłem. — Przez wyłom? Tam w głębi są tylko barykady, czy oblężeni zdążyli postawić jakiś mur?

- Barykady. Balisty nie pozwalają im się wychylać. Co jest za barykadami, to już nie twoja rzecz, lecz nasza. Dojdź do nich.

- I strzeż się dzwonów.

-A dopóki pada, odpocznij i przebierz się...

* * *

Na czas ulewy Gustaw dostał przestronny namiot. Od razu przyniesiono mu balię z gorącą wodą, suche ubranie i tacę z kilkoma przykrytymi talerzami, a zaraz potem kryształową karafkę z czerwonym winem. W warunkach polowych były to zbytki wręcz nieprawdopodobne. Ale setnik nawet nie spróbował jedzenia. Nalał sobie wina, oddał przemoczoną odzież ordynansowi i nie bez wahania wszedł do ciepłej wody. Nie udało mu się rozluźnić w żaden sposób, mimo woli odczuwał obawę, że w każdej chwili dno balii się zarwie, a jego znów wciągnie szara nicość. Czym prędzej obmył się i wyskoczył na pewny grunt, wytarł się dokładnie, ubrał i dopiero wziął za posiłek.

Chmury zaczęły się rozwiewać po południu i do namiotu od razu przybyli Wyżsi. Towarzyszący im żołnierze zaczęli odziewać setnika w ciężki pancerz, zapinali pasy, siłując się ze sprzączkami i przez tę całą krzątaninę Gustaw całkiem stracił humor.

Nie pierwszy raz miał prowadzić do walki ożywionych i zazwyczaj traktował to jako zwykłą rzecz. Ale dzisiaj... Dzisiaj powinien szturmować ze swoimi szubienicznikami Kelm, a nie jakąś Nilmarę. Tam miał zdobyć mury, wejść do zamku na wzgórzu i spłacić stary dług. Właśnie tak! Tylko stary dług. Dług krwi.

A zamiast tego musi atakować gdzie indziej! Atakować dobrze obwarowane miasto portowe, bronione nie tylko przez niedoświadczonych pospolitaków, ale i świetnie wyszkolonych żołnierzy oraz twardych marynarzy. Ci ludzie to nie leniwe darmozjady z garnizonu w Kelmie, będą trwać do końca. A zatem obrońcy Nilmary byli w stanie wysłać do piekła trzeciego syna Ulryka Syrlina, znanego niegdyś

lichwiarza, a świadomość tego sprawiała, że spokojny zazwyczaj Gustaw zaczął wychodzić z siebie.

- Co tam z pogodą? - spytał.

Przeszedł się po namiocie, żeby przywyknąć do niewygodnej, ciężkiej zbroi. W czymś takim leżąc na mury to samobójstwo, ale dzisiaj Wyżsi mieli co do setnika inne plany.

- Można zaczynać.

- Najpierw się rozejrzę.

Zarzucił na ramiona płaszcz, wziął lunetę i wyszedł. Najpierw poszedł obejrzeć wyłom w murze, skoro miał tam prowadzić oddział wykopanych z grobów truposzy. Chociaż dlaczego zaraz z grobów? Świeżych nieboszczyków przecież w okolicy nie brakowało.

Wyłom zrobił na Gustawie wrażenie. Nie chciał nawet myśleć, ile mocy musieli zużyć Wyżsi, żeby całkowicie zburzyć taki kawał muru. Kamiennie konstrukcje sąsiednich baszt i zalegające w fosie głązy wydawały się nadtopione, a strzelnice czerniały niczym plamy na ciele rozkładającego się trupa. Teraz Gustaw zrozumiał, dlaczego garnizon nic nie może poradzić na ostrzeliwujące wyłom balisty Lensu. Baszty były dla obrońców tak samo stracone, podobnie jak cały ten mur. Co by nie powiedzieć, Wyżsi naprawdę popisali się wczoraj siłą i sprawnością, zasługując na pochwały.

Za to barykady, wzniesione między ścianami domów o spalonych dachach i zamurowanych oknach, zupełnie nie zrobiły na setniku wrażenia. Widział doskonale, że zdołają się na nie wspiąć nawet niezgrabni ożywieńcy - a co dopiero mówić o piechurach, którzy pójdą do ataku w drugiej fali?

I nawet jeśli pod osłoną barykad obrońcy wzniesli w głębi miasta nowe mury, to nic strasznego. Ile mieli na to czasu? Dzień? Nawet gdyby dostali w prezencie dwie doby, w stronę wyłomu biegło zbyt wiele ulic.

Jeśli kogoś należało się obawiać, to strzelców. Ale ci byli niegroźni dla truposzy, Gustaw zaś przyrzekł sobie solennie nie narażać się dzisiaj na niebezpieczeństwo. Nie miał najmniejszej ochoty podzielić losu poległego Wyższego.

- Jak wielu ożywieńców będę prowadził? - zapytał towarzyszących mu Wyższych.

Jedna z katapult zaskrzypiała, rozległ się głuchy stuk okręconego linami drzewa i w stronę miasta poleciała beczka z płonąca smołą. Spadła gdzieś za barykadami, a nad dachami domów po chwili ukazał się czarny dym.

- Chodźmy - powiedział jeden z towarzyszy setnika. Mimo jasnego już nieba, wciąż był okutany w długi płaszcz.

Poszli na drugi koniec obozu. Namiotów tutaj żadnych nie było, sterczały tylko zbite w pośpiechu wieżyczki strażnicze i dymiły ogniska. W miarę zbliżania się do tego miejsca, w nozdrza coraz mocniej uderzał zapach palonego mięsa oraz ciężki trupi odór.

Podjechał wóz i żołnierze z chustami na twarzach zaczęli przebierać złożone na nim ciała. Te, które okazywały się lepiej zachowane, wrzucali do wykopanego obok dołu, a zanadto okaleczone lub dotknięte zaawansowanym rozkładem przekładali niedosuszonym drewnem, a potem zapalali następne ognisko.

Gustaw podszedł do dołu i poczuł mdłości. Jama okazała się do połowy zapełniona kotłującymi się ospale trupami. Widok był wyjątkowo przerażający i odpychający, ale na towarzyszących setnikowi Wyższych nie robił najmniejszego wrażenia.

— Żeby się pan nie osunął — uprzedził tylko jeden z nich.—To bardzo niebezpieczne.

Wskazał na podjeżdżający wóz z klatką. Zamknięty w niej brodacz chwycił z całej siły pręty, ale dwóch żołnierzy oderwało nieboraka, chwyciło za ręce i nogi, a potem cisnęło w kłębowisko. Dzięki krzykowi przerażenia zamilkł, kiedy brodacza pokryły ciała i zniknął z oczu, a żołnierze jakby nigdy nic odeszli do innych obowiązków.

- Dezerterzy, maruderzy, gwałciciele, mordercy, złodzieje i włóczęgi - wyliczył Wyższy. - Ludzkie śmieci, gotowe posłużyć naszej sprawie w swoim nowym wcieleniu.

- Nie dam rady aż tylu poprowadzić. - Setnik zasępił się i mimo woli pogładził krótką brodę.

Doskonale czuł rozlewającą się pod jego nogami poza-światową moc i niesamowite zło uwięzionego w jamie legionu diabłów, które wywabiono z ojczywego żywiołu, wykorzystując jako przynętę martwe ciała.

- To żaden kłopot — usłyszał Gustaw za plecami i natychmiast odsunął się od krawędzi wykopu. Wyższy, którego kapelusz jeszcze nie wysechł, z obojętnym wyrazem twarzy wskazał na stojącego nieopodal ciemnowłosego mężczyznę w średnim wieku. - Przygotowaliśmy naczynie.

- Naczynie?! - Setnik nagle poczuł kipiącą we wnętrzu tego niepozornego człowieka moc nie z tego świata. Całe morze mocy.

Gustaw nie potrzebował więcej podpowiedzi. Położył ręce na ramionach mężczyzny, wpatrzył się w jego puste oczy, a potem sięgnął do buzującej w naczyniu energii. Ledwo to zrobił, a ona chlusnęła strumieniem, splukując z duszy zmęczenie i rozdrażnienie. Sprawiała, że zapomniał o Kelmie i zemście, w jednej chwili rozproszyła obawy przed szturmem. Teraz setnik mógł pójść w pojedynkę na całą Nilmarę i zwyciężyć. Nie był już kruchym człowiekiem, stał się kimś większym, prawie osiągnął doskonałość, do jakiej zawsze dążył. Jednakowoż tylko prawie...

Czując, że jeszcze chwila, a zawrze w nim krew, Gustaw zmusił się, żeby puścić mężczyznę, który zmienił się w posiwiąłego starca o twarzy poranej brudami zmarszczek i zapadniętych oczach. A ten upadł na wznak.

- Do dołu?

- Jeszcze nie. - Wyższy w płaszczu przyklęknął przy ciele. - Nie został do końca wyczerpany.

- Posłuży jeszcze raz?

- Jak najbardziej.

- Pora wyruszać - zakrzętnął się Syrlin, który zazwyczaj otrzymywał tylko nędzne okruchy

przepełniającej go teraz siły.

Ciało płonęło ogniem, ręce drżały, ale setnik wiedział, że wcześniej czy później znów stanie się sobą. I chociaż potem będzie długo odczuwał absmak po obecnym stanie i poczuciu wielkości, teraz był prawie szczęśliwy.

- Już niedługo - uspokoił go Wyższy w płaszczu.

Drugi machnął ręką i kilku żołnierzy opuściło do dołu drabiny, po czym rzuciło się do ucieczki, zanim truposze zaczęli nieporadnie wylazić na powierzchnię. Nieboszczycy oblepili drabiny, przeszkadzali sobie nawzajem, osuwali się i spadali w dół. Przez pewien czas Gustaw z uśmiechem obserwował poczynania podkomendnych, a potem rozkazał:

- Bębny!

Równy odgłos pomógł zebrać myśli i setnik posłał do jamy esencję niosącego się nad obozem marsza. Zapiął obrożę uczynioną z wyraźnego rytmu i wydał rozkaz trupom, które w jednej chwili przestały się kłębić.

- Naprzód!

Skuci wołą mrocznego setnika nieboszczycy zaczęli pojedynczo wychodzić i ustawiać się w nierówne szeregi. Gdzieś niedaleko, a jednocześnie jakby w innym świecie gwizdały sygnałowe rożki, rozlegały się krzyki sierżantów i oficerów. Lecz dla Gustawa miał znaczenie tylko rytm wybijany przez bębny. Wątpliwości i wahania nie istniały, a czujące pewność siebie pana trupy ruszyły w stronę wyłomu. Wprawdzie nie w porządnym szyku, ale też już nie jako skłębiona ciżba.

A Gustaw zmusił przepełniającą go moc, aby pulsowała w tempie wybijanym przez doboszy i poszedł za podwładnymi, niby pasterz zaganiający stado. Przebywające w martwych ciałach diabły były zbyt słabe, żeby sprzeciwić się jego woli, ale gdyby dystans wzrósł, mogłyby nabrać werwy i próbować zerwać skuwające je czary.

Nad ziemią zaczęła unosić się mgła, początkowo niezauważalnie. Spowijała maszerujących miarowo nieboszczyków, zamieniała jednego trupa w dwa, wprawiając w przerażenie ludzi z miasta,

obserwujących natarcie martwych żołnierzy. Mgła paraliżowała wolę obrońców, sprawiając, że mieli ochotę uciec. Stworzone przez Wyższych upiorne węże strachu pełzły przed truposzami, gotowe ukąsić każdego, kto stanie na drodze zwycięskiego pochodu awangardy armii Lensu.

Setnik nie mógł tego widzieć, ale wyobrażał sobie, jak nad idącymi za nim piechurami powiewają białe chorągwie z czerwonym skrzydlatym smokiem, który niebawem rozerwie na strzępy srebrnego albatrosa na granatowych sztandarach Nilmary.

Nilmara witała napastników ciszą. Ani bębnow bojowych, ani okrzyków oficerów i dziesiętników pospolitego ruszenia.

I dopiero kiedy martwi zaczęli przedzierać się przez zasypany gruzem rów fosy, stało się jasne, że to nie wywołane magicznymi praktykami Wyższych bezhołowie, ale chęć dopuszczenia wroga jak najbliżej, aby zadać skuteczny pierwszy cios.

Wspólny głos dzwonów licznych domów modlitwy oraz kaplic w mig rozproszył mglistą zasłonę i zmiotł wpełzające już w wyłom czary strachu. Z dachów, barykad i murów poleciały kamienie i strzały, a kiedy poryw wiatru znad morza przyniósł z miasta echa pieśni, nieboszczycy zaczęli padać.

Jednak Gustaw był przygotowany na takie niespodzianki. Rozpalając w sobie rytm milknących jeden za drugim tarabanów, setnik cisnął nim w trupy, a te dźwignęły się i poszły dalej.

Na ich spotkanie pędziły strzały, oszczepy, garnki z węglami, smołą i oliwą. Z dachów zaczęły się walić kłody i kamienne płyty. Lecz mimo to nieboszczycy nacierali. Szli, naszpikowani strzałami, płonęli, kiedy oblewała ich smoła, jednak szli uparcie, niczym ogniste czarty, które wypełzły z samego dna piekła. Padali jak połamane kukły, rozbijane kamieniami i balami. Stawali, kiedy nadziewali się na zaostrzone tyki, ale nacierali na barykady, zostawiając na przeszkodach kawałki martwych ciał.

Gdyby byli żywymi ludźmi - nawet zaprawionymi w bojach weteranami — już dawno zaprzestaliby ataku, a poza tym potworne straty przeraziłyby oblegających. Ale trupy nie znały strachu, a Gustaw nie przestawał ich poganiać, czując, że pozaświatowa siła wycieka z niego ustawicznie.

Uchodziła nazbyt szybko. Dźwięk dzwonów działał niczym ciężkie maszyny bojowe, religijne pieśni mąciły świadomość, paliły jak rozpalone żelazo i zniechęcały. Ale na przekór wszystkiemu Gustaw podchodził do barykad wciąż bliżej i bliżej. Dawno przestał rozważać, czy ten atak stanowi manewr odciągający, czy też Wyżsi w rzeczy samej postawili wszystko na jedną kartę. Nie miał zresztą teraz czasu na swobodne rozmyślanie, gdyż jego podkomendni padali jeden po drugim i z każdą chwilą oddział coraz mocniej się przerzedzał. A oto poszły już w ruch ciężkie topory, którym powolni i bezbronni martwi nic nie mogli przeciwstawić.

Jednak Syrlin pędził oddział naprzód, nie licząc się ze stratami. Kilka razy od jego hełmu i kirysu odbijały się pociski, ale on stał pewnie pośrodku zavalonego ciałami placyku, rozciągającego się przed barykadami i nie myślał o szukaniu kryjówki. Odciął się od wybuchłej o kilkadziesiąt kroków walki i próbował przekazać malejące zasoby mocy trupom oblepiającym barykady.

Gdzieś niedaleko zagrały rożki sygnałowe, zaczęła szcząkać broń, zabrzmiały krzyki idących do ataku żołnierzy Lensu i właśnie to skłoniło obrońców do rozpaczliwej próby bezpośredniego rozprawienia się z nieboszczycami, którzy przeszkadzali im przerzucić siły na inne odcinki murów.

W jednej z barykad otworzyło się przejście, aby przepuścić dziesięciu pancernych jeźdźców, którzy wbili się w ciżbę trupów. Za nimi wybiegli uzbrojeni w topory piechurzy. Sformowali się w klin i zaczęli przedzierać do Gustawa.

Setnik właśnie na to czekał i był gotów. Przelał w krótkiej chwili na nieboszczyków całą buzującą w nim moc, jakby opróżnił jednym ruchem wielką kadź, chwilę odczekał, po czym wypuścił diabły na wolność.

Niezgrabni, ociężali truposze przeobrazili się w mgnieniu oka. Ich oczy nalały się upiorną purpurą, paznokcie błyskawicznie urosły i zamieniły się w prawdziwe szpony, a zęby stały się ostrzejsze. Spuszczone z łańcucha demony, wchłaniając przekazywaną przez setnika moc, poczuły ciepłą krew.

Obrońcy, którzy poszli do ataku, zostali pogrzebani pod napływającymi falami nieumarłych. A ci ostatni okazali się silni, szybcy i bardzo, ale to bardzo wygłodniali...

Gustaw zdmuchnął mieczem młodego mężczyznę, który o mały włos zaczepiłby go toporem, a potem zaczął przedzierać się przez tłum opętanych trupów. Otaczający go ze wszystkich stron nieboszczycy zaczęli tworzyć koło, ale mroczny setnik nie zamierzał stać się ofiarą wypuszczonych na wolność istot pochodzących z pustki. Uniósł nad głowę prawą rękę, a nieziemska moc otoczyła czarnym płomieniem zaciśniętą mocno pięść. Syrlin zakręcił się w miejscu, chlasnął mrokiem tych, którzy podeszli zbyt blisko, zamachnął się drugi raz i ocalali nieumarli poszli w rozsypkę. Teraz tym potworom nie mogła już zaświtać myśl, aby napaść na byłego pana, więc z nowym zapałem popędzili na barykady, czyli tam, gdzie czekali pełni życiowych sił ludzie. Nawet siedzący na dachach strzelcy nie byli bezpieczni - paru truposzy zaczęło się wspinać po ścianach.

Mroczny setnik jeszcze raz rzucił okiem na barykady, a potem oddalił się z pola boju. Zadanie wykonał, a ryzykować, że dostanie strzałę w którąś szczelinę zbroi nie zamierzał. Ze wszystkich stron dolatywały krzyki przerażenia, modlitwy i wołania o pomoc. Naprzeciw Gustawa w równych szeregach szli żołnierze Lensu, osłonięci tarczami. Nawet jeśli obrońcom udałoby się wybić wszystkich nieumarłych, doborowe wojsko już szło przypieczętować sukces.

Dopiero wieczorem Gustaw zobaczył się z Wyższymi -kiedy kapitulacja Nilmary została już przypieczętowana. Niebo nad miastem zasnuł gęsty woal dymu i trudno było zgadnąć, czy to mieszkańcy miasta palą własne domy, czy też żołnierze Lensu wyrzucają pospolite ruszenie z broniących się jeszcze dzielnic.

Setnik zdjął pancerz i przez pewien czas obserwował przemieszczanie się oddziałów, ale potem machnął na wszystko ręką i poszedł spać. Jeszcze nie tak dawno kipiąca w nim moc odeszła prawie całkowicie, a poczucie własnej ułomności raniło o wiele bardziej, niż poparzenie od ognia, otaczającego prawą pięść.

Co tam ręka! Zagoi się. Ale obecna w sercu tęsknota groziła przekształceniem w długotrwałe przygnębienie.

Jakże by chciał znów odczuć potęgę płynącej między palcami mocy, poczuć się wszechmocnym, w niczym nie ustępującym Wyższemu. Więcej nawet! Żaden z nich nie oparłby mu się dłużej, niż pięć minut!

* * *

Gustaw spał do zachodu słońca, a obudził się w jeszcze gorszym stanie ducha. Prawa ręka już nie dokuczała,

Zacisnął pięści, z najwyższym trudem powstrzymując się od przekleństw. - Zostałem tutaj wysłany, aby wziąć udział w szturmie. Zrobiłem, co do mnie należało i muszę wracać! Słyszycie? Muszę!

- Nikt tam na ciebie nie czeka. - Wyższy w płaszczu wzruszył ramionami.
- A sam nie znajdziesz drogi - ostrzegł drugi, który paradował w nowym kapeluszu, z węższym rondem, za to ze złotą sprzączką.
- Drogę można łatwo otworzyć.
- Ale po co?
- Spróbuję - zdecydował setnik. - Kiedy możecie mnie wysłać?
- Nawet zaraz - burknął Wyższy, niezadowolony, że człowiek przepuścił jego ostrzeżenie mimo uszu. Noskiem buta wyrysował okrąg w mokrym od deszczu gruncie. - Idź...

Gustaw z obawą stanął w środku kręgu i z konsternacją spojrział na Wyższych, ale ci już się odwrócili i odeszli. A w następnej chwili ziemia rozstąpiła się pod nogami setnika i runął wprost w objęcia pustki, z trudem powstrzymując krzyk przerażenia.

Syrlina otoczyła nicość, szara otchłań, wabiąca nieśmiertelnością, kusząca bezgraniczną potęgą. A on mógłby się nawet poddać, przyjąć dar wieczności, gdyby nie trawiący go ogień nienawiści. Właśnie ten czarny płomień, który żywi się ukrytą w duszy człowieka ciemnością, odepchnął pozbawionych ciała

mieszkańców szarej mgły i obrócił w proch czary, próbując zawładnąć wolą śmiertelnika.

Gustaw zebrał wciąż jeszcze drzemiące w nim drobinki mocy i kazał im zapłonąć na kształt latarni morskiej. Zadrzał, czując przebiegającą przez ciało odpowiedź. Zamieszkujące pustkę diabły zasyczały z wściekłości, ale człowiek już wyskoczył z ich upiornych objęć i powrócił do swojego świata.

Przeturlał się z trudem przez niewysokie obmurowanie basenu, upadł na zimne kamienie bruku i z wielkim zadowoleniem zrugął dwóch oniemiałych z zaskoczenia żołnierzy królewskiego pułku piechoty. A potem zaczął wybierać z włosów kłujące drobinki lodu.

Ubranie znów miał całkiem przemoczone, wszystko go bolało, zupełnie jakby dotarł do Kelmu czołgając się całą drogę. Wstrzymywał oddech przez całą wieczność i teraz dyszał ciężko. Mimo to, Gustaw Syrlin był po prostu szczęśliwy.

I nie dlatego, że zdołał wyrwać się z objęć aż nazbyt gościnnej pustki. Nie, w doskonały nastrój wprowadził go widok, jaki miał od strony fontanny na zamek. Zamek, nad którym wciąż dumnie powiewały czerwono-czarne barwy Wilhelma V.

- W czyich rękach jest miasto? - spytał setnik wyprężonych na baczność żołnierzy. Odgarnął odłamki lodu w basenie i opłukał ręce pobrudzone o bruk.
- Mówią, że zostało zdobyte, wasza miłość...
- A zamek?
- Tego nie możemy wiedzieć, wasza miłość. — Żołnierz oparł o ziemię koniec drzewca włóczni. — Zostawili nas tutaj.
- Oczywiście.

Gustaw odgarnął z twarzy mokre włosy, przeniósł wzrok na marmurowy posąg pośrodku fontanny - stojącego dęba jednorożca z ukruszonym kopytem i nagle przypomniał sobie czasy, kiedy jako chłopiec bił się z innymi urwisami przy podziale wyłowionych stąd miedziaków. I jak parę lat później wóz z zamkniętymi w klatkach synami Ulryka Syrlina bardzo powoli objeżdżał plac, zanim skierował się na drogę wiodącą do zamku.

— *Wiedźmie bękarty!*— ryczał tłum, rzucając w klatki zgniłymi jabłkami, suchym łajnem i grudami ziemi. *Nikt w Kelmie nie miał powodu, aby czuć sympatię do lichwiarzy. A szczególnie lichwiarzy; oskarżonych przez ludzi księcia o czarnoksięstwo. — Obyście się smażyli w piekle!*

Gustaw odszedł od fontanny, wspominając, jak właśnie jemu przelatujące między prętami twarde jabłko rozbiło usta. Potrzęsnał głową, żeby przegonić natrętne myśli, a potem poszedł zdecydowanym krokiem w stronę wzgórza. Jednak wspomnienia nie opuszczały go, przyczepiły się niby gończe psy czujące posokę ofiary, biegły za nim i gryzły, szarpały duszę bez litości.

Na skrzyżowaniu przednie koło wozu wpadło w dziurę, Gustaw uderzył czołem w pręty, a wtedy jakiś oszalały z nienawiści mieszczanin podskoczył i z całej siły pchnął go kijem w twarz.

Setnik starł z rozciętej brwi krew i dopiero po chwili do niego dotarło, że to tylko ściekająca z włosów woda.

Zaklął paskudnie i poszedł do zamku, nie zapominając rzecz jasna rozglądać się uważnie. I tylko dlatego zdołał dostrzec dachówkę, która rozleciała się po uderzeniu w pręt klatki, boleśnie raniąc przyciśnięte do twarzy dłonie. Niechciane wspomnienia nie przeszkodziły setnikowi odskoczyć na bok. Zadarł głowę, obserwując spadzisty dach. Wiatr? Pewnie tak.

Gustaw przygarbił się nieco, na wszelki wypadek położył dłoń na rękojeści miecza i poszedł dalej.

Wyrwane z ulicy brukowce z łoskotem odbiły się od kraty, ale nauczony gorzkim doświadczeniem chłopiec odpełzł w najdalszy kąt klatki. Nie miał już w tym mieście przyjaciół. Gród zmienił się w potwora łaknącego jego krwi. Gustaw łykając łzy, przysiągł sobie, że tę bestię kiedyś zgładzi. Zabije Kelm, jak się zabija wściekłego psa. Ale wówczas to były tylko marzenia dziesięcioletniego chłopca...

Kobięcy krzyk, który dobiegł zza rogu, setnik wziął początkowo za kolejne złudzenie, wywołane przez wspomnienie koszmaru. Jednak krzyk zabrzmiał ponownie, więc Syrlin przyśpieszył kroku i skręcił

w wążutką uliczkę. Zatrzymał się przed ogrodzoną wysokim płotem willą. Usiłował sobie przypomnieć, do kogo kiedyś należał ten dom, a gdy wreszcie wygrzebał z pamięci imię właściciela, uśmiechnął się. Ten dzień bez wątpienia był dla niego pomyślny.

Gdy mroczny setnik wszedł na ogrodzenie, maruderzy już zbierali się do odejścia. Jeden ciągnął od strony domu zapłakaną dziewczynę w porwanej sukni, a drugi, który z wysiłkiem dźwigał w każdej ręce po wielkim bukłaku z winem, kopniakiem odrzucił ze swojej drogi gospodarza posesji i zarechotał.

Rozzochrane włosy, nie wiadomo czym zapaskudzone mundury, lekkie kolczugi, miecze piechoty. Ci na pewno nie należeli do Mrocznej Kompanii. Tym bardziej, że jego doświadczeni życiem szubienicznicy z pewnością nie zostawialiby świadków...

- Hej, ty! - Maruder zauważył pojawienie się obcego. - Czego się gapisz? Trzeci nam niepotrzebny, wynoś się!

- Kto jest waszym dowódcą? - Gustaw przeniósł spojrzenie z zakrwawionej twarzy gospodarza na bezgłośnie łkającą dziewczynę i zeskoczył na dół.

- A co ci do tego? - Żołnierz wyszczerzył zęby na widok mokrej odzieży intruza. — Powiedziałem won!

- Miecze na ziemię, ręce za plecy, mordy do ściany! Natychmiast!

- Już się rozpedziłem!

Cudak w mokrym płaszczu nie budził respektu. Ciągający dziewczynę maruder uznał, że ten nudziarz jest po prostu pijany. W dodatku miecz przypiął sobie z prawej strony...

Nie zamierzał się podporządkowywać i dać zaprowadzić na szubienicę jakiemuś głupcowi, więc wy dobył krótką klingę i rzucił się na Gustawa. Nie zdążył się jednak nawet zamachnąć. Runął na ziemię, kiedy trzymany w lewej ręce setnika ciężki miecz bez trudu przeciął marną kolczugę, roz-rąbał obojczyk i zatrzymał się na mostku.

Gustaw wyszarpnął w milczeniu ostrze z martwego już ciała i ruszył na spotkanie drugiego piechocińca. Ten już sobie nieźle popił i nie dotarło do niego, że powinien czym prędzej brać nogi za pas. Zamiast tego postanowił pomścić kompana, więc podzielił jego los.

- Dziękuję! Dziękuję wam, panie! — zawołał właściciel willi, opasły starzec z wielką łysiną, którą zazwyczaj ukrywał pod czapką. - Zabrali pieniądze i chcieli zbezczęścić moją synową...

- Nie mogę ich za to potępiać. - Gustaw z początku chciał wytrzeć klingę w płaszcz marudera, ale rozmyślił się. Zerknął na znak naszyty na materiale: ręka w pancernej rękawicy, trzymająca złamany miecz. - A co do wdzięczności... Pamiętasz, jak dziękowałeś, kiedy Ulryk Syrlin zmniejszył twój dług?

A potem jako pierwszy zaświadczyłeś w sądzie, ieś padł ofiarą czarów i nie otrzymałeś od lichwiarza nawet miedziaka...

- Nie... — Przerażony starzec zaczął się cofać w stronę ganku.

- Ależ tak. - Mroczny setnik uśmiechnął się, a potem machnął mieczem. Teraz już wytarł ostrze w płaszcz marudera. Usłyszał zduszony płacz, spojrzał na dziewczynę i skrzywił się. Jej w tamtym Kelmie nie było. - Zmykaj do domu.

Podjął z ziemi bukłaki z winem, otworzył furtkę i opuścił posesję. Przestraszone rozlaną krwią wspomnienia skryły się w najciemniejszym zakątku duszy i do placu przed zamkiem setnik dotarł w spokoju. Parę razy spotkał konne patrole pilnujące porządku, ale o martwych maruderach Gustaw im nie mówił.

Spieszył się i bał spóźnić. Zgładzenie Kelmu to był oczywiście ważny cel, ale Syrlin pragnął spotkać się z księciem, zanim ten odda ducha Świętym. Świętym? O nie — prędzej czartom.

Na placu znów, jak wiele lat wcześniej, nogi zaczęły płonąć. Iluzoryczny ogień lizał je, powodując potworny ból, ale Gustaw zacisnął zęby i poszedł dalej, obok stosów ze słupami, obłożonymi wiązkami chrustu. W Kelmie mieli zwyczaj palić czarnoksiężników...

Zajmujące się bezbarwnym płomieniem stosy rozwiały się, kiedy mroczny setnik przeszedł przez

bramę zamku. Ból - w pełni prawdziwy ból — w poparzonych lata temu stopach i kostkach przeszkadzał zebrać myśli, mimo to Gustaw dostrzegł, że otoczenie wygląda jakoś dziwnie.

Brama była otwarta, ale nie widział śladów szturmu. Na dziedzińcu roiło się od królewskich piechurów, ale na iglicach powiewały czerwono-czarne znaki. I nie, wzrok go nie mylił - przy wejściu donżonu stali pancerni wielkiego księcia. Co tu się działo?!

Zauważył w dalszej części dziedzińca żołnierzy Mrocznej Kompanii, obok których wznosiła się cała góra zdobycznego oręża. Podszedł do siedzącego na ziemi Jaquesa Bortiera.

- Gdzie pozostali?

- Wątpię, żeby któryś przypadł do serca Świętym. - Bortier oderwał dłoń od skrwawionej z boku koszuli i uśmiechnął się smutno.

Żołnierze, którzy ożywili się na widok dowódcy, zamilkli, wyczuwając wzbierającą w nim wściekłość.

- Wszyscy?

- Wszyscy, wasza miłość - potwierdził Jaques. - Nie ma już kompanii...

Gustaw zacisnął zęby, spojrzął na zmieszanych i milczących żołnierzy. Ilu ich było? Dwa tuziny? Najwyżej dwa i pół? W tym wielu rannych. Dobrze chociaż, że wojskowi medycy nie zaniedbali ich, o czym świadczyły świeże opatrunki. A i konsternacja szubieniczników, którzy przeszli już ogień i wodę, była w pełni zrozumiała. Ostatnimi czasy przywykli do zwycięstw. Poczuli smak krwi i uznali, że w niczym nie ustępują koronnemu wojsku.

A tu znów rzucono ich gębami w błoto. I dobrze, że tak ich rzucono. Dobrze, że połamali sobie zęby i do żywego mięsa zdarli skórę. Zobaczyli, gdzie ich miejsce.

- Co z tobą?

- Lekarz powiedział, że przeżyję, a ja mu wierzę. - Bortier wzruszył ramionami.

- Pijcie. - Setnik rzucił podkomendnym bukłaki, przysiadł obok zastępcy. - Co się tu dzieje?

- Jak by to powiedzieć, wasza miłos'ć... - Jaques zastanowił się. — Sami nic z tego nie rozumiemy. Rzucili nas do ataku na bramę, a kiedy mieszczanie rozbiegli się po domach, książe zaproponował rozejm...

- A więc to tak - westchnął ciężko Gustaw i wstał. - A wy... Wy nie upijcie się tylko. Panczerze doprowadzić do porządku. Kusz teraz macie, jak widzę, w nadmiarze, zacznijcie je nieznacznie przygotowywać...

- Będzie, jak chcecie, wasza miłość. - Bortier rozciągnął wargi w złym uśmiechu.

Żołnierze pijący z bukłaków w kręgu też wyraźnie poweseleli. Lord Leyn nie powinien przypominać tym ludziom, że nie mają najmniejszych szans przeżyć wojny. Oj, nie powinien...

W oknie na drugim piętrze pojawiło się blade oblicze Williama Areka. Gustaw poszedł do drzwi, przy których nudziło się pięciu pancernych z osobistej gwardii dowódcy. Przewodzący warcie sierżant chciał z początku zatrzymać setnika, ale kiedy spojrzął mu w oczy, mimo woli cofnął się. Nie miał ochoty dzisiaj umierać, a i rozkaz „nikogo nie wpuszczać” nie mógł jednak dotyczyć oficerów...

Syrlin wbiegł na górę, zlustrował szybko ciemny korytarz i skierował się do drzwi, strzeżonych przez żołnierzy. Jednak ci zakaz wpuszczania rozumieli dosłownie. Jak nikogo, to nikogo.

- Czcigodny William Arek czeka na mnie - rzekł setnik, a wartownicy, lękający się Wyższego nie mniej od innych, spieszyli się na chwilę. Gustaw natychmiast to wykorzystał i przeszedł między nimi.

- Czego? — Lord Leyn spojrzął z niezadowoleniem na przybysza. Poznał wprawdzie setnika, ale nie kazał wyjść dwóm żołnierzom, którzy za nim wskoczyli do komnaty. - A, to pan, Syrlin. Już z powrotem?

- Tak, wasza jasność...

- Jak tam Nilmara? - spytał Arek, chociaż miał już na pewno swoje wiadomości.

Zapytał też wcale nie ze względu na siebie. Oprócz głównodowodzącego w pomieszczeniu przebywał

jeszcze wielki książę oraz - sądząc po rodzinnym podobieństwie - któryś z jego synów. Jak uznał setnik — starszy.

- Miasto padło - zameldował Gustaw, wpatrzony w księcia.

- Sami widzicie, wasza wysokość, że nie pomyliliście się co do wyboru sojusznika. — William uśmiechnął się.

- Ja w ogóle rzadko się myślę - odparł dumnie Wilhelm Piąty.

Wtedy do setnika wreszcie dotarło, co się tu wyrabia i że tak właśnie zamierzano to rozegrać od samego początku. Jego ludzie mieli tylko pokazać obrońcom bezsensowność stawiania oporu, żeby wielki książę mógł zawrzeć porozumienie z Lensem, nie obawiając się wybuchu buntu.

- Przyjemnie mieć do czynienia z tak zapobiegliwym władcą - rzekł lord Leyn i spojrzał ze zdziwieniem na setnika. — Coś jeszcze, Gustawie?

- O, tak! Jest coś jeszcze! - uśmiechnął się drapieżnie Syrlin, z trudem tłumiąc chęć rzucenia się do gardła księciu już teraz.

Wtedy, dwadzieścia lat temu, ocaliło go chore serce ojca. Ulryk zmarł, zanim oprawcy wydobyli z niego zeznania o wszystkich tajnych skrytkach. Zmarł zresztą bardzo nie w porę dla młodego księcia, który liczył nie tylko na kasację starych długów, ale zamierzał napełnić skarbiec złotem złupionym oskarżonemu o czary lichwiarzowi. Korzystając z osłony dymu, kaci zamienili jednego z synów Ulryka na trupa zmarłego w lochu włóczęgi. Książę nie wziął pod uwagę jednego: rodzina Syrlinów w istocie miała swoje wielkie sekrety.

- Wasza jasność najwidoczniej nie wie o pewnej umowie... -Gustaw zmarszczył brwi, wpatrując się w toczy Williama.

- O tej umowie porozmawiamy później - zaproponował Wyższy. - Nie widzisz, że jego wysokość postanowił zawrzeć z Lensem wojskowy sojusz? To o wiele ważniejsze od jakichś tam umów.

- Doprawdy?

- Będziesz musiał poczekać.

- Czekać? - Setnik wyszczerzył zęby i ruszył ku Williamowi. - A niby dlaczego?

- Bo tak trzeba.

- Czyli po tym, co zrobiłem dla waszej sprawy, zamierzacie mnie odgonić jak bezpańskiego psa? - Gustaw prawie to wykrzyczał, ledwie panując nad sobą.

- Skoro już wspomniałeś o *naszej* sprawie — Wyższy wymówił „naszej” z naciskiem - powtórzę raz jeszcze: gotowość jego wysokości do współpracy z *nami* jest ważniejsza od wszelkich umów.

- Kim jest ten człowiek? - Obok pobladłego księcia stanął jego syn.

- Nikt. - Wilhelm Piąty przełknął głośno ślinę, kiedy poznał wreszcie przybysza. — Już nikt...

- Bzdura! - warknął mroczny setnik, kładąc dłoń na rękojęści sztyletu. - Obiecano mi życie tego wyrodka i dostanę je!

- Czyżby? A jak to sobie wyobrażasz? - William Arek uspokoił się natychmiast. - Nie trzeba było wracać do Kelmu. Zrozum, że okoliczności się zmieniły. Zrozum i pogódź się z tym. A teraz bądź tak dobry i wyjdź.

- Wygląda na to, że nic innego mi nie pozostaje. - Gustaw poszedł do drzwi, ale nie wytrzymał i zwrócił się do Williama. - Mam tylko jedno pytanie.

- Słucham.

- Czy tak postanowił Żniwiarz?

- Tak. - Wyższy zbliżył się do setnika, poklepał go po ramieniu. - Chyba nie uważasz, że mógłbym wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

- Oczywiście. — Setnik spochmurniał.

Zaczął się odwracać ku drzwiom, ale nagle skoczył, pchnął Williama w gardło złożonymi palcami. Włożone w uderzenie okrucy pozaświatowej mocy zrobiły swoje. Zaskoczony Wyższy odleciał w kąt,

wygiął się w łuk, z oczu i uszu puściła mu się krew. Zakłęcie przeszło łatwo przez tarcze ochronne, zaczęło palić od środka ciało Areka. Rwący płuca napad kaszlu zgiął ciało doradcy lorda.

Słyszając tupot podkutych butów, Gustaw chwycił stojące przy oknie ciężkie krzesło i z półobrotu rzucił je w twarz sięgającego po miecz gwardzisty. Pancerny zdążył odbić pocisk lewą ręką, ale stracił na chwilę z oczu przeciwnika, który skoczył ku niemu i pchnął w szyję sztyletem. Następnie Syrlin znalazł się przy drzwiach, przekręcił wielki klucz w solidnym zamku.

- Gustaw! Oszalałeś?! Rozkazuję, żebyś przestał! - wrzasnął lord Leyn.

Syrlin nie odpowiedział, nie miał na to czasu, bo drugi gwardzista próbował sięgnąć go mieczem w głębokim wypadzie. Setnik odchylił się, chwycił pancernego za nadgarstek i pociągnął na siebie. Żołnierz stracił równowagę, mimowolnie uczynił krok do przodu i runął na podłogę. Otrzymał potworne uderzenie ostrzem w twarz. Przerażony głównodowodzący skoczył do drzwi, ale rzucony przez setnika nóż wbił się między jego łopatki.

- No cóż, mamy dla siebie trochę czasu. - Syrlin przestąpił nad ciałem lorda i spojrzał na władcę Kelmu. - Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo czekałem na tę chwilę, wasza wysokość.

Wilhelm Piąty milczał. Nie próbował gróźb ani krzyków. Po prostu stał i patrzył, przypominając w tym bezruchu wykutą z marmuru nagrobną rzeźbę.

Mroczny setnik odchrząknął, wyjął z pleców lorda sztylet i z niedobrym uśmiechem skierował się ku władcy. I wtedy młody książę o mało go nie zaskoczył. Błyskawicznym ruchem wyszarpnął schowaną za plecami rękę i Gustaw w ostatniej chwili zdołał odbić wycelowaną prosto w pierś klingę. Wyuczonym ruchem potraktował sztychem następcę Wilhelma, natychmiast żałując, że nieco przesadził, bo cios okazał się śmiertelny. Syrlin nie zamierzał absolutnie pozostawiać młodzieńca przy życiu, ale wyszło to jakoś za szybko, szczeniak nie zdążył nawet nic poczuć.

- Łajdaku!

Władca Kelmu w jednej chwili odzyskał zdolność ruchu, rzucił się z pięściami na zabójcę syna.

Żołnierz niedbałym uderzeniem rzucił księcia na ścianę, rozważając, od czego zacząć. Długo, bardzo długo przygotowywał się do tego spotkania, ale przypuszczał, że będzie miał nieco więcej czasu, aby uświadomić jego wysokości, jak wielki błąd popełnił, oskarżając Ulryka Syrlina o praktyki czarnoksiężskie.

Czasu rzeczywiście prawie już nie zostało. Na korytarzu rozlegały się krzyki, ktoś pchnął zamknięte drzwi, a zaraz potem z głuchym łoskotem uderzyło w nie żeleźce ciężkiego topora.

- Niedobrze - westchnął smutno Gustaw, a potem spojrzał na skulonego w kącie księcia.

Podszedł, chwycił go za włosy i postawił na nogi, a sztylet wbił po sam jelec w dół brzucha. Przy całej potędze żądzy zemsty, Syrlin zachowywał resztki zdrowego rozsądku i nie zamierzał zdechnąć tutaj tylko po to, żeby się napawać przedśmiertnymi mękami wroga. To by było zwyczajnie głupie.

- Pożałujesz! - wychrypiał William Arek, drąc paznokciami dębowe deski podłogi i zakaszłał. Tym razem krew rzuciła mu się z ust.

- Już żałuję - prychnął Gustaw i kopnął go w wykrzywioną twarz.

I rzeczywiście: żałował, że nie zatrzymał się dłużej w Nilmarze, aby dowiedzieć się, jak obrońcy wyprawili na tamten świat jednego z Wyższych. Mimo najszczerzych chęci, nie był w stanie powtórzyć tej sztuki z Williamem.

Spojrzał na ustępujące pod ciosami drzwi, pochylił się nad zwiniętym na podłodze Wyższym, chwycił go za ramiona. Poczł przez chwilę zajadłą złość i zaskoczenie ofiary, a potem zaczął z niej wrywać pozaświatową moc. Przez długie lata musiał zadowalać się tylko jej okruciami, pragnąc otrzymać więcej, zatem furia sprawiła, że wściekły sprzeciwnik ukrytego w człowieczej duszy diabła nie miał najmniejszego znaczenia. Wkrótce William całkowicie stracił przytomność — podobny opróżnionemu naczyaniu.

Z kolei mroczny setnik przeciwnie - czuł się jak nowonarodzony, moc przepęłniała go całego.

Otworzył okno prowadzące na dziedzińiec, wskoczył na parapet.

- Salwa! — krzyknął na cały głos, a wartowników przy wejściu dosłownie zmiotł szkwał bełtów, bez trudu przebijających pancerze.

Żołnierze Mrocznej Kompanii rzucili puste kusze i chwycili załadowane, ale nie mieli już do kogo strzelać. Stojący po przeciwległej stronie dziedzińca strażnicy księcia poszli w rozsypkę.

Wokół prawej pięści setnika znów zaczął gorzeć płomień. Bez namysłu Gustaw skoczył na nierówny bruk dziedzińca. Kłębiące się ze wszystkich stron strumienie mocy pochwyciły go w powietrzu i pozwoliły łagodnie opaść, a następnie zgęstniały, aby ognistym biczem siec po wracających do zamku jeźdźcach.

Czarny płomień strącał pancernych z siodła i miotał nimi po dziedzińcu, a tych, którzy uniknęli uderzenia mocy, rozstrzelali z kusz szubienicznicy.

- Łapcie konie! - zawołał Syrlin, z mieczem w dłoni przeskakując nad leżącymi przy bramie trupami. - Musimy uciekać z miasta!

Jaques dogonił dowódcę, zarzucając na ramię kuszę.

- A co z przysięgą? - spytał z wesołym uśmiechem. - Jego królewska wysokość będzie bardzo niezadowolony...

- Do diabła z jego królewską wysokością! - zarechotał Gustaw, po raz pierwszy od wielu lat czując się naprawdę wolny.

I chociaż mieli go teraz tropić jak wściekłe, dzikie zwierzę, to nieważne! Buzująca w setniku moc szukała ujścia, więc wskoczył na gniadego konia i zaczął na całe gardło śpiewać pieśń skazańców.

- Wszyscy do diabła! Wszyscy!

ROZDZIAŁ 3

EGZORCYSTA. POCZĄTEK GRY

Miesiąc Świętego Sebastiana Kosiarza

I

Ludzie to jednak dziwne istoty. Dziwne i bardzo różne. Jeden człowiek może ani na chwilę nie zostawać sam i czuć się jednocześnie równie osamotniony jak rozbitek na bezludnej wyspie, a drugi każdego dnia przepada w lesie, w towarzystwie co najwyżej wiernego psa i będzie bardzo zadowolony z życia.

Weźmy mnie na przykład. Czy jestem samotnikiem? Nie mam pewności, czy mogę odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Ale i stwierdzić czegoś przeciwnego również nie jestem w stanie. Jednak jak by nie patrzeć, pojedyncza cela to nie jest pensja dla szlachetnie urodzonych delikatnych panien.

Z drugiej strony, jakże mógłbym zostać sam ze sobą, skoro dokładnie co pół godziny otwiera się okienko w obitych żelaznymi sztabami drzwiach i majaczy w nim ponura gęba zmordowanego rutyną dozorca? I chociaż na tym kończy się moje obcowanie ze strażnikiem, lepiej, żeby go w ogóle nie było.

Nie, wcale nie robię podkopu ani nie piłuję kraty w wąskim okienku, nie próbuję też kruszyć zaprawy między kamieniami w ścianie. Myśli o tym, jak by można opuścić to nazbyt gościnne miejsce nawiedzają mnie jedynie wtedy, kiedy otrzymuję porcje jedzenia, choć i tak są niezwykle syte, jak na królewskie miary.

W rzeczy samej, wyjście z celi nie stanowiłoby problemu. Kłopot w tym, co robić dalej. Osobiście nie miałem ochoty wylądować w zimnym i wilgotnym lochu po nieudanej próbie ucieczki.

* * *

Obudziłem się o świcie, umyłem i zrobiłem kilkadziesiąt siłowych ćwiczeń. Po krótkim wahaniu, postanowiłem trochę pobiegać. Osiem kroków do okna, osiem do drzwi. Kiedy straciłem oddech i poczułem zawroty głowy, usiadłem na zimnej kamiennej podłodze, oparłem nogi o pryczę i zacząłem robić skłony. Następnie rozluźniłem się i urządziłem walkę z cieniem.

A co miałem robić? Zarosnąć tłuszczem w takich warunkach łatwo, a na to nie miałem ochoty.

Zazgrzytało okienko, a ja padłem na pryczę jak zawsze, wystawiając w stronę drzwi środkowy palec. Zgodnie z tradycją, wąsaty dozorca sklął mnie i poszedł dalej.

A ja po raz nie wiadomo który zrugąłem się za brak powściągliwości.

Nie chodziło o nieprzyzwoity gest, to drobiazg. Powinienem okazać rozsądek parę lat wcześniej, kiedy sprawa „Rdzawego Oskarda” stała się w pewnych kręgach bardzo głośna. Ale nie, musiałem

podskakiwać! Komu nie trzeba naubliżać, kto zasłużył dostał po gębie - ale publicznie, zamiast cichaczem. Tak właśnie trafiłem tutaj.

A co najgorsze, nikt mnie już nie przyjmie do kolegium spraw wewnętrznych. Owszem, korzystają z moich usług, ale wszelkie rozmowy o uwolnieniu kończą się tylko wymijającym „zobaczymy”. Dranie...

* * *

Jak zwykle przyszedli po mnie około południa, lecz zamiast więziennych strażników przysłano krzepkich pacholków. Wszyscy nosili niezwykle tatuaże, niepodobne do tych przestępczych dziar ani tych, jakie sobie każą robić podpici marynarze w portowych tawernach. Żadnych noży, szubienic, kotwic, topielców i syren. Starszy miał na szyi odwrócony pentakl, a u tego, który przyniósł mi ubranie egzorcysty, dostrzegłem wypełzające na nadgarstek dziwne symbole. U trzeciego na skroni widniała zwykła ośmioramienna gwiazda.

- Zbieraj się — rozkazał starszy.

Ten, który przyniósł ubranie, rzucił je niedbale na pryczę i odszedł, a jego kompan przeszedł się po celi, oglądając ją uważnie.

Spojrzałem ponuro na zakazane gęby nieproszonych gości i zacząłem się przebierać. Spodnie, buty, rękawice. Kapelusz o szerokim rondzie i płaszcz z odprutymi dzwonkami.

Brakowało tylko maski, ale ona zapewne i tak nie była do niczego potrzebna.

- No? - popędził mnie byk z gwiazdą na skroni, ale napotkał spokojny wzrok dowódcy i z miejsca zamilkł.

- Co „no”? - Włożyłem skórzany kapelusz i zacząłem zapinać płaszcz.

Byczek nie odpowiedział. Starszy też nie marnował powietrza na darmo, w milczeniu wskazał mi wyjście.

- Znow przywlekli jakiegoś stukniętego? - Zsunąłem kapelusz na tył głowy i zatrzymałem się w drzwiach.

- Idź już.

- Dokąd?

- Drogi nie znasz?

- A ty?

- Milcz i ruszaj! - warknął drab, wyprowadzony wreszcie z równowagi.

Krótko ostrzyżony dryblas wyglądał na jakieś czterdzieści lat, ale najwyraźniej był w doskonałej formie. Weteran? Możliwe. I z armii odszedł całkiem niedawno, bo widać było w jego zachowaniu wojskowe nawyki.

-Wiesz, sierżancie... - Uśmiechnąłem się szeroko. - Jeśli dojdzie do mordobicia, któryś z nas nie dotrze tam, gdzie dotrzeć powinien. Tak to wygląda.

- Czekają na ciebie w sali przesłuchań. Czego od ciebie chcą, dowiesz się na miejscu. - Sierżant spojrzał na zadowoloną gębę dozorca i spochmurniał. — Czy taka odpowiedź cię zadowala?

- W takim razie chodźmy, skoro na nas czekają - westchnąłem ciężko i poszedłem ku przegradzającej korytarz kracie. Po co to ciągnąć? Swoją drogą, ciekawe, co znowu się tam stało.

W sali przesłuchań rzeczywiście już na mnie czekali i nawet zdążyli się przygotować. Do rozmieszczonych na ścianach lamp dolano oliwy, w palenisku tliła się ziołowa mieszanka, szcudrze przyprawiona sosnową żywicą. A wokół solidnie przymocowanego do podłogi żelaznymi sztabami krzesła, na którym siedział rozebrany do pasa aresztant, ktoś wyrysował kredą kilka pentagramów i zamknął je w okręgu.

- Zapalcie lampy - powiedziałem i rozejrzałem się po zgromadzonych w pomieszczeniu ludziach.

A kompania zebrała się, trzeba powiedzieć, niezwykajna. Nie było żadnego dozorca, o lampy dbali podwładni sierżanta. Pisarz przy niewielkim biurku w kącie ostrzył pióra. Lekarz więzienny kwitł z nudów, ale nie miał wyjścia - służba to służba. Do tego nieznan mi chłystek, który wyrazem brodatej

twarzy przypominał obrażonego na cały świat lokaja, chodził od ściany do ściany. Tyle że lokaj nie miał tutaj czego szukać. Lokaj w takim miejscu mógłby zagościć, i owszem, ale wyłącznie przywiązany do krzesła.

Poczekaliśmy, aż wszystkie lampy zapłoną, przeszedłem wzdłuż ścian, oglądając nowe bielenie. Ani szczelinki, ani jednego ciemniejszego miejsca. Sklepienie również prezentowało się jak należy. Podłoga została trochę zdeptana, ale to nie stanowiło problemu. Najważniejsze, żeby linie pentagramów nie zostały naruszone.

Przymknąłem oczy i próbowałem wyczuć energetykę podziemia. I od razu jakbym wyrzucił głowę w sufit. Nie mogłem ani nabrać powietrza, ani go wypuścić, żebra zamieniły się w klepki wyschniętej beczki, bezlitośnie ściskane obręczą. Otarłem płynące z oczy łzy, potrząsnąłem głową i podszedłem do lekarza. Wyjąłem korek z podanej przez medyka butelki, upiłem łyżeczek palącej gardło żywym ogniem piołunowej nalewki, schowałem pękate naczynie pod połę płaszcz.

- Ale... - Chciał zaprotestować oszołomiony taką bezczelnością lekarz.

- Potem zwróć. - Machnąłem ręką, jakbym oganiał natrętą muchę i zbliżyłem się do aresztanta.

Był w średnim wieku, przygarbiony, miał zgniłe zęby. Nos najwyraźniej wielokrotnie mu łamano. Wychudł tak, że pod skórą wyraźnie rysowały się żebra. Cerę miał żółtą, pod oczami sine podkowy. Na rękach i piersiach blade, jakby na wpół tylko dokończony tatuaże: włócznia przebijająca serce, czaszka, kajdany. Ale dostrzegłem coś o wiele ciekawszego! Złamany oskard! Czyli odsiedział swoje i wyszedł? I odbywał karę nie gdzie indziej, a w „Rdzawym Oskardzie”...

- Na czym został schwytany? — spytałem brodatego chłystka. Bez wątplenia on tu rządził.

- Nic ci do tego - burknął.

Miał mnie za prostego łamignata? Ogromny błąd.

- Posłuchaj, baranku - westchnąłem, nie zwracając uwagi na chichot pisarza. - Jeśli zadają ci pytanie, bądź łaskaw odpowiedzieć. Dlatego, że w przeciwnym wypadku będziesz się mordował sam z tym rzezimieszkiem.

- O ty...!

- Zamknij gębę. - Nie miałem najmniejszej ochoty słu chać jego połajane. - Ostrzegam ostatni raz. Zaczniesz się tutaj wygłupiać, to sam go będziesz patroszył. Wszystko jasne.

- Spokojnie. - Chłystek skrzywił jeszcze bardziej i bez tego kwaśną mordę.

- Tak lepiej. - Wzruszyłem ramionami. - A zatem, na czym został schwytany?

Przez ostatnie parę lat naoglądałem się różnych ludzi:

i zapijaczonych bezdomnych, i umysłowo chorych, i zwykłych symulantów. Ale naprawdę opętanych przez diabły dostarczono mi tylko dwóch. To znaczy, opętańcy często wpadali w ręce kolegium, ale oni byli - jak mi to wyjawiał pewnego razu Jack Pratt — jedynie bardziej wrażliwi na emanacje pozaświatowej ohydy i nic więcej. Stanowiło to praktyczne świadectwo mylności dogmatu o młodszych diabłach. To nie moja dziedzina, wolę sobie radzić ze zwykłymi diabłami.

Siedzący ze wzrokiem tępo wbitym w ścianę rzezimieszek zupełnie nie zasługiwał na tak wielką uwagę królewskiego kolegium spraw wewnętrznych. Zwyczajny złodziejaszek z najgłębszego miejskiego rynsztoka. Może nie ostatni chłopiec na posiłki, ale też żaden poważny bandzior. A co najważniejsze, nie dostrzegałem w nim zupełnie obecności czegokolwiek z innego świata.

- Wskoczył na ulicę z trzeciego piętra, zaczął uciekać i wpadł pod powóz. Kiedy leżał nieprzytomny, strażnicy zdołali go dopaść, związali i zaprowadzili na posterunek. Kiedy się ocknął, próbował uciec z celi, ale na wszelki wypadek wcześniej zakuli go porządnie, a potem myśmy go przejęli. Ale łańcuch kajdanek zdołał jednak zerwać.

- Ciekawe. — Przyjrzałem się siniakowi na lewym policzku zatrzymanego. Kopytem oberwał? Takie uderzenie powinno posłać człowieka do grobu. A jeszcze skok z takiej wysokości i zerwany łańcuch... - Kiedy to było?

- Wczoraj.

No proszę, a siniak już prawie zszedł. Czego to dowodzi? Ano tego, że jednak trzeba się bliżej przyjrzeć bandziorkowi.

- Jak go uspokoiliście?

- Mamy swoje sposoby - odparł chłystek wymijająco.

- Dostał nalewki z piołunu?

- Zalaliśmy go po samo gardło — oświecił mnie lekarz.

- I jakąż to historię zechce nam opowiedzieć pan złodziejaszek? - Podszedłem do kręgu, w który wpisane zostały pentagramy, ale nie przekroczyłem linii. - Dlaczego skakałeś?

- Nie pamiętam - odparł z trudem, mocno podpity. Piołunowa nalewka to zabójczy trunek.

- Czemu nie pamiętasz?

- Pijany byłem.

- Oczywiście. Jak cię wołają?

- Leon. Leon Alvies.

- Jest coś na niego? - spytałem przedstawiciela kolegium.

- Leon Alvies, syn robotnika portowego i praczki. Lat trzydzieści pięć. Wiele razy zatrzymywany za drobne przestępstwa. Głównie kradzieże. Zazwyczaj po powrocie z robót przymusowych na jakiś czas zniknął Straży Miejskiej z oczu, ale potem wracał do starych nawyków.

- A więc to tak... - Cmoknąłem językiem, czując, jak koszula pod skórzanym płaszczem zaczyna przesiąkać potem. - A pensjonariuszem „Rdzawego Oskarda” przypadkiem nie bywał?

- Nie.

- Na pewno?

- Ślepy trop. Sprawdzaliśmy w archiwum, w księgach więzienia.

- Rozumiem. - Popatrzyłem na aresztanta spod zmrużonych powiek. — Powiedz mi, Leonie, jak to jest, że nie przebywałeś na katordze, a ozdobiłeś się rysunkiem złamanego oskarda?

- Co? - Alvies spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Tatuaż, mówię. Skąd go masz? Tutaj, na przedramieniu.

- Zrobiłem sobie.

- Dlaczego?

- A co, nie wolno?

- Nie wolno, przyjacielu. Oj, nie wolno. - Pokręciłem głową, wsłuchując się w swoje doznania.

Czy coś zadrgało w głębi duszy, czy to tylko złudzenie? Raczej to drugie, bo Leon siedział bez ruchu, nawet się nie skrzywił. - Widzisz, jeśli właściwie odczytać ten tatuaż, to stanowi nie tylko stwierdzenie faktu, że siedziałeś w „Rdzawym oskardzie”. On ciebie rekomenduje. Taki rysunek oznacza „siedział i wyszedł”. Po odbyciu kary. Jak to się stało, skoro nie skazali cię na katorgę?

- A kto o tym może wiedzieć? - warknął Alvies. - Jeżeli jesteś nikim i nie masz imienia, poważni ludzie nie będą z tobą gadać! A w czym jestem gorszy? Kazałem to sobie zrobić i tyle!

- Rozumiem. — Znów skinąłem głową.

Wciąż nie wyczuwałem obecności diabła. Ale był przecież ten skok i zerwane kajdany. Czyżby darmozjady z kolegium spraw wewnętrznych, sami o tym nie wiedząc, przeprowadzili obrzęd egzorcyzmu?

- Ale wiesz, Leonie, że za to oszustwo ci sami poważni ludzie żywcem by cię obdarli ze skóry? Takie już mają okrutne obyczaje. A tatuaż masz już dość stary. Nie z wczoraj ani dzisiaj.

- A ktoś by mógł odkryć, że kłamie? - zapytał chłystek.

- Bez wątplenia. - Uśmiechnąłem się krzywo. Wielu dzielnych młodzieńców poparzyło sobie palce, robiąc takie rzeczy. - A to znaczy, przyjacielu, że albo starałeś się trzymać z daleka od tych poważnych bandytów, albo nie jesteś tym, za kogo się podajesz. I ta druga możliwość wydaje mi się bliższa prawdy.

Zacząłem mrużyć pod nosem monotonną mantrę rozjaśniającą świadomość, przekroczyłem wyrysowany na podłodze krąg ochronny i chwyciłem aresztanta za włosy, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. Pochwyciłem spojrzenie jasnoniebieskich oczu i spróbowałem zdławić wolę... W tej chwili na samym dnie jego duszy zakłębiło się i wyskoczył diabeł. Podobny czującym krew rekinowi pognał mi na spotkanie, sparzył mrozem i uderzył.

Z impetem rąbnąłem w ścianę plecami, upadłem i przez kilka chwil z najwyższym trudem chwytałem powietrze szeroko otwartymi ustami. Chociaż mantra, zaczerpnięta z opasłej księgi „Drogi myśliciela”, którą znałem już prawie na pamięć, przeszkodziła czartowi zawładnąć moją świadomością, ale od ciosu miałem zawroty głowy. Po tym zajściu pozaświatowa bestia nie zamierzała się już ukrywać i niezbyt krzepkiej budowy Alvies zaczął rozrywać pęta. Jeden z pasów na jego ręce już pękł, pozostałe miały trzasnąć za chwilę i nadzieja pozostała tylko w kajdanach na nogach.

- Cofnąć się! - wrzasnąłem na strażników, odruchowo chcących skoczyć ku złodziejowi. Próbowałem wstać. - Nie wchodźcie do kręgu! Trzecią mieszankę na palenisko! Już!

Dym rozszedł się po lochu, zaszczypał w oczy, a w nos uderzył gorzki zapach piołunu. Rzucającego się na krzesło opętanego skreśliło w paroksyzmie kaszlu.

- Możemy... - Starszy strażnik podskoczył do mnie.

- Do tyłu! - wychrypiałem.

Uwięzione we mnie diabły bez większego przekonania próbowały przejąć władzę nad ciałem, ale zdołałem je stłamsić jeszcze łatwiej, niż zazwyczaj. Tak czy inaczej - bardzo nie w porę.

- Zabierajcie się stąd! Szybciej! — Krzyknąłem, odrywając się od ściany.

Tym razem kolegium złowiło grubą rybę, taką, która nie pogardzi rybakami na przekąskę. Nie, w złodziejaszku wcale nie zamieszkało zagęszczenie pozaświatowej siły, nie przejaw „ohydy” i nie „młodszy diabeł”, jak je nazywają bracia egzorcyci. W nim znalazł schronienie jeden z mieszkańców pierwotnej pustki i to nie ostatni w tamtejszej hierarchii... Z całą pewnością nie ostatni.

Pisarz, lekarz więzienny i urzędnik kolegium rzucili się do wyjścia, ale sierżant z podwładnymi ani myśleli mnie słuchać.

I Święci z nimi. Najważniejsze, żeby nie przekraczali kręgu.

- Jeszcze ziół! - rozkazałem i spróbowałem przetrzeć zażawione oczy.

Z lewego ucha pociekła mi na szyję ciepła strużka krwi, coraz trudniej było mi oddzielić dym od kłębiącej się w głowie mgły, nie potrafiłem się skupić na mantrze rozjaśniającej rozum.

- Których? - odwrzasnął strażnik, grzebiący gorączkowo w torbie.

- Wszystkich po kolei i jak najwięcej! - Wątpiłem, żeby dym mógł na dłużej zbić diabła z pantałyku, ale w tej chwili liczyła się każda chwila, a każdy drobiazg mógł się okazać niezmiernie ważny.

Wokół kręgu zaczęły wysnuwać się jakby znikąd nici ciemności i zbijać w nieprzeniknioną skorupę, ale na razie lampy były w stanie rozświetlić cienie zrodzone z pozaświatowej obecności. Srebrny sierp braci egzorcystów byłby teraz przydatny jak nigdy, ale z równym powodzeniem mógłbym sobie życzyć nadejścia Świętych albo gwiazdki z nieba.

Opętany zostawił w spokoju łańcuchy na nogach i spojrzał na mnie ze złością. Na przekór obcej woli złożyłem palce we wzór odganiający zło, zacząłem recytować formułę wypędzenia i wkroczyłem w krąg.

W tej samej chwili wokół mnie zawirował huragan splątanych wizji, na wpół zapomnianych koszmarów i gorzkich wspomnień z samego dna duszy. Podstępnie wpełzły w moje doznania smutek, obojętność i nostalgia, ale osłabiony dymem ziół i piołunową nalewką diabeł nie dał rady ostatecznie mnie omotać.

Zacząłem na głos wypowiadać formułę wypędzenia, podskoczyłem do więźnia i z całej siły chwyciłem go za ramiona. Panująca nad jego ciałem istota z innego świata nie była gotowa na taki rozwój wypadków. Moja wola potężnymi ostrzami rozplątała cudzą duszę i wyrwała czarta z ukrycia.

— Żniwiarz! — wydyszał ochryple aresztant i zadrzał konwulsyjnie.

Ściśnięty potężnym chwytem diabeł wykręcał się w próbach uwolnienia, ale raz po raz ponosił porażkę. Zrywy były coraz bardziej kurczowe, usiłowania coraz bardziej rozpaczliwe. Wszystko na darmo, gdyż w takich sprawach miałem spore doświadczenie. Uchwycić i jeśli tylko się uda, pozbawić pozaświatowej mocy, a potem zagnać ciemną istotę w najdalsze zakątki własnej duszy, tam gdzie kotłowały się próbujące odzyskać wolność zamknięte we mnie diabły.

Wydobyłem butelkę zabraną lekarzowi, wypilem kilka łyków i niepewnie poczłapałem do biurka pisarza. Wgramoliłem się na nie i napiłem jeszcze. Czułem, jak wczepione w siebie diabły zaczynają cichnąć. Obca siła przepełniała mnie, żądała swobody, paliła w palce i poskromienie jej nie było wcale takie łatwe. Gdybym wiedział, z jak mocną bestią przyjdzie mi się zmierzyć, nie ryzykowałbym konfrontacji bez przygotowania. Oto, co znaczy stracić czujność. Musiałem użyć potężnych rytuałów. Nawet jeśli oberwałem przy tej okazji, przecież chodziło o ocalenie własnej skóry.

- Wszystko dobrze? — Starszy strażnik popatrzył na mnie uważnie.

- Tak. - Oddałem mu butelkę, zrzuciłem na podłogę skórzany kapelusz, otarłem z szyi wysychający już pot. Trzęsły mną dreszcze, łupało w stawach, prawie nic nie widziałem na prawe oko, ale nie miałem możliwości porzucić pracy i wrócić do celi, żeby odpocząć jak należy.

- Wołać pozostałych? — Sierzant wypił nalewkę dwoma łykami i nawet się nie skrzywił. Postawił butelkę na krawędzi biurka.

- Wołaj. - Zamknąłem oczy, próbując uporządkować wspomnienia, króre pozyskałem od kryjącego się za cudzym imieniem złodziejaszka.

- A co zrobić z tym? — Jeden ze strażników wskazał nieruchome ciało aresztanta.

Rzezimieszek zmarł nie dlatego, że został surowo potraktowany, ale ponieważ z jego duszy nie zostało zupełnie nic. Zbyt długo gnieździł się w nim diabeł.

- Na razie go nie ruszajcie.

Zeskoczyłem z biurka, a pisarz, który wrócił do sali przesłuchań, zaczął zbierać swoje sprzęty.

Lekarz zajrzał i na widok martwego ciała tylko zaklął paskudnie, po czym poszedł za nadzorcą. Urzędnik kolegium spraw wewnętrznych chciał zażądać wyjaśnień, ale kiedy spojrzał mi w twarz, zrezygnował. I bardzo słusznie postąpił.

- Pisz. - Zmarszczyłem brwi, próbując zatrzymać w pamięci cudze wspomnienia. - Kurt Lima, kieszonkowiec, pracował zazwyczaj niedaleko portu w bandzie Theo Minoga. Cztery lata temu został osadzony w „Rdzawym Oskardzie”, prawie natychmiast wysłano go na prace sezonowe. To wszystko.

- Co znaczy „wszystko”? - Brodacz spojrzał na mnie niepewnie.

- Wszystko to wszystko. — Wzruszyłem ramionami. - Usnął w baraku i już się nie obudził .

- A Leon Alvies?

- Najpewniej od dawna spoczywa na dnie kanału portowego.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy jednego z katorżników przewijających się w sprawie „Rdzawego Oskarda”, ale nic to nie dało...

- Dało, i to sporo. - Rozpiąłem płaszcz, zacząłem rzucać wprost na podłogę części ubrania egzorcysty. - Teraz wiemy na pewno, że wracający z północy więźniowie są tylko marionetkami, których nitki trzymają ukryte w ich duszach diabły. Ilu ich zaginęło?

- Nieważne. - Chłystek machnął ręką.

- Jak nieważne, to nieważne - mruknąłem i ruszyłem do wyjścia. - Może ktoś mnie odprowadzi?

* * *

Po powrocie do celi od razu padłem na pryczę i zamknąłem oczy, żeby spróbować odciąć się od rzeczywistości. Nic z tego, w środku buzowała przepełniająca mnie moc. Pulsowała, paliła, mamiła zmysły, wprawiała palce w drzenie.

Zdołałem jakoś rozluźnić dręczone skurczami mięśnie, zmusiłem się do spokoju i dopiero wtedy zacząłem rozprowadzać po ciele wyrwaną z diabła energię. Potem mogłem skręcać z niej cieniutkie nitki,

które rozsiewałem, rozpuszczałem, pochłaniałem. Czyniłem je swoją nierozłączną częścią. „Droga myśliciela”, część „Medytacja jako podstawa rozwijania osobowości”, rozdział „Ciało jako instrument”.

Nie wiem, ile przebywałem w stanie półprzytomności, ale ocknąłem się jeszcze za dnia. Zebrałem ostatki przenikającej ciała pozaświatowej mgiełki w jeden kłujący mrozem kłębek i ukryłem go pod sercem. Potem wstałem i przeciągnąłem się. Nic mnie nie bolało. Obite przy uderzeniu o ścianę plecy zginały się doskonale, przed oczami nie miałem już mglistej zasłony, a nieodłączny towarzysz obrzędu wypędzenia — ból głowy - zniknął, czekając na lepsze czasy. Niedoczekanie, zarazo!

Gdyby kłębek diabelskiej siły nie dokuczał zimnem, byłbym całkiem szczęśliwy. A tak... Po prostu żyłem, i dobrze. Chociaż to ciągle chodzenie po ostrzu noża dawno mi już stało kością w gardle, grzech by było się skarżyć. Wyrwana z diabłów „ohyda” czyniła mnie szybszym i silniejszym, o wiele lepiej widziałem w ciemnościach, nauczyłem się leczyć niezbyt głębokie rany i nadwerężone kości. Chociaż bracia egzorcyści zjedliby mnie w kaszy, jeśli idzie o zdolności magiczne, ale przecież musiałem od czegoś zacząć.

Umyłem się i przez parę minut obserwowałem odbicie mojej zmęczonej twarzy w wiszącym nad miską zwierciadle, a potem wróciłem na pryczę. Nie miałem ochoty czytać, urządzić awantury o spóźniony posiłek też nie. Przyniosą go tak czy siak. A na razie powinienem się zdrzemnąć, bo całkiem opadłem z sił...

II

Ale pospać mi nie dali. Ledwie przymknąłem oczy i zacząłem zapadać w półsen, zazgrzytały zasuw w drzwiach.

- Do wyjścia. - Złośliwy uśmieszek dozorczy nie wróżył nic dobrego.
- Z rzeczami? - zażartowałem, wstając.
- Rzeczy nie trzeba. — Mężczyzna około czterdziestu lat, w szarym surducie, odsunął strażnika.

Był niewysoki, szczupły, ze starannie podstrzyżonymi ciemnymi włosami. Ale nie wyglądał na zwykłego człowieka. Na szyi nosił jedwabną chustkę, na środkowym palcu prawej dłoni masywny złoty pierścień z pieczęcią, wysadzany drogimi kamieniami. Broni nie widziałem, ale to o niczym nie świadczyło.

- Kim pan jest? - zapytałem czujnie.
- Nieważne. Pośpiesz się lepiej.

Dźwięczące w głosie „szarego surduta” rozkazujące tony bardzo mi się nie spodobały.

- Pośpiech ojcem pomyłek. Czy mógłbym zobaczyć dokumenty potwierdzające pańskie pełnomocnictwa?

- Mówiłem przecież, panie Sare, że to dziwak. — Dozorca z wyraźnym trudem stłumił wesołość, ale o wiele bardziej interesujące było zachowanie pana Sare.

- Wyprowadzić! - burknął, przepuszczając w drzwiach dwóch niewysokich, ale krzepkich ludzi w jednakowych szarych surdutach.

- Twarzą do ściany, ręce za plecy - rozkazał osiłek dzierżący sznur.

Drugi ostentacyjnie rozprostował ramiona. Wyglądali tak, że straciłem ochotę na wszelkie dyskusje. Westchnąłem ciężko, stanąłem przy ścianie, podałem do tyłu ręce, które natychmiast skrępowano. Dowodzący „szary surdut” sprawdził węzeł, po czym kazał mi wyjść. Kroczył za mną, popędzając pchnięciami w plecy.

Kiedy wyszliśmy na wewnętrzny dziedziniec więzienia, rozejrzałem się na wszystkie strony, ale nie dostrzegłem nikogo z kolegium spraw wewnętrznych. O co tu chodzi? Przenoszą mnie? Ale dokąd i po co?!

- Idź! - Osiłek pchnął mnie między łopatki, kierując ku karecie, zaprzężonej w parę gniadych koni.
- Otwierać bramę! - rozkazał rozmawiający ze strażnikami więziennymi czwarty „szary surdut” i machnął na stangreta.

Ponownie spytałem, o co w tym wszystkim chodzi, ale znów dostałem w plecy i wsiałem bez gadania. Od razu znalazłem się między dwoma konwojentami, a Sare z ostatnim podwładnym usiedli naprzeciwko. Usłyszałem świst bata i kareta, podskakując na nierównym bruku, wyjechała z więzienia.

- Panie Sare, dokąd mnie wieziecie? - spytałem jakiś czas później. Sznur niemiłosiernie wrzynał się w skórę. Przeklęty osiłek mocno zacisnął węzeł, lecz uwalniania się z więzów uczyli mnie najlepsi mistrzowie.

- Milcz - rzucił Sare.

- A może jednak byłby pan tak uprzejmy...

- Zamknij pysk. - Tym razem przerwał mi strażnik z lewej.

- ...odpowiedzieć na proste pytanie...

Ten, który kazał mi się zamknąć, na znak dowódcy dał mi bolesnego kuksańca z ciasnego półobrotu. W tej chwili rąbnąłem go pięścią w podbródek, a zaskoczony atakiem byczek z rozmachem uderzył tyłem głowy w drzwi karety. Siedzący z drugiej strony mężczyzna chwycił mnie za koszulę, próbując zwalić na podłogę, ale oberwał łokciem w nasadę nosa i też został wyeliminowany z gry.

Nie tracąc czasu, kopnąłem w kostkę pana Sare, który poderwał się z miejsca i szarpnięciem za kołnierz zrzuciłem z ławki trzeciego strażnika. Nadział się na moje kolano i zwinął w pól, a uderzenie kantem dłoni w szyję unieszkodliwiło go ostatecznie. Sare zawył z bólu i otoczył mnie rękami, zamierzając doprowadzić do walki na leżąco, ale oberwał czołem w twarz, a potem wyleciał ze zwalnającej karety prosto na ulicę.

Wyskoczyłem za nim i już ruszyłem na spotkanie stangretowi, który zeskoczył z koła, kiedy ktoś pociągnął mnie do tyłu za pas. Musiałem dwoma krótkimi uderzeniami w głowę dokończyć wychylonego z pojazdu konwojenta, a w tej chwili wzniosła się nade mną pięść stangreta. Włożył w cios całą siłę, więc kiedy trafił tylko powietrze, aż go obróciło. Oberwał prosto w wątrobę. Próbując utrzymać równowagę, chwycił za otwarte drzwi karety, dzięki czemu na krótką chwilę stał się doskonałym celem. Nie mogłem przegapić takiej okazji: na początek kopniakiem w kolano podbiłem mu nogę, a potem ogłuszyłem paskudnym uderzeniem oburącz w uszy.

Uff... Ależ dzień...

Zajrzałem do karety, żeby się upewnić, iż na razie „szare surduty” nie stanowiły zagrożenia, a potem kucnąłem przy panu Sare i zacząłem go obszukiwać.

Kapciuch, fajka. Hubka, krzesiwo. Sakiewka, składany nóż, klucze na kółku ze złotym brelokiem. Kieszonkowy zegarek, gwizdek...

Srebrna odznaka z emblematem straży pałacowej!

Zaraza, zaraza, zaraza!

Czego ode mnie chcieli?

Buzująca po walce krew uspokoiła się od razu, ogarnął mnie straszliwy smutek. Miałem ochotę jak najszybciej uciec i z miejsca posłuchałem głosu rozsądku. Oczywiście nie zapomniałem zabrać przy okazji sakiewki pana Sare.

Straż pałacowa czy nie straż, a pieniądze zawsze się przydadzą.

Najważniejsze, żeby zdążyć je wydać w miarę rozsądnie. Tak — to najważniejsze.

ROZDZIAŁ 4

BIAŁY RYCERZ. ZBIEGLY MINSTREL

Miesiąc Świętego Sebastiana Kosiarza

I

Rycerz Richard York od dzieciństwa nie cierpiał półmroku. Odkąd skończył siedem lat. Zupełna ciemność mu nie przeszkadzała: kiedy szedł spać, nie zostawiał zapalanej lampy. Lecz półmrok - rozproszone światło, z gęstniejącymi w kątach cieniami, zamazane kontury przedmiotów - wszystko to działało rycerzowi na nerwy. A żeby nazwać rzecz po imieniu, przyprawiało go wręcz o szczękościsk.

Właśnie dlatego, kiedy tylko cichutko wśliznął się do sypialni jej wysokości Solli Aldany Cairaoon, wielkiej księżnej Dowless, Richard najpierw odsunął storę z frędzlami zdobionymi złotą nicią. A potem jeszcze otworzył okno, wpuszczając do komnaty świeże powietrze.

- Richardzie! - Rzucona przez księżnę poduszka ugodziła go między łopatki, ale rycerz nawet się nie poruszył. - Zamknij natychmiast!

- Chcieliście, aby was obudzić o świcie, pani - przypomniał kobiecie.

Dowodził Gwardią księżnej przez ostatnie dziesięć lat i doskonale wiedział, kiedy należy rozkazy wypełniać bez najmniejszej zwłoki, a kiedy można je puścić mimo uszu.

- Richardzie! - Księżna podciągnęła kołdrę pod brodę. - Idź sobie!

- Prosiliście, wasza wysokość, żeby obudzić was o świcie - powtórzył kapitan Gwardii.

Z okna zamku na wysokim wzgórzu otwierał się cudowny widok na Ollinas, stolicę księstwa, które stało się dla rycerza drugą ojczyzną. Kryte czerwoną dachówką domy i strzelające w niebo wieżycy domów modlitwy... Wąziutkie uliczki i szerokie aleje. Urocze bulwary i nabrzeża, po których hulały wiatry. Szare masywy mostów i zieleń skwerów, powoli zamieniająca się w żółć jesiennych liści. Czasem Richarda nachodziło coś takiego, że mógł godzinami patrzeć na te widoki z najwyższych pięter książęcego zamku. Dzisiaj miał właściwy ku temu nastrój, dlatego nie śpieszył się do wyjścia.

- Jesteś nieznośny! - Okutana w kołdrę Solla usiadła na łożu, potrząsnęła głową, odrzucając z twarzy pukiel włosów barwy pszenicy. Na chwilę w niebieskich oczach zalśnił uparty ogień pragnienia, aby odesłać natręta, ale księżna doskonale wyczuwała spokojną pewność siebie kapitana, bijące z niego

przekonanie o słuszności swoich poczynań, dlatego postanowiła machnąć ręką na zachowanie zaufanego człowieka. Jednak nie mogła się powstrzymać, aby nie popsuć humoru temu uparciuchowi. - Lens stawia na swoim.

- Do diabła z Lensem! - Richard sposepniał na wspomnienie ojczyzny.

Długie palce wpiły się mocno w parapet, a drapieżne rysy stężyły, czyniąc rycerza podobnym do kamiennych gargulców zdobiących zamek. Kapitan Gwardii nie lubił przypominania mu o kraju, z którego pochodził A właściwie nienawidził takiego przypominania. I bez tego każdego ranka patrząc w lustro widział nie siebie, a twarze przodków z portretów wiszących na ścianach rodzinnego zamku.

- To nie takie proste. — Przyczyna złości rozmówcy nie była dla księżnej tajemnicą. — Tym razem wszystko wygląda aż nazbyt poważnie.

- U nich wszystko zawsze wygląda... nazbyt poważnie.

-Jutro przybywa nowy ambasador. - Jej wysokość ziewnęła, zasłaniając dłonią usta, a potem zaczęła oglądać swoje paznokcie. — Będzie chciał uzyskać odpowiedź.

- W takim razie nie widzę powodów, aby nie miał podzielić losu poprzednika. - Richard York uśmiechnął się krzywo. Przez ostatnie dziesięć lat przyłożył rękę do zniknięcia wielu ludzi, którzy nieopatrznie weszli w drogę jej wysokości.

- Nie mów tak i nawet o tym nie myśl - przerwała mu ostro Solla. - Nigdy.

- To aż tak poważne? — upewnił się Biały Rycerz. Zwano go Białym wcale nie w związku z barwą płaszcza, bladym obliczem czy siwymi włosami, ale dlatego, że wychodził bez skazy na reputacji z najbardziej niesprzyjających okoliczności.

Nawet nie odwracając się, odgadł, że jego pani zadrżała A przyczyną nie był wcale chłód jesiennego poranka.

- Zacznie się wielka wojna. Nie będziemy mogli stać jedynie z boku i patrzeć. Popłynie krew. Rzeka krwi. Czuję to Widzę. Wiem. - Szeptła księżna. Zaciskając pięści i próbując odegnać wizję, potrząsnęła głową. - Wiesz, mam już dosyć budzenia się od własnego krzyku. Potrzeba mi pewności. Jakiegokolwiek pewności.

- Na razie to tylko przewidywania. - Richard wzruszył ramionami. - Wystarczy jednak podjąć decyzję, aby wojna stała się faktem.

- Niechby diabli wzięli mój dar. - Solla roześmiała się cicho. - Masz rację. Oczywiście masz rację, jak zawsze. Tylko że nie można dłużej zwlekać z podjęciem decyzji. Cokolwiek byśmy odpowiedzieli, wojny jest nieunikniona, możesz mi wierzyć. Naprawdę widzę krew. Morze krwi.

- Niech i tak będzie. Najważniejsze, żebyśmy w tym morzu nie utonęli.

- Edward Drugi przeniósł stolicę na kontynent. Do Karlenu. - Księżna machnęła ręką na dworkę, która nieśmiało zajrzała do komnaty. Ta od razu przepuściła służącą z miską ciepłej wody. - Czy to nie jest dowód, że przygotowuje się do długiej wojny?

- Psiakrew! - Rycerz skrzywił pogardliwie usta.

Chciał już odmeldować się pod jakimkolwiek pretekstem, ale w tej chwili za jego plecami zaszeleścił ałas nocnej koszuli i zamarł.

- Pomyśl, co zechcesz powiedzieć na małej radzie - powiedziała Solla, po czym w towarzystwie frejlin i służących poszła do buduaru, ale już stamtąd zawołała do rycerza, który nie zdążył jeszcze wyjść: - A tak przy okazji, nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziewa Miguel?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Pytanie zaskoczyło Richarda. — Nie bardzo mnie ciekawi jego... twórczość.

- Na pewno nie masz nic wspólnego z jego zniknięciem?

- Na pewno! - Kapitan o mały włos nie warknął tego opryskliwie, ale w porę wyczuł skryty niepokój pani i złagodził ton. Minstrel, którzy przybył na dwór wielkiej księżnej jakiś czas temu, przyprawiał o ból głowy przynajmniej połowę szlacheckich rodzin Ollinasu. Biały Rycerz dziwił się,

dłaczego żaden z rogaczy do tej pory nie upuścił krwi zuchwalcowi. — Coś jeszcze, pani?

- Znajdź go - rozkazała Solla. - Pożyczył sobie kilka cennych pamiątek rodzinnych i chciałabym je odzyskać.

- Co zginęło? — Richard z wielkim trudem powstrzymał cisnące mu się na język przekleństwa. — Kiedy widzieliście go ostatnio?

- Wczoraj rano. A spis zaginionych rzeczy leży na biurku pod kałamarzem.

- Wczoraj rano? — powtórzył kapitan z namysłem, przeglądając listę strat. - Znajdę go.

- Richardzie! - Okrzyk zatrzymał rycerza w drzwiach.

-Tak, pani?

- Po prostu odzyskaj drogocенności. Chłopiec cudownie gra na lutni, nie chciałabym, żeby przytrafiło mu się coś złego.

- Cudownie gra? To wszystko?—spytał Richard z uśmiechem.

- Tak, bo pieśniarz z niego taki, jak z ciebie tancerz - zaśmiała się księżna.

- Dziękuję za komplement, wasza wysokość - prychnął Richard, wychodząc. - Gra ten szczeniak, a jakże...

Przeszedł przez wąski korytarz z pociemniałymi obrazami na ścianach, otworzył drzwi, pod których rzeźbionymi panelami kryły się żelazne listwy, w milczeniu zlustrował wartujących w bawialni gwardzistów. Drągałe w białych płaszczach znali swoją pracę i rozstawili się w przestronnej komnacie tak, że w razie ataku nic nie byłoby w stanie wprowadzić zamieszania.

Jeden przechadzał się przed wychodzącym na wewnętrzny podworec oknem. Wystarczyłby jego okrzyk, a jakiś sługa zaraz podniósłby larum. Drugi siedział na krześle przy kotarze, za którą wisiał sznur dzwонka wartowni - jeden ruch ręką, a za mniej niż minutę do pomieszczenia wpadłoby pół tuzina rębajłów. Oparty o ścianę dowódca warty zawsze mógł wyskoczyć na korytarz prowadzący do sypialni i zamknąć drzwi od wewnątrz. Nie żeby York naprawdę obawiał się zamachu na księżną w jej własnym zamku, ale w miarę możliwości niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Gruchający z dyżurną dworką baronet Ogalis koso zerknął na wychodzącego z pokojów księżnej kapitana Gwardii, odkłonił się i od razu zniknął za drzwiami.

- Nie ma spokoju od wielbicieli? — Richard mrugnął do ładnej dwudziestolatki. - Nieprawdaż, Linno?

- Ale co też pan powiada, panie York! — uśmiechnęła się zupełnie niezmiészana Frejlina o uroczo zadartym nosku i przebiegła palcami po dokładnie zaciągniętym sznurowaniu sukni. —To już nie wolno uczciwej dziewczynie zamienić paru słów z młodym człowiekiem?

- Dlaczego nie wolno? — odparł Biały Rycerz. - Niech wszyscy Święci bronią! Tylko może by tak w innym miejscu?

- Ach! - Łobuzersko zamrugęła Linna i zapięła mocniej pasek. - Ja głupia myślałam, że dba pan o moją reputację, a pan ma tylko jedno na myśli...

- Uważam cię za uczciwą dziewczynę i nikt nie ma wątpliwości co do twojej reputacji. - Richard powiódł spojrzeniem po ślicznej figurze Linny i skłonił się lekko. - Nie śmiem więcej zawracać głowy...

- Ależ ja się nie gniewam. - Dworka podeszła do stolika pod oknem, na którym leżała robótka ręczna.

- Lokis! - Richard machnął ręką na dowódcę warty, wyszedł z bawialni i przystanął koło okna ozdobionego witrażem.

- Tak? — Chwilę później dołączył do niego jasnowłосy mężczyzna. Był wysoki i pozornie niezgrabny, lecz ta niezgrabność maskowała wspaniałe zadatki na świetnego szermierza.

- Jest sprawa. — Rycerz podał porucznikowi złożoną kartkę z wykazem skradzionych księżnej przedmiotów.

Oprócz drobiazgów na liście znajdowało się - nieszczęściem dla minstrela - kilka rodowych

klejnotów i właśnie to spowodowało, że władczyni wydała rozkaz schwytania nieszczęsnego faworyta.

- Sprawdź, czy coś z tego nie pojawiło się u któregoś z kramarzy. I ustal, gdzie przebywa Miguel.
- Co potem? — spytał Lokis, nie mający najmniejszych wątpliwości, że zdoła odszukać zbiega.
- Zawiadomisz mnie i nauczymy muzykanta dobrych manier. - Biały Rycerz uśmiechnął się

lodowato.

Porucznik potrafił znakomicie odnajdywać ludzi, co udowodnił już niejednokrotnie. Jako trzeci syn zubożałego barona, Lokis von Jamgal od najmłodszych lat miał wiele okazji, aby zapoznać się z różnymi rzeźmieszkami stołecznych dołów, a jego związki nierzadko bywały niezwykle pomocne we współpracy z tajną żandarmerią.

-Tylko żadnego mordobicia! - zastrzegł Richard.

-Jak pan rozkaże. - Gwardzista wzruszył ramionami. -Grał naprawdę nieźle, nie można powiedzieć.

- I niech sobie gra dalej. - Rycerz klepnął podwładnego w ramię. - Tylko teraz może już gdzie indziej.

- Tak będzie - odparł Lokis.

- Znajdziesz klejnoty? - zapytał rycerz.

Chociaż przeżył w Ollinas prawie dwanaście lat, miasto nadal nie uznało go za swojego. Wytrząsnąć duszę mógł z każdego bez problemów, ale pogłoski o tym rozeszłyby się szybciej, niż kręgi na wodzie po wrzuceniu w toń wielkiego kamienia.

- Porozmawiam, z kim trzeba, sami je nam przyniosą. - Gwardzista złożył kartkę i schował ją do mankietu. - I jeszcze będą dziękować, że weźmiemy z powrotem. Trzeba być głupcem nad głupcami, żeby wziąć takie gorące rzeczy.

- W takim razie biegnij do wartowni, wyznacz za siebie zmianę i do roboty - rozkazał Richard. - Jutro przybywa nowy ambasador Lensu, wydam rozkazy co do wzmocnienia straży, a ty dobierz sobie zaufanych ludzi i zwolnij ich ze służby. Niech obserwują przyjezdnych. Nie podoba mi się to wszystko.

- Posłowie z Lensu mają głupie przyzwyczajenie hulać po mieście w pijanym widzie, więc... - Lokis zawiesił głos.

- Postawiłbym sakiewkę dukatów przeciw workowi grochu, że nowy ambasador nie będzie pił. - Rycerz pokręcił głową i słysząc kroki, obejrzał się, aby odpowiedzieć na ukłon przechodzącego obok barona Mogulisa, śpieszącego dokądś w niewątpliwie ważnych sprawach. - To wszystko, Lokis, biegnij. Ja poczekam na zmianę.

- Panie York! - Baron zatrzymał się nagle, gdyż zabrakło mu tchu. Wylał batystową chustką okrągłą twarz i trącił w bok towarzyszącego mu syna. - Proszę spojrzeć, mój Jorg to urodzony gwardzista. Weźmiecie go?

- A chciałby?

Od barona dolatywał przykry zapach potu, lecz Richard to zignorował. Przy wszystkich swoich wadach, grubas Mogulis był dobrym człowiekiem, a piwo, które warzyli jego mistrzowie, uważano w Dowless za najlepsze. Dobry człowiek, potrzebny. Syn nie poszedł w ślady ojca, jeśli szło o fizys: chociaż nie pozbył się jeszcze młodzieńczej miękkości, budową nie ustępował większości gwardzistów.

- A wy go zechcecie?

- W przyszłym roku. - Rycerz popatrzył taksująco na chłopca.

Możliwe, że będzie z niego pożytek, bo zadatki miał. Ale na razie był za młody. Richard uśmiechnął się uprzejmie i zakarbował sobie, by sprawdzić, w jakich pałacowych intrygach uczestniczył baron.

- Na razie Jorg może poćwiczyć z gwardzistami. Będzie miał przy okazji sposobność sprawdzić, czy naprawdę chce włączyć w to nasze bagno.

- To znakomita myśl! - ożywił się Mogulis. - Słyszysz Jorg? Od jutra będziesz do dyspozycji pana Yorka. I nie waz się lenić, bo uszy oberwę!

- Lepiej niech zacznie od następnej dekady. - odparł rycerz, -Jutro przybędzie nowy ambasador

Lensu, więc zanim wszystko się ułoży, nie będzie ćwiczeń.

- Znakomicie! - Baron chwycił oburącz dłoń Richarda i potrząsnął nią mocno. - A pani Hreshlan od razu nas zniechęcała. Za młody, powiada, sieczkę ma jeszcze w głowie...

- Młodość to przypadłość, która niestery przemija bardzo szybko. - York skrzywił się na wspomnienie wdowy, ciotki księżnej po kądzieli. Po zmarłym małżonku pozostał jej tylko tytuł hrabiny Hreshlan oraz urodzona w roku zgonu męża córka. Przybyły z Norweimu arystokrata, chociaż był wysokiego pochodzenia, okazał się biedny jak mysz świątynna.

- Nawet mi proszę nie mówić, panie York, nawet mi proszę nie mówić. - Mogulis pokiwał głową, chwycił syna pod rękę i podreptał korytarzem. - Liczę na pana!

- Bez obaw.

- Zrewanżuję się beczką piwa!

- Będę wielce zobowiązany. - Ze strony Białego Rycerza nie była to tylko czcza uprzejmość.

Piwo w Dowless pili wszyscy - od włóczęgów i rzemieślników, po kupców i dworzan. York w pełni podzielał gusta miejscowych, a od samego zapachu wina zaczynało go mdlić.

Bębniąc palcami po parapecie, Richard poczekał na gwardzistów, mających zmienić ludzi Lokisa, a potem zszedł do wartowni, by zamienić parę słów z dyżurującymi tam strażnikami i zaczął obchodzić posterunki, jak to czynił od lat. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo w pałacu całkowicie spoczywała na Gwardii, a York wiedział doskonale, jak prędko rutyna gasi bojowego ducha i osłabia czujność. Wystarczy lekko rozluźnić dyscyplinę, żeby żołnierze zaczęli obściskiwać kucharki i biegać do koszar po wyfasowane wieczorem piwo.

II

Śniadanie podano w małym salonie - przyjemnej komnatce urządzonej w tonacji żółto-zielonej, która podobała się Richardowi o wiele bardziej od pompatycznej sali paradnej albo pełnej przeciągów kominkowej.

Księżna przelotnie spojrzała na spóźnionego kapitana Gwardii, pokręciła głową i wróciła do rozmowy z cioteczką. Świetnie wyglądająca, jak na swój wiek, hrabina Hreshlan miała skłonność do zbyt osłoniętych niż to było przyjęte kreacji i także teraz dekolt jej sukni wydał się Białemu Rycerzowi zanadto głęboki. Siedząca na drugim końcu stołu osiemnastoletnia kuzynka księżnej odziedziczyła po matce cudowną figurę, a po ojcu wąską, rasową twarz. Ona z kolei była ubrana bardzo skromnie.

- Wasza wysokość. Drogie panie... - Richard skłonił się lekko i usiadł po prawej ręce władczyni.

- Przy okazji, moja droga, nie wiesz czasem, gdzie się podziewa Miguel? - Odsunawszy półmisek z faszerowanym węgorem, hrabina upiła z kielicha nalewki śliwkowej i spojrzała na Richarda. - Mam ochotę dzisiaj wieczorem posłuchać jego gry.

- Obawiam się, cioteczko, że nasz klimat jest dla Miguela zanadto wilgotny. - Księżna otarła usta serwetką, patrząc prosto w oczy krewniaczce. - Postanowił więc wrócić do ojczyzny.

- Ach, jakież to irytujące! - Hrabina klasnęła w dłonie. - Czy aby nie planował dać ostatniego koncertu?

- Nie. - Richard pokręcił głową, usiłując ignorować unoszący się nad stołem natrętny zapach modnych w tym sezonie perfum. - Wątpię, aby miał podobne zamiary.

- Wielka szkoda...

- To nawet lepiej. - Solla spojrzała znad kryształowego pucharu na hrabinę. - Myślę, że markiz Judolis nie doceniłby pani muzycznych upodobań...

- A cóż mnie obchodzi markiz?! - Hrabina umoczyła palce w misce z wodą, dając całą sobą do zrozumienia, jakoby pogłoski o zalotach dowódcy armii nie były dla niej warte więcej, niż stara wydmuszka. - Powiadają, że nowy ambasador Lensu jest bardzo urodziwy...

- Dla pani tylko urodziwi mężczyźni się liczą - docięła ciotce księżna. - Cały harem już pani zgromadziła, a ciągle jej mało.

- Bzdury! - Hrabina od razu pojęła, że idzie o jej ochronę. - Mężczyzna powinien być jeden i na zawsze. I tobie, moja droga, byłby czas wydać się za męża. Wystarczy już tego zmieniania kochanków jak rękawiczki...

- Jest mi pani w stanie zaproponować kandydaturę tego jedyne go i niepowtarzalnego? - Solla uniosła brew.

- A weźmy chociaż naszego Richarda - odpaliła ciotka, a rycerz, który nie oczekiwał takiego obrotu sprawy, zakrztusił się.

- Co?!

- Mężczyzna piękny, a wierniejszego nigdy i nigdzie nie znajdziesz...

- Widzi pani, droga cioteczko — odparła łagodnym tonem Solla, lecz York dostrzegł, jak pobielały jej ściskające sosjerkę palce, przygotował się więc do przechwycenia srebrnego naczynia, gdyby zaszła taka potrzeba. - Richard jest moją prawą ręką. Czyżby namawiała mnie pani do robienia dobrze samej sobie?

I zanim skonsternowana krewniacza zdołała znaleźć odpowiedź, księżna wstała i w towarzystwie nieporuszonych dworek opuściła salę. Biały Rycerz spojrział na oszołomioną hrabinę oraz jej zarumienioną córkę, potrząsnął głową i wrócił do jedzenia. Srebrna sosjerka została na swoim miejscu - był to dobry znak. Możliwe, że było to najlepsze, co się zdarzyło tego dnia.

- Anno, moja droga... - Hrabina popatrzyła na zagląającego do komnaty młodego dworzanina. - Nie należy pozwolić czekać panu Jurinasowi. Mieliście się przecież przejść po mieście, prawda?

- Tak, mam. - Dziewczyna z ulgą w stała od stołu.

- Pan Jurinas budzi wielkie nadzieje - westchnęła wdowa i spojrziała znacząco na rycerza.

- To prawda — potwierdził York. - Nie ma jeszcze trzydziestu lat, a już... - chciał powiedzieć „jest prawą ręką”, ale przypomniawszy sobie świeży incydent, zrezygnował. — Jest zaufaną osobą markiza Judolisa. To znakomita partia.

- A pan, Richardzie?

- Co ja?

- Przecież z pana również łakomy kąsek, a do tej pory nie ma pan ani rodziny, ani nawet narzeczonej...

- I tu się pani myli, hrabino. - Rycerz obdarzył rozmówczynię szerokim usmiechem, lecz ciotka księżnej była doświadczoną niewiastą i na widok lodowatego wyrazu oczu rozmówcy przeszedł ją dreszcz. - Mam narzeczoną.

- A kto to jest, jeśli wolno wiedzieć?

- Gwardia - odpowiedział York bez śladu kpiny w głosie. - Można powiedzieć, że to już nawet żona...

III

Zgodnie z tradycją, posiedzenia małych rad odbywały się jedynie w sali kominkowej, wiecznie zimnym i wilgotnym, nękanym przeciągami pomieszczeniu w zachodnim skrzydle. Richard, jak zawsze, pojawił się wcześniej, kazał rozpa lić ogień i przesunął jedno z krzeseł bliżej komina. Kapitana zaprzętały ponure myśli, nie zapominał jednak przesuwac płonących drew pogrzebaczem i dorzucać nowych. Niebawem w komnacie nieco się ocieplilo.

Jakiś czas później zaczęli się zbierać zaproszeni na radę wielmoże. Niektórym Richard po prostu kiwał głową, innym ściszał dłonie, ale w obu przypadkach jego wzrok pozostawał jednakowo zimny. Nadchodzące zebranie nie było dobrą okazją do przyjacielskich pogaduszek i pogłębiania stosunków. Znaczenie tutaj miały tymczasowe zbieżności interesów. Albo rozbieżności. Biały Rycerz miał nadzieję, że nie dojdzie do otwartego sprzeciwu. Przynajmniej na razie.

Pierwszy przyszedł lekko kulejący, chudy i wysoki markiz Judolis, dowodzący regularną armią księstwa przez ostatnie osiemnaście lat. Skinął Richardowi z chmurną miną, podkręcił długiego wusa i

usiadł przy stole. Widać było od razu, że temat dzisiejszego spotkania bardzo mu nie odpowiadał.

Po nim zjawili się podobni jak bracia minister skarbu Nicolas Lauris oraz naczelnik tajnej żandarmerii Juris Castaila. Obaj niewysocy, szczupli i łysiejący, w identycznie znoszonych kaftanach, nie sprawiali wrażenia ważnych person, tym niemniej ich rycerz powitał o wiele bardziej serdecznie. Wygląd może zmylić, cudza dusza zawsze pozostaje tajemnicą, a Richard żywił głębokie przekonanie, że to najbardziej niebezpieczni ludzie w księstwie. Jeżeli nawet informatorom Lokisa nie udało się niczego o nich wygrzebać, strach pomyśleć, jakie potworne tajemnice były udziałem tych panów.

W towarzystwie wielebnego Sumliusa pojawił się pierwszy radca księżnej, markiz Vitaila - wysoki, barczysty niezdarą o wiecznie czerwonym obliczu, otoczonym czarnymi jak smoła bokobrodami. Ten, w przeciwieństwie do naczelników, zdawał się otwartą księgą. Tyle że jego grzeszki okazywały się nieodmiennie na tyle małe i nieistotne, że nikt nie byłby w stanie wymyślić, jak by można je wykorzystać.

Wielebny nie był może wcieleniem prawdziwej, nienagannej bogobożności, ale ratowała go wiara. Wiara prawdziwa, która zawsze podpowiadała, na co można przymykać oczy, a na co nie należy. Właśnie pryncypialność tego niewysokiego mężczyzny o nalanej twarzy zapewniała mu szacunek i miłość wiernych.

Ostatnia do sali kominkowej wkroczyła ubrana w strój do jazdy konnej Solla. Zajęła miejsce u szczytu stołu, spojrzała po twarzach zebranych i na wszelki wypadek upewniła się:

- Mam nadzieję, że wszyscy są świadomi, z jakiego powodu zwołałam dzisiejszą radę?
- Ja myślę... - Wielebny napełnił puchar wodą i zamilkł, kiedy księżna wstała.
- Tym niemniej pozwólcie, panowie, że nakreślę obecną sytuację - powiedziała i z rozdrażnieniem spojrzała na rycerza, wciąż siedzącego przy ogniu. — Richardzie, nie zamierzasz do nas dołączyć?
- Słyszę tutaj wszystko doskonale. - York pokręcił głową. Nie miał najmniejszej ochoty opuszczać ciepłego miejsca.

- Jak sobie chcesz. — Solla zacisnęła wargi, ale zaraz się opanowała i mówiła dalej. - Jak już wiecie, Edward Drugi przysłał nam ultimatum, żądając, abyśmy przepuścili jego wojska do granic Aserkii i Marny. Przedwczesny zgon ambasadora Lensu pozwolił nam odsunąć w czasie podjęcie decyzji, lecz dalej zwlekać już nie możemy. Dlatego musimy uzgodnić, jaki projekt wniesiemy na posiedzenie wielkiej rady. Co pan sądzi o tej sprawie, markizie Judolis?

- Z punktu widzenia sztuki wojennej, przerzucenie wojsk przez nasze terytorium można ocenić jako priorytetowe zadanie dowódców Lensu - wyklepał markiz ze wzrokiem wbitym w blat. - W tym przypadku mogą wtargnąć do Aserkii nie od północy, przeprawiając się przez zalaną teraz powodzią Melicę i ryzykując utknięcie w błotach, lecz na wprost...

- To wszystko jest zrozumiałe! - przerwała dowódcy księżna. — Co się stanie, jeśli odmówimy?

- Armia Lensu jest silna jak nigdy dotąd - wydusił z siebie markiz, któremu nie chciało przejść przez gardło wyznanie, że sąsiad z północy posiada miazdzącą przewagę. -Przyjdzie nam zwołać pospolite ruszenie.

- I co? — Solla podniosła głos. - Co wtedy?

- Wytrzymamy najwyżej dwa miesiące, nie więcej - potwierdził oczywistość Judolis. - A jeśli wezmą się za nas Wyżsi, nie przetrwamy nawet dwóch.

- Rozumiem. Jaka jest opinia skarbu?

- Wojna z Lensem będzie miała katastrofalne skutki. Nawet w przypadku zwycięstwa zajdzie potrzeba podwyższenia ceł i podatków, żeby pokryć wydatki wojenne. Tymczasem za przemarsz wojsk można zażądać zapłaty. Oczywiście w rozsądnych granicach. I...

- Jasne. - Księżna nie zamierzała tego dalej słuchać. -Markizie Vitaila?

- Możemy liczyć na pomoc wojskową Aserkii, ale wątpię, czy będzie wystarczająca - powiedział pierwszy radca. - Tyros opowie się najpewniej przy Lensie, Alesia zechce przeczekać.

-I doczekają się wreszcie, doczekają - mruknęła Solla. -Co z Marną?

- Mamy doniesienia, że Stilg przerzuca tam swoje wojska. - Naczelnik tajnej żandarmerii splótł palce.

- To nas ani ziębi, ani grzeje - skomentował skarbnik.

- Markizie... — Księżna znów zwróciła się do Vitaili. - Co pan powie na temat posiedzenia wielkiej rady?

- Jeśli o to chodzi, jesteśmy w stanie przeprowadzić dowolną decyzję — zaraportował z werwą pierwszy radca. - Wielcy posiadacze ziemscy będą się opowiadać przeciwko wojnie, ale pozostała szlachta nie zechce przepuścić takiej szansy. Tak samo z cechami. Ktoś będzie za, kogoś oburzy wprowadzenie nowych podatków. Dlatego wszystko zależy od tego, w jaki sposób przedstawimy sprawę. Jednym powiemy, że sojusz z Lensem to pokój i będziemy ich mieli po naszej stronie. Drugim się szepnie, że przy okazji wojny będzie można coś uszczknąć z Marny i Aserkii czy Tyrosu. I rzecz załatwiona. Albo możemy mówić coś wręcz przeciwnego. To już jak wasza wysokość sobie zażyczy.

- Właściciele ziemscy mogą zawrzeć z Lensem kontrakty na dostawy prowiantu dla armii - zaproponował minister skarbu.

- Właśnie! - Markiz Vitaila z miejsca uchwycił się tego pomysłu. - Albo też można napomknąć im, że prowiant będzie rekwirowany...

- Jest jeszcze jedna kwestia. — Głos zabrał naczelnik tajnej żandarmerii. - Dlaczego Lens w ogóle podjął rozmowy? Przecież może nas zdusić, jak zdusił Norveim, Nilmarę i Pakt. Dlaczego zatem nie wypowiedział nam wojny?

- Obawiają się rozproszyć siły - burknął markiz Judolis. - Walczyć na dwa fronty.

- Proszę dać spokój. - Juris Castaila wykrzywił usta. - Jeśli zajdzie potrzeba, nawet na trzy fronty dadzą sobie radę. Nie o to idzie. Lens chce zyskać na czasie. Zrobić coś, czego nikt się nie spodziewa.

- Stilg? - Dowódca armii spojrzał na mapę wiszącą na ścianie. - Zamierzają wejść do Stilgu, zanim nastaną chłody!

- Tak przypuszczam. - Castaila wzruszył ramionami. Trzeba tylko zdecydować, po czyjej jesteśmy stronie.

- Richardzie? - Solla zapragnęła poznać opinię kapitana Gwardii.

- Do diabła z Lensem — odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Jeśli już mamy się sprzedawać, to lepiej Stilgowi.

- Nie otrzymaliśmy od nich oferty - wycedziła księżna, ledwie powstrzymując gniew.

- Wasza wysokość, panowie. - Wielebny Sumlius wstał.

- Nie o tym rozmawiamy, o czym należy! Nie o światowych marnościach nam myśleć, lecz o duszy! Nowy monarcha Lensu zaczął prześladować wyznawców prawdziwej wiary i sprowadza heretyków! Zamyka domy modlitwy i klasztory Wszystkich Świętych. Odnosząc się do zniekształconych nauk Konrada Kimry, powołali do życia Świątynię Zjednoczenia, do której siłą - powtarzam, siłą! - zapędzają mieszkańców. A ich Wyżsi czyż nie są diabłami w ludzkiej skórze? Odwieczna Ciemność rozpostarła czarne skrzydła nad Lensem! I straszne pogłoski rozchodzą się pośród mojej trzódki.

- Księżna spojrzała pytająco na Castailę, który skinął głową. - Jako pasterz duchowy, nie mogę popierać i nie poprę porozumienia z heretykami, co więcej, nie zdołam uspokoić wiernych, kiedy dowiedzą się o takim postanowieniu.

- Jeśli wpuścimy armię Lensu, mogą nam później dyktować swoje warunki — zauważył ponuro Judolis. - Nie chciałbym się znaleźć między Lensem a Stilgiem, niczym między młotem a kowadłem.

- Panowie, dziękuję wam za opinie. - Księżna wstała, dając znak, że zebranie zostało zakończone. - Jutro będę rozmawiać z ambasadorem, a potem znów się spotkamy, aby rozważyć wszystkie za i przeciw.

Wielebny chciał przedłużyć naradę, ale na jego ramieniu zawisł pierwszy radca, a wielmoże już opuszczali salę kominkową. Księżna najwyraźniej była w podłym nastroju, więc nikt nie chciał jej się narzucać dłużej, niż to było niezbędne.

- I coś ty narobił? - zapytała cicho Solla kapitana, który z obojętną miną przesuwał płonące polana pogrzebaczem. - Co to za spektakl, pytam?

- Ano spektakl - uśmiechnął się Biały Rycerz. - Wszyscy oprócz wielebnego rozumieją doskonale, że nie mamy innego wyjścia, jak ustąpić Lensowi.

- W takim razie po co tak zrobiłeś?

- Wyraziłem jedynie swój negatywny pogląd na ten sojusz. - Richard wzruszył ramionami i odłożył pogrzebacz. - Nie będziemy teraz mówić o konkretnych osobach, ale ktoś na pewno zechce wywrzeć na mnie nacisk, abym zmienił zdanie.

- A oponenti za twoim pośrednictwem spróbują wpłynąć na decyzję? - zrozumiała Solla i nieco się uspokoiła.

- Wszyscy wiedzą, że moja opinia ma pewną wagę - zaśmiał się cicho rycerz. - I możliwe, że ten prosty podstęp da nam nieco czasu na podjęcie wyważonej decyzji.

- Tak sądzisz?

- Nie inaczej. No i nigdy nie zaszkodzi dobrze pomyśleć, zanim się zrobi jakąś głupotę.

- A dokładnie o czym chcesz myśleć?

- Jak będziemy się z tego wszystkiego wyplątywać, wasza wysokość. - Kapitan otworzył drzwi przed księżną. Z jego twarzy zniknął niewesoły uśmiech.

IV

Kiedy Richard York, będący po naradzie w nienajlepszym nastroju, dotarł do wartowni, czekał już na niego Lokis, który zamienił biały gwardyjski mundur na wytartą kamizelę.

- Masz? - spytał rycerz, niezbyt licząc na pozytywną odpowiedź i w roztargnieniu skinął głową gwardzistom, którzy na jego widok poderwali się na równe nogi i wyprężyli.

- Oczywiście. — Lokis wyjął z kieszeni płócienny woreczek. - Proszę...

- Chodźmy.

Richard przepuścił porucznika na korytarz, zamknął za sobą drzwi i wytrząsnął z woreczka na dłoń złotą pieczęć. Pociemniała już ze starości, była podrapana, z zamazanymi już konturami pancernego, siedzącego na koniu stojącym dęba. Pierścień wyglądał na zaniedbany i właśnie to zmyliło minstrela, który nie umiał rozpoznać klejnotu założyciela rządzącej dynastii, księcia Arnisa Cairona.

-A pozostałe rzeczy? — spytał kapitan.

- Z całego wykazu człowiek podobny do Miguela przyniósł handlarzowi tylko pieczęć - wyjaśnił Lokis i podrapał krótką, jasną brodę, bez powodzenia próbując ukryć uśmiech zadowolenia. - Gdybym przyszedł pół godziny wcześniej, mógłbym go nakryć, a tak...

-A tak...?

- Miguel jest gadułą. Nie omieszkał się pochwalić, że grał tej nocy dla szlachciców, którzy przybyli z Aserkii. Jak ustałem, nocują w „Czarnym Wieprzu”. To zajazd na Pogorzelsku. Muzykant z pewnością tam wróci.

- Z czego to wnosisz?

- Nie miał ze sobą lutni.

- W takim razie jedziemy.

* * *

Do „Czarnego Wieprza” Richard wraz z Lokisem i czterema gwardzistami dotarł wczesnym popołudniem. Rzucił wodze chłopakowi stajennemu, kazał dwóm ludziom zostać na straży przy tylnym wyjściu, dwóch zostawił przy bramie, a sam wszedł na wysoki ganek.

Dwupiętrowy dom zbudowano z cegły, a pod dachem urządzono mansardę. W podwórzu były stajnia, studnia, łaźnia z pralnią. Rzeczywiście mogła się tu zatrzymać przyjezdna szlachta. Zapewne nie nadzwyczajnie bogata, ale i nic jakaś gołota, skoro nie pożałowali pieniędzy na minstrela.

Lokis otworzył drzwi, a Richard wszedł pierwszy, z dłonią na rękojeści miecza. Minstrela zupełnie się obawiał, ale mieszkańcy Aserkii oprócz podłego charakteru słynęli także ze swoistego pojęcia o honorze. Mogliby zechcieć stanąć w obronie „ich” muzykanta.

- Panie York! - Na spotkanie rycerzowi wyskoczył gospodarz, zarówno uradowany, jak i przestraszony wizytą tak znamienitego gościa. - Czym mogę służyć?

- Ćśśś... — Richard położył palec na ustach, rozejrzał się po sali jadalnej. Gospodarz natychmiast zamilkł. - Gdzie minstrel?

- W mansardzie, drzwi po lewej.

- Jest teraz w pokoju?

- Tak.

- Przygotuj dzban piwa, tylko zimnego, z piwnicy. I coś do przekąszenia - zarządził Biały Rycerz, po czym wraz z Lokisem poszli ku schodom. - Uprzedź swoich, żeby nam nie przeszkadzali.

Kiedy weszli na górę, Richard podszedł do wskazanych drzwi i nadstawił ucha. Panowała cisza, tylko od czasu do czasu coś pobrzękiwało. Kapitan spojrzał na towarzysza, a ten skinął głową, po czym z całej siły kopnął w drzwi obcasem. Pierwszemu łomotowi odpowiedział echem drugi, kiedy uderzyły w ścianę. Strojący właśnie lutnię Miguel pisnął i zerwał się z niepościelonego łóżka.

Richard kopnięciem posłał wyłamaną zasuwę w kąt i wszedł do środka. Lokis stanął w progu i z niedobrym uśmiechem oparł się o framugę. Poblądły minstrel cofał się, aż dotarł do okna, dopiero wtedy stanął i zagryzł wargi do krwi. Rycerz chrupnął kostkami palców, podszedł do Miguela, niespiesznym ruchem wyjął mu z rąk lutnię i bez zamachu wbił jej główkę w gardło minstrela. Ten upadł przerażony.

- Trzeba było odejść jak człowiek - powiedział Richard do skulonego na podłodze muzykanta. - My do ciebie z sercem, a ty odpłacasz się złodziejstwem.

- Łajdak! - chlipnął minstrel. - Myślisz, że nie wiem? I tak byś mnie zabił! Gadzina!

- To bardzo ciekawe. - Kapitan spojrzał zdziwiony na Miguela, który drżał ze strachu. - Po co miałbym cię zabijać?

- Bo wszystkich zabijasz! - wykrzyknął chłopak.

- Co znaczy wszystkich? Kogo?

- Wszystkich kochanków księżnej! Kiedy jej się już znu-mordujesz ich! Ostrzegali mnie!

- Kto cię ostrzegał? - York wymienił spojrzenia z Lokisem, ledwie hamując śmiech. - Kto odkrył przed tobą tę straszną tajemnicę?

- Nic ci nie powiem!

- I Święci z tobą - prychnął rycerz. - Komu przekazałeś kosztowności?

- Możesz mnie zabić, ale więcej nie usłyszysz z moich ust ani słowa! - Minstrel wreszcie się opanował, zadarł nawet dumnie podbródek. - Przysięgam na świętego Januarego, że nic nie powiem!

- A to się jeszcze zobaczy. - Upuszczona na podłogę lutnia żałośnie jęknęła, niby zraniona żywa istota. - Piękny masz instrument... to znaczy, miałeś...

- Nie! - krzyknął przerażony Miguel.

- Komu dałeś kosztowności, złodziejaszku? - Richard postawił stopę na lutni, ale minstrel tylko zamknął oczy. Rycerz wzruszył ramionami, pudło rezonansowe zachrząściło pod butem. - Wiesz, Miguelu, powiadają, że pięknie grasz, lecz śpiewak z ciebie marny...

- Lepszy od niektórych, ale w sumie nic szczególnego. - Lokis stanął obok kapitana.

- Tak sobie myślę, że z połamanymi palcami za wiele nie zwojujesz. - Biały Rycerz uśmiechnął się paskudnie. - I uwierz mi na słowo, że łamać potrafię doskonale. Czasem będzie ci się nawet zdawało, że jeszcze trochę, a wrócą do dawnej sprawności, lecz nigdy to nie nastąpi. A jeśli do tego urżniemy ci nos i uszy, nie zostaniesz wpuszczony do żadnego przyzwoitego domu. Zdechniesz pod jakimś płótem albo na śmietniku.

- Nie! - Minstrel skulił się, kiedy Lokis ujął jego prawą rękę. - Lepiej zabijcie!

- Komu oddałeś klejnoty?

- Powiem wszystko, tylko puśćcie!

- Przeszukaj jego rzeczy - rozkazał Richard. Chwycił minstrela za ucho i pociągnął mocno w górę, aż chłopak podniósł się i stanął na palcach. - Mów.

- Lombard przy Smoczym Moście. - Miguel oblizwał wargi. - Wejście jest od nabrzeża.

- Wiem, gdzie to - rzekł Lokis, grzebiący w dobytku minstrela. - O ile mi wiadomo, na właściciela wołają Ilgis.

- Wszystko tam zostawiłeś? - upewnił się Richard.

- Nie, tam odmówili mi przyjęcia jednej pieczętki. Sprzedałem ją handlarzowi w Alei Klonowej.

- To już wiemy. — Gwardzista rzucił kapitanowi znalezionej w torbie podróźnej sakiewkę.

- Jeżeli skłamałeś, znajdę cię i spełnię obietnicę. - Rycerz rozwiązał rzemyk skórzanego woreczka.

Na oko ocenił, ile będzie potrzeba minstrelowi, żeby zapłacić gospodarzowi za nocleg i wyjechać z Dowless, bez potrzeby zatrzymywania się, aby gdzieś dorobić. Dodał jeszcze parę dukatów na zapas i rzucił odliczoną sumę na łóżko.

- A teraz wynocha z Ollinasu. I żebym cię tu więcej nie widział!

* * *

Jasne piwo w pokrytym rosą dzbanie w rzeczy samej okazało się zbawienne. A chociaż nie mogło zmyć pozostałego po rozmowie osadu, Richard nieco ochłonął i popijając bursztynowy nektar, czekał, aż Miguel raczy wreszcie opuścić zajazd.

Minstrel zbiegł na dół po jakimś kwadransie, rozliczył się z gospodarzem i jak strzała wybiegł z zajazdu. Richard uśmiechnął się i mrugnął do pijącego już drugi kubek piwa Lokisa. Nie miał wątpliwości, co do tego, czy Miguel wróci do stolicy. Gdyby to chciał zrobić, wysłany za nim gwardzista naprowadzi go natychmiast na właściwą drogę.

- Tak, znam ten lombard - powiedział Lokis. Otarł pianę z wąsów. - Paserstwo. Właściciel zadaje się z takimi bandziorami, że aż dziw, iż jeszcze nie trafił na szafot.

- Zrobimy tak, że trafi. - Rycerz wstał.

Gospodarz natychmiast przybiegł i ze zdumieniem stwierdził, że ważny pan, oprócz zapłaty za piwo i raki, pokrył jeszcze koszty naprawy drzwi.

- Dobre piwo - powiedział Lokis, kiedy wyszli z zajazdu.

- Mogulis ma lepsze. Trzeba będzie mu przypomnieć o tej obiecanej beczułce.

- A tak, to prawda... - Gwardzista rozmarzył się, zakładając ręce za głowę. - Tego bym sobie łyknął...

- łyknijmy sobie jeszcze, łyknijmy. — Richard rzucił

miedziaka stajennemu. - A teraz do pracy!

* * *

Pilnujący bramy miejskiej żołnierze w żółtozielonych mundurach przepuścili niewielką kawalkadę, a zaraz potem końskie kopyta zastukały o bruk ulicy. Richard wiedział mniej więcej, gdzie stoi Smoczy Most, zakładając, że chodziło o przeprawę przez pewną bezimienną rzeczulkę, płynącą na przedmieściach. I nie pomylił się. Lokis wskazał poszukiwany dom i wyjaśnił dwóm gwardzistom, jak dojechać do tylnego dziedzińca, a trzeciemu kazał pilnować koni. Chociaż przy pojawieniu się jeźdźców nabrzeże dosłownie wymarło, nie należało mieć złudzeń, że w tej okolicy cokolwiek pozostawionego bez nadzoru nie zniknie prędzej, niż człowiek zdąży mrugnąć.

- Może poczekamy na posiłki? - Lokis rozejrzał się czujnie. - Strażnicy miejscy nie chodzą tutaj w sile mniejszej niż tuzin chłopów.

- Nie będziemy tracić czasu. - Rycerz ruszył w stronę lombardu. - Zaczniemy, a w tym czasie ludzie dotrą.

- W takim razie naprzód! - Gwardzista otworzył drzwi.

Drzemiący na taborecie wartownik sięgnął po stojącą pod ścianą pałkę, ale przed pochopnym

działaniem powstrzymał go sztych miecza, przyłożony do wycięcia koszuli.

- Czym mogę panom służyć? - Z zaplecza wyszedł właściciel, a Richard bez słowa trzasnął go pięścią w twarz.

Krzepkiego mężczyznę odrzuciło w tył, zadzwoniły zrzucone na podłogę wagi, kamienie probiercze i butelki z jakąś tajemniczą zawartością.

Na ulicy miejscowe niebieskie ptaki, zwabione obecnością gwardzistów, zaczęły zbijać się w niewielkie grupki, ale dopóki żaden z nich nie objął roli herszta, można się ich było nie obawiać.

-To jakieś nieporozumienie! - wychrypiał paser, przyciskając dłoń do rozbitych warg. - Wasza miłość, posiadam patent!

- Nie przypominam sobie, aby wydawano patenty upoważniające do skupu przedmiotów skradzionych jej wysokości.

- Nie trzeba. - Właściciel z przerażeniem patrzył na zabierających się do rewizji wywiadowców. - Wasza miłość, błagam...

- Minstrel Miguel przyniósł ci dzisiaj kosztowności.

Gdzie są? - Richard odstąpił na krok od pasera.

- Niczego u mnie nie ma... Przysięgam na Świętego Mikołaja!

- Wierzę. - W uśmiechu Białego Rycerza darmo by szukać szczerości. - Tylko coś czuje moje serce, że i bez tego masz sporo na sumieniu. Jeżeli znajdziemy choćby jedną skradzioną broszkę, a znajdziemy, możesz być pewien, to natychmiast pójdziesz w dyby.

- A jeżeli oddam? - Właściciel ostrożnie dotknął złamanego nosa, splunął na podłogę krwawą śliną.

- Wtedy dyby nie będą potrzebne. — Richard wzruszył ramionami. - Wówczas od razu pójdziesz na katorgę.

- Wasza miłość, przecież nie ujdę stamtąd z życiem.. -Paser schował głowę w ramiona.

- Nikt nie kazał ci brać kradzionego.

- A jeśli wam się przydam? - wyszeptał mężczyzna, z obawą patrząc na śledczych. - Możecie ich odwołać?

- Oczywiście, że mogę. Lecz nie wydaje mi się, żeby twoja propozycja była dla mnie interesująca.

- Możemy porozmawiać w cztery oczy?

- Chodźmy. - Richard uznał, że nic nie straci, jeśli wysłucha przechery, popchnął go do pokoju na zapleczu lombardu i przymknął drzwi. - Mów.

- Wasza miłość... - Paser odwrócił wzrok, nie wiedząc, jak zacząć. - Niedawno pojawiła się ploteczka...

- No?

- Ktoś otrzymał zamówienie...

- Dlaczego miałoby mnie to zaciekawić? - Rycerz potrząsnął przestraszonym mężczyzną.

- Zamówienie na wielebnego Sumliusa, wasza miłość. - Właściciel lombardu oderwał oczy od ubrudzonych krwią domowych pantofli i spojrzał na kapitana. - Chcą go zamordować...

- Kto? I komu zapłacono za robotę? - spytał rycerz, skonsternowany.

- Nie wiem, wasza miłość, po prostu słyszałem takie pogłoski.

- Tylko pogłoski?

- Kto mi je przekazał, nie powiem, choćbyście mnie na męki wzięli. A roboty podjął się jeden rzezimieszek spoza miasta. W Ollinasie nikt by na to nie poszedł, zresztą kto robi takie rzeczy na własnych śmieciach? Wyjechał więc z miasta, żeby zebrać kompanię. Tak powiadają.

- Skąd wiesz?

- Ktoś wygadał po pijanemu. Może on sam, a może pośrednik i poszła plotka. Nikt już nie dojdzie, od kogo to wyszło. - Paser nieco się ośmielił, widząc zaciekawienie kapitana. - Sprawa jest taka, wasza miłość...

- Zdobędziesz dokładniejsze wiadomości?
- Nie mogę obiecać, ale spróbuję.
- Gdzie są kosztowności, które przyniósł Miguel?
- Oddam!

- Jutro przyjedzie do ciebie mój człowiek. Wszystko, czego się dowiesz, przekażesz jemu - zdecydował rycerz. - I pamiętaj, że śledczy to ludzie skrupulatni. Żaden dokument u nich nie ginie.

- Nie zawiodę, wasza miłość — zaskomlał właściciel. - Czego tylko się dowiem, przekażę...
- Jutro - przypomniał mu Richard.

Rozkazał śledczym, żeby potraktowali pasera w miarę łagodnie i skierował się do wyjścia.

- Lokis, chodź, musimy porozmawiać.
- Tak? - Gwardzista wybiegł za kapitanem na ganek.
- Zabierz od pasera kosztowności i sprawdź ze spisem, żeby niczego przypadkiem nie ukrył.

Potem... Potem weź pięciu ludzi i jedź do wielebnego Sumliusza. Powiedz, że kazałem wzmocnić jego ochronę w związku z przyjazdem ambasadora. Nie spuszczań go z oka, nie odchodź ani na krok.

Rozumiesz? Ani na krok.

- Myślicie, panie, że zechcą się go pozbyć? - Lokis był domyślny. - Lens?
- Wszystko jest możliwe. - Richard nie zamierzał niczego wyjaśniać. - Wieczorem przyślę kogoś na zmianę. Dobrze, idź patroszyć tę gadzinę. Nie, czekaj. Viilas jest w mieście?

-Tak.

- Przekaż bratu, że mam do niego sprawę.
- Dobrze. - Gwardzista skinął głową i wrócił do lombardu.

Rycerz z ciężkim sercem wsiadł na konia i pojechał w stronę mostu. Co do tego, że z Lensem przyjdzie się dogadywać, nie miał najmniejszych wątpliwości. Wystarczy jednak, że wielebny Sumliusz zacznie ciskać gromy na heretyków podczas kazań lub na wielkiej radzie, aby wybuchły zamieszki. Albo bunt. Lub coś jeszcze gorszego, na przykład wojna z Lensem. Wojna, której wynik był oczywisty.

Tak w ogóle, wielebny swoją małoskowną skrupulatnością już dawno bardzo mocno dokuczył księżnej. Można go było usunąć bez większych podejrzeń - pęknięty wrzód żołądka, słabe serce, nieszczęśliwy wypadek na oczach licznych świadków czy też zatrucie pokarmowe. Nikt by nie połączył takich wydarzeń z księżną. Jednak jawne zabójstwo zburzyłoby układ kart i nazbyt mocno uzależniło jej wysokość od Lensu, bez którego pomocy nie zdołałaby się utrzymać na tronie.

Co robić? Zawiadomić Straż Miejską i tajną żandarmerię? Zdołają w czymś pomóc? Czy w ogóle zechcą? Nie, Richard York wiedział doskonale, że pierwsze, co by zrobił Juris Castaila, to zawiadomienie księżnej. A ta z radością uchwyciłaby się myśli, że można tak łatwo rozwiązać problem. Rozkazałaby natychmiast odwołać strzegących wielebnego gwardzistów, wpadając przy tym w pułapkę.

Co robić? Jak postąpić?

Spróbować ocalić Sumliusza, czy udusić go cichaczem, zanim na oczach całego miasta zgładzą go najemnicy?

Wybór pomiędzy dwoma złymi rozwiązaniami jest zawsze trudny, ale Richard był jednego pewien - jeśli pozostawi sprawę Jasnemu biegowi, będzie tylko gorzej. O wiele, wiele gorzej...

ROZDZIAŁ 5

SPRYCIARZ. KARETA NIEBOSZCZYKÓW

Jakże cudownie sunąć nad skrajem!
Zamilczcie anioły, słuchajcie jak pięknie gram.
A o grzechach moich nie mówmy przed rajem.
Docenićcie lepiej, ile daję wam.

Julij Kim

Miesiąc Świętego Sebastiana Kosiarza

I

Jacob Lanz, bardziej znany pod przyzwiskiem Spryciarz, wyszedł ze sklepu jubilerskiego czcigodnego Rudolfa Notty w doskonałym humorze. W rzeczy samej, dwudziestosześcioletni wysoki, ciemnowłosy, z cienkim wąsikiem na przystojnej twarzy młodzieniec nie miał najmniejszych powodów do niezadowolenia. Jak by nie patrzeć, możliwość zamiany pękatej sakiewki fałszywych koron na dziesięć czystej wody rubinów nie zdarza się codziennie. A pewność jubilera co do tego, że przyjezdny prostaczek zapłacił dzwięzczącą monetą za przygarść szkiełek tylko dodawała pikanterii całemu zdarzeniu.

Jacob przyglądał wąsy i pogwizdując wesołą melodię, poszedł ku placowi Wielebnego Modesta z Orage. Oszwabiony jubiler na pewno nie zawiadomi miejskiej straży, bo byłoby to z jego strony nierozsądne, a ochraniających Nottę rzezimieszków Spryciarz w ogóle się nie obawiał. Lwia część zdobytego łupu trafi do bezdennych kieszeni czcigodnego Osho, a tenże osobnik otrzymał przyzwisko Kościwór wcale nie ze względu na stan posiadania. O nie. Wchodzić w drogę znanemu w pewnych kręgach paserowi obawiali się nawet najgłupszy przestępcy miejskiego półświatka.

Ale chociaż Lanz zakładał, że ważni ludzie powinni wyjaśnić między sobą pewne sprawy, sam zamierzał przeczekać to gradobicie w jakiejś przyjemnej norze. Nie należy zbyt ostentacyjnie ciągnąć ostrego psa za ogon, bo można go rozdrażnić i później przy jakiejś okazji odgryzie nogę. Trzeba podkreślić, że najważniejszym zajęciem Jacoba nie były wcale okazjonalne przekręty, ale gra w karty. Wpływowi wrogowie byłiby dla niego wielkim kłopotem.

Zanim wyszedł na plac, rozejrzał się zapobiegliwie i skrzywił z niechęcią, widząc trójkę pstro odzianych młodych mężczyzn. Chociaż niby zabawiali się wrzucaniem miedziaków do fontanny, w której brodzili mali chłopcy, to zwracali baczną uwagę na przechodniów. Na dodatek herszt tej bandy, Dick Przepuklina, zwykł pobierać haracz od rzezimieszków, którzy mieli pecha wejść na jego teren. O skutkach obrzydliwy gad nie myślał w ogóle, nieraz za swoje chamskie sztuki dostawał w skórę i zalegał na dnie, ale po pewnym czasie wracał do dawnych obyczajów. I trzeba powiedzieć, że Jacob - delikatnie rzecz ujmując - był z nim w nienajlepszych stosunkach.

Spryciarz sprawdził, czy aksamitny woreczek z drogocennymi kamieniami jest na miejscu, po czym zanurkował w zaułek wiodący na tyły piętrowej willi gildii stolarskiej. Zazwyczaj zaglądali tutaj pijacy za potrzebą, dlatego Lanz zaniepokoił się, słysząc jakieś podniesione głosy. Zwolnił kroku, ostrożnie wyjrzał zza węgła. Trzech bandziorów, otaczających bogato ubraną parkę, na pewno nie ucieszyłby widok niepożądanego świadka.

- Pomocy! - pisnęła dziewczyna, która zauważyła Jaco-ba. - Błagam...

- Proszę o wybaczenie, pani. - Spryciarz wyciągnął przed siebie puste ręce. Mieszać się w cudze sprawy i dostać za to kosą w bok? W imię czego? - Kiedy ostatni raz broniłem damy, podcięli mi gardło.

Złożył wytworny ukłon, po czym odwrócił się i wrócił na plac. Bandyci raczej nie będą go ścigać - zasłaniający własnym ciałem towarzyszkę młodzieniec machnął właśnie sztyletem i napastnicy aktualnie nie mieli głowy do Jacoba. Będą chcieli zrobić swoje jak najszybciej i uciec, zanim pojawią się strażnicy, których w tym rejonie jeszcze trzeba najpierw odnaleźć.

Kiedy wyskoczył z zaułka, zamarł na chwilę, oceniając, jakie też karty los mu podsunął. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś patyka. Dobry nastrój został zastąpiony drżączką nadchodzącej rozgrywki. Ukucnął, żeby oczyścić z łajna but i znów zaczął pogwizdywać pod nosem.

Znajdujący się w ręku przeciwnika bez twarzy *zabójcy* kryli leżących na stole *rycerza* i *panią* - zaczynać partię przy takim rozkładzie byłoby czystym szaleństwem. Jednak Spryciarz wiedział, iż fortuna podsunęła mu również trzech *nieboszczyków*, a dobrać do nich *strażników* nie stanowiło dla oszusta najmniejszego problemu. Uznał, że warto zaryzykować.

- Patrzcie tylko, kto tu zawitał! - Dick rozpląnął się w szczerbatym uśmiechu. Zanurzył ręce w fontannie, starając się nie zamoczyć mankietów. - Jacobie, jak nic wlałeś w psie gównno, tak?

- Czyścioszek, taka jego mać... - Do Lanza podszedł z drugiej strony nieznany mu niski osiłek w kwiecistej koszuli. - Nie przewróć się, bo ubranko pobrudzisz. A drogie wszak musi być...

- Dobrze się bawicie? - Jacob strzepnął niedbale dłonią. - A kiedy wy robicie tutaj z siebie głupków, jacyś gówniarze obrabiają sobie spokojnie bogaczy.

- Co?! - Dick aż podskoczył. - Gdzie?!

- Bywajcie. — Spryciarz z kpiącym uśmieszkiem ruszył w swoją stronę.

Złodziejaszkwowie dokładnie widzieli, z jakiego zaułka się wyłonił, nie potrzebowali więc dalszych wskazówek. Oszust zauważył bosonogiego malca z kurierską torbą i wysupłał z sakiewki miedziaka.

- W uliczce za gildią stolarzy jacyś pijacy urządzili bójkę na noże. Zawołaj prędko straż.

- Lecę! - Chłopczek zręcznie przechwycił monetę i pędem rzucił się wypełnić polecenie.

Zadowolony z siebie, Spryciarz odprowadził go spojrzeniem, a potem ruszył ku niedalekiemu nabrzeżu. Przebiegnąc przez drogę, o mały włos wpadłby pod kopyta koni zaprzęzonych do zamkniętej karety. Ani herbów, ani znaków cechowych na jej drzwiach nie dostrzegł, a stangret budową ciała przypominał cyrkowego zapaśnika. Moze właśnie ta groźna postać albo wyczucie, które już nieraz ratowało oszustowi skórę, sprawiło, że powstrzymał cisnące się na usta wyzwiska,

Zaiste, intuicja Spryciarza nie zawiodła. Kareta już dojechała do połowy mostu, kiedy drzwi raptem uchyliły się i na zewnątrz wypadł jakiś mężczyzna w szarym surducie. A kiedy stangret zatrzymał pojazd, leżącego na bruku nieboraka dopadł rudowłosy młodzieniec.

Sebastian Mart! Spryciarz poczuł, jakby ktoś kopnął go w podbrzusze. Dawnego bliskiego

współpracownika czciwego Osho nie widziano w stolicy od kilku lat. Jacob od razu zaczął kombinować, czy nie udałoby się czegoś zarobić na tej nieoczekiwanej informacji. Nie na darmo Kościwórz groził, że rzuci tego człowieka na pokarm rybom. Oj, nie na darmo...

Tymczasem z karety wyskoczył człowiek z rozbitą twarzą i próbował chwycić Sebastiana za ramiona. Rudy natychmiast odwrócił się i trzasnął nieszczęśnika dwa razy w głowę. Stangret zeskoczył na ziemię i próbował wykorzystać sytuację, ale nic z tego. Mart uchylił się przed ciosem, potem uderzeniem ciężkiego buta podbił atakującemu kolano, a na koniec pozbawił go przytomności paskudnym uderzeniem w uszy.

Spokojnie obszukał wciąż nieprzytomnego mężczyznę w szarym surducie, uśmiechnął się z jakiegoś powodu, podrzucił w dłoni sakiewkę i poszedł. Na znieruchomiałego Jacoba nawet nie spojrział.

W głowie Spryciarza od razu zaczęły się tasować karty, ale w uzyskaniu pożądanego rezultatu przeszkadzały dwie rzeczy: skąpstwo Osho i pamiętliwość Marta. Parę dukatów Jacoba nie zbawi, a perspektywa zaliczenia się w poczet wrogów rzezimieszka, który bez zmruczenia oka łamie ludziom ręce, nogi, a nierzadko zabija, jakoś oszusta nie nęciła.

Ominął pośpiesznie stojącą na moście karete, po drugiej stronie skręcił w wychodzącą na brzeg uliczkę. Minął parę domów otoczonych wysokimi ogrodzeniami, zatrzymał się, rozścielił chustkę i usiadł na górnym stopniu schodków prowadzących do kancelarii zakonników. W narożnym domu po drugiej stronie ulicy oprócz koszar Straży mieściło się też biuro oddziału departamentu śledczego. Spryciarz był pewien, że uratowaną przed bandytami parkę przyprowadzą właśnie tutaj.

II

Przyszło mu długo czekać. Nie tracił jednak czasu na darmo - rozmyślał, jak najlepiej zacząć rozmowę. Nic oryginalnego do głowy jednak mu nie przychodziło, dlatego kiedy z biura wyszli wreszcie młodzi ludzie, z urzekającym uśmiechem ruszył im na spotkanie i powiedział z porażającą szczerością:

- Rad jestem, że widzę was w dobrym zdrowiu!
- Jest pan podły! - powiedziała dziewczyna głośno. - Jak woźna odmówić pomocy w nieszczęściu?
- Proszę o wybaczenie mi tego niegodziwego postępu. - Lanz pochylił głowę, nawet nie udając skruchy. - Oczywiście, powinienem zupełnie bezbronny rzucić się na ratunek pięknej damie i zginąć bohatersko w nierównej walce. Tylko czy komuś by to pomogło? Na pewno nie wam. Jeśli uważa pani, że strażnicy postanowili zajrzeć do tego zaułka zupełnym przypadkiem, pani...
- Wiktorio. Dziewczyna speszyła się na chwilę pod naporem przemowy czarującego oszusta. - To mój kuzyn Nikolas, jesteśmy z Dragarnu.

- Bardzo mi miło. - Łowca ukrył uśmiech, ani przez chwilę nie wierząc rozmówczyni. Wiktorio i Nicolas? Akurat! Dragarn? Wątpliwe. Pochodzili raczej z jakiegoś małego państewka na północ od Stilgu. Na pewno nie z Marny lub Dowless, ale na przykład z Tyrosu albo Aserkii. - Pozwólcie, że się przedstawię. Jacob Lanz.

- Czy przyjmie pan zaproszenie na obiad? - Chłopak wyciągnął do niego rękę. W starciu z bandytami zyskał podbite oko, guza na czole i porwany kołnierz kaftana. - Zatrzymaliśmy się „Pod Czarnym Czółnem”.

Z ogromną przyjemnością! - odrzekł Spryciarz. Powodem takiej propozycji było zapewne to, że młodzi ludzie nie mieli przy sobie gotówki. Nie byłoby im przecież na rękę iść przez pół miasta do tawerny, ale biorąc pod uwagę posiniaczoną twarz i podarte odzienie Nicolasa, nikt nie zechciałby im wydać czegokolwiek na kredyt.

* * *

Jacob wyskoczył pierwszy z wynajętego powozu, podał rękę Wiktorii i pośpieszył otworzyć przed nią drzwi tawerny. Sala obiadowa była pusta, ale z kuchni dochodził apetyczny zapach pieczenia, co przyprawiło zgłodniałego oszusta o ssanie w żołądku.

- Nikt o nas nie pytał? - zagadnął Nicolas zamiatającą podłogę służącą.

- Nikt, panie. - Obejrzała się i jęknęła cicho na widok obitej fizjonomii młodego mężczyzny - Zaraz pobiegnę po lekarza!

- Nie warto - powstrzymał ją chłopak.

- Kto panu to zrobił? - Karczmarz wyjrzał, słysząc głosy. - Lisa, pošlij Pierrota po strażników!

- Nie trzeba! - Nicolas machnął ręką, rozdrażniony. - Już rozmawialiśmy z kim trzeba. To nic poważnego...

- Idź się przebrać - zaproponowała Wiktoria i poleciła gospodarzowi: — Proszę nakryć narożny stół dla trzech osób.

- Nie chcę nadużywać gościnności... - Spryciarz ruszył do wyjścia. Dopiero teraz zwrócił uwagę na to, że dziewczyna nie nosi żadnej biżuterii. Czyżby rabusie zdążyli ją zabrać? Nie, niemożliwe. Jacob doskonale wiedział, jak dokładnie stołeczne rzezimieszki oskubują ofiary. - Nie chciałbym was objadać...

- Proszę się nie niepokoić! - Wiktoria machnęła lekceważąco ręką. - Mamy tutaj pełne utrzymanie.

- A jednak pozwólcie się pożegnać - nalegał Lanz. - Jeżeli będziecie potrzebowali kiedykolwiek pomocy, zawsze możecie na mnie liczyć.

- To dla nas krępujące, że nie możemy się odwdzięczyć należycie - powiedziała zmartwiona dziewczyna. - Chcieliśmy tutaj poczekać na przyjazd przyjaciół, ale jak nie dziś, to jutro będziemy musieli opuścić miasto.

- Wracacie do Dragarnu?

- I?

- Poszły w ruch noże, dwóch od razu poranili, jeden próbował umknąć, ale akurat nadbiegli strażnicy. Nikt nie zdołał uciec.

- Aresztowali ich? - uściślił Spryciarz.

- A może przynajmniej zamówimy wino? — zaproponowała dziewczyna, widząc zamyślenie oszusta.

- Tak, oczywiście! - ucieszył się Nicolas. — Podają tutaj różowe z Tyrosu. To wspaniały trunek.

- Tak między nami... - powiedział Spryciarz cicho, pochylając się do ucha młodzieńca i oglądając na gospodarza.

- Nie warto tu zamawiać różowego z Tyrosu.

- Dlaczego? W dzisiejszej karcie ono jest najdroższe.

- Dlatego, że zamawiają je wyłącznie nowobogaccy, chcący zabłysnąć oraz złodziejaszki, chcące uczcić udaną kradzież — odparł Lanz. — To znaczy, że zamawia się je rzadko i kwaśniej.

- To co by pan polecił? - zwałpiał Nicolas.

- Nie znam się na winach. - Spryciarz spojrział na wchodzących do tawerny ludzi i starł uśmiech z twarzy. - Naprawdę powinienem już iść.

- Pani Wiktorio. - Mężczyzna około trzydziestoletni skłonił się dwornie dziewczynie.

Miał na sobie drogi kaftan, pas ze srebrną sprzączką, modne ostronose pantofle, w dłoniach dzierżył kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony długim, białym piórem. Na jego palcach błyszcząły złote pierścienie. A przy tym chodził niczym źle wykonana marionetka.

- Moje uszanowanie, mistrzu Nicolasie... - dodał, widząc młodzieńca.

- Nasz wspólnik w interesach, Mark Sliga - wyjaśnił Nicolas cicho, widząc pytające spojrzenie Spryciarza. - Zamierzamy razem jechać do Dragarnu. Ma tam sprawy.

- A nie rozsądniej by było poczekać na przyjaciół? - Jacob zmarszczył brwi.

- Rozsądniej - westchnął chłopak. Powinni zjawić się lada dzień, ale czas nas goni.

- Hej, gospodarzu! Różowego tyroskiego! - zarządził towarzyszy Marka Silgi. - Nie zapomnij o kielichach!

Spryciarz mrugnął na pożegnanie do Nicolasa i wyszedł z tawerny. Na zewnątrz odetchnął z ulgą. Marek Silga jako wspólnik? O ile Jacob się orientował, ten uchodźca z Nilmary dostarczał połowie domów publicznych w stolicy napitki z przemytu, pozostając poza zainteresowaniem Straży i królewskich

celników tylko za sprawą wysoko postawionych protektorów i - jak powiadano - dzięki opiece tajnej służby.

Jedno cieszyło: ani Mark, ani jego towarzysz nie mogli znać twarzy Spryciarza.

I jeszcze to, że wyciągnięta z talii karta *opętanego* nie wpływała na wynik partii. Przynajmniej na razie.

* * *

Poszukując Ronniego Atramenta, oszust postanowił na początek zajrzeć do „Żołnierskiego Kubka”. Trafił w środek tarczy. No bo dokąd jeszcze miałby się udać po pracy samotny pisarz z przemożnym pociąganiem do trunków i niezbyt wypchaną sakiewką? Tylko tu.

Niedrogie piwo, tanie zakąski i odpowiednie towarzystwo już dawno uczyniły to miejsce drugim domem Ronniego, ale dopóki rano nie drżały mu ręce, dopóty przełożonym było obojętne, gdzie i w jaki sposób spędza wolny czas sumienny pracownik. Zresztą, przełożeni sami często przychodzili do pracy z przekrwionymi oczami i bólem głowy.

Niepijący asceci i świętoszkowie w stołecznej Straży tradycyjnie nie mieli czego szukać.

Spryciarz wszedł do zadymionej izby, w której prawie wszyscy goście mieli takie czy inne związki ze służbą państwową. Chwilę stał przy kontuarze, ale niczego nie zamawiał. Kiedy upewnił się, że pisarz go dostrzegł, wyszedł na zewnątrz po skrzypiących schodach i przystanął opodał.

- Postanowiłeś zwrócić dług? — Dobrze już podpity Atrament dogonił oszusta przy bramie sąsiedniego domu. Na jego długich wąsach białała piwna piana. — To bardzo w porę...

- Trzymaj. - Jacob rozejrzał się, zanim wy dobył z sakiewki trzy srebrne marki, ale dał pisarzowi tylko jedną. - Możesz sprawdzić dla mnie coś jeszcze?

- Pewnie to pilne... — Ronnie zsunął czapkę na tył głowy i niepewnie podrapał po łysinie. - Może jutro, co?

- Jak chcesz. — Spryciarz pokazał pisarzowi zaciśnięte między palcami srebrne monety. — Jeśli cię to nie interesuje...

- Mów! — Atrament skrzywił się paskudnie, ale nie zamierzał rezygnować z możliwości zarobku.

- Do biura departamentu śledczego za Sokolniczym Mostem przywieziono dzisiaj dwoje cudzoziemców, młodzieńca i dziewczynę. Z wyglądu to szlachta. Chcę wiedzieć, jakie przedstawili dokumenty podrózne.

Atrament zastanowił się.

- Będą wydatki. Papiery pewnie już poszły do archiwum.

- Wystarczy? - Jacob dodał pół marki. - Tylko na jednej nodze!

- Co za ludzie są teraz... - zaburczał pisarz, chowając monety. — Piwa nie pozwolą dopić...

- Pośpiesz się. - Lanz spojrzał wymownie na ciemniejszą niebo.

- Czekaj na moście. - Atrament otarł pianę z wąsów i poczłapał z powrotem do szynku.

- Długo? - rzucił za nim Jacob.

- Archiwista dzisiaj trochę przesadził. - Pisarz obejrzał się z uśmiechem. - Jak go dobudzę, to pójdziemy...

* * *

Atrament dotarł do mostu już po zmroku. Wzdłuż nabrzeża do tego czasu rozciągnęła się migocząca pomarańczowymi odblaskami wstążka zapalonych na noc latarni, a podwórza i zaułki objęła we władanie ciemność.

Strażnicy zaczęli się rozchodzić po rewirach, a czcigodni mieszczanie przeciwnie: śpieszyli, aby opuścić ulice, które o tej porze bywały mało przyjazne. Spryciarz nie obawiał się zainteresowania ze strony stróżów porządku, ale długie oczekiwanie mocno go zmęczyło. W dodatku przez cały dzień nie zdążył przekazać rubinów w odpowiednie ręce, a to mogło skutkować poważnymi nieprzyjemnościami.

- No? - Zeskoczył z kamiennego ogrodzenia, kiedy Atrament, rozglądając się na wszystkie strony,

próbował dostrzec w gęstniejących ciemnościach czekającego oszusta.

- Aleś mnie nastraszył, zarazo! - Tęgi pisarz przyłożył rękę do serca. - No dobrze, słuchaj. Ze szlachetnie urodzonych przyprowadzono dzisiaj tylko dwoje. Weronikę Lannick i Nicolasa Donnicka. Dziewczyna jest z Tyrosu, chłopak z Aserkii.

- Kim są? - spytał Jacob czujnie.

- Na zdrowy rozum, za takie wieści powinieneś zapłacić jeszcze parę marek. - Ronnie pociągnął nosem. - Ale Święci z tobą, rozliczymy się następnym razem.

- Rozliczymy się, rozliczymy - rzucił Lanz niecierpliwie. - Mów wreszcie!

- Nie wiem, po co ci to potrzebne, ale pani Lannick jest córką tyroskiego księcia Franza III. Lannick ona jest po ką-dzieli. Chłopak to jej dalszy kuzyn.

- A czegoż to jej wysokość szuka w Stilgu?

- Pobiera nauki w stołecznym klasztorze Świętej Teresy — wyjaśnił pisarz i z miejsca zaczęło mu się śpieszyć. — No, pora na mnie, muszę uciekać. - Odszedł na parę kroków, ale dodał jeszcze przez ramię: - Aha! Archiwista mówił, że przychodzili ludzie z tajnej służby, też się interesowali tą dwójką. Tak że zapomnij, kto ci wyświadczył tę małą przysługę, zgoda?

- Oczywiście.

- No to znakomicie.

* * *

Bulwar Pieniężny, podobnie jak większość innych uliczek starego miasta, otrzymał nazwę nieprzypadkowo. Właściciele kantorów wymiany, lombardów i lichwiarze od bardzo dawna upatrzyli sobie tę cichą uliczkę, z której do głównego placu Akrai szybkim krokiem było najwyżej pięć minut. Wspólne utrzymywanie ochrony również okazało się o wiele tańsze, niż gdyby każdy miał płacić osobno, a sam bulwar uchodził za najspokojniejsze miejsce w stolicy. Ani żebraków, ani złodziejasków tutaj nie dopuszczano.

Spryciarz dotarł do sklepu czcigodnego Ivo Talansa przed samym zamknięciem. Rośli wartownicy właśnie zakładali na okna masywne dębowe osłony. Jacob mruknął coś przypominającego powitanie, po czym wszedł do środka i bez słowa klapnął na krzesło, stojące przed ladą właściciela kantoru.

- Tak-tak-tak! - Szczupły starzec odsunął plik papierów, zmrużył zmęczone oczy i spojrzał na przybysza. - Patrzcie no, narody, któż to do nas zawitał!

- Tylko nie mów, że dobrze mnie widzieć - burknął Spryciarz, w głębi duszy nie cierpiący gospodarza za nieustępliwość i ostry język. Nie cierpiał go, ale jeśli się tylko dało, właśnie z nim załatwiał sprawy. Uczucia uczuciami, a tak pewnego partnera w interesach ze świecą szukać.

- Nie powiem, bo tak nie myślę. - Stary spowaźniał. - Co cię sprowadza? Nie, czekaj, sam się domyślę. Chcesz mi wcisnąć rubiny?

- Jakie znowu rubiny? - Lanz spojrzał na gospodarza spod zmarszczonych brwi.

- Te same, za które już ponoć kazali z ciebie pasy drzeć. - Gospodarz mrugnął porozumiewawczo. — Wybacz, ale tak gorącego towaru nie wezmę.

- To jakieś bzdury. - Spryciarz wzruszył ramionami. - Pierwsze słyszę.

Rzeczywiście, przyszedł do Talansa z zupełnie innej przyczyny. Stary był prawdziwą skarbnicą plotek i pogłosek. Jeśli całe życie masz do czynienia z drogocennymi metalami, koniecznie musisz nadstawiać ucha. Pograniczne konflikty, zawiązujące się i rozpadające porozumienia, blokady handlowe i podwyżki ceł, gry polityczne następców tronu i nawet upadki domów bankierskich - to wszystko w ten albo inny sposób może się odbić na wartości złota, srebra czy miedzi.

- Mów w takim razie, czego chcesz. - Ivo Talans nie uwierzył oszustowi.

- Opowiedz mi o Tyrosie.

- Co dokładnie cię interesuje?

- Sam nie wiem. Czy ostatnio stało się tam coś nadzwyczajnego?

Przecież starsza córka księcia Tyrosu nie mogła opuścić kraju bez naprawdę ważnych powodów.

- Po co ci to? — spytał stary, jak zawsze wszystkiego ciekaw.

- Nieważne.

- Dla mnie może być ważne.

- Ustalmy, że w rewanżu następnym razem dowiem się czegoś na temat, który będzie dla ciebie

naprawdę istotny - odparował Spryciarz.

- Niech ci będzie. - Gospodarz rzeczywiście często korzystał z podobnych usług Lanza. - Przewrót tam był w poprzedniej dekadzie. Ciekawi cię to?

- Opowiadaj. - Jacob poczuł narastający niepokój. Stawki w grze poszły ostro w górę.

- Otruto księcia. Jego młodszy brat oskarżył o morderstwo następcę tronu i bez zwłoki wysłał go na szafot.

- Kto jest następny w kolejności do stolca? — Lanz mimo woli oblizał wyschnięte wargi.

- Córka. Chodzą słuchy, że przebywa w Stilgu. Uczy się.

- Zajmujące. - Spryciarz uśmiechnął się. - Wychodzi, że jej wujaszek ma spore kłopoty?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielkie. - Stary wstał z krzesła. - Myślisz, że stary księżę ot, tak sobie wyprawił dziewczynę do Stilgu? Tajna służba na pewno umie się o nią zatroszczyć. Jeżeli rozumiesz, o czym mówię...

- A jeśli korona nie zechce rozgrywać tą kartą?

- Po kądzieli następczyni pochodzi ze starogórskich Lannicków, a ci są w łaskach króla Aserkii. Mogą zechcieć odkroić sobie słuszny kawałek pieczeni. Chociaż, jeżeli Lens ruszy na południe, a na pewno to zrobi, Aserkia nie będzie mogła się zajmować sąsiadami. - Stary wsiadł już na ulubionego konika i nie zauważył, że Jacob stracił zainteresowanie jego przemową. — Do tego ludzie gadają, że Dowless może lada dzień ogłosić neutralność, a wtedy całkiem zapomną o Tyrosie. Zapowiada się wojna z heretykami, jeśli nie zauważyłeś.

- Aserkia, Aserkia... - Spryciarz w zadumie pokręcił główką cynowej szpilki, wetkniętej w mankiet. Przyszło mu do głowy, że w trwającej rozgrywce bardzo się przyda talia znaczonych kart. - Słuchaj, Ivo, chciałbym, żebyś coś dla mnie zdobył...

III

Szynk „Pod Podartym Żaglem”, którego zaplecze wychodziło na jeden z kanałów, Jacob Lanz odwiedził niedługo przed północą. Przy czym właśnie o tej późnej godzinie nie bardzo lubiący jasną porę mieszkańcy stołecznego dna dopiero zaczynali żyć pełną piersią, więc w izbie było ciasno.

Spryciarz przeszedł z ważną miną obok stojących na dworze wykidajłów. Podeszedł do wypolerowanej niezliczonymi łokciami lady i zamówił piwo.

- Opijasz? - spytał dobrodusznie lysisz szynkarz. - Nie dziwota, takiego powodzenia grzech nie uczcić.

- Zmówiliście się, czy co? - Jacob zakrztusił się piwem. - Żebyś wiedział, plotki o moim niesłychanym wzbogaceniu są bardzo mocno przesadzone. I dość o tym.

- Ty wiesz lepiej. — Łysy zaczął wycierać miskę brudną ścierką i wskazał siedzącego przy stole opodal byczka. - Marty o ciebie pytał. Ma ponoć sprawę.

- Dzięki, Zak. — Spryciarz chwycił z tacy drugi kubek i poszedł do osiłka, którego nie przezywano płaskomordym tylko z uwagi na jego imponujące gabaryty.

- Siadaj. — Marty poklepał dłonią miejsce obok siebie i chwycił postawione przez Jacoba piwo.

- Czego chcesz? — spytał oszust.

- Nasze strony odwiedził majętny człowiek. - Marty rozejrzał się i ściszył głos. - Chciałby pograć w karty. Sam nie mam tam czego szukać, ale we dwóch moglibyśmy...

- Kto to? - przerwał mu Jacob.

- Nie wiem. Powiadają, że ma jakieś związki z najemnikami. Werbownik czy coś takiego.

- I po co mu to, skoro taki bogaty? - zaniepokoił się oszust. - Werbownicy zazwyczaj nie grają.

- Na północy jest niespokojnie — odparł byczek i łyknął piwa. — Im więcej zwerbuję naszych oberwańców, tym więcej dostanie prowizji. Ale żeby dopiąć swego, musi mieć trochę brzęczącej monety.

Temu posmaruje, tamtego spije... Wiesz przecież.

- Ale kto mnie weźmie do gry z taką ważną personą? - uśmiechnął się Spryciarz.

- Na razie goli wszelaką drobnicę. Wczoraj w „Złoty Lwach” Wiktora Dachó i braci Ville ograł na dziesięć dukatów. - Dzisiaj Świstak i El Rouche obiecali mu kompanię załatwić. No i ja jestem w grze...

- Powodzenia. - Lanz znów się uśmiechnął i zaczął wstawać, ale Marty natychmiast pociągnął go za rękaw i posadził z powrotem.

- Czekaj! - wyszeptał. - Wszyscy wiedzą, kim jesteś, będą ci na ręce patrzeć, a ja już karty jak trzeba potasuję. Ja! Kiedy zakaszlę, podnoś stawki.

- Dasz radę? - spytał Jacob.

- Wygrana na pół. - Byczek wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dopij i idziemy...

* * *

W tylnej izbie szynku, w której zazwyczaj odbywały się karciane rozgrywki dla ważnych gości, na razie panował półmrok. Nikt jeszcze nie zapalał świec w stojących dookoła stołu kandelabrach, tylko pod sufitem pomrukiwał mikry ogienek lampki.

Tę salkę nadzorował pomocnik szynkarza, znany graczom pod przezwiskiem Leniwiec. Nalany i powolny, miał jednak tak bystry wzrok, że podmienianie kart w jego obecności stanowiło prawdziwą męczarnię.

Nudzący się przy stole gracze też byli Spryciarzowi doskonale znani. Wysoki i łysawy, z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem, ale wciąż jeszcze groźny jak murena Świstak nie należał do poślednich person w stołecznym półświatku. Właśnie masował sobie palce. A urodzony w Pacharcie, smagły i kędzierzawy El Rouche, który zbił majątek na przemyśle pereł, przypraw i haszyszu, sącył jakieś zaprawiane wonnościami wino. Nie byli to zbyt wygodni partnerzy w grze, ale mogło być jeszcze gorzej.

- Jakie stawki? - zabuczał basem Marty, kiedy usiadł przy stole. Postawił przed sobą piwo i podał ręce graczom, którzy po jego wejściu wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Wysokie. — Leniwiec spojrzał na byczka z niechęcią, zapalił smolną szczapę i podszedł do kandelabru. - A piwo... zabierz...

- Jak pan każe, kapitanie. - Marty osuszył kubek jednym haustem i podał go wykidajle.

- Zasady wszyscy znają? — Lanz zajął miejsce naprzeciw współnika.

Kiedy wszyscy pokiwali głowami, spojrzał w stronę drzwi i spochmurniał. Zagląający do sali chudy człowiek w skórzanej kamizelce założonej na ciemną koszulę mignął mu parę razy w izbie jadalnej. Na wykidajkę jednak nie wyglądał, nie był też na pewno spóźniającym się werbownikiem.

- Prawdę mówiąc, nie oczekiwałem, że cię tutaj zobaczę. - Świstak nachylił się do Jacoba i dodał ciszej: - Jesteś pewien, że cię na to stać?

- Aż tak wysokie są stawki? - Oszust zmrużył oczy.

- Dla ciebie bardzo wysokie. - Rzezimieszek wrócił na swoje miejsce.

Lanz nastroszył się i chciał już zażądać wyjaśnień, ale nie zdążył, ho w otwartych drzwiach stanął ostatni gracz. Leniwiec rzucił na stół talię kart.

Jednak teraz gra interesowała Jacoba najmniej ze wszystkiego. Oszust z trudem powstrzymał rękę, która odruchowo chciała podążyć do ukrytej pod wysokim kołnierzem blizny. Nie była głęboka, dawno zamieniła się w cieniutką białą kreskę biegnącą w poprzek gardła i tylko czasem lekkim swędzeniem przypominała o swoim istnieniu.

- Mam nadzieję, że nie zaczęliście beze mnie. - Przybyły obrzucił szybkim spojrzeniem graczy i podał długi płaszcz, chłystkowi w kamizelce.

- Pan jest Gaur Corsa? - Leniwiec zmierzył go zamyślonym spojrzeniem.

- A czekacie na kogoś jeszcze? - Corsa, przy którym nawet Marty nie wyglądał tak imponująco, bez zaproszenia zajął wolne krzesło. - Jeżeli nie, możemy zaczynać.

- Dawno w mieście? - Spryciarz powoli, bardzo powoli i ostrożnie rozprostował palce zaciśnięte na krawędzi blatu.

Wyrzucił z głowy paniczne myśli, żeby natychmiast pluć na to wszystko, zerwać się od stołu i uciec. Nie, jeśli teraz ucieknie, może zniknąć ze stolicy na zawsze. Lepiej już zaryzykować, skoro ryzyko powinno się opłacić stokrotnie. Powinno...

- Witaj, Jacobie. - Werbownik udał, że dopiero teraz rozpoznał oszusta. Mimo okazałej postury, nie był ani trochę ociężały, a uśmiechem i aparycją umiał zjednywać sobie ludzi. Co zresztą chętnie wykorzystywał. — Prawdę mówiąc, nie myślałem, że cię tu spotkam. Jak zdrowie?

- Nie narzekam. — Lanz wzruszył ramionami i z miejsca odburknął: - Widzę, że udało ci się wyjaśnić to nieporozumienie z panem Osho?

- Jak wiesz, zawsze doprowadzam sprawę do końca. - Werbownik nie okazał rozdrażnienia. Popatrzył na graczy. - No cóż, może zaczniemy?

Zwyczaj rozmówcy doprowadzania spraw do finału był doskonale znany Spryciarzowi. Nie tylko ze słyszenia wiedział o pryncypialności Kościwora w kwestiach usuwania ludzi, którzy ośmielili się nadebrać mu na odcisk. Jeżeli po raz pierwszy od dziesięciu lat Gaur Corsa ośmielił się zawitać do miasta, to znaczyło, że naprawdę musiał dojść do porozumienia ze starym wężem.

- Mam nadzieję, że nie muszę przypominać, jakie obowiązują zasady gry? - upewnił się jeszcze Leniwiec. - W takim razie do dzieła.

Na początku Spryciarz grał zupełnie machinalnie. Brał karty, rzucał, blefował w miarę, czasem podbijał stawki, ale najczęściej wolał nie ryzykować. Szelest kart, brzęk monet, rzadkie uwagi graczy, *królowie i nieboszczycy*, półkorony i podwójne marki, *pentakle i halabardy*, *kaci i szubienice*. Jacoba rozgrywka nie wciągnęła, a zresztą w ogóle nie zamierzał całkowicie się angażować. Nie po to wszystko zostało ustalone, żeby w najmniej sprzyjającym momencie dać się ponieść grze.

Jak by nie było, Lanz był wciąż chociaż odrobinę wygrany. Niewiele, ale zawsze. Amatorzy nie mogli mu dorównać przy karcianym stoliku, co odczuł wyraźnie przemytnik, który postawił wysoko, łasy na okazałą pulę. Po chwili El Rouche zaklął, rzucił karty, poderwał się od stołu i wyszedł. Na pożegnanie trzasnął drzwiami z całej siły.

- Nie powinien się tak gorączkować - skomentował z uśmiechem Leniwiec, kiedy odkrył karty przemytnika. Trójka *wisielców*, *szubienica* i *wojownik*.

- Nie powinien - zgodził się Spryciarz, który wyłożył przedtem na stół trzech *rycerzy*, *panią* i *króla*. W myślach podziękował Wszystkim Świętym, że zamiast zupełnie niepasującego do rozkładu *wojownika* El Rouche nie dostał *kata* albo *diabła*.

- Gracie dalej, panowie? - spytał Leniwiec.

- Oczywiście! - Marty zaczął tasować karty. Unikał dużego ryzyka, ale i tak stracił prawie wszystkie przyniesione pieniądze.

Jacob westchnął ciężko, wiedząc, że współnik nie może dłużej zwlekać i z nawyku pokręcił łebkiem szpilki wpiętej w mankiet. Marty rozkaszał się i potarł powieki. Nikogo nie zdziwiło jego zachowanie. Nie dość, że w izbie było duszno, to jeszcze dym ze świec drażnił oczy.

Byczek nie zawiódł. Spryciarz nie zauważył, kiedy zdążył podmienić karty, ale to, co dostał na rękę mówiło samo za siebie - trzech *nieboszczyków*, *pani* i *strażnik*. Dwie ostatnie karty Jacob odrzucił i podwoił stawkę. Werbownik poszedł w jego ślady. Po chwili wahania dołączył do nich Świstak, za to Marty spasował rozsądnie.

- Dokładam dziesięć koron. — Gaur po otrzymaniu dwóch kart przesunął na środek stołu leżącą przed nim kupkę monet.

- Dziesięć i pięć - podwyższył stawkę Jacob.

Na rękę miał karete *nieboszczyków*, co jeszcze nie dawało pewnej wygranej, ale głupio by było nie zaryzykować w takiej sytuacji.

- Więc tak? - rzekł Corsa, kiedy Świstak rzucił karty. - proponuję zagrać o wszystko. Dwieście koron. Co powiesz?

- Według zasad gra na kredyt jest zabroniona - próbował go powstrzymać Leniwiec. - Albo pokaże pan pieniądze, albo nic z tego.

- Nie zamierzamy przecież grać na kredyt — uśmiechnął się werbownik. — Mamy zabezpieczenie. Jacob wie, że oddam, jeśli przegram, a ja wiem, że on nie będzie zwlekał z należnością. Prawda?

- Zgadza się - odparł Spryciarz, czując mimowolny dreszcz.

Przecież właśnie po to tutaj przyszedł. Ale dwieście koron! Tyle kosztowały rubiny, które wyciągnął podstępem od Rudolfa Notty. Inna sprawa, czy Corsa ma takie pieniądze?

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Leniwiec wstał od stołu, ale nie wychodził.

Wszystko było jasne: wprawdzie przepisy gry zostały naruszone, ale właściciel lokalu nie będzie się wzdrygał przed przyjęciem należnej mu części.

- To znaczy, że bierzecie pod uwagę w rozliczeniu tylko wygraną leżącą na stole? - Werbownik natychmiast skorzystał z okazji.

Wykidajły zaburczeli z niezadowoleniem, ale Leniwiec machnięciem tłustej ręki nakazał im spokój. Uwaga Gaura podrażniła go, jednak nie wypadało się wycofać. Reputacja była dla niego więcej warta, niż pieniądze.

- W otwarte karty? - Werbownik pochylił się lekko do przodu.

- W otwarte. - Jacob skinął głową i pokazał swój rozkład.

- Nieźle. - Corsa po mistrzowsku ukrył rozczarowanie.

Sam miał na rękę trzech *strażników*, *szubienicę* i *szafot* Mrugnął do oszusta i zażądał:

- Dla mnie dwie.

- Jedną. - Spryciarz oddał zupełnie mu zbędnego *rycerza*, uspokajając oddech. Czwarty *strażnik* był już odrzucony, a to znaczyło, że werbownik miał znikome szanse na uzyskanie mocniejszego rozkładu.

Marty dał Gaurowi *miecz* i *pentakl*.

Spryciarz z zadowoloną miną odwrócił podaną mu kartę i nie zdołał powstrzymać przekleństwa.

Kareta *nieboszczyków* i *święty*.

Taki rozkład mógł wsadzić psu pod ogon. Jeden z najbardziej bezużytecznych w tej grze. Gaur Corsa znów go pokonał.

Marty wstał, klepnął w ramię przyglądającego się graczom Świstaka i szybko wyszedł.

- Nie udało się, Jacobie? - Werbownik był w wyśmienitym humorze. Kątem oka śledził Leniwca, który liczył pieniądze leżące na stole. - Ale możesz się ze mną rozliczyć, nieprawdaż?

Spryciarz z trudem przełknął ślinę. Od razu przypomniał sobie opowieści o tym, jakoby w tym pokoju była kłapa w podłodze, przez którą wyrzucano do kanału niewypłacalnych dłużników. Żeby i jego tam nie wyprawili...

- Panie Corsa, od pana dwie korony. - Leniwiec podliczył należność.

- Weź z wygranej - polecił werbownik i zatrzymał wstającego Świstaka. - Poczekaj, jest sprawa.

- Co? Nie myśl, że pomogę ci wyłuc pieniądze ze Spryciarza. To nie moja specjalność.

- Mądrzy ludzie poradzili, żebym zwrócił się do ciebie. - powiedział Corsa cicho, kiedy Leniwiec z wykidajkami opuścili pomieszczenie. - Potrzebuję zaufanych ludzi, żeby usunąć pewną ważną osobę.

Jacob odwrócił się, spojrzał na ostentacyjnie czyszczącego nożem paznokcie chłystka w kamizelce i westchnął.

- W stolicy? - spytał Świstak, który nienawidził pracować z nieznanymi. A szczególnie tego nie cierpiał, kiedy sprawa dotyczyła tak delikatnej rzeczy, jak morderstwo.

- Nie, i nawet nie w Stilgu. W Dowless.

- Może być — odpowiedział rzezimieszek po długim namyśle. - Ale oczekuję zapłaty za czas stracony na drogę.

- Oczywiście — odparł natychmiast werbownik.

Odeszli w drugi koniec pokoju i chociaż Spryciarz próbował coś usłyszeć, nie był w stanie.

W pewnym momencie tylko Świstak podniósł głos:

- Piętnastu ludzi? Co ty, zamach stanu chcesz zrobić?

- Nieważne. — Werbownik zerknął na Jacoba. - Sprawa jest poważna, ale i płacę немало.

- Niech będzie.

Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni i Corsa wrócił do stołu. Usiadł naprzeciwko Jacoba.

- No?

- Co „no”? - spytał Lanz.

- Jak zamierzasz się rozliczyć? - Werbownik posłał mu uśmiech.

- Słuchaj, Gaur, przecież nie masz dwustu koron. Ja też. Obaj blefowaliśmy, tylko ty miałeś więcej szczęścia...

- Zamknij pysk i wykładaj kamyczki. - Pomagier Corsy w tejże chwili podszedł z tyłu przyłożył nóż do szyi oszusta

- Jakie kamyczki?

- Czarny woreczek ze srebrnym obszyciem, a w środku dziesięć rubinów - powiedział Gaur. - Dawaj, nie kręć...

- Tylko bez głupstw - uprzedził Lanza chłystek.

- Ostatni raz, kiedy zrobiłem coś głupiego, poderżnęli mi gardło. - Jacob uśmiechnął się z przymusem.

- A ja słyszałem, że dostałeś po szyi, kiedy ostatni raz walczyłeś na noże - uściślił Świstak, oparty ramieniem o framugę drzwi.

- Te dwie rzeczy są ściśle połączone.

Tymczasem stojący z tyłu nożownik oklepał kaftan Spryciarza i wydobył z ukrytej kieszeni aksamitny woreczek. Rozwiązał go, przechylił i na stół wysypało się pół garści morskich otoczków.

- A to co ma być?! - wrzasnął werbownik, zrywając się na równe nogi. - Gdzie kamienie?!

- Ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem. — Spryciarz wzruszył ramionami. - To nic osobistego. Nie miałem pojęcia, że przyjdzie mi grać właśnie z tobą. Przy okazji - ile zapłaciłeś temu płazowi, Marty?

- Wymyśliłeś tę całą historię?! - Gaur zamachnął się, ale w ostatniej chwili powstrzymał cios.

- Nie inaczej - potwierdził Jacob. — Notta nie odmówił mi takiej drobnostki...

- Łajdak!

- Rozumiem, że nie masz jednak półtorej setki koron? - westchnął Świstak. - Czyżby tak trudno było uzyskać od zleceniodawcy zaliczkę?

- Dlaczego, jak myślisz, Kościwór zapomniał o obietnicy nakarmienia ryb moją skromną osobą? Co? - warknął Corsa. - Zapewniam cię, że ten stary pyrk nic nie robi za darmo.

- To już twój kłopot. - Świstak opuścił pokój. Przytrzymał jeszcze tylko drzwi i z drwiną rzucił: - Jak się pojawi złoto, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Mój kłopot? - Gaur zgrzytnął zębami i zaczął podwijać rękawy. - Już nie...

- Nie chciałem mówić przy innych - powiedział szybko Spryciarz, wiedząc, że za chwilę zostanie pobity na śmierć. - Mam wiadomość, która jest warta o wiele więcej, niż dwieście koron.

- Wiesz, Jacobie, ja nie jestem zachłanny - wycedził werbownik. - Potrzebuję tylko tych dwustu, a wiadomość możesz sobie wsadzić w...

- Jeśli się nie dogadamy, nic nie zyskasz - oznajmił oszust nieoczekiwanie spokojnie. — Ale za to, co wiem, Osho zapłaci i dwie setki, i trzy...

- Gadaj. - Gaur opanował się z trudem, usiadł na krześle.
- Od razu uprzedzam, że jeśli sam pójdziesz do Osho z tą opowieścią, uzna, że chcesz go naciągnąć na pieniądze. Ale mnie posłucha albo i ciebie, jeśli go poproszę. Mam nadzieję, że się rozumiemy? - Jacob poczekał, aż ostrze zniknie z jego szyi i dopiero wtedy powiedział: - Niedawno w Tyrosie był przewrót...
- Słyszałem — odparł werbownik.
- O tym wszyscy słyszeli. Ale mało kto wie, że córka zmarłego księcia pobierała nauki w jednym ze stołecznych klasztorów. A tylko ja wiem, gdzie ona teraz jest.
- I co nam to daje?
- Jej wujaszek na pewno będzie gotów słono zapłacić żeby pozbyć się pretendenci do tronu. A rodzina po kądzieli odwrotnie, nie miałaby nic przeciwko objęciu władzy przez dziewczynę. Jeszcze masz jakieś pytania?
- Gdzie ona jest?
- Zatrzymała się incognito „Pod Czarnym Czółnem”. Tam ją znają jako panią Wiktorię. Jest z nią kuzyn. Ale trzeba się pośpieszyć, bo tę parkę osacza już Mark Sliga.
- Kto to jest?
- Przemysłowiec. Bardzo ściśle współpracuje z burdelami.
- Wie o niej?
- Nie. Myślę, że po prostu zamierza ją sprzedać sutenerowi. Nie bardzo mógł porwać dziewczynę w mieście, więc zaproponował, że będzie ją eskortował w drodze do domu.
- Powiedz prawdę. - Gaur spojrzał oszustowi prosto w oczy, przekrzywił głowę. — Wymyśliłeś to wszystko przed chwilą?
- Nie mam tak bogatej wyobraźni.
- Dlaczego nie sprzedałeś tej informacji Kościworowi?
- Nie zdążyłem. Chciałem do niego pójść po rozgrywce.
- Znaczący, trzeba Sligę uprzedzić, wywieźć dziewczynę ze Stilgu i sprzedać temu, kto więcej zapłaci? - Corsa potarł w zadumie podbródek. - Jeśli próbujesz mnie nabrać, będziesz umierać paskudnie i powoli.
- Jesteśmy rozliczeni? - upewnił się Spryciarz.
- Będziemy. Jeśli dasz radę wyciągnąć od Osho pieniądze - odparł Gaur. - Pośpiesz się, jutro muszę mieć jasną odpowiedź: tak albo nie. A jeśli będzie brzmiała „nie”, obedrę cię ze skóry. Żywcem.
- Odpowiedź będzie brzmiała „tak”.
- Mam nadzieję. - Werbownik wstał i spojrzał w zadumie na oszusta. - Ach, tak, zupełnie zapomniałem...

Spryciarz nie zauważył błyskawicznego ruchu, nie poczuł nawet uderzenia w twarz. Po prostu przed oczami ujrzał gwiazdy, a potem zapadła ciemność.

Kiedy się ocknął, wypełzł spod stołu, odsunął na bok przewrócone krzesło i zasyczał z bólu, dotykając rozbitego policzka. No cóż, w sumie nic zaskakującego - niektórzy po prostu nie umieją przegrywać.

- Długo jeszcze będziesz się tutaj poniewierał? - Burknął na przychodzącego do siebie z trudem oszusta stojący w drzwiach wykidajło. - Zak powiedział, że jak się obudzisz, masz spływać.

- To bardzo nieuprzejme - mruknął Spryciarz.

Zataczając się lekko, poszedł do wyjścia. Spływać! Też coś!

Właściciel szynku stał za ladą. Na widok rosnącego krwaka na twarzy Jacoba nie próbował nawet ukryć uśmiešku.

- Kieliszek brandy. - Lanz oparł się o blat.

- Jesteś pewien, że cię na to stać? - Szynkarz nie zamierzał sięgnąć po butelkę.

- Zapisz na kreskę - odparł Spryciarz ponuro. Cieszyło go w tej sytuacji tylko jedno: wszystkie zęby miał na swoich miejscach.

- Niech będzie na mój rachunek. - Gospodarz nagle okazał niesłychaną szczodrość. Podał oszustowi szklanę napełnioną do połowy.

- A to niby dlaczego? - zdziwił się Jacob.

- Chłopcy już robią zakłady o to, co dokładnie zrobi z tobą Kościwór za te kamienie. Nie zbiednieję więc,

- A niech cię! - Spryciarz parsknął trunkiem, z głośnym stuknięciem odstawił szklanę i wyszedł. Zakładają się, szczury...

Jacob przystanął przed wejściem do szynku, uważnie lustrując otoczenie, a potem zbiegł po schodkach. Usłyszał niedalekie parskanie koni i natychmiast zamarł. Zbyt późno, za jego plecami już wyrosło dwóch potężnych drabów.

- Pan Osho chce cię widzieć - powiedział jeden, zanim Spryciarz zdążył zrobić coś głupiego.

Z sąsiedniej uliczki wyjechała zaprzężona w parę koni kareta i Lanz klnąc w duchu, skierował się do niej.

- Jacobie, mój chłopczyku... - Chorobliwie chudy starzec, odziany na czarno, przywitał go słodkim uśmiechem. Złożył dłonie na srebrnej gałce drogiej laski. Pan Osho we własnej osobie. - Doszły do mnie niepokojące i nieprzyjemne wieści...

- Nie rozumiem, o co może chodzić - odparł Spryciarz, ściśnięty między dwoma zbrojami.

- Dobrzy ludzie powiadają, że przegrałeś w karty rubiny. Moje rubiny...

- Nie należy słuchać plotek - powiedział Jacob i zmrużył oczy przed nagłym światłem z latarni, wiszącej pod sufitem pojazdu. - Przy okazji, czy moglibyście mnie nie wywozić daleko od „Podartego Żagla”? Mam jeszcze coś do zrobienia.

- To już zależy tylko od ciebie - westchnął Kościwór, gładząc koniuszkami palców ornament na gałce. - Tylko do ciebie...

- To znakomicie. - Spryciarz ściągnął but z lewej nogi, włożył dłoń pod cholewę i wydobył płócienny woreczek. Podał go pracodawcy. - Oto pańskie kamyki, całe i bezpieczne.

- Wiesz, ani przez chwilę w ciebie nie wątpiłem. - Starzec wysypał na dłoń dziesięć drogocennych kamieni, wielkością nie przekraczających paznokcia. Obejrzał wszystkie pod światło, oceniając barwę i szlif. - Przyjdź jutro do sklepu, dostaniesz swoją dolę. Dwadzieścia koron, tak się umawialiśmy?

- Nie inaczej.

- No to zajdź.

- Panie Osho, jutro przyjdzie do pana z pewną sprawą Gaur Corsa. Będzie się powoływać na mnie...

- Chcesz, żebym go zbył? - Kościwór nie oderwał nawet wzroku od klejnotów.

- Wręcz przeciwnie. - Jacob uśmiechnął się. - W obecnym położeniu można go dobrze stuknąć po kieszeni.

- No cóż, wyłuszczaj zatem. — Starzec poczuł zapach złota, zsywał więc kamyki do woreczka i popatrzył na młodego oszusta. Kiedy wysłuchał opowieści, zmarszczył czoło i popadł w zadumę. - Podaj chociaż jedną przyczynę, żebym miał dzielić się zyskiem z tym kołkiem.

- Nasza korona była zadowolona ze zmarłego księcia. - Jacob w myślach przeklinał zachłanność Kościwora. - To by znaczyło, że tajna służba będzie wielce rozczarowana, jeśli dziewczyna wyjedzie ze Stilgu. A gdyby ktoś dowiedział się o pańskim udziale...

- Hm... Tak... Nie byłoby dobrze. - Mimo licznych znajomości we wpływowych kręgach, Osho obawiał się narazić królewskiej tajnej służbie. Skórka niewarta była

- A jak ja się cieszę! - mruknął pod nosem Spryciarz, kiedy go wreszcie wypuścili z karety.

W tej okolicy życie nie zamierało nawet nocą. Jacob usłyszał pijacki śmiech i kobiecy pisk, więc

pośpiesznie ukrył się w cieniu sąsiedniego domu. Wprawdzie w razie potrzeby był w stanie się obronić, jednak nie lubił stawiać spraw na ostrzu noża. Nie zamierzał robić z siebie bohatera, a potem biegać po nastawiaczach kości. To wilka karmią nogi, a szulera palce.

Spryciarz poczekał, aż hulaki przejdą, przebiegł przez ulicę, ale nie podchodził do drzwi szynku, zamiast tego skręcił w następny zaułek. Odczekał, aż oczy przywykną do ciemności i wtedy dostrzegł ludzką postać, opartą o ścianę, podszedł cicho od tyłu, a kiedy poczuł mocny piwny oddech, wyszeptał.

- To tutaj jesteś, sprzedawczyku!

Tylko chlupiące w kiszkach piwsko nie pozwoliło Marty'emu podskoczyć do samego dachu. Ale i tak skok spłoszonego byczka zachwycił jego sprawnością.

- Jacob, gadzino jedna, kiedyś mnie wpędzisz do grobu tymi żarcikami! - Marty przycisnął dłoń do piersi.

- Serce jest z drugiej strony - napomniał go Spryciarz.

- Niech cię diabli porwą! - zaklął osiłek. - Dlaczego się spóźniłeś?

- Miałem rozmowę. — Oszust nie zamierzał niczego wyjaśniać. - Ile ci ta gnida zapłaciła?

- Dogadaliśmy się na dziesięć koron. - Marty sięgnął po sakiewkę. — Ale zapłacił wszystkiego dwie. Powiedział, że oprócz tego, co leżało na stole nic z ciebie nie wydobył.

- Prawdę powiedział.

- Jeszcze mówił, że jak wytrzesie wygraną, to dorzuci resztę.

- No to nastawiaj kieszeń. - Spryciarz uśmiechnął się. - Dawaj moją część.

- Masz. - Byczek dał mu złotą koronę. - Jak będziesz jeszcze czegoś potrzebował, przychodź.

- Oczywiście. - Lanz kiwnął głową, w myślach odkładając kartę *kata*. - I wiesz, Marty...

- Co?

- Moim niewielkim przedsięwzięciem zainteresował się Kościwór... - Wytrzymał pauzę, a potem poklepał towarzysza po ramieniu. - Tak więc, gdybyś wygadał po pijanemu, że namówiłem cię do pomocy w mojej własnej przegranej będzie bardzo rozczarowany.

- Następnym razem dopłacisz mi za taką *marną robotę* - Marty położył nacisk na dwa ostatnie słowa. Potem westchnął i wrócił do „Potarganego Żagła”.

Spryciarz w zadumie popatrzył za nim i spróbował uporządkować myśli. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem, lecz jedna z kart wciąż leżała na stole koszulką do góry. Musi wyniuchać, co Gaur ma zrobić w Dowless, inaczej może się okazać, że wszystkie rozdania zdadzą się psu na budę. Wychodziło na to, że powinien porozmawiać ze Świstakiem.

IV

Rano zaczął padać deszcz. Zimny, przenikliwy, nieprzyjemny. Spryciarzowi zupełnie nie chciało się wychodzić z domu, ale kiedy zegar na placu wybił jedenastą, zwalczył niechęć, narzucił znoszony płaszcz i poszedł załatwiać sprawy. A tych miał zatrzęsienie i nie mogły czekać.

Najpierw poszedł do Świstaka. I chociaż takim poważnym ludziom nie wypada opowiadać o cudzych sprawach, Jacob wiedział, co w zamian zaproponować. Jak to mówią: nic osobistego, zwykła transakcja.

Do nory Świstaka - mieszczącej się na parterze narożnego domu sklepu korzennego - można było dotrzeć szybkim krokiem w dziesięć minut, jednak Lanzowi wystarczyło pięć. Mimo to przemókł do suchej nitki. Wiszące nad stolicą chmury szczerze obdarowywały ludzi przyniesioną z nad morza wilgocią.

Wcisnął się pod daszek ganku, strząsnął wodę z płaszcza i wszedł do środka. Na szczęście Świstak był na miejscu. Zziębnięty, siedział za ladą, grzejąc dłonie o kubek z jakimś naparem. Czyżby kawa? Spryciarz pociągnął nosem. Tak, kawa. I sądząc po aromacie, z dobrą porcją brandy.

- Czym mogę służyć? - Gospodarz nie ukrywał zdziwienia nieoczekiwaną wizytą.

- Tak sobie zaszedłem. - Jacob rozejrzał się. - Kawki zakupić.

- Od kawy zęby ciemnieją.

-Jakoś przeżyję. - Lanz bez zaproszenia usiadł na krześle przed ladą.

- Weź herbaty.

- Lepiej brandy.

- Beczułkę?

- Szklaneczkę.

- Jak sobie życzysz. - Nie wstając, Świstak zdjął z półki graniastą butelkę z ciemnozielonego szkła, wyjął korek i nalał trunku na dno ołowianego kubka. - Czego chcesz?

- Twoje zdrowie! - Spryciarz jednym łykiem osuszył naczynie i wstrząsnął ramionami. - Uch!

Dobrze! A przyszedłem ze sprawą.

- Nie pożyczę pieniędzy.

- A czy wyglądam na bankruta? - roześmiał się Jacob.

- Nie przypuszczam, żeby Corsa tak po prostu darował ci te dwieście koron. A sądząc po twojej gębie, na pewno nie.

- A, ty o tym? - Spryciarz leciutko dotknął podchodzącego już pod oko siniaka. - Nie, z tymi draniami jestem rozliczony

- Skoro cię nie zarznął, może nawet mówisz prawdę.

- Muszę wiedzieć, do jakiego zadania Corsa chciał wziąć twoich ludzi - powiedział otwarcie Jacob.

- Chciał? Już nie chce?

- Owszem. Dogadał się z Osho.

- A dlaczego miałbym z tobą mówić o sprawach Corsy? -Świstak zmarszczył brwi.

- Myślę, że jest coś, co by cię zaciekawilo. - Lanz wzruszył ramionami. - Chociaż nie przybędzie ci od tego złota w worku, ale wydaje mi się równie cenne.

- Co dokładnie?

- Czego Corsa szuka w Dowless?

- Pika, leć no do piekarni! - krzyknął gospodarz w stronę zaplecza. - Jeszcze brandy?

- Odrobinę. - Spryciarz zaczekał, aż nachmurzony pomocnik Świstaka wyjdzie na ulicę, a potem ponaglił rozmówcę. - No...?

- Chcesz narobić Corsie kłopotów? Potrzebne ci to? Minęło przecież dziesięć lat.

- Nie powinien wracać. - Jacob potarł szyję. - Nie chcę, żeby pojutrze znów mnie znaleźli na śmietniku z podciętym gardłem.

- Myślisz, że po tylu latach Gaur zechce wspominać przeszłość?

- A ty byś tak nie myślał na moim miejscu?

- Słyszałem, że poszło wam o kobietę. - Świstak upił łyk wystygłej kawy.

- Bzdura! - odparł Lanz. - Ta flądra była w jego szajce. Łajdak zaczepiał niby porządną dziewczynę, ja wmieszałem się z głupoty i dalej już samo poszło...

- To wszystko?

- Gdzie tam! - Spryciarz westchnął z niewesołym uśmiechem. - Smarkacz ze mnie był wtedy. Z nożami się nie rozstawałem. I lubiłem, niech mnie diabli, puszczać je w ruch. Tak w ogóle, dwóch pociąłem, zanim mnie Corsa ciachnął.

- Miałeś szczęście, że przeżyłeś - mruknął Świstak. -A co to za kotka-niezgódka między Gaurem i Kościworem przebiegła?

- Ta sama przecież. Ten głupiec przecież nie z wielkiego rozumu urządził u Osho bójkę na noże. Jego bandę przez całą dekadę ganiłi potem po mieście, aż wszyscy wyładowali w kanałach. Jeden Gaur miał na tyle rozsądku, żeby wstąpić do wojska.

- A więc to tak!

- Kogo Corsa ma zabić w Dowless?

- Przeora stołecznego klasztoru Wszystkich Świętych. -Gospodarz zakomunikował to jakoś bardzo zwyczajnie. — Jest dobrze pilnowany, dlatego trzeba sporo ludzi. I to takich, których nie żal wydać na pewną śmierć.

- Corsa naprawdę nie pojmuje, że po wykonaniu zadania sam zapłaci gardłem? - Jacob spojrzął z niedowierzaniem na rozmówcę. - W takich sprawach nie zostawia się świadków.

- Jest pewien, że zlecenie usunięcia przeora idzie z samej góry. Nie wiem, czy kłamie, czy nie, ale podobno ktoś z otoczenia księżnej chce się go pozbyć.

- Tym bardziej nie pozwolą, żeby to gdzieś wypłynęło.

- I czart z nimi. Świstak machnął ręką. - Co mi zamierzałeś powiedzieć?

- Sebastian Mart wrócił do miasta. Spryciarz wstał i ze smutnym westchnieniem narzucił na ramiona ledwie podeschnięty płaszcz. - Tak sobie pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Masz słuszość... Masz całkowitą słuszość... Właściciel sklepu popadł w zadumę. Nie rozpowiadaj o tym na razie, dobrze?

- Umowa stoi.

Do „Czarnego Czółna” dotarł tuż po południu. Zajrzał do tawerny, żeby się upewnić, czy pani Wiktoria z. towarzyszem już odjechali, a potem pobiegł poszukać dorożkarza. Do południowej bramy dojechał zbyt późno. Corsa w towarzystwie swego pomagiera i Wiktoria z kuzynem zdążyli już opuścić stolicę.

Jednak, sądząc po bandyckich gębach drabów, którzy klnąc, kłócili się ze strażnikami, aby jak najszybciej wypuścili ich z miasta, Kościwórz już przydzielił werbownikowi piętnastu ludzi na stracenie. Dokładniej, straceńców był tuzin. Stojący nieco dalej Wiktor Brzytwa i Joshua Kirk nie mieli z tymi szumowinami nic wspólnego i wykonywali dla Osho brudną robotę na stałych umowach. Wszystko było jasne - stanowili zabezpieczenie na wypadek, gdyby Corsa zaczął coś kręcić.

Wysłanym na pomoc Gaurowi zbirom udało się wreszcie minąć strażników, którzy odprowadzali ich podejrzliwymi spojrzzeniami. Spryciarz kazał więc jechać na Plac Trzech Kanałów. Tam wpadł do jednego z kantorów należących do Osho, odebrał wynagrodzenie i wrócił do domu. Dwadzieścia koron to suma zbyt wielka, aby rozumny człowiek chodził z nią po ulicach.

V

Drugi raz Jacob zajrzał do „Czarnego Czółna” pod wieczór. Deszcz ustał, ale przez wiszącą nad miastem grubą warstwę chmur zaczęło szybko się ściemniać. Zimna wilgoć mocno działała mieszkańcom stolicy na nerwy, dlatego tawerna była wypełniona do ostatniego miejsca. Nic dziwnego, ponieważ przyjezdni załatwiający swoje sprawy nie mogli odmówić sobie przyjemności przepuszczenia paru miedziaków na jeden czy drugi kubek grzanego wina. Miejscowym psia pogoda również się nie podobała, zatem pozostawiali sklepy pod nadzorem rę-kodajnych i miło spędzali wieczór, niespiesznie sącąc piwo.

Spryciarz nie chciał się rzucać w oczy gospodarzowi, pośpiesznie odszedł więc od drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. Kupcy, mistrzowie i inni przedstawiciele godnych szacunku profesji nie interesowali go, ale skupieni w ciemnym kącie, doświadczeni życiowo ludzie od razu zwrócili uwagę oszusta. Dobra, choć znoszona odzież, oszczędne ruchy, ciche głosy. A na czterech dużych mężczyzn jeden dzban piwa. Robili wrażenie podróżnych, którzy nie przywykli bez potrzeby szastać pieniędzmi, a to znaczyło, że mogli znaleźć o wiele tańsze miejsce na nocleg. Czyżby to byli ci „zaufani przyjaciele”? A może eskorta jakiejś grubej ryby?

Spryciarz zauważył dwóch znajomych strażników, którzy bez wątpienia nie świętowali zakończenia służby, lecz na prośbę właściciela pilnowali porządku. Jacob przyklepił do ust uśmiech i ruszył ku nim.

- Nudzicie się? - Usiadł na wolnym krześle.

Spokojnie jest, cicho. - Wąsaty brzuchacz nie spojrzął nawet na niego, sącąc piwo. Znak Straży Miejskiej przyczepił sobie do kamizelki. - A właściwie było...

Zanim ty się pojawiłeś, Spryciarzu - burknął młodszy ze zbrojnych. Jeszcze nie zdążył naleźćcie utyc.

- Więc wynocha stąd!

- Rozumiem, że nie chcecie zarobić paru marek. - Jacob nie ruszył się z miejsca. W rozkładzie brakowało mu pary *strażników*. Lepiej by było, oczywiście, dobrać *wojowników*, ale i *strażnicy* mogli być przydatni.

- Nie ciekawią nas twoje brudne sprawy - prychnął gruby. - Zjeżdżaj, przeszkadzasz nam.

- Jakie sprawy? - oburzył się Spryciarz. - Co to znaczy? A jak mnie będą chcieli obrabować, nawet palcem nic ruszycie?

- Jeśli będą rabować, ruszymy.

- Właśnie! A ja po prostu chciałbym mieć pewność, że ruszycie, zanim zrobią ze mnie kotlet. Nic takiego, a po pół marki na głowę zarobicie.

- Chciałeś powiedzieć, po marce - poprawił oszusta młodszy

- I pieniądze z góry. - Wąsacz spojrział na kompana z niezadowoleniem.

- Reszta po wszystkim. - Lanz położył na blacie dwie półmarki i pociągnął za rękaw przebiegającego obok chłopca. - Stój no. Ty jesteś Pierrot?

- Tak, panie.

- A nie pytał ktoś dzisiaj o panią Wiktorię i jej towarzysza? - spytał Spryciarz, nie zwracając uwagi na wymieniających spojrzenia strażników.

- Pytali, panie - odparł chłopak. - Nasi nowi goście pytali. Tam siedzą, przy narożnym stole.

- Zuch jesteś. — Oszust wrzucił malcowi do kieszeni fartucha miedziaka i poprosił: - Jak będziesz miał spokojną chwilę, przekaz im, że jestem znajomym pani Wiktorii, dobrze?

- Dobrze. — Ucieszony z napiwku chłopaczek pobiegł z brudnymi naczyniami do kuchni.

- Znow mącisz wodę, Spryciarzu — westchnął ciężko wąsaty. - Zobaczysz, wreszcie się doigrasz.

Wsadzą cię do „Rdzawego Oskarda” co najmniej na dziesięć lat.

- Jeśli współnicy wczesniej cię nie zaszlachtują- dodał młody.

- Trzeba jakoś zarabiać na kawałek chleba. - Lanz wzruszył ramionami. - Ale dość o mnie.

Powiedzcie, dlaczego jesteście tacy ponurzy?

- Nie słyszałeś, czy co? - Gruby podniósł na oszusta oczy znad kubka. - Lens z Norveimem przecież ścięły się jeszcze latem.

- A wam co do tego? - Spryciarz uniósł brwi.

- Też tak myśleliśmy. - Młody pokiwał głową. - Ale dowództwo straszy zbieraniem pospolitego ruszenia. Chodzą słuchy, że wojna i do nas dotrze.

- To jakieś brednie - roześmiał się Jacob.

Wstał i poszedł do lady. Z oczywistych przyczyn nie chciał rozmawiać przy strażnikach z ludźmi, którzy mogli uratować Wiktorię.

Gospodarz oczywiście rozpoznał Spryciarza, nalał mu cydru i wrócił do rozmowy z kupcem, który przyjechał gdzieś z prowincji.

- Mąka znow podrożała...

- Co tam mąka. A wiesz, jak ceny rosną na przyszłe zbiory pszenicy? O ho, ho! - odparł kupiec, mężczyzna w średnim wieku, w ciemnoniebieskim stroju. - Złotem trzeba będzie płacić zimą za chlebek. Złotem!

- Nic nie rozumiem - mruknął karczmarz. - Gdzie trwa wojna? Na północy. A co nam do niej?

Owszem, żelazo podrożało i broń. Ale żeby ceny żywności tak skoczyły?

- Sam pomyśl... - Kupiec upił piwa. - Jakie plony zbiorą w tym roku w Norveimie? Wszystko stratowane albo spalone. A ludzie jeść muszą, wojna nie wojna.

- Myślisz, że spekulanci skupują ziarno?

- Nie tylko. - Prowincjusz zaczął mówić ciszej. - Jeżeli Lens napadnie na Dowless, Aserkia będzie

następna. A Marna znów bezzwłocznie podniesie łapki do góry. Stamtąd zaś do naszych północnych rubieży jak z procy strzelił...

- Nie! - Gospodarz machnął ręką. - Nie dadzą rady!
- Nie znasz chyba heretyków. A ja zdążyłem się napatrzeć na tych wyrodków.
- Chodź, odetchniemy świeżym powietrzem, mój drogi. - Zasłuchany Spryciarz nie zauważył, jak podeszło do niego dwóch byczków siedzących przy narożnym stole.

- Ale mnie tu dobrze. - Jacob nawet nie odwrócił głowy. Pociągnął cydru.

- Chodź, kochaneczku - tchnął mu w ucho osiłek. - Bo jak nie...

- Zanim zrobicie coś nieprzemyślanego... — Lanz zachowywał się, jakby nie czuł przystawionego do boku ostrza. - Radzę spojrzeć na tamtych oburzonych waszym zachowaniem strażników. Jeśli za mnie skażą was na dziesięć lat katorgi, to za tych stróżów prawa zadyndacie na szubienicy. Rozumiemy się?

- Jesteś z nimi? — upewnił się byczek, na którego zarośniętej twarzy widniał łysy paseczek białej blizny. Widok strażników, którzy przyjaźnie zasalutowali kubkami, sprawił, że zgrzytnął zębami i schował nóż.

- To raczej oni są ze mną. Usiądźcie, na stojąco źle się gada.

- Czego chcesz? - burknął nieco drobniejszy i młodszy z dwójki. Mówił z wyraźnym akcentem.

Aserkia.

- Wiecie, czego ja chcę, a ja wiem, czego chcecie wy.

- Ile?

- Kto się tak targuje? - spytał Spryciarz z niesmakiem.

- Mów! - Byczek ze szramą położył na blacie dwumarkówkę.

- Chyba bierzecie mnie za żebraka. - Jacob wyszczerzył zęby, ale monetę schował. - Mogę

powiedzieć jedno: Wiktor z Nicolasem opuścili miasto.

- Śledziłeś ich? - Młodszy mimo woli pochylił się ku niemu. - Po co?

- Może spokojniej, co? - Oszust odsunął go z pewnym obrzydzeniem. - Skoro zainteresowała się nimi tajna służba, to znaczy, że na tej sprawie można nieźle zarobić. Jeśli jeszcze nie zrozumieliście, to właśnie z tego żyję. Rozmawiamy dalej, czy idziecie już sobie?

- Nie zdążyliśmy zajrzeć do kantoru. - Byczek popchnął ku Jacobowi wybitą w królewskiej mennicy Aserkii złotą „łuskę”. — Mów dalej.

- Złoto to złoto. - Lanz ukrył grymas niezadowolenia. Właściwie złota w lekkich „łuskach” było niewiele. Nie to, co w koronach ze Stilgu... - Nic mogli się doczekać na jakichś znajomych, szukali więc godnych zaufania ludzi, żeby wyruszyć do Dragarnu.

- Do Dragarnu?!

- Tak mi powiedzieli. Zapewne skłamali, ale to nieważne.

- Co jeszcze?

- A co chcecie usłyszeć za takie marne pieniądze? - Po otrzymaniu drugiej monety, Spryciarz mówił dalej: - W końcu poznali jednego szubrawca, który zgodził się ich eskortować i dzisiaj rano wyjechali przez południową bramę, Tylko że do Dragarnu nie dotrą...

- Dlaczego?

- Bo szubrawiec ma sprawy w Dowless.

- Gdzie dokładnie?

- Wstolicy. Ollinas, jeśli się nie mylę. - Oszust odpowie dział dopiero o potrzymaniu trzeciej „łuski”. - Nie wiem, co on zamierza: sprzedać dziewczynę do burdelu czy zażądać za nią okupu od rodziny, tak więc powinniście się pośpieszyć.

- Ty gadzie! Żaba ci w pysk! - wysyczał mu w ucho drobniejszy osiłek. - Nawet palcem nie ruszyłeś...

- Ciszej, ciszej, ciszej. - Spryciarz znów odepchnął od siebie byczka. - A co mogłem zrobić? Nawet z wami dwoma bym sobie nie poradził, a ich jest piętnastu, samych zabijaków!

- Piętnastu? - sposepniał osiłek i mimo woli spojrzął w stronę siedzących przy stole kompanów. -

Po co aż tylu!

- Podobno mają jakieś sprawy. - Jacob uważnie spojrzął na rozmówców i machnął ręką. - A, czort z wami! Żebyśmy się rozstali w przyjaźni, za odpowiedź na ostatnie pytanie nic nie wezmę.

- A jakie niby pytanie mamy zadać?

- Zwą go Gaur Corsa. Wysoki, ciemnowłosy, na oko ma ze trzydzieści lat. A teraz wybaczcie, na mnie pora.

Zeskoczył z wysokiego krzesła, podszedł do strażników, którzy obserwowali go podczas rozmowy. Przechodząc, położył na stole srebrną markę i wyszedł.

Był w wyśmienitym nastroju. Partia dobiegała końca i nawet nie wykorzystując do ukrytego w rękawie świętego, udało się posłać śladami Corsy bardzo rozeźlonych i zdecydowanych ludzi. Ludzi, którzy doskonale wiedzą, jak trzymać miecz. I chociaż „przyjaciele” Weroniki tej nocy nie zdołają opuścić miasta, doba zwłoki w żaden sposób nie pokrzyżuje jego planów.

Na zewnątrz znów zaciął drobny deszczyk, ale ani przemoknięty natychmiast kaftan, ani uderzenie pałką w potylicę nie mogły zepsuć humoru oszustowi. Uderzenia nawet nie poczuł, a przytomność stracił, zanim jeszcze przewrócił się jak długi w najbliższą kałużę.

VI

Spryciarza obudziły wstrząsy, okropny ból głowy i straszna suchość w ustach. Z początku nie mógł zrozumieć, gdzie się znalazł, ale potem pojął, że leży pod stertą szmat w krytym żaglowym płótnem furgonie i nieco odetchnął.

Cóż, jadący za Weroniką ludzie okazali się przedsiębiorczy Przypilnowali go przy wyjściu, rąbnęli i zabrali ze sobą. Pytanie tylko, po co? Ale skoro nie zabili od razu, to już dobrze.

Próbując się poruszyć, Jacob bez większego zdziwienia skonstatował, że jest związany. Zaklął pod nosem. Wpadł jak śliwka w kompot! W dodatku napoili go jakimś świństwem. Obrzydliwy smak w ustach wydawał się oszustowi skądś znajomy, a przed oczami wszystko pływało tak, że nie mógł niczego wyraźniej dostrzec w ciemnym wnętrzu wozu.

W tej chwili ktoś odsunął płótno i do środka wtargnęło słoneczne światło. Słoneczne? Czyli był już dzień!

- Ocknąłeś się? - Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w połataną kurtę, zdjął kapelusz i usiadł obok Jacoba. - Dawno już pora.

Spryciarz nie odpowiedział. Uważnie lustrował zebraną w furgonie kompanię. Na towarzyszy ludzi poszukujących Corsy ci tutaj nie wyglądali i Jacob zadrzał pod wpływem złego przeczucia.

Młody ciemnooki chłopak w sfatygowanym ubraniu obcinał paznokcie nożem.

Ładna dziewczyna około dwudziestu lat, w sukni z rozpuszczonym sznurkiem gorsetu zaplatała czarne włosy w długi warkocz.

I wreszcie dobrotliwie uśmiechnięty mężczyzna. Zapewne z tym samym wyrazem twarzy potrafił porąbać człowieka na kawałki. Kogo jak kogo, ale zabójców Lanz spotkał w życiu aż nadto. A przecież jeszcze ktoś powoził furgonem! Sporo ludzi. Całkiem sporo.

- Czemu milczysz? - Wesołek potrząsnął nim. - Powiedz coś.

- Dajcie wody. - Jacob od razu zrozumiał, że nie warto się zapierać w milczeniu, ale musiał zebrać myśli. A i przepłukać gardło też warto.

- Zolie! - powiedział przywódca i dziewczyna natychmiast podała butelkę.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał oszust, kiedy oderwał usta od szyjki. Głowa mu pękała i nie był w stanie zorientować się teraz w rozkładzie kart, by pojąć, czym zaskutkuje ta zmiana.

- To rozumiem, tak jest po naszymu! - zaśmiał się siwy i spojrzął na chłopaka. — Luca, zmień Oriego.

- Ale Jango...! — oburzył się szczeniak.

- Szybko.

Chociaż mężczyzna powtórzył rozkaz nie podnosząc głosu, Luca podskoczył jak oparzony. Odrzucił płachtę, wyrwał na zewnątrz, a do środka wszedł zaraz mężczyzna w spranym zupełnie kaftanie, włożonym na gołe ciało.

- Ocknął się? - Woźnica wskazał oszusta.

- I już śpiewa — odrzekł Jango. - Prawda?

- A powinienem? — Spryciarz skrzywił się, kiedy koło wozu wpadło w dziurę i w karku mu chrupnęło.

- Luca, taka twoja mać! - warknął Orie, który o mały włos nie upadł. — Patrz, gdzie jedziesz!

- O czym tam szeptałeś z łowcami głów i dokąd po tej rozmowie tak zaraz pognali? - Przywódca zaskoczył Jacoba niespodziewanym pytaniem.

- Łowcy głów? — Lanz nie krył zdumienia.

- No tak! - Jango klepnął go w ramię. - Ci ludzie w „Czarnym Czólnie” kim byli według ciebie? Mnichami?

- Może mnie rozwiążecie? - poprosił Spryciarz.

- Może i rozwiążemy - odparł siwy. - A może i nie. Jeśli puścisz te psy za naszą panią, lepiej, żebyś się nigdy nie urodził.

- Za waszą panią? - Lanz zaczął powoli orientować się w położeniu.

- No tak! Za prawowitą następczynią tronu Tyrosu, Weroniką Lannick. Psy uzurpatora!

- Powiedzieli, że zostali wysłani przez jej rodzinę. Ze strony matki. - Oszust zrobił minę pełną zmieszania.

- Podłe kłamstwo! - zirytował się Jango, chwycił Jacoba za szyję i ścisnął. - Oni za miedziaka rodzoną siostrę by sprzedali do burdelu! Ich słowo złamanego grosza nie jest warte! A ty ich puścisz śladem naszej pani!

- Zrobiłem to z najlepszych pobudek! - jęknął Spryciarz, czując szorstkie odciski na spracowanej dłoni mężczyzny. - Schwytali ją!

- Schwytali? - Teraz zdziwił się przywódca. - Kto?

- Przecież on kłamie! - rzucił Orie. - Mówię ci, że kłamie! Próbuje się ratować, pies parszywy!

- A ja mu wierzę - uśmiechnęła się Zolie. - Taki miły chłopak...

- Zamilcz! - warknął siwy na dziewczynę, ale zabrał rękę z szyi Jacoba. - Kto ją schwycił?

- Gaur Corsa, werbownik. — Podduszony oszust łapczywie zaczerpnął powietrza.

- Po co?

- Sprzeda ją temu, kto więcej zapłaci.

- Szakał! - warknął Orie. - Poroniony syn oślicy i parszywego psa!

- Ilu ma ludzi? - Jango zachował spokój. - I dokąd jedzie?

- Jeśli powiem, puścicie mnie? - spytał Spryciarz.

Wyglądało na to, że kiedy leżał napojony usypiającymi ziołami, wywieźli go z miasta, a to oznaczało, że jeśli teraz obiecają uwolnić więźnia, z pewnością zarzną go i wyrzucą z furgonu.

- Czyżbyś tak bardzo chciał nas opuścić? - Zolie zatrzepotała rzęsami.

- Tak łatwo się nie wykupisz. - Tym razem herszt nie zwrócił uwagi na błazenadę dziewczyny. - Pojedziesz z nami i wskażesz tego werbownika. A teraz gadaj, gdzie go znaleźć. Jeśli będziemy się tak wolno wlec, nie damy rady ocalić pani.

- Werbownik ma sprawy w Dowless. — Jacob poczuł wielką ulgę, że kaźń odłożono.

- Gdzie dokładnie?

- W Ollinasie.

- Jeśli skłamałeś, pożałujesz. - Siwy wyjął z kieszeni płaską butelkę, zdjął kołpaczek i zmusił Spryciarza do przełknięcia porcji nasennego wywaru. - A teraz miłych snów...

Większą część drogi do Ollinasu Jacob przespał. Kilka razy dziennie wyprowadzano go, aby załatwić potrzebę, a każdego wieczora podawali środek na sen. Dopiero kiedy przekroczyli granicę Dowless, Jango zarządził inne porządki.

Nie bez podstaw przypuszczał, że udało im się nadrobić nieco dystansu do porywacza. Kazał więc Jacobowi usiąść na koźle i obserwować zmierzające w stronę Ollinasu pojazdy.

A żeby Spryciarza nie kusilo, aby próbować jakichś sztuczek, oprócz woźnicy siedział obok niego Luca, który nieustannie bawił się nożem. I patrząc na chłopaka, mającego ogromną ochotę wsadzić mu ostrze pod żebra, Lanz w rzeczy samej odganiał jakiekolwiek myśli o ucieczce.

Do Ollinasu furgon dojechał wczesnym rankiem. Spryciarz gwizdnął z podziwem na widok murów obronnych, na których powiewały żółto-zielone sztandary. Wysokie forteczne budowle i wąskie strzelnice w lekko wysuniętych w stronę fosy basztach robiły ogromne wrażenie. Do miasta prowadził most zwodzony, a na dwa strzelenia z łuku od murów nie było żadnych budynków. Pochylone domki bezimiennego sioła przycupnęły już za tą granicą.

- Z patrzenia nie będzie już pożytku - burknął Jacob i oderwał wzrok od rozwieszanej nad bramą płachty z herbem Dowless - rycerza dosiadającego stojącego dęba wierzchowca. Na tarczy wojownika wyrysowano czarny krzyż. - Jest już w mieście, nie ma innego wyjścia.

- Ale jak go teraz odszukać? - Siwy wszedł do furgonu i zaklął. - Jak, pytam?!

- Znajdziemy - odparł Lanz. Szukanie spadło na jego głowę... - Corsa wyprzedzał nas o dzień, najwyżej dwa. Nie zatrzyma się w karczmie czy oberży, bo jeżeli jeńcy podniosą krzyk, będzie miał problemy ze Strażą. Czyli powinien wynająć jakiś dom - i będzie tam zamawiał jedzenie. A to już jest trop.

- Co zrobimy?

- Na początek popytamy strażników i straganiarzy, czy do tego pięknego miasta nie przyjechał aby nasz serdeczny przyjaciel Gaur Corsa, z którym przez przypadek rozminęliśmy się w drodze. Oszust popatrzył dokoła. — Wysoki, dobrze zbudowany, przecież pamiętacie, jak go opisałem...

- Pamiętamy. — Siwy zasiadł na koźle. Zdążył już dać po łapach paru bezczelnym żebrakom. Orię też nie miał lekkiego życia. Trudno mu było powozić w ścisiku za bramą.

- Wątpię, żeby ktoś go zapamiętał. — Spryciarz nie próbował nawet udawać, że odnalezienie werbownika będzie łatwe. — Ale spróbować nie zaszkodzi. Od razu dowiemy się, gdzie najlepiej wynająć niewielki domek.

- To jasne - przytaknął Jango.

- No i przejdziecie się po jadłodajniach, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zaczął ostatnio zamawiać regularnie jedzenia na wynos dla trojga, czworga ludzi.

Tego, że zbójów Corsa umieścił oddzielnie, Jacob był absolutnie pewien. Wszyscy oni pójdą potem pod nóż, więc nie powinien się w ogóle pokazywać w ich towarzystwie. A Weroniki by nie wsadził do takiej spelunki. Tym bardziej, że przyjezdne rzezimieszki nie unikną przecież starć z miejscowymi bandytami, a strażnicy w każdej chwili mogą wpaść do ich nory.

- Kpisz sobie? - parsknął Jango z irytacją. - Mamy obejść wszystkie karczmy i szynki w mieście? Ale wymyśliłeś!

- Po co wszystkie? - Spryciarz powstrzymał ciężkie westchnienie. - Najpierw dowiedźcie się, gdzie najlepiej wynająć dom. Potem jeden pójdzie odwiedzić właścicieli, a inny obejdzie najbliższe tawerny.

- Dobrze.

Jango uniósł płachtę wymownym gestem, a oszust, cicho klnąc pod nosem, usiadł na dnie furgonu i oparł się plecami o burtę.

Pierwsza na ślad Corsy wpadła Zolie. Podczas gdy Orię i Luca w ślepym zaułku pilnowali wozu i

Spryciarza, ich przywódca z dziewczyną poszli szukać werbownika. Wrócili o zachodzie słońca. Sam Jango był zły i mało rozmowy, ale ślicznotka przyszła nieco spóźniona, promieniejąc radością.

- Gdzie cię biesy nosiły? - warknął z miejsca Orie. - Strażnicy już dawno kazali nam się wynosić! Musimy wprowadzić furgon na dziedziniec jakiejś karczmy!

- Nie złość się, w mieście pełno przyjezdnych, już o was zapomnieli. - Dziewczyna pocałowała woźnicę w policzek.

- Przyjezdnych pełno, ale i strażników jak psów! Powiadają, że wojna idzie. Księżna zwołuje wielką radę.

- Trzeba stąd zmiatać. - Luca splunął na ziemię. - Strażnicy na obcych wilkiem patrzą. Jeszcze się przyczepią...

- Znalazłaś go? — Siwy od razu zauważył uśmiech dziewczyny. - Mów, nie męcz duszy.

- Jeden miły chłopiec w „Pieczonym Węgorzu” zauważył waszego osiłka. Pierwszy raz zjawił się wczoraj wieczorem, wziął prowiantu dla pięciu ludzi. Dzisiaj też zachodził.

- Dla pięciu? - Jango spojrzał ponuro na oszusta.

- No tak, przecież z panią Weroniką powinien być jej kuzyn - wyjaśnił Spryciarz.

- Rzeczywiście... Wiesz, gdzie się zatrzymali?

- Dam radę znaleźć - oparła Zolie. - To jeden z domów nad rzeką. Dom, nie willa, z tyłu jest niewielki dziedziniec. Ciche miejsce.

- Orie, bierz chłopaka, odstawcie furgon do jakiejś karczmy i wracajcie.

- Dobrze.

- Nie zapomnijcie zabrać broni ze skrytki. Będziemy tutaj na was czekać. - Jango podkreślił siwy wąs, spojrzał na Jacoba. - Znają twoją twarz?

- Nie - skłamał Spryciarz. Nawet mu powieka nie drgnęła. - Ale ja też ich widziałem tylko przez chwilę.

-To nic. Pójdiesz z nami.

* * *

Orie i Luca wrócili, kiedy nad ulicami popłynęły odgłosy ośmiu uderzeń dzwonu, płosząc gołębie drzemiące na dachach. Spryciarz rozejrzał się, ale ze ślepej uliczki nie był w stanie dostrzec niedalekiej wieży zegarowej. Mężczyźni z przytęskzonego ciężkiego worka wyjęli przemycone do miasta sztylety. Jango schował broń pod koszulę.

- No dobrze, idziemy.

Udając znudzonego prowincjusza, który już nasycił się atrakcjami stolicy, wyszedł z zaułka i ruszył w stronę górującej nad dachami śnieżnobiałej wieży domu modlitwy. Idący za nim po wyłożonym brukiem placu oszust gorączkowo rozważał, co robić dalej. Jednak w obecnym rozdaniu miał na ręku karty nie pozostawiające wielkiego wyboru.

Niebawem minęli plac, na moście Jacob rozsądnie zrezygnował ze skoku w ciemne, nieznane wody, a następnie Zolie skrzyła w niewielką uliczkę. Dokładniej w ślepy zaułek.

Były tu podwórza na tyłach domostw z zatrzaśniętymi już okiennicami, zbite z desek niewysokie ogrodzenia, kępy krzewów o żółknących liściach. A przede wszystkim żywej duszy w pobliżu.

- Który to dom? - spytał przywódca.

- Z czerwonym dachem - odpowiedziała dziewczyna.

- Zolie, dziecko drogie - nie wytrzymał Orie. - Przecież wszystkie są kryte czerwoną dachówką!

- Przetrzyj oczy. - Nie pozostała mu dłużna. - Na innych dachówka jest trochę brązowa, tylko na tamym całkiem czerwona!

- Luca, przejdź się ulicą - rozkazał Jango. - Jeśli ktoś jest na podwórzu, machnij ręką. I nie wrzeszcz, ilu ludzi. Na palcach pokaż.

- Co potem?

- Pójdiesz nam naprzeciw. Nie rozglądaj się na wszystkie strony, bo wyczują, że ich obserwujesz.
- Dobrze.

Chłopak odszedł, szurając rozdeptanymi butami, a Orie w zadumie spojrzał na oszusta.

- Pójdiesz za nami. - Jango dostrzegł to spojrzenie, tknął Jacoba w pierś gruzłowatym palcem. - Zolie, pilnuj go.

- A co bym miała takiego ślicznego paniczyka nie przypilnować? - Dziewczyna pokazała zęby w uśmiechu i uwiesiła się na prawej ręce Spryciarza, przystawiając mu do boku sztylet. - Mam nadzieję, że nie będziesz nastawał na cnotę bezbronnej panienki?

- Bez obaw... - Lanz odetchnął głęboko.

- Dobry chłopczyk - roześmiała się cichutko Zolie, która straciła w tej chwili dla oszusta cały powab. - Pamiętaj, że nawet małe cięcie wprawi cię na tamten świat.

- Trucizna?

- Nie inaczej. Patrzcie, Luca macha.

- Ile pokazuje palców? - Orie zmrużył oczy.

- Jeden. - Siwy wsunął rękę pod koszulę. - Dalej.

Jacob pokręcił głową, rozglądając się. Wyglądał przypadkowych przechodniów, potem policzył do dwudziestu i pociągnął Zolie za niespiesznie kroczącymi po wąskiej uliczce mężczyznami.

- Czego stoisz? Idziemy!

Dziewczyna mimo woli ruszyła razem z nim, ale w tej chwili spryciarz szarpnął się w tył, jednocześnie wbijając jej w dłoń szpilkę wyciągniętą z mankietu. Zolie pisnęła z bólu, a oszust nie tracąc czasu, skoczył przez płotek, ale zaczepił połą kaftana o sztachetę i runął na ziemię.

- Uwaga! - wrzasnął na całe gardło, jak mógł najgłośniej.

Zaraz potem rozległy się przekleństwa, brzęk tłuczonej zastawy i szczęk oręża. Ktoś krzyknął, ktoś zawył z bólu, a potem obok Jacoba przemknęła uciekająca dziewczyna, za którą wychynęła niezgrabna postać Wiktora Brzytwy. Dogonił Zolie bez trudu, pociągnął ją za warkocz i krótkim krzywym nożem chlasnął po gardle.

- Coś się tak rozłożył?! - ryknął na Jacoba. - Pomóż mi ją zabrać!

Spryciarz pośpiesznie przelazł przez ogrodzenie, chwycił martwą dziewczynę pod ręce i razem z podkomendnym Osho powlókł ciało na podwórze. Czekał na nich Joshua Kirk, ściskając pocięte przedramię.

- A to co za żarty?! - Gaur Corsa ponuro wbił wzrok w oszusta, kiedy trupy zostały już wrzucone do piwnicy, a krwawe plamy przysypane piaskiem dla niepoznaki. - Nie mów tylko, że Kościwór kazał ci nas obserwować!

- Wtedy by nas uprzedził - burknął Wiktor. Grzebał wśród rozbitych naczyń, szukając kawałków sera i salcesonu.

- Właśnie - zgodził się z nim Joshua. Nogą zmiotł kawałki glinianego dzbana pod rosnący przy ogrodzeniu krzak.

- Antoine! - Corsa zawołał swojego pomagiera, tego samego szczeniaka w skórzanej kamizelce. - Przejdź się po ulicy. Jeśli przybiegną strażnicy, naopowiadaj im o pijanicach, którzy urządzili awanturę.

- Już idę.

- Nie wracaj, tylko od razu skocz po ludzi.

- Do kazania jeszcze dużo czasu - zauważył chłopak i starł podeszwą przeoczoną kroplę krwi. -

Dopiero jutro.

- I dobrze! Jeśli świętoszek na radzie będzie gardłował na heretyków, skórę z nas zedra. - Werbownik nie chciał nawet słuchać protestów. — Po wszystkim nie spóźnij się na spotkanie ze zleceniodawcą. Oni tego nie cierpią.

- Nie ma obawy.

- To biegnij. Spotkamy się w zajeździe. - Corsa pchnął pomagiera ku furtce, po czym spojrzął na Spryciarza. - A teraz twoja kolej. Skąd ty tutaj?

- Łowcy głów wzięli mnie w obroty. - Jacobowi nie pozostawało nic innego, jak się przyznać.

- I nas im sprzedałeś - uzupełnił Corsa kwaśno.

- Nie miałem wyboru! - Oszust zamachał rękami. - I tak by się dowiedzieli, czego trzeba, a tak zdążyłem was uprzedzić.

- Zdążył, zgadza się - potwierdził Joshua. - Ledwo wziąłem piwo, jak wpadło tych trzech!

- Niech będzie. — Uśmiech werbownika nie wróżył nic dobrego. - Gdzie są cztery trupy, zmieści się i piąty.

- Czekaj - powstrzymał go Kirk. - Stary lubi i ceni Spryciarza. To trzeba przemyśleć.

- A o czym tu myśleć?! - warknął Gaur. - Przecież to jasne, że chciał swoimi sposobami uprowadzić dziewczynę!

- To po co krzyczał?

- Może nie zamierzali się z nim podzielić...

- Nie kłamie. — Wiktor Brzytwa wyszedł z domu. W rękę trzymał jakieś postrzępione kartki. - Jeden z trupów miał zaszyte pod ubraniem rozkazy szefa kancelarii nowego księcia Tyrosu.

- I co tam jest napisane? - Joshua nawet nie spojrzął na dokumenty. Nie umiał odczytywać klasztorного pisma.

- Rysopis dziewczyny i polecenie usunięcia jej po otrzymaniu wynagrodzenia. - Wiktor podał papiery spoglądającemu z niedowierzaniem werbownikowi.

- Duże to wynagrodzenie? - Kirk oblizał wargi.

- Na pewno nie małe. - Wiktor przeniósł wzrok na opartego o ścianę oszusta. - Na razie zamknijemy go w piwnicy, a potem się zobaczy.

W piwnicy było ciemno i spokojnie, ale Spryciarz nie miał możliwości pomyśleć o swojej przyszłości, niewątpliwie mało godnej pozazdrosczenia. Niebawem z góry zaczęły dobiegać dziwne hałasy, a po pewnym czasie ktoś odsunął ze zgrzytem zasuwę w drzwiach.

- Tutaj jest, wasza wysokość, proszę wejść bez obaw. - Do piwnicy wkroczył z pochodnią w rękę osiłek, którego oszust skądś znał. Wyteżył pamięć, a kiedy sobie uświadomił, z kim sprawa, poczuł skurcz w żołądku. Absolutnie nie było mu na rękę spotkać wysłanych śladem Corsy ludzi z „Czarnego Czółna”. - To świetnie, żaba ci w pysk, że nie trzeba będzie po ciebie wracać do Stilgu.

- Jak pan mógł? - Do pomieszczenia zajrzała Weronika Lannick. Za jej plecami tłoczyło się kilku uzbrojonych ludzi. — Podlec z pana jednakowoż...

- Czasem rzeczy wyglądają inaczej, niż się na pierwszy rzut oka zdaje. - Jacob wzruszył ramionami, zachowując niewzruszoną twarz.

- Czyżby? - Mężczyzna ze szramą na policzku lekko poruszył pochodnią. - A może cię, na przykład, udusimy twoimi własnymi kiszkami albo spalimy żywcem...?

- A za co? - Na oszuście groźba nie zrobiła wielkiego wrażenia. - Uratowałem was, wasza wysokość, przed zbójami w tamtym zaułku, chociaż mogłem nic nie robić. I ustrzegłem przed Markiem Sligą, który ma zwyczaj sprzedawać ładne dziewczęta do zamtuzów.

- Uratował pan i ustrzegł. - Weronika skrzywiła się z odrazą. - A potem uregulował pan mną dług karciany, jakbym była przedmiotem!

- Tego wymagało dobro mojego kraju. - Jacob przeklął w duchu Corsę za długi jęzor. Zaczął zdejmować but.

- Co znowu, żaba ci w pysk? - warknął byczek z pochodnią. - Straciłeś rozum?

-Wiem, że Corsa otrzymał zlecenie zabicia przeora miejscowego klasztoru Wszystkich Świętych - wyjaśnił Spryciarz. - Wielebny nienawidzi heretyków.

- I co z tego?

- Jeśli Dowless ogłosi neutralność, Lens otrzyma pozwolenie na przejście przez jego terytorium do granicy z Aserką i Marną. A przeor chciałby temu zapobiec. Dlatego musiałem podjąć własną grę i posłać za zabójcą waszych ludzi...

- A co ty masz do Lensu? - Weronika zmarszczyła brwi. Nie mogła pojąć, dlaczego ten szubrawiec rozprawia o wielkiej polityce.

- Tak się składa, że jestem w służbie jego wielmożności Michaela Złotnika, naczelnika izby wywiadowczej Aserkii. - Spryciarz oderwał wkładkę i wydobył srebrny półksiężyc, pokryty dziwnymi symbolami. - Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, ale działałem jedynie w interesach Aserkii. Wam nic nie powinno zagrażać.

- Wygląda na prawdziwy. - Osilek wziął znak izby wywiadowczej i przekazał stojącym w drzwiach ludziom. — Co powiecie?

- Podobny...

- Czy nie lepiej byłoby po prostu zameldować o planowanym zamachu? - Weronika Lannick przygryzła wargę.

- Zameldować? A komu?! - Spryciarz przyjął zwrócony emblemat i założył but. — Rozkaz usunięcia wielbego mógł wyjść tylko z najwyższych kręgów.

- Zatłuc by ciebie, żaba ci w pysk. - Mężczyzna z pochodnią spojrzął na władczynię.

Chociaż służył jednemu z najbardziej wpływowych rodów Aserkii, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za zabicie królewskiego szpicla. A jeśli któremuś z jego podwładnych przyjdzie do głowy przysłużyć się komuś innemu i zacznie gadać? Michael Złotnik nie był człowiekiem, z którym można bezkarnie zadzierać.

- Zabierzcie go z moich oczu - rozkazała Weronika z odrazą.

Od razu chwycili Jacoba pod ręce i powlekli przez cały dom, po czym bez ceremonii wyrzucili go na ulicę. Na pożegnanie dostał parę kopniaków. No bo jakże inaczej? Kiedy jeszcze nadarzy się okazja, żeby przetrzepać skórę prawie wszechmogącemu w zwyczajnych okolicznościach szpiclowi?

Ale te niedogodności nie były w stanie zepsuć nastroju Jacobowi, który czym prędzej oddalił się od nieprzyjaznego domostwa. Wprawdzie obrabowali go dokumentnie, pobili i rzucili w błoto, a w dodatku wylądował kawał drogi od Akrai, którą dawno już traktował jak rodzinny gród, ale to było nieważne. Najważniejsze, że zdołał ująć żywy z tej matni.

A pieniądze... Pieniądze zawsze można zdobyć.

I, zupełnie jakby na potwierdzenie tej ostatniej prawdy, Lanz zauważył szulera, który w ruchliwym miejscu rozłożył swój kramik. Kilku naganiaczy zachęcało ludzi, aby spróbowali łatwego zarobku, a czarnowłose chłopaczek objaśniał wszystkim chętnym zasady gry w „trzy karty”. I nawet pokazywał, jak łatwo odszukać wygrywającą *panią*, którą bez wielkiego powodzenia usiłował podmienić zatłuszczonym rycerzem i królem. Bez powodzenia oczywiście do chwili, kiedy w stawce znalazła się jakaś kwota...

- Witam! — Spryciarz podszedł do szulera i poczęstował go szerokim uśmiechem. - Słuchaj, braciszku, nie mam ani miedziaka w kieszeni, zgrałem się do czysta. Może przyjmiesz to jako rękojmię? Nie myśl sobie, to klejnot rodzinny, został mi po mamie. Czyste srebro.

Na zatłuszczone karty miękko spłynął łańcuszek z wisiorkiem w kształcie półksiężyca...

ROZDZIAŁ 6

BIAŁY RYGERZ. ZABIĆ WIELEBNEGO

Miesiąc Świętego Sebastiana Kosiarza

I

Ciężkie ostrze długiego miecza z żałobnym jękiem odskoczyło od krawędzi w porę podstawionej okutej tarczy. Richard York cofnął się szybko przed tracącym tempo przeciwnikiem i sparował atak Jorga, nacierającego z drugiej strony. W ostatniej chwili rycerz zatoczył półkole nadgarstkiem i pozbawiony oręża młodzieniec czym prędzej przeskoczył przez rozciągniętą między kołkami linę.

Lokis został sam na placu boju. Natychmiast uderzył ciężkim półtorakiem na odlew, ale Richard bez trudu uniknął ciosu i tarczą zbił z nóg porucznika.

- Dzisiaj nam się prawie udało - burknął Lokis, kiedy rycerz uderzył go w ramię płazem klingi.
- Podążajcie dalej tą drogą, a za jakieś czterdzieści lat, kiedy będę już stary i schorowany, zyskacie pewne szanse - zaśmiał się Richard, zdejmując hełm.

- Śmieję się, śmieję. — Gwardzista potarł stłuczoną rękę i kiwnął na opartego o tarczę strzelniczą Jorga, który nie mógł jeszcze złapać tchu. - Przynajmniej mały zdołał ci uciec.

- Czyżby? - Rycerz kpiąco uniósł brew, wyjął sztylet i rzucił krótkim ruchem.

Młodzieniec popatrzył z osłupieniem na ostrze wbite o dłoń od jego twarzy, a Lokis zaklął soczyście, po czym ruszył do koszar.

- Na dzisiaj to wszystko, panie York? - zapytał Jorg, odstępując od tarczy.

- Wszystko. — Rycerz wyjął sztylet i schował go do pochwy. - Nigdy nie trać czujności, nawet jeśli ci się wydaje, że walka już zakończona. Inaczej sam przepadniesz i możesz pociągnąć za sobą towarzyszy.

- Dobrze, panie York. - Chłopak kiwnął głową i poszedł po leżący na ziemi miecz. - Przywieźli beczkę piwa od ojca.

- To znakomicie! - Kapitan Gwardii spojrział na wiszące nad wewnętrznym dziedzińcem słońce. — Napijemy się do obiadu.

* * *

Richard obmywszy się pośpiesznie z kurzu i potu, wszedł do jadalni. Stół był już nakryty. Beczka piwa, talerze z serem i wędliną, połowa udźca dzika, chleb z porannego wypieku i warzywa. Nie był to bardzo skromny posiłek, przypominał domowy.

- Dobre piwo.

Z kubkiem w jednej ręce, a kawałkiem sera w drugiej, Richard usiadł na ławce pod ścianą, obok

dziwnie zamyślonego Lokisa.

- Na pewno lepsze, niż nasza brać dostaje zazwyczaj...

- Czemu jesteś taki pochmurny? - spytał Biały Rycerz, patrząc z uśmiechem na zachwyconych podarunkiem barona gwardzistów. Jorg rozlał już resztkę bursztynowego napoju i zmieszany obiecał wyprosić od ojca więcej. - Nie wyspałeś się, czy pokłóciłeś ze swoim kochaniem?

- Co? A nie, jestem zwyczajnie zmęczony - westchnął Lokis. - Mnóstwo roboty. No i ten wielebny...

- Komu poleciłeś opiekę nad nim?

- Latisowi.

- Nie było kłopotów ze strażą wielebnego?

- Byli bardzo zadowoleni - uśmiechnął się Lokis. - Dziwna sprawa. Wszyscy niby coś wyczuwają, ale co, nikt nie potrafi sensownie wyjaśnić. I plotki o wojnie krążą po mieście.

- Tak zazwyczaj bywa. - Richard spochmurniał. - Dopiero jak się coś wydarzy, wszyscy twierdzą, że to przewidywali.

- Jeszcze Castaila rano się ciskał...

- W sprawie wielebnego?

- Aha. Wypytywał, dlaczego wzięliśmy się za jego ochronę. - Porucznik postawił pusty kubek na parapecie.

- A ty co na to?

- A co ja? Do pana go wyprawiłem.

- Pogadam z nim - obiecał rycerz i dopił piwo.

Doprawdy dziwne. Naczelnik tajnej żandarmerii mógłby przyjść prosto do niego. Ale nie przyszedł, nawet kiedy został wysłany. To do niego niepodobne. Też coś czuje? A może wie?

- Kiedy zmieniasz Latisa?

- Jak przyśle kuriera, to go zmienię.

- Bądź ostrożny. - Richard wstał, odstawił kubek na krawędź stołu i poszedł do wyjścia. - Jorg, przekaz ojcu, że niebawem nadejdzie czas złożyć u krawców zamówienie na płaszcz dla gwardzisty.

- Dziękuję, panie York! — Młodzieniec rozjaśnił się z radości.

W rzeczy samej był niezłym szermierzem. Wprawdzie na razie nie dorównywał gwardzistom, ale coś już jednak umiał, nie był jakimś tam chłopcem do bicia. Nie musiał czekać roku na przyjęcie do służby.

II

Na początek Richard poszedł sprawdzić warty przy tylnej bramie, potem przez tajne drzwi wszedł do zbudowanej z pociemniałego kamienia wieży, wspiął się po spiralnych schodach na trzecie piętro i znalazł się niedaleko apartamentów jej wysokości.

- Wszystko w porządku? - spytał gwardzistów, pełniących służbę w komnacie gościnnej. Zawsze zamknięte drzwi do gabinetu były tym razem otwarte na oścież, a dworki ozdabiały pomieszczenie kwiatami.

- Żadnych incydentów - zameldował krótko dowódca warty.

- Panie York. - Dyżurna frejlina oderwała się od robotki. — Jej wysokość chce pana widzieć.

- Dobrze. - Biały Rycerz przeszedł do części sypialnej i odchrząknął. - Wasza wysokość...

- Wejdz, Richardzie. — Solla zaprosiła go do buduaru. Siedziała na pufce naprzeciw wielkiego lustra, a wokół niej krzątała się gromadka służących z pincetkami i pędzelkami.

- Chciałaś mnie widzieć, pani?

- Zostawcie nas - rozkazała księżna i służące w jedne' chwili znikły. Solla wstała, poprawiła suknię i odwróciła się do rycerza, błysnąwszy wielkimi szafirami w kolczykach Ambasador Lensu poprosił o zaszczytowanie go audiencją.

- Tego przecież należało oczekiwać - prychnął Richard.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- A co jeszcze? Ach, tak! Wyglądacie dzisiaj po prostu zniewalająco pięknie, wasza wysokość.

- Łajdak!

- To już jak uważacie. - Biały Rycerz, ukrywając uśmiech, pokłonił się z wyszukaną dwornością.

- Wystarczy tego dobrego! - Księżna wyjęła z rzeźbionej szkatułki naszyjnik i podała kapitanowi.

York zapiął go na szyi władczyni. — Sam chyba rozumiesz, że jesteśmy zmuszeni przyjąć ultimatum Lensu?

- Tak.

- W takim razie dlaczego wysłałeś gwardzistów do ochrony wielebnego Sumliusa?

- A rozumiecie, pani, że zanim będzie można przyjąć warunki stawiane przez Lens, trzeba się pozbyć wielebnego?

- Kiedyś podobne sprawy traktowałeś inaczej. - Księżna zmierzyła rycerza uważnym spojrzeniem.

- Kiedyś nie trzeba było usuwać człowieka, w przypadku którego najmniejsze podejrzenie o celowe działanie może zakończyć się buntem - odparował York, krzyżując ręce na piersi.

- Buntem? Uważasz, że to możliwe? - zapytała Solla.

- Oczywiście. Jeśli weźmiemy pod uwagę, kto jest zainteresowany wznieceniem zamieszek.

- Stilg?

- Ci szubrawcy nigdy nie przystępują do gry bez paru *świętych* ukrytych w rękawie. - Rycerz skrzywił się. - Należy o tym pamiętać.

- Tak, markiz zmartwychwstał bardzo nie w porę. - Młoda kobieta ostatni raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze i wyszła z sypialni. — Mówiłeś, że to nie jest samozwaniec?

- Po koronacji zamieniłem z nim parę słów, kiedy przekazywałem wasze powinszowania. - Kapitan poszedł za władczynią. - To na pewno on, bez najmniejszych wątpliwości.

- Dobrze, porozmawiajmy teraz o czymś weselszym. — Solla odwróciła się do rycerza. — Lens obiecuje nie rozmieszczać wojsk w Dowless.

- Obiecuje... — rzekł z przekąsem Richard, wykrzywiony jak po łyku skwaśniałego piwa.

- W naszym położeniu nie możemy grymasić.

- Ja to wszystko rozumiem - westchnął ciężko rycerz. - Jak powiecie, tak będzie.

- Już powiedziałam. - Solla Aldana Cairon, wielka księżna Dowless, skierowała się do wyjścia. - I niech nas Święci mają w opiece...

III

W gabinecie wisiał gęsty aromat świeżo ściętych kwiatów, dlatego Richard od razu otworzył dwa okna. Księżna przelotnie zerknęła w jedno z licznych luster, podeszła do krzesła z wysokim rzeźbionym oparciem, ale nie usiadła, tylko zaczęła nerwowo gnieść batystową chusteczkę. Zaraz sama się przyłapała na tym zajęciu i rzuciła kawałek materiału na sekretarzyk. Rycerz z obojętną miną założył ręce za plecy, zaczął niespiesznie spacerować wzdłuż ściany, spoglądając od czasu do czasu na portrety wielkich książąt dynastii Cairon.

- Hrabia Kimberly, pełnomocny przedstawiciel Edwarda Drugiego, króla Lensu, w wielkim księstwie Dowless. - Otworzył drzwi i przedstawił gościa gwardzista, który zastąpił mistrza ceremonii. Do polecenia odniósł się bez większego respektu, dlatego pominął około połowy przypisanych etykietą tytułów.

- Wasza wysokość... - Hrabia ukłonił się księżnej, rozsądnie nie zwracając uwagi na to uchybienie. Podał jej niewielką szkatułkę. - Oto pisma uwierzytelniające.

- Ależ po co te ceremonie, panie hrabio - uśmiechnęła się Solla.

Posył spodobał jej się od pierwszego wejrzenia. Wysoki, elegancki brunet przypominał mieszkańców Lensu tylko ostrymi rysami twarzy. Czarne oczy, głębokie, niczym morskie odmęty bardziej by pasowały obywatelowi Dragarnu. Można w nim było wyczuć także wewnętrzną siłę. Siłę, która zmuszała mniej zdecydowanych ludzi do mimowolnego podporządkowywania się tak pewnemu sobie człowiekowi. Tyle

że w gabinecie tacy nie przebywali. - Proszę postawić to na sekretarzyku. Oficjalna ceremonia została wyznaczona na wieczór.

- Jak wasza wysokość sobie życzy.

Ambasador zmierzył uważnym spojrzeniem stojącego pod oknem mężczyznę. Przez chwilę hrabia miał wrażenie, że gdzieś już spotkał tego posiwiąłego człowieka, ale tamten się poruszył i wrażenie znikło bez śladu.

- Kapitan Gwardii Richard von York — przedstawiła Białego Rycerza władczyni.

- Jakże miło widzieć, że mój rodak zajmuje tak wysokie miejsce na waszym dworze.

- O! - ucieszyła się Solla. - Myślę, że znajdziecie sporo tematów do rozmów.

- Nie wątpię w to, wasza wysokość.

Richard York całkowicie podzielał tę opinię - rzeczywiście miałyby o czym rozmawiać z ambasadorem. Oczywiście pod warunkiem, że spotkanie w cztery oczy odbyłoby się w jednym z lochów zamkowych, w katowni. Coś czaiło się na dnie oczu hrabiego. Coś dziwnego i przerażającego.

- Wasza wysokość, wiele słyszałem o urodzie wielkiej księżnej Dowless, ale nie spodziewałem się, jak bardzo te opowieści odpowiadają prawdzie. — Ambasador stracił zainteresowanie obserwującym go badawczo rycerzem, otworzył szkatułkę z czerwonego drewna i podał ją władczyni. W środku spoczywał wisior z wielkim szafirem. - Proszę przyjąć ten skromny dar na dowód tego, jak bardzo pozostaję pod wrażeniem waszej piękności, pani.

- Śliczny! - oeniła wspaniały szlif kamienia księżna. - Jednak coś mi się zdaje, że gdyby nawet pan uznał księżną Dowless za brzydulę, prezent pozostałby ten sam.

- Powiem więcej, wypowiedziałbym te same słowa. — Kimberly zaśmiał się szczerze. - Ale czy zabrzmiałyby tak samo żarliwym i szczerym zachwytem?

- Zachwyt to bardzo miła rzecz, ale szczerść cenię sobie o wiele wyżej — odparła Solla. — Chyba nadszedł czas, abyśmy przeszli do rzeczy. Jestem pewna, że tak wytworny kawaler potrafi przedłożyć propozycje swojego pana o wiele lepiej, niż papier i atrament.

- Obawiam się, że w tym przypadku wytworność i galanteria będą musiały ustąpić miejsca obowiązkowi. - Ambasador skłonił głowę. - Mój pan, Edward Drugi, król Lensu, proponuje zawarcie sojuszu. Nie chce żądać do Dowless wojskowej pomocy, ale prosi o umożliwienie przejścia królewskiej armii przez terytorium księstwa i pomoc w zakładaniu świątyń Zjednoczenia.

- Proponuje? - uściśliła księżna.

- Wprawdzie niezręcznie mi o tym mówić, ale propozycje jego królewskiej mości nie należą do takich, na które można udzielić odpowiedzi odmownej. - Ambasador spuścił oczy z udawanym skrzepowaniem. - Tym niemniej warunki przymierza są dla was bardziej, niż dogodne. Nie będziemy rozmieszczać wojsk...

- Do diabła z Edwardem! - powiedział nagle Richard i dodał z niedobrym uśmiechem. - Rybia krew!

- Jakiś wybór jest zawsze. - Solla obrzuciła kapitana gniewnym spojrzeniem. - Cóż by nam przeszkodziło pójść za przykładem nowego króla Marny?

- Wybór może jest zawsze, ale nie w tym przypadku -rzekł twardo hrabia. - Kazano mi przypomnieć o przysiędze danej przez waszego zmarłego ojca pewnemu pustelnikowi-

- A co panu wiadomo o tej przysiędze? - spytała księżna bardzo cicho i spokojnie, ale ambasador od razu pojął, że od odpowiedzi na to pytanie zależy bardzo wiele.

- Nic — odparł. - Dla mnie to tylko słowa. Bądźcie tak dobra, wasza wysokość, poproście pana Yorka, aby schował sztylet. Nic z nim wielkiego nie wskóra, a mój osobisty krawiec dotrze do Ollinasu dopiero w następnej dekadzie.

- A gdyby mu tak wydłubać oczka? - wyszeptał rycerz, stając za posłem.

- Richardzie! Schowaj tę klingę!

- Jak każecie, wasza wysokość. - Kapitan odszedł do hrabiego. Sam już wyczuł, że tego człowieka nie wyprawiliby do piekła nawet cios w serce. Czy aby na pewno człowieka? Rycerz właściwie nie miał już wątpliwości, że Kimberly jest jednym z Wyższych.

- Dobrze. - Solla popatrzyła na ambasadora w zadumie. - A wie pan, kim był ten pustelnik?

- To wiem, rzecz jasna. - Hrabia nie zamierzał zaprzeczać oczywistościom. — Jestem jednym z tych, którzy nazywają go Żniwiarzem. Dla pozostałych pozostaje Szarym Świętym. — Po wargach ambasadora przemknął cień uśmiechu. - To prorok i najważniejszy komentator jedyne prawdziwego nauczania o Zjednoczeniu.

- Dziękuję panu, hrabio. — Solla skinęła sztywno głową, dając do zrozumienia, że audiencja jest zakończona. — Przemyslimy przedłożoną przez pana propozycję...

- Nie uznajcie tego za zbytnią śmiałość, wasza wysokość - powiedział Kimberly, całując władczynię w rękę - ale czy mogę liczyć na odpowiedź w najbliższym czasie? Jego królewska mość bardzo na to nastawał...

- Dzisiaj zostanie wydany bal na pańską cześć, wtedy porozmawiamy - odpowiedziała księżna uprzejmym tonem. - Jeśli, oczywiście, zechce się pan zniżyć do konwersacji z prowincjonalną brzydulą.

- Brzydulą?! Wasza uroda wręcz mnie oślepia...

- Znam lepszy sposób na oślepienie - mruknął pod nosem odwrócony do okna kapitan.

- Richardzie! - osadziła go Solla, uśmiechnęła się do ambasadora na pożegnanie, a kiedy zniknął za drzwiami, podeszła do oczekującego na cięgi rycerza. - Jakiż pełen galanterii kawaler, nieprawdaż? A i bardzo przystojny...

- Nie w moim guście - burknął Richard, napięty niby zegarowa sprężyna.

- Nie nadymaj się - powiedziała księżna z uśmiechem. - Spójrz na to bez złości! Karty zostały odkryte, gorzej już być nie może.

- Chciałbym myśleć równie pozytywnie. Miałem nadzieję, że ten stary dawno zdechł, a tymczasem podporządkował sobie cały Lens!

- Zdechł? - Solla pokręciła głową. - Tacy jak on nie umierają własną śmiercią. Możesz mi wierzyć.

- A żeby go...

- Wczoraj jest rada, postaraj się do czasu załatwić kwestię wielebnego, dobrze?

- Oczywiście. - Richard otworzył drzwi, obejrzał się i westchnął ciężko. - To nie jest człowiek.

Bądź z nim ostrożna, pani.

- Idzie ci o hrabiego? - Solla przyjęła tę wieść bez większego zdziwienia i zaśmiała się. — Nie musisz się obawiać, wszystko będzie dobrze.

Biały rycerz wyszedł z gabinetu, ale w uszach jeszcze długo mu dźwięczał srebrzysty śmiech księżnej. Tylko co do tego, że wszystko będzie dobrze, nie miał nawet za grosz przekonania.

IV

Wiadomość o śmierci wielebnego Sumliusa przyniesiono Yorkowi, kiedy zebrał w koszarach poruczników i zamierzał wydać rozkazy dotyczące kolejnego wzmocnienia wart. W milczeniu wysłuchał kuriera, zaklął w duchu i z całej siły cisnął o ścianę kubkiem, który akurat był pod ręką.

- Za mną! — Chwyć! z ławy płaszcz i pobiegł do wyjścia. - Ruszajcie się!

Napadu na karete wielebnego dokonano na jednej z głównych ulic stolicy - Dębowym Bulwarze. Zanim na miejsce przybył wściekły Richard, zalaną krwią ulicę otoczyli już strażnicy, a od złotych obszyc na mundurach wysokich urzędników ćmiło w oczach. Jednak Biały Rycerz skierował konia w inną stronę. Zeskoczył na ziemię i z miejsca chwycił za ubranie na piersi niewielkiego człowieka w cywilnym odzieniu, po czym z rozmachem uderzył jego plecami o ścianę domu.

- Jak to się mogło stać?! — wrzasnął prosto w twarz Jurisowi Castaili. — Jak, pytam?! Gdzie patrzyli twoi ludzie?!

- Puść mnie - rzekł naczelnik tajnej żandarmerii, nie podnosząc głosu. Wiedział doskonale, że skoro

Richard stracił panowanie nad sobą, może mu rozłupać głowę nawet na oczach tłumu.

- Niech cię diabli porwą! - Rycerz odstąpił od Jurisa i podszedł do leżących na bruku ciał. - Co się dzieje w tym mieście, czy ktoś może mi wyjaśnić?

- Dowiemy się. — Castaila dogonił go. — Rozumiem twoje uczucia, ale wydaj polecenie, żeby gwardziści nie przeszkadzali moim ludziom prowadzić śledztwa.

- Rozumiesz? Ty?! - Rycerz obrócił się gwałtownie, opanowując z trudem atak wściekłości. — Ktoś ocalał?

- Nic.

- Przekleństwo! - Richard obrzucił palącym spojrzeniem otaczających go ludzi, a strażnicy miejscy mimo woli zrobili krok do tyłu. - Jak to się mogło zdarzyć?

- Na karetę napadło trzynastu ludzi. - Chociaż naczelnik tajnej żandarmerii nie podlegał kapitanowi Gwardii, postanowił nie zaostriąć stosunków z prawą ręką księżnej. - Wskoczyli z zaułka, mieli miecze, sztylety...

- Trzynastu przeciwko sześciu?! - Rycerz spojrzał osłupiały na rozmówcę. - I moi chłopcy nie potrafili wysłać ich na cmentarz? To absolutnie niemożliwe!

- Pięciu miało kusze. Lokisa i dwóch gwardzistów zabili od razu. Jeszcze jeden zdołał się zasłonić tarczą, ale bełt przebił ją na wylot i utkwiał mu w boku - wyjaśnił Juris, przestępując przez ciało jednego z bandytów. — Dziewięciu z tej trzynastki leży tutaj.

- To już jest podobniejsze do prawdy - przyznał Richard i zgrzytnął zębami. - Co dalej?

- Zarznęli wielebnego, stangreta i sługi, dobili swoich, a potem uciekli, zanim zjawili się strażnicy.

- Znaleziono ich?

- Można tak powiedzieć. - Naczelnikowi drgnął policzek. - Na sąsiedniej ulicy pewien szlachcic przyjechał do lichwiarza z eskortą dziesięciu drużynników. A ci rozsiekali morderców na kawałki.

Uznali, że uciekający chcą napaść na ich pana.

- Zaraza! - zaklął rycerz. - Żeby choć jeden ocalał! Dobrze, Jurisie, zróbmy tak. Wytrzęś z tego szlachcica duszę. Nie wierzę zupełnie w takie przypadki, na pewno jest w zмовie z tym, kto zamówił to morderstwo. Postanowili pobyć się wykonawców, jak nic.

- Wytrząśłbym.. - Naczelnik tajnej żandarmerii spuścił wzrok na ubrudzone krwią noski butów. - Tylko że ktoś mu wsadził sztylet pod łopatkę. Chociaż szlachetka nie uczestniczył w tym całym zamieszaniu.

- Rozpoznano napastników?

- Nie ma żadnych tropów. Na pewno przyjezdni, zgodnie ze zbójceckimi obyczajami.

- Zabieram moich - oświadczył rycerz, usiłując nie patrzeć na trupy. Bał się, że jeszcze chwila, a zupełnie straci nad sobą panowanie. Ale i tak przed oczami miał białe płaszcze, zbryzgane posoką. Płaszcze jego gwardzistów. Ciała jego ludzi. - Drużynników przesłuchaj. Może któryś coś widział albo słyszał. Każda wiadomość jest na wagę złota...

- A w ogóle warto? — Castaila zniżył głos.

- Nawet nie myśl odstępować - wysyczał Richard i nakrył płaszczem złożone już na wozie ciało Lokisa. - Teraz to sprawa osobista...

V

Kiedy Biały Rycerz wrócił do zamku, ten przypominał mrowisko, w które wsadzono kij. Wszyscy się krzątali, biegali, zbijali w grupki i szeptali, a potem rozchodzili do swoich spraw. Tylko gwardziści, jak nigdy chmurni i ponurzy nie uczestniczyli w tym zamieszaniu.

Nie zamieniając z nikim słowa, Richard poszedł do sali kominkowej, wziął ze stołu karafkę z nalewką i sięgnął po kielich, ale rozmyślił się. Zgrzytnął zębami, odstawił karafkę, a potem usiadł na swoim ulubionym miejscu i patrzył w ogień.

Miał okrutną ochotę się napić, wiedział jednak, że potem przestanie panować nad uczuciami i będzie

jeszcze gorzej.

O wiele, wiele gorzej. Nie, musiał to przecierpieć. Ukryć w sobie, jak to już nieraz bywało. A potem wystawić rachunek. Z nawiązką.

- Coś poszło nie tak? - spytała księżna, wschodząc do sali w czarnej sukni. Żałoba? No tak, zginął wielebny.

- Wszystko poszło nie tak - odpowiedział, nie odwracając się. - Kiedy znajdę tego, kto zlecił tę rzeź, wyrwę mu wątrobę i każę zeżreć.

- Jakie mogą być następstwa? - Solla obesza stół dookoła.

Wszystko jasne — w pierwszej kolejności sprawy państwowe. Nie czas na uczucia.

- Gdyby nie było tam moich ludzi wystarczyłaby jedna marna pogłoska, żeby miasto zapłonęło niczym stóg siana - westchnął ciężko Richard.

- Nawet gdybyśmy znaleźli winnych? - Księżna przysiadła na skraju krzesła.

- Nawet wtedy. - Kapitan potrząsnął głową. - Ale ludzie wiedzą o zabitych gwardzistach. Na pewno wielu widziało, jak zażarcie walczą. Każdemu, kto by się choć zająknął o naszym udziale w morderstwie, bez wahania poderżnę gardło. Wszyscy od dawna wiedzą, że nie warto ruszać moich chłopców. I to daje nam szansę...

- Tamtym razem mocno przesadziłeś — prychnęła Solla. — Starsi cechów długo nie mogli pojąć, dlaczego z przyczyny jednego jedyne go gwardzisty przewróciłeś do góry nogami całe miasto.

- Spotkałem się potem z nimi i wyjaśniliśmy wszelkie nieporozumienia.

- Mam nadzieję, że tym razem będziesz bardziej dyplomatyczny?

- Ja tak. — Rycerz uśmiechnął się z przymusem. - Ale strażnicy i żandarmi już ryją nosami ziemię. Znaleźć nic nie znajdują, ale narobią sporego zamieszania. Tak trzeba.

- Ty wiesz lepiej. — Słyszając głosy za drzwiami, księżna wstała i odeszła na swoje miejsce.

Kiedy wielmoże wezwani na radę w celu omówienia ostatnich zająć siadali przy stole, Richard rozmyślał, czy któryś z nich nie przyłożył ręki do morderstwa. Potem pokręcił głową i znów zapatrzył się w ogień. Żaden z radców dworu nie śmiałyby zrobić czegoś podobnego bez poparcia ze strony księżnej. A Solla nic nie wiedziała o planowanym zamachu, tego rycerz był absolutnie pewien.

- Ponad tuzin uzbrojonych po zęby bandytów wszczyna walkę w środku miasta, zabija moich gwardzistów, przeora klasztoru... Jak mam to rozumieć? - Władczyni od razu chwyciła byka za rogi.

- Wasza wysokość, dopiero rozpoczęliśmy śledztwo - powiedział szybko Juris Castaila, najwyraźniej spodziewając się takiego pytania. - Ale rzecz jest tym bardziej złożona, że figuranci nie żyją co do jednego, lecz...

- O zabójstwie wielebnego jeszcze porozmawiamy - przerwała mu Solla. — Teraz chciałabym wiedzieć, jak mogła do miasta przeniknąć tak liczna i doskonale uzbrojona grupa. Gdzie wasi ludzie mieli oczy? I ile jeszcze takich band grasuje w stolicy?

- Gdyby się czymkolwiek zdradzili, od razu byśmy ich wzięli w pęta - odparł Castaila. - Ale to przyjezdni najemnicy, opłaceni na to jedno zlecenie. Takich zawsze trudno aresztować, zanim coś zrobią. Jeśli chodzi o drugie pytanie, wasza wysokość, to wraz ze strażą przeczesujemy miasto. W posiadaniu rzezimieszków nie pozostanie nawet nóż stołowy. A i samych przestępców będzie potem o wiele mniej...

- Kto zorganizował zamach na wielebnego Sumliusa?

- Obawiam się, że to może na zawsze pozostać tajemnicą. - Naczelnik tajnej żandarmerii spuścił wzrok.

- Nieprawidłowa odpowiedź. Jakie są jeszcze propozycje?

- Tak przypuszczam, że to mogą być wewnątrzkościelne intrygi - zaczął ostrożnie markiz Vitaila. - Wszyscy wiedzą, iż wielebny Sumlius był człowiekiem niezaprzeczalnie uczciwym i niejednokrotnie wyrażał się bez ogródek o, na przykład, wielebnym Denusie. Który, co chciałbym zauważyć, może teraz liczyć na objęcie godności po zabitym.

- A jeżeli skalany udziałem w tej sprawie wielebny Denius zostanie pozbawiony głowy, kto zostanie przeorem?

- Wielebny Astus z Camlain — odrzekł pierwszy radca. -To człowiek daleki od polityki. Myślę, że znaleźlibyśmy z nim wspólny język.

- Wszystko jasne? - Solla spojrzała surowo na Castailę.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Naczelnik wciągnął głowę w ramiona.

- Skoro sprawę zabójstwa mamy rozwiązaną — księżna nabrała tchu - proszę mi powiedzieć, jak idą przygotowania do wielkiej rady. Nikt nie sprawiał kłopotów?

- Wszelkie kwestie są wyjaśniane w roboczym porządku - zapewnił markiz Vitaila. - Oczywiście w pewnych sprawach może się okazać konieczne wsparcie ze strony fiskusa...

- Nie ma powodów do niepokoju. Jeśli o mnie chodzi, żadnej zwłoki nie będzie. — Nicolas Lauris przetarł chustką łysinę.

- Co jeszcze?

- Wasza wysokość - odezwał się markiz Judolis. - Zaczęły krążyć plotki, że w armii Lensu służą żywe trupy.

- Bzdury! — Solla wykrzywiła wargi w drwiącym uśmiechu. - Nie zdziwię się, jeśli niebawem ludzie zaczną rozpowiadać, jakoby Wyżsi pili krew niemowląt!

- Skoro już mowa o Wyższych - powiedział naczelnny wódz - to mamy wiarygodne informacje, iż brali udział w oblężeniu Nilmary.

- Omówimy to innym razem. - Księżna nie zamierzała poświęcać nawet chwili na podobne brednie.

- Teraz najważniejsze dla nas to przeforsować decyzję o przymierzu z Lensem i tym się zajmijcie.

- Bez obaw, wasza wysokość. — Pierwszy radca pośpieszył za idącą do drzwi Sollą. - Wszystko jest jak należy...

- Markizie. - Richard przytrzymał za rękaw wstającego również wodza naczelnego, a potem spytał cicho: — Czy świadectwa o śmierci Wyższego są wiarygodne?

- Na tyle, na ile w ogóle mogą być wiarygodne jakiegokolwiek świadectwa w tych szalonych czasach — odparł Judolis i odszedł, nie zamierzając kontynuować rozmowy.

- To dobrze. Bardzo dobrze nawet - mruknął pod nosem rycerz, po raz pierwszy od otrzymania wiadomości o śmierci gwardzistów czujący coś przypominającego nadzieję. Wszystko przepadło? Na pewno nie! Wszystko dopiero się zaczyna.

VI

Wielka rada zakończyła się zgodnie z przewidywaniami jednogłośnie przyjęciem uchwały o sojuszu z Lensem. Wszyscy głosowali za tym rozwiązaniem - szlachta, cechy, a nawet przedstawiciele nieco oszołomionego ostatnimi wydarzeniami duchowieństwa.

Po wyjściu z sali paradnej, Richard skierował się do swoich apartamentów, ale w jednym z korytarzy dogonił go gwardzista, wysłany rano do pasera ze Smoczego Mostu.

- Ilgis prosił, aby przekazać, że nie ma nic nowego, wasza miłość - rozczarował dowódcę i podał mu jakiś woreczek. -To od niego...

- Co tam jest?

- Nie patrzyłem.

- Dobrze, jesteś wolny.

Kiedy został sam, rycerz wytrząsnął na dłoń srebrny półksiężyc, pokryty dziwnymi wzorami. Rycerz popatrzył na niego i zaklął.

Od kiedy to agenci izby wywiadowczej Aserkii zaczęli zastawiać swoje odznaki w lombardzie sąsiedniego państwa? Bardzo, bardzo dziwne...

Kapitan porzucił myśl o balu i pośpieszył do stajni. Księżna zrozumie. A nawet jeśli nie, Richard nic dbał o to.

O wiele gorzej, gdyby znalazł się w roli gończego psa. który zaniechał śladu zmęczonego dzika...

* * *

Do Smoczego Mostu dotarł już po zmroku, ale okna lombardu, mimo późnej pory, jeszcze jaśniały światłem. Przywiązał wierzchowca do bariery przy wejściu i wszedł do środka.

- Przypilnuj konia jego miłości - rozkazał natychmiast gospodarz osiłkowi, który go ochraniał. Nie był zdziwiony wizytą.

- Skąd to wzięłeś? - Biały Rycerz rzucił na ladę półksiężyc.

- Przynieśli mi.

- Kto dokładnie?

- Nie chciałbym, wasza miłość, narobić niepotrzebnych kłopotów tym ludziom - odrzekł paser, pociągając nic do końca jeszcze wygojonym nosem. Pod oczami rozlewały mu się siniaki, poruszał się dość ostrożnie i niepewnie. - Dobrzy to ludzie, nie są winni temu, że ta rzecz przeszła przez ich ręce.

- Opowiadaj — zażądał rycerz.

- Nie ma nic wielce ciekawego do opowiadania. - Ilgis wzruszył lekko ramionami. - W ostatnich dniach zjawił się w mieście przyjezdny szuler. Gra jak sam diabeł, jakby karty widział na wylot. Wykupił sobie miejsce „Pod Srebrnym Bażantem”.

- A półksiężyc?

- Nie wystarczyło mu na wkupne, więc dorzucił go do zapłaty.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, ciemnowłosa, wąsy jak u kota. Akcent nie nasz. Imię też nie z tych stron. Przedstawił się jako Jacob Lanz.

- I przybył do miasta w ostatnich dniach? - Richard przymrużył oczy w namyśle.

- Tak jest, wasza miłość.

- Co mówią o zabójstwie wielebnego? - Kapitan popatrzył uważnie na właściciela lombardu.

- Może coś mówią, ale mnie teraz nie na rękę pchać się w takie sprawy - odrzekł Ilgis, spieszony. - Zbyt łatwo dostać po głowie. Ale jak się trochę wszystko uleży, spróbuję popytać. Jeśli coś wypłynie, natychmiast przekażę waszej miłości.

- Bardzo mi na tym zależy. - Richard rzucił na ladę nabity srebrnymi groszami mieszek i ruszył do wyjścia.

- Natychmiast zawiadomię, wasza miłość! - zapewnił zaskoczony hojnością gościa paser. - Możecie być pewni...

* * *

Pod „Srebrnym Bażantem” Richard już stojąc w drzwiach, dostrzegł szulera. Wysoki młody mężczyzna w niegdyś porządnym, ale teraz bardziej przypominającym starą szmatę, kaftanie był tak zajęty rozdawaniem kart, że nie od razu go zastanowiło, dlaczego aż tylu partnerów do gry przypomniało sobie nagle o niecierpiących zwłoki sprawach. Ale w końcu musiało do niego dotrzeć, że coś jest nie tak.

- Czym mogę służyć? — Spojrzał uważnie na kapitana Gwardii, lustrując intruza od stóp do głów, a biorąc go zapewne za rzezimieszka, oznajmił: - To miejsce jest opłacone.

- A co mi do tego? - Richard usiadł przy stole i pokazał Lanzowi półksiężyc.

Bywalcy szynku, którzy zamilkli po wejściu Białego Rycerza, zrozumieli, że to nie obława, wrócili więc do rozmów. Jednak biorący niemałe pieniądze od organizujących gry w karty czy kości oszustów szynkarz uważnie wpatrywał się w nieproszonego gościa. Rycerz zobaczył jego czujne spojrzenie i ledwie zauważalnie pokręcił głową. Gospodarz zrozumiał i więcej nie wykazywał zbytecznej ciekawości.

- A tak, pan jest z tych — skrzywił się szuler.

- Richard York — odparł rycerz, nie odrywając wzroku od młodzieńca. - Jestem...

- Kapitanem osobistej Gwardii jej wysokości... - dokończył za niego oszust.

- To twoje? — Richard popchnął w stronę rozmówcy srebrny znak.

- Być może kiedyś to należało do mnie, ale teraz już na pewno nie.

- Udajesz głupka? - Kapitan zacisnął pięści.

- Co też panu przyszło do głowy? - Jacob Lanz nie zamierzał się mocować na spojrzenia, odwrócił wzrok. — Po prostu bardzo potrzebuję pieniędzy, żeby wyjechać wreszcie z waszego wspaniałego miasta. Dlatego jeśli zagra pan ze mną w karty i postawi... powiedzmy dziesięć dukatów, może pan liczyć na moją szczerść.

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz gadać bzdur szczerść wykażesz nie tutaj, lecz w katowni.

- Jest pan skąpcem czy okrutnikiem?

- Co powiedziałeś?!

- Myślę, że dziesięć dukatów to nie jest zbyt wielka suma za zeznania, które może pan ode mnie uzyskać.

- Jakie zeznania?

- Przede wszystkim na temat morderstwa wielebnego. - Szuler spojrział teraz prosto w oczy kapitanowi. - Naprawdę bardzo potrzebuję pieniędzy. A obcowanie z mistrzem małodobrym niewiele może dać...

- Mów. - Richard błyskawicznym ruchem chwycił oszusta za kołnierz. - Natychmiast.

- Dziesięć złotych monet... — wysapał Jacob.

- Cenisz pieniądze wyżej od własnego życia? - Rycerz nieco zwolnił uścisk.

- Jeśli nie wyjadę z Dowless i tak będzie po mnie - szepnął szuler.

- Mów! - warknął Richard, rozwiązał sakiewkę i zaczął odliczać pieniądze.

- Wszystko zaczęło się wiele lat temu, kiedy pewien młody i naiwny bałwan przybył szukać sławy i bogactwa do Akrai — zaczął Jacob, rozcierając szyję. - I tak się złożyło, że zamiast tego otrzymał bliznę w poprzek gardła, po którym to podarunku opanowało go pragnienie wyrównania rachunków z pewnym człowiekiem.

Kiedy oszust się spowiadał, ponury Biały Rycerz chrząkał z niedowierzaniem, obracając w palcach srebrny półksiężyc. I chociaż nie przyłapał rozmówcy na jawnym łgarstwie, pod koniec opowieści zrodziły się w nim pewne wątpliwości.

- Czekaj! - Nagle pojął, w czym rzecz. Nie, oszust nie kłamał, po prostu sam nie miał pojęcia, że powiedział coś bardzo ważnego. - Powtórz, co dokładnie powiedział werbownik swojemu zaufanemu, kiedy go posyłał na spotkanie ze zleceniodawcą?

- Temu Antoine'owi? - Jacob zamyślił się. - Mówił, żeby się nie spóźnić.

- Dlaczego to było takie ważne? Przypomnij sobie!

- Dlatego, że oni tego nie cierpią. - Młodzieniec przymknął oczy. - Właśnie to powiedział Corsa. Słowo w słowo.

- Zbieraj się - rozkazał Richard, ledwie ukrywając wielkie wzburzenie.

W mrokach niewiedzy nareszcie zajaśniał promyk - przewrażliwienie szlachty Lensu w kwestii punktualności było wręcz przysłowiowe.

- Po co?

- Najpierw pokażesz mi dom z trupami, potem opiszesz tego Antoinea rysownikowi. - Biały Rycerz sięgnął po talię kart.

Nikogo podobnego do pomocnika Corsy pośród bandytów napadających na karete na pewno nie było, a to dlatego, że ktoś musiał przecież zakłuć szlachetkę, który dał się wciągnąć w tę grę.

- A potem? - zapytał szuler.

- Odprowadzą cię do granicy z Marną i możesz iść, dokąd zechcesz. — Richard nie zamierzał dzielić się uzyskanymi wiadomościami z kimkolwiek, ale też nie widział powodu, aby brudzić sobie ręce krwią, jeśli mógł tego uniknąć. - Nie zapomniełeś przypadkiem o rozgrywce?

- Ech, wasza miłość - westchnął Jacob, zgarniając ze stołu złote monety. - Dobrze wam radzę, nie grajcie na pieniądze z obcymi ludźmi...

- A może jednak? - Richard odsłonił wyciągniętą na oślep kartę i pokazał oszustowi *nieboszczyka* z poderżniętym gardłem.

- Uprzedzałem przecież - mruknął Jacob i nie czekając ani chwili, również na oślep wydobyl ze środka talii *diabła*. -Każdemu, co jego...

VII

Biały Rycerz wrócił do zamku po północy. Był zmordowany jak pies pasterski, ale jednocześnie podniecony, niczym idący po śladzie wyżeł. Jacob nie kłamał: drużynicy szlachcica rozpoznali człowieka na portrecie, sporządzonym wedle opisu oszusta, który do wyjaśnienia wszystkich kwestii przebywał jeszcze pod kluczem.

Zbrojni zeznali, że na rysunku znajduje się podobizna niejakiego Antoine'a Dubois, przybysza z Norveimu, który miał z ich panem jakieś tajemnicze sprawy. Rycerz przypuszczał, że szukanie tego Norveimczyka to daremny trud, tym niemniej kazał przepytac dokładnie wszystkich donosicieli, a w karczmie, gdzie zatrzymał się Dubois urządzić zasadzkę.

— Panie York! — zawołał jeden z gwardzistów na ziewającego kapitana, kiedy ten przekazał wodze koniuszemu i zamierzał iść do siebie, by się zdrzemnąć.

- Tak?

- Jej wysokość oczekuje pana w sali balowej.

- Dziękuję. - Rycerz z trudem powstrzymał gorzkie westchnienie i poszedł w stronę zachodniego skrzydła.

Bal miał się już ku końcowi, ważni goście powoli zdążali do wyjścia. Hrabia Kimberly właśnie zęgnął się z księżną i Biały Rycerz pożałował, że nie przyszedł parę minut później.

- Richardzie! - Solla skinęła władczo na kapitana i oddała pusty puchar jednej z dworek. - Gdzie się podziewałeś? Bardzo nam ciebie brakowało!

- Bardzo wątpię - zrewanżował się za kpinę rycerz, przywołując na twarz dyżurny uśmiech.

- Twoja szczerosc bywa powalajaca - westchnęła Solla. -Panowie, kapitan Gwardii Richard von York!

- Bardzo mi miło. - Eskortujący ambasadora wysoki szatyn odpowiedział krzepkim uściskiem dłoni. - Baron Hanerg.

- Baron to doradca hrabiego do spraw wojskowych. -Księżna chwyciła pod rękę zęgnającego się ambasadora. -A wasz pomocnik...

- Sekretarz, wasza wysokość. - Z pewnym ociąganiem wyszedł z cienia szczupły mężczyzna w średnim wieku. -Przedstawiano nas już sobie z panem Yorkiem.

- Pan Eduarton! - Biały Rycerz zapamiętał rudowłosego sekretarza dzięki jego dziwnie odstającym uszom.

- Tak jest, panie York. - Sekretarz wyciągnął rękę i od razu dodał: — Za waszym pozwoleniem, drodzy państwo, pójdę zatroszczyć się o konie.

- Wasza wysokość... - Ambasador przypomniał sobie o obowiązkach, kiedy pochwycił pełne wyrzutu spojrzenie doradcy do spraw wojskowych. - Mieliśmy porozmawiać o podpisaniu porozumienia...

- Jutro - ucięła księżna. - Mam nadzieję, że nie ma pan żadnych planów na pierwszą połowę dnia?

- Nie, wasza wysokość.

-To już pan ma. Nie chcę już panów zatrzymywać...

Jeżeli hrabia nie był rad z takiej odpowiedzi, doskonale umiał to ukryć. Ucałował na pożegnanie dłoni księżnej i opuścił salę, a Solla od razu przestała wyglądać na beztroską i zwróciła się do markiza Vitaili stojącego razem z głównodowodzącym:

- Czy tekst porozumienia będzie gotowy na rano?
- Tak, wasza wysokość - odparł pierwszy radca. - Pozostało tylko uzgodnić marszruty, terminy i liczebność oddziałów. I wyłączyć punkt dotyczący otwierania świątyń Zjednoczenia. Zdołaliśmy przekonać ambasadora, że w zaistniałej sytuacji podnoszenie tej kwestii jest nie na miejscu.
- Jutro o świcie porozumienie powinno się znaleźć na moim biurku.
- Tak jest, wasza wysokość.
- A ty, panie York, gdzieś przepadł? - Księżna odwróciła się do rycerza.
- Miałem pilne sprawy. - Richard wzruszył ramionami.
- I właśnie one stanęły na przeszkodzie temu. byś zaszczycił nas swoją obecnością?
- Prawdę mówiąc, obawiałem się, że jeśli nieco wypiję, mogę zdeformować fizjonomię waszego drogiego pana Kimberly - odparł York.
- Przecież nie pijesz.
- Z takiej okazji mógłbym się i napić.
- Nie pajacuj!
- Słucham, wasza wysokość...
- Czego udało ci się dowiedzieć?
- Na razie niewiele, ale podjąłem pewne tropy. - Rycerz nie chciał wdawać się w szczegóły.
- Ale masz świadomość, że ustaliliśmy już, kto zlecił morderstwo? - przypomniała mu Solla - Inne dowody pod żadnym pozorem nie mogą zostać nagłośnione.
- Będę milczał jak ryba - uspokoił panią Biały Rycerz, ale zaraz poprawił: - Nie, prędzej jak grób.
- Żarty się ciebie trzymają... - westchnęła księżna. - Idź spać, wyglądasz jak śmierć na chorągwi.
- Z chęcią usłucham tego rozkazu. — York złożył ukłon. Rzeczywiście, ledwie się trzymał na nogach.

VIII

Richardowi nie było dane się wyspać. Jeszcze przed świtem przybył kurier, wysłany przez pilnujących karczmę gwardzistów, z wiadomością o pojmaniu Antoine'a Dubois. A jednak! Rycerz opryskał twarz wodą, ubrał się pośpiesznie i pobiegł do stajni. Jazda po nocnym mieście została zapisana w jego w pamięci jako dziwaczne, pomieszane urywki, niczym w sennym koszmarze, lecz kiedy zobaczył przywiązanego do krzesła przestępcę, kapitana opanowała euforia.

- Nie macie prawa! Jestem poddanym... - Antoine najwyraźniej nie pierwszy raz krzyczał te zdania, ale zamilkł od razu, kiedy stojący za nim gwardzista trzasnął go w potylicę.

Dubois przeniósł spojrzenie na uśmiechniętego szeroko Richarda, w jednej chwili pojmując, co go czeka i szarpnął się w kolejnej nieudanej próbie zerwania pęt.

- Wszedł nocą przez okno - wyjaśnił gwardzista.
- Zostawcie nas - rozkazał Biały Rycerz, po czym usiadł na podstawionym naprzeciwko krzesła taborecie. - No cóż, panie Dubois, najwyższy czas na szczerą spowiedź...
- Nie, nie zabijajcie mnie! - krzyknął Antoine. - Nie miałem wyboru!
- Óóó... - Richard przytknął do ust wskazujący palec. - Potrzebuję od ciebie jednego imienia. Tylko tyle. Pomyśl i je wypowiedz.

- Ale ja nie wiem...
- W takim razie nie widzę powodów, abyś pozostawał między żywymi. - Rycerz wyjął sztylet. - I pomyśl jeszcze, że biorąc pod uwagę całą sytuację, na pewno nie umrzesz lekką śmiercią.

- Ale ja naprawdę nie wiem! - Antoine oklapł. - Widziałem go tylko dwa razy, nie więcej...
- Po pierwsze, kim jest ten ktoś? - York usiadł z powrotem na taborecie. - To on polecił zabić wielbego? Chcesz powiedzieć, że otrzymałeś rozkaz od zupełnie nieznanego człowieka?

- Tak było, przysięgam na Świętych! Przegrałem wtedy tyle, że tylko się powiesić. A zaproponowano mi dobre pieniądze. Diabeł mnie podkusił! — mówił gorączkowo Dubois.

- Jak cię znaleźli?
- Dowiedzieli się, że po tej przegranej nie mam nawet dokąd uciec. No i jeden taki nas ze sobą poznał.

- Co za jeden?
- Naganiacz. Tylko że zeszłej dekady zapił się na śmierć...
- Kiedy zleceniodawca miał ci zapłacić za robotę? - spytał Richard, waząc w dłoni klingę.
- Mieliśmy się spotkać wczoraj wieczorem.
- Nie poszedłeś? - Richard był pewien, że tę należność splecono by nie złotem, ale żelazem.

Zimnym i ostrym. -Wróciłeś po morderstwie do współpracowników, a oni byli już martwi? I zacząłeś panikować..

-Wasza miłość... Oszczędźcie.

- Opiszesz zleceniodawcę? - Richard wstał.
- Tak. Opiszę. Oczywiście, że tak! Nie zabijajcie mnie!

Kapitan westchnął tylko, wyszedł na korytarz i rozkazał:

- Przywieźcie rysownika. I nie spuszczać oka z tego wyrodka, ja zaraz wrócę.

* * *

Nie zdołał jednak wrócić szybko. Dopiero o wpół do jedenastej uporał się ze sprawami, nagromadzonymi poprzedniego dnia. Dlatego, kiedy rycerz rozpędzając mieszczan, gnał w stronę karczmy, rysownik dawno już zakończył pracę i poszedł.

- Portret schnie na parapecie, wasza miłość - powiedział jeden z pilnujących więźnia ludzi. - Chcieliśmy posypać popiołem i wysłać do was, ale mistrz nie pozwolił, bo...

- Nic się nie stało. - Richard spojrział na rysunek i ledwie się powstrzymał, aby go natychmiast nie podrzeć na kawałki. Zamiast tego spojrział na białego jak kreda Dubois. - Podobny?

- Podobny...

- Niech to zaraza! - Richard wrzucił portret do kominka i uszatą fizjonomię Eduartona objęły płomienie.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się starszy gwardzista.

- Wszystko jest nie tak. - Rycerz zaszedł Antoine'a z tyłu i jednym ruchem skręcił mu kark. - Wywieźcie za miasto i wrzucie do bagna. Tak, żeby nie wypłynął.

- Wedle rozkazu, wasza miłość. — Gwardzista nie okazał śladu zdziwienia.

- I nikomu ani słowa — ostrzegł Biały Rycerz, po czym wyszedł.

Prawda może być straszniejsza od ognia i ostrza miecza. Nader często jest bardziej niebezpieczna od wyrafinowanego kłamstwa, a w dodatku nikomu niepotrzebna... Richard w każdym razie nie zamierzał łamać danego księżnej słowa. Nie wątpił także, że sekretarz ambasady był tylko małym trybikiem, nędzną kartą, która bez żalu zostanie poświęcona, a całą tę grę prowadził ktoś zupełnie inny. Właśnie z nim Biały Rycerz miał porachunki, które zamierzał wyrównać przy pierwszej sposobności.

Pozostawało tylko znaleźć odpowiedź na jedno, jedyne pytanie: Jak, niech ich diabli, obrońcom Nilmary udało się zabić Wyższego?

ROZDZIAŁ 7

EGZORCYSTA. PRZEKLĘTY METAL

Miesiąc świętego Sebastiana Kosiarza

I

Nadmierne upodobanie do wina jeszcze nikomu na dobre nie wyszło. I nawet jeśli w pijanym widzie nie narobisz głupstw, to samopoczucie nazajutrz z pewnością będziesz miał okropne. Suchość w ustach, duszności, ból głowy to zwyczajna cena za przeciągającą się pół nocy zabawę. Wprawdzie zawsze są szczęśliwe wyjątki, dlatego mnie tym razem udało się wykpić tylko wysuszonym gardłem.

Pierwsze, co zrobiłem po przebudzeniu, to przysiągłem sobie, że z trunkami koniec. Potem powolutku wyprostowałem rękę, wyjąłem ją spod milutkiej szatynki, przechyliłem się przez leżącą przy moim drugim boku nie mniej ładną blondynkę i sięgnąłem po dzban z winem. Ale kiedy palce już uchwyciły szorstką glinę, od razu zrozumiałem, że przyczyną przebudzenia nie było wcale pragnienie. I nawet nie przenikające przez okiennice promienie słońca.

Nie mogłem odgadnąć, czego dotyczy złe przeczucie, tylko intuicja wrzeszczała na cały głos, że nadciąga coś złego. A w takich sprawach myliła się ona rzadko. Bardzo rzadko.., Tym razem też miała rację. Nagle rygiel w drzwiach odleciał z hałasem i do pokoju wpadł osiłek w znanym mi już szarym surducie. Wpadł i od razu runął na podłogę, kiedy oberwał w głowę dzbanem. Jego towarzysz nie stracił rezonu, przeskoczył nad kompanem, tyle że ja też nie traciłem czasu. Nagi, jak mnie matka urodziła, sturlałem się z łóżka i chlasnąłem machającego pałką mężczyznę ręcznikiem po oczach.

Następnego „szarego surduta” zgubił pośpiech. Zamiast poczekać, aż do pomieszczenia wpadnie jeszcze dwóch, trzech towarzyszy, rzucił się do ataku. Zablokowałem pałkę ręcznikiem, zrobiłem krok do przodu i uderzyłem go w krtań. Odskokczyłem pod okno, wyjrzałem na zewnątrz i zakląłem ze złości. Pod burdelem stała karetka otoczona przez pałacowych strażników. Nie dałbym rady się przebić.

A co najgorsze, czekający przy pojeździe mężczyzna o reprezentacyjnym wyglądzie, z zegarkiem w dłoni, nie miał z ochroną władcy nic wspólnego.

Kopniakiem przewróciłem stół, zmuszając okrążających mnie ludzi do cofnięcia się, czekałem na dogodny moment i trzasnąłem jednego z nich zwiniętym ręcznikiem po rękach. Teraz napastnicy nie śpieszyli się i w miejsce tego, który upuścił pałkę, od razu wyrosło dwóch innych.

Czterech na jednego? Bardzo tego nie lubię!

Rzykując na chwilę oderwanie się od otaczającej mnie rzeczywistości, zacząłem rozplątywać schowany pod sercem kłębek pozaświatowej siły, a po żyłach przebiegła mi fala lodowatego płomienia. Ruchy przeciwników zwolniły, nieprzydatny już ręcznik spadł na podłogę.

I zaczęło się!

Ale nie dane mi było nacieszyć się mocą. Dźwięk srebrnych dzwonek w korytarzu wyrwał mnie z transu i nie pozwolił na ponowną koncentrację. Do pokoju wkroczył niespiesznie egzorzysta, przypominający w swoim skórzanym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem ożywionego stracha na wróble, a „szare surduty” z miejsca rozpierzchły się po kątach.

Odsunąłem się do okna i patrzyłem na pogromcę diabłów, śledząc każdy, nawet najmniejszy jego ruch. Bo kiedy znów będę miał okazję zobaczyć na własne oczy brata egzorzystę przy pracy? I tak nie mogłem uciec z domu publicznego, osaczyli mnie jak niedźwiedzia w gawrze.

Jednak nie udało mi się podejrzeć nic pożytecznego z obrzędu wypędzenia. Za to mogłem poczuć na własnej skórze, co czują opętani, kiedy egzorcyści wyrywają z nich ohydę.

Obrzydlistwo...

Kiedy przestało mnie skręcać i rwać na kawałki, a rozniecone gdzieś wewnątrz płomienie przepaliły całe ciało na wskroś, po kłującym kłębku siły nie zostało śladu. Oto przed chwilą jeszcze był, a teraz rozwiało go po całym świecie. Jedno tylko cieszyło - że sam nie straciłem przy tym życia.

Usiadłem na podłodze, kaszląc okropnie i z nienawiścią popatrzyłem na zamarłego w pół kroku egzorzystę. Najgorsze, że zdołał mnie tak zręcznie podejść. Nie miałem pojęcia, jak to zrobił, nawet kiedy wróciła mi świadomość. W uszach dzwoniły urywki jakichś dziwnych fraz, ale i one powoli zanikały, pozostawiając po sobie kłujący niezliczonymi igiełkami ból głowy.

- Nie ruszaj się. - Egzorzysta położył dłoń w skórzanej rękawicy na moim ciemieniu, zamknął oczy i wreszcie wydal werdykt: - Jest czysty.

Czysty! Też coś!

Tak, moc rozwiała się bez śladu, ale diabły przecież nigdzie nie uciekły! Nawet teraz czułem ich przerażenie. Czysty!

- To znakomicie. - Do pomieszczenia wszedł Malkolm Parre, ubrany jak spod igły. Ciemnogranatowy kaftan z dwoma rzędami srebrnych guzików, śnieżnobiała koszula, chusta na szyi, koronki, w zgięciu lewego łokcia elegancka laska. Niósł kłęb odzieży. - Sebastianie, mam nadzieję, że skończyłeś już podwyższać cenę za swoją głowę?

- Czyżby nie było po mnie widać?

- W takim razie ubieraj się i jedziemy. Aha, i zwróć bratu egzorcyście jego buteleczkę.

- Już oddaję. - Z krzywym uśmiechem łyknąłem piołunowej nalewki. Nie miałem ochoty zwracać flaszeczki, bo to śliczne, srebrne naczynie bardzo wygodnie leżało w dłoni.

O Święci! Czy tak trudno byłoby przemilczeć? - Nie podoba mi się pański widok, panie Parre. Obserwowałem kiedyś, jak patrzą koty, które zapędziły mysz do kąta...

- Nie błaznuj. - Malkolm machnął ręką, patrząc z zainteresowaniem na skulone na łóżku dziewczyny. Jednego okrycia na obie nie wystarczało, żeby ukryć wdzięki. - Po prostu wygrałem taki mały zakład...

- A ile powinienem wytrzymać?

Domyśliłem się przedmiotu tego zakładu na wspomnienie zegarka w dłoni byłego naczelnika. Zacząłem przeglądać ubrania. Bielizna, pasiasta, watawana bluza bezpośrednio na ciało, szara kurtka z płótna żaglowego i także spodnie. Butów nie było.

- Pięć minut. - Hrabia zsalutował dziewczynom i wyszedł na korytarz, ale zaraz zajrzał z powrotem. - Uregulować twój rachunek?

Rozejrzałem się po pokoju, oceniając szkody.

- Nie trzeba, wystarczy tego, co zadatkowałem.

- Nawet jakoś nieprzyjemnie wyciągać cię stąd - dorzucił Parre, kiedy schodziliśmy na dół i machnął na „szare surduty”, które zagnały personel zamtuza do jednego z pokoików. - Panowie, musimy opuścić ten gościnny przybytek.

- Wyszedł na ganek i ruszył do karety. - A tak w ogóle, po co nawarzyłeś tej całej kaszy?

- Chłopcy zaczęli być niemili, więc oberwali po łapach. A kiedy zrozumiałem, z kim sprawa, było już za późno, żeby to uładzić. Postanowiłem więc zniknąć. Liczyłem się z tym, że mnie znajdą nawet dzisiaj, ale raczej bliżej wieczora.

- Wieczora? — Malkolm wszedł do pojazdu, a ja za nim. -Wiesz, biorąc pod uwagę dwa lata uwięzienia i sumę pieniędzy w zrabowanej sakiewce, nietrudno było się domyślić, co zrobisz.

- A z kim się pan założył, jeśli to nie tajemnica?

- Niebawem będziesz miał okazję poznać tego jegomościa. - Hrabia uśmiechnął się blado i wskazał leżące pod ławką buty. - Przymierz.

- Nie wiem, jak pan, ale ja odnoszę wrażenie, że najwyższa pora wyjaśnić, czego ode mnie chcieli ludzie ze straży pałacowej.

- Tak wyszło, że jest dla ciebie praca. Czy może wolisz wrócić do celi?

- Na pewno nie! - Potrząsnąłem głową. - Dlaczego w ogóle spławił mnie pan ze służby w kolegium? Nie zrobiłem przecież w Sarinie nic takiego.

- Nikt cię nie spławił - odparł Parre całkiem poważnie. - O twoje przeniesienie wystarał się sam Lanye. Nie miałem możliwości odmówić jego żądaniom.

- A co się zmieniło od tamtej pory? Bo przecież wracam pod pańskie skrzydła?

- A tyle, że w pewnym sąsiednim państwie dokonano przewrotu. - Hrabia mrugnął porozumiewawczo. - Uważany za zmarłego krewniak króla, jakiś tam markiz i nawet nie pytaj, jak go wołają, nieoczekiwanie wyłonił się z niebytu i zaczął zgłaszać pretensje do tronu. A ponieważ dzień wcześniej dotychczasowy władca potknął się na schodach i skręcił kark, wszystko poszło gładko. Sam rozumiesz, że wszyscy uczestniczący w tych wydarzeniach są teraz w łaskach.

- A ktoś nawet został wyniesiony wyżej? — domyśliłem się. - I nowa pozycja pozwala mu ignorować żądania pana Lanye?

- Nie inaczej. Tylko że na ignorowanie żądań pana Lanye mało kto może sobie pozwolić, nawet naczelnik tajnej służby. Nie, teraz mamy do czynienia z ciekawym układem, dlatego zdołałem pozyskać ciebie jako jednego z wykonawców.

- Dla tajnej służby?

- Właśnie.

- Lanye się wścieka i ciska?

- Sapie ze złości i nadyma policzki.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego straż pałacowa?

- Jej dowódcy poruczono dowodzenie tym przedsięwzięciem. To wprawdzie nienajlepszy wybór, ale pozostali kandydaci, według mnie, byli jeszcze gorsi.

- Obawiam się, że Lanye tego tak nie zostawi — westchnąłem ciężko, próbując zebrać myśli. - Nie ma mnie kim zastąpić.

- To już ból głowy pana Lanye - odparł ostro Parre. - Pana Lanye i twojego przyjaciela Pratta.

- A ten jak zwykle zadbał o siebie? - Miałem mieszane uczucia w tej kwestii. Z jednej strony Jack był zwykłym szubrawcem, ale z drugiej im wyżej wspinał się po szczeblach kariery, tym więcej ja sam mogłem na tym zyskać.

- To człowiek bardzo zdecydowany. Mam nadzieję, że nie pałasz chęcią pójścia na pomoc staremu druhowi?

- Raczej pałam chęcią, żeby odpocząć i otrzymać honorarium za dwa lata pracy.

- Musisz się z tym zwrócić do Lanye. — Parre nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Zrozumiałem. - Skrzyżowałem ręce na piersi i westchnąłem. - Co mam właściwie robić? Znow patroszyć opętanych?

- Teraz powinieneś trzymać język za zębami i tyle. - Malkolm spojrzął na kieszonkowy zegarek. - Jedziemy właśnie na naradę dotyczącą tej kwestii, więc jeśli będziesz uważać, sam wszystko zrozumiesz.

- Dadzą tam jeść?
- Nie.
- Dlaczego nie jestem zdziwiony?

II

Naradę zwołano w starym gmachu admiralicji, zbyt ciasnym, aby pomieścić rozbudowaną w ostatnich latach administrację, ale za to położonym w samym środku stolicy. Na wybór tego miejsca wpłynął też zapewne fakt, że do trzypiętrowego domu nie można się było zbliżyć niepostrzeżenie. Zaraz za wysokim ogrodzeniem najeżonym żelaznymi szpikulcami był otwarty, wybrukowany pas na czterdzieści kroków, a okna wzniesionego z piaskowca budynku bardziej przypominały strzelnice.

Kuta brama z wesoło uśmiechniętym morskim wężem - symbolem marynarki wojennej Stilgu - powoli rozchyliła się na boki, przepuszczając karete, a kiedy stangret zatrzymał konie przy zrujnowanej fontannie, wysiadłem. Rozejrzałem się i bez zapалу powlokłem za hrabią.

Wnętrze okazało się niespodziewanie przyjemne: wysokie sklepienia ozdobione freskami, wąskie witrażowe okna, podłoga wyściełana tłumiącymi kroki chodnikami, na ścianach obrazy przedstawiające morskie bitwy. I wszędzie straż. Przed wejściem stali nieruchomo z obnażonymi pałaszami abordażowymi dzielni marynarze w wypolerowanych napierśnikach. Po korytarzach spacerowali potężni mężczyźni w błękitnych kaftanach, o twarzach wysmaganych słonym wiatrem. Między nimi kręcili się urzędnicy admiralicji, obrzucając przybyłych uważnymi spojrzeniami zawodowych szpicli. Zajmujący kanapy w holu dobrze ubrani panowie zasiedli w tym miejscu na pewno nie tylko po to, żeby sobie pogadać.

Ale co najbardziej rzuciło mi się w oczy, to znudzeni bracia egzorcyci, stojący przed zamkniętymi drzwiami sali obrad.

Jeden kołysał w rękę zawieszoną na długim łańcuszku rozpaloną kadzielnicą, drugi niespiesznie przebierał paciorki różańca. Obaj w płaszczach, kapeluszach, półmaskach i rękawicach. Tylko jak zostali tutaj wpuszczeni w podobnych strojach?...

Na mój widok egzorcyci wzdrygnęli się wyraźnie, ale żaden nie uronił ni słowa i zaraz obaj się uspokoili. Fagas w szarym surducie, mocno opinającym założoną pod spód kolczugę, otworzył ciężkie dzwierze i mogliśmy wejść do środka.

- Usiądź i nie rzucaj się w oczy. - Malkolm Parre wskazał mi najdalszy rząd krzeseł, po czym podszedł do siedzących przy owalnym stole mężczyzn.

Przywitał się z nimi z godnością i zajął swoje miejsce, śląc wymuszony uśmiech pod adresem ponurego Jacoba Lanye. Dwóch łysawych mężczyzn w prawie jednakowych czarnych ubiorach ze srebrnym obszyciem nie zwróciło najmniejszej uwagi na pojawienie się urzędnika z królewskiej tajnej służby i kontynuowali rozmowę podniesionymi głosami. Za to upudrowany dandys w białej peruce skłonił się Parre i zaczął mu coś szeptać na ucho.

- Witaj, rudy. - Klapnąłem na krzesło obok wyszczerzonego radośnie na mój widok Jacka Pratta. - Mówią, że stałeś się wielkim człowiekiem.

- Ty, rudy, też nie powinieneś narzekać. - Stary przyjaciel podał mi rękę. Miał na palcach jeszcze więcej pierścieni, niż ostatnio, a i kamienie w nich były na pewno droższe. - A co do mojej kariery, to zwyczajne łgarstwo.

- Czyżby? — Uścisnąłem mocno jego dłoń i odwróciłem ją wierzchem w górę. Ujrzawszy tatuaż w kształcie otoczonego drobnymi symbolami pentakla, mruknąłem: - A widzisz, mnie mówiono co innego.

- Cały czas jestem chłopcem na posyłki - skrzywił się Jack i wyrwał rękę z mojego uścisku. - Teraz tylko spoczywa na mnie większa odpowiedzialność.

- Podlegasz bezpośrednio jemu? - Wskazałem ruchem brody siedzącego do nas plecami Lanye.

- Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie. Służę pod tym, kto jest pod nim.

- Też nieźle. I jak sukcesy na niwie walki z diabłami?

- Kpisz sobie? - Pratt zrobił urażoną minę. - Można by pomyśleć, że nie rozumiesz, w jakim położeniu znaleźliśmy się przez ciebie.

- Na pewno przeze mnie?

- No, przez twojego dawnego naczelnika. Tak lepiej?

- Właśnie! - prychnąłem i postanowiłem wreszcie wyjaśnić całą sytuację. - Po co nas tutaj zebrali?

- Mnie się pytasz? - syknął rudy przechera. - Przecież to Parre wszystkich postawił na baczość.

- Rozumiem - westchnąłem i trąciłem Pratta łokciem w bok. - Słuchaj, a dlaczego nosicie tatuaże w takich widocznych miejscach?

- To przez egzorcystów - burknął Jack. - Zbędne słowa nie wydobędziesz z nich nawet na torturach. Powiedzieli „trzeba tutaj”, ale dlaczego i po co, nie zamierzali objaśniać.

- Dobrze jeszcze, że nie na czole - zachichotałem. - A teraz mi powiedz, kto jest kto.

- Ci dwaj żołdacy - wskazał wzrokiem krzepkich mężczyzn — to armia i flota. Przylizany owsik to minister spraw zagranicznych, baron Ronne.

- Armia i flota to marszałek i admirał? - uściśliłem.

- Tak, hrabia Ilme i markiz Lagnimau.

- Jasne. A nasi druhowie w nieszczęściu?

- O tych ci idzie? - Jack nie odwracając głowy, spojrzął kątem oka na mężczyzn zajmujących miejsca pod ścianą. - To rozmaita drobica. Adiutanci marszałka i admirała, zastępca ministra...

- A ten drań? — Zainteresowałem się siedzącym idealnie prosto, jakby kij połknął wysokim mężczyzną. Niby nic szczególnego. Głęboko osadzone oczy, wąska szczeka, cienkie wargi i złamany dawno temu nos z garbką. Szczupły, by nie powiedzieć chudy, czarne włosy miał po wojskowemu krótko podstrzyżone. Cała zresztą postać wskazywała, że był żołnierzem. Dłonie wyglądały wprawdzie na kościste, ale zapewne „przyjacielski” uścisk mógł się skończyć połamanymi palcami.

- Will Chasmarti. - Rudy powiedział to, jakby chciał splunąć. - Przeklęty karierowicz.

- Nie lubisz go?

- Nie ma go za co lubić - warknął Jack. - Nie wiem dokładnie, ale któryś z ulubieńców Lanye bardzo go pcha w górę. Po głowach innych...

- A ty nie jesteś ulubieńcem?

- Ja jestem koniem roboczym, na którym się jeździ cały dzień i rzadko kiedy dostaję za to choćby wiązkę siana.

- Nie narzekaj na brak siana, skoroś nie koń. - Nie wziąłem na poważnie skarg przyjaciela. - Pogadajmy lepiej o „Rdzawym Oskardzie”.

- A o czym tu mówić? — Pratt zrobił minę, jakbym mu podsunął pod nos zepsute jajo. - Z całej tamtej kompanii udało się odszukać tylko jednego. A i to...

- Dobrze, dość wykrętów. - Spojrzałem surowo na kompana. - Opowiadaj!

- Naprawdę nie ma czego. Wszystkich donosicieli oraz Straż pogonili do roboty i nic - odparł ponuro Jack. - Tak, związek między Limą i Alvisem niewątpliwie istniał, ale nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy nastąpiła zamiana.

- A Minóg co?

- Jak Limę posadzili, więcej go już nie widział.

- I żaden ze starych wspólników przypadkiem go na ulicy nie spotkał?

- On się bardzo mocno zmienił. Naprawdę bardzo - rzekł Pratt. - Nawet ludzie doskonale znający Limę nie mogli od razu rozpoznać trupa. Ale przecież powinien komuś podać prawdziwe imię. I właśnie teraz próbujemy się dowiedzieć, komu.

- Kto z nim pracował w ostatnim czasie?

- To ci, to inni... Głównie przemysłowcy.

- Wiesz, wydaje mi się ... - Nagle zamilkłem, nie wiedząc, czy warto o tym mówić. - No, wydaje mi

się, że diabeł nie mógł samodzielnie porzucić ciała. Zostaje tam zamknięty. Zwyczajny obrzęd nie rozerwie takich więzi.

- Myślisz? My takich nazywamy marionetkami. Żaden egzorcysta ich nie wyczuje, jeśli nie zacznie się zagłębiać. - Pratt uśmiechnął się niewesoło i odwrócił spojrzenie. - A tak przy okazji, w meldunku do dowództwa nic nie było o Żniwiarzu. Tak że bądź wdzięczny.

- Po pierwsze, skąd ci przyszło do głowy, że to mnie ciekawi? - Uśmiech mi wyszedł krzywy, a Jack z miejsca pojął, że tego wątku nie należy ciągnąć. Żniwiarz. Od samego słowa ciarki przebiegły mi po plecach, chociaż sam do końca nie wiedziałem, czemu. - A po drugie, zatrzymałeś tę wiadomość dla siebie, żeby potem sprzedać ją drożej. Zatem to ty masz dług wobec mnie i nie zapominaj o tym.

W tej chwili drzwi otworzyły się i do sali wkroczyła cała delegacja. Pamiętając o dyżurujących przy wejściu egzorcystach, nie zdziwiłem się, że w jej składzie było dwóch przedstawicieli zakonu Wypędzających. Lecz o ile jeden z braci poszedł w stronę ustawionych pod ścianą krzesel, to drugi - w bardzo lekkiej w porównaniu z tradycyjną skórzanej szacie - usiadł przy stole.

Zaraz za egzorcystami przybył wysoki jasnowłosy mężczyzna przy szabli schowanej w inkrustowanej srebrem pochwie. Lecz ten, choć wyglądał na ważną personę, od razu ruszył ku nam i usiadł obok Chasmartiego.

Ostatni wszedł potężny mężczyzna w średnim wieku, opierając się ciężko na rzeźbionej lasce, ogarnął uważnym spojrzeniem obecnych, a potem zajął miejsce u szczytu stołu. Bez pośpiechu napełnił puchar wodą, napił się, odebrał od sekretarza teczkę z papierami i odesłał go.

- A to kto znowu? - szepnąłem na ucho Prattowi.
- Księżę Alangorski - tchnął w odpowiedzi Jack, niemal nie poruszając ustami. - Doradca królewski... do spraw szczególnych. Ten z szablą to hrabia Luringa, dowódca straży pałacowej.
- Cóż, może zaczniemy - Królewski doradca otarł chustką spocone czoło i odetchnął głośno.
- Wasza jasność, chciałbym wyrazić protest w związku z postanowieniem odebrania mi jedyne go człowieka umiającego radzić sobie z diabłami. - Lanye natychmiast wstał. - To wiąże mi ręce i nogi, a tymczasem sprawa „Rdzawego Oskarda” jest traktowana jako priorytetowa!

- Niech pan przestanie, Jacobie - skrzywił się książę. - O tym porozmawiamy później. A na początek proponuję wysłuchać raportu o sytuacji na północy. Panie Parre, udzielam panu głosu.

- Wedle ostatnich meldunków, armia Lensu posuwa się pewnie przed siebie. Zajęła Hayn, Bagr, a Dancour jest obleżony. W wyższych sferach Norveimu nastroje są bliskie paniki, ale na razie nie ma mowy o kapitulacji.

- Przed nadejściem chłodów stracą wszystkie południowe prowincje, ale przez Fosę Uhlera Lens nie przejdzie - oświadczył z wielką pewnością marszałek.

- Czy to nie pan twierdził uprzednio, że armia Lensu nie zdoła przeprowadzić się przez Melicę? - odezwał się minister spraw zagranicznych. - „Woda w niej teraz wysoka”... Pamięta pan to zdanie?

- Rzeka to rzeka, a fosa to fosa - odparł wódz naczelny gniewnie.

- Po kapitulacji państw Paktu i rozgromieniu armii Norveimu pod Dancour został zarządzony przerzut wojsk na granicę z Dowless - kontynuował Parre.

- Mamy rozumieć, że Dowless jest następny? - zasepił się marszałek. - Z punktu widzenia sztuki wojennej tylko uderzenie na północne prowincje Dragarnu zapewni Lensowi przewagę strategiczną!

- Oni mają gdzieś sztukę wojenną — zauważył ponuro admirał. - Lens nie ma sił na morskie starcie z Dragarnem.

A jeśli odciąć prowincje kontynentalne od metropolii, heretycy będą mieli problem.

- W pierwszym rządzie wojna z Norveimem została rozpętana w celu odsunięcia zagrożenia dla Wyższych ze strony zakonu Płomienistej Dłoni - zauważył przedstawiciel egzorcystów, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi.

- Jak będzie się to rozwijać, pańskim zdaniem? - Doradca królewski oparł się wygodnie, składając

ręce na brzuchu.

Marszałek nie dał nawet otworzyć ust Malkolmowi.

- A jakie mamy do rozważenia możliwości? Tyros siedzi w kieszeni Lensu, więc uderzą z dwóch stron na Dowless. Potem nastąpi atak na Aserkę i Marnę, a może też Alesję. W rezultacie do końca miesiąca będziemy zmuszeni rozpocząć działania wojenne.

- Nie zadławią się takim dużym kaskiem? - mruknął a dmiral.

- Zważywszy na brak doniesień o niepokojach na okupowanych terenach, powinniśmy się spodziewać najgorszego. - Parre wzruszył ramionami.

- Lens nie planuje atakować Dowless. Wedle moich informacji, zaproponowano księżnej wojenne przymierze -oznajmił Lanye, patrząc nieruchomo przed siebie. Sądząc po kwaśnej minie Malkolma, właśnie to zamierzał uświadomić obecnym za chwilę. - Wtargnięcie do Dowless skutkowałoby przewlekłą wojną. Szturm na Kinless to awantura, która niezależnie od wszystkiego będzie kosztować zbyt drogo, a innych sposobów na szybką przeprawę przez Aris nie ma. Woda w tym roku jest wysoka nie tylko w Melicy.

A jeśli odciąć prowincje kontynentalne od metropolii, heretycy będą mieli problem.

- W pierwszym rzędzie wojna z Norveimem została rozpętana w celu odsunięcia zagrożenia dla Wyższych ze strony zakonu Płomienistej Dłoni - zauważył przedstawiciel egzorcystów, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi.

- Jak będzie się to rozwijać, pańskim zdaniem? — Doradca królewski oparł się wygodnie, składając ręce na brzuchu.

Marszałek nie dał nawet otworzyć ust Malkolmowi.

- A jakie mamy do rozważenia możliwości? Tyros siedzi w kieszeni Lensu, więc uderzą z dwóch stron na Dowless. Potem nastąpi atak na Aserkę i Marnę, a może też Alesję. W rezultacie do końca miesiąca będziemy zmuszeni rozpocząć działania wojenne.

- Nie zadławią się takim dużym kaskiem? - mruknął admirał.

- Zważywszy na brak doniesień o niepokojach na okupowanych terenach, powinniśmy się spodziewać najgorszego. - Parre wzruszył ramionami.

- Lens nie planuje atakować Dowless. Wedle moich informacji, zaproponowano księżnej wojenne przymierze — oznajmił Lanye, patrząc nieruchomo przed siebie. Sądząc po kwaśnej minie Malkolma, właśnie to zamierzał uświadomić obecnym za chwilę. - Wtargnięcie do Dowless skutkowałoby przewlekłą wojną. Szturm na Kinless to awantura, która niezależnie od wszystkiego będzie kosztować zbyt drogo, a innych sposobów na szybką przeprawę przez Aris nie ma. Woda w tym roku jest wysoka nie tylko w Melicy.

- Dla Lensu drogi jest każdy dzień - zgodził się marszałek. - Po tym, jak dokończymy przerzucenie wojsk do Marny, Tyros nie zaryzykuje wojennego konfliktu.

- Jeśli wojna dotrze do Stilgu, ujawni się nasza słabość -zauważył minister spraw zagranicznych. - Nie będziemy mogli liczyć na to, że Dragarn wypowie wojnę Lensowi. Nawet jeśli dostanie obietnicę powrotu Protektoratu. Nie, w tym przypadku Dragarn spróbuje wziąć rewanż za Kampanię Zachodnią.

- W takim razie dlaczego ten błady wymoczek do tej pory nie zajął Dowless?! - Marszałek rąbnął pięścią w stół. -Skoro jest dla nich taki ważny?

- Edward Drugi zbyt się uwikłał z heretykami - powiedział pouczająco egzorcysta. - Przyjęcie nauczania, opartego na nieprawidłowych podstawach i bez tego bardzo spornego postulatu wielebnego Konrada Kimry, jest niemożliwe dla prawdziwie wierzących. A jeden z przeciwników tej herezji, wielebny Sumlius jest ważną osobą w politycznym układzie Dowless.

- Co to za nauczanie? - spytałem Jacka.

- W miejsce domów modlitwy i klasztorów świątynie Zjednoczenia. A jeśli ktoś do nich nie chodzi, zasługuje na baty.

- Podejrzewamy, że przeor zostanie usunięty w najbliższym czasie — powiedział Parre, ku zdumieniu zebranych. -Należy wychodzić z założenia, że mamy dekadę, może dwie. Nie więcej.

- Możemy nie zdążyć. - Marszałek zabębnił palcami po blacie.

- Oczywiście. - Doradca królewski zamyślił się, dopił wodę, a potem obrzucił siedzących przy stole ciężkim spojrzeniem. - Co nowego wiadomo o... - umilkł na chwilę, ale zaraz opanował konsternację - ...o magii?

- Nie wiem, czy są podstawy, żeby tak to nazywać - poprawił go egzorcysta. - Prędzej powinniśmy mówić o pozaświatowych zjawiskach...

- Mnie nie chodzi o nazwy! - uciał dostojnik. - Co możecie przeciwstawić tym zjawiskom?

- Zakon jest w stanie zapewnić ochronę fortyfikacji, ale w otwartym starciu nie ma szans na sukces.

- Egzorcysta rozłożył ręce. - Nawet egzekutorzy nie zdołali zatrzymać Wyższych.

- Wychodzi na to, że nasza armia jest faktycznie bezbronna. - Królewski doradca przełknął tę gorzką pigułkę.

- Słyszałem plotki, że Wyżsi potrafią zmuszać zmarłych do posłuchu. - Lanye dołał oliwy do ognia.

- To nie są plotki - mruknął z niechęcią Parre. - Jeżeli nie zdołamy wyeliminować Wyższych, nie wygramy wojny.

- Skoro już o tym mowa, udało się wyjaśnić, dlaczego opętani walczą po stronie Lensu? — Marszałek wlepił wzrok w Malkolma.

- Jeszcze nie znamy odpowiedzi na to pytanie - musiał przyznać Parre, a widząc kpiący uśmieszek na ustach Lanye, westchnął ciężko. - Wszyscy nasi ludzie w Lensie zostali aresztowani i straceni od razu po koronacji Edwarda Drugiego, a nowych agentów natychmiast wyławiają szpicle hrabiego Nayla. Nie udało nam się także w swoim czasie przywrócić misji zakonu Wypędzających w Lensie, a teraz jest już zbyt późno.

- Panowie, schodzimy na manowce. — Księżę Alangorski lekko uderzył dłonią w stół. - Przejdźmy do sprawy „Rdzawego Oskarda”. Jest coś nowego?

- Jest! - oznajmił Lanye, wstając. - Dosłownie wczoraj został zatrzymany jeden z byłych więźniów, przebywający na katordze w interesującym nas okresie. Tak, jak przypuszczaliśmy, opętany przez diabła wielokrotny złodziej nie opuścił Stilgu, ale przedstawiał się innym imieniem. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, najważniejszym zadaniem jest obecnie ujawnienie podsuwanych nam przez przeciwnika agentów-marionetek!

- W takim razie ujawniajcie ich, to pańskie zadanie -burknął admirał. - Czego pan chce od nas?

- Chciałbym, żeby mi nie przeszkadzano. - Szef kolegium spraw wewnętrznych przeszedł za krzesło, położył ręce na oparciu. - A jak mamy prowadzić dochodzenie, jeśli jedyny człowiek potrafiący przesłuchiwać opętanych otrzymał przeniesienie do tajnej służby?

- Decyzja o przeniesieniu została już przyjęta, podawanie jej w wątpliwość leży poza pańskimi kompetencjami. - Doradca królewski popatrzył w dokumenty. — Mam nadzieję, Jacobie, że rozumiesz, co mam na myśli?

- Ale...

- Żadnych „ale”. Rozszerzaj współpracę z zakonem Wypędzających, porozumienie w tej sprawie zostało już zawarte. - Dostojnik nie zamierzał wysłuchiwać protestów. - Panie Parre, ma pan głos. Malkolm poczekał, aż Lanye usiądzie, a potem powiedział:

- Udało nam się wyjaśnić, w jaki sposób podczas szturm Nilmary obrońcy zdołali zabić Wyższego.

- Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? - Jacob Lanye świdrował spojrzeniem hrabiego.

- Proszę się uspokoić, Jacobie - ofuknął go doradca królewski. - Proszę dalej, Malkolmie.

- Jakiś czas temu nawiązaliśmy kontakty z ludźmi z kontrwywiadu wojskowego Velmu, którzy opuścili Nilmarę na dzień przed zdobyciem miasta. Według nich, w nocy przed pierwszym szturmem do portu wszedł bark „Perłowy Jednorożec”. W trakcie śledztwa ustalono, że ożagłowanie statku uległo

podczas rejsu uszkodzeniu, przez co zdryfował daleko na południe Starego Morza...

- Po co pan nam to opowiada? - nie wytrzymał marszałek, ale zamilkł, posłuszny władcemu gestowi księcia.
- Marynarze na jednej z wysp uzupełnili zapasy słodkiej wody, a przy okazji zrąbali suchą sosnę, żeby sporządzić tymczasowy maszt. Cieśla już na pokładzie wydobył wbity w drzewo grot i umieścił go na bełcie.
- Chce pan powiedzieć...
- Tak. Właśnie ten pocisk przebił osłony Wyższego jak kartkę papieru.
- O ile pamiętam, to niejedynym razem udało się przebijać panczerze Wyższych... - powiedział Lanye w zadumie.
- Zgadza się. - Malkolm kiwnął głową. - Tylko że nawet nie zauważali ran.
- Wiadomo, gdzie leży ta wyspa? - Admirał zatarł ręce.
- Mamy dziennik pokładowy, ale brzegi są tam skaliste, a przez wewnętrzną zatokę przepływnie tylko płaskodenna łódź.
- A czy to nie był jedynie czysty przypadek? - spytał z powątpiewaniem minister spraw zagranicznych.
- Nawet jeśli tak, mamy obowiązek sprawdzić tę informację - odparł doradca królewski. - Dlatego rozkazuję flocie jak najszybciej przygotować okręt do drogi i razem z kolegium spraw wewnętrznych dobrać odpowiednią załogę.
- Myślę, że mogą nie zdążyć wrócić - odrzekł admirał po chwili namysłu. - Jeśli zaczną się jesienne sztormy, będą musieli zimować na wyspie.
- W obecnym położeniu to niepożądane - odparł twardo książę. - Ekspedycja powinna wrócić na czas!
- Człowiek strzela, Święci bełty noszą - upierał się przy swoim dowódca floty wojennej. - Można wyprawić na wyspę okręt z większym ładunkiem prowiantu, ale pod banderą Nilmary. W razie trudności na zimę wystarczy jedzenia, a okręty Stilgu nie mają czego szukać na tamtych wodach.
- No cóż, nie zamierzam w tej sprawie protestować. - Doradca królewski zgodził się z argumentami i rzekł do ponurego marszałka: - Mam nadzieję, że armia zdoła wystawić kilkudziesięciu krzepkich ludzi?
- Ależ my sami... - zaczął admirał.
- Niewątpliwie — ożywił się hrabia Ilme.
- Niech będą gotowi na jutro rano. — Książę Alangorski skinął łaskawie dłonią i mówił dalej: - Ekspedycją pokieruje dowódca straży pałacowej, hrabia Luringa. Zakon egzorcystów będzie reprezentować brat Bernard. Z ramienia tajnej służby... - spojrzał pytająco na Malkolma.
- Sebastian Mart - podpowiedział Parre.
- Dobrze. — Doradca królewski kiwnął głową. - Jacobie...?
- Ode mnie William Chasmarti, mówiłem wam o nim, wasza jasność - powiedział Lanye.
- Są jeszcze jakieś pytania? - spytał książę i odczekał chwilę. - Nie? W takim razie nie będę panów dłużej zatrzymywał.

III

Pojechaliśmy do siedziby tajnej służby, znajdującej się niedaleko placu Trzech Kanałów. Był to niepozorny, szary budynek ze stajniami na podwórzu z tyłu, obok mulistego kanału, którego mętne wody z rzadka przecinały kadłuby łódek.

Wewnątrz dom nie wyglądał wcale lepiej: odrapane ściany, uginające się pod nogami deski podłogi, skrzypiące drzwi, a do tego ledwie wyczuwalny zapach wonności.

- Każdego ranka budynek wizytują egzorcyci - wyjaśnił Parre, widząc, że węszyć ze zdziwieniem. - Raz na dekadę sprawdzamy wszystkich współpracowników.
- Lanye jakoś bez entuzjazmu odniósł się do podjęcia wspólnych działań z zakonem. - Czujnym

spojrzeniem zlustrowałem przygotowany dla mnie pokój. Stół, krzesło, łóżko i umywalnia. Jedyne okno zostało zabezpieczone solidnymi okiennicami.

- Myślisz, że uśmiecha mu się dzielić swoimi tajemnicami? - Malkolm parsknął śmiechem. -

Rozgość się, tutaj przenocujesz.

- Jeszcze jedno pytanie — zatrzymałem hrabiego, który zamierzał już odejść do swoich zajęć. - Czy nie lepiej było zwyczajnie dogadać się z admirałem i popłynąć bez tej całej pompy?

- To nie takie proste - westchnął Malkolm, ale nie zamierzał mi nic więcej tłumaczyć. - Zaraz przyślę kogoś, żeby cię zaprowadził do zbrojowni.

- A co z obiadem?

- Dostaniesz. - Hrabia poszedł ku schodom, ale w pół drogi przystanął, żeby mnie ostrzec: - Jeśli wrócicie z pustymi rękami, nie zdołam cię uchronić przed Lanye. Pamiętaj o tym.

- Doskonale to rozumiem — odparłem.

A czego tu nie rozumieć? Przegrasz, to cię zarzną. Wszystko jak zawsze, tylko stawki teraz były wysokie jak rzadko, a i do koryta ustawiła się długa kolejka. Ale to przecież nie pierwszy raz, a jeśli Święci pozwolą, nie ostatni...

Obejrzałem swoją komnatkę i postanowiłem chociaż chwilę odetchnąć, więc w ubraniu rzuciłem się na niepo-ścielone łóżko. Sam nie zauważyłem, kiedy zapadłem w niespokojny sen. I nic dziwnego, bo przecież ostatniej nocy za wiele nie pospałem. Jakoś nie było okazji...

Kiedy otworzyłem oczy, na stole stała taca z glinianym garnuszkiem, dzbanem i kubkiem. W garnku było mięso pieczone z warzywami, w dzbanie cydr. Szybko zjadłem, popiłem i z kubkiem w dłoni wgramoliłem się na szeroki parapet, uchyliłem okiennicę. Na zewnątrz nie zobaczyłem nic ciekawego. Zawalone różnymi gratami podwórze, wysokie ogrodzenie, mętna woda i pociemniałe od wilgoci kamienie na brzegu kanału. Dalej niepozorne zabudowania, pokryte nierówną dachówką, z wywieszoną na sznurach bielizną i kupami śmieci. Niezła miejscówka...

Do drzwi zastukano, kiedy już dopiłem cydr, a mój wzrok ślizgał się wzdłuż krętej szczeliny okrążającej zdobiony sufit.

- Panie Mart. - Niepozorny mężczyzna po czterdziestce odkasznął. - Otrzymałem polecenie, aby zaprowadzić pana do zbrojowni.

- No, skoro polecenie... - Zeskoczyłem z parapetu. - Mam nadzieję, że nie dotyczy tylko samej broni?

- Nie tylko. - Puścił mnie przodem. - Jeśli czegoś nie będziemy mieli w arsenale, przygotowujemy na jutro rano.

- To znakomicie. - Uśmiechnąłem się, pomacałem kłujący podbródek i postanowiłem przy pierwszej okazji zdobyć skądś brzytwę.

Ostatni raz byłem w zbrojowni pięć lat wcześniej, ale przez ten czas nic się tutaj nie zmieniło. A tak w ogóle, nazywanie tego podziemia arsenalem nakazywała chyba tylko tradycja. W rzeczywistości już dawno przekształcił się w wielki i zawalony różnymi sprzętami skład, z którego trzewi pracownicy wydobywali rzeczy potrzebne agentom „na wczoraj”.

Nikogo nie dziwiło, że wytarty do połysku na łokciach surdut pisarza wisi obok szykowej sukni, a płaszcz poborcy podatków z Norveimu został niedbale narzucony na mundur kapitana stołecznej Straży. Broni też nie brakowało: miecze, kiścienie, szable abordażowe, topory, halabardy, kusze i inne przedmioty służące do zabijania zajmowały kilka wcale niemałych pomieszczeń. A jeszcze pancerze, pociski, końskie uprzęże...

- Czym mogę służyć? - Siedzący przy pochyłym biurku brodacz oderwał się od grubej książki i odgarnął opadające mu na oczy kudły. Ogniki świec w stojącym po jego lewej ręce kandelabrze zdrząły, po ścianach przebiegły cienie.

- Parę kompletów bielizny, koszulę, spodnie, watowany kaftan i portki. Pas, rękawice, brzytwę,

deszczowiec, lekką kolczugę bez rękawków, pałasz abordażowy i sztylet do pary. Noże... Noże sam sobie dobiore.

Powiedziałem to na jednym wydechu, poczekałem aż kudłaty zapisze moje zamówienie na osobnej kartce, a potem mówiłem dalej:

- Krzesiwo i hubkę oraz parę osełek. I jeszcze butelkę piołunowej nalewki.
- Dostęp do „szarej” komnaty załatwiony? - Brodacz oderwał się od notatki.
- Załatwiony - potwierdził mój przewodnik.

W „szarej” komnacie składowano rozmaite eliksiry i mikstury, z których znaczna część mogła w mgnieniu oka wyprawić człowieka na spotkanie ze Świętymi.

- Chwilę. - Brodacz machnął ręką uzbrojoną w gęsie pióro, a na blacie pojawiły się nowe kleksy. - Maks!

Zza kotary, zasłaniającej boczne drzwi wyskoczył młody chłopaczek, bez słowa zmierzył mój wzrost, szerokość ramion, obwód piersi, szyi i głowy, a potem pobiegł z powrotem. A ja w towarzystwie mężczyzny poszedłem do pomieszczenia z nożami.

Na ścianach i półkach można było zresztą znaleźć nie tylko noże, ale też garoty, sztylety proste i zakrzywione, gwiazdki do miotania, laski z ukrytymi ostrzami i inne, strzelające zatrutymi igłami. Do tego kastety zwyczajne oraz zaopatrzone w kolce, składane pałki, struny, zaostrome spinki i szpilki, przypominające miniaturowe włócznie.

I chociaż podobne sprzęty nie były mi do niczego potrzebne, zatrzymałem się tutaj na dłużej. Niestety, konieczność wyprawienia bliźniego bez hałasu i śladu na tamten świat zachodzi o wiele częściej, niż to się wydaje. Szczególnie gdy w grę wchodzi sprawy podobne do tej, w którą mnie wplątano. Z boku wszystko wygląda nieco inaczej...

W rezultacie dobrałem parę noży, na wszelki wypadek wsunąłem do kieszeni garotę i oczywiście nie zapomniałem o szydle. Jeśli trzeba zrobić w kimś śmiertelną dziurkę, a przy tym nie ubrudzić się krwią, taki drobiazg bywa bardzo przydatny.

- Już wszystko? - spytał oparty o framugę niepozorny mężczyzna.
- Wszystko — odparłem i poszedłem do brodacza.

Ten skrupulatnie wpisał każdą sztukę do księgi i wskazał na stół w drugim kącie pomieszczenia. Leżały tam pozostałe zamówione rzeczy.

Przejrzałem szybko drobiazgi, a potem wyjąłem z pochwy pałasz. Leciutko wygięta klinga, zakrywająca całą dłoń garda, wewnątrz wyłożona skórą. Potem spojrzałem na puncę. To nie był skrzydlaty trójzęb królewskiej kuźni, ale wyszczerzony wilczy pysk. W rękę oręż leżał jak trzeba, a miałem nadzieję, że nie będę go musiał używać.

Sztylety przynieśli dwa. Wybrałem ten z wąskim prostym ostrzem i plecioną gardą. Z odzieżą też nie było problemów. Rękawice nie obciskały, kapelusz leżał jak ulał. Kolczuga okazała się wprawdzie zbyt obszerna, ale pomocnik brodacza zapewnił, że na rano zostanie dopasowana.

Otworzyłem butelkę i powąchałem zawartość. Bez wątplenia piołunówka. Wprawdzie nie przypuszczałem, żebym miał otrzymać coś innego, ale zawsze warto sprawdzić.

- Były jeszcze jakieś polecenia? - spytałem towarzysza.
- Nie. - Pokręcił głową, spisując na osobnej liście całe wyposażenie.
- W takim razie poproszę jeszcze motek nici, igłę i napałek oraz trochę niepotrzebnych skórzanych ścinków. - Schowałem butelkę do kieszeni żaglowej kurtki, zacząłem składać dokładnie rzeczy i chować je do podróżnego worka. - No i nie zaszkodziłby jeszcze jeden dzban cydru...

Musiałem wstać przed świtem. Ponuro spojrzałem na mężczyznę, który nie raczył mi się jeszcze przedstawić i zlałem z łóżka. Szybko umyłem twarz. Otworzyłem okno, wyjrzałem.

Na razie było rześko, ale dzień przewidywałem gorący, mimo panującej jesieni.

Żeby się nie wyróżniać w tłumie, nie brałem ze sobą pałasza ani sztyletu, wsunąłem tylko noże w

pełne przyszyte wewnątrz kurtki, po czym wyszedłem do czekającego na korytarzu niepozornego.

- Do portu? - spytałem.

- Do portu - odparł i ruszył w dół po schodach.

Westchnąłem ciężko i poszedłem za nim. Po przemyśleniu sprawy na chłodno, pomysł Malkolma wydawał się najczystszej wody szaloną awanturą. Nie, jeśli w rzeczy samej zdobędziemy te groty, notowania Parre pójdą mocno w górę, chociaż on i jego patroni ryzykowali, że nic z tego nie wyjdzie. A wtedy konkurenci, niezadowoleni z mocnej pozycji tajnej służby, nie zawahają się zepchnąć go w przepaść. A co najgorsze, ja w razie niepowodzenia nie mogłem liczyć na jakiegokolwiek względy.

Do portu dostarczono nas w tej samej karecie królewskiej tajnej służby. Stangret gnał na złamanie karku po pustych ulicach, więc nie dane mi było zdrzemnąć się nawet na chwilę. Zresztą, sen od razu mnie odbiegł, kiedy parę razy wyrznąłem potylicą w twardą ściankę, gdyż pojazd podskakiwał na wybojach.

Nic zatem dziwnego, że na miejsce dojechałem w nienajlepszym nastroju. I nie poprawiła go na pewno szczegółowa odprawa przy wjeździe na teren należący do marynarki wojennej. Skrupulatni wartownicy sprawdzili wszystko i tylko interwencja przydzielonego czasowo do dzielnych marynarzy urzędnika kontrwywiadu floty ugasiła rozpalający się spór. Wprawdzie mój towarzysz był człowiekiem spokojnym i zrównoważonym, ale nawet jemu zaczęły w pewnej chwili puszczać nerwy...

Następny kordon zabezpieczał pirs, z którego na szykowaną do drogi fleutę odpływały łodzie z prowiantem, beczułkami ze słodką wodą i ceramicznymi kulami, zawierającymi mieszanek zapalającą. Sam okręt - a właściwie statek transportowy zamieniony w okręt dzięki uzbrojeniu — ze zwiniętymi żaglami kołysał się spokojnie na falach.

Tych wartowników ominęliśmy bez większych kłopotów. Może dlatego, że tutaj dowodzili nie urzędnicy floty, ale ludzie przydzieleni z kolegium spraw wewnętrznych. Był też przedstawiciel tajnej służby. Niepozorny porozmawiał ze znajomkami, a ja skierowałem się do Pratta, wpatzonego w powierzchnię wody.

- Co nowego?

W odróżnieniu od rudego przechery, widok morza zupełnie mnie nie interesował. Podobnie jak widok okrętu. Bo co w tym wszystkim może być ciekawego? Trzy maszty ze zwiniętym ożagłowaniem. Ledwie poruszana słabym wiatrem białoniebieska bandera marynarki wojennej Stilgu, na której leniwie wyginał się wąż morski. Kilka ustawionych przy burcie balist. Miotacze pocisków na dziobie i rufie. To wszystko.

— Jak myślisz, jest szansa, żeby któryś z tych chłopaków wypłynął, gdyby wypadł za burzę? — Pratt puścił moje pytanie mimo uszu i wskazał na żołnierzy w półpancerzach strzegących pokładu. — A może od razu na dno?

— Gdyby zdążył rozpiąć paski, może by i wypłynął -ziewnąłem szeroko.

Z kolczugą taka sztuka by się nie udała, więc powinienem unikać przymusowej kąpieli.

— Chyba masz rację — odpowiedział Pratt jakoś niewyraźnie.

— Coś taki skwaszony? — nie wytrzymałem.

— Na mnie zwalili odpowiedzialność za dobranie załogi. - Jack zaczął oglądać swoje pierścienie.

- Ale zdanie Chasmartiego znaczy więcej niż moje. Tak to wygląda.

— Ale w czym problem?

— Na razie w niczym. Ale jeżeli któryś z marynarzy narobi głupot, będą komplikacje. A winą obarczą mnie, nie tego wypierdka.

— Masz czas się przygotować, jakby co.

— Idź już. - Rudy wskazał zmierzającego ku nam marynarza. -Jak będziesz wolny, wpadnij do „Złamanej Marki”, tam pogadamy.

— Dobrze. — Spojrzałem w zadumie na przyjaciela. Bardzo mi się nie podobał wyraz jego oczu.

Nerwy go zjadały? Za dużo wziął na siebie?

— Jeszcze jedno. — Przytrzymał mnie za rękę. — Nie pokazuj swoich zdolności ludziom. Wiesz, żeglarze to ludek przesądny i tak dalej.

— Będę pamiętał. - Kiwnąłem głową i poszedłem do czekającego opodal marynarza.

- Pan Mart? - spytał.

- Tak.

- Mam rozkaz dostawić pana na pokład „Jaskółki”, kiedy tylko się pan zjawi.

- Skoro rozkaz, jestem do dyspozycji...

Wsiadłem do podrygującej przy pirsie szalupy, a czterech wioślarzy szybko dostarczyło nas na fleutę. Marynarzyk został w łodzi, a ja wdrapałem się na burtę po drabinie linowej. Na szczęście nikt na pokładzie nie zadawał mi nudnych pytań. Przechadzający się po pokładzie w towarzystwie młodzieńczego kapitana porucznika Will Chasmarti machnął ręką i żołnierze straży nabrzeżnej zostawili mnie w spokoju.

Korzystając z sytuacji, podszedłem do klęczącego egzorcysty, który rysował na deskach pentakl. Sporządzał go proszkiem, przypominającym zwykłą mąkę, tyle tylko, że w odróżnieniu od mąki, przesypany się przez palce pył spadał ciężko i przylegał mocno do drewna.

- Załoga liczy pięć tuzinów ludzi - powiedział cicho ktoś za moimi plecami. — Jaka jest możliwość, że wśród nich trafi się opętany?

- Biorąc pod uwagę cel naszej podróży, opętany może się okazać każdy - odparłem.

- Lepiej przeszacować, niż niedoszacować? - rzekł z uśmiechem hrabia Luringa. - Rozpoznaję tryb tajnej służby...

- Tak jest, panie hrabio. - Również uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

Mój rozmówca był młody, o ujmującej prezencji i uczciwej, otwartej twarzy. Oczy miał niebieskie, włosy jasne, a wąsy jakby spłowieły do białości na słońcu. Mojego wzrostu, ale w ramionach nawet szerszy. I zamiast głupiej paradnej szabli przypasał prosty miecz z porządną gardą.

- Raul, po prostu Raul. - Poklepał mnie po ramieniu. - Po co takie formalności? Sebastian Mart, jeśli się nie mylę?

- Nie myli się pan - potwierdziłem. Zauważyłem na palcu nie przywiązanego wagi do etykiety Raula złoty hrabiowski pierścień z herbem. No, no...

- Tak właśnie, Sebastianie... - Dowódca straży pałacowej wskazał egzorcystę. - Jeśli w załodze ukrył się opętany, można go ujawnić?

- Wszystko zależy od doświadczenia tego, kto będzie się tym zajmował. - Wzruszyłem ramionami.

- Bernard to jeden z najbardziej doświadczonych egzorcystów zakonu Wypędzających. - Podszedł do nas Chasmarti, który zostawił w spokoju kapitana porucznika. Młodzieniec mógł wreszcie spokojnie nadzorować wyładunek.

- W takim razie nie ma się czego obawiać, jeśli tylko...

- Jeśli tylko co? - spytał Raul od razu.

- Jeśli tylko na pokładzie nie znajdzie się marionetka.

- Ale prawdopodobieństwo jest na tyle małe, że można go nie brać pod uwagę - odparł Will z zadowoloną miną.

- Właśnie — poparłem.

Usłyszeliśmy świergot bosmańskiej świstawki, załoga zaczęła się gromadzić na pokładzie. Dołączyli do niej przydzieleni na wyprawę żołnierze, a Bernard wstał z kolan.

- Wszyscy są? - Will Chasmarti potoczył wzrokiem po zgromadzonych. - Panie Silone?

- Tak, można zaczynać. — Najwyraźniej zdenerwowany kapitan porucznik założył ręce za plecy. W swoim modrym mundurze z ciemnozielonymi wyłogami i w zielonym trójgraniastym kapeluszu wyglądał zupełnie jak mały chłopaczek. Komu innemu taki strój nadałby cechy wilka morskiego, ale ten przypominał raczej wróbelka. Ktoś postanowił ulubionego krewniaka przepchnąć na drabinie kariery

przez parę szczelbi na raz?

Urzędnicy z kolegium spraw wewnętrznych zaczęli przeliczanie, uważnie przyglądając się każdemu marynarzowi, korzystając z otrzymanych od kontrwywiadu floty opisów, a egzorcysta zaczął rozpalać stojące na szczytach pentagramu świece. Zielonkawe płomyki stały równo i nieruchomo pomimo wiatru. Po pokładzie zaczął się rozchodzić zapach wonności, ktoś zakaszał.

- No, jeszcze chwila... — sapnął przez zaciśnięte zęby Will Chasmarti. Niepokoił się? Oczywiście. Jeżeli na pokładzie znajdzie się opętany, to odpowiedzialność spadnie nie tylko na samego Pratta. Będzie przemawiało przede wszystkim na niekorzyść całego kolegium spraw wewnętrznych.

Uważnie obserwując napięte twarze marynarzy, nie od razu zwróciłem uwagę na recytującego jakąś smętną modlitwę Bernarda. Lecz naraz głos egzorcysty przeszedł w krzyk, świece zgasły, a wyrysowane białym proszkiem linie wpisanego w koło pentagramu poszarzały.

Poczułem jakby ktoś mnie potężnie uderzył w pierś, z oczu pociekły łzy, a zagnane na samo dno duszy diabły zawyły z przerażenia, nie chcąc wracać do przyprawiającej ich o szaleństwo okrutnej pustki. W ostatniej chwili zasłoniłem się przed strzelającymi ku wierzchołkom masztów niewidocznymi płomieniami. Osłoniłem siebie i diabły. Brat Bernard rzeczywiście był doświadczony i sprawny - widmowy ogień otoczył całą fleutę i w jednej chwili spalił w proch a potem rozwiął najmniejsze nawet okruchy ohydy.

Tylko że... Jeśli na pokład przekradł się nie zwyczajny opętany, ale marionetka, to ten pomiot pustki stał teraz i patrzył beczelnie na mokrego z wysiłku egzorcystę. Chociaż pozbawiono go pozaświatowej mocy, nie został odesłany. A to znaczyło, że trzeba zachować czujność, nadstawiać ucha i nie ujawniać swoich zdolności. Rudy miał całkowitą słuszność: jeśli nie chcę, aby ktoś mi poderzwał pewnego dnia gardło, muszę zachować najdalej idącą ostrożność.

- Wszystko dobrze? - Raul Luringa potrząsnął mnie za ramię.

- Tak.

- Nie zauważył pan nic niezwykłego?

- Nie. - Pokręciłem głową. — Brat Bernard zrobił wszystko, jak trzeba.

- A co ja mówiłem? - powiedział wielce zadowolony Will. Otarł z kącika oka łzę, po czym zwrócił się do kapitana porucznika: - Wyruszamy z wieczornym odpływem?

- Tak, do odpływu wszystko będzie gotowe. - Zamyślony chłopak przygryzał wargi. - Panowie, jeśli życzyście sobie zejść na brzeg, każe przygotować szalupę...

- Być może później - odparł hrabia Luringa i gestem poprosił Chasmartiego na stronę. Za to ja od razu postanowiłem skorzystać z możliwości odwiedzenia stałego lądu.

- Będę bardzo zobowiązany...

- Tylko proszę się nie spóźnić - przestrzegł mnie Chasmarti.

- Będę uważał - odpowiedziałem z uśmiechem.

* * *

W ostatnich latach „Złamaną Marką”, średniej parszywości knajpą w dzielnicy portowej, zarządzał przez podstawionych ludzi Vick Reja, znacząca postać w przestępczym świecie stolicy. I czy przyczyną była protekcja znanego rzezimieszka, czy przysłowiowa już bezwzględność wykidajłów, ale bijatyki w tym miejscu zdarzały się rzadziej, niż na pałacowym dziedzińcu.

- Czekaj tutaj — nakazałem wyłazącemu za mną z karety niepozornemu i rozejrzałem się uważnie. Nie dostrzegłem nic niezwykłego, wszystko wyglądało jak zawsze.

Na rogu zawodziły żebraczki, na targu staroci jak zwykle tłum, kręcące się w porcie wyrostki taszczyły na sprzedaż ryby, niekiedy zdobyte dzięki pracy, niekiedy zaś skradzione. Na to wszystko zaś patrzyło dwóch opasłych strażników. Jakiś wyglądający na kaznodzieję człowiek bredził o wielkości lasu, ale jego słowa nie znajdowały drogi do serc praworządnych mieszczan. Jaki las, jakie drzewa? O czym mówić, skoro właśnie ryba podrożała...

Zszedłem po schodach, nad którymi wisiał odrapany szyld „Pod Złamaną Marką”, otworzyłem obite żelaznymi sztabami drzwi i zajrzałem. Ciemno. I pusto. Najwyraźniej zbyt wcześnie dla bywalców. A może jeszcze nie obsługują?

- Wejdz, wejdz - zaproponował (niesłuchanie uprzejmie jak na tutejszego wykidajkę) oparty o ścianę młody mężczyzna. Z nudów podrzucał w powietrze i łapał pałkę. - Stół w kącie.

Tak - stół w kącie. A w kącie ciemno. Przy stole jeden człowiek.

To widziałem. Nie widziałem tylko, kto właściwie na mnie czeka.

Zdrowy rozsądek nakazał zakładać, że to Jack, ale ręka mimowolnie sięgnęła po szyld. Nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki mogą wyskoczyć przy takiej sprawie. A poza tym, ciągnąłem za sobą ciężki ogon z przeszłości. A nuż ktoś postanowił wyrównać rachunki?

- Jak poszło?

- Zwyczajnie. - Kiedy usłyszałem głos przyjaciela, udałem, że tylko poprawiałem połę kurtki.

Podszedłem do stołu. - Twój William o mało nie narobił w portki, kiedy egzorcysta sprawdzał załogę.

- Nie jest mój - burknął Pratt. - Ale chciałbym wiedzieć, czyj...

- Wykupiłeś na dzisiaj knajpę, czy co? - Rozsiadłem się wygodnie.

- Gdzie tam, po prostu poprosiłem, czy nie mógłbym posiedzieć do otwarcia. Za to wszyscy od razu wiedzą, że przylazłeś tutaj pogadać ze starymi przyjaciółmi.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Od kogo zaczniemy?

- Może od wschodzącej gwiazdy kolegium spraw wewnętrznych? Nie szczerz się, nie o tobie mówię, tylko o Chasmartim.

- A idź ty! - Pratt zrobił kwaśną minę. - Piwa?

- Nie mogę, sprawy mam. Na okręcie się napiję.

- Ja też mam... sprawy. - Jack popatrzył do kubka. - Ale mimo to piwa sobie nie odmówię.

- Więc co z Chasmartim?

- William Luigi Chasmarti urodził się trzydzieści dziewięć lat temu w rodzinie zagrodowego szlachcica na terenie obecnego Protektoratu - zaczął deklamować Pratt z przymkniętymi oczami. - Ojciec pochodził stamtąd, matka była poddaną Stilgu. Po nieudanej próbie uzyskania autonomii przez diasporę ze Stilgu, rodzina Chasmarti razem z innymi uchodźcami zbiegła przez granicę. William wstąpił do armii, ale karierę robił opornie...

- Aż nadeszła Kampania Zachodnia - odgadłem.

- Właśnie. Dosłużył się stopnia kapitana kuszników. Opinie towarzyszy broni wyłącznie dobre.

- Co dalej?

- Dalej zawiesił na nim oko kontrwywiad wojskowy. I tam właśnie służy aż do dzisiaj.

- Działania pacyfikacyjne prowadził?

- Nie mam informacji na ten temat, ale pacyfikatora Lanye by nie wziął.

- Też prawda.

- W zasadzie to wszystko. Nie udało mi się ustalić, czyim jest protegowanym. Ale karierę zrobił zawrotną. Od nieznanego współpracownika prowincjonalnego oddziału do zaufanego człowieka Lanye. I zajęło mu to ledwie półtora roku. To jeszcze nikomu wcześniej się nie udało.

- A może jest agentem Dragarnu? Napomknij naszym.

- Bardzo śmieszne. - Jack obrzucił mnie mrocznym spojrzeniem, a potem westchnął ciężko i machnął ręką. — Nie, sam o tym myślałem, ale...

- Dobrze. A Luringa?

- Z tym wszystko jasne. - Osoba hrabiego rudemu była obojętna. - Trzeci syn księcia Morre. Książę dał synkowi ciepłą posadkę, ale ten, o dziwo, tak dziarsko wziął się do pracy, że teraz straż pałacową zaczęto traktować naprawdę poważnie. Nie znam okoliczności tej sprawy, ale powiadają, że jedną z

pierwszych marionetek własnoręcznie porąbał na kawałki...

- Nieźle!

- Mało powiedziane. Ma dobre zadatki, ale jest jeszcze młody.

- Lecz jeśli wszystko jest tak dobrze, to dlaczego wdał się w tę awanturę?

- Mówię przecież, że młody. Nie myśli tym, czym powinien, kiedy idzie o piękne kobiety.

- Przy jego pozycji można to wybaczyć. - Wzruszyłem ramionami.

- On też tak myślał. Do czasu, aż podstawili mu dziewczynę, do której nie powinien nawet

podchodzić. Z pałacu go oczywiście nie wyrzucili, bo to w końcu hrabia, ale karierę ma złamaną. Sam wiesz, że jeśli nie idziesz naprzód, zacznasz powoli grzęznąć w bagnie. Za pięć lat nikt nie będzie pamiętał, jakie w nim pokładano nadzieje.

- Wychodzi na to, że można mu zaufać?

- Do pewnego stopnia. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Parre całą tę awanturę urządził po to, aby zyskać protekcję księcia.

- Wątpię w to. - Pokręciłem głową. Malkolm myślał o wiele szerzej. Chociaż na pewno miał na uwadze korzyści. - Dobrze, opowiedz mi o marionetkach.

- A co mam opowiadać? Jakbyś sam nie wiedział.

- Nie certuj się, nie mamy za wiele czasu.

- O ile zwykłego opętanego od razu można rozpoznać, to te bestie zachowują się jak zwykli ludzie. I egzorcyści nie zawsze potrafią ich wyczuć. Co mądrzejsze diabły tak podobno działają.

- A to nie są przypadkiem Wyżsi?

- Na pewno nie.

- Skąd ta pewność?

- Egzorcyści sprawdzili. Uważają, że niektórzy ludzie z natury mają zdolności do sterowania ohydą.

I jeśli w takiego wejdzie diabeł, to zostanie Wyższym. A marionetka w porównaniu z Wyższym to zwyczajne nic. Tyle, że jest w stanie ukryć się przed egzorcyściami. Ale dobrze mówisz, mają ze sobą coś tam wspólnego.

- Pozostało tylko wyjaśnić, co. - Wstałem, poprawiłem kurtkę. - Dzięki za informacje. Nie daj się zjeść.

- Do zobaczenia. — Jack dopił piwo i poszedł w stronę tylnego wyjścia.

Odprowadziłem go wzrokiem i też wyszedłem. Rozmowa niewiele mi wyjaśniła. Zarówno Luringa, jak i Chasmarti byli zainteresowani powodzeniem ekspedycji. Weszli do gry i nie mieli już wyboru. Cóż, będę żywił nadzieję, że właśnie tak jest...

Kontynuując rozmyślenia o możliwym rozwoju wypadków, pokonałem schodki i ruszyłem ku stojącej przy skrzyżowaniu karety. Kątem oka zauważyłem pełznący po odrapanej ścianie słoneczny odbłask i rzuciłem się odruchowo w bok. Mgnienie oka później za moimi plecami wyrósł człowieczek, ściskający w dłoni wąski nóż.

Chwyliłem niedoszłego zabójcę za rękę, przerzuciłem wątłe ciało przez biodro i od razu poprawiłem butem, ale chociaż zdechłak przyłożył z rozmachem o bruk, zdołał się przetoczyć, dzięki czemu uniknął kopniaka. Natychmiast poderwał się i rzucił do ucieczki. Pognałem za nim, człowiek Malkolma Parre zeskoczył z kozła i pobiegł, żeby przeciąć mu drogę. Oszołomiony takim obrotem sprawy człowieczek zapomniał wyrzucić nóż, za co natychmiast zaplącił.

Bo co miałyby zrobić zmęczony służbą w jednej z najgorszych dzielnic stolicy strażnik, kiedy wprost na niego, roztrącając przechodniów, runął jakiś wariat z ostrzeni w dłoni? Po prostu powinien uderzyć pierwszy, jeśli tylko zdoła. Zdołał.

Człowieczek podskoczył jak zając, uchylił się przed mierzącym w jego głowę krótkim mieczem piechoty. Cudem uniknął wyszczerbionej klingi tylko po to, żeby zostać łatwym łupem dla drugiego zbrojnego. Ten już nie chybił. Uderzył jak na ćwiczeniach — z całej siły, na skos, rozrąbał obojczyk i

skruszył niezbyt ostrą głownią górne żebra.

Cios w rzeczy samej wyszedł jak trzeba, więc kiedy doskoczyłem do zalanego krwią ciała, zabójca już skonał.

- Piechota? - spytałem oszołomionego strażnika i przykucnąłem przy trupie. Mój towarzysz zdążył już okazać odznakę, więc oba kołki stały na baczność.

- Siódmy gwardyjski.

- Zuch.

W kieszeniach nieboszczyka nic nie znalazłem. Kiedy skończyłem przeszukanie, obejrzałem dłonie i szyję niedoszłego zabójcy, przewróciłem go na plecy, popatrzyłem na twarz. Nigdy przedtem go nie widziałem. Rozerwałem koszulę trupa, dostrzegłem niebieskiego pająka pod sercem. Splunąłem i wyprostowałem się.

- Chodźmy. - Niepozorny pociągnął mnie za sobą.

Uznał, że nie byłoby rozsądnie sterczeć w miejscu nieudanego zamachu, na oczach wszystkich. Zabity mógłby mieć wrywnych przyjaciół, gotowych odprawić mnie w siad za nim.

Nie zamierzałem dyskutować z moją eskortą i pośpieszyłem do karety. Wsiadłem do środka, zatrzasnąłem drzwi i otarłem czoło. Mało brakowało. Ale kto? I za co?

- Spotkanie się nie udało? - spytał niepozorny.

- To zupełnie co innego. - Potrząsnąłem głową.

Gdyby to Jack chciał mnie usunąć, po prostu nie wyszedłbym z szynku. Zniknąłbym. Rozpłynął się w powietrzu. I być może po kilku dniach wypłynąłbym w jednym z pobliskich kanałów. A może i nie wypłynął. Nie, rudy przechera jeszcze nie oszalał, żeby wynajmować ulicznego rzeźmieszka. Tym bardziej, że sądząc po jedynym tatuażu - „pająku sierotce” - człowieczek nie był mistrzem w rzemiośle zabijania, ale nieudacznikiem, który postanowił zarobić na mokrej robocie. A zatem była to albo bardzo chytra intryga, albo dopadła mnie przeszłość. Może ktoś zauważył mnie w porcie i śledził?

Bez kolczugi w ogóle nie powinienem wychodzić na ulicę. A w ogóle najwyższa pora wracać na okręt. Za spóźnienie Parre skórę ze mnie złupi. I żeby tylko on - kolejka się do mnie ustawiła.

Kiepska sprawa...

V

Do portu dojechaliśmy na czas. Wskoczyłem z karety, poruszyłem ramionami, próbując przywyknąć do włożonej pod kurtkę kolczugi, a potem podszedłem do szalupy. Skinąłem znajomemu marynarzowi, usiadłem i przytrzymując pochwę z zabranym po drodze pałaszem, zacząłem obserwować fleutę, na której trwały końcowe przygotowania do podróży. Żołnierze straży nabrzeżnej ładowali się na podpływające do okrętu łodzie, marynarze pracowali na rejach, słychać było przenikliwy dźwięk bosmańskiej świstawki.

Aż dziw, że tyle lat przeżyłem w pobliżu morza, a ta cała marynarska wiedza była dla mnie niczym zamknięta księga. Głowę miałem zajętą czym innym. A teraz na starość miałem zostać żeglarzem ... Hm... Może nie tak zaraz żeglarzem i niekoniecznie na stare lata, ale, jak by nie patrzeć, los spłatał mi niezłego figła.

Ciekawe, ile czasu spędzimy na morzu? Parre nie uronił w tej kwestii ani słowa, ale powinniśmy koniecznie powrócić, zanim zaczną się jesienne sztormy.

- Już myśleliśmy, że postanowiłeś zostać. - Will Chasmarti ostentacyjnie uchylił wieczko zegarka, kiedy już wszedłem na pokład i oparłem o nadburcie, obserwując krzątanie na pirsach.

- Myśleliście? Czy mieliście nadzieję?

- Można i tak powiedzieć - Chasmarti nie zamierzał udawać, że cieszy go moja obecność. Odwrócił się na pięcie i poszedł męczyć kapitana porucznika.

- Widzę, że jesteście na noże? — Raul Luringa zmrużył oczy przed odblaskami zachodzącego słońca, migocących na falach.

- Ależ skąd, panie hrabio, nic podobnego! - zaprzeczyłem. - To taka pozorna wrogość między tajną

służbą a kolegium spraw wewnętrznych. Tradycja.

- Proszę mi nie hrabiować, przecież to ustaliliśmy - upomniał mnie. - Mam nadzieję, że ta pozorna wrogość nie doprowadzi do prawdziwych kłopotów?

- Wręcz przeciwnie. W rezultacie wyjdzie tylko na dobre. Każdy będzie o wiele bardziej odpowiedzialnie traktować swoje zadania, wiedząc, że każdy błąd zostanie zauważony.

Żagle załopotwały na wietrze, fleuta drgnęła, ale hrabia nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Skoro już o tym mówimy, wiem, co należy do obowiązków Chasmartiego, ale jeśli chodzi o pana, Sebastianie, nikt nie potrafił mi powiedzieć nic sensownego.

- Nie wdając się w szczegóły, polecono mi obserwować poczynania brata Bernarda.

- Tylko obserwować?

- Jeżeli zajdzie taka konieczność, poprawiać jego niedociągnięcia. Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Uważa pan, że w załodze nie ma opętanych?

- Tak uważam, bo to mało prawdopodobne. - Obrzęd rzeczywiście powinien oczyścić okręt od kilku po czubki masztów, ale marionetki... - A wie pan może, jak dobierano załogę „Jaskółki”?

- Nijak - prychnął hrabia. - Po prostu wyznaczyli do zadania pierwszy lepszy okręt i padło na tę fleutę, a potem odesłali z pokładu wszystkich, którzy budzili jakiegokolwiek podejrzenia.

- Nie zakrętowali w zamian nowych ludzi?

- Nie. I nie pozwolili nikomu zejść na brzeg. Co, naturalnie, niesłychanie uradowało marynarzy.

- To dobrze. - Nieco się rozluźniłem. Na jakiejś tam zapyziałej fleucie raczej nie podstawiano by marionetek. Inna sprawa to dobrani do zabezpieczenia wyspy piechurzy. - Ktoś wie o zadaniu, które nas czeka, albo w ogóle o samym celu podróży?

- Pan i Chasmarti zadajecie jednakowe pytania.

- Jesteśmy fachowcami.

- Mapę mam ja. Kapitan wie tylko, jaki ogólnie obrać kierunek. - Raul uśmiechnął się i zanim zdążyłem otworzyć usta, dodał: - Już wyznaczyłem warty przy kajucie Chasmartiego.

- To po prostu znakomicie.

- A dla zachowania jak największego bezpieczeństwa, mieszka razem ze mną.

-I słusznie.

- Tak pan uważa?

- Wszyscy jesteśmy zainteresowani sukcesem wyprawy. -Spojrzałem hrabiemu prosto w oczy. — Ale niektórzy są bardziej zainteresowani od innych.

- William? - spytał od razu, jakby dotknięty do żywego Raul, kilka razy zacisnął i rozluźnił pięść, jakby chciał rozmasować odrętwiałą lewą dłoń.

- Zaszedł zbyt wysoko w krótkim czasie, musi teraz udowodnić, że był tego godzien.

- A pan, jak powiadają, musi spłacić stare grzeszki? -Chociaż po twarzy mojego rozmówcy przemknął lekki uśmiech, pytanie na pewno nie było tylko żartobliwe.

- Powiedzmy tak: w razie niepowodzenia William może otrzymać drugą szansę. Ja już nie.

Wychodzi na to, że panu można zaufać bardziej, niż jemu?

- A trzeba się nad tym zastanawiać?

- N; i r;/.ic nic, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? -Słyszac brzęk srebrnych dzwoneczków, hrabia odwrócił głowę w stronę pokładu i spojrzał na egzorcystę. - Czy tak trudno zmienić ubranie? Albo chociaż zdjąć te dzwonki?

- Ich brzmienie przeszkadza opętanym w skupieniu -wyjaśniłem.

- I drażni załogę - dodał Raul chmurnie, widząc, jak marynarze umykają przed Bernardem. - Do pełnego szczęścia brakuje nam jeszcze tylko buntu na pokładzie!

- Przywykną. - Machnąłem lekceważąco ręką.

- To dobrze, mój przyjacielu, że jest pan taki spokojny...

- Nie rozumiem?

- Dzieli pan z nim kajutę. - Zaśmiał się, widząc moją minę, a potem podszedł do kapitana porucznika, który zdążył już zmienić paradny mundur na zwykłe marynarskie ubranie.

Załoga także się już przebrała i teraz o naszej przynależności do marynarki wojennej Stilgu świadczyły tylko balisty oraz powiewająca na wietrze bandera. Ale kupcy też zazwyczaj wychodzą w morze tak czy inaczej uzbrojonymi jednostkami, a zastąpienie węża morskiego albatrosem potrwa tylko chwilę.

Dzielenie jednej kajuty z egzorcystą nie było wcale takie złe. Przez kilka pierwszych dni prawie w ogóle się nie widywaliśmy, gdyż brat Bernard przemierzał okręt, strasząc swoim widokiem marynarzy, a ja głównie leżałem plackiem, czekając aż przejdzie mi ból głowy. Nie to, żebym cierpiał na ciężki przypadek choroby morskiej, ale jakoś nie chciało mi się zwlekać z posłania. I tak nie było ze mną najgorzej, bo widok co i raz wychylającego się za reling Raula skłaniał mnie, by złożyć podziękowania wszystkim Świętym.

Niemniej, czasu przez te dni też nie traciłem. Kiedy egzorcysta włączył się po okręcie, miałem możliwość przejrzeć jego rzeczy. Na szczęście wielki zamek okutego kutra nie był dużą przeszkodą, otworzyłem go bez większych problemów.

Jednak w środku nie było nic naprawdę ciekawego - zawinięty w miękką materię srebrny sierp, kilka tomów z tajnych zbiorów biblioteki zakonu Wypędzających i woreczki, wypełnione ziołowymi mieszkami - piołunu, pokrzywy, ostu, mięty i dziurawca, do tego parę srebrnych amuletów, zapieczetowana lakiem butelka. To wszystko.

Pod wieczór, po powrocie do kajuty, egzorcysta zapalał lampkę, jakiś czas czytał którąś z ksiąg, potem mamrotał ni to mantrę, ni to modlitwę, po czym szedł spać. Wstawał o świcie i znów wyruszał straszyć marynarzy. Bez wątplenia Bernard unikał mnie celowo, ale dopóki taki układ zadowalał nas obu, dopóty starałem mu się nie narzucać.

Wszystko uległo zmianie piątego albo szóstego dnia rejsu. Już po otwarciu sfatygowanego tomu „Rytuałów wypędzania młodszych demonów”. Bernard nagle się wzdrygnął i wstał gwałtownie, kręcąc głową na wszystkie strony.

— Coś się stało? — Natychmiast odłożyłem na bok kamień, na którym ostrzyłem nóż.

— Nie rozumiem — wymamrotał egzorcysta, który bez swego zwyczajowego skórzanego odzienia okazał się szczupłym mężczyzną w średnim wieku, o wyglądzie rasowego arystokraty. - Pierwszy raz coś takiego czuję... Zupełnie jakby ohyda nie rozpraszała się, ale skręcała w cieniutką nitkę. Ale kiedy tylko to wyczułem, wszystko znikło.

Wysłuchałem się w siebie.

- Nic nie czuję.

- To mnie nie dziwi. - Bernard nie mógł powstrzymać niechętnego grymasu, otworzył kufer i podał mi jeden ze srebrnych amuletów: ozdobiony prawie niewidocznymi napisami pentakl.

- Co jeszcze?

- Przeszkadzasz mi - odrzekł egzorcysta. - Pozostałości ohydy, emanacje pozaświatowe. Nie mogę się skoncentrować.

Założyłem na szyję łańcuszek amuletu. Srebra było w nim sporo, więc nie miałem powodu odmawiać.

- Teraz lepiej? Bo mnie się zdaje, że nie ma różnicy...

- Dla ciebie nie ma. - Bernard wybił korek z szyjki butelki, do połowy wypełnił kubek, a w pomieszczeniu zaczął unosić się nieznany mi zapach. - Ale teraz promieniujące z ciebie pozostałości ohydy nie przeszkadzają mi.

- Rozumiem.

Pozostałości? No, no...

- Nitka... Nitka odchodzi od nas gdzieś w ciemność. -Egzorcysta zamknął oczy po wypiciu aromatycznej nalewki. - Drży, ciągnie się przez pustkę i wraca echem... Odbicie! On jest tuż obok! Nadchodzi!

- Kto? - spojrziałem ze zdumieniem na ubierającego się w pośpiechu zakonnika.
- Ten, do którego została zamocowana nić po tamtej stronie! Szybciej, trzeba uprzedzić kapitana!
- Kapitan zasugeruje, żeby mniej pić. - Westchnąłem ciężko i zacząłem sznurować buty. - Chodźmy raczej do hrabiego.
- Zgoda, tak będzie nawet lepiej.

Brat egzorcysta otarł pot z czoła, przygładził włosy i włożył kapelusz.

- Nić naprawdę odchodzi od nas? Przecież nie mamy na pokładzie opętanych.
- Mówię, co czuję i jeśli się nie pośpieszymy, będzie za późno!
- Chodźmy więc.

Nigdy przedtem o niczym podobnym nie słyszałem, a i sam egzorcysta wyglądał na zdumionego. A może to naprawdę magia? Ale jeśli magia, to przecież sprawa Wyższych, czyż nie?

* * *

Zarówno Raul Luringa, jak i Will Chasmarti potraktowali słowa egzorcysty z pełną powagą. Zebrali się w jednej chwili, wezwali kapitana porucznika i razem z nim wyszli na pokład.

- Nić wychodzi stąd. - Bernard machnął ręką w stronę rufy. - I z każdą chwilą się skraca. Coś nas dogania.

- Jesteście pewni? - Kapitan porucznik opuścił bezużyteczną w gęstniejącej mgłę lunetę.

W pełni podzielałem jego wątpliwości. Ostre powietrze sprawiło, że zadrzałem i zapiąłem kurtkę. Marynarze trzymali się z daleka, ale piechurzy podsłuchiwali rozmowę.

- Tak! Niech was diabli! - wybuchnął oburzony naszym niedowierzaniem Bernard. - Jestem pewien. I jeśli nie zaczniecie działać już teraz, niedługo będzie za późno!

- Za późno na co? - spytał spokojnie dowodzący okrętem młodzieniec.

- Jeżeli nas cokolwiek dogoni - rzekł Chasmarti, patrząc na żagle ledwie łopoczące w słabych podmuchach wiatru -to chyba tylko inny okręt, tak?

- Być może, ale nie jestem pewien - wymamrotał egzorcysta. Przycisnął dłonie do skroni. - Dziwny ten oddźwięk. Najbardziej przypomina echo...

- Całkiem zwariował! Co niby słyszy?! — zachichotał któryś z piechocińców, ale mnie nie było do śmiechu. Przez moment sam wyczułem przenikające powietrze buczenie. To nie nić, raczej zupełnie jakby gdzieś nad głową wibrowała wzbudzona nieostrożnym ruchem gruba, basowa struna.

- Do czego mam się przygotować? - spytał kapitan porucznik. - Do spotkania z olbrzymim krakenem?

- Zacznijmy od tego, że goni nas jakiś okręt - zaczął Will Chasmarti monotonię, ale nie wytrzymał i wysyczał wściekle prosto w twarz zaskoczonemu kapitanowi: - I lepiej żeby pan, panie Silone, niezwłocznie podjął odpowiednie kroki!

- To mój okręt! - odparł beczelnie młodzieniec. - I nikt nie będzie mi mówił, co mam robić! Mam panu przypomnieć regulamin królewskiej marynarki wojennej?!

- Regulamin to oczywiście ważna sprawa. - Hrabia Luringa skrzywił się. - Ale jeśli natychmiast nie zacznie pan robić tego, co mówią, pozostałą część rejsu spędzi pan w areszcie, a po powrocie natychmiast stanie przed trybunałem. Może pan być tego pewien!

- Przecież nie odmawiam. - Kapitan natychmiast spuścił z tonu. - Zaraz zarządzę, co trzeba.

- Nie trzeba wszczynać alarmu - przestrzegł go Chasmarti. - Żadnych piszczałek, bo nad wodą każdy odgłos się poniesie. A przecież nie zamierzamy dać znać naszym prześladowcom, że o nich wiemy.

- Oczywiście, że nie...

Chłopaczek postanowił nie udawać już morskiego wilka i wydał odpowiednie rozkazy, a wtedy na

okręcie zawrzała praca. Marynarze odsłaniali balisty, ładowali skorpiony, ostrożnie przynosili z ładowni bojowych kule z mieszanką zapalającą, przygotowywali kusze i napinali sieci. Przez pokład przemknął nieliczny, ale uzbrojony po zęby oddział abordażowy, a okręt zaczął nieznacznie zmieniać kurs, żeby ustawić się do nieznanego prześladowcy lewą burzą.

- Jaki dystans? - spytał Raul egzorcysty, chodzącego w kółko po pokładzie.

- Jest już prawie przy nas...

- Nie rozchodzić się! - syknął na piechurów hrabia i dodał: - Co pan o tym myśli, Sebastianie?

- Już nic... - Wskazałem powoli wyłaniające się z mgły zarysy okrętu. - Już nie ma nic do

myślenia...

Z początku zobaczyliśmy bukszpryt, potem fokmaszt ze zwiniętymi żaglami, a chwilę później czarno-zieloną kratę bandery marynarki wojennej Dragarnu.

- I co teraz? — Kapitan porucznik spojrział niepewnie na hrabiego.

Na ścigającej nas brygantynie zabrzmiały bosmańskie świstawki, zaczęła się krzątanina, ale marynarze przeciwnika nie byli w stanie zmienić kursu na tyle, żeby uniknąć ostrzału z przygotowanej już broni.

- Do dzieła! - zakomenderował Raul, a kapitan porucznik przełknął ślinę i machnął ręką.

Na pewno bardzo nie chciał stać się przyczyną kolejnej wojny z zachodnim sąsiadem, ale jeszcze bardziej nie miał ochoty trafić przed sąd wojenny.

Sierżant przy balistach warknął rozkaz i w stronę brygantyny poleciało pięć naczyń z mieszaniną zapalającą. Salwa okazała się celna. Dwa ładunki uderzyły w burzę, jeden w fokmaszt, na pokładzie natychmiast wybuchł ogień. Do wody wpadła ogarnięta płomieniami postać, nad falami poniosły się wrzaski i przekleństwa.

- Ładuj!

- Odpływamy! - zdecydował hrabia, nie chcąc kusić losu.

Otrzymać rewanżową salwę od wroga podczas bitwy morskiej jest niesłychanie łatwo, więc po co ryzykować? A brygantyna tak czy inaczej nie zdoła ruszyć w pościg w najbliższym czasie. O ile w ogóle da radę. Pożar na pokładzie narastał i nawet przez gęstniejącą mgłę jeszcze jakiś czas widzieliśmy rozbłyśki płomieni.

- Wojny wybuchają nawet z mniej istotnych przyczyn - powiedział w zadumie Will Chasmarti, stając obok Raula.

- Przeżyję to. - Luringa machnął ręką. - Nie wierzę, że to spotkanie było przypadkowe. Liczyli na to, że dopadną nas nocą.

- Ale jak to możliwe? - zdziwił się kapitan porucznik. - W takiej mgłę?

- Ktoś musiał ich naprowadzać - rzeki egzorcysta w zadumie. - W jakiś sposób między okrętami rozciągnęła nić ohydy.

- Trzeba znaleźć zdrajcę - oznajmił hrabia gniewnie.

- I właśnie tym się zajmę - odrzekł Bernard. - Nic przypuszczam, żeby to było zbyt skomplikowane.

- Jutro rano znów przeczeszemy załogę - zarządził Chasmarti. - Słyszysz pan, panie Silone?

- Słyszę - mruknął dowódca okrętu bez entuzjazmu. Nic pałał chęcią drażnienia marynarzy dziwnymi rozkazami.

- I proszę podwoić warty. - Raul wzdrygnął się, patrząc na otaczającą okręt nieprzeniknioną mgłę. - Niech ludzie zachowają najwyższą czujność. Jeśli zajdzie potrzeba, proszę dysponować moimi podwładnymi.

- Poradzimy sobie. - Kapitan porucznik przyłożył końce palców do kapelusza i odszedł wydać rozkazy.

Tego wieczoru zamykałem drzwi kajuty szczególnie starannie. Sprawdziłem, czy zasuwki należycie trzymają, mocniej niż zwykle zaciągnąłem węzeł blokującego je sznura i nawet zadałem sobie trud

włożenia w szczelinę w deskach odpowiednich rozmiarów klina.

- Jesteś pewien, że to niezbędne? - Bernard spojrział na mnie z krzywym uśmiechem.

- Nie. - Położyłem na podłodze obok koi pałasz i sztylet. - Ale lepiej dmuchać na zimne. - Sam mówisz, że ktoś naprowadzał na nas brygantynę.

- Opętany i tak blisko mnie nie podejdzie - odparł egzorcysta. - Nie musisz się obawiać.

— A kto tu się obawia? Nie trzeba się obawiać, tylko iść spać.

Darowałem sobie uwagę, że przecież żaden opętany nie miał prawa przetrwać obrzędu wypędzenia.

Można by pomyśleć, że Bernard tego nie rozumie... Zgasilem lampę i wpełzłem pod koc.

Obudziłem się w środku nocy. Przez chwilę próbowałem sobie uświadomić, co mnie zaniepokoiło, a potem usłyszałem krzyk. Zza drzwi dobiegł szczęk broni, a ze mnie natychmiast opadły resztki snu.

Działo się coś niedobrego.

Abordaż?

Zerwałem się, włożyłem buty, kolczugę i potrząsnąłem egzorcystą.

- Zamknij drzwi i nikomu nie otwieraj!

Z obnażonym pałaszem wyskoczyłem na ciemny korytarzyk. I chociaż w ciasnym pomieszczeniu nie jest zbyt poręcznie fechtować długą klingą, ciężar oręza dodawał mi pewności siebie. Próba walki z marynarzami Dragarnu z samym sztyletem oznaczałaby gwałtowną śmierć. A tak miałem jakąś szansę przebić się do swoich...

Tylko że to wszystko w ogóle nie wyglądało na abordaż. Żadnego zgiełku bitewnego, po pokładzie nie łomotały ciężkie buciory, nie świstały bosmańskie gwizdki. Nawet szczęk oręza ucichł zupełnie i słyszałem już tylko wycie rannego człowieka.

Co się dzieje?!

Brodząc w ciemnościach, dotarłem do kajuty Raula i Willa, rozepchnąłem stłoczonych w przejściu piechurów i zajrzałem do środka.

- Wszystko w porządku - uspokoił mnie hrabia, któremu lekarz pokładowy opatrywał długie rozcięcie na przedramieniu. Przy nim stali w świetle lampy bladzi jak kreda Chasmarti i kapitan porucznik.

Ale nie wszystko było w porządku. Na pewno. Na zalanych krwią deskach leżeli dwaj zaszlachtowani żołnierze. A przecież przeszedłem nad trupem jeszcze jednego, kiedy przeciskałem się do drzwi. No i ofiarami byli też wartujący marynarze. Jednemu poderżnięto gardło, drugi skonał przed chwilą z wojskowym nożem w piersi.

- Powiedzieli, że przyszedli zmienić wartowników - powiedział kapitan porucznik, zaciskając pięści.

- Ale nie było z nimi bosmana, więc chłopcy od razu wyczuli, że coś jest nie tak.

- Gdyby nie pańscy marynarze, zarżnęliby nas jak kocięta - powiedział Chasmarti, wycierając jakąś szmatą wąski miecz.

- Panie hrabio, żądam, żeby waszych ludzi wziąć w areszt - zażądał kapitan porucznik.

- Nie trzeba - zaprotestował Raul. - Gdyby byli buntownikami, dawno by nas wszystkich...

- W takim razie niech się przynajmniej nie pojawiają na pokładzie. - Młodzieniec zadarł podbródek.

- Trzymajcie swoich ludzi w ryzach. — William spojrział na niego ponuro.

- Wszystko będzie, jak trzeba - uspokoił kapitana dowódca straży pałacowej i dopiero zauważył, że pełzam na czworakach po podłodze. — Sebastianie, co pan robi?

- Chwileczkę. - Przeszedłem nad trupem i kucnąłem przy leżącym w drzwiach piechurze, dotknąłem jego szyi.

- Jest martwy - zauważył zimno lekarz pokładowy, który skończył bandażować Raula.

- Ależ wcale w to nie wątpię.

W rzeczy samej, interesowało mnie coś innego. Zmrużyłem oczy i spróbowałem wyczuć jakiegokolwiek ślady operami, ale nie zdołałem. Ten człowiek był czysty. Czysty i martwy podobnie jak jego współnicy.

Nic nie rozumiałem.

- I co? - zażądał wyjaśnień hrabia.
- Pójdę po egzorcystę. - Postanowiłem na razie nie ujawniać swoich podejrzeń. Przepisnąłem się przez ciżbę żołnierzy i poszedłem ciemnym korytarzem.
- Jed! - zawołał sierżanta Raul. - Zbierz wszystkich!

Przyśpieszyłem kroku. Trzeba było zarządzić zbiórkę od razu. Teraz za późno - jeśli nawet ta trójka miała współników, od dawna już udają, że śpią. Albo razem ze wszystkimi zadają głupie pytania. A najpewniej...

Nie zdążyłem dokończyć myśli. Skręciłem za róg i w rej chwili dostałem po głowie. Przez całe ciało przeniknął ból. a potem zapadła ciemność...

* * *

Nie wiem, ile leżałem nieprzytomny. Ocknąłem się na koi w mojej kajucie. Otworzyłem oczy, spróbowałem się podnieść i znów ogarnęły mnie ciemności. Potem podstępnie przypłynął ból. Przywrócił mi czucie, zmusił do poruszenia, uchylenia powiek, a potem stał się tak nieznośny, że pociągnął za sobą w lepki, zimny mrok.

Trzeci raz - czy na pewno trzeci? — oprzytomniałem na odgłos kłótni. Trzasnęły drzwi, głosy przycichły, a ja, próbując zachować świadomość, czym prędzej sprawdziłem stan ukrytych w duszy diabłów. Przycichły. To już nieźle. Egzorcysta był teraz ze mnie marny.

- Na ile poważny jest uraz? - Rozpoznałem głos Willa Chasmartiego.

Chciałem powiedzieć wszystko, co myślę o kolegium spraw wewnętrznych, ale nie mogłem rozchylić ust. Ale może to i lepiej.

- Skóra rozcięta, ale czaszka cała. Tym niemniej, rana jest bardzo ciężka - odpowiedział lekarz pokładowy. - Nie wiem, czy wróci do siebie w najbliższym czasie. A w ogóle, możliwe są komplikacje po takim ciosie. Trudno teraz cokolwiek powiedzieć.

- I tak miał szczęście - wymamrotał basem ktoś spod drzwi. Jed? Tak, to on. - Gdyby nie kolczuga, już by rozmawiał ze Świętymi.

- A w jaki to sposób kolczuga osłoniła głowę? - prychnął lekarz i przyłożył mi do ust jakąś butelkę. Wiedział już, że się obudziłem, ale nie zawiadamiał pozostałych.

- Na kolczudze złamał się nóż, którym go pchnęli dla pewności - wyjaśnił Jed. — Ale moi chłopcy nadbiegli, zanim poprawili.

- I nie mogli tego wyrodka żywcem wziąć? — powiedział Chasmarti ze złością.

- A kto by po takim czymś dał się żywym schwytać? - Sierżant nie wziął do siebie wymówki. — Egzorcystę zaszlachtował, temu łeb rozbił. Chłopcy go nawet nie bili przecież! Trucizna, jak nic.

Słyszając o Bernardzie, próbowałem przynajmniej otworzyć oczy, ale mikstura podana mi przez, lekarza miękko pociągnęła mnie w szalony świat zwiarów. A przy tym przegnała ból. I to było bardzo przyjemne.

* * *

Leżałem tak kilka dni - otumaniony przeciwbólowym eliksirem i obojętny na wszystko. Nie miałem siły ani ochoty myśleć. Kiedy zaczynałem, wracał ból. Napływał falami, rąbał po głowie nie gorzej niż pałka, więc po prostu biernie poddawałem się wizjom i zasypiałem. Potem świadomość wracała na krótko i wszystko powtarzało się od nowa...

Ale wreszcie postanowiłem przerwać ten zaklęty krąg. Zmusiłem się, aby zapomnieć o bólu, otworzyłem oczy i spojrzałem na sąsiednią koję. Pusta. Już pusta. Tylko na białym prześcieradle ciemniały plamy krwi.

Kto postanowił zgładzić egzorcystę? Ze mną wszystko jasne - załatwiła mnie czujka, żebym nie przeszkodził. I dlatego bardzo wątpiłem, żeby mnie i Bernarda zabił ten sam żołnierz. Nie, na pewno został ktoś jeszcze.

Oczywiście, dlaczego urządzili napaść na kajutę Raula -to on miał mapę.

A egzorcysta? Czym on...

Znów poczułem ból w potylicy, promieniujący na całą czaszkę, ale tylko zacisnąłem zęby. Jeśli się poddam, to spędzę na koi cały rejs. A do tego nie mogłem za nic dopuścić.

Przemogłem cierpienie i słabość, sięgnąłem do diabłów i zacząłem rozdzielać ich jestestwa na cieniutkie nitki. Od razu wyskoczyły na mnie cudze wspomnienia, w miejsce nieznanymi obrazów całą kajutę zapełnił szary bezruch pustki, ale było mi już wszystko jedno. Cieniutka strużka mocy była zbyt ważna, żeby zwracać uwagę na drobiazgi.

Pustka? Diabły?

Później, wszystko później...

Znów poczułem, że żyję, zacząłem wypowiadać złożoną mantrę, a po całym ciele rozeszło się zmywające zmęczenie i ból ciepło. Tylko w głowie, tam, gdzie otrzymałem cios, kłuły chłodne igły pozaświatowej siły.

Jakiś czas później ukłucia zmieniły się w lekkie pieczenie i poczułem ulgę. Było lżej, ale tylko odrobinę. To oczywiście: jedna sprawa zaszyć rany, a inna doprowadzić do porządku czaszkę potraktowaną mistrzowskim uderzeniem.

Niemniej, udało mi się ruszyć z martwego punktu. Czując, jak przez palce przeciekają ostatnie krople mocy, wzmocniłem chwyt, dosłownie wydobyłem z diabłów ich esencję, a wtedy ból ustąpił. W głowie przestało huczeć, przed oczu zniknęły szare plamy i przez jakiś czas udawało mi się nie spaść w bezdenną przepaść zapomnienia. A potem zasnąłem spokojnym, zdrowym snem. No, prawie zdrowym...

Kiedy się obudziłem, głowa już nie bolała. Zupełnie. Usiadłem na koi i o mało nie spadłem. Miotnęło mną w bok i przyczyną wcale nie były przechyły okrętu. Po prostu zdrętwiałem i każdy ruch wywoływał nieprzyjemne kłucie. Zapewne pomogłaby rozgrzewka, ale postanowiłem nie ryzykować i powolutku spełzłem na podłogę. Przedostałem się do koi egzorcysty, wydobyłem leżący pod nią skórzany kapelusz ze srebrnymi dzwoneczkami i ostrożnie go założyłem. Doskonale ukrywał bandaż.

Potem uważnie obejrzałem zamek na kufrze i spochmurniałem: na miękkim metalu nie zauważyłem nowych zadrapań. Czyżby zabójca posłużył się kluczem? Trzeba sprawdzić.

Z wprawą otworzyłem skrzynię, przejrzałem całą jej zawartość, ale wszystko było na swoim miejscu. Co to znaczyło?

Gdyby spiskowcy liczyli na zdobycie u Bernarda duplikatu mapy, napaść byłaby w pełni zrozumiała. Ale teraz musiałem taką możliwość odrzucić. Pozostawało zupełnie niepojętym, co stało się przyczyną tak gwałtownych działań.

A gdyby sprawa dotyczyła tylko samego egzorcysty? A dokładniej - jego zdolności? Wtedy wychodziłoby na to, że napaści dokonali opętani. Których na pokładzie po prostu nie mogło być. A może to były marionetki? Wątpliwe.

Oparłem się plecami o kufer i zacząłem sobie przypominać poprzedzające napad zdarzenia. Czułem, że coś mi umyka. Coś bardzo ważnego...

Czy egzorcysta mógł być niebezpieczny tylko dla opętanych? Czy też...

I w tej chwili z mej pamięci wypłynęła bandera ścigającej nas brygantyny. Właśnie! To przecież Bernard wyczuł, że coś złego się dzieje! Właśnie on wyłowił drgania łączącej okręty niewidocznej nici! I to on zamierzał rozpocząć poszukiwania zdrajcy.

Jeżeli chodziło rzeczywiście o to, może zamierzali zabić także mnie? Wówczas nie byłbym przypadkową ofiarą. Jeśli się zastanowić, wszystko na to wskazywało, czyli muszę być ostrożny. Nie trzeba mieć wiele rozumu, żeby kogoś pchnąć nożem w gardło, a na pewno nie wyłapano wszystkich agentów Dragarnu.

Jeśli już o tym mowa, Will Chasmarti także mógł prowadzić swoją grę, a wówczas napad na ich kajutę byłby tylko manewrem odciągającym. Tylko po co Dragarn miałby urządzać to całe zamieszanie?

Może brygantyna płynęła pod fałszywą banderą? A jaki w tym sens? I tak by nie pozostali świadkowie, gdyby im się powiodło.

Albo na okręcie działali szpiedzy Dragarnu, albo to wszystko sprawka marionetki. Czy zdołałbym zdemaskować marionetkę? Czemu nie? Szukać należy pośród piechurów, załogi można nie brać pod uwagę. Inna rzecz, że nikt nie powinien nabrać podejrzeń, bo wypadnę za burzę i będzie koniec.

Skrzypnęły drzwi, do środka wszedł lekarz i z osłupieniem zagapił się na moją pustą koję. Ale zaraz mnie zauważył.

— Nie wolno panu wstawać!

— Przecież nie wstaję...

— To co pan robi na podłodze?

— Siedzę.

— Proszę się natychmiast położyć, pora zmienić opatrunek.

— Może następnym razem, dobrze? - zaprotestowałem. - I poproszę o normalną brandy, bo od tego pańskiego świństwa już mnie mdli.

— Ależ co pan opowiada?! - rozżłościł się medyk. - Natychmiast do łóżka albo będę zmuszony wezwać jego jasność!

— Z przyjemnością, przynajmniej będę miał się z kim napić. A na koję nie wrócę.

— Dlaczego?!

— Bo jest za wysoka i można z niej spaść.

— A niech pana diabli porwą! — zawołał lekarz i wyskoczył za drzwi.

Wstałem ostrożnie, poczekałem, aż miną zawroty głowy, po czym wyjąłem z worka butelkę z piołunową nalewką. Łyknąłem i z przyjemnością poczułem, jak ciepło rozchodzi się po całym ciele. Wylałem nieco aromatycznego płynu na dłoń i natarłem policzki oraz szyję. Schowałem flaszkę pod prześcieradło, ścisnąłem w dłoni parę wyjętych z sakiewki srebrnych marek i powlokłem się do wyjścia.

Nie wystawiono warty przy drzwiach, więc nikt mi nie przeszkadzał wyjść na pokład. Marynarze ze zdumieniem popatrywali na rozmemlaną postać idącego boso dziwaka, ale trzymali się z daleka. Brzęcząc srebrnymi dzwoneczkami dotarłem do nadburcia, oparłem się o nie łokciami, zapatrzyłem w morze. Zimny wiatr przenikał pikowany kaftan, a w twarz co chwila uderzały bryzgi uderzających o kadłub szarych fal. Nic dziwnego, że dość szybko zacząłem drzeć.

Ale stałem i czekałem. Na co? Któż to może wiedzieć...? Co zdoła ujrzeć w morzu człowiek, który o mało nie zginął od ciosu w głowę? To pytanie kierujcie raczej do lekarza pokładowego.

- Proszę z nim pomówić, panie hrabio. Może pana posłucha! - A oto pojawił się i medyk, jak na zawołanie.

- Sebastianie! - Raul chwycił mnie pod rękę. - Chodźmy.

- Dokąd, mój hrabio? - Nawet na niego nie spojrzałem. - Już dopłynęliśmy na miejsce?

- Musi pan odpocząć...

- Już się dość naodpoczywałem. Zatem, mówi pan, że płyniemy z powrotem?

- Tak, z powrotem. - Poważnie przestraszony moim stanem Luringa wymienił spojrzenia z lekarzem.

- Niebawem wejdziemy do portu i trzeba się spakować...

- Ależ ja jestem gotowy!

- Przeszkadza pan marynarzom. - Hrabia zaczął mnie odciągać od burty, zachowując jeszcze resztki cierpliwości.

- Przeszkadzam? Popatrzyłem dokoła. A kapitan nie przyjmie mnie do załogi? Cale życie chciałem zostać marynarzem. Będę się wspinał po wantach i łąził po rejach...

- Oczywiście, przyjmie na pewno. Raul przekazał mnie Jedowi i szepnął: - Zabierz go stąd...

Pokornie zszedłem z pokładu, doszedłem do kajuty i dopiero wtedy złapałem sierżanta za rękę.

- Jed, nie chcę tutaj. Tam ciemno i jest martwy egzorzysta. Chodź, zagrajmy lepiej w kości.

- Ależ tam nikogo nie ma. - Podoficer spróbował wyzwolić się z mojego uścisku. Na próżno.
- Jak to nie? Siedzi i gapi się. - Pokazałem monety. - Zagrajmy, co?
- Kazali mi sprowadzić cię z pokładu... - Sierżant zawahał się.
- No i sprowadziłeś! Jak kazali! - wyszeptałem gorączkowo, oblizałem wargi. - A w kajucie trup siedzi, nie wolno tam wchodzić.
- Dobra, czart z tobą - poddał się Jed. - Chodźmy.

* * *

Tak, jak się spodziewałem, po nocnym zamachu piechurów zakazano opuszczać kubryk. W tym względzie Luringa musiał ustąpić żądaniom kapitana. A co mogą robić mężczyźni w zamknięciu? Oczywiście! Albo śpią, albo grają w kości.

- Przywitajcie gości. - Sierżant pchnął mnie lekko na środek pomieszczenia, wykonując za moimi plecami jakieś gesty na użytek zaskoczonych podwładnych.

- O, gramy! - zauważyłem radośnie, wepchnąłem się między siedzących wprost na podłogę żołnierzy, położyłem przed sobą pieniądze i wziąłem kości. - Jakie stawki?

Teraz już nawet ci, którzy przed chwilą spali, zaczęli wstawać, żeby popatrzeć na takie dziwowisko. Tego właśnie było mi trzeba. Przeskakując z jednego tematu na drugi, ani na chwilę nie zamykałem ust. Myliłem imiona, w połowie zdania zapominałem, co miałem powiedzieć, chwytalem za ramiona sąsiadów, kiedy mnie przechylało do tyłu. I grałem. Jedyne, w czym się nie myliłem, to właśnie gra. Nie miałem zamiaru skończyć jej zbyt szybko.

- Jest wino? Nie?! - Złapałem kości wprost z ręki siedzącego naprzeciwko mnie osiłka, roześmiałem się bez sensu. - Co to za porządki?! W czasie Kampanii Zachodniej tak hulaliśmy, że wszystkich Świętych mdliło...

- A ty co, służyłeś? - zdziwił się jeden z graczy, który pozostawał dla mnie tylko „jednym z graczy”. Na jego szczęście, zresztą... - Kłamiesz chyba, co?

- A co! - Wypiąłem dumnie pierś i trzepnąłem palcami po dzwoneczkach kapelusza. - Dziewiąty ochotniczy pułk piechoty jego królewskiej mości! Od początku do Lemskiego Pola! A tam krwi, chłopcy, było po kolana! I nic! I piliśmy! A wy siedzicie jak myszy w norze...

- Czekaj, czekaj - odezwał się sierżant. - Pierwsze dziewięć ochotniczych pułków formowano z katorżników i różnych złodziejasków...

-A właśnie! Bo jaki dureń wskoczyłby w mundur z własnej woli? - Wstałem, zawisłem na ramieniu chichoczącego żołnierza, a potem zatoczyłem się do koi piechura, który nawet nie drgnął, żeby wziąć udział w grze albo przynajmniej na nią popatrzeć. - Wstawaj! Dość tego kiśnięcia! Chodź grać!

- Odczep się! - Mało rozmowny żołnierz strącił moją rękę z ramienia.

- Jak sobie chcesz! - Zostawiłem go w spokoju i zerknąłem na innych. Chyba już wszystkich obszedłem.

- Sebastianie! Wyjdź na chwilę! - Will Chasmarti stanął w drzwiach. Zapewne obserwował moje poczynania od dłuższej chwili.

-Tra-ta-ta! - Skierowałem się do niego. - Naprzód, gdy trąba gra!

- Pieniądze! - przypomniał mi sierżant półgłosem. - Zabierz pieniądze!

- Mam jeszcze! - Wypadłem z kubryku, chciałem przytrzymać się Willa, ale szybko odstąpił na bok.

- Co robisz, skurczybyku?! - wyszczał mi prosto w twarz. - I nie próbuj mnie łapać! Widzę cię na wylot!

- No i co? - Kiedy odeszliśmy od kubryku, zaprzestałem prób wieszania się na nim. Chytry, gad.

- Dlaczego nie porozumiałeś się ze mną? Nie myśl sobie, zamelduję o twojej samowoli!

- Przecież obaj mamy tę samą robotę, prawda?

-Takie sprawy masz najpierw uzgadniać! - burknął William. - A teraz zejdz mi z oczu, diabli pociotku!

Wzruszyłem tylko ramionami, a potem kłapiąc bosymi stopami o chłodne deski podłogi, poczłapałem korytarzem.

Marionetek wśród piechocińców nie było. Chociaż przytajony w głębi duszy diabeł mógł się ukryć przed egzorcystą, mnie by tak łatwo nie zwiódł. Jeśli kogoś dotknę, z miejsca wyczuję biesa.

Na to właśnie liczyłem, a Will - bystry łajdak - od razu dodał dwa do dwóch. Ale jeśli tylko on sam okazał się taki spostrzegawczy, to nic strasznego. Przeżyję. Dobrze, co teraz powinienem zrobić?

Pośród piechurów nie było opętanych, pośród marynarzy nie powinno ich być.

Czyżby Dragarn tu zamieszał?

Wróciłem do kajuty, rzuciłem kapelusz na koję egzorcysty, zmoczyłem bandaż piołunową nalewką i zacząłem go powoli rozwijać. Uznałem, że lekarz jeszcze długo do mnie nie zajrzy, trzeba samemu zrobić ze sobą porządek.

Jak się okazało, nie musiałem już zakładać opatrunku. Rozcięta skóra była już podgojona, rana nie krwawiła. Blizna zostanie, oczywiście, ale to drobiazg. Najważniejsze, że czaszka wytrzymała, a teraz nawet już nie miałem zawrotów głowy.

Sprawdziłem, czy drzwi są dobrze zamknięte, położyłem się i zapatrzyłem w sufit. Nie chwyciłem najmniejszego tropu, który mógłby mnie zaprowadzić do przebywającego gdzieś na okręcie zdrajcy. Nie miałem nawet najbledszego pojęcia, dla kogo pracuje. Dla Dragarnu? A może dla Lensu?

Za to nie wątpiłem teraz, że egzorcysta został usunięty właśnie przez dostrzeżenie nici łączącej okręty. Wychodziło na to, że ja sam nie miałem się czego bać. Przecież nie byłem teraz przy zdrowych zmysłach, prawda?

Czasem to całkiem pożyteczna rzecz być wariatem. Najważniejsze to zatrzymać się w porę.

No i Chasmarti. On wiedział, jak ze mną jest...

VI

Okrzyk „Ziemia!” marynarza siedzącego na bocianim gnieździe po prostu przespałem. A kiedy usłyszałem niezwykłą krzątanię i wyszedłem na pokład, do wyspy było już bardzo blisko. Nawet ja bym dał radę dopłynąć wpław. Oczywiście gdyby nie skaliste brzegi, o które rozbijały się wysokie fale.

Nabrałem głęboko świeżego powietrza i ledwie powstrzymałem kaszel. Zdjąłem kapelusz i w zadumie pokręciłem nim w rękach, a potem zmiąłem — brzęk dzwoneczków mógł mi teraz tylko przeszkadzać. Bezszelestnie zakradłem się za plecy kapitana porucznika, który stał przy nadburciu w towarzystwie Raula i Williama.

— Niewielka wysepka — powiedział dowódca straży pałacowej, opuszczając lunetę. - Jest pan pewien, że to właśnie jej szukamy?

- Sami podaliście jej pozycję - odparł młodzieńki kapitan, patrząc na wulkaniczny stożek wznoszący się przed nami. -W okolicy jest mnóstwo wysp, ale właśnie ta jest zgodna z opisem. Pozostaje tylko znaleźć miejsce zdatne do lądowania.

Ziewnąłem i usiadłem na zwiniętym kłębie liny, mając nadzieję, że żaden z komenderujących nie zainteresuje się moją skromną osobą. Chasmarti oczywiście z miejsca mnie zauważył, ale zmilczał. Dowódca okrętu lub hrabia zaraz by mnie chcieli odesłać do kajuty.

Fleuta zaczęła opływać wyspę, wiatr wypełnił żagle, a niedługo potem kapitan porucznik wyciągnął rękę, wskazując na szczelinę w skałach. Wydobywała się z niej woda, która wtargnęła tam chwilę wcześniej wraz z wysoką falą.

- Tam jest!

- Mówi pan poważnie? - spytał Chasmarti.

- Przecież to pewna śmierć — zauważył hrabia, wskazując ostre wierzchołki rafy, na których kłębiła się biała piana. -Musi być inna droga.

- Teraz mamy odpływ - wyjaśnił młodzieniec, a w jego głosie zabrzmiała marynarska pogarda dla niewiedzy szczurów lądowych. - Rozpadlina rozszerza się ku górze, zatem w czasie przyływu

przepłynąć tamtędy będzie bardzo łatwo. Najważniejsze, żeby wiatr trochę ucichł.

- W takim razie rzucamy kotwicę i czekamy na przyptyw -zdecydował Raul. - Proszę nie spuszczać na razie łodzi na wodę.

- Jak pan rozkaże. - Kapitan porucznik poprawił trójgraniasty kapelusz.

- Williamie, zostanie pan, żeby pilnować załogi - zarządził hrabia. - Nie chciałbym po powrocie zobaczyć pustego morza i sterczeć na tej przeklętej wysepce do wiosny.

- Rzeczywiście, tak będzie lepiej - odrzekł Chasmarti bez oporu.

W tej chwili Raul wreszcie mnie zauważył i spochnur-niał. Nie zamierzałem narażać się na nieprzyjemności, więc poszedłem do kajuty, podzwaniając kapeluszem. Sądząc z zachowania hrabiego, zamierzał mnie zostawić na okręcie, a nie uśmiechało mi się przebywanie tutaj razem z Williamem. Musiałem popłynąć na wyspę.

W kajucie przebywałem tylko chwilę. Szybko przetrząsałem worek podróżny, wyciągając wszystko co niepotrzebne i kładąc na koję, schowałem z powrotem wybrane rzeczy, sprawdziłem broń. Potem wyjąłem z kufra egzorcysty nie do końca doczytany rękopis „Skrytych form opętania”, napiłem się piołunówki, chwyciłem zrolowany wełniany koc i wyszedłem.

Na pokładzie uwijali się marynarze. Nie chciałem im zawadzać, usiadłem więc z boczku na zwiniętej linie, otworzyłem księgę i zacząłem czytać. Przesiedziałem tak większą część dnia. Jak się okazało, egzorcyści w ostatnich latach zajmowali się interesującymi mnie kwestiami. Tylko że nic pożytecznego nie zdołali ustalić. Snuli jedynie domysły, dla większego splendoru określane mądrze „hipotezami”. Jedne nie wywoływały nic prócz uśmiechu, inne przeciwnie, prowadziły w tak gęsty las rozważań, że nie udawało mi się objąć ich ogromu i zawiłości.

Potem nastąpił przyptyw, a zanim na pokład wyszli żołnierze, podnosząca się woda zdążyła przykryć rafę, która tak przestraszyła Raula. Wiatr ucichł i wycieczka na wyspę nie wydawała się teraz takim samobójstwem, jak rano.

- Co czytasz? - Chasmarti przystanął obok i zajrzał w rękopis. - Przecież trzymasz to do góry nogami!

- „Opętanie jest przejawem pozaświatowej ohydy, podporządkowującej sobie świadomość ludzi, którzy dostali się pod jej władanie” - wyrecytowałem z pamięci wstęp do „O naturze opętania”, a stojący opodal Jed aż zaklął z zachwyty.

-To przecież księga egzorcysty? - Podszedł do nas gotowy do drogi Raul. Założył podróżny kaftan, buty z cholewami, kapelusz o szerokim rondzie i wysokiej główce, doskonale zasłaniający twarz przed palącymi promieniami południowego słońca. Przy pasie miał miecz i sztylet, a w podróżnym worku kolczugę. Żołnierze także nie wkładali na razie pancerzy i hełmów. Nikt nie pałał ochotą, żeby w przypadku wypadnięcia za burtę pójść na dno jak kamień.

- Zgadza się. - Przewróciłem stronicę.

- Skąd ją wzięłeś?

- Bernard mi dał.

- Kiedy?

- Wczoraj. — Z najwyższym trudem powstrzymywałem się od śmiechu, ale gra była tego warta.

Hrabia zaczął powoli kipieć, a piechurzy odeszli na rozsądną odległość.

- Przecież jest martwy!

- Kto?

- Bernard!

- Jeśli jest martwy, to jak mógł mi dać księgę? - Wiedziałem, że przeciągam strunę, ale nie przestawałem szydzić z Raula.

- Niech cię diabli! - Hrabia machnął ręką i odszedł do nadburcia, żeby obserwować spuszczenie na wodę dwóch sześciowiosłowych łodzi.

Pokręciłem tylko głową i udawałem, że czytam rękopis, ale zaczął mnie jeden z żołnierzy.

- Trzymaj. - Podał mi kilka srebrnych monet. - Zapomniałeś wczoraj.

- Ja?!

- No tak, kiedy graliśmy w kości... - Chłopak odszedł szybko i zaczął się przygotowywać wraz z innymi do odpłynięcia.

Wzruszyłem ramionami, rzuciłem monety na zwój liny i natychmiast o nich zapomniałem. A dokładniej sprawiałem wrażenie, że zapomniałem. Uważne spojrzenie żołnierza nie spodobało mi się. A może po prostu wziął sobie parę marek i obawiał się awantury? Wszystko możliwe...

Tymczasem Luringa zarządził zbiórkę, więc schowałem księgę do worka i poszedłem za piechurami. Raul zauważył, że zamierzam wyprawić się na wyspę i zacisnął szczęki, ale wtedy Chasmarti trącił go w ramię.

- Niech pan weźmie Sebastiana - poprosił cicho i wyjaśnił: -Ja tu z nim dostanę szału. I załoga będzie niespokojna...

- Niech płynie - zgodził się hrabia z ciężkich westchnieniem.

- Marynarze przyplyną z powrotem. — Kapitan porucznik podszedł do Luringi. - Jak będziecie chcieli wracać, rozpalcie ognisko. I tak przy każdym przyplądzie będę wysyłał łódź.

-To jesteście umówieni. - Raul skinął mu na pożegnanie.

* * *

Płynąć na kruchej łodzi przez rozpadlinę między dwiema prawie pionowymi ścianami skalnymi było bardzo nieprzyjemnie. I chociaż w rzeczy samej szczelina okazała się o wiele szersza, niż to wyglądało z pokładu okrętu, w razie gdyby łódka uderzyła o kamienie, nie mielibyśmy wielkich szans na ratunek.

Ale udało się. Siedzący przy wiosłach marynarze nie zawiedli i bez większego trudu przeprowadzili łodzię do wewnętrznej zatoki. Tutaj panował spokój i niewielkie fale leniwie obmywały piaszczysty brzeg. Dalej, jakieś czterdzieści kroków od wody, widać było skały, ale już nie tak strome, jak te wychodzące w morze.

Kiedy łodzię dotknęły piasku, piechurzy wyskoczyli do wody, wciągnęli je na brzeg i zaczęli wyładowywać zapasy Raul polecił Jedowi nadzorować pracę, a sam zaczął poszukiwać miejsca, z którego można rozpocząć wspinaczkę.

Marynarze popłynęli z powrotem, a hrabia machnął ręką w stronę jednej ze skał. Żołnierze, grzęznąc w piasku, poszli w tamtym kierunku. Jak okazało się po paru minutach, Raul wybrał dobry kierunek - nieco dalej znaleźli ustęp, z którego bez problemów można było przejść na prowadzący w górę kamienny gzyms. Był wąski, buty osuwały się po naniesionym wiatrem piasku i drobnym żwirze, ale po jakimś czasie idący z przodu dostrzegli wąski rozstęp, przecinający górski grzbiet. Do tego czasu dziwnie szybko zapadł zmrok i na taras, mogący pomieścić oddział większy nawet od naszego, dotarliśmy w zupełnych ciemnościach.

- Tu nocujemy - zarządził hrabia.

Z tego miejsca rozciągał się przepiękny widok na wnętrze wyspy. To znaczy rozciągał się w jaśniejszej porze doby. Ja jeszcze byłem w stanie zobaczyć cokolwiek w naszym otoczeniu, ale reszta mogła wysilać oczy na próżno.

Sierżant wyznaczył parzygnata i odpowiedzialnego za podtrzymywanie ognia, potem z pochodnią w ręku obszedł placyk i wyznaczył miejsca posterunków. Jeden z piechurów poszedł pilnować przejścia w skałach, drugi zasiadł niedaleko krawędzi urwiska.

Ludzie nie tracili czasu na poszukiwanie opału, tylko rozniecili ogień z drewna przeniesionego ze sobą. Zjedli na kolację kaszę, a potem zaczęli się układać do snu. Hrabia rozścieli płaszcz na kamieniach kawałek dalej, ale z zajętego przeze rani miejsca mogłem go obserwować, nie wywołując podejrzeń.

Spać tej nocy nie zamierzałem. I chociaż wiedziałem, rano będę potwornie zmęczony, to musiałem przypilnować, żeby ktoś nie upuścił hrabiemu krwi. Wtedy mielibyśmy wracać na okręt. A powtórna

wyprawa na wyspę nie wchodziłaby w grę. Wszyscy trafiliby do kubryku, a w porcie natychmiast zostaliby przekazani śledczym z kolegium. Sani zresztą też chciałem dożyć do świtu, a to niosłoby się okazać dość problematyczne z nożem między żebrami.

Nie wyjmowałem nawet kolczugi. Ostentacyjnie położyłem pałasz na kocu i wsadziłem nos w księgę, katem oka obserwując żołnierzy.

Sierżant przydzielił kolejność wart. skontrolował siedzących w ciemnościach strażników, wreszcie wskazał miejsce, w które należało chodzić za potrzebą i urządził sobie legowisko niedaleko ogniska. Drew na podtrzymanie ostatecznie postanowiono nie dokładać, bo i bez tego było gorąco.

Gorąco, duszno i wilgotno. W samej koszuli byłem cały mokry, a co będzie jutro w południe?

Przez pewien czas udawałem głupka, szeleszcząc w zupełnych ciemnościach stronicami, potem zdjąłem buty i rozłożyłem się na kocu. Nie miałem obaw, że usnę, gdyż nasilający się znowu ból głowy nie pozwalał nawet na drzemkę.

Stopniowo obóz ucichł, tylko siedzący przy urwisku wartownik od czasu do czasu wstawał, żeby przegonić senność. Na tle usianego gwiazdami nieba mogłem dostrzec jego postać jakby wyciętą z ciemnego materiału. Drugiego wartownika nie widziałem.

Opuściłem na oczy kapelusz, głowę położyłem na worku i znieruchomiałem. I oczywiście natychmiast opadła mnie senność. A przecież, gdybym próbował zasnąć, nic by z tego nie wyszło do samego świtu.

Potykając się w ciemnościach, do ogniska podszedł wartownik, obudził zmiennika, a sam zajął zwolnione postanie.

I prawie w tym samym momencie obok mnie przeszedł drugi wartownik.

Rozbudzony przez niego żołnierz wyburczał coś z niezadowoleniem i powłókł się do urwiska. Splunął w dół, podreptał w miejscu, a potem powoli przeszedł wzdłuż krawędzi. Potem wrócił na stanowisko i znieruchomiał.

Ale nie na długo. Kiedy po jakimś czasie wstał i obszedł tlejące węgle ogniska, od razu skierował kroki w miejsce odpoczynku Raula. Nie traciłem czasu. Zerwałem się na równe nogi i pośpieszyłem w ślad za niewyraźną w ciemnościach postacią. Ostre kamienie kłuły moje bosa stopy, ale za to pochyłający się nad hrabią łajdak z nożem nie mógł mnie usłyszeć.

Zakryłem zabójcy usta i wsadziłem mu w oko sztydło. Przytrzymałem drgające konwulsyjnie ciało, a potem ostrożnie położyłem trupa na ziemi.

- Dlaczego nie dzwonią? — Raula oczywiście obudziła szarpanina, ale zaciekało go właśnie to.

- Zręczność i żadnego oszukiwania. - Z uśmiechem stuknąłem palcami w kapelusz, który dopiero teraz odezwał się srebrzystym brzękiem.

- Wiedziałem, że to brudna sprawa. - Luringa odsunął mnie na bok, a potem odwrócił trupa na plecy i zaklął pod nosem.

- Jaka? Z tym człowiekiem?

- Nie, z tobą - burknął hrabia. - Nawet mnie zwiódłeś...

- Najważniejsze, że to zadziało. - Wzruszyłem ramionami, czujnie obserwując śpiących przy ognisku piechurów. Któryś się poruszył? Nie, złudzenie.

- Chasmarti cię rozgryzł, ale mi nic nie powiedział - rzekł Raul. - Dlaczego nie wzięłeś go żywcem? Wyciągnęlibyśmy od niego imiona współników.

- Wątpię - odparłem, obszukując nieboszczyka. - A skąd, jeśli można wiedzieć, wziął pan takich godnych zaufania ludzi?

- Wojskowi ich wyszukali — syknął wściekle Luringa. - Wszyscy wypróbowani i sprawdzeni, z pułków gwardyjskich. A proszę, co się okazało. No nic, ja tego tak nie zostawię!

- Teraz to problem Lanye.

- A nie tajnej służby? - zdziwił się hrabia.

- Agentura Dragarnu to ich kompetencje. - Pokręciłem głową i zamarłem, namacawszy w kieszeni

wojskowej kurtki jakąś płaską szkatułkę. Zimno ukłuło mnie w palec, przez chwilę słyszałem ten sam dźwięk grubej struny, co na okręcie, ale wrażenie zaraz minęło.

- A to co ma być? - Raul próbował obejrzeć pudełeczko, które ścisnąłem w dłoni. Było rozmiarów niewiele większych, niż futerał na kości do gry.

- Zaraz się temu przyjrzymy.

Podważyłem paznokciami pokrywkę, nacisnąłem i odskoczyła nieoczekiwanie łatwo. Wewnątrz spoczywał zaschnięty paliczek, sądząc po rozmiarach, małego palca. I nie był to wcale rodzaj talizmanu. Teraz czułem doskonale, jak gdzieś w dal płynie przekształcona w niewidoczną nić pozaświatowa siła.

- Co to? - Luringa zajrzał mi przez ramię.

- A to jest, panie hrabio...

- Raulu... I bez tego pana, bardzo proszę.

- To nic innego, Raulu, jak kompas.

- Co?!

- Bierze się opętanego, odcina mu palec i po niezbyt skomplikowanym obrzędzie opętany czuje, gdzie znajduje się odcięta część ciała. - Tak naprawdę nie miałem pojęcia, jak ktoś zdołał zrobić tę sztuczkę. - Okrutne? Tak, okrutne. Ale za to jakie odkrywa perspektywy! W naszym przypadku może to skutkować zakotwiczeniem przy wyspie połowy floty wojennej Dragarnu.

- Niech to! - Hrabia zacisnął pięści. - Jeśli nie zdążymy się stąd zabrać...

- Może zdążymy - odparłem. - Gdybyśmy nie mieli szans, po co by organizowali zamach?

- Co zrobimy?

- Zaraz zobaczymy.

Wytrząsałem na dłoń suchy paliczek i ledwie się powstrzymałem, żeby go nie odrzucić. Co tam Bernard mówił? Ohyda? Właśnie, to była ona. Czułem, jakbym się opił wody z rynsztoka.

Uśmiechnąłem się na myśl, która właśnie wpadła mi do głowy. Sięgnąłem do swoich diabłów i chwyciłem pierwszego lepszego. Ten sprzeciwił się niemrawo, ale bez trudu przełamałem wolę demona. Skierowałem go na uchodzącą w ciemność nić i wypchnąłem pomiot pustki precz. Niewidzialna struna zadrżała, niskie buczenie zamieniło się w pisk komara, a potem wypełniająca paliczek ohyda przepadła bez śladu.

-I co? - popędził mnie Raul. - Co robić?

- Nic. Już wszystko zrobione.

Włożyłem paliczek z powrotem do srebrnej szkatułki i schowałem ją do kieszeni trupa. Dwa diabły nie dadzą rady mieszkać w jednym ciele, tak że teraz dragańscy spryciarze będą mieli najzupełniej nieprzewidywalnego umarlaka. Wątpiłem zresztą, czy zdołają odszukać naszą wyspę, nawet jeśli porąbią opętanego na kawałki.

- Nic nie rozumiem.

- I twoje szczęście. - Chwyciłem martwego piechura pod pachy i powiedziałem do hrabiego: - Musimy go stąd zabrać...

- To znaczy? - spytał, chwyciwszy już nogi. — Zrzucić w przepaść? Ale po co?

- A jak myślisz?

Przenieśliśmy ciało nad urwisko, cisnęliśmy je na kamienie w dole i ze spokojnym sumieniem poszliśmy spać.

VII

Jednak wyspać się nie udało. Sierżant wstał przed świtem, zobaczył opuszczony posterunek i narobił rabanu. Dopiero szarzało, ale ludzie bez trudu dostrzegli zaginionego żołnierza. Jednak wydobyć go było niełatwym zadaniem. Jeden z piechurów musiał opuszczać się z urwiska i obwiązać nieboszczyka liną.

Tak, jak przewidywałem, po upadku z takiej wysokości głowa zamachowca była tak potrzaskana, że na wybite oko nikt nie zwrócił uwagi. No i nie zastanawiano się zbyt długo, jak doszło do wypadku.

Kompani zmarłego uznali, że poszedł za potrzebą, zmylił kierunek, potknął się i spadł. Nie zdążył nawet krzyknąć. Tak bywa.

Nie wykopali mu grobu, tylko przyrzucili ciało kamieniami i postanowili je zabrać później na okręt, aby pochować zgodnie z morskim obyczajem.

Zabiegi przy trupie zajmowały mnie najmniej ze wszystkiego. Wziąłem od hrabiego lunetę i przez cały ten czas lustrowałem okolicę. A było na co popatrzeć: większa część doliny zarosła trawą wysokości człowieka. Tylko czy na pewno trawą? Sądząc po kołyszących się na wietrze kolbach, była to kukurydza. Całe pole.

Jaka to zatem, do licha, niezamieszкана wyspa?

Za polem, tam, gdzie płaskowyz zaczynał się zwężać, wyrastała wysoko ściana mieszanego lasu. Sosny, wiązy, dęby. Z gór spływała niewielka rzeczka, czy może raczej strumień, dzieląc dolinę na dwie nierówne części i ginąc pośród drzew. Nawet nie trzeba szukać brodu. Jeszcze dalej, już za lasem, ciemniał czubek wulkanu.

Ale tam się nie wybieraliśmy. Powinniśmy dotrzeć do drzew i zaraz wracać. Nigdy nie wiadomo, czy nie trafimy na tubylców. Takie spotkanie mogłoby mieć fatalny finał.

- Zasnąłeś? - Raul zabrał mi lunetę.

- Tak - uśmiechnąłem się. - Zwróć uwagę na pole.

- Na pole? - powtórzył z niedowierzaniem, ale podniósł przyrząd do oka i od razu zawołał: - Jed, chodź tu szybko!

- Słucham, wasza jasność? - Sierżant przybiegł natychmiast.

- Wyspa nie jest bezludna. Trzeba wzmocnić warty, założyć pancerze i być gotowym na spotkanie z miejscowymi. - Na możliwość pokojowych rozwiązań hrabia wolał nie liczyć. I miał rację. Lepiej się zabezpieczyć, niż potem żałować lekkomyślności ze strzałą w plecach.

- Tak jest! - Jed polecał wykonać rozkazy.

Zaraz zazgrzytało żelazo, piechurzy zaczęli wkładać kolczugi, dociągać rzemienie hełmów i tarcz, sprawdzać miecze. Pięciu wzięło kusze.

- Jak myślisz, będą kłopoty? - spytał Raul, znów oglądając pole przez lunetę.

- Cóż, marynarze z „Jednorożca” nikogo nie spotkali. - Usiadłem na kamieniu, zsunąłem na tył głowy kapelusz egzorcysty. - Może i nam się uda nie wpaść na tubylców...

- Z naszym szczęściem... - prychnął Luringa. Schował lunetę i zamyślił się. - Piraci nie sadziliby kukurydzy, bo i po co? Tak sędzę...

- Miejmy nadzieję...

* * *

Przez to wszystko wyruszyliśmy, kiedy słońce już wypłynęło nad skały i mimo wczesnej pory zaczęło mocno przypiekać. Kiedy schodziliśmy w dolinę, wiejący na wyżynie wiatr schładzał nas i dawał wytchnienie, ale niżej było jak w łaźni. Nawet najmniejszego podmuchu... A w dodatku wszyscy szli objuczeni jak osły.

Około południa zrobiło się zupełnie nie do wytrzymania. Wiszące nad doliną słońce grzało niemiłosiernie, pot zalewał oczy, ale hrabia nie pozwalał na przerwy w marszu. Liczył na to, że niebawem dojdziemy do spływającego ze skał strumienia, a tam będzie i chłodniej, i pojawi się widok na okolicę. Przeprowa przez to pole była wyjątkowo nieprzyjemna.

- Jak się czujesz? - spytał Raul.

- Bywało lepiej. - Otarłem pot z twarzy i po raz kolejny podziękowałem Świętym za to, że przyszło mi do głowy zabrać kapelusz egzorcysty. Mimo że był skórzany, słońce mocno go nie nagrzewało.

- Nie zostawać z tyłu! - zawołał Jed na podwładnych. Iść po śladach towarzyszy było o wiele wygodniej, niż przedzierać się samodzielnie przez kukurydzę, więc oddział podążał gęsiego. - Podganiać, sucze syny! Szybciej!

- Rzeka! - zameldował wreszcie żołnierz idący na szpicy.
- Jaki brzeg?
- Można przejść!
- Szybciej!

Pierwsi wyczuli zagrożenie piechurzy z awangardy. Widząc rozkołysane łodygi kukurydzy, cofnęli się, a wtedy ze wszystkich stron opadły ich zwinne bestie. Jeden z żołnierzy ciął mieczem atakującego łuskowatego kota, wielkiego jak wilk stepowy, ale natychmiast inne zwierzę skoczyło mu na plecy z taką siłą, że runął na ziemię. Drugi piechur nawet nie zdążył wyprowadzić ciosu, kiedy długie pazury rozorały mu gardło.

- Strzelać! - wrzasnął Jed, rozumiejąc, że najmniejsza zwłoka może słono kosztować.

Strzelcy wysunęli się naprzód i oddali salwę, ale wtedy kolejne stado zaatakowało nas z tyłu. Idący obok mnie żołnierz nie spanikował. Przyjął na tarczę wyciągniętą w skoku bestię, cisnął nią o ziemię i potężnym uderzeniem miecza rozplątał jej czaszkę. Machnął drugi raz, ale jęknął i padł na kolana. Pazurzasta łapa drugiego drapieżnika bez trudu rozerwała jego kolczugę.

Raul wyszarpnął miecz i wykończył zwierzę, które zamierzało wyprowadzić do Świętych kolejnego żołnierza, ale nie zauważył podrywającego się z ziemi cienia. Odepchnąłem hrabiego, a bestia zwała mnie z nóg samym ciężarem. W tej chwili Luringa przerwał jej grzbiet, ale po moich plecach - od lewej łopatki do krzyża zdążyła już przebiec fala bólu. Na szczęście kolczuga osłabiła uderzenie.

Poderwałem się i wydobyłem pałasz. Kiedy jednak zobaczyłem, że piechurzy nie potrzebują pomocy, z jękiem padłem na ziemię.

- Co z tobą? - Raul przysiadł obok.
- Nie wiem - odparłem. Obawiałem się w ogóle ruszyć. W porównaniu z rozbitą głową, ból w plecach nie był aż taki straszny, ale czułem, że pikowana koszula już nasiąkała krwią.
- Daj, zobaczę. - Hrabia zaczął ze mnie ściągać rozprutą kurtkę. - Jed, pomóż mi!

* * *

Odzyskałem świadomość na piaszczystej łąsce, gdzie zatrzymał się nasz przetrzebiony oddział. Jak powiedział klnący co drugie słowo sierżant, oprócz dwóch ludzi ze szpicy, poległ jeszcze jeden żołnierz, a trzech było ciężko rannych. Trzech, nie licząc mnie. Ja, według zszywającego ranę sierżanta, miałem zaledwie lekkie zadrapanie. Kolczuga okazała się niezłej jakości.

- Rozumiesz... - Jed skończył szyc, przytrzymał igłę w kąciiku ust i zaczął bandażować ranę namoczonymi w winie szarpkami. — Pazury u tych potworów są jak nasze żelaza. I na dodatek ostre jak brzytwy. Zębami niewiele mogły zdziałać, ale tymi pazurami kolczugę prują bez trudu. Tak to wygląda.
- A dlaczego przyszliśmy tutaj? - Spojrzałem na ludzi przygotowujących obóz na piasku. Ktoś rąbał kolczaste krzewy, ktoś inny rozpalał ogień. Strzelcy z załadowanymi kuszami czujnie obserwowali okolicę. Inni zajmowali się rannymi.
- A dokąd mieliśmy iść? Tutaj przynajmniej widać, jakby coś pochodziło. - Sierżant wstał. Jeśli nawet zdziwiło go, że nagle powróciłem do zdrowych zmysłów, nie dał po sobie nic poznać.
- Rozumiem. - Skrzywiłem się i byle jak naciągnąłem kurtkę na gołe ciało.
- A ty, jak widać, naprawdę służyłeś w piechocie. - Jed zmrużył oczy. - A ja myślałem, że pleciesz trzy po trzy. Sam rozumiesz, to przez tę dziurę w czerepie...
- Ehe...

Nie mogłem się zdecydować, żeby sięgnąć po pałasz. Wprawdzie nie powinienem teraz chodzić bez broni, ale gdybym się schylił, to istniała obawa, że mogę już tak zostać.

- Jego jasność chciał cię widzieć, kiedy tylko przyjdiesz do siebie. - Jed dostrzegł moją rozterkę, podniósł z piasku broń i podał mi.

- Dzięki - sapnąłem i poszedłem poszukać Raula.

Nie było to trudne. Ganiał ludzi do roboty. Postanowił wygolić zarośla do czysta.

- Szukałeś mnie? - Podszedłem do niego.
- jak twoje samopoczucie? - Zdjął kapelusz i zaczął się nim wachlować.
- A dlaczego się tak dopytujesz?
- Chcę pójść do lasu, zanim zapadnie zmrok. - Wskazał na widniejące niedaleko wierzchołki drzew.

- Rozejrzeć się.

- Nie zjedzą nas? - wyraziłem wątpliwość.
- Tak czy inaczej, musimy iść tylko we dwóch. - Raul wzruszył ramionami. - Sam rozumiesz, że nawet sierzantowi nie mogę powiedzieć, po co tutaj przybyliśmy. A zwierzęta już dawno się rozproszyły.
- Narzędzia sam będziesz musiał ponieść - westchnąłem ciężko.
- Oczywiście. - Raul podjął z ziemi przygotowany już worek, w którym pobrzękiwało żelastwo, a potem wezwał Jeda. - Wrócimy przed wieczorem. Jednak gdybyśmy się spóźniali, absolutnie nie podejmij poszukiwań w ciemnościach. Znajdziemy sobie miejsce do przenocowania w lesie.
- Ale jak to... We dwóch tylko? — Jedowi opadła szczeka ze zdziwienia.
- A tak. - Hrabia spojrzał na niego zimno i poprawił kaftan. - Żeby ci nie strzeliło do głowy pójść za nami. Jeśli cię zauważę, to po powrocie na okręt każę powiesić na rei bez żadnych apelacji.

Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, wasza jasność.
- Sebastianie, idziemy - rozkazał hrabia i ruszył wzdłuż brzegu strumienia.

Pokręciłem tylko głową i z ciężkim sercem poszedłem za nim. Pomysł jego jasności wcale a wcale nie przypadł mi do gustu.

- Tak przy okazji, dzięki za ratunek - odezwał się nagle Raul.
- Nie ma za co! - Machnąłem ręką i syknąłem, czując ból w plecach. Postanowiłem unikać gwałtownych ruchów.

- Co znaczy „nie ma za co”? Mam względem ciebie dług.
- Jak chcesz - zgodziłem się. Gdyby takie długi spłacano gotówką, byłbym już bogaczem. Szkoda, że nie ma takiego zwyczaju.
- Skąd zaczniemy? - Hrabia rozejrzał się, kiedy dotarliśmy do pierwszych drzew.
- Może od tej sosny - wskazałem na suche drzewo.
- Dobrze, sprawdźmy.

No i sprawdziliśmy. Czujnie się rozglądając, podeszliśmy do drzewa i zaczęliśmy oglądać pozbawiony od dawna kory pień. Wokół nie było ani krzewów, ani w ogóle młodych roślin, nic nam więc nie przeszkadzało.

- Zobacz! - Raul wskazał sterczącą nasadę metalowego ostrza. Pociemniało, ale nie nosiło najmniejszych śladów rdzy.

- Może wreszcie uśmiechnęło się do nas szczęście. - Wziąłem worek od hrabiego i wyjąłem solidne szczypce. - Właż tam, wasza jasność, nie ma co czekać.

- Aleś wymyślił! — parsknął Raul. Żelazo sterczało na wysokości dwóch ludzi, a zeschnięte gałęzie jeszcze wyżej.

- To co zrobimy?
- Może tak: staniesz mi na ramionach i wyjmiesz to - zaproponował. - Tylko uważaj, żeby nie spaść. Można spróbować - zaaprobowałem ten niezbyt złożony akrobatyczny plan. - Pochylił się, czy coś...

Zdołałem stanąć mu na ramionach za pierwszym razem, bez problemu sięgnąłem do sterczącego z pnia grotu. Trudniej było natomiast ująć oburącz szczypce i pociągnąć, zachowując równowagę.

Nic mam pojęcia, jakim cudem nie spadłem, bo głęboko wbity grot wyszedł nadspodziewanie łatwo. Zamachałem rękami i cudem utrzymałem się na ramionach hrabiego. Dopiero potem zeskoczyłem. Plecy od razu zaprotekowały rwącym bólem i musiałem się przytrzymać Raula, żeby nie upaść.

- Nie jest z tobą tak źle. — Podtrzymał mnie.

- Następnym razem sam poleziesz na drzewo. - Włożyłem rękę pod kurtkę i bez zdziwienia odkryłem, że bandaż jest mokry od krwi.

- A będzie jakiś następny raz? — Hrabia ukucnął, chcąc podnieść wyjęte z drzewa żelazo.

- Kawałek dalej jest następna sucha sosna — odparłem z westchnieniem i szarpnąłem Raula za ramię. — Nie dotykaj!

- Co się stało? - Hrabia skoczył na równe nogi.

- Nie dotykaj. - Oblizałem spierzchnięte wargi, patrząc na topornie wykonany grot. -I nie patrz na to bez potrzeby.

- Sebastianie, co cię ugryzło? - Hrabia wlepił we mnie zaskoczone spojrzenie.

- To zły metal, przeklęty. - Narzuciłem na grot pusty worek, otarłem twarz. - Czuję, jak sączy się z niego mrok. Nawet biorąc go tylko do rąk, można sobie narobić nieprzyjemności.

- Można zostać opętanym?

- Nie, to co innego. - Wciągnąłem grot do worka tak, aby go nie dotykać bezpośrednio, zaciągnąłem sznurek i skierowałem się do następnej sosny. - W tym metalu zamknięto przekleństwo, którego moc unicestwia wszystko, czego dotknie. Dlatego drzewo uschło.

- A co z tobą?

- Ja nie jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

Nie całkiem zwyczajny, ale co z tego? Nawet przez tkaninę worka czułem płynący od grotu żar. Żar, który doskonale współgrał z wypełniającym przedmiot mrokiem. Wokół grotu łopotały czarne płomienie. A ogień nie rozpałił się ot, tak sobie. On się ciągnął, ciągnął, ciągnął... Wyciągał się ku mnie! Uf... aż mróz przeszedł po skórze. W dodatku grot zrobił się wyraźnie cięższy, niż był jeszcze przed chwilą.

W tej chwili podeszliśmy do drugiej sosny, a hrabia z miejsca wypatrzył ciemne żelazo, tym razem na wysokości piersi.

- Dasz sobie radę?

Pewnie, że dam.

Rzuciłem worek na ziemię, odszedłem na parę kroków i dopiero wtedy poczułem, jak słabnie moc mroku wczepionego w moją duszę.

A co będzie, gdy do worka trafią dwa groty? A trzy? Wytrzymam? Nie byłem pewien.

Z drugim kawałkiem przeklętego żelaza nie było najmniejszych problemów. Pociągnąłem, wyjąłem je łatwo, rzuciłem do worka i od razu zawiązałem. Potem podałem szczypce hrabiemu i ruszyłem wzdłuż skraju lasu, wypatrując kolejnej suchej sosny. W to, że sprawa skończy się na dwóch grotach, nie wierzyłem.

Rozgorzały w worku czarny ogień parzył mnie coraz mocniej i mocniej. Wrzący w metalu mrok przenikał duszę i sprawiał, że siedzące tam diabły wiły się z bólu. Nie, długo tak nie wytrzymam. W dodatku głowa zaczęła mi znów doskwierać...

Trzeci grot znów musiałem wyłuskiwać stojąc na ramionach Raula. Ale tym razem spadłem boleśnie na pełzające po ziemi sosnowe korzenie. Wrzuciłem grot do worka, odczołgałem się kawałek i dopiero wtedy nieco rozluźniłem. Czułem, jak po plecach ciekła krew z rozerwanej rany, ale ból przyszedł jak najbardziej w porę, gdyż pozwolił mi zachować przytomność.

- Co ci jest? - spytał hrabia z niepokojem.

- Przeżyję. - Oparłem się o drzewo. Na razie nie podchodziłem do worka.

- Mamy już mało czasu. - Raul zerknął na ciemniejące niebo. - Żebyśmy tylko znów nie wpadli na te bestie.

- Bestie? - roześmiałem się ochryple. — Bestie będą przed nami umykać z podkulonymi ogonami. Zwierzęta są mądre, czego nie można powiedzieć o większości ludzi.

- Nas masz na myśli?

- Niewątpliwie. Gdybyśmy byli mądrzejsi, trzymalibyśmy się z daleka od przeklętych miejsc.

- Miejsc czy rzeczy?
- Podejrzewam, że tutaj mamy jedno i drugie. Ta wyspa... ta właśnie wyspa...
- Szukamy dalej czy wracamy do obozu? — spytał w zadumie Raul.

- Szukamy - postanowiłem, rozmyślając usilnie, jak zabezpieczyć się przed mrokiem. - Chodźmy.

Czwarty grot było najtrudniej wydobyć, to wiem, ale nie pamiętam nawet, jak wyjąłem go z pnia i wrzuciłem do worka. Świadomość rozjaśniła mi się nieco później, kiedy zacząłem mamrotać pod nosem jedną z najdłuższych mantr braci egzorcystów. Ogarniającemu mnie przekleństwu modlitwa okazała się nie w smak. Buchające czarnym ogniem przedmioty od razu zmatowiały i przygasty jak węgle w niepodsycanym palenisku. Otwartego ognia nie było, ale w każdej chwili mógł znów zapłonąć.

Ani na chwilę nie przerywając recytacji, pośpieszyłem do następnego drzewa, bez trudu wyjąłem grot i poszedłem dalej. Z każdym wydobytym przedmiotem worek ciążył coraz bardziej, ale teraz to nie był ciężar przekleństwa.

O Święci! Ile już tego nabraliśmy?

- Sebastianie! - Raul potrząsnął mnie za ramię. - Sebastianie, trzeba wracać!
- Co? - potrząsnąłem głową, wychodząc z transu. - Ach, tak, rzeczywiście.

Mrok z miejsca zapłonął, ale zdążyłem już rzucić worek i odejść kawałek, pod rosnące opodal wiązy. Mrok zgęstniał, w lesie zrobiło się mało przytulnie. Sądziłem, że zwyczajne zwierzęta umkną, wyczuwając naszą zdobycz, ale spotkanie z właścicielami grotów mogłoby przynieść opłakane skutki. Nie miałem pojęcia, w jakim celu wbijali je w drzewa, ale na pewno nie było to przypadkowe. A nasze działania mogłyby im się bardzo nie spodobać...

- Jak myślisz, właśnie takim czymś można zabić Wyższego? - Raul podszedł do mnie. Uważnie nasłuchiwał odgłosów lasu.

- Myślę, że jeśli taka rzecz nie wyprawi Wyższego do wszystkich diabłów, to nic nie da rady - odparłem. - Tak, że może wresz...

- Stój! - syknął nagle hrabia. - Słyszałeś?
- Nie - szepnąłem. Na wszelki wypadek wyjąłem pałasz.
- Szelest...
- Zmykamy stąd!
- Patrz. - Raul trącił mnie w ramię i obnażył miecz. - Tam!
- Szybciej! - Między drzewami rzeczywiście dostrzegłem jakiś ruch, a to znaczyło, że najwyższy czas się stąd zabierać.

- Stójcie! - powiedział ktoś. Głos bez wątpienia należał do kobiety. Mówiła w zupełnie nieznanym mi języku, a jednak ją w niepojęty sposób zrozumiałem.

- Uciekamy! - Raul wpełzł pod gałęzie rozłożystego krzewu. Zanurkowałem za nim. Najważniejsze to oderwać się, a w ciemnościach nas nie odnajdą.

Skoczyliśmy ku sośnie, pod którą leżał worek, i już zamierzaliśmy popędzić dalej, kiedy na wysokości piersi w pień wbiła się strzała. Była zakończona najzwyczajniejszym w świecie grotem, ale wielkiej ulgi w związku z tym jakoś nie poczułem. Nie byliśmy Wyższymi, taki kawałek żelaza wystarczyłby dla nas aż nadto.

- Bierz worek - syknął Raul, chwytając miecz w obie dłonie.
- Stójcie, nic wam nie zrobimy! - zawołała ukryta w lesie łuczniczka.
- Czego od nas chcecie?

Zarzuciłem worek na ramię i przygotowałem się do odskoku przy najmniejszym podejrzanym ruchu. Niestety, nie mieliśmy wielkich szans na ucieczkę. Strzelców była co najmniej trójka.

- Co się stało? - spytał hrabia. - Otoczyli nas?
- Aha...
- Chcemy tylko porozmawiać. Schowajcie broń i zostawcie w spokoju worek.

- W worku mamy cenne przedmioty, nie chcemy ich stracić - odparłem.

- Nie wpuścimy mroku do lasu! - Po raz pierwszy głos nie zabrzmiał obojętnie. - Nie macie się czego obawiać, zdjeliście bowiem z naszych granic przekleństwo i możecie liczyć na miłe przyjęcie. Ale worek musi tu zostać.

- A może lepiej sobie pójdziemy?

- Nie! I nie wystawiajcie naszej cierpliwości na próbę!

- Chwileczkę.

Odszedłem od sosny, ukucnąłem i zacząłem wykrawać nożem darń.

- Poczekamy - powiedziała kobieta.

- To wspaniale - wyburczałem pod nosem. Rozprostowałem się z trudem, poczułem zawrót głowy i przekazałem nóż Raulowi. - Pomóż, wasza jasność. Plecy nie chcą mi się zginać.

- Co chcesz zrobić?

- Pójdziemy w gości.

- Nie lepiej uciec?

- Nie trzeba wiele, żeby nas naszpikowali strzałami... -Wrzuciłem worek do dołka. - Są ze wszystkich stron.

- Wpadliśmy. - Raul ułożył starannie darń i rozejrzał się. - Zapamiętaj miejsce, bo trzeba to potem odszukać.

- Znajdziemy - odparłem. Mrok byłem w stanie wyczuć nawet z pięćdziesięciu kroków. Ciekawe swoją drogą, czy właśnie nie przez niego strzelcy obawiają się zbliżyć? Trzeba to zapamiętać na przyszłość. - Jesteśmy gotowi!

- Wyjmijcie strzałę i chodźcie tutaj!

- Tutaj - to znaczy gdzie? - prychnął graf, kiedy ja wyjąłem z pnia pocisk.

- W stronę mojego głosu - rozkazała ukryta w lesie kobieta.

A dokładniej, jak się okazało, była to młoda dziewczyna w krótkim szarozielonym płaszczu i w kapturze na głowie. W dłoniach miała łuk i takie same łuki dzierżyły trzy inne dziewczęta, trzymające się z dala od nas. Co to za babskie królestwo?

- Mówcie wreszcie, czego od nas chcecie? - Raul postanowił od razu wziąć byka za rogi.

- Wyrazić wam wdzięczność za wybawienie nas od mroku - uśmiechnęła się czarująco dziewczyna, a hrabia nieco ochłonął.

- Teraz, kiedy już ją pani wyraziła, czy możemy wrócić do naszych spraw? - burknął, ale nieco mniej ostrym tonem.

- Nocą w lesie jest zbyt niebezpieczne - odrzekła łuczniczka. - Rano porozmawiacie ze starszyzną, a potem odprowadzimy was tutaj.

- Mój towarzysz jest ranny - rzekł Luringa. Rzeczywiście nie byłem w najlepszym stanie. W głowie mi się kręciło, a bandaż już całkiem przesiąkł krwią.

- Otrzyma pomoc i do świtu po ranie nie zostanie nawet ślad. - Dziewczyna wskazała prawie niewidoczną w ciemnościach ścieżkę. — Nie traćmy już czasu.

Hrabia spojrzał na mnie z niepokojem, ale kiwnąłem głową. Spróbować przestraszyć najbliższe dziewczyny? I oberwać w plecy od innych, skrytych w ciemnościach łuczniczek? Co do tego, że gdzieś tam były, nie miałem wątpliwości. Trzeba iść.

I poszliśmy. Panująca na skraju lasu cisza stopniowo wypełniała się zwykłymi odgłosami nocnej gęstwiny. Cykady grały ogłuszająco, od czasu do czasu pohukiwały sowy. Od strony rzeczki dolatywał rechot żab.

Powoli zaczął się też zmieniać sam las. Widziałem coraz mniej sosen i świerków, powietrze było bardziej rześkie i wcale się nie zdziwiłem, kiedy ścieżka wyprowadziła nas nad leśne jezioro, którego brzegi były porośnięte wysokimi drzewami, zwieszającymi gałęzie ku samej wodzie.

Wierzyby? Nie. Kuliste, białe kwiaty ledwie zauważalnie lśniły w ciemnościach, a wokół nich kłębiły się chmury muszek.

A ten zapach! Słodki aromat nie był podobny do niczego, co znałem, napełnił ciało lekkością, sprawił, że zapomniałem o rozsieczonych plecach. Nagle nabrałem wielkiej ochoty na drzemkę. Po raz pierwszy konieczność spędzenia nocy w lesie na mokrej ziemi wydawała się wyjątkowo nęcąca. Aż potrząsnąłem głową, żeby odgonić napierającą senność.

Ścieżka wkrótce zmieniła się w wyłożoną otoczkami dróżkę. I od razu dostrzegliśmy oznaki niedalekich siedzib ludzkich: altanka pod rozłożystym drzewem, wąska łódka na brzegu jeziora, oczyszczona z zarośli polana...

- Potrzebny nam lekarz - przypomniał Raul.
- Jesteśmy prawie na miejscu. - Dziewczyna wskazała niewielki domek, przylegający do wysokiego dębu. — Mogę poznać wasze imiona?
- Hrabia Luringa, do usług. - Udobruchany już zupełnie Raul skłonił się dwornie. A zatem Pratt nie kłamał na temat jego wyjątkowej słabości do płci pięknej.
- Sebastian Mart. - Oblizałem wyschnięte wargi.
- Będzie pan czekał na towarzysza? - Łuczniczka podeszła do hrabiego bardziej, niżby to wynikało z zasad dobrego wychowania. Lecz pozostałe panie wciąż trzymały się z dala.
- Moja obecność podczas rozmowy ze starszyzną nie jest chyba konieczna - powiedziałem, a hrabia, nie odrywając oczu od dziewczyny, skinął tylko głową.
- Chwileczkę - powiedziała łuczniczka i po okrążającej krzewy ścieżce poszła ku domowi. Otworzyła drzwi bez pukania, zniknęła wewnątrz, a jakiś czas później szczeliny niezbyt starannie przymkniętych okiennic zajaśniały odbłaskiem lampy.

- Też ją rozumiesz, prawda? — upewnił się Raul.
- Każde słowo - potwierdziłem. — Ale, przysięgam na świętych, nie wiem, jak to możliwe.
- Mam nadzieję, że nie zamyślają czegoś złego. - Hrabia wzdrygnął się lekko i rozejrzał czujnie. Na pierwszy rzut oka wszędzie rósł jedynie las. Ale wystarczyło spojrzeć uważniej i od razu pojawiały się pewne wątpliwości. Tutaj wystawał dach domu, tam majaczyło ogrodzenie. Nie takie zwykłe, tylko zwarty żywopłot. Zupełnie jakbyśmy stali nie pośrodku ostępów, ale na peryferiach prowincjonalnego miasteczka. A może tak właśnie było?

- Gdyby zamyślały coś złego, już by nas obgryzały dzikie zwierzęta.
Wprawdzie kobiety nie są w stanie zbyt sprawnie zadawać ran białą bronią, ale nie ma różnicy, czyja ręka wypuści strzałę z łuku.
- Myślisz, że jest bezpiecznie?
- Przeciwnie - uśmiechnąłem się. - Lepiej zakładać, że szykują dla nas nie tylko coś złego, ale bardzo złego.
- No właśnie... - westchnął ciężko hrabia.
- Lekarz na pana czeka. - Dziewczyna, która właśnie wróciła, wskazała mi uchylone drzwi, a potem wzięła Lurin-gę pod rękę. - Chodźmy, hrabio...
- Raulu, jeśli pani pozwoli - posłał jej czarujący uśmiech. Nieszczęsny pies na baby...

Pokręciłem tylko głową i powlokłem się krętą ścieżką. Ból głowy, który już przycichał, wybuchł z nową siłą, a i plecy paliły żywym ogniem. Miałem nadzieję, że miejscowy łapiduch poradzi coś na rozerwaną ranę. Inaczej mógłbym nie doczekać powrotu na okręt.

Łapiduch był kobietą, ale nawet mnie to jakoś bardzo nie zdziwiło. Niby czemu miałyby? Jeśli tutejsze dziewczęta wyprawiają się na patrole, to z pewnością mężczyźni w osiedlu są strasznymi wałkoniami. Dziwne to, na pewno, ale być może istniało jakieś rozsądne wytłumaczenie...

Inna sprawa, że uzdrowicielka okazała się nie taką zwykłą niewiastą - była w dodatku piękna. A przede wszystkim ognistoruda...

- Witam. - Kiedy napotkałem uważne spojrzenie szmaragdowych oczu, mimo woli postanowiłem za wiele nie gadać.

Za to miałem na co popatrzeć. Niedbale narzucona i ściągnięta w wąskiej talii paskiem tunika sięgała tylko do kolan, ale jej właścicielce najwyraźniej to nie przeszkadzało. Potargane włosy, ładna piegowata buzia, śliczne nogi. O-ho-ho...

Ni mniej, ni więcej, tylko ulotna, trzpiotkowata piękność. Jedyne uważne i jakby nieco kpiące spojrzenie zielonych oczu nieco nie pasowało do całego obrazu. Od pustego wzroku ślicznych idiotek mrówki po plecach nie biegają.

O nie, to było zupełnie coś innego...

- Proszę wejść, Sebastianie - zaprosiła mnie uzdrowicielka i wskazała leżący wprost na podłodze siennik. — Niech się pan ułoży jak najwygodniej. Mam na imię Laura.

„Tak od razu?” - Chciałem zażartować, aie w porę ugryzłem się w język i w milczeniu osunąłem na stojącą przy progu pufę. Zdjąć buty, nie wysilając jednocześnie rwących pleców - trudne zadanie, ale przy okazji rozejrzałem się po oświetlonej kilkoma lampami izbie.

Na pierwszy rzut okaz sprawiała wrażenie niezamieszkałej i nieco jakby podniszczonej. Oczywiście, jeśli każdego dnia przychodzą ludzie ze swoimi chorobami, nie ma się głowy do sprzątanania, ale coś tutaj kłuło w oczy. Na razie jednak nie potrafiłem określić, co. Nie było kurzu, wszystko stało na swoim miejscu. Pęczki suszonych ziół zwisały pod powałą. Wzdłuż ściany stały pękate beczułki. Umywalka. Otwarta szafa z woreczkami, szkatułkami, moździerzami i innym drobiazgami. Okrągły stół w kącie. I to z grubsza wszystko.

Zdjąłem wreszcie buty, wyprostowałem się i zacząłem rozpinać kurtkę. Zdjęcie jej też stanowiło pewien problem - dobrze, że Laura postanowiła mi wreszcie pomóc. Trzepotała rzęsami i uśmiechała się nie wiadomo czemu. Rudych włosów nigdy nie widziała? Hm... Możliwe, skoro w pomieszczeniu nie było ani jednego lustra.

Kurtka opadła na podłogę, uzdrowicielka kazała mi się obrócić plecami do światła i obejrzała bandaż. Lekko przebiegła palcami po żebrach, powąchała ranę i znów wskazała przykryty świeżym prześcieradłem siennik.

- Zapraszam.

No to się położyłem. I tym razem nawet nie pomyślałem nic zdroźnego, nie miałem nastroju. Wysilałem plecy przez pół dnia, a powinienem dać ranie odpocząć.

- Proszę się nie ruszać - powiedziała rudowłosa, wzięła ze stołu nóż i zaczęła podwazyć bandaż. Nie odrywała ich, bo w niektórych miejscach przyschły na kamień. Wylała z glinianego kubka na ranę jakiś płyn, który wydał mi się lodowaty.

- Temu, kto pana zszywał, należałoby ręce odrąbać za taką robotę - powiedziała Laura z irytacją. - Rany nie oczyścił i już jest zaogniona!

- Nasz lekarz został na okręcie - wyjaśniłem.

Opierałem się czołem o gładkie deski podłogi. W plecach kłuło, ostry ból przeszedł wzdłuż kręgosłupa, a kiedy kobieta zaczęła odlepiać nie do końca odmoczone bandaż, musiałem zacisnąć zęby, żeby powstrzymać krzyk.

- Skoro tak... - Uzdrowicielka znów przechyliła dzbanek i rozcięcie w jednej chwili zamroziło. Poczułem, jakby go w ogóle nie było. - I tak się panu udało tanio wykręcić, Sebastianie.

- Nawet mi nie mówcie, pani...

- Lauro...

- Dobrze. - Czując, jak zręczne palce ostrożnie suną wzdłuż rany, wstrzymałem oddech. - Lauro, czy możesz odpowiedzieć na jedno pytanie?

- Oczywiście. - Dziewczyna odeszła w kąt, zdjęła pokrywkę drewnianej kadzi, wzmacnianej pasami miedzi, zaczerpnęła z niej garstkę jakiegoś błota. Mimo woli zachwyciłem się przepięknymi

nogami gospodyni, ale zanim zdążyła zauważyć moje spojrzenie, znów oparłem czoło o podłogę.

- Jakim sposobem możemy rozmawiać? Przecież nie znam waszego języka, a wy mojego. A jednak rozumiemy się.

- To dar mojego rodu.

Laura ostrożnie wtarła błoto w ranę i poszła umyć ręce. Jej poczynania nie wzbudzały we mnie najmniejszych podejrzeń, zupełnie jakby to był całkiem zwyczajny sposób leczenia ran. Ale przecież...

- Rodu?

- Rodu opiekunek lasu.

- Opiekunek? - Znów powtórzyłem po niej słowo, czując się jak ostatni głupiec. - A, teraz rozumiem, dlaczego tutaj są tylko dziewczyny!

- Właśnie. - Uśmiechnęła się, wycierając ręce. — To tylko złudzenie, że rozumiesz słowa.

- Jak to?

- Bez obaw. - Laura zaśmiała się dźwięcznie. - Nie umiemy czytać w czyichś myślach. Nie mam pojęcia, o czym dumasz, bo twarz masz wyjątkowo nieprzeniknioną.

- Kto by pomyślał... — Poczułem, że zaczynają mi płonąć policzki, zmieniłem więc temat rozmowy.

— Mam nadzieję, że kuracja nie zajmie zbyt wiele czasu? Wtargnęliśmy w środku nocy...

- Nic nie szkodzi. - Laura usiadła na zydlu i skrzyżowała nogi. - A rana niebawem się zagoi.

- Ile jestem winien za leczenie?

- Czyż godzi się brać zapłatę od bohaterów za takie drobnostki?

- Eeee... Bohaterów?

- To oczywiste. - Dziewczyna zmarszczyła brwi. - Przecież pomogliście lasowi. Wybawiliście nas od zabijającej drzewa zarazy. Mroku.

- Kto im to zrobił? - Nawet nie próbowałem ukrywać ciekawości. - Czyje to były strzały?

- Proponuję wymianę. — Laura odgarnęła długie włosy. — Ty odpowiadasz na moje pytanie, ja na twoje.

- Niech będzie.

- Po co wam te grotty? — Wstała i znów zaczęła oglądać moją ranę. — Potrzebny wam ukryty w nich mrok?

- Jesteśmy bohaterami, prawda? - mruknąłem. - Przyszliśmy uratować las...

- Dobry żart. - Ostre paznokcie przesunęły się po mych plecach, od pasa do szyi. — I niektórzy nawet w to uwierzą.

- Ale nie ty?

- Ale nie ja. Odpowiedz.

- A po co ludzie w ogóle potrzebują grotów? - burknąłem. — Oczywiście po to, żeby zabijać innych ludzi.

- Ludzi, czy może tych, którym nie szkodzi zwykłe żelazo?

- Odpowiedziałem na twoje pytanie?

- W górach żyje inny ród. - Dziewczyna wyprostowała się. - Dawniej żyliśmy w zgodzie, ale teraz postanowili przejąć nasze ziemie. Możesz wstać.

-Już?

Sięgnąłem za plecy i nie poczułem najmniejszego bólu. Spróbowałem namacać ranę, ale palce trafiły tylko na gładką skórę, z której osypało się obeschnięte lecznicze błoto. Wstałem, zrobiłem skłon, wyprostowałem się. Nic mnie nawet nie ćmiło. Ale przecież...

- Wina?

- Nie odmówię. - Rzeczywiście, wypić teraz po prostu było trzeba. - Wychodzi na to, że niekoniecznie bardzo wam pomogliśmy? Ci z gór znów potraktują drzewa przeklętymi grotami i wszystko zacznie się od nowa?

- Gdyby mogli, dawno by zatruli więcej drzew. - Uzdrowicielka podała mi drewnianą czarę i napełniła ją winem. - Potrzebowali aż dwunastu lat, żeby odepchnąć las od gór.

- Ale drzewa też nie rosną zbyt szybko. - Skosztowałem wina. Słodkie, lekkie, aromatyczne. I bardzo niezwykle. Nigdy jeszcze podobnego nie próbowałem.

- Wielu rzeczy nie wiesz o drzewach. - Dziewczyna uśmiechnęła się zagadkowo.

- Nie zaprzeczę. Ale za to sporo wiem o ludziach.

-I...? - Laura przysunęła się bliżej.

- I wiem doskonale, że do przetrwania rodu potrzebni są mężczyźni.

- Ach, ty o tym! - Uzdrowicielka wróciła do stołu, żeby napełnić swoją czarę. — Nie wydaje mi się, żeby przedłużanie rodu było niezbędne nieśmiertelnym.

- Nieśmiertelnym zapewne nie. - Dopilem wino i postawiłem naczynie pod przechylony już dzban. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Laura mówi prawdę. Niemniej, z pewnością nieco zabawiła się moim kosztem. - Ale to was nie dotyczy.

- Dlaczego tam myślisz? - Zamrugła psotnie.

- Wiek - wyjaśniłem. — Nieśmiertelni powinni wszyscy być w jednym wieku. Tak mi się wydaje.

- Być może, być może... - Kiwnęła głową zamyślona nagle Laura. - To pytanie?

- Tak.

- Dawniej każdej jesieni urządzaliśmy jarmark. Właśnie dla tych z gór.

- Oczywiście.

- Bystry jesteś - uśmiechnęła się. - Dlaczego wybrali właśnie ciebie?

- Wybrali...? — Nie od razu zrozumiałem, o czym mówi, ale zaraz do mnie dotarło. Upiłem wina. - To moja praca.

- Zabijać ludzi?

- Bronić jednych ludzi przed drugimi.

- Przed ludźmi? Czy przed tymi, którym nie może zaszkodzić zwykłe żelazo? — Laura sięgnęła do amuletu wiszącego na mojej piersi, podarowanego mi przez egzorcystę.

- Przed nimi też. — Skrzywiłem się od powracającego niespodziewanie bólu głowy.

- Coś ci jest? — spytała natychmiast uzdrowicielka.

- To nic takiego. Uderzenie.

- Pokaż. — Laura chwyciła moją głowę w delikatne, ale mocne palce. - Schył się...

Wykonałem polecenie i poczułem zapach ciała dziewczyny. Mimo woli zadrzałem, a kiedy mnie puściła, wypięłem wino jednym haustem.

- Cios był potężny, a ranę zaleczono bardzo niedbale. -Przygryzła wargę.

- Tak wyszło...

- No właśnie! - prychnęła Laura i wskazała siennik. -Kładź się! Nie tak, na plecy!

Zrobiłem, co kazała, a ona przykucnęła obok. Od złożonych na mojej głowie dłoni zaczęło promieniować ciepło i senność przyszła zupełnie niespodziewanie. Przyszła, kazała się rozluźnić i wyrzuciła z ciała cały ból.

- Teraz lepiej? - zapytała uzdrowicielka.

- O wiele lepiej - odpowiedziałem, przewyciężając odrętwienie.

- Wiesz, Sebastianie, co do zapłaty za leczenie... - Dziewczyna zmrużyła oczy, a potem nagle usiadła na mnie okrakiem. - Chyba mam pomysł, jak to rozwiązać.

Nie muszę chyba dodawać, że ten pomysł bardzo mi się spodobał...

VIII

Obudziłem się o świcie. Odrzuciłem lekkie przykrycie, usiadłem na sienniku i ścisnąłem dłońmi skronie. Głowa bolała mnie tak, jakbym wczoraj wypił nie trzy czarki wina, ale całą beczkę piwa. W dodatku ze zrozumiałych względów byłem niewyspany.

- Jak się czujesz? - Laura, grzebiąca w jednym z kufrów, zerknęła na mnie. Podszedłem do niej, chwyciłem skraj krótkiej tuniki i od razu dostałem po łapach. - Przestań!

- Naprawdę?

- Nie czas na to - ucięła. - Starszyczna już wysłuchała twojego towarzysza.

- Wiesz, chętnie bym się tu zatrzymał - powiedziałem nieoczekiwanie dla samego siebie i żeby ukryć konsternację, wróciłem pod koc. Nigdzie nie widziałem swoich rzeczy. Czyżby zabrała je do prania? Ale kiedy?

- Nic z tego nie będzie. - Potrząsnęła głową dziewczyna, a długi warkocz rudych włosów powtórzył ruch swojej pani.

- Dlaczego? — Naprawdę miałem ochotę zostać. Dobrze tu było, spokojnie. Zwyczajne marzenie mężczyzny w moim wieku. Hm... Tak... Dla kogoś innego może i zwyczajne, ale nie dla mnie. Ale gdyby tak Laurę porwać i zabrać na okręt...

- Dlatego, że boli cię głowa. - Uzdrowicielka rzuciła mi coś wielkości niewielkiej śliwki.

- To może rzucę picie? — Chwyciłem owoc, próbując rozpracować własne uczucia. Co się ze mną działo?

- To nie od wina - uśmiechnęła się smutno Laura. - Po prostu mężczyźni nie mogą żyć w tym lesie. Choćby nie wiem, jak chcieli. A my nie możemy mieszkać gdzie indziej. Taki nasz los...

- Opowiesz? - Nadgryzłem śliwkę, która prawie nie miała smaku, ale wystarczyło przeżuć kilka kęsów, żeby ból znikł.

- Cała tajemnica tkwi w drzewach nad jeziorem. Czuleś przecież zapach ich kwiatów. Zapach, pyłki, kora, suszone liście, owoce... Mężczyźni przyzwyczajają się i nie mogą już bez tego żyć. Z czasem sprowadza ich to do poziomu zwierząt domowych. Miłych wprawdzie, ale pozbawionych rozumu.

- Narkotyk? - Oblizałem mokre od soku palce. - Jak szybko zaczyna się uzależnienie?

- Tobie to nie grozi, bo cię boli głowa. Po prostu pewnego ranka byś się nie obudził. Tak też bywa.

- Wesoło. A mój towarzysz?

- Dwie, trzy noce spędziłby tutaj i już by nigdzie nie odszedł.

- Te drzewa rosną tylko w waszym lesie?

- Jedynie nad brzegami jeziora. I jeśli nas stąd kiedyś wypędzą, umrzemy - westchnęła Laura. Podała mi kłęb odzieży. - Naprawdę uratowaliście nas i nasz las.

- Teraz rozumiem, czym handlowałyście na jarmarkach - powiedziałem i zacząłem rozkładać ubranie. To nie były oczywiście moje rzeczy. Leciutka koszula, spodnie i szarozielona kurtka, uszyta ze znanej mi już łuskowatej skóry. Dobrze, że chociaż bielizna została.

- Owoce są bardzo pożywne - powiedziała uzdrowicielka. - Dzięki nim górale mogli przetrwać zimę. Ale potem zdobyli ziarna kukurydzy...

- I wszystko poszło nie tak, jak trzeba. - Pokiwałem głową i przymierzyłem lekkie buty. Leżały po prostu idealnie, a lepsze trudno by było sobie wymarzyć do lasu, w mieście jednak... W mieście potrzeba porządniejszego obuwia. - A jeśli rodzi się chłopiec, co wtedy?

- Mniej więcej w wieku trzynastu lat chłopców oddaje się pod opiekę ojców. Później robi się dla nich tutaj zbyt niebezpiecznie.

- Rozumiem. - Podskoczyłem w miejscu kilka razy, żeby przywyknąć do nowego ubrania. Chociaż do czego niby przywykać? Wszystko pasowało doskonale. - Znów mam u ciebie dług...

- Nieważne. - Laura uczyniła lekceważący gest i podała mi jakieś zawiniątko. - Weź...

- Co to? - W zawiniątku spoczywał miniaturowy nóż. A może sierp?

Nie, to był pazur. Oprawiony w rękojeść pazur, identyczny z tymi, jakie miały bestie, które nas napadły. Można go było łatwo schować w zaciśniętej dłoni, ale był ostry i niebezpieczny niczym wygrzewająca się na kamieniach żmija. W dodatku ciężki, jakby został wyciosany z granitu. - Trofeum myśliwskie?

- Nie polujemy na nie, to one polują dla nas. Chronią las.

- A więc to tak!

- Ano tak.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - Schowałem nóż do skórzanej pochewki, spróbowałem objąć dziewczynę, ale odsunęła się.

- Wyjedź. I zabierz z wyspy ten przeklęty metal. Gdyby wrócił do górali, wszystko przepadnie...

- A pozostałe grotty? Można zebrać wszystkie.

- To już nieważne, łańcuch został przerwany. - Laura przez moment nasłuchiwała, a potem przeciągnęła chłodną dłońią po mojej twarzy. - Pora na ciebie, Sebastianie...

- Żegnaj... - Nie miałem najmniejszej ochoty odchodzić. A zostać nie mogłem. Nie po raz pierwszy w życiu czułem coś takiego.

Otworzyłem drzwi, wyjrzałem na zewnątrz i zobaczyłem idącego ścieżką Raula, wpatzonego zakochanym spojrzeniem w odprowadzającą go łuczniczkę. Cóż, w rzeczy samej, pora na nas.

- Sebastianie! powiedziała jeszcze uzdrowicielka. - Nie próbuj zbierać pozostałych grotów! Górale szybko zrozumieją, że ktoś naruszył ich czary...

- Dobrze. - Odwróciłem się i zamknąłem na szyi zdumionej Laury zamek łańcuszka z amuletem egzorcysty. Przygarąłem dziewczynę, pocałowałem i podszedłem do czekającego Raula.

* * *

Aż do skraju lasu szliśmy w milczeniu. Hrabia nie odrywał wzroku od towarzyszki, ona również patrzyła na niego i doprawdy cud, że ani razu się nie potknęli. Gdzieś niedaleko przemykały eskortujące nas łuczniczki, ale i one nie naruszały ciszy leśnej, która była tak nienaturalna, że ciarki biegały po grzbiecie.

Chociaż powietrze przez noc zrobiło się chłodne, nie czułem zimna w nowej kurtce. Dzięki nowym butom szedłem prawie bezszelestnie, ale pod podeszwami Raula szeleściły spadłe liście i trzaskały suche gałązki. To, rzecz jasna, nie miało znaczenia, bo w tym lesie nic nam nie groziło. A dalej...

Kukurydziane pole zamajaczyło między rzędnącymi drzewami nieoczekiwanie szybko. Czyżby wczoraj łuczniczka prowadziła nas okrężną drogą? A może po prostu nocna wędrówka przez nieznaną teren wydawała się o wiele dłuższa? Wszystko możliwe.

Kiedy hrabia żegnał się ze swoją miłością, znalazłem suchą sosnę, odmierzyłem od niej odpowiednią liczbę kroków i z ulgą zobaczyłem, że darń nie została poruszona. Duchowe rozterki to na pewno poważna sprawa, ale perspektywa utraty głowy po powrocie z nieudanej wyprawy o wiele mocniej działała na nerwy.

Mrok natychmiast zapłonął, ale dzisiaj poradziłem sobie z nim o wiele łatwiej. Doświadczenie to bardzo ważna rzecz.

- Sebastianie! - zawołał hrabia, który szedł w stronę przeciwną do obozu. - Nie ociągaj się!

- Trzeba brać nogi za pas! - Pobiegłem za nim i wzdrygnąłem się, słysząc odległy krzyk. - Jeżeli nas zamkną w dolinie, nie damy rady opuścić wyspy!

- Nie! - Hrabia zatrzymał się nagle i odwrócił do mnie. - Rozmawiałem ze starszyzną i obiecałem im pomoc! Nie możemy zostawić w potrzebie bezbronnych kobiet! Musimy wytrzebić cały mrok!

- Nie wolno nam tracić czasu - zaprotestowałem. - Najważniejsze zadanie już wykonaliśmy!

Rzeczywiście, nowe rośliny kiełkowały już przy sosnach, wręcz na naszych oczach przebijając się przez warstwę suchych liści oraz igliwia. Podszyt zauważalnie okrzepł i przez noc zajął już skraj kukurydzianego pola. Wyglądało to tak, jakby przez ostatnie lata las zbierał siły, a teraz zerwał łańcuchy i przeszedł do natarcia.

- Bzdura! - warknął hrabia. - Nasz obowiązek...

Nie słuchałem, co więcej ma do powiedzenia. Złożonymi w kształt grotu palcami leciutko dotknąłem głowy Raula u podstawy czaszki, a potem chwyciłem go pod pachy.

Zanim upadł, ułożyłem na ziemi i krótko zagwizdałem. Niedługo potem okrzyki szukających nas żołnierzy zaczęły się zbliżać i znów gwizdnałem.

- Co z nim? - Jed wyskoczył z lasu i podbiegł ku leżącemu hrabiemu.
- Udar słoneczny - odpowiedziałem z uśmiechem, chwyciłem worek i rozkazałem rozglądającym się czujnie piechurom: - Bierzcie go i wracamy do obozu. Trzeba jak najszybciej odpłynąć z tej wysepki.
- Szybciej! - syknął na ludzi sierżant i poszedł obok mnie, z ciekawością oglądając moje nowe ubranie. - Zrobiliście, co trzeba?
- Nawet więcej - zaśmiałem się.
- I chwała Świętym! Już myśleliśmy, że nie zobaczymy was żywych.

Do obozowiska dotarliśmy bez przygód. Żołnierze po kolei nieśli wciąż omdlałego Raula, a ja miarę możliwości nie pozwalałem zbliżać się ludziom do worka przepełnionego mrokiem.

Hrabia odzyskał przytomność, kiedy jego podwładni kończyli zwijać obóz, usiadł na rozścielonym na piasku płaszczu, chwycił się za głowę, zmrużył oczy i wymruczał coś niewyraźnie pod nosem.

- Jest wino? - spytałem sierżanta.
- Masz. - Odpiął od pasa bukłak i uprzedził: - Ale dość podłe.
- Proszę, wasza jasność. - Kucnąłem obok hrabiego. -Do dna.
- Co?! - Dowódca straży pałacowej z trudem skupił wzrok. A potem zaklął soczyście i przyssał się do bukłaka.

Kiedy skończył, spojrzał na mnie. - Sebastianie, mówił ci już ktoś, że jesteś skończonym łajdakiem?

- Słyszałem to wiele razy - odrzekłem z uśmiechem i zwróciłem puste naczynie sierżantowi. - A jeszcze, że gad ze mnie i wyrodek.
- Wszystko się zgadza. - Raul wstał chwiejnie. - Taką świnię mi podłożyć...
- Chce pan wracać?
- Ja? Strzeżcie wszyscy Święci! - Hrabia aż się wstrząsnął. -Wybacz, miłości moja, ale obowiązek przede wszystkim!
- Nie zwracaj na to uwagi - poradziłem Jedowi, chwyciłem Raula pod rękę i odeszliśmy kawałek. - Czyżby nie spodobało się w gościnie?
- Spodobało wręcz niesamowicie! - Hrabia nie zaprzeczał oczywistościom. - Ale podkusiło mnie, żeby obiecać starszym wiedźmom, że wybawię las od mroku i teraz mi nieswojo.
- To nic, niebawem minie. Odpłyniemy z wyspy i od razu minie...

* * *

Tyle tylko, że wyspy nie zdołaliśmy opuścić tak od razu. Kiedy tylko podeszliśmy do skał, z miejsca, w którym spędziliśmy pierwszą noc, poleciały strzały. Piechurzy wypuścili bełty w ukrytych między kamieniami łuczników, zasłonili się tarczami i wrócili na pole kukurydzy.

Nasze położenie było nie do pozazdroszczenia. Przeciwnik obsadził wszystkie wyżej położone punkty i kiedy tylko uświadomił sobie, jak wielką ma przewagę liczebną, zgniecie nas w walce wręcz.

- Wpadliśmy? - uśmiechnął się niewesoło Raul. - Nie damy rady zawiadomić załogi?
- Wątpię - odparł sierżant i wyszarpnął z tarczy strzałę.
- Trzeba będzie paktować - westchnął ciężko hrabia i poszedł ku skałom.
- Stój! - rzuciłem się za nim, ale przypomniałem sobie o worku. Za pomocą oprawionego pazura szybko nakreśliłem na ziemi krąg i rzuciłem weń swoje brzemię. - Jed, jeśli ktoś przekroczy tę linię, daj mu z miejsca po łbie!
- Postrzelą was! - zaprotestował sierżant. - Weźcie chociaż tarcze!
- Nie warto! - Raul machnął niecierpliwie ręką i pewnym krokiem ruszył ku skałom. Dogoniłem go po chwili.

Nie strzelano do nas. Co więcej, od razu zeszli na dół trzej wyspiarze. Okazali się niewysocy, bladzi i szczupli. Tylko ich szerokie, spracowane dłonie świadczyły, że nie mamy do czynienia z jakimiś

ostatnimi zdechłakami. Ich pancerze kuli niewątpliwie mistrzowie. Krótkie klingi na razie mieli schowane do pochew, ale przypuszczałem, że są równie znakomicie wykonane. A co najciekawsze, wszystkie gardy były zdobione drogimi kamieniami.

- Uwolniliście las! - powiedział oskarżycielsko najniższy z tubylców. Jego eskorta trzymała się nieco z tyłu, nie zdejmując dłoni z rękojeści mieczy.

- Tak wyszło - odparł zwięźle Raul mową, stanowiącą mieszaninę dobrego tuzina różnych języków. Używali jej piraci Starego Morza. Zresztą, właśnie tym samym dialektem zwrócił się do nas góral. Teraz już było jasne, jak zdobyli kukurydzę.

- Gdzie groty? - Wyspiarz zacisnął pięści.

- W lesie. U wiem. — Raulowi nie drgnęła nawet powieka. Miał doświadczenie w kłamstwie, przebywając całe życie wśród pałacowych intrygantów. Dobrze zełgał, przekonująco. Ja bym uwierzył.

- Zgubiliście mój lud! - Góral aż stanął na palcach i zamachał rękami. - Umrzecie!

- Możemy wam to wynagrodzić - zaczął hrabia, ale wściekły przywódca wyspiarzy nie chciał go słuchać.

- Zapłacicie krwią!

- Zapłacimy, ale jedzeniem. - Chwyciłem za ramię Raula już zbierającego się do ostrej odpowiedzi.

A niby czym innym? Jak by nie patrzeć, góry i las spierały się o żyzną dolinę. - Dużo zapłacimy.

- Jedzeniem? — Góral natychmiast ochłonął. - Mów dalej.

- Te groty - machnąłem ręką w stronę lasu - są nam potrzebne. Dajcie nam, co macie. Na naszym statku jest jedzenie. Dużo jedzenia.

- Więcej nie mamy! - wrzasnął mi w twarz znów poczerwieniały ze złości niski mężczyzna. - Nie!

- A kiedy będą? I ile?

- Zimą. W najkrótszy dzień. Dwa.

- Kupimy wiosną — oznajmiłem i wskazałem jeden ze złotych pierścieni na palcach przywódcy.

Kamień w odcieniu „gołębia krew” był wart małą fortunę. Ale to w Stilgu. Ciekawe, jak cenny był tutaj? — Sprzedasz?

- Ile? - Góral od razu przystąpił do targu.

- Mąka. Pięć beczek - zaproponował hrabia.

- Fu! - syknął z odrazą tubylec, ale nie zdołał ukryć błysku w oczach. - Co jeszcze?

- Dogadamy się. - Raul rozpląnął się w uśmiechu na myśl, ile prowiantu załadowano na fleutę. —

Dogadamy...

* * *

Nie muszę chyba dodawać, jak się to skończyło. I chociaż na zdobytych za bezcen klejnotach położy łąpę korona, dla nas największą nagrodą była możliwość odpłynięcia z tej nieprzyjaznej wysepki. A i miejscowi nie zostali pokrzywdzeni, bo czy wykują przez zimę groty z przeklętego metalu, czy nie, do ich brzegów przypląną zaraz po okresie zimowych sztormów załadowane żywnością statki floty handlowej.

Jaka kukurydza? Jakie groty? Światem rządzą zupełnie inne rzeczy.

Na przykład złoto.

Złoto i drogie kamienie.

ROZDZIAŁ 8

EGZORCYSTA. KIEDY JUŻ POWRÓCIMY...

Miesiąc Świętego Augusta Budowniczego

Człowiek potrafi się do wszystkiego przystosować. No... prawie wszystkiego.

Paskudne i monotonne żarcie, nieustanne kołysanie, zatęchłe powietrze kajuty i tylko parę godzin na sen w ciągu doby. Jeśli zachodzi konieczność, można to wytrzymać. Bywało gorzej. O wiele gorzej.

O wiele mocniej dręczyło oczekiwanie. Zwykle oczekiwanie. Na swoją kolej, żeby się przespać, żeby pochodzić po pokładzie. Żeby zjeść i pójść do latryny. A najbardziej oczekiwanie na zawinięcie do portu.

Tak, oprócz oczekiwania na powrót do stolicy, nic innego mi nie pozostawało.

W swojej prostoduszności myślałem, że wystarczy przekazać groty Chasmartiemu i koniec. Ale gdzież tam! William, chociaż zamknął zdobycz w kufrze na solidną kłódkę, postanowił na wszelki wypadek nie spuszczać z niego oczu. Dosłownie. A na pomagierów w tym zadaniu wyznaczył rzecz jasna mnie i Luringę. I nawet nie mogliśmy zaprotestować, no bo niby kogo mógł znaleźć innego?

I właśnie dlatego powrót zamienił się w prawdziwą torturę. A zabezpieczony linami kufer, wokół którego narysowałem pentakl, zaczął we mnie wywoływać jakiś nadprzyrodzony strach. I chociaż zaklęty w grotach mrok nie mógł osiągnąć żadnego z nas, samo spojrzenie w ten kąt kajuty sprawiało, że czułem się nieswojo.

A nie patrzeć na kufer nie mogliśmy. Nie, ta przeklęta trumna na czas rejsu dołączyła do naszej kompanii.

Ja, Raul i kufer.

Ja, William i kufer.

Ja i kufer. Nawet we śnie ta sporządzona z solidnych desek i wzmocniona żelaznymi sztabami skrzynia nie dawała spokoju. Niech to diabli...

* * *

- Sebastianie! - Luringa potrząsnęła mnie za ramię, ledwie przyłożyłem głowę do poduszki i zamknąłem oczy.
 - Co się dzieje?! Moja zmiana?
 - Wchodzimy do portu - oznajmił radośnie hrabia. -Zbieraj rzeczy.
 - Już dawno jestem spakowany. - Nie widziałem wielkich powodów do ulgi. Jeśli gdzieś można było się obawiać zasadzki, to właśnie w porcie.
 - Sprawdźmy groty - zaproponował Chasmarti i otworzył kłódkę.
 - Sebastianie!
- Co „Sebastianie”? Sebastian nie ma najmniejszej ochoty podchodzić do przeklętego żelaza.

Jednak nie miałem możliwości wykręcić się od obowiązku. Musiałem odchylić wieko, rozwiązać worek i pokazać pozostałym ciemny metal. Czarne, niewidzialne płomienie natychmiast objęły moje palce. Zakląłem i zatrzasnąłem kufer.

Niech was wszystkich! Niech was wszyscy...

Rozległo się stukanie do drzwi.

Luringa chwycił miecz, a ja wyjąłem nóż sporządzony z pazura. Tylko Chasmarti zupełnie spokojnie zapytał:

- Kto tam?

- Wasza miłość prosił, żeby przynieść młotek i gwoździe — odpowiedział cieśla pokładowy.

William odebrał przedmioty, po czym zamknął starannie drzwi na zasuwę.

- A to po co? — zdziwił się Raul.

- Z kłódką poradzi sobie byle dureń - odparł Chasmarti z zadowoloną miną, a potem zaczął przybijać gwoździami wieko kufra. - W ten sposób będzie pewniej.

- Czegoś się obawiasz? - spytał hrabia.

- Wolę niczego nie zostawiać przypadkowi - oznajmił wyniośle William. - Mogę przypuszczać, że złoczyńca będzie miał przy sobie wytrychy, ale zapewne nie łom i obcęgi...

- Mam nadzieję, że nie zamierzacie zostawiać kufra bez dozoru? - zaniepokoiłem się.

- Moja sprawa to dostarczyć ładunek na miejsce przeznaczenia. - William rzucił młotek obok leżącej na podłodze kłódki. - Tylko tyle. Nie wiem, dokąd i w jaki sposób groty zostaną przewiezione dalej, dlatego rozsądnie było je dodatkowo zabezpieczyć.

Oczywiście - zgodziłem się.

Sprawdziłem, czy naniesione przeze mnie napisy na ściankach skrzyni są nienaruszone. Nie, wszystko było jak trzeba.

- Bierzemy - zarządził Chasmarti, otwierając drzwi. Złapaliśmy z Raulem za uchwyty ciężkiego kufra i powlekliśmy go na pokład.

Wartujący przy kajucie żołnierze poszli za nami. Oczywiście, Will nie miał zamiaru nakazać, aby nam pomogli. Zresztą, Luringa też by na to nie przystał. No i ja także nie chciałem dopuścić, aby któryś z ludzi zbliżył się do zakłętego w metal mroku. I bez tego nie brakowało nam problemów.

- Panowie — powiedział na nasz widok kapitan porucznik, a potem spojrzął przez lunetę w stronę portu. - Już na nas czekają.

- Nic dziwnego - zaśmiał się Chasmarti. Osłonił oczy dłonią, żeby przyjrzeć się karetom i licznej eskorcie wokół nich.

- Będziemy przybijać do samego nabrzeża? - zapytał hrabia.

- Tak.

- Jed! - zawołał Raul. - Przynieś rzeczy. Moje i Sebastiana.

- Tak jest, wasza jasność. - Sierżant zsalutował, ale oczywiście sam nie pobiegł po nasze bagaże, tylko wysłał dwóch żołnierzy.

- Sporo tych karek. - Podrapałem się w potylicę i z przyjemnością zaczerpnąłem świeżego powietrza. Zimnego, ale tym bardziej świeżego. Poczułem się jak nowonarodzony. Co prawda niebo było zaciągnięte niskimi chmurami, ale wyrwałem się wreszcie z tej koszmarnej kajuty!

- Wszyscy, którzy schodzili na wyspę zostaną poddani kwarantannie — powiedział cicho Raul.

- Jak to? No cóż... Należało się czegoś takiego spodziewać...

- Nas to na szczęście nie dotyczy.

Poczekaliśmy, aż marynarze spuszczą trap, chwyciliśmy za boczne rączki kufra i wynieśliśmy go na pirs po chwiejących się deskach.

- Postawcie tutaj - rozkazał Will, przytrzymując powiewającą na wietrze połę kaftana.

Podeszło od razu do niego dwóch ponurych drabów w jednakowych ciemnoszarych płaszczach i

wskazało stojącą w pobliżu karetę. Hrabia zaczął z nimi spór, ale zaraz mu pokazali jakiś papier. Ja nie chciałem w nic się mieszać, odszedłem więc na bok i przywołałem gestem krążącego w pobliżu Pratta. Rzecz jasna, rudy przechera nie przyjechał sam. Pośród eskorty na pirsie dostrzegłem paru jego ludzi. Bracia egzorcyci także nie zlekceważyli wydarzenia, jakim się stało nasze przybycie. Ale było ich tylko trzech.

- Jak podróż? - Jack chuchnął w zmarznięte palce, mierząc uważnym spojrzeniem moje nowe odzienie.

- Po prostu wyśmienicie. - Wtuliłem głowę w ramiona i podniosłem kołnierz. Zimno, i to bardzo. Ciekawie, gdzie się zapodział Jed?

- Pańskie rzeczy. - Podbiegł do mnie jeden z piechurów.

- Dziękuję.

Wyjąłem z worka kapelusz egzorcysty, włożyłem go. Uszy już mi się zaczęły z chłodu zwijać w ruloniki.

- Nowe ubranie, jak widzę — zauważył Pratt.

- Nawet mi nie mów.

Jak zapowiedział Luringa, schodzących z okrętu piechurów natychmiast pakowano do karet i gdzieś odwożono. Ale ci dwaj w szarych płaszczach nie śpieszyli się z odjazdem i rozpytywali o coś Willa. Wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie, a i stojący obok Raul był bardziej pochmurny, niż niebo nad naszymi głowami.

- Sebastianie... - Pratt trącił mnie w ramię. - Jak przebiegła podróż, pytam.

- Udana, bardzo udana - odpowiedziałem z roztargnieniem. - Ci dwaj to kto?

- Osobiste brytany Lanye.

- Na ile osobiste?

- No, podporządkowani są bezpośrednio jemu, jeśli o to ci chodzi. Joel i Grey. Słyszałeś o nich?

- Oho! - Aż gwizdnąłem ze zdziwienia.

O tej nierozłącznej dwójce miałem okazję nieraz słyszeć, ale na własne oczy widziałem ich po raz pierwszy. Słudzy prawa. Oddani słudzy. Takich nie kupisz za parę miedziaków.

- No widzisz!

- Coś Chasmarti marnie wygląda — zauważyłem z uśmiechem i rozejrzałem się. - Czemu tu są tylko wasi?

- Lanye tak to urządził, że teraz to tylko nasza operacja. - Jack odwrócił wzrok.

- No proszę! Wykiwał Malkolma?

- Słyszałem, że załatwili to polubownie. - Rudy wzruszył ramionami. — Ile przywieźliście?

- Czego?

- Grotów, do licha! Sebastian, ty mnie w ogóle słuchasz?

- Jestem niewyspany. - Myśli rzeczywiście skakały mi w głowie jak pchły. Może aż tak przywykłem do tego przeklętego kufra? - A grotów jest sporo. Na wszystkich wystarczy.

- Niech cię piorun strzeli! - prychnął Jack. Wreszcie dotarło do niego, że przed moją rozmową z Parre nie dowie się żadnych szczegółów o rejsie. - Były kłopoty?

- Jakież tam były. Ale przestań mnie już wypytywać i sam opowiadaj!

- Co mam opowiadać? - uśmiechnął się jadowniczo.

- Wszystko. Szybko i zrozumiale. - Przedstawione przez wysłanników Lanye dokumenty musiały przekonać Chasmartiego, bo z kwaśną miną kazał zanieść kufer do karety, a sam z Raulem wszedł do drugiej.

- Jedziemy. — Jack pociągnął mnie za rękaw. - Pogadamy po drodze.

- Niech będzie. - Wsiadłem na kozioł czekającego na nas powozu, więc Pratt chcąc nie chcąc, musiał pójść w moje ślady.

- Trzymaj się blisko karety z kufrem - poleciałem stangretowi.
- Wykonaj - potwierdził mój rozkaz rudy, dodając pod moim adresem: - Że też chce ci się marznąć.
- Nie chce. - Wydmuchnąłem z ust kłęb pary i włożyłem dłonie pod pachy — Ale trzeba...
- Niech tam. - Jack machnął ręką. - Jeśli nie wierzysz już nawet tym dwóm...
- Wolę nikomu nie wierzyć. — Wozy wyjechały z portu i w tej chwili dołączyła do nas eskorta

złożona z dwóch tuzinów kawalerzystów.

- Niezbyt dobrze myślisz o Lanye - zaśmiał się rudy.
- Nawet nie wiesz, jak źle - odparłem. - Ale opowiadaj wreszcie, jak sytuacja wygląda tutaj?
- Nie jest dobrze. - Jack spochmurniał. - l.ens z wielką siłą prze od północy. Aserkię heretycy już zdążyli sobie podporządkować, a teraz starli się z naszymi w Marnie.

-I co?

- A co ma być? Wyżsi mordują egzorzystów jak kocięta, więc na razie się cofamy. Wszystkie siły mają iść na obronę Magrevu. Bez tych grotów rozbiliby nas w puch - tak to widzę...

- Cóż to za ponure myśli? - Trąciłem go w bok. -- Dragarn, mam nadzieję, jeszcze nam nie wypowiedział wojny?

- Nie, ale na granicy jest niespokojnie. - Jack potarł oczy. Wyglądał wcale nie lepiej ode mnie. -

Książę Alangorski został zamordowany...

- Co?! - Aż podskoczyłem. - Jak to? I kto to zrobił?

- Jego własny ogrodnik.

- Marionetka? - Poczuję przechodzący przez całe ciało dreszcz.

- Tak. Dlatego moi chłopcy zostali przydzieleni do straży pałacowej. Już nie pamiętam, kiedy zdarzyło mi się przespać więcej niż dwie godziny.

- Dlaczego stanęliśmy? - Wstałem, żeby popatrzeć. -Nie podoba mi się to.

- Spokojnie — ziewnął Jack. - W wozie koło odpadło. Zwykła rzecz.

- Może i tak.

Rozglądałem się czujnie po okolicy do chwili, aż znów ruszyliśmy, a potem bez przerwy patrzyłem na poprzedzającą nas karetę.

- Nie przesadzaj — mruknął Pratt.

- O związkach „wschodzącej gwiazdy” z prawdopodobnym przeciwnikiem nie wygrzebałeś czegoś?

- Nie. A powinienem?

- Chwila jest bardzo odpowiednia. - Nie tłumaczyłem nic więcej. - Orodnika wzięli żywcem?

- Ale gdzie tam! Porąbali go na kawałki.

- A ciało?

- Zabrali egzorcyści. Takie pocięte.

- Kto objął urząd w miejsce nieboszczyka? - spytałem. -Przecież nie Lanye.

- Ten zaszczyt spotkał księcia Morre.

- O proszę! - zdziwiłem się. - Zaczynam wiele rzeczy rozumieć...

- Obawiasz się, że ciebie też sprzedali? - Jack powiedział to szeptem. - Parre... On jest do tego zdolny...

- Oby ci jęzor usechł! Dokąd jedziemy?

- Do starego budynku admiralicji. Straży tam co niemiara.

- Jakoś mnie to nie dziwi. - Zadarłem głowę i patrzyłem jakiś czas na unoszący się ku chmurom dym z kominów, a potem westchnąłem. — Jeśli Dragarn nas zaatakuje, będzie źle.

- Już jest źle. Jeśli nie poradzimy sobie z Wyższymi, możemy zbierać manatki i uciekać do Pacharty. Paskudne rzeczy dzieją się w Marnie, po prostu paskudne. Trupy wstają z grobów i atakują żywych. Z jasnego nieba w naszych żołnierzy uderzają pioruny. Niektóre wioski pustoszeją w ciągu jednej nocy Byli

ludzie i nie ma ludzi. Tak, Wyżsi to prawdziwa siła.

- Mam nadzieję, że w Liranie rozumieją, że będą następni.
- Rozumieć rozumieją. Ale sam powiedz, czy przepuszczą taką okazję, żeby odpłacić nam za Kampanię Zachodnią?
- No dobrze, co tam! Zobaczymy, jak będzie.

Karety wjechały przez bramę admiralicji. Kiedy stanęły, zeskoczyłem z kozła. Sądząc po liczebności zebranej na dziedzińcu straży, ktoś poważnie obawiał się jakichś działań ze strony Lensu, ale ja nie miałem nic przeciw takiemu podejściu do sprawy. Biorąc pod uwagę, że właśnie tutaj mogłyby ściągnąć wszystkie marionetki mieszkające w Akrai, gdyby cel naszej wyprawy na wyspę wyszedł na jaw, lepiej było zachować jak największą czujność.

- Idziesz z nami? - spytałem Pratta.
- Nie, miałem tylko przyprowadzić powozy - odparł Jack.
- Bywaj więc.

Podszedłem do karety z kufrem.

- Bywaj...

Zaraz podeszli do mnie Luringa z Chasmartim. Ludzie od Lanye postawili kufer na bruku i rozglądali się czujnie.

- Czemu nie jechaliście z nimi w jednej karecie? - spytałem.
- A ty byś dyskutował z rozkazami pana Lanye? - William spojrzał na mnie zimno.
- Tutaj, tutaj! - zamachał stojący na schodach prowadzących do wejścia dorodny mężczyzna, a legendarna dwójka potaszczyła kufer do budynku.

- Panie Premine! - Raul pośpieszył w tamtą stronę. - Jakie mamy rozkazy?
 - Niech pan przechodzi, drogi Raulu! - odpowiedział mężczyzna i spojrzał surowo na Chasmartiego.
- Williamie, twoja obecność także jest konieczna.

Nic wiedziałem, czy ja też byłem niezbędny, ale nie zamierzałem zostać na zewnątrz. Zmarłem jak pies, postanowiłem więc przynajmniej się ogrzać.

Jednak wejść do środka nie było tak łatwo. Chociaż wartownicy odnaleźli moje imię na liście, nie oni decydowali, ale brat egzorcysta, który ze zdumieniem zapatrzył się na mój kapelusz. Dopiero kiedy brzęknąłem dzwoneczkami, otrząsnął się i pozwolił mi przejść

- Proszę do sali posiedzeń - skierował mnie jeden z żołnierzy.
- Dziękuję. - Poszedłem po wypełnionych strażami korytarzach.

Do sali dotarłem już bez problemów, wartownicy przy wejściu byli w dyspozycji kolegium spraw wewnętrznych, więc nawet egzorcysta z kadzidłem nie zatrzymywał mnie, tylko wskazał drzwi.

Wśliznąłem się do środka, cicho i skromnie stanąłem niedaleko Parre. Niemniej, Malkolm i tak mnie zauważył, mrugnął i znów odwrócił się w stronę otaczających kufer ludzi. Bardzo ważnych ludzi. Wprawdzie nie potrafiłem rozpoznać wszystkich zgromadzonych wielmoży, ale od razu ogarnęło mnie osobliwe uczucie na myśl, że przebywam z nimi w jednym pomieszczeniu.

- Jesteście wolni - powiedział Lanye do swoich totumfackich, a widząc zabite wieko, dodał: - I niech przyniosą narzędzia!

- Czyżby zamki wyszły z mody? - wyburczał markiz Lagnimau, admirał - jeden z tych, których znałem z widzenia.

- Czyżby w pańskim resorcie nie było ani jednego łomu? - odparł Jacob Lanye, napawając się chwilą.

- Jeśli potrzebujecie, możemy się z wami takimi kłopotami podzielić. — Admirał nie pozostał mu dłużny.

W tej chwili znalazłem wzrokiem Raula Luringę, który rozmawiał z wysokim, starszym mężczyzną i ledwie się powstrzymałem, żeby nie gwizdnąć. Sądząc z podobieństwa, jego rozmówcą był sam książę

Morre, nowy doradca jego królewskiej mości do zadań specjalnych.

Towarzystwo zgromadziło się zaiste doborowe: doradca królewski, admirał, szefowie tajnej służby i kolegium spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych. I jeszcze cała gromada ważnych ludzi.

Tylko marszałka jakoś nie widziałem, ale poza tym byli wszyscy. Nawet ktoś z zakonu Wypędzających.

— Nigdzie nie odchodź. - Parre podszedł do mnie. - Jak tylko tu skończę, Erich cię zabierze.

- Erich?

- Ten, który cię odwoził do portu.

- A, ten! Oczywiście. Wszystko u nas jak trzeba?

— Więcej niż...

W tej chwili jeden z pilnujących drzwi strażników przyniósł niewielki łom z końcówką do wyciągania gwoździ, a Chasmarti wziął się do otwierania kufra.

- Wiliamie. - Lanye wskazał mnie ruchem brody. - Sądzę, że Sebastian Mart powinien to zrobić.

- Tak jest. - Wziąłem narzędzie z rąk Chasmartiego i zacząłem jeden po drugim wyjmować gwoździe.

Potem odłożyłem łom na bok, otworzyłem wieko i drgnąłem, nie czując czarnych płomieni.

Gorączkowo rozwiązałem worek, zajrzałem do środka i zaniemówiłem.

W worku leżały porzewiałe groty do bełtów.

Zwykłe żelazo. Mętny metal i ruda rdza. Żadnego mroku.

I na pewno nie miałem najmniejszych szans, żeby wyjść suchym z tego bagna.

Zaraza...

ANEKSY

1. KALENDARZ

WIOSNA

Świętego Marcina Żeglarza

Świętego Artura Wędrowca

Świętej Mai Miłościwej

LATO

Świętego Jana Uczzonego

Świętej Juliany Pustelniczki

Świętej Augustyny Zielarki

JESIEŃ

Świętego Sebastiana Kosiarza

Świętego Augusta Budowniczego

Świętego Mikołaja Ślepcy

ZIMA

Świętego Dominika Nauczyciela

Świętego Januarego Cudotwórcy

Świętego Fryderyka Oszczepnika

2. KOŚCIÓŁ

Obecny ustrój Kościoła został ustalony i zatwierdzony podczas Wielkiego Soboru, w którym uczestniczyli wszyscy najbardziej wpływowi duchowni tamtych czasów. Wiele teoretycznych sporów zostało rozstrzygniętych przez Sobór, na którym powołano do istnienia Symbol Wiary, i ostatecznie uznano, iż należy rozpocząć liczenie dat od nowa, a każdemu miesiącowi przypisać patrona. Przyjęto także definicję świętości oraz zasady powoływania w poczet Świętych.

W Symbolu Wiary wyrażają się najważniejsze religijne postulaty: dychotomia Pradawnego Światła i Wiecznej Ciemności oraz oczekiwanie na ostatnią bitwę, w której Święci będą jedynymi obrońcami ludzi przeciw armii diabłów, i tych, którzy stracili dusze.

Wedle obecnej struktury Kościoła, domy modlitewne i klasztory Wszystkich Świętych są podporządkowane przeorowi stołecznego klasztoru Wszystkich Świętych danego kraju.

Domy modlitewne i klasztory, których patronami są konkretni Święci, znajdują się w bezpośredniej władzy przeora klasztoru, w którym spoczywają relikwie lub grobowiec danego Świętego.

3. ŚWIĘCI

ŚWIĘTY MARCIN ŻEGLARZ

Słynny podróżnik, który wsławił się odkryciem drogi morskiej do Pacharty oraz poszukiwaniami Archipelagu Południowego. Pewnego razu, w czasie sztormu, kiedy jego statkowi groziła pewna zagłada, wyszedł na taflę wody, jak na suchy ląd, a statek popłynął za nim, bezpiecznie przepływając się przez rafy. Zginął podczas potyczki z piratami Starego Morza. Został pochowany zgodnie z morskim obyczajem, ale niedługo czas później jego nietknięte ciało przyplłynęło do brzegu. Jego grobowiec znajduje się w Lagenie.

Patron marynarzy.

ŚWIĘTY ARTUR WĘDROWIEC

Był wspaniałym kaznodzieją i niestrudzonym misjonarzem. Męczeński wieniec zdobył na ziemiach Pacharty. Jego ciało po śmierci nie wykazywało najmniejszych śladów rozkładu, przeciwnie - wydzielało piękny aromat i myron. Ten cud przywiódł pogan do opamiętania, a wielu z nich nawróciło się na prawdziwą wiarę. Szczątki męczennika przywiózł do ojczyzny Marcin Żeglarz. Święty Artur został pochowany w Karlenie.

Patron wędrowców i podróżnych.

ŚWIĘTA MAJA MIŁOŚCIWA

Księżna dziedziczna Dragarnu, sławna z nadzwyczajnego miłosierdzia. Patronka przytułku dla sierot i biedaków, który ufundowała. Została zabita podczas przewrotu pałacowego. Ciało księżnej nie uległo rozkładowi, jedynie z jej oczu ciekły krwawe łzy, a w dzień pogrzebu nad Liranem przeszedł krwawy deszcz. Po śmierci pozostaje obrończynią chorych i zropaczonych, lecząc chorych zarówno na ciele, jak i duszy. Wielu ulega uleczeniu po odbyciu pielgrzymki do jej grobu.

Patronka lekarzy.

ŚWIĘTY .JAN UCZONY

Miłośnik ksiąg. Chodził po wsiach, aby nauczać dzieci klasztornej pisma. Słynął z wyjątkowo łagodnego usposobienia, Rozmawiał ze zwierzętami. Poniósł śmierć na drodze z rąk rozbójników, którzy później pokajali się i dobrowolnie oddali w ręce prawa. Przed ich kaźnią Święty objawił się sędziom, prosząc o przeniesienie jego szczątków w rodzinne strony oraz zmiłowanie dla zabójców, „albowiem nie wiedzieli, co czynili”. Po otwarciu trumny okazało się, że ciało Jana nie zostało dotknięte rozkładem, dlatego jego grób w Magrevie stał się miejscem pielgrzymek.

Patron uczniów i nauczycieli.

ŚWIĘTA JULIANA PUSTELNICZKA

Dziewczyna szlacheckiego pochodzenia, która dobrowolnie przyjęła brzemień pustelniczej egzystencji. Ponad pół wieku przeżyła w pieczarze i wsławiła się jako jasnowidząca. Przez ostatnie lata jej życia pielgrzymi płynęli do niej nieprzerwanym strumieniem, wielu otrzymało dar nawrócenia na właściwą ścieżkę i zasłynęło dobrymi uczynkami. Na dzień przed odejściem pożegnała się z tym światem i naznaczyła dokładny czas swojej śmierci. Jej zachowane doskonale ciało zostało pochowane w Welmie.

Patronka uczonych.

ŚWIĘTA AUGUSTYNA ZIELARKA

Wiejska znachorka, lecząca chorych ziołami i zamawianiem. Wyganiała diabły nałożeniem rąk. Została niesłusznie oskarżona o czarnoksięstwo i spalona na stosie, jednak następnego dnia jej zwęglone kości zaczęły wydzielać myron, na stosie przez noc wyrosły kwiaty, a nad miejscem kaźni pojawiła się tęcza. Przerażony oszczerca przyznał się do kłamstwa. Urna z prochami Świętej znajduje się w klasztorze rugijskim, a pielgrzymujący do nich mogą pozbyć się diabelskiej mocy z ciała i duszy.

Patronka egzorcystów.

ŚWIĘTY SEBASTIAN KOSIARZ

Do wieku lat pięćdziesięciu był zwykłym wieśniakiem, milczkiem i odludkiem. Pewnego dnia usłyszał kazanie Artura Wędrowca i zapłonął ogniem prawdziwej wiary. W tych dniach wieś dotknęła morowe powietrze. Sebastian wyszedł na plac i zaczął kazanie, a mówił bez przerwy trzy dekady i trzy dni. Wszyscy, którzy go słuchali, pozostali zdrowi, a chorzy zdrowieli. I nawet opętani wracali do siebie, albowiem diabły nie mogły znieść brzmienia głosu Świętego. Z ostatnim słowem kazania mór zakończył się w jego wsi i w innych osiedlach, ale sam Sebastian zmarł z wyczerpania. Jego ciało po śmierci wyglądało tak, jak za życia, nie wykazywało symptomów rozkładu. Został pochowany w Aronie.

Patron stanu chłopskiego.

ŚWIĘTY AUGUST BUDOWNICZY

Architekt, niesłusznie oskarżony o zdradę stanu i stracony. Główny budowniczy zespołu świątyni Świętej Teresy, w cudowny sposób już po śmierci dokończył wykreślanie planu budowy. Naoczni świadkowie niejednokrotnie widzieli go podczas nocnej pracy, a rano znajdowano kartki ze wskazówkami dotyczącymi dalszych prac. Została powołana komisja dla sprawdzenia miejsca pochówku Augusta. Po rozkopaniu grobu okazało się, że szczątki skazańca nie uległy rozkładowi. W Akrai zbudowano Świętemu grobowiec, do którego pielgrzymują ludzie pragnący pomyślnie dokończyć skomplikowane przedsięwzięcia.

Patron rzemieślników.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ ŚLEPIEC

Niewidomy kaznodzieja, wsławił się darem wypędzania diabłów. Patrząc na opętanego pustymi oczami, płomieniem prawdziwej wiary wypalał z duszy esencję ciemności i najmniejsze zło.

Nierozkładające się zwłoki świętego zostały pochowane w klasztorze w Knillasie.

Patron egzekutorów.

ŚWIĘTY DOMINIK NAUCZYCIEL

Twórca pisma klasztornego. Pierwsze księgi napisane jego ręką z dawien dawna uznawano za święte.

Podczas oblężenia Onrau przez potężną armię utracono nadzieję na utrzymanie twierdzy. Wówczas obrońcy wzięli rękopis Świętego Dominika i obeszlili nim mury obronne. Rano wróg odstąpił i poszedł szukać innej zdobyczy. Święty Dominik został pochowany w Dantingu.

Patron stanu zakonnego.

ŚWIĘTY JANUARY CUDOTWÓRCA

Kapłan parafialny, który stał się ofiarą okrutnej epidemii dżumy w roku 345 przed Wielkim Soborem.

Siłą prawdziwej wiary opanował chorobę, a potem, ledwie okrzepł, wyleczył wszystkich w swojej parafii. Chodził od miasta do miasta, czyniąc cuda i lecząc chorych jednym dotknięciem. Zmarł z wyczerpania w Nilmarze i tam został pogrzebany. Jego grób stał się miejscem pielgrzymek tych, którzy cierpią na poważne dolegliwości. Otrzymują od Świętego pełne zdrowie bądź częściowe wleczenie, każdemu wedle głębi jego wiary. W każdą rocznicę śmierci Świętego grób wydziela myron, który jest przechowywany jaico lek ostatniej nadziei dla ciężko chorych koronowanych głów.

Patron stanu szlacheckiego.

ŚWIĘTY FRYDERYK OSZCZEPNIK

Dowódca portowego garnizonu Orage, komendant obrony miasta w czasie wielkiego pirackiego rajdu w roku 276 przed Wielkim Soborem. Nieliczny garnizon nie był w stanie utrzymać grodu, a wówczas Fryderyk wyszedł sam za mury obronne. Wiara go wzmacniała, dlatego położył wrogów bez liku. Jednak mieli tak ogromną przewagę, że wreszcie stratowali Fryderyka. Przywódca piratów odrąbał mu głowę i nabił ją na włócznię. Jakże wielkie było zdumienie obecnych, kiedy nagle martwa głowa otworzyła oczy i przemówiła, wieszcząc piratom prędką i straszną zgubę! Napastnicy uciekli w popłochu. Grób świętego znajduje się w Orage.

Patron żołnierzy.